LAUREL CORONA

Córka markizy

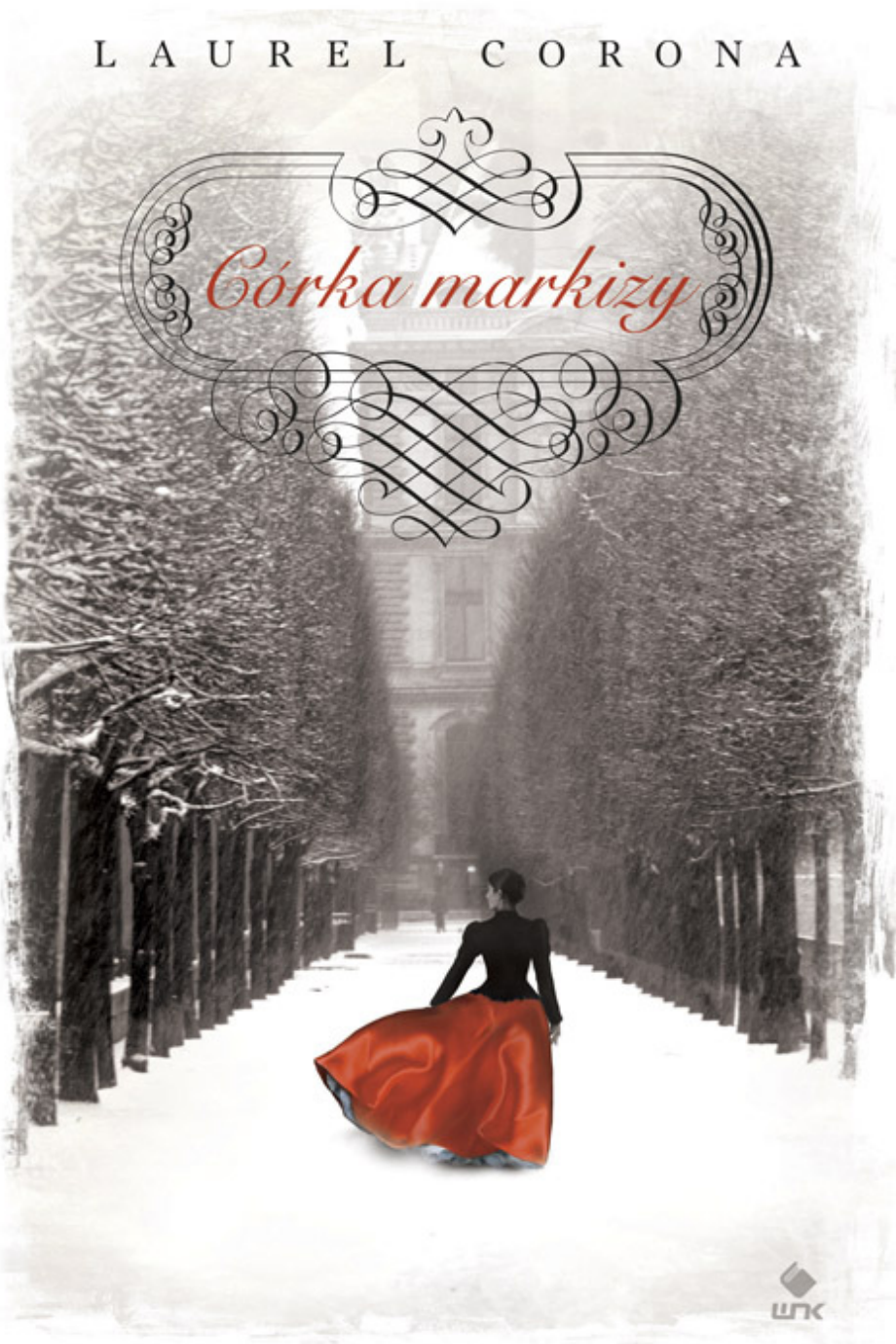

Laurel Corona

Córka markizy

Przełożyła Anna Płocica

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA

Córka markizy

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Motto
Dedykacja
Od autorki
* * *
Prolog
1
Emilie
2
Emilie
3
Emilie
4
Emilie
5
Emilie
6
Emilie
7
Emilie
8
Emilie
9
Emilie
10
Emilie
11
Emilie
12
Emilie
13
Emilie
14

Emilie
15
Emilie
16
Emilie
17
Emilie
18
Epilog
Przygody Świergotki i Toma

Rozdział pierwszy,
Rozdział drugi,
Rozdział trzeci,
Rozdział czwarty,
Rozdział piąty,
Rozdział szósty,
Rozdział siódmy,
Rozdział ósmy,

Posłowie
Podziękowania
Słowniczek
Rozmowa z Laurel Coroną
Karta redakcyjna

Zdrowy rozsądek nie jest zjawiskiem przeciętnym.
Wolter

Jimowi i Lynn
– w podziękowaniu za ich nieprzeciętność

Od autorki

3 września 1749 roku, tuż przed czterdziestymi trzecimi urodzinami, Gabrielle-Emilie le Tonnelier de Breteuil, markiza du Châtelet, powiła córkę – Stanislas-Adélaïde. Sześć dni później, powróciwszy do pracy nad tłumaczeniem i komentarzem do *Principia mathematica* Newtona, Emilie du Châtelet poskarżyła się na ból głowy. Nie upłynęło nawet kilka godzin, kiedy ta charyzmatyczna i wybitna kobieta odeszła na zawsze. Niniejsza powieść przedstawia fikcyjną historię córki, którą markiza osierociła.

Co tak naprawdę stało się ze Stanislas-Adélaïde? Zapisy historyczne wskazują, że zmarła z niewiadomych przyczyn przed drugimi urodzinami, dzieląc los jednej czwartej wszystkich niemowląt w tamtej epoce. Została pochowana obok matki, w Lunéville we Francji. Niewiele wiemy o starszej córce i jednocześnie pierwszym dziecku Emilie – Gabrielle-Pauline, która przeprowadziła się do Włoch po wyjściu za mąż w wieku szesnastu lat. Niestety, nawet gdyby druga córka Emilie przeżyła, prawdopodobnie wiedzielibyśmy o jej losach równie mało.

Innymi słowy, choćby Stanislas-Adélaïde nie umarła, należałoby wymyślić jej losy. Cóż jednak można wymyślić? Stanislas-Adélaïde była niewygodnym dzieckiem i prawdopodobnie nikt o nią nie dbał. Pozbawiona matczynej

miłości i troski, dziewczynka trafiłaby od mamki prosto do klasztoru, gdzie doczekałaby reszty swoich dni. Wolałam wyobrazić sobie życie, jakiego życzyłaby swojemu dziecku Emilie du Châtelet – w którym dziewczyna miałaby szansę realizować marzenia, rozwijać się i prowadzić żywot równie wyjątkowy jak jej matka. Taką właśnie wersję postanowiłam spisać.

Na koniec dodam jeszcze, że historyjki o Świergotce i Tomie autorstwa Lili (pod tym imieniem Stanislas-Adélaïde występuje w powieści), których fragmenty wplecione zostały w fabułę, można przeczytać w całości na końcu książki.

Oceniaj mnie po moich zasługach, bądź po ich braku, ale nie spoglądaj na mnie jak na ledwie dodatek do wybitnego generała albo uczonego, do gwiazdy, która lśni na dworze Francji, czy do znanego literata. Jestem pełnowartościową osobą, odpowiedzialną za siebie, za swoje słowa i czyny. Być może istnieją metafizycy i filozofowie, których nauki są wybitniejsze od moich, aczkolwiek jeszcze ich nie spotkałam. Jednakże oni również są tylko słabymi istotami i mają swoje wady. Tak więc, sumując wszystkie moje zalety, mogę wyznać, że nie jestem gorsza od nikogo[1].

Emilie du Châtelet

---

[1] Słowa te napisała Emilie du Châtelet w liście do Fryderyka II Wielkiego, króla Prus w latach 1740–1786.

Prolog

Lotaryngia, Palais de Lunéville, 1 września 1749
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Commercy, Lotaryngia

Drogi szwagrze,

Twój ostatni list sprawił mi tyle bólu, że dopiero teraz zdołałam przemóc się, by Ci odpowiedzieć. Kurier odjeżdża niebawem, dlatego z żalem jestem zmuszona ominąć zwyczajowe grzeczności i przejść od razu do meritum.

Twoja żona – która, jak chyba nie muszę Ci przypominać, nosi nazwisko Twoje i mojego świętej pamięci męża – zachowuje się doprawdy nagannie. Wkrótce po moim przyjeździe, dwa tygodnie temu, zdałam Ci szczegółową relację z niezliczonych obraz moralności, czynionych przez Twoją żonę i ludzi, których obiera sobie na przyjaciół, a wymierzonych przeciw naszemu łaskawemu gospodarzowi. Mogę tylko przypuszczać, że książę, będąc Polakiem, nie rozumie naszych zwyczajów, choć nie potrafię sobie wyobrazić, by przed abdykacją, jako król nawet tak zacofanego kraju, pozwolił komukolwiek na tak skandaliczne zachowanie, jakiego byłam świadkiem tutaj, w Lunéville.

Ty zaś, drogi szwagrze, cóż mi odpowiadasz? „Nigdy nie potrafiłem zapanować nad żoną i zarówno ja, jak i ona, jesteśmy

szczęśliwsi, kiedy nie próbuję". Czy to odpowiedź godna emerytowanego generała wywodzącego się z jednego z najbardziej szanowanych i podziwianych rodów Francji? Z pewnością nie muszę Ci przypominać, że prawdziwe szczęście pochodzi z wypełniania woli Bożej, z którą Twoja żona wydaje się całkowicie niezaznajomiona, pomimo jej zapewnień, że jest inaczej.

Widoku tego rozpustnika, monsieur Woltera, przechadzającego się u jej boku w ogrodzie i niosącego jej parasolkę – jako że ona w swoim zaawansowanym stanie musi podtrzymywać obiema rękami ogromny brzuch – nie sposób aprobować, a sytuacja znacznie się pogorszyła w ciągu kilku ostatnich dni wraz z przybyciem monsieur de Saint-Lamberta. Obecność rzeczonego jegomościa jest bulwersująca w swej zuchwałości. Z pewnością jesteś świadom krążących plotek, które dotyczą – ujmę to najdelikatniej, jak tylko zdołam – związku pomiędzy jego przybyciem do Cirey w odwiedziny do Twojej żony z jej odmiennym stanem opisanym przeze mnie wcześniej.

Być może to wszystko okaże się wystarczającym powodem, byś poprosił o pozwolenie na natychmiastowy powrót do Lunéville. Zdaję sobie sprawę, że Twoja niedawna nominacja na Grand Maréchal de Logis wymaga, abyś był na każde zawołanie księcia, wątpię wszelako, by Twoja krótka nieobecność wywołała wielkie trudności na dworze. Ponieważ nie wierzę, by na podobne zachowanie pozwalano w Lunéville, kiedy rezydował tu dwór, domyślam się, że Twoja żona, korzystając z nieobecności księcia i oczywiście Twojej, zaczęła postępować tak, jakby nie obowiązywały jej żadne zasady przyzwoitości.

Nie odpoczywa w łóżku, tylko spędza długie godziny w swoim gabinecie, co stanowi najlepszy dowód na to, że nie obchodzą jej obowiązki rodzinne i towarzyskie. Co się zaś tyczy tego ostatniego – jej toaleta, a raczej jej brak, niebawem z pewnością sprowokuje zuchwałość służby. Choć zawsze zadaje sobie trud, by założyć brylanty, rzadko właściwie upina włosy i bardzo często przyjmuje gości bez odpowiedniego przygotowania, narzuciwszy jedynie fartuch na szlafrok.

Chciałabym również omówić z Tobą przyszłość dziecka, ponieważ markizę interesuje jedynie nauka i zdaje się nie czynić żadnych planów na czas po połogu. Nie wątpię, że chwalisz ją za uwagę, jaką poświęciła Twoim dzieciom, kiedy były małe, ale

w wieku czterdziestu trzech lat wyraźnie się zmieniła. Właściwie to nawet wczoraj przy kolacji – ze śmiechem, nie inaczej – powiedziała nam, że nauka, hazard i chciwość to jedyne przyjemności, jakie pozostają kobiecie w jej zaawansowanym wieku. Jestem pewna, że nawet nie ma zamiaru...

Przyszedł posłaniec po listy, muszę więc kończyć.

Pozostaję Twoją oddaną szwagierką,
Philippe-Charlotte, baronowa Lomont

Lotaryngia, Palais de Lunéville, 1 września 1749
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Commercy, Lotaryngia

Mój drogi Monsieur le Marquis,

piszę, by poinformować Pana, jak cudownie Emilie – pańska niesamowita żona i moja najdroższa przyjaciółka – radzi sobie w tych ostatnich dniach przed narodzinami Pańskiego dziecka. Jest dla mnie wspaniałym wzorem do naśladowania, ponieważ, jak już mogę bezpiecznie wyznać, spodziewam się pierwszego potomka, który przyjdzie na świat za cztery miesiące. Mam wielką nadzieję, że oba maleństwa okażą się chłopcami, ponieważ byłoby cudownie przyglądać się ich zabawom podczas wizyt w Pańskim majątku w Cirey. Oczywiście wolałabym dziewczynkę, którą mogłabym stroić jak laleczkę, ale jako że w pierwszej kolejności należy wydać na świat dziedzica, zrobię, co w mojej mocy, by spełnić życzenie męża.

Zdaję sobie sprawę, że piszę o niewłaściwych sprawach do byłego generała i dworzanina, ponieważ jednak nie mam czasu, by zacząć od początku, proszę o zignorowanie mojej paplaniny.

Emilie wciąż znajduje siłę na codzienne przechadzki, jednak spaceruje dość powoli i niezbyt długo. Jak miło jest wyjechać na jakiś czas z Paryża, gdzie pokazanie się publicznie w takim stanie uznano by za szczyt wulgarności. Książę Stanisław okazał się ogromnie życzliwym gospodarzem, pozwalając nam pozostać w swoim pałacu w Lunéville przez ostatnie tygodnie ciąży Emilie, i zapewniam Pana, że opiekowaliśmy się nią bardzo troskliwie. Z pewnością słyszał Pan, że książę poważnie rozważa zorganizowanie biblioteki i laboratorium, takich samych, jakie Emilie oraz monsieur Wolter stworzyli w Cirey. Emilie nie przestaje mówić o ekscytującym postępie naukowym, który jest

możliwy, kiedy nie trzeba tak brutalnie ograniczać kosztów.

Zapewne napisała Panu, że monsieur Wolter przybył wkrótce po tym, jak dwór udał się do Commercy, i czuł się wielce rozczarowany, dowiedziawszy się, że przegapił okazję spotkania się z Panem i zabawiania dworu swoimi sztukami. To musi jednak poczekać do momentu, gdy Emilie dojdzie do siebie po połogu i będziemy mogli dołączyć do Pana.

Prawdopodobnie książę nie powiedziałby tego Panu jako mężowi Emilie, ale tuż przed przeniesieniem dworu do Commercy wyznał mi, że uznał za nadzwyczajne, iż pozwolił Pan innemu mężczyźnie mieszkać oficjalnie z Pana żoną przez tyle lat i będąc świadomy charakteru ich relacji, mimo wszystko interweniować w jego sprawie za każdym razem, gdy piórem przysporzył sobie kłopotów. I oczywiście, jak Pan wie, gdy coś wprawia tego poczciwego człowieka w zdumienie, ma zwyczaj pytać: „Czy tak się robi we Francji?", jakby to wyjaśniało nawet coś tak osobliwego jak istnienie dwugłowej krowy. Oczywiście kiedy jego pytanie nawiązało do dość nietypowej roli monsieur Woltera w świcie Pana żony, obie z Emilie wybuchłyśmy śmiechem, choć ona już po chwili musiała przestać z bólu.

W ostatnim tygodniu jej skurcze się nasiliły. Dziecko usytuowane jest już bardzo nisko, ale wciąż odmawia wyjścia na świat. Mimo to Emilie przesiaduje długie godziny przy biurku, pełna niepokoju, że nie zdąży skończyć swojej książki. Choć próbuję jej uświadomić, że nawet coś tak ważnego jak najgłębsze prawa natury może zaczekać do narodzin dziecka, ona zdecydowanie kręci głową i na tym kończy się rozmowa. Muszę Panu wyznać, monsieur, że kiedy mówi o pracy, jej twarz pochmurnieje – zupełnie inaczej niż kiedyś, gdy cała promieniała w takich sytuacjach – i przyznaje się do złych przeczuć, o których nawet nie będę wspominać. Obawiam się, że nazwanie ich po imieniu mogłoby przyczynić się do ich spełnienia.

Wieczorami odgrywamy sztuki w jej sypialni – a raczej wszyscy oprócz baronowej Lomont, która trzyma się na uboczu, jawnie niezadowolona z naszego towarzystwa. Choć Emilie jest zbyt zmęczona, by brać udział w przedstawieniach, bardzo się nimi cieszy, bijąc brawo i czyniąc tak rubaszne komentarze, które z pewnością nie spodobałyby się nikomu, gdyby nie płynęły z ust tak uroczej osoby. Emilie nie jest w stanie usiedzieć przy stole karcianym w salonie, więc ustawiliśmy dla niej nieopodal

specjalną leżankę. Żąda, by Wolter unosił dłoń i pokazywał jej karty przez ramię. Gdy przypadną jej do gustu, podwaja jego stawkę z własnych pieniędzy. Wczoraj wieczorem to monsieur Saint-Lambert miał zaszczyt zająć miejsce Woltera, jako że jest naszym najświeższym gościem, i Emilie jak zwykle domaga się jego niepodzielnej uwagi.

Budzimy się co rano z nadzieją i kładziemy się spać, modląc się, by następnego dnia powitała nas nowina o rozwiązaniu. Podobno przy czwartym dziecku powinno być szybkie i łatwe, jednakże, oczywiście, w grę mogą wejść komplikacje spowodowane wiekiem, a nikt nie potrafi przypomnieć sobie innego podobnego porodu dla porównania.

Czas, bym udała się do mojej drogiej przyjaciółki. Jest mi wdzięczna za pomoc przy pracy nad książką, ponieważ ma już problemy z sięganiem po potrzebne jej rzeczy. Mam nadzieję, że odezwę się wkrótce z dobrą nowiną.

Pańska oddana,
Julie, madame de Bercy

Lotaryngia, Palais de Lunéville, 4 września 1749
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Commercy, Lotaryngia

Drogi Panie,

piszę w pośpiechu, by poinformować, że dziś Twoja żona szczęśliwie powiła córkę. Poród trwał jedynie dwie godziny i dziecko wydaje się zdrowe. Dziewczynka została natychmiast zabrana do pobliskiego kościoła i ochrzczona, po czym przekazana niańce. Otrzymała imiona Stanislas-Adélaïde i, ku uciesze wszystkich, jest bardzo podobna do swojej matki.

Twoja oddana szwagierka,
Philippe-Charlotte, baronowa Lomont

Lotaryngia, Palais de Lunéville, 11 września 1749
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Commercy, Lotaryngia

Drogi Monsieur le Marquis,

nie wiem, jak inaczej poradzić sobie z tym potwornym

zadaniem, więc po prostu powiem, co muszę.

Pańska ukochana żona Emilie zmarła nagle wczoraj w nocy, sześć dni po rozwiązaniu. Zapewne odłoży Pan teraz ten list i sięgnie po niego znowu, otarłszy pierwsze łzy, jednak zanim Pan to uczyni, proszę pozwolić, że wyznam, iż jest to najpotworniejszy moment również w moim życiu. Z bólu niemal nie mogę pisać. Moje łzy zniszczyły już kilka wersji wstępu do tego listu. Obawiam się, że powróciwszy do czytania, będzie Pan musiał mi wybaczyć kleksy i plamy, które z pewnością zapełnią stronice.

Nie znamy przyczyny. Nie skarżyła się na żadne bóle, a nawet przyniosła sobie stoliczek do łóżka, by pracować nad swym dziełem w pościeli. Wczoraj około południa napomknęła, że jej bardzo gorąco, ale nie wydawała się rozpalona, zważywszy na panującą ostatnio duchotę. Choć przypomnieliśmy jej, że chłód to jeden z najgorszych sposobów na zwalczenie gorączki, uparła się, by przyniesiono jej ulubiony syrop z wodą i lodem. Wypiwszy go, natychmiast złapała się za skronie, narzekając na potworny ból głowy i z trudem łapiąc dech.

Medyk, któremu książę w swej łaskawości pozwolił zostać z nami do rozwiązania, podał Emilie gorące ziółka. Napar trochę pomógł. Mężczyzna posłał po najlepszych lekarzy w Nancy, którzy przybyli zaraz po zmroku. Do tego czasu ból głowy oraz problemy z oddychaniem powróciły kilkakrotnie i wszyscy bardzo się baliśmy. Dostała opiaty, a kiedy zaczęła się uspokajać, lekarze powiedzieli nam, że powietrze w pomieszczeniu byłoby lepsze, gdyby większość z nas opuściła pomieszczenie.

Monsieur Wolter i baronowa Lomont wyszli z lekarzami i resztą towarzystwa Emilie, by zjeść kolację w apartamentach po drugiej stronie dziedzińca. Chciałam udać się z nimi, ale Emilie poprosiła mnie i monsieur Saint-Lamberta o pozostanie.

Rozmawialiśmy z nią, dopóki nie usnęła, a potem wyszliśmy na korytarz, by nie zakłócać jej spokoju. Po niespełna kilku minutach usłyszeliśmy potworne jęki dobiegające z komnaty. Kiedy dopadliśmy łóżka, pościel była pomięta, jakby Emilie rzucała się w niej gwałtownie, ale nasza najdroższa przyjaciółka leżała nieruchomo, z wywróconymi do góry oczami.

Monsieur Saint-Lambert zachował na tyle zdrowego rozsądku, by położyć jej dłoń na klatce piersiowej i sprawdzić, czy oddycha. Niech Bóg ma nas w opiece. Nie potrafię opisać uczucia, które rozdarło mi serce, gdy oznajmił, że odeszła. Zamknął jej drogie

oczy i obejmowaliśmy się w milczeniu, podczas gdy pokojówka pobiegła przez dziedziniec, by powiadomić resztę towarzystwa.

W przeciągu kilku minut usłyszeliśmy krzyki pozostałych gości, wbiegających w pośpiechu po schodach. Och, mam nadzieję, że już nigdy nie będę świadkiem równie rozdzierającej sceny! Wolter rzucił się na Emilie, łkając i mamrocząc, że stracił lepszą część siebie. Wychodząc, drżał na całym ciele, przez co spadł z kamiennych schodów – a może rzucił się z nich, do końca nie jesteśmy pewni. Teraz kuleje i ma mocno poharataną twarz. Powiedział potworne rzeczy do Saint-Lamberta. Oskarżył go o zabicie Emilie przez nierozwagę. Co się zaś tyczy Saint-Lamberta, zamknął się w swoich apartamentach, a jego sługa donosi o potwornych jękach i krzykach rozpaczy, które dochodzą ze środka.

To kobietom pozostawiono wszystkie przykre obowiązki. Wraz z baronową Lomont wkrótce rozpoczniemy smutny proces przygotowywania ciała do pochówku. Posłałyśmy zapytanie o zgodę na postawienie nagrobka w nowym kościele parafialnym pod wezwaniem Saint-Jacques'a, żeby Emilie mogła spocząć w miejscu, które tak jej się podobało. Ponieważ jednak panuje upał, musimy się spieszyć. Bardzo proszę, niech Pan przybędzie jak najszybciej i powiadomi nas, czy zdąży na pogrzeb. Wszyscy potrzebujemy dzielić z Panem tę potworną stratę i oblać Pana naszymi łzami.

Zawsze oddana,
Julie de Bercy

Lotaryngia, Palais de Lunéville, 13 września 1749
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Commercy, Lotaryngia

Mój drogi szwagrze,

bardzo nam przykro, że musieliśmy pochować Emilie przed Twoim powrotem, ale, jak wspomniałeś w ostatnim liście, zmarłym nie zależy na pośpiechu. Później będziesz miał dość czasu, by dopełnić smutnych obowiązków. Wraz z madame de Bercy doceniamy zaufanie, którym nas obdarzyłeś w związku z wyborem najlepszej przyszłości dla dziecka. Rozumiemy, że Twoje nowe stanowisko w służbie księciu w oczywisty sposób uniemożliwia Ci osobiste zaangażowanie w sprawę. Niestety,

długo musiałam perswadować madame de Bercy, że kobieta brzemienna po raz pierwszy nie może przyjąć na siebie odpowiedzialności za drugie nowo narodzone dziecko, zanim nie powije własnego. Madame de Bercy jest kobietą sentymentalnej natury, brak jej praktycyzmu i jej łzawe błagania, by nie odsyłać dziecka do zakonu, jak sugerowałeś, tak bardzo mnie wyczerpały, że w końcu uległam i zgodziłam się zabrać Stanislas-Adélaïde do Paryża i zostać jej opiekunką przez jakiś czas. Proszę, nie szukaj nas w Lunéville, ponieważ już jutro wyjeżdżamy do Paryża.

Twoja oddana szwagierka,
Philippe-Charlotte, baronowa Lomont

Paryż, 8 kwietnia 1753
Do Florenta-Claude'a, markiza du Châtelet-Lomont
Lotaryngia, Palais de Lunéville

Najdroższy Monsieur le Marquis,

właśnie otrzymałam Pański list. Cóż za wspaniała wiadomość – och, proszę mi wybaczyć, iż cieszy mnie w ten sposób czyjeś słabe zdrowie! – że baronowa Lomont nie czuje się na siłach, by dłużej zajmować się naszą najdroższą Lili. Dziękuję z głębi serca, że oddalił Pan jej decyzję o wysłaniu dziewczynki do zakonu w tak delikatnym wieku, podczas gdy ja pragnę wziąć ją do siebie. Cóż to by było za nieszczęście! Kocham Pańską cudowną Lili równie mocno jak moją Delphine-Anne i dziewczynki – choć mają dopiero trzy latka! – już zaczęły przejawiać silną więź podczas tych kilku wizyt Lili, na które pozwoliła baronowa.

W odpowiedzi na obawy baronowej Lomont, że Pańska córka zostanie zdemoralizowana przez gości w salonie, który niedawno zaczęłam prowadzić, obiecuję bacznie się jej przyglądać i uważać, by pod wpływem nowoczesnych idei nie stała się nieodpowiedzialna lub arogancka. Dałam słowo baronowej, że Lili będzie ją regularnie odwiedzać, by sama mogła się przekonać, że dziewczynka nie zadaje się z ludźmi o nędznym charakterze i nielojalnymi wobec króla.

Baronowa twierdzi, że będzie lepiej dla Lili, jeśli od niej nauczy się dobrych manier, tak potrzebnych do znalezienia odpowiedniego męża – choć nie przyjęłam z sympatią jej sugestii, że ja sama sobie z tym nie poradzę. Muszę przyznać, i z pewnością sam Pan to zauważył, że zachowanie baronowej jest – ujmę to najuprzejmiej,

jak potrafię – nad wyraz trudne do zniesienia i może nie być najodpowiedniejszym wzorem dla Lili. Niemniej jednak baronowa na swój sposób z pewnością kocha dziewczynkę i pragnie mieć pewność, że nie znajdzie się ona na straconej pozycji w świecie obojętnym na nieszczęścia sieroty.

Ja i baronowa Lomont zgadzamy się w bardzo niewielu kwestiach, ale o jednej sprawie, którą Pan poruszył, myślimy podobnie. Chodzi o to, co Lili powinna wiedzieć o matce. Jak Pan wie, noszę w sercu ogromny podziw i głęboką miłość do mojej najdroższej przyjaciółki, jednak jej droga nie stanowi odpowiedniego wzoru dla młodej niewiasty. Zgodziłyśmy się z baronową, że najlepiej się stanie, jeśli Lili nie pozna bardziej – och, jak to ująć? – nieobyczajnych szczegółów z życia matki, i że jej zasługi dla nauki nie powinny przysłonić bardziej konwencjonalnych poglądów na temat osiągnięć, które ceni się u kobiet. Dobrze jest być błyskotliwą i umieć się wysławiać, ponieważ poprawia to jakość życia nie tylko samej kobiety, ale i mężczyzny. Jednak zgadzam się również, iż kobieta powinna ogrzewać i rozświetlać otoczenie, a nie oślepiać innych swoim blaskiem.

Baronowa Lomont dopilnuje również przeniesienia kapitału, z którego odsetki opłacają rentę, jaką w swej hojności zapewnił Pan dziecku. Podobno to nawet więcej, niż potrzeba Lili na tym etapie życia. Baronowa dała jasno do zrozumienia, że renta ta ma zastąpić wszelki Pański kontakt z Lili. Kiedy dziewczynka podrośnie i zacznie zadawać pytania, wyjaśnię jej, że choć nie pisze Pan do niej i jej nie odwiedza, przez owo zabezpieczenie finansowe wyraża Pan swoją troskę i miłość. Wiem od baronowej Lomont, że poinformowała Pana, iż należy przedyskutować sprawę posagu, kiedy nadejdzie odpowiedni moment. Lili powinna otrzymać bowiem gwarancję pod postacią choćby niewielkiego majątku, który wniesie do małżeństwa. Jednakże ta kwestia może jeszcze poczekać. Muszę się zająć przygotowaniem pokoju dla Lili i poinformować Delphine, że Lili zostanie jej siostrzyczką!

Zawsze oddana,
Julie de Bercy

1

1759

Ciągle wygrywasz! – Delphine rzuciła swoje karty w powietrze, lecz jej frustracja szybko ustąpiła miejsca rozbawieniu, gdy opadły kaskadą na głowę Lili, po czym wylądowały wokół niej na łóżku. Dwie dziesięcioletnie dziewczynki siedziały po turecku w muślinowych koszulkach nocnych, chwytając gołymi stópkami fałdy zielonej, aksamitnej narzuty. Obok nich nagle obudzony ze snu biały piesek prychnął z pogardą.

Lili zebrała porozrzucane karty i postukała w brzegi talii, aby je wyrównać.

– Chcesz zagrać jeszcze raz? Powiedziałam ci, jak ja to robię.

Delphine westchnęła.

– Wiem. Zapamiętujesz karty, które już zostały rozegrane. Ja to król dama, la-la-la.

– Żeby wygrać w pikietę, trzeba wiedzieć, co już się wydarzyło.

– To całe zapamiętywanie przypomina mi odrabianie lekcji. Taka sama zabawa jak robienie rachunków. – Delphine stanęła na łóżku za plecami Lili. – Uczesać cię? Pójdę po grzebyczki i zrobię ci fryzurę à la madame de Pompadour. – Zebrała brązowe włosy Lili i uniosła je na czubek głowy. – O tak – rzekła. Wydęła usta i cmoknęła powietrze, naśladując metresę króla Ludwika

XV. – Gdzie położyłaś swoją szczotkę?

Lili nie odpowiedziała.

– Kłócą się o coś na dole – oznajmiła, przekrzywiając głowę. – Słyszysz?

Delphine wzruszyła ramionami, wyciągając szczotkę z toaletki Lili.

– Kogo to obchodzi? Głupi starcy. – Podczas gdy stała odwrócona plecami do łóżka, Lili zeskoczyła na podłogę i przemknęła na paluszkach do holu na piętrze Hôtel Bercy. Pies poderwał się i podążył za nią.

– Stanislas-Adélaïde! Wracaj tutaj! – Lili usłyszała za sobą krzyk Delphine. – Jesteś prawie naga!

Lili odwróciła się i przyłożyła palec do ust.

– Spróbuję coś usłyszeć.

– No to przynajmniej załóż szlafrok! Widzę zarys twojej pupy pod halką! – Zlekceważona Delphine westchnęła teatralnie i narzuciwszy szlafrok, wyszła do holu. – Ale ziąb – szepnęła, unosząc maleńkiego pieska bichon frise i przyciskając go do piersi. – Spójrz! Tintin cały drży, mimo że ma grubą sierść. – Wcisnęła nos w futro zwierzątka. – Prawda, *mon petit*?

– Cśśś! – Lili znów uniosła palec do ust. – Chyba rozmawiają o jansenistach. Albo o jezuitach. Nie słyszę zbyt dobrze. – Lili stała przy balustradzie na szczycie schodów i nadstawiała ucho. – Wydawało mi się, że ktoś nazwał jezuitów plagą Francji, ale to niemożliwe. – Zamilkła i nasłuchiwała przez moment. – A może chodziło o to, że we Francji nie ma dla nich miejsca, ale to też nie bardzo ma sens. – Zerknęła na Delphine. – To przecież duchowni. Jak ktoś mógłby pomyśleć, że duchowni są niepotrzebni?

– Niedługo sama będziesz ich potrzebowała, kiedy umrzesz z przeziębienia – stwierdziła Delphine, podskakując na bosych stopach. – Zamieniam się w lód.

Głosy na dole znów przycichły do ledwie słyszalnego pomruku. Lili poczuła nagle chłód desek podłogowych, od którego szczypały ją stopy. Dostała gęsiej skórki na nogach i rękach.

– Kto pierwszy do łóżka?! – zawołała ze śmiechem i wyminęła biegiem Delphine. Dziewczynki wskoczyły na miękką pościel, a już po chwili Tintin dołączył do kotłowaniny rąk i nóg, liżąc dzieci po oczach i nosach, aż zaczęły piszczeć.

– Czas na twoją fryzurę – przypomniała Delphine. Lili wyprostowała się i wzięła Tintina na kolana, a Delphine uklękła

za nią. Lili z rozkoszy aż zamknęła swe brązowe oczy, gdy siostra szczotkowała jej włosy, ale wciąż była skupiona na odgłosach dobiegających z dołu. – Chciałabym wiedzieć, czym się tak emocjonują. Ty nie?

– Kto?

– Mężczyźni w salonie *maman*.

– Jeśli nie mówią o mnie, nie bardzo mnie to interesuje – odparła Delphine i usiadła na piętach. – Cudownie byłoby żyć jak *maman*, nie sądzisz? Jest taka piękna i miła, a wszyscy przychodzą do jej salonu, bo skrycie się w niej podkochują.

Przeczołgała się wokół Lili, odgoniła psa i położyła siostrze głowę na kolanach.

– Ręka już mi się zmęczyła. Opowiedz mi coś – poprosiła. – O pięknej królewnie. Nieważne o której.

– Jeszcze ci się nie znudziły te opowieści? Może wolisz *Kota w butach* albo coś innego dla odmiany?

Delphine spiorunowała ją wzrokiem.

– No dobrze – poddała się Lili. – Jeśli obiecasz, że zaśniesz po jednej.

– Obiecuję.

Lili odetchnęła głęboko.

– Dawno, dawno temu...

Corinne, pokojówka dziewczynek, zapukała do drzwi, po czym weszła do sypialni.

– Bardzo przepraszam, mesdemoiselles – rzekła służąca, grzecznie dygając. – Madame kazała mi zadbać o to, żeby panienki się wyspały przed jutrzejszym powrotem do klasztoru. – Podeszła do stołu i zgasiła lampkę oliwną. – Madame mówi, że mogą panienki spać w jednym łóżku, jeśli mają ochotę.

Z jękiem dezaprobaty Lili wyślizgnęła się spod głowy Delphine i położyła się obok siostry. Corinne opatuliła dziewczynki kołdrą, zdmuchnęła świece i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Lili natychmiast usiadła w ciemnościach i Delphine z powrotem umościła się na jej kolanach.

– Dawno, dawno temu żyli sobie król i królowa, którzy przez wiele lat nie mieli dzieci. W końcu urodziła im się córeczka i poprosili siedem wróżek, by zostały jej matkami chrzestnymi. Zapomnieli jednak o jednej wróżce, która była tak stara, że rzadko opuszczała swoją wieżę.

– Wstrętna wróżka – burknęła Delphine. – Patrzyła tylko

jednym okiem.

– Mhm. Kiedy przybyła do pałacu i zobaczyła, że nie ma dla niej miejsca na uczcie z okazji chrztu, bardzo się zezłościła i przeklęła dziecko. Dziewczynka miała umrzeć od ukłucia wrzecionem, zanim wyjdzie za mąż... – Lili pogłaskała Delphine po głowie. – Śpiąca?

– Skądże. Przecież dopiero zaczęłaś. Ale przejdź od razu do tego, jakie nosiła suknie.

– Przyjmijmy, że królewna nazywała się... – Lili udała, że zastanawia się nad imieniem, by w końcu powiedzieć to, co mówiła zawsze: – Królewna Delphine. – Delphine westchnęła z aprobatą i wtuliła się w kolana Lili. – Każdego ranka w magiczny sposób pojawiała się przed nią nowa suknia, a gdy szła, jej spódnice pozostawiały ślad mieniących się iskierek.

– Iskierek?

– Przecież to magiczne sukienki – odparła Lili. – Podoba ci się?

– O, tak – szepnęła Delphine. – Dodawaj iskierki za każdym razem.

– Pewnego dnia królewna przechadzała się po pałacu i dostrzegła przędącą staruszkę...

Gdy Lili dotarła do fragmentu, kiedy Śpiąca Królewna została obudzona ze stuletniego snu, Delphine oddychała już miarowo, a jej głowa stała się ciężka na kolanach Lili. – Książę od razu zauważył, że jej sukienka była potwornie niemodna – ciągnęła. – Nawet jego babka nie pokazałaby się publicznie w podobnej kreacji. – Gdyby Delphine nie spała, dziewczynki zaczęłyby dodawać okropne detale do sukienki, jednakże jej oddech się nie zmienił. – Więc wilk poszedł do domu babci i podstępem zwabił dziewczynkę, by podeszła do łóżka. Potem ją zjadł i wszyscy żyli długo i szczęśliwie. – Lili zaczekała jeszcze chwilę, po czym przełożyła delikatnie głowę siostry na poduszkę i skuliła się obok.

Usłyszała głosy dwóch wychodzących gości i stukot końskich kopyt na ulicy, tuż za dziedzińcem Hôtel Bercy. Cóż mogło tak ich poruszyć, że dyskutowali o tym tydzień w tydzień? Z pewnością nie bajki o wróżkach ani żadna sprawa, o której Lili i Delphine uczyły się w klasztorze. Tintin pochrapywał cichutko obok, a Delphine burknęła coś przez sen. Lili ziewnęła, objęła siostrę ramieniem i pozwoliła myślom odpłynąć w nicość.

W NOCY PRZEZ MIASTO PRZESZŁA wiosenna burza. O świcie

Corinne odprowadziła Lili i Delphine do powozu, unosząc brzegi ich sukienek, by uchronić delikatny materiał przed zabłoceniem, i wyprawiła siostry w podróż, zanim *maman* zdążyła się obudzić. Niebo się przejaśniało, lecz kilka ciemnych chmur przesłoniło słońce, pogrążając w półmroku powóz z dwiema dziewczynkami, kierujący się ku ulicy Saint-Antoine do centrum Paryża.

Dziewczęta pogrążone w ponurym nastroju, który zawsze je ogarniał w te poranki, nie odzywały się słowem, podczas gdy powóz przemieszczał się pomiędzy wąskimi rzędami sklepów i domów przy moście Notre-Dame, a potem przetoczył się przez *Île de la Cité* i Petit Pont na drugi brzeg Sekwany. Ich prywatny pokój w klasztorze de Panthémont wyposażono wprawdzie na koszt *maman* w wygodną pościel i gruby dywan na podłodze, ale to w domu było naprawdę przytulnie, pachniało gorącą czekoladą i świeżo upieczoną brioszką, które dostały tego dnia na śniadanie. Pobyt w Hôtel Bercy oznaczał dla dziewczynek, że nie musiały zrywać się wcześnie rano na modlitwy i chodziły spać dopiero wtedy, kiedy *maman* przypominała sobie o wysłaniu do nich Corinne. Tutaj zawsze pytano je, co chciałyby zjeść na kolację i mogły mieć psa, który błagał i turlał się słodko, prosząc o maleńki przysmak wykradziony z jadalni.

– Nie cierpię siostry Thérèse – rzuciła Delphine. – Ale nie tak jak siostry Jeanne-Bertrand – dodała po chwili. – Lili milczała, więc Delphine kontynuowała: – Nigdy nie robię niczego dość dobrze. – Zatkała sobie nos. – Prawdziwe damy nie brudzą sobie palców tuszem podczas pisania – powiedziała, tak udanie naśladując siostrę Jeanne-Bertrand, że Lili zachichotała pomimo kiepskiego nastroju.

Na ulicy Saint André-des-Arts powóz zwolnił, a potem się zatrzymał. Zatłoczone drogi były w Paryżu dość częstym zjawiskiem, więc Delphine nie zwróciła na to uwagi.

– Charakter prawdziwej damy można odczytać w sposobie, w jaki zapisuje swoje imię – ciągnęła tym samym nosowym tonem. – Twoje litery robią się coraz większe. Jeśli wszystko nie będzie zapisane literami tej samej wielkości, zaczniesz od początku.

Słysząc głosy dzieci dobiegające z wąskiej, niebrukowanej uliczki, Lili odchyliła zasłonkę i wyjrzała. Jej wzrok zatrzymał się na młodzieńcu w wytartym płaszczu, na którego głowie spoczywał jednak nowy modny kapelusz. Mężczyzna wymachiwał

laseczką w stronę grupki obdartych dzieci. W wyciągniętej ręce jednego z nich dyndała przewiązana sznurkiem paczka wielkości książki.

– Oddawaj to! – zawołał, podczas gdy inny chłopiec, rozczochrany i z brudną twarzą, sięgnął do kieszeni płaszcza młodzieńca. Dwie kobiety w sfatygowanych sukienkach i przybrudzonych białych czepkach obserwowały całe zajście z progu piekarni. Ich miny nie zdradzały większego zainteresowania. Kobiety wyglądały raczej, jakby patrzyły na ptaki bijące się o okruszki. Inny przechodzeń – nieco starszy i trochę lepiej ubrany jegomość – złapał jedno dziecko i przewrócił je na ziemię.

– Szumowina uliczna! – syknął, kopiąc chłopca kilka razy. – Wynoś się stąd, zanim wybiję ci te zgniłe zęby!

Żadna z kobiet nie ruszyła się z miejsca, ale jedna z nich potrząsnęła pięścią.

– Zostaw go w spokoju! – zawołała. – Nie widzisz, że on nic nie ma na świecie?! A z ciebie taki bogacz!

Chłopiec z paczką wyszczerzył zęby w uśmiechu, przekrzywił głowę i zaczął się wycofywać tanecznym krokiem. Pozostałe dzieci, którym udało się uciec przed gniewem mężczyzny, powoli podążały za kolegą, sprawiając wrażenie, jakby nie bały się nikogo ani niczego. Powóz Lili ruszył gwałtownie. W tym momencie minęła go dorożka zmierzająca w przeciwnym kierunku i ochlapała grubą warstwą czarnego błota okienko, do którego dziewczynka przyciskała twarz. Lili cofnęła się wystraszona, ale po chwili znów się wychyliła i wyjrzała przez prześwit w ciemnej mazi. Ochlapani błotem od stóp do głów, a nawet kapeluszy, dwaj mężczyźni wymachiwali pięściami i przeklinali, na czym świat stoi.

Lili chichotała przez chwilę pod nosem, a potem zakryła szybko buzię dłonią spowitą w rękawiczkę, żeby Delphine niczego nie zauważyła. Opowiadając o zdarzeniu, z pewnością obróciłaby w żart położenie mężczyzn, a przecież to, co się tam stało, wcale nie było śmieszne. Ledwie powóz ruszył, znów się zatrzymał i Lili wyciągnęła szyję, by dalej przyglądać się zajściu. Skopany chłopiec podniósł się z ziemi i zmierzał w ich kierunku. W ogóle nie było po nim widać, że właśnie ktoś obił mu żebra. Wsunął ręce w kieszenie, uśmiechał się szeroko pod zabłoconą czapką i kiwał głową, jakby nucił pod nosem jakąś melodię.

Zatrzymał się na chwilę i upewniwszy się, że starszy jegomość nie patrzy w jego stronę, wyciągnął mu z kieszeni złoty zegarek. Wytarł z błota, po czym uniósł wzrok i dostrzegł Lili obserwującą go z powozu. Uśmiechnął się zawadiacko, złapał za dewizkę i pomachał ostentacyjnie zdobyczą, by na pewno ją zobaczyła. Potem pokazał Lili język i rzucił się biegiem w boczną uliczkę, zanim mężczyzna zdążył się zorientować, że jego kieszeń została ogołocona.

W MIEJSCU, gdzie ulica de Grenelle za miastem przechodziła w wiejską drogę łączącą rolniczą wioskę Grenelle z Paryżem, ciasny rząd budynków i wąskich uliczek ustępował miejsca okazalszym budowlom i zadbanym połaciom ogrodów. Tuż przed kompleksem Les Invalides powóz zatrzymał się przy Abbaye de Panthémont. Z imponującego budynku opactwa natychmiast wyszedł tragarz oraz młoda nowicjuszka i dziewczynki wraz z bagażami zostały niezwłocznie zaprowadzone do środka.

Pomimo chłodu, którym emanowały kamienne ściany, nie rozpalono ognia, ponieważ był maj. Lili rozpakowała egzemplarz przywiezionych z domu baśni madame d'Aulnoy. Otworzyła na stronie oznaczonej wstążeczką, gdzie ostatnio przerwała lekturę.

– Chciałabym zostać tutaj i poczytać – powiedziała, spoglądając na rycinę przedstawiającą smutną i obdartą królewnę Finette Cendron.

Delphine westchnęła i rozwiązała buty. Drżąc od wilgoci i zimna, dziewczynki przebrały się ze strojów podróżnych w proste sukienki – uniformy uczennic zakonu, po czym wyszły na korytarz.

– Czas się przywitać z Matką Zołzą – szepnęła Delphine najciszej, jak to możliwe. W pewnym momencie swojego życia przeorysza Marie-Catherine straciła oko i choć jej wyszywana opaska z czarnego aksamitu wyglądała całkiem gustownie, jednooka zakonnica budziła uzasadniony strach, jeśli nie przerażenie.

– Myślisz, że kiedyś była piratem? – zapytała Delphine, kiedy dziewczynki miały po osiem lat i zobaczyły ją po raz pierwszy.

– Jestem pewna, że nie – odparła Lili. – Może już się taka urodziła i nawet jako małe dziecko miała maleńką opaskę. Piękną i białą, pasującą do chrzcielnego czepeczka.

Delphine zrobiła wielkie oczy.

– Naprawdę tak myślisz?

– Może kruk wydziobał jej oko – ciągnęła Lili. – Wiesz, jak te ptaki, które zjadły wątrobę Prometeuszowi.

– Wielokrotnie. – Delphine wzdrygnęła się, a potem zadumała na chwilę. – Myślisz, że może miała się urodzić cyklopem, ale jakaś bogini ulitowała się nad nią i złagodziła klątwę?

– Albo zły wędrowiec włóczący się po ulicach Faubourg Saint-Germain wydłubał je łyżką.

Ujrzawszy minę Delphine, Lili zrozumiała, że posunęła się za daleko.

– Takie rzeczy nie mogłyby się nam przytrafić, prawda? – zakwiliła przerażona.

Lili natychmiast ją zapewniła, że po prostu lubi sobie wymyślać różne historie i Delphine wymusiła na niej przyrzeczenie, że już nigdy nie będzie wymyślała nic, co mogłoby dotyczyć mieszkańców Paryża.

Kilka minut po przybyciu do klasztoru siostry udały się z krótką wizytą do przeoryszy – jak musiały czynić wszystkie powracające dziewczęta. Otworzyły drzwi i zanim służąca zdążyła wyprosić je z pokoju, udało im się dostrzec zakonnicę bez opaski. W miejscu straconego oka widniała czarna szczelina. Powieki były zszyte ze sobą, a blizny tworzyły coś na kształt grubych, białych rzęs. Dziewczynki wycofały się zszokowane i pobiegły do swojej sypialni, gdzie Delphine zwymiotowała do miski, a Lili dostała suchych torsji, od których rozbolał ją brzuch.

Mimo to Lili powiedziała Delphine (kiedy już zdążyła sobie wszystko przemyśleć), że nie powinny oskarżać o wszystko przeoryszy, bo przecież to nie jej wina, że nie ma oka.

– Wiem – odparła Delphine – ale mimo wszystko mogłaby coś zrobić, żeby nie szokować tak bardzo innych.

– Może powinna zakładać kaptur, który zasłaniałby jej całą twarz oprócz zdrowego oka – zasugerowała Lili. Zażartowała, ale Delphine brała na poważnie wszystkie jej pomysły, włącznie z noszeniem migoczącego woalu na podobieństwo kobiet z haremu. Lili musiała dać siostrze wyraźnie do zrozumienia, jak mało prawdopodobne byłoby takie rozwiązanie dla zakonnicy.

W końcu Delphine porzuciła temat.

– Wiem tylko, że nigdy nie dopuściłabym, żeby coś podobnego przytrafiło się mnie – oznajmiła, dotykając czule swoich oczu. – Prędzej bym chyba umarła. A ty?

Lili nie odpowiedziała. Zastanawiała się przez chwilę, czy utrata oka może dodać komuś tajemniczości albo obdarzyć magiczną mocą, która rekompensowałaby stratę. „Może to jest prawdziwy powód, dla którego siostra przełożona budzi takie przerażenie – pomyślała. – Posiada moc, o jakiej nic nie wiemy".

– Poczekamy, zobaczymy – odparła w końcu. – Lepiej poczekać i samemu się przekonać, jak bardzo człowiek może być zdesperowany.

JESZCZE TEGO SAMEGO DNIA po południu Lili i Delphine udały się wraz z kilkoma innymi dziewczętami do sali szkolnej. Jej ściany wyłożono drewnem, a z dużych okien roztaczał się widok na trawnik otoczony rzędem zadbanych kwiatów i starannie przyciętych żywopłotów. Siostra Thérèse, katechetka, kartkowała jedną z ksiąg w skórzanej oprawie, pochodzącą ze zdobionej rzeźbieniami biblioteczki.

– Dzień dobry, madame – przywitała się każda z dziewczynek przed zajęciem swojego miejsca na jednej z kozetek ustawionych przy kominku.

– *Bien* – rzekła zakonnica w średnim wieku, podchodząc do swojego fotela. Nie usiadła na nim jednak. – Pomódlmy się teraz.

Wstawszy niezwłocznie, dziewczęta się przeżegnały. Lili usłyszała, jak Delphine tłumi beknięcie po dopiero skończonym obiedzie. – *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen* – wymruczały pod nosem, a następnie przeszły do recytowania *Ave Maria* i *Pater noster*. Potem siostra Thérèse gestem poleciła uczennicom, żeby usiadły, sama zaś zajęła miejsce w fotelu naprzeciwko nich i otworzyła książkę.

– Dziś jest dzień świętej Solangii – oznajmiła, spoglądając na dziewczęta sponad okularów. – Czy któraś z was zechciałaby nam powiedzieć, kim była ta męczennica?

Delphine wyprostowała plecy tak szybko, że Lili obawiała się przez moment, czy dziewczyna nie odfrunie.

– Była pasterką w majątku hrabiego Poitiers, który miał złego syna – wyrzuciła z siebie Delphine i choć jej nogi skryte były pod spódnicą, tak gwałtownie nimi szarpnęła, że Lili poczuła ich ruch na swoim udzie.

– Moje panny, proszę czekać, aż udzielę którejś głosu – pouczyła ją zakonnica. – I nie należy mówić tak szybko. Taka ekscytacja w głosie jest niestosowna.

– *Oui,* siostro Thérèse – rzekła Delphine, wbijając wzrok w kolana. – Święta Solangia ślubowała czystość, bo tak bardzo oddała się Bogu, a kiedy okropny syn hrabiego, Bernard, próbował... próbował...

– Próbował się jej narzucać – podsunęła zakonnica.

– *Oui,* siostro Thérèse. Kiedy próbował właśnie to zrobić, opierała się mu z całych sił, więc ją zabił.

Siostra Thérèse zmarszczyła brwi.

– Czy ktoś jeszcze czuje, że może opowiedzieć tę historię z powagą, której ona wymaga?

Lili poczuła, jak zaskoczona Delphine gwałtownie siada. Wiedziała, że kiedy wrócą do pokoju, siostra zaleje się łzami.

„Co powiedziałam źle? – zapyta z pewnością. – Czy nie znałam całej historii? Czy nie dość mnie obchodziła ta głupia święta?".

– Mademoiselle de Praslin – odezwała się zakonnica – czy będziesz tak uprzejma i opowiesz nam, co się stało, w sposób, jaki przystoi damie?

Delphine położyła dłoń na kanapie pomiędzy sobą a Lili. Lili uczyniła to samo i zacisnąwszy splecione palce, dziewczynki wbiły wzrok w podłogę, podczas gdy Anne-Mathilde de Praslin przemawiała. Anne-Mathilde była córką księcia de Praslin, jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi we Francji. Skończyła dwanaście lat, była dwa lata starsza od Lili i Delphine, a jej ciało zaczynało nabierać kobiecych kształtów. Miała włosy barwy złota i piękną skórę, jasną i delikatną niczym kość słoniowa – tak gładką, jakby nie należała do człowieka.

Lili podsłuchała kiedyś uwagę zakonnicy: „Idealna piękność. Panna młoda godna największych możnych Francji".

Delphine nie lubiła siostry Thérèse, ale Anne-Mathilde wręcz nienawidziła, a Lili, gdy były same w ciemnym zakątku sypialni, jeszcze podsycała to uczucie.

– Bernard wielokrotnie próbował pochwycić Solangię i przycisnąć ją do ziemi – powiedziała Anne-Mathilde umyślnie melodyjnym głosem, rzucając Delphine triumfalne spojrzenie, co zdołała dostrzec tylko Lili. – Ale Solangia modliła się do Przenajświętszej Panienki, która dodawała jej sił w walce z napastnikiem. Bernard był wściekły nie tylko dlatego, że nie mógł posiąść dziewczyny, ale również dlatego, że ośmieszyła go przed przyjaciółmi.

Najlepsza przyjaciółka Anne-Mathilde, Joséphine de

Maurepas, skinęła potakująco głową.

– Jeśli mogę dodać jeden szczegół... – zaczęła słodkim głosikiem i Lili z trudem powstrzymała chęć złapania jej za włosy i wykręcenia ich do bólu. Joséphine miała dwanaście lat, jak Anne-Mathilde, wyglądała jednak tak mizernie, że trudno było sobie wyobrazić, by kiedykolwiek wyrosła na kobietę. Nijaki, szarawy brąz włosów Joséphine i sposób, w jaki przemykała po korytarzach zawsze w cieniu swojej przyjaciółki, przywodziły Lili na myśl małe myszki, które pomywaczki przeganiały z domu miotłą.

– Chciałam wszystkim nam przypomnieć, że raz Bernard spadł z konia, kiedy się schylił i próbował wciągnąć Solangię na grzbiet rumaka – powiedziała Joséphine. – Spaść z konia przez jakąś chłopkę...? – zaintonowała pytająco na koniec, jakby chciała się upewnić, czy ktokolwiek naprawdę potrzebował dalszych wyjaśnień.

Siostra Thérèse z aprobatą skinęła głową.

– A teraz, Stanislas-Adélaïde – rzekła, mrużąc oczy – czy opowiesz nam zakończenie tej historii?

„Mogłam się domyślić, że siostra Thérèse to zrobi" – przyszło Lili do głowy. Delphine została ośmieszona, a teraz Lili miała opowiedzieć ulubiony przez siostrę fragment historii. Lili cofnęła rękę i pogładziła się nią po uchu, co stanowiło sekretny sygnał. Dziewczynki wymyśliły go, żeby ostrzegać się nawzajem, że należy zachować poważną minę bez względu na słowa, które zaraz padną.

– Oczywiście, mogę to uczynić, siostro Thérèse – odezwała się Lili, naśladując przymilny ton Anne-Mathilde i Joséphine – ponieważ w domu często omawiamy z mademoiselle de Bercy ważne przesłanie o pobożności, jakie ta historia niesie dziewczętom w naszym wieku. – „Kłamstwo jest niewielkim grzechem – dodała w myślach – zwłaszcza jeśli robię to dla Delphine". – Wszelako zakończenie tej opowieści przemawia do mnie szczególnie wtedy, kiedy opowiada je Delphine, a z tego co wiem, moje koleżanki nie miały okazji jej posłuchać. Czy mogłabym prosić, by to właśnie ona skończyła tę historię?

Lili usłyszała szelest sukni Anne-Mathilde i Joséphine. Bez patrzenia wiedziała, że ich twarze promieniały w oczekiwaniu na kolejne upokorzenie koleżanki. Siostra Thérèse spoglądała przez chwilę na Lili, po czym się odezwała:

– Jeśli mademoiselle uważa, że zdoła zapanować nad głosem i pohamować ekscytację... – Uniosła pytająco brwi i zwróciła się do Delphine.

– Bernard ściął jej głowę – zaczęła Delphine. – Jednak nawet z głową leżącą na ziemi zdołała wezwać imię Boga trzy razy. – Choć głos Delphine wydawał się spokojny i dystyngowany, Lili rozpoznała w nim nutę zniechęcenia. W domu, z dala od krytycznych spojrzeń zakonnic, Delphine wstałaby i poklepała się po ramionach i szyi, jakby zdezorientowana, że nie ma tam głowy. „*Mon Dieu*" – powiedziałaby donośnym głosem, a następnie powtórzyłaby okrzyk, już bardziej tęsknym tonem, i osunęłaby się na podłogę. „*Mon Dieu*" – szepnęłaby po raz trzeci, błądząc po omacku dłońmi po posadzce, dopóki nie znalazłaby swojej głowy i jej nie podniosła.

– Wtedy Solangia udała się do miasta – mówiła zamiast tego Delphine. – Dopiero kiedy dotarła do kościoła, upadła na ziemię i umarła.

– Chwała niech będzie Panu – mruknęła siostra Thérèse pod nosem i wszystkie uczyniły znak krzyża.

– Czy teraz lepiej mi poszło? – zapytała Delphine z nadzieją.

– Zauważyłam poprawę – oznajmiła zakonnica. – Jednak młodej damie nie przystoi błagać o aprobatę. – Anne-Mathilde i Joséphine zachichotały pod nosem, zakrywając usta dłońmi.

– Rozumiem – rzekła Delphine. Lili usłyszała drżenie w jej głosie. – Z całego serca pragnę poprawy – dodała. Lili zerknęła na nią ukradkiem, żeby sprawdzić, czy dotyka ucha, ale nie dotykała.

– I z Bożą pomocą uda ci się, moje dziecko – odparła siostra Thérèse. – Z Bożą pomocą, z głęboką wiarą w sercu wszystko jest możliwe. – Zakonnica się przeżegnała. – A teraz spójrzmy tylko na naszą świętą Solangię.

– *Oui,* siostro Thérèse. – Kątem oka Lili dostrzegła Delphine robiącą znak krzyża. Natychmiast uczyniła to samo, ale zbyt szybko, więc po chwili zrobiła to drugi raz – tak na wszelki wypadek.

PŁACZ DELPHINE zastąpiły pociągnięcia nosa, a potem delikatne chrapanie. Świeca wciąż paliła się w sypialni i Lili sięgnęła po księgę baśni, by uspokoić umysł przed snem.

„Dawno, dawno temu żyli sobie król i królowa. Sprawowali tak

złe rządy, że w końcu stracili swoje królestwo, a ich trzy córki musiały zacząć pracować". Historia Finette Cendron należała do ulubionych Lili, jednak dziś żadna z opowieści w książce nie zdołała jej pochłonąć.

Podeszła do biurka i wzięła kartkę papieru, prawie całą zapełnioną ćwiczeniami z kaligrafii. „Mogłabym sama spróbować napisać jakąś historię" – pomyślała. Umoczyła pióro w kałamarzu, zmrużyła oczy w przyćmionym świetle i rozpoczęła.

– Pewnego razu...

„Pewnego razu: co?" – zastanawiała się przez chwilę i nagle wszystko ułożyło jej się w głowie.

– Pewnego razu w ponurej wiosce żyła sobie dziewczynka, która najbardziej na świecie chciała podróżować do gwiazd. Na imię miała...

Lili znów się zamyśliła. Mogłaby nazwać swoją bohaterkę Delphine i wpleść w opowieść kilka sukienek, ale nie chciała tego robić. Skreśliła trzy ostatnie słowa i znów zmoczyła pióro.

„Jej śmiech przypominał trel ptaka, dlatego wszyscy nazywali ją Świergotką – napisała. – Co noc Świergotka wymykała się z domu, pragnąc z całych sił, żeby jej marzenie się spełniło. Była zdumiona, gdy pewnej nocy pojawił się przed nią rumak cały z gwiezdnego pyłu.

– Czy ty jesteś dziewczynką, którą zwą Świergotką? – zapytał rumak. Kiedy przytaknęła, rumak parsknął i stanął dęba. – Nazywam się Comète – powiedział. – Wsiądź na mój grzbiet.

Zanim dziewczynka zdążyła się zorientować, Comète galopował już ku niebu, pozostawiając za sobą gwiezdny ślad za każdym razem, gdy jego kopyta muskały chmury".

Od słabego światła Lili zapiekły oczy. Będzie musiała przestać. Zanurzywszy pióro w atramencie po raz ostatni, napisała dużymi literami u góry strony: „Świergotka, autorstwa S.-A. du Châtelet".

Emilie

1716

Gabrielle-Emilie!

Emilie de Breteuil zatrzymała się w drzwiach do jadalni i spojrzała w stronę, z której dobiegał gniewny głos matki. „Cóż takiego zrobiłam? – pomyślała. – Pewnie pasmo włosów wypadło mi z upięcia". Podniosła rękę, żeby staranniej umocować szpilki w ciemnych puklach, ale teraz i tak było za późno, by uniknąć jutrzejszej połajanki.

– Przepraszam, madame. Zaczytałam się i nie zdążyłam odpowiednio się przygotować do kolacji.

Gabrielle-Anne Froullay du Châtelet nie zniżyłaby się do zmarszczenia brwi przy gościach, ale jej dziesięcioletnia córka czuła na sobie przeszywające spojrzenie matki, docierające poprzez migotliwy blask świec. Służący umieścił na talerzu Emilie mały kawałek kaczki *confit* oraz porcję marynowanych warzyw. Pozostali kończyli już pierwsze danie i gość powrócił do rozmowy z ojcem Emilie, Louisem-Nicolasem.

– Wszechświat jest tak ogromny – mówił Bernard de Fontenelle – że białe pasmo na niebie to tak naprawdę miliony gwiazd i niektóre z nich są wielkości naszego Słońca. – Zwrócił się do Emilie, unosząc protekcjonalnie brew. – Wiedziałaś o tym?

Emilie skinęła potakująco głową.

– Jest o tym napisane w książce, którą czytamy z papą. – Odłożyła widelec. – Czy według pana to możliwe, żeby tysiące gwiazd miało swoje planety kręcące się wokół nich? Skoro dzieje się tak w przypadku naszego Słońca, czy według prawa natury nie powinno być tak samo w każdym innym miejscu we wszechświecie, gdzie istnieją podobne warunki? – Musnęła dłonią oparty o talerz widelec, który spadł z brzękiem na stół razem z brązowym kawałkiem kaczki. Emilie w roztargnieniu odłożyła mięso palcami z powrotem na talerz.

Na ustach Fontenelle'a zaigrał uśmiech. Jego przyjaciel Louis-Nicolas powiedział mu, że Emilie to bystra dziewczynka, pochłaniająca wiedzę z taką szybkością, z jaką magnes przyciąga metalowe opiłki. Jednak córka Louisa-Nicolasa najwyraźniej nie tylko gromadziła fakty w swojej główce. Mała zadawała pytania – i to te właściwe.

– Owszem, jestem pewny, że tak właśnie jest – ciągnął. – Monsieur Newton przedstawił przekonującą argumentację w kwestii praw przyciągania i moim zdaniem jego praca udowadnia, że nasza wiedza może być nieskończona, jeśli poświęcimy się nauce z takim zaangażowaniem jak on. Uważam na przykład, że niedługo będziemy w stanie określić z matematyczną precyzją, z czego są złożone odległe planety, a nawet ile ważą.

Gabrielle-Anne zadzwoniła dzwoneczkiem, by służba uprzątnęła talerze i podała kolejne danie.

– Moja córka powinna się poświęcać zgoła innym rzeczom – stwierdziła. – Nalegam, by zmienić temat.

Twarzyczka Emilie się rozpromieniła. Jej kolejny temat z pewnością bardzo różnił się od poprzedniego.

– Monsieur Fontenelle, czy uważa pan, że Bóg rozsiał istnienie po całym wszechświecie?

Ta dyskusja zmierzała w złym kierunku. Gabrielle-Anne spiorunowała męża wzrokiem. Gdyby jej się nie sprzeciwił, Emilie już dawno znalazłaby się w klasztorze. Tam wybiliby jej z głowy te nonsensy. Jaki mąż wytrzyma z taką żoną? Jednak Louis-Nicolas przepadał za rozmowami z córką i chciał ją mieć przy sobie. Poza tym pozwalał jej na wiele – wystarczyło spojrzeć na Emilie i monsieur Fontenelle'a. Dziewczynka zachowywała się tak, jakby nikogo innego nie było przy stole. To nie dojrzałość

ponad wiek, tylko zwykła impertynencja. „Trzeba z tym skończyć” – postanowiła w myślach Gabrielle-Anne.

2

1760

Jedyną zaletą klasztoru jest to – pomyślała Lili – że chroni mnie przed baronową Lomont". Zawsze kiedy Lili przebywała w Hôtel Bercy więcej niż kilka dni, nieuchronnie zjawiała się lektyka, by zabrać ją z wizytą na Île Saint-Louis do Hôtel Lomont. Pewnego jesiennego poranka, niedługo po swoich jedenastych urodzinach, Lili stawiła się w miejskiej posiadłości baronowej, by przy okazji zwykłego śniadania przejść kolejny egzamin.

– Powiedz mi, Stanislas-Adélaïde, czego nauczyłaś się w tym tygodniu na lekcjach katechizmu? – Siedząca naprzeciwko Lili baronowa Lomont wysunęła nieco kościsty podbródek, jakby miało to jej umożliwić przechwycenie heretyckich myśli, zanim dotrą do ucha Boga.

Baronowa ułamała maleńki kawałek chleba i ostentacyjnie włożyła go sobie do ust, dając przykład swoimi manierami. „Chleba – jak często powtarzała, pouczając Lili – nie powinno się kroić przy stole, a jedynie odrywać go po kawałku, w ten właśnie sposób". Tylko nieświeże pieczywo wymagało użycia noża, a dobra gospodyni winna serwować wyłącznie świeże bochenki. Nade wszystko zaś nie należało zdradzać głodu poprzez odrywanie kawałka chleba zębami, bo takie zachowanie świadczyło

o plebejskim pochodzeniu.

– Prawdziwa chrześcijańska cnota wypływa z miłości i jej jedynym celem jest dążenie do miłości – wyrecytowała Lili, wkładając do ust tak maleńki kawałek chleba, że rozpuścił się jej na języku, zanim zdążyła go przełknąć. „Dobrze, że Corinne podała mi śniadanie przed wyjściem – pomyślała – bo nie wezmę przyzwoitego kęsa aż do powrotu do domu na obiad".

Baronowa Lomont pochyliła sztywne plecy do przodu na tyle, na ile pozwalał jej ciasno zawiązany gorset. Lili podczas bytności u Julie de Bercy była z pewnością narażona na widok gości pozbawionych dobrych manier i dlatego baronowa musiała świecić przykładem. Sama wspominała o tym Lili, wielokrotnie podkreślając, jak wyczerpujące było dla niej – szczególnie że cierpiała na prawie wszystkie przypadłości, które mogły nękać kobietę po sześćdziesiątce – wypełnianie swojego obowiązku nie tylko wobec Lili, ale wobec Francji.

I oczywiście wobec Boga.

– Jakie znaczenie dla ciebie mają te słowa, moje drogie dziecko? – zapytała baronowa, mocno akcentując ostatnie słowo. Chciała w ten sposób przekazać, że oczekuje uprzejmej odpowiedzi, będącej podstawą konwersacji na wysokim poziomie.

– Zdaniem siostry Thérèse oznacza to, że powinnyśmy okazywać naszą dezaprobatę grzesznikom, żeby zachęcić ich w ten sposób do powrotu na łono Kościoła – odparła Lili. – Ponieważ to jedyna droga do zbawienia, siostra twierdzi, że pomagamy ocalić dusze tych, których kochamy, kiedy odrzucamy ich naganne pomysły i zachowanie, nawet jeśli oni nie doceniają naszych starań.

– A jakie jest twoje zdanie na ten temat?

– Trudno mi się spierać z podobnym rozumowaniem – odparła Lili, wzruszając ramionami.

– Moja droga, spieranie się na jakiekolwiek tematy jest zachowaniem wielce nieatrakcyjnym. – Baronowa zadzwoniła maleńkim dzwoneczkiem i przy stole natychmiast pojawił się służący. – Możesz nam podać jajka – oznajmiła, po czym zwróciła się z powrotem do Lili. – Młoda dama nie powinna kierować się własnym rozumowaniem, ale chłonąć nauki Kościoła i należycie je zapamiętać. Dobrze wychowana dziewczynka zawsze myśli o wrażeniu, jakie pozostawia. Możesz nie być tego świadoma, ale dobre rodziny przyglądają się już panienkom w twoim wieku

w poszukiwaniu odpowiednich kandydatek na przyszłe żony dla swoich synów.

– *Oui, madame.* Próbowałam powiedzieć, że doszłam do tych samych wniosków co siostra Thérèse – skłamała Lili. – Przepraszam, że wysłowiłam się tak niejasno.

– Umiejętne wysławianie się stanowi istotę uprzejmej konwersacji – ciągnęła baronowa Lomont. – Musisz zadać sobie pytanie, kogo mogą dotknąć twoje słowa, i dołożyć wszelkich starań, by nikogo nie urazić. Kobiety uznawane za czarujące rzadko odkrywają swoje prawdziwe myśli. Największą przyjemność z konwersacji czerpią wtedy, kiedy dzięki nim mężczyzna sprawia wrażenie inteligentnego, nawet jeśli taki nie jest. Najbardziej doceniane rozmówczynie pozwalają innym mówić i nie skupiają całej uwagi na sobie. – Baronowa niemal bezgłośnie odkroiła nożem czubek jajka. – Widziałaś, że wystarczy jedno maleńkie uderzenie?

Lili stuknęła w skorupkę trochę za mocno i małe kropelki żółtka ochlapały jej dłoń. Zwykle pozbawioną wyrazu twarz baronowej wykrzywił grymas dezaprobaty. Lili wydęła wargi i poklepała po palcach serwetką, wykazując się – jak miała nadzieję – elegancją i delikatnością.

„Znów jestem niemożliwa – przemknęło Lili przez myśl. – Może wreszcie da sobie ze mną spokój". Przyłożyła serwetkę do ust, żeby skryć za nią uśmiech. „Czyż to nie byłoby wspaniałe?".

– CZY WIZYTA U BARONOWEJ BYŁA UDANA? – zapytała Julie de Bercy tego samego popołudnia przy obiedzie.

Delphine zachichotała pod nosem.

– Nienawidzę tam jeździć – odparła Lili, gwałtownie kręcąc głową.

– Ach – westchnęła Julie. Jej obfity biust wzniósł się i opadł ciężko pod luźno zasznurowaną suknią. – Lepiej zarezerwować nienawiść dla rzeczy gorszych od zwykłego dyskomfortu. Wygląda na to, że przeżyłaś. – Jej głos był tak uroczy, że determinacja, z jaką Lili tkwiła w urazie, nagle zniknęła i dziewczynka pospiesznie sięgnęła po serwetkę, by powstrzymać wybuch łez.

– Nie serwetką, *ma chérie* – rzekła Julie, po czym wyciągnęła z gorsetu koronkową chusteczkę perfumowaną lawendą i podała ją Lili. – To doprowadziłoby baronową do wściekłości!

– Im jestem głupsza, tym bardziej mnie lubi. – Lili pociągnęła

nosem. – Ona jest po prostu okropna, *maman*!

– Może potrzebujesz lekcji głupoty! – wtrąciła Delphine. – Przepraszam, panie księgarzu, ma pan coś o tym, jak zostać tumanem? Mademoiselle potrzebuje pańskiej pomocy!

Julie zaśmiała się z dziewczynkami, jednak szybko spoważniała.

– Na tego typu uwagi możemy sobie pozwolić, kiedy jesteśmy tylko we trzy, ale nie wolno wam zapominać o dobrych manierach.

– Tak, *maman* – powiedziała Lili. – Tylko że nasze wizyty w domu i rozmowy z tobą to jedyne chwile, kiedy dobrze się bawimy.

Julie spojrzała na Lili i pogłaskała ją po dłoni.

– Wiem, że nie jest wam łatwo w klasztorze, a Lili dodatkowo musi się przejmować baronową Lomont, ale z czasem sytuacja się poprawi. Pewnego dnia staniecie się dorosłymi kobietami, a wasi mężowie będą na tyle mądrzy, by nie przeszkadzać wam w ulubionych zajęciach. Przynajmniej taką mam nadzieję.

Julie rzadko mówiła o swoim mężu, Alphonsie de Bercy – był on oficerem w armii króla Ludwika i zmarł wkrótce po narodzinach Delphine, kiedy tyfus zaatakował jego pułk – jednak za każdym razem, gdy temat schodził na mężów, zwyczajowy dobry nastrój Hôtel Bercy znikał.

Wszystkie trzy wpatrywały się przez chwilę w resztki na swoich talerzach, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Ciszę przerwała Delphine.

– Czy chciałabyś, żebym dla ciebie zagrała, *maman*?

Panie wstały od stołu i skierowały się do saloniku muzycznego. Delikatne zielone wzory roślinne na boazerii dopełniała lśniąca jedwabna tapicerka na krzesłach, a stiukowe płaskorzeźby skrzypiec na radosnych, cytrynowożółtych panelach ściennych czyniły to pomieszczenie najbardziej lubianym przez wszystkich w całym domu. Delphine zajęła miejsce przed niewielkim fortepianem, a *maman* usiadła na stołeczku obok pozłacanej harfy.

Julie miała przepiękny głos – miękki i subtelny niczym blask kominka, i w niektóre wieczory we trzy grały i śpiewały, dopóki zmęczenie nie pozbawiło ich sił. Dziś jednak po kilku piosenkach Delphine wcisnęła mocno palce w klawisze i gwałtowny dźwięk zburzył cały nastrój.

– Smutno mi, że nie mam papy – westchnęła Delphine. – Nie

potrafię teraz myśleć o niczym innym.

„Papa – pomyślała Lili. – Nie wiem, która z nas ma lepiej – ojciec Delphine zmarł dawno temu, a mój nigdy mnie nawet nie odwiedził".

– Tak – odezwała się Julie. – Domyśliłam się, *ma chérie*. – Spojrzała czule na Lili. – I wiem też, co poprawi nam humor. Może powiesz, co słychać u Świergotki?

– O, tak! – Melancholijny nastrój Delphine zniknął natychmiast. – Widziałam, jak zapisujesz całe stronice, a po prostu muszę wiedzieć, jak Świergotka uciekła Pajęczemu Królowi!

Maman odgarnęła Lili włosy z oczu i pocałowała ją w czoło.

– Zechcesz to zrobić, *ma chérie*?

Lili podskoczyła zadowolona, że niektóre rzeczy, takie jak posiedzenia z *maman* i Delphine nad Świergotką, nie są tak męczące jak jajka z baronową Lomont ani też tak bolesne jak wspomnienie o ojcu, którego w ogóle nie obchodziła.

1761

PLACE ROYALE, przy którym stał Hôtel Bercy, był jednym z nielicznych miejsc w Paryżu odpowiednim na spacery. Nawet w ogrodach Tuileries roiło się od żebraków i złodziei, a powietrze zgęstniało od odoru śmieci. W słoneczne, przyjemne popołudnia ci, którzy mieszkali za symetrycznymi posiadłościami z arkadowymi krużgankami otaczającymi cztery boki placu, mogli pozostawić swoje lektyki używane do odwiedzania przyjaciół w innych rejonach miasta, i pieszo przejść przez spokojny ogród.

W pewien jasny, zimowy dzień Lili wsunęła dłoń pod rękę *maman*, kiedy wracały z wizyty u jednej z przyjaciółek Julie. Delphine obudziła się tego poranka z bolącym gardłem i została w łóżku z Tintinem dla towarzystwa. Ani Lili, ani *maman* nie spieszyło się do domu, więc wykorzystywały każdy pretekst, żeby się zatrzymać – a to przyglądały się ptaszkowi, który ćwierkał z ukrytej gałęzi kasztanowca, a to pytały napotkaną znajomą o samopoczucie chorej matki.

– Uważaj, ty świnio! – rozległ się głos od strony ulicy. Lili i Julie stały właśnie pośrodku placu, przy pomniku Ludwika XIV. Julie przycisnęła do boku rękę Lili i obie zwróciły się w stronę, z której dochodziły gniewne krzyki. Pomiędzy drzewami Lili

zdołała dostrzec mężczyznę w prostym płaszczu i kapeluszu kupca, który z trudem utrzymywał się na nogach, podczas gdy dwaj inni, ubrani po wielkopańsku, bili go po ramionach i plecach swoimi laskami.

– Jak śmiesz niepokoić madame de Martigny?! – krzyczał jeden z nich, zadając cios, który powalił mężczyznę na kolana.

– Przyszedłem tylko odebrać swój dług! – zawołał mężczyzna. – Moja rodzina przymiera głodem, a madame jest mi winna ponad trzysta ludwików za suknie, które jej uszyłem!

Jeden z oprawców złapał kupca za kołnierz i postawił na nogi.

– Powinieneś się cieszyć, że nie kazaliśmy cię wtrącić do Bastylii! Wynoś się stąd i więcej nie wracaj! – To rzekłszy, pchnął krawca tak mocno, że ten padł na kolana. Zdołał jednak jakoś dowlec się do bocznej uliczki pomiędzy rezydencjami i szybko zniknął im z oczu.

Lili podążyła wzrokiem za dwoma mężczyznami, którzy krocząc powoli wzdłuż ulicy de l'Écharpe, oddalili się od placu. Wyglądali tak, jakby porachowanie komuś kości stanowiło dla nich chleb powszedni.

– *Maman*, o co tu chodziło?

Julie odwróciła wzrok od miejsca zajścia i ruszyła w stronę Hôtel Bercy, wciąż ściskając Lili za łokieć.

– To naprawdę potworne – powiedziała. – Ludzie nabijają wysokie rachunki w sklepach takich kupców jak tamten człowiek, a potem nie myślą nawet o ich spłacie. – Prychnęła z pogardą. – Nie zdziwiłabym się, gdyby madame de Martigny wróciła do tamtego sklepu w przyszłym tygodniu, oczekując, że krawiec przyjmie od niej kolejne zamówienie.

– Po co miałby to robić?

– Mógłby pomyśleć, że takie zachowanie klientki zwiększa szanse na spłatę długu – odparła Julie. – Madame de Martigny może w tym momencie brakować funduszy – albo przez długi karciane, a może pożyczyła komuś, kto jeszcze jej nie oddał, czy też straciła jakieś źródło przychodów – w grę może wchodzić wiele rzeczy. I całkiem prawdopodobne, że planuje spłacić dług, choć wiele kobiet, które znam, prędzej uległoby pokusie zamówienia nowych kreacji u kogoś innego niż zapłacenia za te już noszone.

Drażliwy temat sprawił, że Julie przyspieszyła kroku i wkrótce panie znalazły się po przeciwległej stronie placu.

– Ludzie wysokiego stanu zwykle zachowują się honorowo

w stosunku do siebie nawzajem, jeśli chodzi o długi – ciągnęła, skręcając w ulicę biegnącą wzdłuż arkad w stronę domu. – Jednak ci, którzy wykonują prawdziwą pracę... – Wskazała podbródkiem miejsce, gdzie doszło do pobicia. – Sama widziałaś, jak są traktowani.

– Mogło być gorzej – dodała, zatrzymując się przed Hôtel Bercy. – Mogli uprzeć się, żeby wtrącono go do więzienia za znieważenie francuskiej arystokracji. Wtedy dopiero jego rodzina by cierpiała. – Pokazała na drzwi. – To trudne prawdy – rzekła. – O nich lepiej mówić w środku.

ZAJRZAWSZY DO DELPHINE, Lili udała się do salonu, gdzie *maman* poprosiła o herbatę i ciasto dla poprawy humoru. Jednak dziewczynka siedziała z kamienną twarzą, nie biorąc niczego do ust.

– W klasztorze mówią nam, że chrześcijańska cnota wypływa z miłości i jej jedynym celem jest dążenie do miłości – powiedziała. – Czy ci mężczyźni byli chrześcijanami, *maman*?

„Może to muzułmanie albo żydzi?" – przemknęło jej przez głowę. Choć Lili nigdy nie widziała wyznawców innych religii, to nasłuchała się od zakonnic o ich plugawych zamiarach w stosunku do każdej dobrej chrześcijanki.

– Oczywiście, że to chrześcijanie. Przynajmniej w takim sensie, że chodzą na msze na tyle często, by nie ryzykować dezaprobaty ze strony swoich żon i spowiadają się, kiedy tylko któryś z ich uczynków może mieć nieprzyjemne konsekwencje.

– Ale czy nie wiedzą, że chrześcijanie powinni miłować bliźnich?

– Obawiam się, że dla niektórych słowo „bliźni" obejmuje bardzo wąską grupę ludzi.

Lili zamyśliła się.

– Baronowa Lomont mówi, że wszystko, czego naucza Kościół, pochodzi prosto od Boga – rzekła dziewczynka – i że muszę podporządkować się Jego woli, jeśli pewnego dnia chcę zostać dobrą żoną i matką.

– Nie wątpię, że powiedziała coś podobnego. A co ty o tym myślisz?

Lili się skrzywiła.

– Baronowa twierdzi, że powinnam mniej myśleć. A przynajmniej rzadziej się sprzeczać i nie wyrażać własnego

zdania. Powiedziała, że nikt nie zechce się ze mną ożenić, jeśli ciągle będę zwracać na siebie uwagę.

Policzki Julie zapłonęły.

– Cóż... Radziłabym nie wspominać o tym baronowej Lomont – rzekła – ale ja uważam pomysły twoje i Delphine za wasze najwspanialsze skarby. I jeśli kiedyś postanowisz więcej nie myśleć, równie dobrze możesz od razu przenieść się do baronowej. Jestem pewna, że jej pełna aprobata sprawi ci przyjemność. – Uśmiechnęła się, widząc konsternację na twarzy dziewczynki. – Próbowałam żartować – dodała. – Oczywiście, że zostajesz tutaj ze swoimi myślami i ze wszystkim innym. – Julie wstała. – A może zejdziesz dziś wieczorem do mojego salonu? Delphine niechaj też przyjdzie, jeśli się lepiej poczuje. Sądzę, że pewne sprawy nabiorą jasności, jeśli będziesz miała okazję przedyskutować je z moimi gośćmi. Jednego w szczególności chciałabym ci przedstawić, zanim wyjedzie z Paryża.

W drzwiach pojawił się służący z kuchni i stał przez chwilę w milczeniu, oczekując uwagi.

– Muszę dopilnować kolacji – oświadczyła *maman* – a ty powinnaś włożyć jakąś ładną sukienkę i poprosić Corinne, żeby cię odpowiednio uczesała. – Julie podeszła do służącego, ale na odchodnym zerknęła przez ramię w stronę Lili. – Tylko nie zapomnij zabrać ze sobą rozumu.

Emilie

1721

Co zrobiła?! – Gabrielle-Anne Breteuil odwróciła się i spojrzała mężowi w twarz.

– Emilie wydała połowę swojej wygranej w tryktraka na książki – powtórzył Louis-Nicolas. – Ale przynajmniej same porządne pozycje – głównie traktaty naukowe i matematyczne.

– Nie obchodzi mnie, jak bardzo są porządne. Nie sądzisz chyba, że gospodarz będzie rozbawiony tym, że nasza córka rezygnuje z gry, bo nie ma już pieniędzy do postawienia?

– Myślę, że piętnastoletnim dziewczynkom wybacza się prawie wszystko – odparł Louis-Nicolas.

Gabrielle-Anne się skrzywiła.

– Ale nie ich rodzicom. Nawet w tej chwili jesteśmy ośmieszani! Nie zapewniamy naszej córce wystarczających środków finansowych, więc musi się uciekać do hazardu, żeby kupić sobie to, czego pragnie? Mamy nieposłuszne dziecko, które za naszymi plecami robi, co zechce? Czy nic cię nie obchodzi, że inni mogą mówić o nas podobne rzeczy?

Gabrielle-Anne usiadła przy toaletce w swojej sypialni – był to najprostszy sposób na odwrócenie się do męża plecami – i zaczęła szczotkować włosy z taką gwałtownością, że srebrna oprawa

szczotki drapała ją po głowie.

– Zakłady są po to, żeby gra nie zanudziła cię na śmierć, a nie po to, by wygrywać pieniądze. Jak nasza córka może o tym nie wiedzieć?

Louis-Nicolas westchnął zrezygnowany.

– Dam jej kwotę, którą wydała, a następnym razem pójdę z nią i dopilnuję, żeby wszystko przegrała. – Zadumał się. – Powiedziała mi, że nie próbowała być zachłanna, ale nie potrafiła przegrać. Twierdzi, że rozumie, iż sprawianie wrażenia podekscytowanej pieniędzmi jest wielce niewłaściwe.

– Wątpię, czy Emilie rozumie cokolwiek, co ma jakieś znaczenie, odkąd zapełniłeś jej głowę głupotami.

Takie oskarżenia żona często ciskała w Louisa-Nicolasa, więc nauczył się puszczać je mimo uszu.

– Próbowałem jej wyjaśnić, że inteligencja jest postrzegana jako urocza u dziewczynki, lecz nie u młodej damy. Wielokrotnie powtarzałem jej, iż żaden porządny mężczyzna nie zdecyduje się na ożenek z kobietą, która spędza cały dzień z nosem w książkach. Za każdym razem odpowiada, że wolałaby książkę od mężczyzny. – Zamilkł na chwilę. – Popełniłem błąd, rozpieszczając ją. Przyznaję. Teraz muszę się z tobą zgodzić, że powinniśmy wysłać ją na dwór królewski i pozostawić na jakiś czas w Wersalu, by nauczyła się dobrych manier.

Słysząc wreszcie miłe dla uszu słowa, Gabrielle-Anne zwróciła twarz do męża.

– I musimy postawić sprawę jasno: podczas pobytu na dworze ma przyciągnąć choć jednego odpowiedniego zalotnika. – Prychnęła. – Książki, doprawdy!

3

1761

Chcesz wiedzieć, jak dotrzeć do miłości? Do prawdziwej miłości? A nie do dobroczynności wynikającej z egoistycznych pobudek albo taniego sentymentalizmu? – Policzki Jeana-Jacques'a Rousseau oblały się purpurą, a z jego ust tryskały drobne kropelki śliny, gdy przemawiał do Lili w ustronnym kącie salonu. – Boskie światło jest w każdym z nas i tylko ci, którzy nie ulegną wygórowanym ambicjom i fałszywości, mogą doświadczyć miłości w sercu Boskiego stworzenia.

Choć Lili skończyła dopiero dwanaście lat, a żarliwość jej rozmówcy mogłaby przestraszyć nawet znacznie starsze osoby, dziewczynka przysunęła się do niego i spojrzała mu w oczy.

– Ale jak mogę nie ulec fałszywości, jeśli nie wiem, czym jest prawda?

– Rozum łatwo zwieść – powiedział, pukając się palcem w głowę. – Zacznij od podważania wszystkiego, w co nie chce wierzyć twoje serce. A jeśli poszukujesz prawdy, znajdziesz ją w naturalnym porządku rzeczy, a nie w katechizmie.

„Jak on może mówić coś tak niebezpiecznego? – przemknęło Lili przez myśl. – I tak ciekawego?".

– Owszem, to możliwe – powiedziała, spuszczając na moment

wzrok, by się zastanowić, po czym znów spojrzała na mężczyznę poważnymi, brązowymi oczami. – Ale sama nie jestem w stanie stwierdzić, czy teza Newtona o grawitacji jest prawdą, tak samo jak nie potrafię ustalić, czy Bóg odpoczywał siódmego dnia. Możemy się mylić również odnośnie do naturalnego porządku rzeczy, czyż nie?

Rousseau uśmiechnął się, wkładając za ucho szary kosmyk włosów.

– Jesteś jeszcze młoda, moja droga. Dzieci rozpoznają prawdę i podążają za nią, nawet jeśli nie do końca ją rozumieją. Strach i kary mają na celu jedynie wmówienie im fałszywych idei.

Poluzowana pineska od tapicerki boleśnie ukłuła Lili w palec i dopiero wtedy dziewczynka zdała sobie sprawę, że ściska kurczowo ramę krzesła. Puściła ją i złożyła ręce na kolanach.

– Wiele rzeczy, których uczą nas w klasztorze, wydaje mi się nielogicznych, ale siostry powtarzają nam, że ludzie, którzy w to nie wierzą, są potępieni. Nie boi się pan tego?

Rousseau potrząsnął głową.

– Prawda dyktuje, że nie może istnieć sprzeczność między prawem natury a religią. Jeśli się zderzają, oznacza to, że któraś się myli.

– Ale Kościół mówi, że istnieje tylko jedna prawdziwa wiara i odrzucanie jego nauk naraża duszę na potępienie. – „Złote wrota raju zamykające się przed nosem – przemknęło przez myśl Lili – upadek w ognie piekielne, demony o dzikim spojrzeniu łapiące ludzi za nogi, czy nic go to nie obchodzi?”.

– Jedna prawdziwa wiara! – syknął Rousseau z pogardą. – Każda religia jest słuszna, o ile czci Boga jako stwórcę. Tak musi czynić, ponieważ inaczej przeczyłaby wielkiej prawdzie leżącej u podłoża wszystkiego i rodziłaby tylko fałsz. Jedna wiara jest równa każdej innej, o ile uznaje za „moralne” to, co pozostaje w zgodzie z prawem natury, oraz szanuje godność i wolność człowieka. – Przeciął dłonią powietrze, żeby podkreślić wagę swych słów. – Żadnej fałszywej pobożności i żadnego: „Dzięki Ci, Boże, że uczyniłeś mnie lepszym od innych”. To największe marnotrawstwo ducha, jakie mogę sobie wyobrazić.

– A więc muzułmanie i żydzi nie są pogardzani przez Boga?

– A jak myślisz? – Rousseau pochylił się w jej stronę i zniżył głos niemal do szeptu.

– Nie znam żadnego – przyznała Lili.

– A gdybyś poznała?

– Chyba najpierw spróbowałabym spojrzeć na nich jak na ludzi. – Przed oczami stanął jej obraz kupca sponiewieranego przez dwóch arystokratów na placu, ale zanim Rousseau zdążył coś powiedzieć, podeszła do nich Julie i mężczyzna wstał na jej powitanie.

– Monsieur Rousseau – rzekła Julie głosem jednocześnie stanowczym i prowokującym. – Jestem pewna, że opowiedział pan Lili wspaniałe rzeczy o potrzebie wsłuchania się we własne serce – i bardzo chciałam, żeby je od pana usłyszała. Jednak mam nadzieję, że przypomina jej pan również o władzy, jaką inni sprawują nad życiem młodych, i przestrzega, by słuchając głosu serca, zawsze dwa razy się zastanowiła, zanim wypowie własne zdanie. Większość ludzi jest bowiem otwarta na coś zgoła innego od naturalnej, niczym niezmąconej prawdy. – Spojrzała z uwagą na siwego mężczyznę. – Czy nie mam racji?

– Niestety, ma ją pani – przyznał, potakując w stronę Lili z przewrotnym uśmiechem na ustach. – I zostałaś należycie ostrzeżona. – Nabrał prędko powietrza. – Niemal zapomniałem, że przyniosłem madame podarunek. – Odszedł na moment i powrócił z książką, którą wręczył Julie. – Dopiero została wydana.

– *Emil* – Julie przeczytała napis wytłoczony na skórzanej oprawie.

– Opowiada o tym, jak należy wychowywać dzieci. – Skinął głową w stronę Lili. – Myślę, że znajdzie w niej pani sporo zagadnień, które dziś poruszałem z *mademoiselle*.

– Jestem szczerze wzruszona – powiedziała Julie z westchnieniem, które zdradzało nie tylko rozmiary jej biustu, ale i wrażliwość serca ukrytego pod spodem. – Nie każdy ma zaszczyt otrzymać nowe dzieło z rąk jednego z najwybitniejszych literatów w całej Francji.

Wsunęła rękę pod ramię Lili.

– Teraz jednak muszę odprowadzić Lili do sypialni. Pomimo pańskich zapewnień, że taka edukacja jest zgubna – uśmiechnęła się przekornie – ta oto młoda dama wraca jutro do Abbaye de Panthémont.

Na wzmiankę o klasztorze Lili zrobiła kwaśną minę.

– Przez moment miałam wrażenie, że nasze rozważania unicestwiły klasztor raz na zawsze. Ale postaram się przemyśleć

pana słowa, kiedy tam będę. – Lili dygnęła grzecznie przed Rousseau, życzyła mu udanego wieczoru, po czym pocałowała *maman* w policzek i pobiegła po schodach na piętro, żeby sprawdzić, czy Delphine już zasnęła.

LILI MIAŁA PRAWDZIWY MĘTLIK W GŁOWIE, kiedy następnego ranka siedziała w powozie zmierzającym do Abbaye de Panthémont. Z początku spodobały jej się słowa monsieur Rousseau. Pocieszała ją świadomość, że jej własne idee mogły zawierać w sobie prawdę, nawet jeśli pozostawały w sprzeczności z naukami Kościoła. Jednak Rousseau posunął się za daleko. Katedra Notre Dame nie była zwykłą budowlą – była Domem Bożym, podobnie jak Abbaye de Panthémont. Nie zostały wzniesione, by chronić fałszywe idee. Sam ich rozmiar powinien stanowić odpowiedni dowód. Musiały czcić coś słusznego i prawdziwego. Po prostu musiały. „A co z tymi wszystkimi świętymi i ich makabryczną śmiercią? – zastanawiała się dziewczynka. – Byłoby nie w porządku, gdyby się okazało, że religia, za którą oddawali życie, nie jest tą prawdziwą".

Na twarzy Lili zaigrała irytacja. *Maman* obiecała, że Lili będzie mogła zadawać pytania w jej salonie, kiedy tylko zechce, a teraz – po tym, jak jedna wizyta zrodziła w niej setki kolejnych pytań – musiała wracać do klasztoru. Co gorsza, nie miała przy sobie Delphine, której mogłaby się wyżalić. Bolące gardło Delphine przerodziło się w dreszcze i gorączkę. Dziewczyna była tak apatyczna, że mama pozwoliła jej zostać jeszcze kilka dni w domu. Lili natomiast została odesłana do szkoły, żeby nie narażać się baronowej Lomont, która uważnie przyglądała się poczynaniom podopiecznej.

Zerknęła na książkę, którą dziś rano zabrała ze stołu, gdzie położyła ją *maman*. Przebrnęła dopiero przez jedną stronę *Emila*.

„Wszystko, wychodząc z rąk Stwórcy, jest dobre, wszystko wyrodnieje w rękach człowieka"[2] – napisał. „Wszystko?" – zastanawiała się Lili. Przed oczami stanęło jej wspomnienie *maman* przy harfie i Delphine przy fortepianie. Pokręciła głową. Monsieur Rousseau najwyraźniej mylił się w wielu sprawach.

Powóz zatrzymał się i chwilę później stangret otworzył drzwi.

– Koń okulał – poinformował. – Przyprowadzę drugiego z klasztoru. To niedaleko. *Mademoiselle* wolałaby zostać w powozie?

Złociste światło nęcące przez otwarte drzwi w piękny, jesienny poranek skłoniło Lili do odłożenia książki.

– Chciałabym zaczekać na zewnątrz – powiedziała.

Wysiadła z powozu i znalazła się przed murami potężnej budowli, której nie rozpoznawała.

– Gdzie jestem?

– Musieliśmy pojechać inną drogą – odparł stangret. – Przy Saint Benoit były zamieszki, więc skręciliśmy w ulicę de l'Université.

Lili obeszła powóz. Przed nią, jak okiem sięgnąć, w stronę Sekwany rozciągały się pola z niskimi ogrodzeniami i maleńkimi budynkami. Wokół panowała błoga cisza. Ognisko płonące na przeciwległym krańcu pola uprawnego przepełniało powietrze wonią, która wydała się Lili świętsza od zapachu kadzideł podczas mszy. Koń zarżał cicho i zarzucił łbem, jakby błogosławiąc jej myśl.

„Może wypowiedziałam życzenie, nie zdając sobie z tego sprawy? – pomyślała. – Gdyby życie było baśnią, pewnie koń okulałby za sprawą magii, żebym nie przegapiła tego czarownego miejsca, które pojawiło się w drodze do zakonu". Jednak rzeczywistość wydawała się wystarczająco magiczna. Ukazała oczom Lili ten niewielki fragment naturalnego świata dokładnie w momencie, kiedy Rousseau zachęcał ją do spojrzenia w inny sposób właśnie na takie rzeczy. „Zupełnie jakby całe miasto istniało w mojej głowie – myślała. – Wszystko zostało zbudowane przez innych, nie licząc tego jednego miejsca, gdzie wszystko zależy ode mnie".

Wiedziała, że nie żyje w baśni, ale mimo to postanowiła wypowiedzieć życzenie.

– Pragnę zrozumieć, co monsieur Rousseau ma na myśli przez wewnętrzne światło – szepnęła na tyle cicho, żeby stangret jej nie usłyszał. Zamknęła oczy. Zaświergotały skowronki. Gawrony zaskrzeczały w zaroślach. Niesiona podmuchem wiatru woń ściętej trawy mieszała się z ostrym zapachem opadłych jabłek z sadu po drugiej stronie kamiennego muru. Wtedy Lili uniosła powieki i spojrzała w lazurowe niebo. Na jego tle szare i płaskie od spodu chmury z wierzchu rozrastały się w bujne białe obłoki.

Czy przez wewnętrzne światło Rousseau rozumiał zdolność patrzenia poza siebie i dostrzegania świętości wszędzie wokół? Nawet w miejscach, gdzie budynki i ulice zawłaszczyły całą

przestrzeń, oprócz niewielkiego skrawka ziemi?

Lili po raz ostatni nabrała głęboko powietrza w płuca i wypuściła je z powrotem w przestrzeń. „Człowiek rodzi się wolny, ale potem wszędzie krępują go kajdany" – powiedział jej Rousseau. Zerknęła na zarys klasztoru majaczący w oddali ponad dachami. „Nie wiem, czy dobrze rozumiem słowo »wolny« – pomyślała. – Dotychczas więcej nauczyłam się o kajdanach".

Gdy służba przybyła po Lili z lektyką przeoryszy Marie-Catherine, dziewczynka nie miała ochoty wsiadać do środka. „Jeśli droga nie nadaje się do pieszej wędrówki, ci służący również nie powinni się męczyć – pomyślała. – Zwłaszcza niosąc pozłacane pudło z człowiekiem w środku". Miała nogi, których chciała użyć – jej stopy nagle zapragnęły kręcić szalone piruety. Należało jednak dostosować się do zasad. Zadowoliła się więc szerokim uśmiechem, który posłała w kierunku każdego ze służących – co baronowa Lomont uznałaby za zachowanie wielce niestosowne – wspięła się do lektyki i opadła na czarne, aksamitne siedzenie.

ZNALAZŁSZY SIĘ W KLASZTORNEJ SYPIALNI, Lili tak bardzo zatęskniła za Delphine, że serce biło jej jak szalone. We wrześniu skończyła dwanaście lat, a Delphine wkrótce miała ją dogonić. Teraz coraz rzadziej spały w tym samym łóżku, ponieważ Lili przesiadywała do późna nad książkami, a Delphine przeszkadzało światło lampki. W klasztorze, tak samo jak w domu, Lili zwykle kończyła toaletę jak najszybciej, a potem siadała i patrzyła na guzdrzącą się siostrę. Delphine przejmowała się najmniejszymi detalami wyglądu, zależało jej na nienagannej fryzurze i perfekcyjnie dopasowanym stroju. Nie chciała dawać powodów do wzgardy Anne-Mathilde i Joséphine – choć wszyscy wiedzieli, że jej wysiłki pójdą na marne. Pomimo widocznych różnic w charakterach Lili i Delphine szły przez życie ramię w ramię, a dziś, po raz pierwszy od rozpoczęcia nauki w klasztorze, Lili miała spać w ich sypialni sama.

Podeszła do łóżka Delphine i sięgnęła po małą, białą poduszeczkę w kształcie psa. Siostra dostała ją w prezencie od *maman*, ponieważ bardzo płakała, kiedy dowiedziała się, że nie może zabrać Tintina ze sobą do szkoły. Lili położyła poduszeczkę na swoim łóżku i poklepała ją czule. Wtedy nadszedł czas na rutynowe czynności: zdjęcie kapelusza i trzewików, zmianę

stroju, zawiązanie kapci. Czekał ją spacer zimnym korytarzem, powitanie przeoryszy Marie-Catherine, uczynienie znaku krzyża, modlitwa i udawanie zainteresowania na lekcji katechizmu. Wreszcie, wiele godzin później, nadejdzie moment wytchnienia, kiedy będzie mogła się położyć i poukładać myśli w zaciszu błogiej prywatności.

KTOŚ BYŁ W SYPIALNI LILI. Dziewczynka wyczuła czyjąś obecność jeszcze na korytarzu, gdy wracała z zajęć. Kiedy otworzyła drzwi, siostra Jeanne-Bertrand wstała.

– Mam cię zaprowadzić prosto do przeoryszy – oznajmiła.

– Ale przecież już się z nią witałam po przyjeździe – zaoponowała Lili.

– Ze zdradą w sercu! – rzuciła zakonnica z taką złością, że przez chwilę wydawało się, jakby cała jej czaszka zawibrowała od wyrzuconego z nagłą siłą dźwięku. Z całej siły spoliczkowała Lili.

– Jaką zdradą? – głos Lili zadrżał bardziej z wściekłości niż z bólu. Dotknęła piekącego policzka, czując powstającą na nim pręgę. „*Mon Dieu,* czyżby zakonnice umiały czytać w myślach?" – przeraziła się dziewczynka. Od powrotu do klasztoru ledwie wypowiedziała słowo, a teraz wyglądało na to, że nawet milczenie nie dawało jej ochrony.

– To! – syknęła siostra Jeanne-Bertrand, unosząc *Emila* i potrząsając nim. – Jak weszłaś w posiadanie zakazanej książki?

„Zakazanej?". Kiedy wsiadała do lektyki, nie pamiętała już, co zostawiła w powozie. Chwilowy dreszczyk podekscytowania, który pojawił się na myśl o tym, że rozmawiała w salonie *maman* z kimś na tyle ważnym, że jego książka została zakazana przez Kościół, szybko ustąpił miejsca panice.

– Ja...

„Najpierw się zastanów. – Lili usłyszała w głowie szept *maman*. – Większość ludzi nie jest otwarta na prawdę". Odetchnęła głęboko i spojrzała zakonnicy prosto w oczy.

– Ktoś zostawił tę książkę na stole w naszym salonie. Wzięłam ją bez wiedzy mamy i nie jestem pewna, czy w ogóle wiedziała, że ona tam leży.

Czuła bolesne pulsowanie na policzku, jednak zdołała powstrzymać płacz, choć łzy ścisnęły jej gardło.

– Nie wiedziałam, że to szkodliwa książka – ciągnęła. – W powozie zdążyłam zerknąć tylko na kilka pierwszych zdań.

A zawsze przywożę z domu coś do czytania wieczorami. To wszystko. – Oczy zakonnicy zwęziły się w szparki. – Przed modlitwą wieczorną – dodała Lili. Nienawidziła siebie za takie lizusostwo, ale desperacko pragnęła odpędzić chmurę strachu, którą zakonnica rozpostarła nad jej głową.

– Przed modlitwą, doprawdy! Twoja nieśmiertelna dusza jest zagrożona! – Siostra Jeanne-Bertrand cała się trzęsła z oburzenia. – Przywiozłaś książkę oczerniające Naszego Pana do miejsca wzniesionego ku Jego chwale?!

Lili dotknęła rozpalonego, puchnącego policzka. Kipiała w niej złość na bezduszną zakonnicę, która bezczelnie wkroczyła do jej pokoju; na siostrę Thérèse za znieważenie tak delikatnej i uroczej istoty, jaką była Delphine, i na wszystkie dziewczęta pokroju Anne-Mathilde oraz Joséphine, które przybierały miny świętoszek, by po chwili wymieniać szeptem uszczypliwe uwagi. „Czułam się bliżej Boga na tamtej drodze niż kiedykolwiek w tych murach" – przemknęło jej przez myśl.

„Powiedz jej to".

Pochyliła głowę i zamknęła oczy, znów słysząc głos *maman*: „Kiedy słuchasz głosu serca, zawsze zastanów się dwa razy, zanim wypowiesz własne zdanie".

– *Oui,* siostro Jeanne-Bertrand – wymamrotała i zamilkła, pozwalając zakonnicy poprowadzić się korytarzem do przeoryszy.

PO GODZINIE Lili zamknięto w maleńkim pomieszczeniu piwnicznym wyposażonym w rozwalającą się leżankę, niski stołek i nocnik śmierdzący od wieloletniego używania i marnego czyszczenia. Pokój był na stałe pogrążony w mroku. Ciemna zasłona przesłaniała jedyne źródło światła – wysokie okno tuż nad powierzchnią ziemi. Na jednej ze ścian znajdował się pomalowany krucyfiks z cierpiącym Jezusem w koronie cierniowej, z twarzą ociekającą krwią. Wisiał pod takim kątem, że Lili wydawało się, iż patrzy prosto na nią, umierając za jej grzechy. Podenerwowana uciekała przed jego spojrzeniem.

Siostra Jeanne-Bertrand postawiła na stołku świecę i wręczyła Lili katechizm.

– Jak powiedziała siostra przeorysza, nie dostaniesz nic do jedzenia, dopóki nie nauczysz się na pamięć *Środków uświęcającej nauki* i nie wyrecytujesz tekstu w sposób zadowalający. Wrócę za kilka godzin, żeby sprawdzić twoje

postępy. Do tego czasu powinnaś opanować pierwszą część.

– Jak długo tu zostanę? – Lili zadrżał głos.

– Dopóki nie zejdziesz ze złej drogi – odparła zakonnica.

Lili przeszył zimny dreszcz. Siostra Jeanne-Bertrand stanęła przy drzwiach i pomachała dużym, żelaznym kluczem.

– Wszystko zależy od ciebie – dodała, a potem zamknęła za sobą drzwi.

Powietrze nagle zgęstniało. „Jestem zupełnie sama – pomyślała Lili. – Nawet Delphine nie wie, że mnie tu zamknięto". Jak dotąd dziewczynka zdołała powstrzymać łzy, lecz teraz załkała tak gwałtownie, że skurczył jej się żołądek. Położyła się na łóżku i zamknęła oczy. „Kiedy zasnę, zapomnę, gdzie się znalazłam" – pomyślała.

Jak życie mogło się okazać tak przewrotne? Jeszcze kilka godzin temu czuła boskie światło świata, a teraz, w imię Boga, to światło zostało ograniczone do promyczka przeciskającego się pod zasłoną na szarą ścianę. Była zraniona i uwięziona i nikt o tym nie wiedział – nikt, kogo mogłoby to obchodzić.

Zadrżała. Każda nowa myśl podsycała lęk, postanowiła więc skupić się na pokucie. Wstała i przysunęła świeczkę do łóżka, próbując ignorować Jezusa spoglądającego na nią ze ściany.

– Uświęcająca nauka – mruknęła i przekartkowała katechizm w poszukiwaniu właściwego fragmentu. – „Jako że nauka należy teraz do twoich nadrzędnych obowiązków, bardzo istotne jest jej uświęcenie poprzez skierowanie jej ku chwale Pana oraz ku własnej korzyści duchowej – przeczytała. Tekst zdawał się ciągnąć w nieskończoność. – Pobożne zajęcia... skarb duchowy... łaska boska. Twoje myśli są złe. Twoja dusza jest zagrożona. Czytaj i ocal się".

Lili zastanowiła się przez moment nad tymi słowami, po czym, przytrzymując palcem stronę, zamknęła książkę.

– Jako że nauka należy teraz do twoich nadrzędnych obowiązków, bardzo istotne jest jej uświęcenie poprzez skierowanie jej ku chwale Pana oraz ku własnej korzyści duchowej – wyrecytowała z pamięci. Ponownie zerknęła w tekst i sprawdziła, że idealnie wszystko zapamiętała. – Aby uwolnić naukę od grzechu, należy pamiętać o trzech rzeczach. Po pierwsze, należy postawić naukę na drugim miejscu w hierarchii ważności, zaraz po obowiązkach duchowych. Aby oddać się woli Bożej, być posłusznym w stosunku do rodziców oraz docenić

wartość własnej duszy danej ci przez Najwyższego, musisz dołożyć wszelkich starań, by przyswoić pożyteczną wiedzę, która, obok cnoty, jest twoją najcenniejszą wartością. – „Pożyteczna wiedza?" – Lili przypomniała sobie świat, który dostrzegła dziś rano w drodze do klasztoru. – „Więcej pożytku miałabym z tego, co zobaczyłam na tym polu". – Marnowanie czasu i lenistwo to bardzo poważne przywary – kontynuowała lekturę.

„Marnowanie czasu? To jest dopiero marnowanie czasu" – pomyślała i odłożyła katechizm. Po chwili jednak znów po niego sięgnęła.

– To nie jest strata czasu, jeśli dzięki temu wydostanę się stąd – powiedziała po cichu. Zaskoczyło ją, że nawet szept zdawał się wypełniać maleńkie pomieszczenie. Jej głos stał się mocniejszy, kiedy przeszła do recytowania tekstu. – Konsultuj się z Bogiem częściej niż z książkami – pouczał katechizm. – Nie popadaj w grzech próżności, gdy dostrzeżesz owoc swej nauki. Wiedza jest darem od Stwórcy i nie powinna być przypisywana intelektowi czy ciężkiej pracy. – „Drogi monsieur Rousseau – dodała Lili w myślach – czuję się w obowiązku poinformować pana, że właśnie się dowiedziałam, iż *Emila* napisał Bóg. I w tej chwili bardzo żałuję, że to uczynił".

Jej posępny nastrój nagle zaczął się ulatniać.

– Rozum i religia mają za zadanie uczyć, jak wyrzekać się takich pobudek jak duma, próżność, żądza bycia lepszym od innych czy szukanie poklasku – mruknęła, maszerując po celi trzy kroki tam i z powrotem, niczym w takt werbla. Zerknęła w tekst. – Och, przepraszam... pogardzać takimi pobudkami i wyrzekać się ich. Nie mogę zapomnieć o znaczeniu pogardy!

Nagle serce tak mocno zabiło jej w piersi, że aż opadła na łóżko.

– Co ja wyprawiam? – Zakryła twarz dłońmi. – Wierzę w Ciebie, dobry Boże – szepnęła, czując swój gorący oddech pomiędzy palcami. – I w Twojego Syna. – Uniosła oczy na krucyfiks, który dotąd omijała wzrokiem. – Z całego serca wierzę, że istniejesz, ale przez te słowa wcale nie przemawia Twoja miłość.

Otarła palcami łzy z policzków i spojrzała na Jezusa.

– Jeśli to, co mówią siostry, jest prawdą i właśnie tego naprawdę ode mnie wymagasz, proszę, pozwól mi zrozumieć, a pogodzę się ze wszystkim. Jeśli jednak się mylą, czy możesz mi pomóc wydostać się z tego potwornego miejsca?

Lili wstała i znów zaczęła krążyć po celi, powtarzając z powagą tekst, który już opanowała w całości. Kiedy powtórzyła go bezbłędnie po raz drugi, zaczęła walić w drzwi, dopóki nie rozbolały jej dłonie. Nikt jednak nie przyszedł. Nie wiedząc, co ze sobą począć, Lili położyła się i zasnęła.

Obudził ją szczęk klucza w zamku.

– Przyniosłam drugą świecę – oznajmiła siostra Jeanne-Bertrand – żebyś mogła kontynuować naukę.

– Musiała się wypalić, kiedy zasnęłam – powiedziała Lili i przetarła oczy, żeby lepiej widzieć zakonnicę w nikłym świetle.

– Spałaś? – w głosie siostry Jeanne-Bertrand słychać było takie przerażenie, jakby właśnie zobaczyła samego diabła pochylającego się nad łóżkiem Lili. – Miałaś pracować.

Lili podniosła się i wygładziła spódnicę.

– Skończyłam – oznajmiła, zerkając na Jezusa dla otuchy. – Jestem gotowa na spotkanie z siostrą przełożoną.

W oczach zakonnicy pojawił się drapieżny błysk.

– Dobrze więc – odparła. – Sprawdźmy, czy to prawda.

PRZEORYSZA MARIE-CATHERINE uniosła głowę znad dokumentów leżących na biurku.

– Czy coś się stało? – Przez chwilę surowym wzrokiem przyglądała się Lili i siostrze Jeanne-Bertrand w poszukiwaniu wytłumaczenia tak szybkiej wizyty.

– Twierdzi, że już wszystko zapamiętała – poinformowała zakonnica.

Przeorysza wstała.

– Jeśli to podstęp...

– Aby uwolnić naukę od grzechu, należy pamiętać o trzech rzeczach – wtrąciła Lili. Wyrecytowała cały tekst i kątem oka zerknęła na siostrę Jeanne-Bertrand. Kobieta miała czerwone policzki, a jej oczy znowu zwęziły się w szparki.

– Czy to jakiś fortel? – syknęła, spoglądając na przeoryszę, jakby druga kobieta również wyczuwała obecność złego ducha czającego się w pokoju.

Przesłonięta opaską twarz Marie-Catherine nie wyrażała żadnych emocji.

– Jesteś całkiem mądrą dziewczynką – powiedziała. – Ale nie skończyłaś.

– To koniec – zaoponowała Lili. – To wszystko, co miałam

zrobić.

Przeorysza uniosła brwi i pokiwała palcem, zerkając w katechizm.

– „Oddaję się Tobie, mój Boże – przeczytała – w imię uczynków i cierpień Naszego Pana Jezusa Chrystusa...". – Siostra Jeanne-Bertrand się przeżegnała. Przeorysza spojrzała na Lili. – Nie zapamiętałaś modlitwy?

– Nie wiedziałam, że powinnam – odparła Lili ochrypłym głosem, w którym gniew mieszał się z błaganiem.

Przeorysza Marie-Catherine przyglądała się jej z kamienną twarzą.

– Gdybyś zadała sobie trud przemyślenia tego, co zapamiętujesz, pragnęłabyś się pomodlić – stwierdziła – i dostrzegłabyś modlitwę pod spodem. Domyślam się, że gdybyś przeczytała ją kilka razy, byłabyś w stanie ją wyrecytować, nieprawdaż?

– Modliłam się własnymi słowami, żeby zrozumieć Boże przesłanie. – Lili wbiła wzrok w czubki swoich butów.

Przeorysza zmarszczyła brwi.

– To nierozsądne. Spójrz na mnie. – Zaczekała, aż Lili podniesie głowę. – Kiedy zachowujesz modlitwy dla siebie, my w Kościele nie mamy możliwości sprawdzić, czy nie popełniasz jakichś błędów. – Zerknęła na stertę papierów na biurku. – Jestem zajęta. Wracaj do celi i zmów tę modlitwę dwadzieścia razy. I... – Spojrzała w książkę. – „Rozum i religia mają za zadanie uczyć, jak pogardzać takimi pobudkami jak duma, próżność, żądza bycia lepszym od innych czy szukanie poklasku i jak wyrzekać się ich". To oczywiste, że nie wzięłaś sobie do serca tej rady. Twoje zadanie nie zostanie uznane za wypełnione, dopóki nie udowodnisz mi, że stałaś się dzięki niemu lepsza. – Zamknęła katechizm. – Możesz odejść.

KIEDY LILI ZOSTAŁA SAMA W CELI, oparła plecy o zimną, kamienną ścianę pod krucyfiksem i osunęła się na podłogę. Poczuła, jakby ciemna zasłona blokująca ostatnie promienie popołudniowego słońca okryła mrokiem także jej myśli. „Nie mogę więcej się uczyć – pomyślała. – Po prostu nie potrafię się zmusić". A nawet gdyby jej się to udało, przeorysza znalazłaby pewnie coś innego, co prawdziwie żałujący za grzechy pokutnik powinien wiedzieć sam z siebie. „Czy to jakaś gra, żeby mnie tu więzić? –

zastanawiała się dziewczynka. – Czy za każdym razem doszukają się we mnie jakichś wad?”.

– Nie zrobię tego – powiedziała Lili w mrok. – Nie czuję skruchy i nie obchodzi mnie, czy ktoś jest na mnie zły – nawet *maman*. Niech mnie tu trzymają, dopóki nie zgniję. Nie zapamiętam ani słowa więcej.

---

[2] J.-J. Rousseau, *Emil, czyli o wychowaniu*, tłum. W. Husarski, Wrocław 1955.

Emilie

1716

Emilie de Breteuil zerknęła na swoje odbicie w jednym z wersalskich luster. Ubiór, który wybrała na przejażdżkę konną, schlebiał krągłościom, jakimi niedawno obdarzyła ją natura, i podkreślał szaroniebieski kolor oczu oraz czerń starannie skręconych włosów. Pobyt w pałacu śmiertelnie nużył Emilie, ale uwielbiała się stroić – ten aspekt życia dworskiego przypadł jej do gustu, zwłaszcza że nigdy nie podejrzewała, iż wyrośnie na taką piękność. Niestety, uroda dziewczyny przyciągała mężczyzn, którzy nie mieli nic ciekawego do powiedzenia.

Jacques LeBrun, kapitan królewskiej straży w Wersalu, był najgorszy z nich wszystkich, a w dodatku aparycją przypominał krzykliwą gęś. Jednak dla konnej przejażdżki warto było wytrzymać jeszcze trochę czasu w jego towarzystwie. Przynajmniej tak się Emilie wydawało.

Po godzinie pragnęła jedynie się go pozbyć.

– A więc, monsieur LeBrun – rzekła tonem pełnym desperacji – mam propozycję na popołudniową rozrywkę. Co by pan powiedział, gdybym wyzwała pana na pojedynek na szpady? – Emilie przekrzywiła głowę. – Obiecuję, że nie zrobię panu krzywdy.

Tak słodkiej bezczelności kapitan nie potrafił się oprzeć (jak przewidziała Emilie) i kilka minut później wrócił z dwiema szpadami. Kiedy dziewczyna stanęła w wyćwiczonej pozycji, oczy mężczyzny rozszerzyły się z zachwytu.

– To będzie nadzwyczaj zabawne – stwierdził, przybierając podobną pozę. Wtedy szabla dziewczyny zaświszczała w powietrzu i uderzyła w guzik jego munduru.

– Trafiony! – krzyknęła przy akompaniamencie wiwatów ze strony przyjaciół LeBruna, którzy zebrali się wokół, żeby popatrzeć.

LeBrun znów przybrał odpowiednią pozycję. Emilie zaatakowała, lecz tym razem mężczyzna zdążył odeprzeć natarcie. Wkrótce jednak musiał zacząć się cofać, dokładając wszelkich starań, by nie zostać trafionym po raz kolejny.

– Ma pan dość? – zapytała Emilie, przerywając.

Uśmiech rozbawienia dawno zniknął z jego twarzy.

– Nie sądzę, by wolno mi było kontynuować. Nie mogę zaangażować się w walkę z powagą, jakiej pani oczekuje, bo nie chciałbym zrobić pani krzywdy.

„Krzywdy? Wątpliwe" – pomyślała z przekąsem.

– Dobrze więc – odezwała się Emilie. – Niech będzie remis. – Lata nauki fechtunku, o których nikt na dworze nie miał pojęcia, podarowane jej przez ojca, by pozbyła się dziecięcej niezdarności, wreszcie się opłaciły.

Kilka dni później zawstydzeni rodzice zabrali ją z Wersalu do domu. Ktoś o wysokim statusie i dobrej pozycji majątkowej z pewnością zapragnie wżenić się w rodzinę, zwłaszcza biorąc pod uwagę bliskie stosunki Louisa-Nicolasa z królem. Emilie zostanie wydana za pierwszego arystokratę, który zechce tak samowolną i trudną do kontrolowania żonę. Tymczasem niech się dziewczyna cieszy swoim krótkotrwałym triumfem w samotności, zamknięta w sypialni z książkami. Tam przynajmniej nie będzie miała możliwości jeszcze bardziej upokorzyć rodziny.

4

1761

Szczęk klucza w zamku obudził Lili śpiącą na leżance w celi pokutnej.

– Czy to już ranek? – zapytała, dostrzegając słabe światło sączące się przez szczelinę pod zasłoną.

– Mam cię zabrać do przeoryszy – oznajmiła siostra Jeanne-Bertrand, ignorując pytanie.

– Nie nauczyłam się niczego więcej – rzekła dziewczynka, po czym odwróciła się plecami do zakonnicy. – I nie zamierzam.

– Wstawaj – warknęła siostra z taką złością, że spanikowana Lili zaplątała się w koc, kiedy wygrzebywała się z łóżka. Z rozczochranymi włosami i rozsznurowaną sukienką bez słowa podążyła korytarzem za zakonnicą. „O co teraz chodzi?" – zastanawiała się gorączkowo.

W gabinecie przeoryszy, plecami do wejścia, siedziała kobieta w stroju podróżnym. Na odgłos stukających o kamienną posadzkę butów odwróciła głowę.

– *Maman*! – zawołała Lili i popędziła ku niej.

Julie de Bercy poderwała się z krzesła i mocno objęła dziewczynkę. Po chwili odsunęła ją od siebie i przyjrzała się jej uważnie.

– Co one ci zrobiły? – zapytała, podejmując beznadziejną próbę ułożenia Lili włosów. Dopiero wtedy dostrzegła siniaka na jej policzku. – Co to jest? – dodała, odwracając się w stronę przeoryszy.

– Byłam nieposłuszna, *maman* – burknęła Lili.

– Nie przepraszamy za działania, które uważamy za konieczne, żeby chronić młode dusze powierzone naszej opiece – oznajmiła przeorysza Marie-Catherine. – Chyba nie sądziła pani, że będziemy się biernie przyglądać, jak ktoś plugawi klasztor obecnością zakazanej książki? – Zmrużyła jedyne oko. – Doprawdy, madame de Bercy, to ja powinnam panią zapytać, czemu pozwoliła pani, by tak obrzydliwy tekst znalazł się w domu, w pobliżu młodych, podatnych na wpływy dziewcząt. Stanislas-Adélaïde twierdzi, że goście zostawiają dla pani rzeczy, o których istnieniu może nie mieć pani pojęcia. Jeśli tak zdarzyło się w tym wypadku, powinna być nam pani wdzięczna, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

– Nie zamierzam tłumaczyć się z rzeczy, które mam w domu. – Julie objęła Lili ramieniem. – Czego się siostry tak boją? Czy sama obecność jakiejś książki w tych murach zmusza siostry do pastwienia się nad dzieckiem?

Przeorysza wydęła wargi i opadła na krzesło. Siedziała w milczeniu tak długo, że Lili z trudem powstrzymywała tiki nerwowe.

– Doskonale pani wie, czego się obawiają prawdziwi chrześcijanie – powiedziała w końcu bardzo niskim tonem, niemal warcząc.

Maman odetchnęła głęboko, jakby chciała odpowiedzieć. Po chwili jednak, ignorując słowa zakonnicy, rzekła:

– Od dziś moje córki nie są uczennicami w Abbaye de Panthémont.

Lili spojrzała na *maman* z niedowierzaniem. Poczuła zimną dłoń zaciskającą się mocno wokół jej palców.

– Czy mogłyby siostry zadzwonić po pomoc w zabraniu rzeczy z sypialni dziewczynek? – odezwała się Julie. – Mój powóz czeka. – To rzekłszy, odwróciła się i wyszła, ciągnąc za sobą oniemiałą Lili.

NIKT JESZCZE tak szybko nie wyleczył się z przeziębienia jak Delphine, kiedy usłyszała, że jej klasztorne dni dobiegły końca.

Tańczyła po całej sypialni, podczas gdy zdezorientowany Tintin skakał wokół, szarpiąc ją łapkami za koszulę nocną.

– Chcę usłyszeć całą historię – powiedziała, kiedy wreszcie udało się zwabić ją z powrotem do łóżka.

Maman się roześmiała.

– Skoro czujesz się już na tyle dobrze, że mogę anulować zamówienie na twoją trumnę, możesz też chyba włożyć sukienkę i uczesać się ładnie na kolację. Będziemy na ciebie czekały z Lili na dole. – *Maman* ponagliła Lili do wyjścia. – Chcę się z tobą czymś podzielić.

Panie czekały w salonie, podczas gdy służba nakrywała do stołu i naprędce przygotowywała kolację dla trzech osób. Julie otworzyła szufladę biurka i wyjęła jakiś list.

– Ciekawi mnie, czemu nie zapytałaś, jak się dowiedziałam o tym, co się z tobą stało w klasztorze.

Lili zastanowiła się przez moment.

– Chyba mi się wydawało, że zawsze w jakiś sposób czuwasz nad nami – stwierdziła.

Julie się uśmiechnęła.

– Muszę przyznać, że twoja wersja bardziej mi się podoba. – Wręczyła Lili list. – Baronowa Lomont będzie niepocieszona, kiedy się dowie, że to ona jest odpowiedzialna za twoje ocalenie.

Lili rozłożyła kartkę i ujrzała na niej starannie zapisaną datę oraz nagłówek. „Piszę, aby poinformować Cię o niepokojących wieściach, które właśnie dotarły do mnie od przeoryszy w Panthémont" – pisała baronowa.

Lili spojrzała na *maman*.

– Przeorysza napisała do niej zamiast do ciebie?

– Niestety – odparła Julie. – Podobno Marie-Catherine i baronowa Lomont są kuzynkami. Baronowa zawsze zdawała się wiedzieć więcej ode mnie o twoich poczynaniach w klasztorze. Ale czytaj dalej.

„Jedynym powodem całej tej sytuacji jest niedbalstwo, z jakim prowadzisz dom. Stanislas-Adélaïde najwyraźniej przemyciła do klasztoru książkę autorstwa M. Roskeau, o którym miałam szczęście nie słyszeć – aż do dzisiaj. Zgodziłyśmy się, że dziewczynkę należy bacznie obserwować w poszukiwaniu oznak impertynencji. Zamierzam odwiedzić jutro klasztor i wziąć udział w przesłuchaniu, które Marie-Catherine zaplanowała dla Lili. Proszę, byś zostawiła tę sprawę mnie. Zapewniam, że po powrocie

zdam Ci dokładną relację z wydarzeń".

Maman zaczekała, aż Lili skończy lekturę.

– Przyjechałam najszybciej, jak mogłam – powiedziała. – Całą drogę modliłam się, żebym dotarła na miejsce jako pierwsza i zdążyła zabrać cię przed przyjazdem baronowej. – Wstała i schowała list z powrotem do szuflady. – Oczywiście teraz muszę czekać na jej odpowiedź. Domyślam się, że to nie potrwa długo. I nie będzie przyjemne.

– PRZEORYSZA MARIE-CATHERINE ma niedokończone sprawy z Lili i dziewczynka powinna natychmiast wrócić do klasztoru. – Baronowa Lomont zerknęła na księdza spowiednika, którego przyprowadziła ze sobą następnego popołudnia do Hôtel Bercy. – To wielka zniewaga.

– Lili nie wróci do klasztoru, a zniewaga dotknęła moją rodzinę. – Julie zadzwoniła po służbę. – Czy zechciałaby pani napić się herbaty i skosztować ciasta, madame?

Kobieta zignorowała propozycję.

– Nie sądzisz chyba, że edukacja Stanislas-Adélaïde dobiegła końca? Jest jeszcze tyle rzeczy, których... – baronowa zawiesiła spojrzenie na Lili, szukając odpowiednich słów – w pełni nie przyswoiła – rzekła w końcu i uniosła brwi na znak dezaprobaty.

– Uważam, że nadszedł czas, by jej edukacja w pełni się rozpoczęła – odparła Julie. – Zamierzam zatrudnić nauczyciela. Dziewczynki będą się uczyły przedmiotów, które uczynią je ciekawymi towarzyszkami życia dla inteligentnego męża, a nie tylko pozbawionymi rozumu papugami skrzeczącymi katechizm.

Ksiądz i baronowa Lomont zaniemówili z wrażenia.

– Jeśli ma ksiądz wątpliwości odnośnie do edukacji religijnej Stanislas-Adélaïde, może ksiądz osobiście przepytywać dziewczynkę podczas jej wizyt u baronowej Lomont – zwróciła się Julie do księdza. – Dałam słowo markizowi du Châtelet, że baronowa będzie zaangażowana w wychowanie jego córki aż do jej zamążpójścia. Zamierzamy też chodzić na msze dwa razy w tygodniu i regularnie spowiadać się z grzechów, tak jak czyniłyśmy do tej pory.

Podniosła filiżankę do ust i upiła maleńki łyk herbaty. Nawet przez moment nie zadrżała jej dłoń.

– Czy chcieliby państwo zapytać mnie o coś jeszcze?

Ksiądz i baronowa wymienili spojrzenia.

– Lili to moja podopieczna – powiedziała Julie ze stanowczością, która ucięła dalszą dyskusję.

– Dobrze więc. – Baronowa wstała i zwróciła się do Lili: – Czekam na ciebie pojutrze z samego rana. – Spojrzała na Julie i wyniośle zadarła brodę. – Jeśli, oczywiście, madame się zgadza.

Julie odpowiedziała jej równie chłodnym tonem:

– Dopilnuję, żeby się u pani stawiła – rzekła, gdy baronowa wychodziła z salonu.

SZYBY ZADRŻAŁY W OKNACH HÔTEL BERCY, gdy wiatr pierwszej zimnej, jesiennej nawałnicy uderzył w okiennice. Julie wyszła pomimo złej pogody, jednak przedtem poleciła służbie rozpalić w kominku w pokoju, w którym dziewczęta spędzały popołudnie. Delphine znużyła już gra na fortepianie i teraz kręciła się bez butów po saloniku, udając tancerkę na balu. Zbliżyła się tanecznym krokiem do siedzącej przy biurku Lili i zajrzała do jej zeszytu.

– Przeczytaj mi, co już napisałaś – poprosiła. – Obiecuję, że jeśli to zrobisz, zostanę na zawsze twoją niewolnicą.

Lili prychnęła.

– Już jesteś moją niewolnicą do końca następnego stulecia, jeśli wierzyć twoim obiecankom. – Jednak straciwszy wenę, wstała z westchnieniem. – Usiądźmy przynajmniej bliżej kominka.

Delphine wcisnęła się w fotel obok Lili i spojrzała na kartki, z których siostra czytała.

> Kiedy Comète zatrzymał się na Wenus, Świergotka ze zdumieniem dostrzegła ludzi płaczących i układających kwiaty przed długim rzędem kamieni.
>
> – Nie wyobrażam sobie, jak kamień mógłby mnie zmusić do płaczu – powiedziała Świergotka do Comète. – Zaczekaj. Pójdę sprawdzić, co tu się dzieje. – Comète skinął łbem i parsknął. Z jego białych chrap posypały się złote iskierki.
>
> – Dlaczego płaczesz z powodu kamienia? – zapytała Świergotka pierwszego napotkanego człowieka.
>
> – To nie kamień – odparł człowiek. – To moja córka.
>
> – Czy już się taka urodziła? – dopytywała się Świergotka.
>
> – Oczywiście, że nie. Jak komuś mógłby się urodzić

kamień zamiast dziecka?.

Delphine zachichotała i spojrzała na Lili błyszczącymi oczyma.
– Kamień zamiast dziecka!
Lili uśmiechnęła się i czytała dalej.

> Zła Królowa ustawiła wszystkie dzieci w rzędzie – powiedział mężczyzna – i jeśli dziewczynki nie potrafiły idealnie dygać, a chłopcy nie kłaniali się właściwie, zamieniała ich w kamienie swoją magiczną różdżką. Moja córeczka za bardzo się garbiła i teraz – tylko popatrz!
>
> W tym momencie z drzewa za Świergotką spadło kilka jabłek i dziewczynka zadarła głowę. Pomiędzy gałęziami siedział chłopiec.
>
> – Dlaczego ty nie jesteś kamieniem? – zapytała.
>
> – Powiedziałem jej, że boli mnie brzuch i na razie nie mogę się dobrze ukłonić – poinformował chłopiec. – Odparła, że wróci dziś po południu i zamieni mnie w kamień. Dlatego się ukrywam.
>
> – Cóż, ukrywanie nie zda się na wiele, skoro jej tu nie ma. Lepiej zejdź i ćwicz ukłony, jeśli życie ci miłe – oznajmiła Świergotka.
>
> – Po co? – odparł chłopiec. – Nawet gdybym pokłonił się idealnie, i tak zamieni mnie w głaz. Ona to robi dla przyjemności i nikt nie potrafi jej powstrzymać.

Lili dotarła do momentu, na którym skończyła pisać, i zamknęła zeszyt z hukiem.

– Co będzie dalej? – dopytywała się Delphine, spoglądając na siostrę wielkimi oczami.

– Zła Królowa wróci, a Świergotka i Tom – tak ma na imię chłopiec – uciekną na Comète.

Delphine wygramoliła się z fotela.

– Nie pozwoliłabym Złej Królowej, żeby zamieniła mnie w kamień. Dygałabym tak idealnie, że nie ośmieliłaby się mnie skrzywdzić. – Stanęła na środku pokoju i w skupieniu przygryzła wargę, starając się pochylić plecy w sposób, w jaki uczono ją na lekcjach tańca. – Właśnie tak.

Lili przyglądała się, jak siostra powtarza ruch.

– A więc – odezwała się – jakbyś się czuła, gdybyś była jedyną osobą niezamienioną w kamień?

Delphine zastanowiła się, nie przestając dygać.

– To nie trwałoby długo. Byłabym taka miła i dobra, że Zła Królowa zmieniłaby się pod moim wpływem i uwolniła pozostałych.

– Być może – odparła Lili. – Ale Świergotka chyba nie potrafi tak dobrze dygać, a to ona musi wszystkich uratować. Napiszę, że wróciła z Tomem na Wenus i ukradła Złej Królowej różdżkę, a potem ją samą zamieniła w kamień i uratowała dzieci. Podoba ci się?

Delphine straciła równowagę przy kolejnym dygnięciu i musiała zrobić szybki krok w przód, żeby uniknąć zderzenia ze stolikiem.

– Ups – powiedziała, opadając na krzesło. – Chyba różdżka rzeczywiście będzie lepsza.

NASTĘPNEGO RANKA Julie wsiadła z Lili do dwuosobowej lektyki Hôtel Bercy niesionej przez czterech służących w liberiach. Miała zamiar zostawić dziewczynkę przed Hôtel Lomont w drodze do przyjaciółki, a potem skrócić męki Lili i zabrać ją do domu na obiad.

Lili rozczapierzyła przed sobą palce, jakby liczyła w myślach.

– Mam dwanaście lat – zaczęła – a odwiedzam baronową Lomont, odkąd skończyłam sześć. Raz w tygodniu, przez sześć lat, nie licząc tygodni spędzonych w klasztorze. To daje ponad dwieście wizyt.

– Wydajesz się dziwnie radosna z tego powodu – rzekła Julie, przyglądając się jej badawczo.

Lili uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– W moim nowym opowiadaniu Świergotka musi pokonać Złą Królową i Delphine podsunęła mi pewien pomysł. Mam zamiar rozczarować baronową Lomont i nie dać jej żadnego powodu do krytykowania mnie – choć pewnie i tak coś znajdzie. – Zadumała się na chwilę. – Zawsze myślałam o odwiedzinach u niej jak o bitwie, ale teraz wydaje mi się, że jeśli będę dobrze dygać i zachowywać się jak należy, może wtedy zostawi mnie w spokoju. A przecież tego właśnie pragnę. Chcę być sobą – przynajmniej w środku, gdzie nikt inny mnie nie widzi, a nie marnować niepotrzebnie czas na zastanawianie się, jaka powinnam być.

– Jesteś bardzo mądrą dziewczynką, *ma chérie*. – Julie poklepała Lili po kolanie. – Kiedy tylko przestaniesz ją szokować, sama zauważysz, jak szybko straci zainteresowanie. Jednakowoż, uprzejmość w stosunku do ludzi, za którymi się nie przepada, to wielka i przydatna sztuka. – Mrugnęła do Lili. – Jeśli nie liczyć umiejętności picia rosołu bez siorbania.

Twarz Julie spoważniała, a jej wzrok powędrował za okno.

– Czasy się zmieniają, Lili – ciągnęła. – Kiedy baronowa Lomont była młoda, niezależność umysłową kobiety postrzegano jako afront. Starego człowieka się już nie zmieni, ale młodzi patrzą teraz na pewne sprawy nieco inaczej. Przynajmniej niektórzy. – Zwróciła się z powrotem do Lili. – Monsieur Rousseau twierdzi, że ograniczenia narzucane dzieciom wypaczają ich wrodzony charakter i przez to później czują się swobodnie jedynie w społeczeństwie zdeformowanym na podobną modłę. Jego zdaniem teraz ponosimy tego konsekwencje i myślę, że jest w tym trochę racji.

Lektyka zatrzymała się przed surowym, szarym budynkiem nietkniętym przez poranne słońce, którego promienie jeszcze nie przebiły się przez ciasno ustawione budynki na Île Saint-Louis.

– Jesteśmy na miejscu – powiedziała Julie, po czym uścisnęła Lili pospiesznie. – Kocham cię, *ma petite*. A teraz idź zaprezentować swoją nową broń.

1764

– „*CORPUS OMNE PERSERVERARE in statu suo quiescendi vel movendi uniformiter in directum...*" – Czternastoletnia Lili wodziła palcem po tekście, podczas gdy jej nauczyciel Louis Nohant bacznie przyglądał się dziewczynie z boku. Było ponure, zimowe popołudnie i płomienie z kominka tańczyły wesoło w szybach gablot wyłożonej drewnem biblioteki Hôtel Bercy. – Nic nie rozumiem. Łacina jest taka... dziwna.

Delphine odłożyła ołówek na przenośną sztalugę, którą ustawiła przy kominku.

– Lili! Nie mogę cię rysować, gdy tak krzywisz usta!

Lili podniosła na nią wzrok.

– Przepraszam – powiedziała. Zapomniałam, że szkicujesz. Ale ten Newton doprowadza mnie do szału.

– Czemu tak się tym przejmujesz? – jęknęła Delphine. – Złości mnie, kiedy tak się angażujecie w lekturę, a do mnie nikt się nie

odzywa.

Lili zaznaczyła palcem odpowiednią stronę w *Principiach* Newtona.

– Ja tylko chcę znaleźć odpowiedzi. Nie uważasz, że powinno nas interesować, jaki świat jest naprawdę?

– Jeśli przez „nas" rozumiesz siebie i kogoś innego, to odpowiedź brzmi: „tak". Ale jeśli „nas" oznacza, że mam uczyć się z tobą fizyki, to wolę sobie poszkicować albo pograć na fortepianie.

Monsieur Nohant, szczupły i nerwowy dwudziestodwuletni młodzieniec, postukał palcami w stół.

– Mademoiselle de Bercy – zaczął stanowczym tonem, któremu powagi ujmowały pryszcze na jego brodzie. – Może panienka zostać, ale proszę nam nie przeszkadzać. – Kiedy się odwrócił, Delphine pokazała mu język, a Lili z trudem stłumiła śmiech. – Mogę panience wytłumaczyć, mademoiselle du Châtelet – powiedział. – Zgodnie z pierwszym prawem Newtona każde ciało pozostaje w stanie ruchu jednostajnego, chyba że przyłożona siła zmusi je do zmiany tego stanu.

– Dlaczego tak nie napisał? – oburzyła się Lili. Pchnęła ołówek, który poturlał się po stole. – I proszę spojrzeć – na dodatek to nie wydaje się słuszne. Przecież ołówek w pewnym momencie się zatrzyma. – Ołówek spadł ze stołu na zdobiony kunsztownymi wzorami dywan z Savonnerie i Lili usłyszała chichot Delphine.

– Ale widzisz, między stołem a ołówkiem powstaje tarcie – wyjaśnił nauczyciel. – Gdyby ołówek poruszał się w przestrzeni niczym niehamowany, nigdy by się nie zatrzymał. A gdyby leżał nieruchomo, nigdy by się nie zaczął ruszać, chyba że coś by go uderzyło.

– W porządku – rzekła Lili – rozumiem, ale... – Przebiegła palcem po kolejnej linijce. – *Nisi quatenus a viribus impressis cogitur statum illum mutare*? Łacina sama w sobie jest trudna, a co dopiero kiedy posługuje się nią taki dziwak. – Pchnęła książkę w stronę nauczyciela. – Niech pan przetłumaczy!

Monsieur Nohant zamrugał intensywnie.

– Obawiam się, że nie potrafię wytłumaczyć tego inaczej, niż już to zrobiłem.

– Dlaczego nie? – Lili potwornie irytował ten nowy nauczyciel. Zdawał się wiedzieć niewiele więcej od niej.

Drzwi do biblioteki otworzyły się i weszła Julie.

– *Bonjour, maman*! – zaćwierkały dziewczęta na powitanie.

– *Bonjour, mes chéries* – odpowiedziała i podeszła, by uściskać lekko każdą z osobna. – Wielkie nieba – powiedziała, spoglądając na szkic Delphine. – Dostrzegam duże podobieństwo! – Przyjrzała się bliżej. – Ale dlaczego starłaś Lili usta? – Delphine rzuciła siostrze wściekłe spojrzenie, a wtedy *maman* podeszła do drugiej młodej damy.

– Co się dzieje? – zapytała na widok jej zmarszczonych brwi.

– Nie rozumiem tego! – Głos Lili zachrypł z frustracji.

Nauczyciel przestępował z nogi na nogę.

– Nie jestem w stanie tego wytłumaczyć za pomocą łaciny – rzekł.

Julie sięgnęła po książkę.

– To jest... – Zerknęła na Lili. – Już czytasz Newtona?

– *Oui, maman*. I naprawdę chcę zrozumieć, ale nie potrafię. – Oczy Julie wydawały się nienaturalnie jasne na tle nagle pobladłych policzków. – Co się stało? – zapytała Lili. – Czy zrobiłam coś złego?

– Nic jej nie powiedziałem – upierał się nauczyciel.

Zdezorientowana Lili spoglądała to na Julie, to na nauczyciela.

– O czym wy mówicie? – zapytała. – Nie powiedział o czym?

Julie de Bercy odwróciła wzrok. Jej usta zacisnęły się w cienką linię, kiedy rozważała, jak ubrać myśli w słowa.

– Chyba powinniśmy skończyć naukę na dziś. Jest pan wolny – zwróciła się do nauczyciela. – To się tyczy również ciebie, *ma chérie* – odezwała się do Delphine. – Muszę porozmawiać z Lili w cztery oczy.

– CO WIESZ O SWOJEJ MATCE? – zapytała Julie, kiedy zostały same.

– Nic oprócz tego, co mi powiedziałaś – odparła Lili. Potem się zastanowiła. – Zawsze odnosiłam wrażenie, że nie powinnam pytać. W klasztorze było kilka dziewczynek, których mamy zmarły, ale ponieważ nigdy o nich nie wspominały, uznałam, że może po prostu nie wypada poruszać takich tematów.

Julie odetchnęła głęboko i usadowiła się wygodniej na kanapie.

– Przebywałam z twoją matką więcej niż ktokolwiek inny w ostatnich dniach jej życia. To ja zaprowadziłam ją do łóżka, kiedy poczuła pierwsze bóle porodowe. Wcześniej od twojego ojca wiedziałam, że odeszła. – Zamknęła oczy, żeby zebrać myśli.

Zegar tykał miarowo na ścianie, a przez Place Royale przejechał powóz, podczas gdy Lili cierpliwie czekała na jej słowa.

Nagle Julie wstała.

– Dzięki temu najlepiej zrozumiesz, kim była twoja matka. – Podeszła do biurka i sięgnęła po *Principia*. – Wiele osób miało problem z tą łaciną. Nikt nie pojmował słów Newtona, dopóki Emilie nie przetłumaczyła ich na francuski.

– Moja matka przetłumaczyła *Principia*?

Julie odłożyła książkę z powrotem na blat.

– Tak. Tutaj nie tylko język stanowił problem. Ja nic nie rozumiem nawet po francusku, ale powiedziano mi, że słowa Newtona zostały przepisane na nowo, a nie tylko przetłumaczone, i że to dzięki komentarzowi Emilie ludzie tacy jak twój nauczyciel w ogóle mogą zrozumieć Newtona. I dzięki jej obliczeniom matematycznym w miejscach, w których Newton ich nie podał.

– Dlaczego monsieur Nohant mnie o tym nie poinformował? – zapytała oburzona Lili.

– Zatrudniając go, poprosiłam, żeby nie wspominał o twojej matce, kiedy zaczniecie lekcje fizyki. Może trudno ci to zrozumieć, ale czułam, że tak będzie dla ciebie lepiej. – Julie usiadła obok niej. – Twoja matka była bardzo skomplikowaną osobą. I nieco kontrowersyjną. Miała problem z dostosowywaniem się do oczekiwań innych ludzi, a sama przekonałaś się na własnej skórze, jak to się może skończyć, prawda? – Uśmiechnęła się i poklepała Lili pieszczotliwie. – Wszyscy uznaliśmy, że lepiej, byś o niej myślała jako o normalnej, przeciętnej kobiecie, dopóki nie dorośniesz na tyle, żeby zrozumieć. Nie wiń monsieur Nohanta za to, że dostosował się do moich poleceń. Choć teraz z pewnością ucieszy się, mogąc uczyć cię z książki, którą naprawdę rozumie. Ty zapewne też, z tego co słyszałam.

Kobieta wstała i podeszła do małej, zamkniętej na klucz gablotki. Otworzyła ją i wyjęła książkę.

– Tak bardzo czekałam na ten dzień – powiedziała, wręczając ją Lili.

– *Principes mathématiques* – przeczytała Lili i przesunęła palcami po nazwisku matki na stronie tytułowej. – Ale ona została wydana parę lat temu. Miałam wtedy dziesięć lat!

– Emilie skończyła ostatnie poprawki do tekstu kilka dni po twoich narodzinach, tuż przed nagłym atakiem choroby. Ludzie potrzebowali czasu, żeby dostrzec jej dzieło. Większość nie była

gotowa na nowe idee – mówię o tych, którzy w ogóle potrafili je zrozumieć. A bywalcy salonów literackich zabawiali się ośmieszaniem Emilie, ponieważ jej wybitne zdolności wprawiały ich w zakłopotanie.

Julie usiadła i przyglądała się Lili kartkującej książkę.

– Ci, którzy znają prawdę – ciągnęła – dostrzegają wybitną osobowość twojej matki, ale Emilie ma też krytyków. Niektórzy twierdzą, że musiała być otoczona mężczyznami, którzy wykonywali za nią trudne obliczenia matematyczne, lecz widziałam na własne oczy, że robiła to sama. Nie daj się zwieść, *ma chérie*. To jest dzieło twojej matki. – Julie wskazała palcem pierwszy lepszy wers z książki.

– Każde ciało pozostaje w stanie ruchu jednostajnego – przeczytała Lili po francusku. „Moja mama też była inna" – przemknęło jej przez myśl. – Dopóki coś się nie zmieni – szepnęła, zastanawiając się, czy właśnie coś się nie zmieniło.

Emilie

1734

Emilie du Châtelet odsunęła zasłonkę w swoim powozie i zbliżyła twarz do okna tak bardzo, że nosem niemal dotykała szyby. Mężczyźni wyłaniali się z Café Gradot, by zająć się popołudniowymi sprawami przed wieczorem w teatrze, ale ona wiedziała, że Pierre-Louis de Maupertuis nie wyjdzie jako jeden z pierwszych. „Boli go – pomyślała z nutą wzgardy – kiedy musi oderwać się od podziwu uczonych, matematyków oraz pieczeniarzy, którzy zbierają się codziennie w salce na tyłach kawiarni. Doprawdy, czy nie widzą, że choć kieruje katedrą matematyki w Akademii Nauk, musi konsultować się ze studentami, żeby wytłumaczyć rzekomo własne koncepty?".

Najbardziej drażniła ją jednak nie tyle pretensjonalność Maupertuisa, ile to, że musiała czekać na niego w powozie, ponieważ jako kobieta miała zakaz wchodzenia do środka. Kiedyś zasugerowała jednemu z przyjaciół, żeby zapłacił służącej i pożyczył od niej uniform – służki stanowiły bowiem wyjątek od zasady niewpuszczania kobiet. Markiz du Châtelet był tolerancyjnym mężczyzną, ale na pewno nie ucieszyłby się, gdyby jego żona poniżyła się w ten sposób. Mimo to zabawna wizja dziewki sprzątającej ze stołu i jednocześnie omawiającej

zagadnienia matematyczne z członkami akademii była tak kusząca, że Emilie przez chwilę poważnie rozważała, czy nie narazić się na – w najgorszym razie – lekką naganę ze strony małżonka. Zamiast tego zadowoliła się jednak przywdzianiem męskiego stroju. Chociaż wszystkich szalenie rozbawił ten kamuflaż – który przestał działać, gdy tylko się roześmiała – podobnego podstępu nie dało się powtórzyć. Właściciel kawiarni nie chciał problemów z policją ciągle szukającą nowych pretekstów do zademonstrowania, jak łatwo ludzie znikają na zawsze w mrocznych lochach Bastylii.

Emilie musiały wystarczyć przypadkowe fragmenty dyskusji zapamiętane przez Maupertuisa i opowiadane w powozie w drodze do jego domu. Tam przez godzinę lub dwie mężczyzna uczył Emilie rachunków, podczas gdy jej powóz czekał na zewnątrz. Układ z uczonym trwał od kilku miesięcy, a rozpoczął się zaraz po tym, jak wydobrzała po trzecim porodzie. Już teraz dostrzegała, że jej pytania i pomysły wytrącały z równowagi wielkiego Maupertuisa. Gdyby mu hojnie nie płaciła, prawdopodobnie szybko zrezygnowałby z uczennicy, tłumacząc się brakiem czasu dla kogoś pozbawionego szans, by przyczynić się do rozwoju nauki. A wszystko po to, żeby ukryć fakt, iż jej pytania go przerastały.

Pomimo frustracji okazja do rozmów o zaawansowanej matematyce – nawet z kimś tak nadętym jak Maupertuis – stanowiła najwspanialszy element jej obecnego życia.

– Mam dwadzieścia siedem lat – szepnęła do szyby, tworząc na niej smugę pary, która natychmiast zniknęła – i jestem tak znudzona, że... – Gryzła nerwowo kostkę kciuka dłoni skrytej w rękawiczce i westchnęła. Macierzyństwo okazało się rozczarowaniem, ponieważ kobiety z zamożnych rodzin spędzały mało czasu ze swoimi dziećmi. Jej córeczka Gabrielle-Pauline, teraz siedmioletnia, została wysłana do klasztoru urszulanek na nauki. Syn Florent-Louis miał pięć lat i mąż Emilie powoli zmieniał przyszłego dziedzica w małego żołnierzyka bez wyobraźni i poczucia humoru. Natomiast niedawno narodzony Victor-Esprit bardzo chorował, więc lepiej było nie myśleć zbyt wiele o jego przyszłości, jako że tak wiele dzieci – nawet z bogatych rodzin posiadających środki na leczenie – dożywało zaledwie kilku lat.

Emilie odchyliła się na oparcie.

– Kocham to słodkie dzieciątko – szepnęła. Chyba najbardziej z całej trójki. Istniało ogólne przyzwolenie na bliższy kontakt słabowitego dziecka z matką, dzięki czemu mogła sobie pozwolić na większe przywiązanie do Victora-Esprita. Z pewnością nie potrzebowała męża ani on jej, jeśli nie liczyć funkcjonalności społecznej małżeństwa. Teraz, po wybuchu wojny o sukcesję polską, rzadko widywała Florenta-Claude'a, ponieważ przebywał przy granicy razem z regimentem, którym dowodził. Jednak nawet wcześniej sprawy wyglądały podobnie. Zawarli małżeństwo z rozsądku. Florent-Claude miał niewiele zainteresowań i jeszcze mniej oryginalnych przemyśleń; zawsze szybko odchodził od stołu, kiedy dyskusja schodziła na tak fascynujące dla niej tematy. Markiz nie był mężczyzną konfliktowym ani skomplikowanym, co Emilie bardzo cieszyło. Jednak czy nie byłoby ciekawie znaleźć się w łóżku z mężczyzną o prawdziwym...

– Prawdziwym apetycie – szepnęła. – Pragnę kogoś, kto... – Zadumała się. „Kto kończąc dyskusję, a nawet kłótnię – pomyślała – na jeden z najbardziej rewolucyjnych współczesnych tematów, zedrze ze mnie ubranie i posiądzie mnie na miejscu". Najwięcej erotyzmu widziała w sytuacji, w której stykają się dwa umysły, a ciała podążają potem w ślad za nimi. Zdawszy sobie sprawę, jak bardzo pragnie czegoś podobnego dla siebie, opadła na oparcie z taką siłą, jakby koń nagle ruszył z kopyta. „Potrzebuję kochanka – stwierdziła. – Lecz nie jakiegokolwiek, a właśnie takiego".

Powóz zakołysał się, gdy stangret zeskoczył z ławeczki, żeby otworzyć drzwi. Pierre-Louis de Maupertuis wszedł do środka i usadowił się naprzeciwko niej. Miał trzydzieści pięć lat, wypukłe czoło i duży nos, ale ogólnie sprawiał wrażenie dość miłego i był wielce podziwiany za swój intelekt przez damy dworu. Emilie przyglądała mu się kątem oka, gdy powóz toczył się ulicami Paryża. Spotkanie ciał i umysłów? Nie był idealnym ucieleśnieniem jej fantazji – to wiedziała na pewno – ale może uda się go wykorzystać do sprawdzenia hipotezy?

5

1765

Kij stuknął w bok drewnianej piłki, która potoczyła się po trawie i zatrzymała po niespełna metrze.

– Ojej – powiedziała Delphine. Podniosła wzrok i uśmiechnęła się uroczo do grupki gości grających w *paille-maille* na jednym z trawników przed pałacem Vaux-le-Vicomte.

– Musisz uderzyć piłkę z większą siłą – pouczył ją Jacques-Mars Courville. – Pozwolisz? – Podszedł do niej od tyłu i położył ręce obok jej dłoni. – W ten sposób. – Młodzieniec wykonał jeden pewny ruch i piłka potoczyła się po starannie przystrzyżonej trawie, po czym przeszła idealnie przez metalowy łuk, do którego celował.

Goście w Vaux-le-Vicomte zaczęli bić brawo, a piętnastoletnia Delphine uniosła wzrok ku Jacques'owi-Marsowi i obdarzyła go pełnym podziwu uśmiechem.

– Może to szczęście, że nie potrafię grać i potrzebuję pomocy kogoś tak czarującego – rzekła nienaturalnie śpiewnym tonem.

– A może to ja będę miał szczęście i nigdy nie zdołasz opanować tej gry. – Widząc zdezorientowaną minę Delphine, dodał: – I pozwolisz, abym już zawsze ci pomagał. – To rzekłszy, ukłonił się z tak teatralną przesadą, że pozostali zaczęli śmiać się

i klaskać z rozbawienia.

Zirytowana Lili stłumiła jęk. Nikt nie mógł być tak kiepski w *paille-maille*, jak udawała Delphine. W ten sposób gra ulegała spowolnieniu, zupełnie jakby głównym celem Delphine było zwracanie na siebie uwagi. Anne-Mathilde i Joséphine – te potworne dziewczyny z klasztoru – wcale nie grały lepiej. Lili nie potrafiła określić, która z nich dwóch była gorsza. Anne-Mathilde miała na głowie modne loczki, jej skóra, jak zawsze, wydawała się nieskazitelnie gładka i delikatnie zaróżowiona od letniego słońca. Jako siedemnastolatka przybrała nieco na wadze, a jej kobiece krągłości podkreślała luźno wiązana letnia sukienka – ostatni krzyk mody na relaksujące pobyty za miastem.

Joséphine de Maurepas wciąż była przeciwieństwem koleżanki. Też urosła kilka centymetrów, ale pozostała chuda i płaska. Lili nie dostrzegała w niej ani jednej cechy wartej wyróżnienia. Prestiż Joséphine brał się wyłącznie z sympatii, jaką darzyła ją Anne-Mathilde. Sympatia ta była zrozumiała, zważywszy że Joséphine zawsze chętnie oddawała się bezlitosnym plotkom i, co ważniejsze, była wpatrzona w Anne-Mathilde jak w obrazek. Lili przyglądała się im przez chwilę, kiedy zbliżyły głowy, skrywając twarze za wachlarzami, i szeptały coś do siebie, prawdopodobnie na temat jawnego zainteresowania, jakie Jacques-Mars okazywał Delphine.

Tłumiąc gniew, Lili podeszła do swojej piłki. Mierzyła do niej przez krótką chwilę, po czym uderzyła. Piłka przeszła idealnie przez metalową obręcz ustawioną na trawniku dwa metry dalej. „Co za strata czasu" – pomyślała. Ze złością w sercu przywołała na twarz uśmiech i uniosła głowę.

PAŁAC VAUX-LE-VICOMTE został niedawno nabyty przez księcia de Praslin, ojca Anne-Mathilde. Kiedy *maman* podjęła decyzję o miesięcznym odpoczynku od sierpniowego żaru Paryża, Lili nawet się ucieszyła na ten wyjazd, mimo że oznaczał niechciane spotkanie z Anne-Mathilde oraz Joséphine. Zwykle idylliczny Place Royale latem nie miał żadnej ochrony przed smrodem ścieków i gnijących śmieci dryfujących po Sekwanie. Palący w oczy odór snuł się, wzbierając na sile, nad brudnymi ulicami i alejkami miasta, aby – przynajmniej tak się wydawało Lili – osiągnąć swoje apogeum nad Place Royale. Dziewczyna miała dość ukrywania się w najdalszych zakamarkach Hôtel

Bercy, by złagodzić nieustający ból głowy. Teraz jednak pamiętała jedynie zalety paryskiego odosobnienia.

Omiotła wzrokiem roztaczające się przed nią zielone połacie ogrodów i imponujące, piaskowe ściany potężnego pałacu. Nierówne rzędy podzielonego na części spadzistego dachu pokrywały ciemne plamki śniedzi. Budowlę wieńczyła ogromna kopuła nad holem głównym. Z odkrytego tarasu na jej szczycie Lili, zaraz po przyjeździe, podziwiała niekończące się rzędy starannie przyciętych bukszpanowych żywopłotów porastających ziemię usypaną czerwonym grysem. Całość przypominała bardziej tureckie dywany niż coś, co stworzyła natura.

Widok z kopuły Vaux-le-Vicomte uświadomił dziewczynie, że goście w tym miejscu mieli chodzić w linii prostej pomiędzy kwietnikami oraz trzymać się ścieżek biegnących wzdłuż kanałów. Musieli zapomnieć o własnych pomysłach na to, co robić czy gdzie iść. Nawet kwiatom nie wolno było swobodnie rozsiewać swoich kolorów na tak perfekcyjnie ujarzmionym skrawku natury, nie licząc kwiecistych rzędów wokół posągów, rozstawionych w równych odległościach na starannie przyciętych, prostokątnych pasach trawników. Za zieloną fosą otaczającą pałac Lili naliczyła osiem sztucznych zbiorników o geometrycznych kształtach, rozmieszczonych symetrycznie wzdłuż szerokiej alejki, która biegła niczym kręgosłup środkiem majątku.

„Zupełnie jakby całe to miejsce nosiło gorset" – pomyślała Lili, stojąc tamtego ranka z Delphine na tarasie. Lili zgodziła się zwiedzić każde otwarte pomieszczenie na parterze, pod warunkiem że Delphine pokona z nią – jak się wydawało – ponad setkę schodów i wejdzie na najlepszy punkt widokowy w całym majątku. Spoglądając w dół, Delphine dostrzegała jedynie przechadzające się grupki kobiet w lśniących kreacjach, z falbaniastymi parasolkami i w towarzystwie mężczyzn w ciemnych marynarkach oraz dopasowanych spodniach. Nie mogła się doczekać, kiedy zejdzie na dół i pozna pozostałych gości rezydencji.

Jako piętnastolatka Delphine zmieniła się z ładnej dziewczynki w piękną młodą kobietę. Jej włosy, gładkie i lśniące niczym lejący się, rudozłoty jedwab, teraz zostały modnie upięte pod maleńkim kapelusikiem. Choć skóra dziewczyny latem miała tendencję do pokrywania się piegami, cieniutka warstwa emulsji wygładzała ją i nadawała delikatnego blasku. Zresztą i tak nikt nie zdołałby

oderwać wzroku od jej dużych, zielonych oczu na tyle długo, by dostrzec jakieś niedoskonałości.

– Mam zamiar oczarować każdego, kto zwróci na mnie jakąkolwiek uwagę – oznajmiła, gdy kierowały się do wyjścia z tarasu widokowego. – Będę błyskotliwa... – Urwała w poszukiwaniu właściwych słów. – Ujmująco impertynencka.

– Naczytałaś się za dużo powieści – odcięła się Lili.

– Cóż, dlaczego mam nie spróbować zwrócić na siebie uwagi? – żachnęła się Delphine. – Najlepsze wejście na salony miały dziewczęta, które już wcześniej zasłynęły w towarzystwie z uroku i urody. Mam zamiar przewyższyć je wszystkie, a ponieważ ciebie takie rzeczy nie obchodzą, zrobię to sama.

Lili nawet nie dostrzegła jej uszczypliwego tonu. W oddali, ponad ograniczeniami i wymuszoną perfekcją ogrodów, majaczyły czubki drzew rozległego lasu, kłębiąc się i kołysząc niczym luźna, lekka sukienka, którą można zakasać i pomknąć radośnie w inny świat. Gdzieniegdzie dostrzegało się ślady szlaków konnych, rozchodzących się w różnych kierunkach i znikających po chwili w leśnej gęstwinie. „Oto gdzie chcę być – rozmarzyła się Lili. – Sama. Sama z moimi myślami – i może z książką – pod jakimś drzewem".

– No więc? – zapytała Delphine buńczucznie.

– Więc co?

– Zamierzasz dołączyć do mnie i zachowywać się, jak przystało dobrym gościom, czy będziesz się wylegiwać na kanapie, czytać filozofię, rozwiązywać bezcelowe zadania matematyczne i robić inne bzdurne rzeczy, które tak lubisz?

Lili westchnęła.

– Nic nie poradzę na to, kim jestem.

– Wiesz, gdyby choć trochę obchodziła cię fryzura i zmyłabyś z palców te plamy tuszu, przyciągałabyś znacznie większą uwagę. – Delphine znów się odwróciła i popatrzyła na spacerowiczów w ogrodzie. – Zimno tutaj. Nie chcesz już zejść?

Lili ją zignorowała.

– Nie jestem tobą – powiedziała. – Nie jestem ani delikatna, ani piękna – ani nawet zainteresowana upiększaniem się, jeśli już o tym mówimy.

Delphine prychnęła.

– Zachowujesz się jak jakiś ohydny, mały troll, a przecież wcale nie jesteś brzydka! Ani trochę!

Urodę Lili chyba najlepiej oddawał epitet „przystojna” – słowo często używane w stosunku do kobiet bez żadnych szczególnie szpetnych nieregularności w rysach, jednak pozbawionych delikatności oraz harmonijności, które pozwoliłyby im zasłużyć na lepsze komplementy od okazjonalnego: „raczej atrakcyjna”. Miała nieco za duże oczy o nijakim odcieniu brązu, a włosy przybrały z wiekiem niezbyt wyrazisty kolor oscylujący pomiędzy brązowym i czarnym. Ponadto, jak niejednokrotnie podkreślała Delphine, Lili nie dbała o staranne uczesanie, nie pudrowała skóry ani nie nakładała różu na policzki i usta.

– To by zrobiło taką różnicę – rzekła kiedyś Delphine tęsknie, pozwalając głosowi wybrzmieć w ciszy, jakby uczestniczyła w tragedii rozgrywającej się na jej oczach.

ŚMIECH GRUPKI grającej w *paille-maille* przywrócił Lili do rzeczywistości. Cóż z tego, że lasy przyzywały ją do siebie, jeśli nie mogła tam chodzić ani jeździć w samotności, a każdy potencjalny towarzysz wykazywał niezrozumiałą skłonność do uderzania w drewnianą piłkę przez wiele nużących godzin? Westchnęła na tyle głośno, by ją usłyszano. Julie wsunęła rękę pod ramię Lili i kobiety oddaliły się poza zasięg słuchu pozostałych gości, na żwirową alejkę, która z każdym krokiem chrzęściła pod ich stopami.

– Jeśli będziesz się tak krzywić, zrobią ci się zmarszczki – powiedziała Julie, spoglądając na Lili spod parasolki. Różowy jedwab rzucał na jej twarz ciepłą poświatę. – Co się stało?

– Tak bardzo chciałabym robić coś innego. Cokolwiek – wyznała Lili i odwróciła głowę w stronę grających. Anne-Mathilde właśnie uderzyła w piłkę, a uczyniła to równie niezdarnie jak przed chwilą Delphine. – Co się dzieje z tymi dziewczętami? Delphine mogłaby celniej uderzyć tę głupią piłkę. Dlaczego zachowuje się tak, jakby sprawiało jej przyjemność, że jest w czymś beznadziejna?

– Delphine lubi flirtować – odparła Julie. – I cieszy ją zainteresowanie, które wzbudza. – Spojrzała na Lili z powagą. – Masz prawie szesnaście lat. W tym wieku to normalne, że zaczyna się zwracać uwagę na mężczyzn. Niedługo ty i Delphine staniecie się tematem rozmów na dworze. Wszyscy będą się zastanawiać, kogo poślubicie. Nie interesuje cię to?

– Interesuje mnie, czy tylko ja uważam *paille-maille* za

śmiertelnie nudne. – Lili zakręciła ze złością parasolką. – Proszę, czy możemy zamiast tego wybrać się na przejażdżkę?

– *Maman*, spójrz! – zawołała Delphine. Stuknęła w piłkę, która odbiła się od metalowej obręczy, ale w końcu wpadła do środka. Tłum zawiwatował, Joséphine i Anne-Mathilde zachichotały, a Delphine przekrzywiła głowę w dobrze przećwiczonym geście i wręczyła swój kij Jacques'owi-Marsowi, zupełnie jakby urodził się tylko po to, by nosić go razem z jej parasolką.

Lili odwróciła się, ale poczuła łokieć *maman* przyciągający ją do siebie.

– Przejażdżka jutro – powiedziała Julie. – Obiecuję.

LETNIA BURZA zniweczyła plany na następny dzień, a kiedy kolejnego dnia Julie zmogła migrena, spełniła obietnicę daną Lili, prosząc gospodarza, by zorganizował wycieczkę konną dla młodzieży przebywającej w pałacu.

– Będę ćwiczyć cały dzień na Jacques'u-Marsie – oznajmiła Delphine poprzedniego wieczoru, gdy Corinne pomagała im rozebrać się do snu.

– Ćwiczyć co? – spytała Lili, choć i tak doskonale wiedziała.

– Urok osobisty. On ma dopiero dwadzieścia lat i jest zdecydowanie za młody na małżeństwo, ale po śmierci ojca zostanie hrabią, a wszyscy mówią, że ich ziemie należą do najładniejszych we Francji. – Uwolniona z gorsetu, który włożyła na kolację, Delphine w samej halce zakręciła się tanecznym krokiem po ich prywatnym saloniku. – Może na jesieni zostanę zaproszona do jego rodzinnego pałacu, jeśli naprawdę go oczaruję.

– Już nie mogę się doczekać – burknęła Lili.

Delphine stanęła i ujęła się pod boki.

– Kiedyś byłaś fajna, ale teraz się zmieniłaś! – wybuchła. – „Wolałabym poczytać" – przedrzeźniała siostrę, poruszając szczęką jak marionetka. – „Wolałabym zająć się geometrią". – Lili aż otworzyła buzię, zszokowana tym nagłym atakiem. – „Wolałabym pisać o Świergotce!". – Delphine potrząsnęła głową, jakby chciała odciąć się od tej całej dziecinady.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała Lili surowym tonem.

– A nie wolałabyś?

Wtedy Lili doznała nagłego, przykrego olśnienia. Od miesięcy Delphine bawiła się włosami albo muskała opuszkami palców

wzory na tkaninach sukien *maman*, gdy Lili czytała jej swoje opowieści.

– Kiedy Tom i Świergotka się pocałują? – pytała Delphine co jakiś czas.

– To by wszystko zepsuło – odpowiadała zawsze Lili, czasem z taką stanowczością, że *maman* musiała się wtrącić, by zapobiec kłótni.

„Może i ja wyrastam już ze Świergotki – przeszło jej przez myśl. – Opisuję nowe przygody dla tej Delphine, która już nie istnieje". Coraz więcej wysiłku kosztowało ją sięganie po pióro, ale po obeldze ze strony Delphine Lili z pewnością nie zamierzała się do tego przyznać.

– Chciałabym, żeby Świergotka wbiła ci trochę rozumu do głowy kijem od *paille-maille* – rzuciła Lili, postanawiając nie łagodzić tych słów przyjaznym uśmiechem.

– *Mon Dieu,* Lili, robisz potworne wrażenie. – Delphine zawiązała szarfę od szlafroka i ze złością zacisnęła węzeł.

– Mówisz jak zakonnice – odparowała Lili.

– To wcale nie jest śmieszne! Zachowujesz się, jakbyś była lepsza od innych, a tymczasem ja muszę bardzo się starać, żeby ludzie nie przestali mnie lubić przez ciebie.

– Lepsza? Nie umiem robić tego, co tobie tak świetnie wychodzi. Nie umiem uśmiechać się, kokietować i czynić błyskotliwych uwag, które wszystkich rozśmieszają.

– Umiałabyś, gdybyś chciała! – wyrzuciła z siebie rozgoryczona Delphine i opadła na łóżko. – Nie martwisz się, że nikt cię nie polubi, jeśli będziesz tylko narzekać i zachowywać się, jakby nic, co mówią inni, nie wydawało się interesujące?

– Bo nie jest. Poza tym nie bardzo rozumiem, dlaczego niezdarne uderzanie piłki czyni cię bardziej sympatyczną ode mnie.

– Cóż, najwyraźniej to prawda, nawet jeśli to nie ma sensu – odparła Delphine. Milczała przez moment. – Szkoda, że nie jest już tak jak kiedyś – burknęła, zwracając się do Lili, która usiadła przy toaletce, żeby wyszczotkować włosy. – Anne-Mathilde to taka odpychająca osoba, ale gdy wciąż słyszę o jej wspaniałych perspektywach małżeństwa, bo jest taka ładna i czarująca, nie wiem, co we mnie wstępuje, ale chcę się zachowywać tak jak ona – urwała. – Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałam.

Lili zerknęła w lustro na odbicie Delphine i dostrzegła, że

siostra walczy ze łzami.

– Żal mi biednego osła, który zadowoli się Anne-Mathilde – stwierdziła Lili, próbując rozluźnić atmosferę – albo tym szaraczkiem, który za nią wszędzie kica.

Jednak Delphine nie było do śmiechu.

– To wcale nie jest zabawne. Wolałabym wyjść za mąż za osła, niż nie mieć żadnej oferty albo utknąć z kimś takim jak hrabia de Beaufort. Nic dziwnego, że jego żona umarła tak młodo. – Delphine zmarszczyła nosek z odrazą. – Nie miała dokąd uciec. Musiała spać co noc z kimś o zgniłych zębach i oddechu śmierdzącym jak... jak...

– Gazy psa? – podpowiedziała Lili. Parsknęła nieco zbyt głośno i nieelegancko, po czym usiadła obok Delphine. – Wyobrażasz sobie, że wskakujesz do łóżka i czujesz ten potworny odór spod kołdry?

Grobowy nastrój Delphine zniknął wraz z pierwszą salwą śmiechu.

– Czy chciałabyś dziś zrobić dziecko, kochanie? Czuję się dość wybuchowo! – rzekła Lili i złapała się za brzuch, wiedząc, że już za chwilę rozboli ją ze śmiechu.

Delphine przyłożyła pięść do ust i cmoknęła, zasysając mocno powietrze.

– Mogę posłać coś wyjątkowo śmierdzącego w twoją stronę. Czy tak to się robi?

– Oczywiście, kochanie – zaśmiała się Lili. – A za dziewięć miesięcy wydmuchnę z siebie małego Beauforta – urwała. – Czy monsieur wolałby chłopca czy dziewczynkę?

Delphine przetarła oczy.

– To musi być chłopiec, bo nazwiemy go Gas-ton! – powiedziała, płacząc ze śmiechu, a następnie wstała w poszukiwaniu chusteczki, w którą mogłaby wytrzeć nos. – Lili, wiem, że żarty o gazach nie wchodzą w grę – dodała. – Ale czy mogłabyś spróbować – bardzo proszę! – być choć w połowie tak zabawna na jutrzejszej przejażdżce?

Lili mogłaby się najeżyć na wzmiankę o swoich mankamentach, ale zamiast tego zmrużyła oczy i uśmiechnęła się tajemniczo do Delphine.

– Chcesz zobaczyć, co znalazłam w bibliotece? – Wstała, wyjęła spod materaca jakąś książkę i pomachała nią przed nosem siostry. – *Thérèse Philosophe*. Sięgnęłam po nią, bo myślałam, że

opowiada o kobiecie filozofie, ale nie zgadniesz... – Zaczęła kartkować tom, dopóki nie znalazła pierwszego lepszego obrazka. Pokazała go Delphine.

Dziewczyna otworzyła szeroko oczy i wyrwała Lili książkę.

– Co ona robi?

Na samym środku ilustracji znajdowały się ogromne, obnażone pośladki kobiety, jej twarz była niewidoczna. Za nią klęczał ksiądz z ogromnym przyrodzeniem zanurzonym w jej ciele. Na drugim planie pokojówka podglądała ich przez dziurkę od klucza. Ona też stała zgięta wpół, z zakasaną spódnicą, podczas gdy inny mężczyzna w eleganckim ubraniu robił jej to samo.

Dziewczęta usadowiły się razem w niewielkim fotelu. Rozłożyły książkę na kolanach i oglądały rysunek za rysunkiem, każdy przedstawiający mężczyzn i kobiety w różnych pozycjach.

– *Mon Dieu*! – Delphine złapała gwałtownie powietrze i zakryła usta dłonią. – Te męskie rzeczy są ogromne. Gdzie to się mieści?

– Nie mam pojęcia – odparła Lili. – Ksiądz mówi Eradice – to starsza pani, przyjaciółka Thérèse, że pomaga jej doświadczyć mistycznej wizji Boga. Eradice widzi jego... to coś... i myśli, że to wąż z rajskiego ogrodu, ale on zapewnia, że wcale jej tego nie włoży, kiedy ona się odwróci. Włoży jej świętą relikwię, stwardniały fragment sznura, którym święty Franciszek obwiązywał się w pasie, no, a ona mu wierzy. Thérèse obserwuje ich zza zasłony, podczas gdy on... no cóż... sama widzisz.

– Przeczytałaś wszystko? – zapytała Delphine, rozdziawiając buzię.

Lili przytaknęła z zażenowaniem.

– Znalazłam ją kilka dni temu.

– Ty bezwstydnico! – zachichotała Delphine. – Przeczytaj mi fragment!

– „Czuję, jak mój umysł odłącza się od materii i wędruje prosto do Boga. Naprzód! Wyżej! Mocniej! Mocniej! Widzę anioły. Nie przestawaj! Nie odmawiaj mi prawdziwej niebiańskiej rozkoszy! Och! Och!”.

Dziewczyny popatrzyły na siebie zdezorientowane.

– To nie ma sensu – stwierdziła Delphine. – Ona wygląda tu raczej, jakby mówiła „au!” i kazała mu przestać.

– Albo jakby miała zamiar zaraz wstać i uciec. – Lili pokręciła głową i czytała dalej. – „ Z każdym cofnięciem księdza, gdy jego członek się wysuwał, wargi Eradice się rozchylały, ukazując

cudowny karmazynowy odcień jej wnętrza. Gdy parł do przodu, kolor znikał. Na wierzchu pozostawały jedynie krótkie, czarne włoski, które zdawały się obejmować jego członek tak ciasno, jakby był połykany w całości”[3].

Delphine wydała z siebie stłumiony okrzyk i spojrzała w ogromne oczy Lili.

– Chyba nie chcę więcej tego słuchać – szepnęła, zakrywając usta.

– Ja też nie. Niedobrze mi się robi od samego patrzenia. Powtarzam sobie, żeby zanieść to do biblioteki, ale zawsze coś mnie powstrzymuje.

Delphine w zamyśleniu musnęła palcami okładkę.

– To ohydne – mruknęła – ale czy nie powinnyśmy wiedzieć takich rzeczy? Przecież nie jesteśmy już dziećmi. – Znów się zamyśliła, po czym zachichotała. – Wiem! Zapytajmy baronową Lomont! „Co to za włoski i karmazynowy odcień, o którym słyszałyśmy? Proszę, proszę nam powiedzieć!”.

Lili ją zignorowała.

– Nawet nie chcę o to pytać *maman* – burknęła.

Delphine przestała się śmiać.

– Wiem. To po prostu zbyt okropne – rzekła posępnym tonem. – Musimy się przyszykować do kolacji. – Zabrała Lili książkę i schowała ją z powrotem pod materac.

POWIETRZE POZOSTAWAŁO CIEPŁE na długo po zmierzchu. Jego delikatne smugi spowijały mgiełką skąpane w księżycowej poświacie trawniki Vaux-le-Vicomte. Później tej nocy Lili obudziły głośne uderzenia piorunów i dziewczyna spędziła godzinę przy oknie, przyglądając się błyskawicom przecinającym w oddali czarne niebo.

Myślami była gdzie indziej, z Delphine. „Kiedy ostatnio śmiałyśmy się w ten sposób?” – zastanawiała się ze smutkiem. Miała wrażenie, że minęło dobrych kilka lat.

Czy ich bliskość tego wieczoru znaczyła tyle samo dla Delphine, ile dla niej? Lili wątpiła. Gdyby Anne-Mathilde weszła do pokoju, kiedy turlały się po podłodze i zanosiły od śmiechu, czy Delphine zerwałaby się na równe nogi i próbowała jakoś zatuszować swoje dziecinne zachowanie?

Lili starała się samą siebie przekonać, że wcale nie, ale bezskutecznie. W przeszłości na koniec podobnego wieczoru

zasnęłyby w jednym łóżku, po długich rozmowach szeptanych w ciemności. Teraz Lili czuła się jak odcumowana łódź – nie wiedziała, gdzie jest ani w którą stronę się zwrócić. „Kraina dryfujących ludzi" – pomyślała, próbując przez chwilę wyobrazić sobie sytuację, w jakiej mogliby się znaleźć Świergotka i Tom, jednak wysiłek szybko ją znużył.

„Chciałabym, żeby wszystko było jak kiedyś" – Lili przypomniały się słowa siostry. Jednak okoliczności się zmieniły i w oczywisty sposób pasowały bardziej pięknej i towarzyskiej Delphine niż jej.

Zahuczał grzmot i w tym samym momencie błyskawica rozświetliła strumienie wody w fontannach przy wejściu do pałacu. Zaczął padać deszcz – z początku delikatny, potem coraz mocniejszy. Zza rogu wyłoniła się jakaś para i teraz biegła ku głównym drzwiom, ślizgając się i potykając na mokrym bruku.

Przed oczami Lili stanął obraz obnażonych pośladków Eradice, a kiedy śmiech kobiety przez chwilę zabrzmiał jak Delphine, przeszedł ją zimny dreszcz. „To niemożliwe. Jeszcze nie teraz" – przemknęło jej przez myśl.

Zakradła się na paluszkach do sąsiedniego pokoju i zobaczyła, że Delphine śpi, z jasnymi włosami porozrzucanymi na poduszce. Okno trzęsło się od ulewy i na parapecie zaczęła zbierać się woda. Lili zamknęła je starannie, po czym wślizgnęła się do łóżka obok siostry.

DELPHINE NAWET SŁOWEM NIE WSPOMNIAŁA o tym, że po przebudzeniu zastała Lili w swoim łóżku. Nie odwróciła się, żeby ją przytulić ani nie odgarnęła jej czule włosów z twarzy. Wyskoczyła z pościeli, powiedziała coś o tym, jak już późno, i zapytała, czy Lili nie widziała jej nowych butów do konnej jazdy. Teraz, kiedy Lili pragnęła jedynie spokojnego dnia w lesie z *maman*, tylko najgłośniejszy skrzek poirytowanych ptaków przedzierał się przez odgłos końskich kopyt, gdy sześcioosobowa gromadka kłusowała polną dróżką.

„Czy tutaj wszystko zmienia się w piekło? – zastanawiała się dziewczyna. – Chcę jeździć konno, żeby uciec od gości w Vaux-le-Viconte, a nie brać ich ze sobą do towarzystwa".

Po opuszczeniu stajni grupka ruszyła wolnym galopem, aby jak najszybciej dotrzeć do chłodnego cienia lasu. Rześka woń unosząca się w powietrzu po nocnej burzy ustąpiła miejsca

mdłemu zapachowi zwiędłych kwiatów oraz trawy parującej w gorącym, letnim słońcu. Nowy strój jeździecki Lili uszyty z ciężkiego, sztywnego aksamitu sprawiał, że halka przywierała jej do ud, a pot ściekał po plecach pod ciasnym żakietem.

Szlak prowadził do polanki na skraju lasu i grupka zebrała się w cętkowanym cieniu drzew. Mężczyźni wycierali czoła, klnąc pod nosem na panujący skwar, podczas gdy dziewczęta dotykały delikatnie twarzy chusteczkami, żeby nie uszkodzić warstwy pudru oraz różu odpowiedniego dla dam w ich wieku. Po chwili Delphine i Jacques-Mars Courville pokłusowali przodem. Lili widziała piórko podskakujące na kapeluszu siostry, gdy ta przekrzywiała głowę to w jedną, to w drugą stronę (dokładnie tak, jak ćwiczyła w lustrze). Anne-Mathilde i Joséphine jechały pośrodku, a orszak zamykała Lili z bratem Anne-Mathilde – Paulem-Vincentem. Paul-Vincent, choć był spadkobiercą Vaux-le-Vicomte i przyszłym księciem de Praslin, budził niewielkie zainteresowanie, ponieważ miał dopiero trzynaście lat.

– Nie uśmiechasz się zbyt często. – Paul-Vincent przyglądał się uważnie dziewczynie. Lili posłała mu kwaśny uśmiech. Miała nadzieję, że to zniechęci go do rozmowy, ale on nie przestawał się w nią wpatrywać. – Zawsze sprawiasz wrażenie, jakbyś o czymś intensywnie myślała.

– Myślę o tym, jak bardzo bym chciała zostać sama – oznajmiła Lili.

– A ja myślę, że powinienem czuć się obrażony – zripostował.

Nieoczekiwana pewność siebie w jego głosie spowodowała, że Lili zatrzymała konia i zwróciła się do rozmówcy.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie dałeś mi powodu, żebym była tak niegrzeczna. – Jej koń parsknął i zarzucił łbem, jakby chciał już dołączyć do innych, ale ona tylko mocno ściągnęła wodze i spojrzała na towarzysza przejażdżki.

Okres dojrzewania uczynił Paula-Vincenta de Praslin dość niezgrabnym i tymczasowo nieatrakcyjnym. Chłopak miał pryszcze na policzkach i ciemny meszek nad górną wargą, jednak jego spojrzenie zdradzało głębię, której Lili nie dostrzegła u żadnej z osób siedzących na końskich grzbietach kilka metrów dalej i gawędzących beztrosko.

– Ludzie myślą, że się na nich krzywię – rzekła – ale pochlebiają sobie, bo przez większość czasu nawet ich nie zauważam. Oddaję się rozrywkom w mojej głowie –

a przynajmniej próbuję – co nie jest łatwe przez tę paplaninę.

Śmiech dojrzewającego Paula-Vincenta zmienił się szybko w rżenie i jego policzki poczerwieniały ze wstydu. Ruszył stępem po piaszczystej drodze.

– Jeszcze przed chwilką rozważałem pewne zagadnienie matematyczne – powiedział. – Coś takiego: gdybym teraz zawrócił i pojechał w przeciwnym kierunku, a nikt inny by tego nie zauważył przez dziesięć minut, ale potem moja głupkowata siostra i ta Joséphine zaczęłyby mnie gonić, jadąc dwa razy szybciej ode mnie, to kiedy by mnie dogoniły i opowiedziały wszystkie plotki, które straciłem?

Lili się zaśmiała, a on uniósł na nią wzrok.

– Masz ładny śmiech – rzekł. – I ładny uśmiech. Nie zauważyłem tego wcześniej.

„Gdyby Paul-Vincent był chłopcem albo dorosłym mężczyzną, wiedziałabym, jak przyjąć komplement – pomyślała Lili – ale komplement z ust kogoś, kto nie jest ani jednym, ani drugim?". Tak czy inaczej, żart matematyczny wydawał się jej najśmieszniejszą rzeczą, jaką słyszała od dłuższego czasu.

– Co robisz całymi dniami? – zapytała Lili. – Widuję cię tylko na obiedzie. Jak wymigujesz się od gry w *paille-maille*?

– Nikogo nie obchodzi, co porabia trzynastoletni chłopiec. Jestem za duży, żeby być uroczym, i za mały na zabawianie gości. Spaceruję albo zostaję w pokoju i robię, co zechcę.

– Na przykład?

– No, nie wiem. Małe eksperymenty naukowe. Urządzam laboratorium w Vaux-le-Vicomte i głównie przyglądam się różnym rzeczom pod mikroskopem.

– Laboratorium? – Lili aż otworzyła usta. – Mikroskop? Tutaj?

– To nie to, co myślisz. Na razie mam tylko kącik z rozmaitym sprzętem w mojej garderobie. Ojciec obiecał, że zbuduje prawdziwe laboratorium w Vaux-le-Vicomte, choć nie wiem, ile czasu będę tu spędzał, żeby z niego korzystać.

– Co oglądasz?

– Och, wszystko, co wydaje mi się interesujące. Mech, pleśń, liście. Patrzę na owady i maleńkie rzeczy kręcące się w kropelkach wody. – Poklepał sakwę przyczepioną do siodła. – Miałem nadzieję, że znajdę dziś jakieś obiekty, które będę mógł obejrzeć. Może chcesz się dołączyć?

– Jak mikroskop mógłby się tam zmieścić? – zapytała. Zdawała

sobie sprawę, że w jej głosie słychać ekscytację, jednak gdy tylko pomyślała o dezaprobacie, jaką wyraziłaby w tym momencie Delphine, natychmiast odsunęła od siebie nieprzyjemne myśli.

Paul-Vincent znów zatrzymał konia i wyciągnął niewielki futerał. W środku znajdował się miedziany przyrząd, tak mały, że mieścił się w jego dłoni. Wręczył go Lili, a wtedy ona uniosła wzrok oniemiała. Widziała kiedyś rysunek mikroskopu, ale tamten w niczym nie przypominał maleńkiego przedmiotu w kształcie skrzypiec z ogromną śrubą zamiast szyjki instrumentu oraz szklaną soczewką w miejscu otworu rezonansowego.

– To mikroskop Leeuwenhoeka. Wyjaśnię ci, jak działa. – Paul-Vincent wziął urządzenie od Lili. – Śruba zacieśnia lub luzuje te maleńkie szczypce wokół soczewki, więc bez względu na to, co położysz na szpikulcu – Paul-Vincent dotknął palcem ostrego czubka umieszczonego nad szklaną kulką – zobaczysz wyraźny obraz, kiedy ustawisz mikroskop pod światło. – Uniósł wzrok na mozaikę liści ponad ich głowami. – Jeśli, oczywiście, jest jakieś światło. – Schował przyrząd z powrotem do futerału, który następnie wsunął do sakwy. – Mikroskop Hooke'a jest łatwiejszy w użyciu, bo patrzysz na coś przez cylinder, ale tak naprawdę ten lepiej powiększa. Jeśli chcesz, po drugim śniadaniu mogę ci pokazać, jak to funkcjonuje.

„Czy chcę?" – pomyślała Lili z przejęciem.

– Byłabym zachwycona – rzekła, próbując naśladować kokieteryjny ruch głową Delphine i natychmiast pożałowała, że prawda zabrzmiała w jej ustach jak kłamstwo.

DOGONILI RESZTĘ GRUPY tuż przed wjazdem na polanę przy domku myśliwskim. Z komina nad paleniskiem wydobywały się kłęby dymu. Wnętrze zostało odkurzone, a nad dywanem rozżarzonych węgli wisiał wielki garnek, jednak nie licząc chwilowej krzątaniny, w domku trudno było zauważyć świeże oznaki zamieszkania.

Budynku raczej nie dało się nazwać rustykalnym. Boazeria w westybulu została pomalowana i ozdobiona pozłacanymi cherubinami dzierżącymi rzeźbiony sztandar z wytłoczonym herbem markiza du Villars, poprzedniego właściciela Vaux-le-Vicomte. Właściwie to nic w domku nie wskazywało na jego myśliwskie przeznaczenie, jeśli nie liczyć przerażonego jelenia

oraz dzika z rozdziawioną paszczą, których głowy wisiały w przedsionku. Talerze na stole wydawały się tak filigranowe, a kryształy tak delikatne, że gdyby Lili była bohaterką baśni Charles'a Perraulta albo madame d'Aulnoy, miejsce to z pewnością okazałoby się zaklęte.

„Gdzie jest zła czarownica?" – pomyślała. Żałowała, że nie ma obok niej Delphine i nie może podzielić się z nią tym żartem. Pozostałe dziewczęta zniknęły na piętrze i Lili podążyła za nimi, zdumiona ich częstymi wybuchami śmiechu.

Przy stole, nad *ragoût* z sarny z warzywami, Anne-Mathilde oraz Joséphine rozwodziły się nad tym, jak proste – oraz w pewnym sensie oczyszczające i nieskalane – musi być życie chłopów, a także jak bardzo są rozczarowane, że na górze brakuje mebli.

– Będziemy musieli namówić ojca, żeby to zmienił, skoro już Vaux-le-Vicomte należy do nas – oznajmiła Anne-Mathilde. – Prawda, Paulu-Vincencie? – Wtedy dostrzegła szeroki uśmiech Lili. – Co cię tak śmieszy?

– Och, nic takiego – odparła Lili. – Tylko wyobraziłam sobie ciebie tutaj. – „Mieszającą w garnku truciznę" – dodała w myślach.

– To może być mój mały domek do przyjmowania gości. – Anne-Mathilde zignorowała Lili i zwróciła się do dwóch pozostałych dziewcząt. – Chyba że zechcesz zamienić go w głupie, nudne laboratorium. – Pokazała bratu język, jakby chciała zademonstrować, że nawet to jej nie oszpeci. Potem wybuchła śmiechem, który szybko przerodził się w odgłos przypominający gdakanie. Lili zaczęła się zastanawiać, czy zaklęcie rzucone przez Anne-Mathilde nie zamieni zaraz wszystkich w zwierzęta gospodarskie.

– Nie, najdroższa siostrzyczko – odparł Paul-Vincent. – Właściwie sprawiłoby mi niezmierną przyjemność, gdybyś spędzała tu ze swoimi przyjaciółmi cały czas. – Zerknął na Lili. Dziewczyna mogłaby przysiąc, że puściłby jej oczko, gdyby mógł to uczynić, nie zdradzając przy tym sarkastycznego tonu wypowiedzi.

Anne-Mathilde, nie wyczuwszy najmniejszego nawet afrontu, odłożyła serwetkę. Służący w liberii – jeden z kilku, którzy przybyli tu o świcie, by przygotować domek dla gości – podszedł i pomógł jej odsunąć krzesło.

– W takim razie postanowione – rzekła Anne-Mathilde, wstając. – Domek jest mój. A skoro jestem jego panią, to ja ustalam zasady. Nie przeszkadzajcie damom przez najbliższą godzinę, żebyśmy mogły wypocząć przed tą potworną podróżą powrotną do pałacu.

– Ja nie jestem zmęczona – wtrąciła się Lili. – Paul-Vincent obiecał mi spacer.

– Lili! – jęknęła błagalnie Delphine. Podeszła do Lili i złapała ją za łokieć. – Powinnaś zostać z nami – szepnęła. – Wiesz. Bądź towarzyska.

„To jedyne zainteresowanie, jakie mi dziś okazała" – pomyślała Lili, z trudem tłumiąc gniew.

Błagalny uśmiech Delphine zniknął, kiedy poczuła opór ze strony siostry.

– Och, idź więc – prychnęła.

Lili czuła na sobie spojrzenie wszystkich trzech panien, gdy okręciła się na pięcie, by wyjść z domku z Paulem-Vincentem.

WĄSKA ŚCIEŻKA wiodła z polany nad strumyk, który późnym latem skrywał się pod bagnistymi trawami. W wilgotnym powietrzu fruwały ważki, zewsząd dobiegał rechot żab. Nagle Paul-Vincent uderzył się w twarz. W miejscu, gdzie ugryzł go komar, pozostał maleńki ślad krwi.

– To chyba nie był najlepszy pomysł – stwierdził. – Ale chciałem zebrać trochę wody, na którą mógłbym później w pałacu popatrzeć pod mikroskopem. – Podszedł do Lili i przycisnął palec wskazujący do jej czoła. – Komar – oznajmił. – Mam go. – Przyjrzał się uważniej. – Niestety, trochę się spóźniłem. Będziesz miała bąbel. – Lili odnalazła palcami swędzące miejsce i zmarszczyła nos z obrzydzeniem.

– Jesteś bardzo ładna – powiedział Paul-Vincent. – Najładniejsza w całym pałacu.

– Ja? – Odwróciła wzrok zaskoczona komplementem. – Nie słyszę tego zbyt często. Z nas dwóch to Delphine jest tą ładną.

– Tak, ale w zwyczajny sposób, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Nie bardzo – wyznała Lili, starając się, by jej głos brzmiał swobodnie. Z wielkim zainteresowaniem przyglądała się dwóm ważkom zawieszonym w powietrzu.

Paul-Vincent przedzierał się przez chwasty ku brzegowi strumyka.

– Bardzo miło się na nią patrzy – zawołał do Lili – ale ma się wrażenie, że jest w niej niewiele do odkrycia! – Uniósł słoiczek zapełniony do połowy mętną, zieloną wodą. – Podobnie jak z moją siostrą.

– Delphine jest znacznie bardziej interesująca od Anne-Mathilde! – żachnęła się Lili. „Nie mów o nich – poprosiła w duchu. – Choć masz tylko trzynaście lat, mów lepiej o mnie".

Znów stał obok niej.

– Pewnie wiesz więcej o dziewczętach ode mnie. – Wzruszył ramionami. Zakręcił słoikiem i przypatrywał się przez chwilę wirującej wodzie. – Powinna się nadać. – Znów pacnął się w policzek, po czym wsunął słoik do torby przewieszonej przez ramię.

– Nie wracajmy jeszcze – odezwała się Lili zaskoczona drżeniem w swoim głosie.

Paul-Vincent spojrzał na nią zaciekawiony.

– Przecież jesteśmy pożerani żywcem.

– Wiem – rzekła, muskając twarz palcami. – Czy nie ma jakiegoś innego miejsca, w które moglibyśmy pójść?

– Lubisz poziomki? – zapytał.

– A kto nie lubi?

– No to chodźmy – powiedział. Uczynił gest, jakby chciał ją wziąć pod rękę, ale rychło zmienił zdanie i opuścił niezdarnie dłonie. Ruszył w stronę niewielkiej polanki pomiędzy strumykiem a domkiem myśliwskim. – Zauważyłem spory prześwit, kiedy jechałem tędy sam w zeszłym tygodniu. Może będzie jeszcze trochę owoców, choć sezon prawie się skończył.

– Sam – powtórzyła Lili. – Nie masz pojęcia, jaki to luksus.

– Chyba każdy ma swoje luksusy – stwierdził. – Ty przynajmniej nie musisz bełkotać po łacinie w szkole z internatem. A potem, w przyszłym roku, wyjeżdżam do mojego regimentu. – Zaśmiał się nerwowo. – To brzmi tak dziwnie – „mój" regiment. Rodzice kupili mi dowództwo. Oczywiście nie pytając, czy się zgadzam. Będę musiał odbyć służbę jako młodszy oficer. Mam nauczyć się odpowiednio zachowywać. Poznać ludzi. – Wzruszył ramionami. – Tego typu rzeczy.

Zatrzymał się na moment, żeby się przyjrzeć sarnie i jej potomstwu znikającym w leśnej gęstwinie.

– A więc niedługo będę mógł zapomnieć o robieniu tego, co zechcę, dla przyjemności – dodał. – Choć tak naprawdę podoba mi

się perspektywa noszenia munduru, przyznaję. A co ty robisz w domu, w Paryżu?

– Niewiele. Czytam, piszę historyjki – głupiutkie, dla dzieci. Uczę się przedmiotów, które większość ludzi uważa za niepotrzebne, takich jak astronomia czy fizyka.

– Niepotrzebne?

– Wszyscy twierdzą, że dziewczyna powinna się zajmować tylko takimi sprawami, które mężowie uważają za przydatne. Nie licząc *maman*, oczywiście.

– Myślałem, że twoja mama nie żyje. – Paul-Vincent sięgnął po gałązkę, okręcił się dookoła i rzucił ją przed siebie.

– Bo tak jest. Nazywam mamą madame de Bercy, ponieważ to ona mnie wychowała. – Lili pochyliła się i zerwała żółty kwiatuszek wystający ze spróchniałego pieńka. Przysunęła go do nosa i wdychała aromat – bardziej cierpki i rześki niż słodki. – Czasem z Delphine nazywamy siebie siostrami, choć tak naprawdę nimi nie jesteśmy. – Zastanowiła się przez chwilę. – Skąd wiesz o mojej matce?

– Uczyłem się trochę w szkole o *Principia* – odparł Paul-Vincent. – Kiedy usłyszałem twoje nazwisko, zapytałem Anne-Mathilde, czy ty i tłumaczka jesteście spokrewnione. Nic jej nie obchodziło, czy twoja matka miała trochę oleju w głowie, ale z pewnością była gotowa poplotkować o kilku rzeczach.

– Poplotkować?

– Nie chodzi o nic szczególnego, co mogłoby zawierać choć krztę prawdy. To się zresztą tyczy wszystkiego, co wychodzi z jej ust. Głównie mówiła o tym, że twoja matka bardziej niż powinna interesowała się nauką i choć nie rozumiem, dlaczego ludzi tak obchodzi, czy ktoś spędza czas, wyszywając herby na poduszkach czy rozwiązując zadania matematyczne; najwyraźniej takie zachowanie wydawało się w jakiś sposób niebezpieczne. Podobno to bardzo źle dla kobiet, jeśli mężczyźni widzą, jak jedna z nich...

Odwrócili się na dźwięk dziecięcych głosów. Po kilku chwilach ich oczom ukazała się mniej więcej ośmioletnia dziewczynka i uciekający przed nią o kilka lat młodszy chłopiec. Oboje mieli brudne koszule pokryte gdzieniegdzie czerwonymi plamami – zapewne od poziomek. Na widok Lili i Paula-Vincenta cofnęli się przerażeni.

– Nie bójcie się – powiedziała Lili, zbliżając się do dzieci i z uśmiechem wyciągając do nich rękę. – Zostawiliście trochę dla

nas?

Chłopiec zawył, kiedy dziewczynka pociągnęła go za ramię.

– Niczego nie zjedliśmy! – zawołała i oboje popędzili do lasu co sił w nogach.

Lili zwróciła się do Paula-Vincenta.

– Co właściwie się stało?

– Oni nie powinni zabierać niczego z posiadłości arystokracji – wyjaśnił Paul-Vincent. – Ich rodzina kryje się pewnie gdzieś niedaleko z wielkimi koszami i zbiera owoce, żeby później wymienić je w wiosce na bochen chleba. Może też liczą na złapanie jakiegoś zająca na kolację.

– Czy oni nie mają domu?

– Sądzę, że nie. To pewnie *population flottante*, dryfująca ludność. – Widząc zdumienie na twarzy Lili, wytłumaczył: – Chłopi, którzy stracili swoje ziemie. Teraz jest ich wielu. Wystarczą jedne złe żniwa, a nie mają z czego spłacać długów ani płacić podatków. Tracą domy i swój skrawek ziemi, a potem wędrują po okolicy, korzystając z każdej okazji, żeby coś ukraść.

– Ukraść? Czy zamierzamy sami wszystko zjeść? Przecież dojrzałe owoce i tak zgniją w kilka dni.

– Nie w tym rzecz – powiedział Paul-Vincent. – Ojciec twierdzi, że jeśli Francja ma pozostać silnym krajem, ludzie powinni dostawać jedynie owoce własnej pracy.

– Hodowanie poziomek to praca?

– Jeśli wiedzieliby, że nie patrzymy, ograbiliby nas ze wszystkiego.

Przed oczami Lili stanęła wizja pobitego krawca i nagle przestało ją obchodzić, czy jej ton wyda się komuś gniewny.

– Poziomki rosną same z siebie i należą tak samo do ptaków, jak do tych dzieci czy do kogokolwiek innego. Do nich nawet bardziej, bo one ich potrzebują, żeby zdobyć jedzenie, a ty nie.

Paul-Vincent spojrzał na nią z zakłopotaniem.

– Właściwie to się z tobą zgadzam. Wpojono mi, że syn księcia musi się zachowywać tak, a nie inaczej. Odkryłem, że łatwiej jest po prostu mówić rzeczy, które inni chcą usłyszeć. Naprawdę jednak wcale tak nie myślę. Musi istnieć jakiś sposób na to, żeby każdy miał dość jedzenia, ale nie znam nikogo, kto by się szczególnie zastanawiał nad tym problemem.

Lili poczuła, że zwalnia jej puls.

– Cieszę się, że nie będę musiała dodać cię do listy osób,

z którymi wolę nie rozmawiać. – Przekrzywiła głowę i tym razem jej uśmiech był szczery. – Zwłaszcza że masz mikroskop, przez który jeszcze nie patrzyłam.

Paul-Vincent się roześmiał.

– A może zjemy najpierw trochę mojego dziedzictwa? Usiądź, a ja nazbieram poziomek, żebyś nie zabrudziła sobie rąk.

Zdjął marynarkę, ułożył ją na ziemi, a kiedy Lili na niej spoczęła, wyjął z torby niewielką siatkę na motyle. Parę minut później wrócił z siatką wypełnioną owocami. Usiadł na miękkiej ściółce z gałązek i liści, a następnie wysypał swoją zdobycz. Wybrał spomiędzy poziomek łodyżki i listki, po czym delikatnie położył kilka owoców na dłoni.

– Proszę. – Podał Lili te najładniejsze, a resztę wrzucił sobie do ust.

– Pachną lasem – rzekła, a potem oderwała szypułkę z pierwszej poziomki i włożyła owoc do buzi. Nie musiała gryźć. Delikatna skórka pękła pomiędzy językiem i podniebieniem, uwalniając tak intensywną, wilgotną słodycz, że Lili zamknęła oczy, by lepiej cieszyć się smakiem.

– Jeśli nie będziesz jadła szybciej, twoja część przepadnie – oznajmił Paul-Vincent. Lili uchyliła powieki, wrzuciła pozostałe owoce do buzi i rozgniotła je językiem o zęby, pozwalając intensywnemu smakowi rozpłynąć się w ustach.

„Przyjemne – pomyślała. – Jakie to przyjemne". Smak poziomek w ustach, liście lśniące w letnim słońcu, ptaki ćwierkające pośród drzew, ciepły, popołudniowy wietrzyk...

I miłe towarzystwo. Zerknęła na Paula-Vincenta, który przebierał pozostałe owoce. Nie zamierzała puszczać wodzy fantazji. Był trzy lata młodszy i odpowiednia dla niego partnerka zapewne spała teraz w jakiejś kołysce.

Przy uchu dziewczyny zabrzęczała ważka – najpierw jedna, potem kolejna. Paul-Vincent podskoczył podekscytowany i już po chwili jeden z owadów trzepotał w jego siatce.

– Liczyłem na to – powiedział. Szybkim ruchem oderwał ważce głowę i umieścił jej skrzydełko pod mikroskopem. Wyszedł z cienia na środek polany i uniósłszy mikroskop do światła, kręcił śrubą, dopóki nie złapał odpowiedniej ostrości. – Chodź zobaczyć.

Lili zerknęła przez soczewkę i zaparło jej dech. Skrzydełko mieniło się niczym witraż w oknie katedry, przezroczyste i lśniące jak kropla oleju na wodzie, podzielone siatką tworzącą

wielokąty, pośród których nie było dwóch identycznych.

– Kręć śrubą w ten sposób – powiedział Paul-Vincent i pokazał, jak należy obracać próbką, żeby przyjrzeć się jej pod różnymi kątami.

Spoglądając przez soczewkę, Lili nie była świadoma, że dłoń chłopaka dotyka jej pleców. Kiedy odwróciła głowę, twarz Paul-Vincenta znalazła się tak blisko, że dziewczyna niemal musnęła nosem jego policzek. Przestąpiła z nogi na nogę i spróbowała się odsunąć, lecz nagle – nie bardzo wiadomo jak – jego usta zetknęły się z jej wargami. Były ciepłe i wilgotne, miększe, niż mogłoby się wydawać, ale Lili zbyt się przeraziła, by dłużej analizować sytuację. Odsunęła się i przycisnęła palce do ust.

– Przepraszam – szepnął Paul-Vincent. – Nie powinienem był tego robić.

„Nie powinieneś – pomyślała Lili, choć bez przekonania. – Ale cieszę się, że to zrobiłeś".

– To niestosowne – powiedziała, udając oburzenie. – I nie powinno się powtórzyć.

I wtedy się powtórzyło. Drugi pocałunek, dłuższy i bardziej stanowczy, wywołał dziwne, acz całkiem przyjemne igiełki w brzuchu, które rozeszły się ciepłą falą ku dołowi, a zniknęły dopiero wtedy, gdy ich zęby szczęknęły o siebie i przestraszona Lili odskoczyła w tył. W tym samym momencie od strony domku rozległ się odgłos trzaskających pod końskimi kopytami gałązek i po chwili na polanę wpadł Jacques-Mars.

– Gdzie się podziewaliście, do diabła? – zapytał. Jego koń zarżał i zarzucił łbem, poczuwszy nagły ucisk wędzidła, kiedy młodzieniec zatrzymał się obok nich. – Mieliśmy już zamiar wysłać służbę na poszukiwania. – Kiwnął głową w stronę Lili. – Pomóż jej wsiąść za mną – zwrócił się do Paula-Vincenta. – Przywiązałem wasze konie przy głównym szlaku.

Jacques-Mars przyglądał się przez chwilę Lili i Paulowi-Vincentowi z taką miną, że zdenerwowana dziewczyna z trudem zachowała spokój. „Czy mężczyźni po prostu wiedzą, kiedy dzieją się pewne rzeczy? Czy to aż tak oczywiste?" – zastanawiała się gorączkowo.

Paul-Vincent splótł dłonie i Lili wspięła się po nich na koński grzbiet za Jakiem-Marsem. Ciało młodzieńca pod marynarką jeździecką sprawiało wrażenie zimnego i nieprzyjaznego jak posąg.

– Zauważyłeś tę rodzinę kradnącą poziomki tuż przy szlaku? – zapytał Jacques-Mars. – Pogoniłem ich. Porządnie zdzieliłem jednego brudnego bachora, żeby wiedzieli, że nie żartuję.

Po zaledwie kilku minutach spaceru ujrzeli przywiązane konie. Lili unikała wzroku Paula-Vincenta, kiedy pomagał jej zejść z wierzchowca Jacques'a-Marsa i dosiąść własnego.

– Musisz zacząć zwracać na to uwagę, Paulu-Vincencie – ciągnął Jacques-Mars. – Jeśli tego nie zrobisz, setki im podobnych potraktują twoje ziemie jako rozwiązanie dla ich pustych żołądków i wkrótce staną się tak bezczelni, że będzie niebezpiecznie się tu zapuszczać. – Mówiąc to, przeszył Lili wzrokiem, w którym płonęła pożądliwość. – Zwłaszcza w towarzystwie młodej damy. – Jacques-Mars spiął konia i pogalopował przed siebie drogą prowadzącą do pałacu.

Lili podążyła za nim, wymazując z pamięci minę Jacques'a-Marsa. Myślała o słodkim smaku poziomek, o delikatnym muśnięciu warg, o sekretach ukrytych w skrzydłach ważek i o tym, jak może teraz wyglądać jadący za nią Paul-Vincent.

---

[3] Fragment książki *Thérèse Philosophe*, której autorstwo przypisywane jest Jeanowi-Baptiste'owi de Boyer d'Argens.

Emilie

1733

François! – Jean-Luc Valmont, usiłując zachować równowagę, wychylał się z powozu i wpatrywał w okno na drugim piętrze. – François-Marie Arouet! – zaryczał tonem pijanego hulaki. – Wyłaź z tej mysiej dziury, w której mieszkasz! Chcę, żebyś kogoś poznał!

Atrakcyjna młoda kobieta wciągnęła go za poły płaszcza z powrotem do powozu.

– Ty idioto! On nie ma zwyczaju odpowiadać, gdy ktoś zwraca się do niego w ten sposób. – Jako że opuszczenie karety było nie do pomyślenia w brudnych, zrujnowanych dzielnicach wzdłuż nabrzeży Sekwany, młoda kobieta wychyliła lekko głowę i zaśpiewała do tego samego okna fałszującym, podchmielonym głosem.

– Panie Wolter! Proszę zejść! Publiczność czeka!

Okno otworzyło się i ukazał się w nim trzydziestoparoletni mężczyzna.

– Cicho! – krzyknął. – Gospodyni tego domu ma już dosyć moich tak zwanych przyjaciół. – Rozejrzał się po ulicy, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył nagłe zamieszanie. – Nie mogę was wpuścić. Nie mam tu nic do jedzenia.

– Ubieraj się! – Jean-Luc znów wychylił głowę. – Ja oraz mademoiselle du Thil zabieramy wybitnego i pięknego gościa na kolację i jeśli nie wydostaniemy się w ciągu dziesięciu minut z tej śmierdzącej ulicy, możesz sobie zostać w domu z tanim winem i czerstwym chlebem, bo odjedziemy bez ciebie! – zawołał, po czym zwrócił się do towarzyszy. – Jedzie z nami – oznajmił, choć mężczyzna w oknie nic takiego nie powiedział.

Po kilku minutach drzwi kamienicy otworzyły się i do powozu wszedł człowiek w peruce o luźnych, długich lokach. Na sobie miał białą, koronkową koszulę, a w ręku trzymał marynarkę, której nie zdążył włożyć.

– I tak jest za gorąco – stwierdził, przeszywając powietrze sokolimi oczami. Jego spojrzenie zatrzymało się na dwudziestosiedmioletniej nieznajomej siedzącej naprzeciwko niego.

– Madame, proszę pozwolić, że przedstawię pani mojego przyjaciela. Oto François-Marie Arouet de Voltaire – rzekł Jean-Luc teatralnie. – Wolterze, a to nasz znakomity gość z Semur, Gabrielle-Emilie, markiza du Châtelet.

– *Enchanté.* – Wolter złożył na jej dłoni symboliczny pocałunek. Gdy powóz ruszył, mężczyzna oparł się i przyjrzał uważniej idealnie skrojonej sukni z drogiego materiału oraz dobranemu pod kolor, modnemu, zawadiackiemu kapelusikowi. – Jest pani z Semur? – Nuta zdziwienia w głosie ujawniła jego pogardę dla małych, prowincjonalnych miasteczek.

– Ależ skąd – obruszyła się Emilie du Châtelet. – Pochodzę z Paryża. Na swoje nieszczęście jednak przez część roku muszę mieszkać tam, gdzie mój mąż jest gubernatorem. – Przywołała na usta dobrze wyćwiczony uśmiech. – Jestem pewna, że dżentelmen pana pokroju nie będzie żywił przez to do mnie niechęci.

Obelga była subtelna, lecz wyraźna. Markiza nie musiała się z niczego tłumaczyć prostemu człowiekowi bez tytułu, mieszkającemu w wynajętym lokalu.

Chcąc uniknąć zrujnowania wieczoru – a na to się zapowiadało, jeśli nowo poznani nie przypadliby sobie do gustu – Marie-Victorie du Thil wtrąciła się do rozmowy.

– Uznaliśmy, że markiza koniecznie powinna cię poznać, bo jesteś drugą pod względem inteligencji osobą w Paryżu. – Uniosła wachlarz i pomachała żartobliwie przed spoconym czołem Woltera.

– Drugą? – zdziwił się Wolter. Dotknął palcami wachlarza i opuścił go, żeby spojrzeć kobiecie w oczy. – A jakiż to mężczyzna jest w stanie ze mną konkurować? – Wzruszenie ramion i uniesiona brew nie zdołały ukryć nuty niepewności w jego głosie.

Marie-Victorie du Thil zachichotała.

– Jean-Luc i ja chcemy do końca życia opowiadać, że to my was sobie przedstawiliśmy. To nie mężczyzna, monsieur. Właśnie pan siedzi naprzeciwko niej.

6

1765

Nazywają cię małą bigotką, bo snujesz się, jakbyś była pogrążona w modlitwie i nie zauważasz niczego wokół. – Delphine usiadła przed lustrem w swojej garderobie, by przed obiadem upudrować dekolt. – Próbuję cię bronić, ale nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak głupio to wygląda. Spędzasz większość czasu z trzynastolatkiem. Co z tego, że to przyszły książę de Praslin.

– A ty spędzasz cały czas z Jakiem-Marsem – odparła gniewnie Lili, odwracając głowę, żeby Delphine nie zobaczyła, jak wielką siostra sprawiła jej przykrość.

– Wcale go nie lubię – rzuciła Delphine wyniośle i pochyliła się do lustra, żeby przyjrzeć się delikatnej opuchliźnie na górnej wardze. – Zauważyłabyś, gdybyś nie była tak pochłonięta swoim małym wielbicielem.

– Czyżby Jacques-Mars okazał się niegrzecznym chłopcem? – pokpiwała Lili.

– Oczywiście, że nie! – Machnęła gwałtownie ręką, zrzucając szczotkę na podłogę. Podniosła ją z pogardliwym prychnięciem i odłożyła z impetem na blat. – Jak możesz mówić coś podobnego?

– No cóż, może i Paul-Vincent ma dopiero trzynaście lat, ale to

nie znaczy, że nie ma o niczym pojęcia. – Lili chciała udowodnić swoją rację i to okazało się silniejsze od zachowania sekretu. – Na przykład mnie pocałował – oznajmiła. – I to nie raz. A ja odwzajemniłam pocałunek.

Delphine okręciła się na stołku i wpatrywała się w Lili z otwartymi ustami.

– Pocałowałaś go? Paula-Vincenta? – Uniosła brwi. – Czemu?

– Nie wiem. Staliśmy blisko siebie i patrzyliśmy przez mikroskop, no i tak jakoś wyszło.

– I?

„Czy wciąż mogę jej ufać?" – zastanawiała się Lili. W końcu Delphine była jej jedyną prawdziwą przyjaciółką.

– I teraz próbuje to robić zawsze, kiedy mnie widzi. Muszę mu powiedzieć, żeby przestał, bo ja tylko chcę patrzeć przez jego mikroskop, ale... – Westchnęła. – To niesprawiedliwe. Nie rozumiem, dlaczego nie mogę przyglądać się małym stworzeniom kręcącym się w wodzie bez... bez pewnego rodzaju zapłaty.

Delphine znów zwróciła się do lustra i Lili przyglądała się, jak dziewczyna pokrywa usta odrobiną różu. Kiedy stało się jasne, że nie odpowie, Lili wzruszyła ramionami i mówiła dalej:

– Nie chodzi o to, że tego nie lubię, ale on ma tylko trzynaście lat i nie wydaje mi się właściwe całowanie z takim chłopcem. To nie tak, że chciałabym całować się z jakimś mężczyzną, ale mam wrażenie, że jeśli już raz to zrobiłaś, nie możesz znów stać się kimś, kto tego nie robił.

– Wiem.

Głos Delphine wydawał się dziwnie odległy, ale teraz dziewczyna spoglądała w dół i Lili nie widziała jej twarzy w lustrze. „Może po prostu nie jest zainteresowana, bo nie mówimy o niej – pomyślała Lili. – Ale nie mogę tego zdradzić nikomu innemu".

– Więc pozwalam mu na jeden pocałunek za każdym razem, kiedy się widzimy. Ale przez to przestaję go lubić, bo czuję się tak... – Westchnęła sfrustrowana. – Wiesz, o co mi chodzi? Czy ty i Jacques-Mars...

– Może powinnaś poprosić *maman*, żeby kupiła ci mikroskop? – przerwała jej Delphine.

– Czy tylko tyle masz mi do powiedzenia? Jeśli coś nie dotyczy ciebie, nie jesteś zainteresowana?

– Nie to miałam na myśli. Wiesz, że *maman* zrobiłaby to, gdyby

wiedziała, że Paul-Vincent nie jest tak... niewinny. – Delphine wstała od toaletki i podeszła do krzesła, na którym wisiała rozłożona suknia. – Może *maman* nie zdaje sobie sprawy, że choć Paul-Vincent i Jacques-Mars są za młodzi na ożenek, nie oznacza to, że nic nie krąży im po głowie. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zawiążemy sobie nawzajem gorsety? Nie mam ochoty wołać Corinne.

Delphine wsparła dłonie o kolumnę baldachimu, Lili naciągała sznurki.

– Co krąży po głowie Jacques'owi-Marsowi? – zapytała Lili i poczuła, jak siostra sztywnieje.

– Gorsze rzeczy niż Paulowi-Vincentowi – odparła. – Wstydzę się nawet o tym mówić.

Delphine zadrżały ramiona. Wstała.

– Och, Lili, proszę, przestań! Nie zniosę tego! Ten gorset wyciska ze mnie całe życie. Wymówmy się bólami miesięcznymi i zostańmy dziś na górze. Jestem zrozpaczona...

W tym momencie do garderoby wkroczyła Julie de Bercy.

– Jeszcze nie jesteście ubrane? – zdziwiła się, ale powstrzymała się przed naganą, kiedy zobaczyła poważne miny dziewcząt. – Wielkie nieba, co się stało? – zapytała.

Delphine wybuchła płaczem.

– Nie... Nie mogę powiedzieć.

Lili przyjrzała się jej zdumiona.

– Wszystko w porządku – rzekła. – Możesz powiedzieć *maman* o Paulu-Vincencie...

– Nie o to chodzi. – Głos Delphine stał się nagle tak chrypliwy, że z trudem wydobywał się z jej gardła. – Obiecałam, że nikt się nie dowie.

„O czym ona mówi?". Serce Lili zabiło mocniej ze zmartwienia.

Julie stanęła za córką.

– Złap kolumnę – nakazała. – Dokończę sznurowanie gorsetu, a ty w tym czasie o wszystkim mi opowiesz. – Delphine uspokoiła się nieco, a wtedy Julie zapytała: – Komu obiecałaś?

– Jacques'owi-Marsowi – szepnęła Delphine. – I Anne-Mathilde.

– A cóż takiego, na Boga, uznali za tajemnicę? – Puściła sznurki gorsetu i obróciła dziewczynę twarzą do siebie. Delphine spuściła oczy, unikając jej spojrzenia.

„Jeszcze przed chwilą plotkowałyśmy sobie, tak jak kiedyś

w drodze do klasztoru – przemknęło przez myśl Lili – a tu nagle ona zalewa się łzami i mówi o czymś zupełnie innym? Anne-Mathilde i Jacques-Mars? Tajemnice?".

Maman ujęła Delphine za podbródek i zmusiła do uniesienia wzroku.

– Czy Jacques-Mars coś ci zrobił? Czy on...?

Nagle Lili przypomniała sobie ilustracje z książki, którą ostatnio odniosła ukradkiem do biblioteki, i jej ciałem wstrząsnął dreszcz obrzydzenia. „Tylko nie to. To niemożliwe" – pomyślała.

– *Maman*, ja wcale tego nie chciałam. Przedwczoraj, ponieważ zrobiło się trochę chłodniej, Anne-Mathilde i Joséphine zaproponowały wycieczkę do groty na drugim krańcu ogrodów. Jacques-Mars zapytał, czy może dołączyć – jak zawsze. Kiedy dotarliśmy do tarasu nad kanałem – wiecie, tym, który nazywają Poèle – Anne-Mathilde powiedziała, że boli ją głowa i poprosiła służącego czekającego w powozie, żeby odwiózł ją do pałacu, więc oczywiście ta głupia Joséphine musiała jechać z nią.

– A więc zostałaś sam na sam z Jakiem-Marsem – odezwała się *maman*. – Powinnaś wiedzieć, jak to może wyglądać.

– Tak, ale pomyślałam też, że niegrzecznie będzie wracać, skoro nawet nie zobaczyliśmy tego, po co szliśmy już taki kawał. Pokazał mi posągi rzecznych bogów w grocie po drugiej stronie kanału. Powiedział, że delikatne wodne mgiełki czynią to miejsce przyjemnym i chłodnym i że na pewno spotkamy po drodze kogoś, kto nas podwiezie z powrotem do pałacu. – Oczy Delphine wezbrały łzami. – To wszystko wydawało się rozsądne.

– Nie dziwię się, że cię przekonał – stwierdziła Julie i zamilkła na moment. – A więc poszliście zobaczyć rzecznych bogów? – zapytała po chwili.

– Niezupełnie. Po tym, jak powóz z Anne-Mathilde odjechał, zeszliśmy po schodkach nad kanał, ale nie mieliśmy jak przejść na drugą stronę. Dopiero spory kawałek dalej dostrzegliśmy jakieś przejście. Powiedziałam mu, że nie chcę iść tak daleko. Byłam poirytowana, że nie uprzedził mnie, ile jeszcze mamy do pokonania. Już wiem dlaczego. Chciał, żebyśmy zostali sami. Teraz to takie oczywiste.

– A więc zaczęliście wracać.

– Szliśmy przez kilka minut, a potem on powiedział, że wyglądam na trochę zaczerwienioną od słońca i zaproponował, żebyśmy usiedli i ochłonęli w niewielkiej niszy pod schodami.

Zgodziłam się, bo naprawdę było mi słabo. Ale kiedy usiedliśmy, zaczął mnie brutalnie całować. – Delphine dotknęła wargi. – To bolało, *maman*. Do tej pory mam poobcierane usta. Pchnął mnie na ścianę i wepchnął mi palce w gorset. Próbowałam go powstrzymać, ale wyciągnął mi piersi i nawet ich nie całował, tylko gryzł tak mocno, że bałam się, czy sutki nie zaczną mi krwawić. A potem zaczął podnosić mi spódnicę i chciał pod nią sięgnąć.

Do tego czasu Julie zdążyła już usadowić Delphine obok siebie na kanapie. Lili klęczała przy nich na podłodze, wczepiona w kolano *maman*.

– Jak daleko dotarł? – zapytała Julie.

– Prawie do końca ud. Złączyłam je z całej siły, a wtedy on powiedział, że jeśli pozwolę się dotknąć tam, gdzie kobiety najbardziej lubią być dotykane, nie pożałuję. Potem dłoń, którą przykrywał mi usta, trochę się obsunęła i mocno ugryzłam go w palec. Aż poczułam smak krwi.

Ukryła głowę w ramieniu Julie.

– Wtedy złapał mnie za włosy – ciągnęła. – Stwierdził, że nie uderzy mnie tylko dlatego, że mógłby zostawić ślad, i żebym lepiej nic nikomu nie mówiła, bo wtedy on już dopilnuje, by ludzie pomyśleli, że to był mój pomysł.

Lili tarła pięściami o uda z taką wściekłością, że zaczęła ją piec skóra pod spódnicą.

„Dopadnę go – powtarzała w duchu. – Nie wiem jak, ale zniszczę go za to".

– A co z Anne-Mathilde? – zapytała Julie. – Czy ona była w to jakoś zamieszana?

Delphine westchnęła ciężko.

– Kiedy powiedziałam, że Anne-Mathilde i Joséphine staną w mojej obronie, tylko się roześmiał. Oświadczył, że Anne-Mathilde planowała wszystko od wielu dni. Powóz stał nad Poèle, bo poprosiła kogoś ze stajni, żeby tam na nią czekał.

– *Mon Dieu* – szepnęła Julie, wstając. Była zbyt poruszona, żeby siedzieć.

– Anne-Mathilde chciała, żeby to się stało? – warknęła Lili. – Dlaczego?

– Jacques-Mars wspomniał, że Vaux-le-Vicomte to nowa posiadłość jej rodziny, a ja się zachowywałam, jakby należała do mnie.

Lili zajęła miejsce zwolnione przez *maman* i mocno objęła Delphine.

– Widziałyście dłoń Jacques'a-Marsa? – zapytała Delphine. – Jest zabandażowana. To jedyne pocieszenie. – Zwróciła się do Julie. – Czy zrobiłam coś nie tak, *maman*? Nie licząc tego, że byłam głupia?

– Nie, *ma chérie*. Właściwie to jestem dumna, że tak dobrze sobie z nim poradziłaś. – Obeszła kanapę, stanęła przed dziewczętami i pomogła im wstać. – Ale nie podoba mi się, że ukrywałaś to przede mną. I przed Lili.

– Powinnam zauważyć – wtrąciła Lili, przyciskając mocno palce do ust, żeby nie drżały.

– To nie twoja wina, Lili – odezwała się Delphine. – Myślałam, że jeśli nikomu o tym nie powiem, po powrocie do Paryża będę mogła udawać, że nic się nie stało.

Julie już nie słuchała.

– Muszę się zastanowić, co z tym zrobić, ale na razie, choć może się to wydać trudne, musicie włożyć sukienki i zejść na obiad.

– Och nie, *maman*! – zawołała Delphine. – Jestem cała spuchnięta. I moje oczy!

Mama uciszyła ją gestem dłoni.

– Milczałaś przez dwa dni, więc dasz radę ukrywać to przed całą resztą jeszcze kilka najbliższych godzin. – Wskazała na drugi koniec pokoju. – Kolumna – poleciła. – Jeśli się nie pokażesz, oni wygrają. A jeśli będziesz się zachowywać tak, jakbyś nie miała się czego bać, ty będziesz zwyciężczynią. Nie na zawsze, ale na tę chwilę. – Julie uniosła brwi i znów pokazała w stronę łóżka. – Kolumna.

POMIMO IMPONUJĄCYCH ROZMIARÓW PAŁACU dotarcie do jadalni nie polegało na kroczeniu najpiękniejszymi korytarzami migoczącymi od luster i ognia świec. Goście wychodzili bocznymi drzwiami z holu głównego, a następnie mijali bibliotekę oraz sypialnię przygotowaną specjalnie dla króla na czas jego wizyt w Vaux-le-Vicomte. Po przejściu pięciu czy sześciu bogato urządzonych pomieszczeń wkraczali do łaźni i okrążali dużą balię, nierzadko jeszcze wilgotną po ostatniej kąpieli. Na koniec wchodzili do wyłożonego boazerią korytarza, tak wąskiego, że paniery damskich sukien często ocierały się o ścianę.

Lili zerknęła w poprzecinane drewnianymi ramami lustro

wiszące przed wejściem do sali jadalnej i dostrzegła za sobą odbicie całkiem obcej osoby. Rudozłote włosy Delphine, splątane i matowe przez nagły wybuch płaczu, z braku czasu zostały przykryte peruką z garderoby *maman*. Oczy dziewczyny nie wydawały się już przekrwione dzięki jakimś kroplom, ale za to błyszczały intensywnie, co dziwnie kontrastowało ze zmarszczonym czołem, którego nie zdołały zamaskować żadne sekretne środki *maman*.

W drzwiach Julie uścisnęła lekko rękę Delphine.

– Odwagi – rzekła, a następnie zajęła zaszczytne miejsce obok księcia de Praslin.

– Chodźmy – szepnęła Lili i ujęła Delphine pod ramię. Przypomniała sobie małą dziewczynkę, która ćwiczyła dyganie, a kiedy się przewróciła, szybko wstawała i podejmowała kolejną próbę – dziewczynkę, która wierzyła, że robienie czegoś perfekcyjnie stanowi talizman przeciw potędze Złej Czarownicy potrafiącej zamieniać dzieci w kamień. „Uwierz w to znowu – modliła się Lili w duchu. – Wejdź do tej sali z podobną wiarą w sercu".

Jadalnia w Vaux-le-Vicomte przypominała wielką mozaikę. Obrazy ze scenami mitologicznymi zostały wbudowane w ściany pokryte lśniącą boazerią, zdobioną dywanowymi wzorami w błękitach, żółciach i zieleniach. Złote listwy otaczały drzwi i dzieliły malowany sufit na kwadraty. Wszystko połyskiwało w promieniach popołudniowego słońca, które wdzierały się przez duże, dębowe okna.

Suto zastawiony stół otaczało dwadzieścia obitych brokatem krzeseł dla gości księcia i księżnej. Ku przerażeniu Lili jedyne wolne miejsca pozostały po dwóch stronach Jacques'a-Marsa. „Czy on to zaplanował?" – zastanawiała się, siadając pomiędzy nim i Paulem-Vincentem. Po drugiej stronie stołu, dokładnie naprzeciwko niej, Anne-Mathilde i Joséphine przerwały rozmowę i przyglądały się Delphine. Złota brokatowa suknia Anne-Mathilde pasowała do kolorów wnętrza. Jej rękawy, sięgające do łokci, zostały wykończone kilkoma warstwami koronki, delikatnej niczym morska piana. Dziewczyna założyła obróżkę z pereł, na oko tak kosztowną, że nie było wątpliwości, kto zajmował najwyższą pozycję przy stole w Vaux-le-Vicomte.

Chcąc sprawdzić, jak się czuje Delphine, Lili odwróciła się na tyle, na ile pozwalały jej paniery i gorset. Cofnęła się jednak

pospiesznie, zdawszy sobie sprawę z zatrważającej bliskości Jacques'a-Marsa, który pochylił się w jej stronę.

– Wyglądasz uroczo – powiedział. Jego wzrok powędrował ku krągłościom jej piersi wystającym znad gorsetu, przykrytym skromnym kawałkiem niemal przezroczystego białego jedwabiu.

– Gdzie się ukrywałeś, Jacques'u-Marsie? – zapytała Lili. „W szczurzej norze?" – dodała w myślach i przywołała na twarz uśmiech. Miała nadzieję, że ukrył on dreszcz obrzydzenia, który właśnie przeszedł ją po plecach. – Wciąż dajesz lekcje *paille-maille* ładnym dziewczętom?

W oczach Jacques'a-Marsa pojawił się błysk, gdy Lili zerknęła ponad jego ramieniem na Delphine. Ku zaskoczeniu Lili, Delphine prowadziła ożywioną rozmowę z młodszym bratem hrabiego de Beaufort – tego od zgniłych zębów, który zajmował zaszczytniejsze miejsce przy stole obok *maman*. Najwyraźniej wyczuwszy na sobie wzrok siostry, Delphine odwróciła głowę i ukazała rozpromienioną twarz. Aż trudno było uwierzyć, że zaledwie przed godziną wyglądała na zrozpaczoną i bliską paniki. „Jestem w gorszym stanie niż ona" – pomyślała.

– Lili? – Głos należał do Paula-Vincenta. – Nie rozmawiasz już ze mną?

– Przepraszam. Jestem trochę rozkojarzona.

– Wpadłem właśnie na pomysł świetnego eksperymentu. Spójrz. – Uniósł kieliszek z winem. – Widzisz?

– Co takiego? – „Tylko nie nauka. Nie dziś".

– Muszki owocowe. Są wszędzie. Wydaje mi się, że lubią wino, ale chyba zachowują się z tego powodu dziwnie.

Lili z grzeczności uniosła swój kieliszek, próbując złapać jak najwięcej światła ze świec.

– Mam dwie siedzące na brzegu – oznajmiła. – Pochylają się do środka, jakby próbowały dostać się do resztek. – Wbrew woli poczuła zaciekawienie. – Może po prostu nie chcą wpaść.

– Albo są trochę pijane – podśmiewał się chłopiec. – Ciekawe, czy to przez opary, czy raczej spijają osad ze ścianek. Szkoda, że nie mam ze sobą mikroskopu.

Lili się roześmiała.

– Nie możesz przynosić mikroskopu na obiad!

– Sprawdzimy to jutro? – Zniżył głos do szeptu. – Obiecuję, że nie będę próbował cię pocałować, jeśli przyjdziesz do laboratorium.

Lili przyjrzała mu się zdezorientowana. Tak bardzo pochłonęły ją sprawy dzisiejszego dnia, że zajęło jej chwilę, zanim zrozumiała znaczenie słów chłopca. Widziała już muszkę owocówkę pod mikroskopem i przeraziły ją te ogromne oczy i maleńkie pazurzaste nóżki. Teraz jednak odczuwała jedynie współczucie wobec skrzydlatych istotek chwiejących się na kieliszku. „Czy mogą uciec? A może zostaną tam, pochwycone i zdezorientowane przez siły, które jednocześnie je przyciągają i odpychają, dopóki nie wpadną i nie utoną? Albo uda im się odlecieć i pożyją jeszcze chwilę?" – zastanawiała się ze smutkiem.

– To ja powinienem być zdenerwowany! – rozdrażniony szept Jacques'a-Marsa sprowadził ją z powrotem na ziemię.

– Monsieur Courville – mówiła Delphine, prostując dumnie plecy – mogę tylko mieć nadzieję, że jeśli w przyszłości spadnie na mnie nieszczęście kolejnego spotkania z panem, przynajmniej spotka mnie przyjemność zobaczenia blizny, którą, jak mniemam, panu pozostawiłam. – Jej uśmiech i melodyjny ton kontrastowały ze słowami wypowiedzianymi półgłosem, jakby rzucała wyzwanie rozmówcy, by to on był tym, który zwrócił uwagę pozostałych gości na ich kłótnię.

Dostrzegła spojrzenie Lili i w jej oku zabłysła triumfalna iskra, zanim zwróciła się ku siedzącej naprzeciwko Anne-Mathilde.

– Jesteś tak daleko, że nie słyszę, o czym mówisz, ale Joséphine wydaje się tak rozbawiona, że ja też bardzo chciałabym się dowiedzieć!

Chwilowo zbita z pantałyku Anne-Mathilde zerknęła w lewo, by wymienić spojrzenia z Joséphine, ignorując zdziwioną minę jegomościa, który miał nieszczęście siedzieć pomiędzy nimi. Zaraz jednak się opanowała i zaśmiała rozkosznie.

– Właśnie rozważałyśmy ponowną wycieczkę do groty. Bardzo żałuję, że musiałam wracać przez ten potworny ból głowy.

Twarz Delphine spąsowiała.

– Tak, to zaiste czarujące miejsce. Zgodzisz się ze mną, Jacques'u-Marsie? – rzekła, zwracając się do młodzieńca. – Idealne na spędzenie miłego popołudnia z przyjaciółmi.

Jacques-Mars odwrócił się od Delphine i spiorunował wzrokiem Anne-Mathilde.

– Czy coś się stało? – zapytała go Lili głosikiem słodkim niczym syrop.

– Ależ skąd – odparł. Uniósł brew. – Jeśli chcesz, możemy jutro

pojechać tam powozem. Pokażę ci, co ma na myśli Delphine.

Lili z trudem powstrzymała się, by go nie spoliczkować.

„Udawaj, że nic się nie stało" – powtarzała sobie w myślach.

– To kusząca propozycja – rzekła.

– Doprawdy! – Jacques-Mars wypowiedział to słowo powoli, najwyraźniej miło zaskoczony, i znów zerknął na dekolt dziewczyny. – A więc Delphine nie...

– Delphine? – Lili udawała zdezorientowaną. „Będę codziennie wymawiać się bólem głowy, żeby tylko uniknąć spędzenia z nim choć chwili sam na sam – pomyślała. – Prędzej umrę, niż pozwolę mu się zbliżyć do siebie".

Nozdrza Jacques'a-Marsa ledwo dostrzegalnie się rozszerzyły.

– Czy mówiłem ci już, jaka jesteś urocza? – rzekł, lustrując ją wzrokiem. – Będę ci się naprzykrzał, dopóki nie spełnisz danej mi obietnicy, że wybierzesz się ze mną do groty. – Chłód jego spojrzenia i lekkie skrzywienie ust przeczyły tonowi głosu, który miał nadać wypowiedzi wydźwięk niewinnego flirtu.

Lili sięgnęła po lampkę wina, żeby mieć pretekst do odwrócenia wzroku. Delikatnie zdmuchnęła muszkę ze szkła i upiła łyk. „*Mon Dieu*" – pomyślała, a w jej sercu huczała istna burza.

– Lili. – Delphine pochyliła się do przodu i wyjrzała zza Jacques'a-Marsa. – Hrabia de Beaufort opowiedział mi właśnie niesamowitą historię na temat tego pałacu. – Zwróciła wzrok na mężczyznę siedzącego obok niej. – Proszę samemu opowiedzieć Lili – poprosiła. – Ja nie zdołam wszystkiego wiernie powtórzyć.

Honoré de Beaufort odchrząknął, kaszlnął w chusteczkę i przyjrzawszy się jej zawartości, zwrócił głowę w stronę Lili.

– Mówiłem mademoiselle – zaczął, wypowiadając każdy wyraz bardzo starannie, ale jednocześnie pompatycznie, zupełnie jakby był pewny, że nikt nie docenia wagi jego słów – że Vaux-le-Vicomte doprowadził Ludwika XIV do takiej wściekłości, że król polecił aresztować człowieka, który ten pałac kazał zbudować, za posiadanie wspanialszego domu od niego. Biedaczek umarł w więzieniu, pogrążony w niełasce, jak się obawiam. Oczywiście król tłumaczył się innymi pobudkami. Stwierdził, że monsieur Fouquet wykorzystał stanowisko skarbnika królewskiego, które sprawował, i przywłaszczył sobie pokaźny majątek, dlatego stać go było na wybudowanie pałacu.

Jacques-Mars żachnął się i powiedział:

– Wszak to król. Oni robią, co zechcą. Każdy postąpiłby

podobnie, gdyby miał taką władzę.

– Czy naprawdę przywłaszczył sobie te pieniądze? – zapytała Lili.

– Kto wie? – Beaufort się zaśmiał.

– Musi pan przyznać, monsieur de Beaufort – wtrącił Jacques-Mars – że choć król miał władzę, by tak postąpić, Fouquet zasłużył na lepsze potraktowanie. Inaczej jakiż sens miałaby lojalność wobec króla?

– Sens lojalności wobec króla? – Beaufort podniósł głos i wyprostował się na krześle. – Ona nie musi mieć konkretnego sensu. A może należy pan do tych...

– Och, doprawdy – odezwała się Anne-Mathilde z drugiej strony stołu – słyszymy, że rozmawiacie o polityce, a to taki nieprzyjemny temat przy obiedzie. – Wysunęła dolną wargę, teatralnie wydymając usta. – Bardzo mnie rozczarowujesz, Jacques'u-Marsie – rzekła. – Myślałam, że potrafisz zabawiać towarzystwo. A ty, Delphine – dodała z krzywym uśmieszkiem – nie potrafisz go kontrolować?

– Dodam jeszcze tylko jedną uwagę – powiedział Jacques-Mars. – Tak naprawdę nie ma znaczenia, jak powinno być. Liczy się tylko to, jak jest. Założę się, że ludzie mieszkający na nabrzeżach Sekwany mają własnych lokalnych królów i łotrów. Każdy zna swoje miejsce. Nie wolno rozzłościć tych, którzy dzierżą większą władzę, bo zemszczą się w dogodnym dla nich momencie – bez względu na to, czy inni uznają to za niesprawiedliwe. Owa zasada obowiązuje wszystkich – zarówno prostego woźnicę, jak i króla. Nie mam racji? – Chociaż młodzieniec skierował pytanie do Beauforta, jego zimne jak lód spojrzenie zatrzymało się na Delphine, a potem spoczęło na Lili.

Jeśli de Beaufort coś odpowiedział, Lili go nie usłyszała. „Jacques-Mars próbuje mnie zastraszyć – zakołatało jej w głowie – ale nie pozwolę mu na to". Niemniej jednak, ponad godzinę później, Lili wciąż nie wzięła do ust ani kęsa.

PO OBIEDZIE *maman* poprowadziła dziewczęta przez czarno-biały hol i komnatę zwaną Chambre des Muses do sąsiadującego z nią salonu gier.

– Z grzeczności wobec gospodarzy zostaniemy tu jakieś pół godziny – powiedziała, gdy weszły do salonu o wysokim stropie, migoczącego od pozłacanych luster. – Potem wymówimy się

zmęczeniem i wrócimy do sypialni.

Gdy tylko Lili przestąpiła próg Chambre des Muses, Paul-Vincent dostrzegł ją z wejścia do salonu gier.

– Zająłem dla nas stół do tryktraka! – zawołał. Lili jęknęła, ale Julie pchnęła ją lekko do przodu dla zachęty. – Idź. To lepsze od nudnych pogawędek.

Salon gier znajdował się na parterze w jednym z rogów pałacu. Roztaczał się z niego widok na fosę i okalające ją trawiaste zbocze. Choć pomieszczenie było stosunkowo niewielkie, przez liczne okna do środka wpadało mnóstwo światła, co czyniło je ulubionym miejscem Lili do czytania w ciche poranki. Teraz jednak dziewczyna czuła się zbyt nieszczęśliwa, by docenić jego uroki. Usiadła przy delikatnie rzeźbionym, drewnianym stoliku, w którego blat została wbudowana lakierowana plansza do tryktraka z maleńkimi dziurkami na patyczki służące do oznaczania punktów. Po półgodzinie Paul-Vincent musiał już wytężać całą siłę woli, by udawać, że nie dostrzega, jak beznadziejnie przegrywa.

Jacques-Mars z początku wdał się w pogawędkę z księżną de Praslin w Chambre des Muses, ale teraz stanął w wejściu do salonu gier i pochylił się nad Paulem-Vincentem. Mówił zbyt cicho, by Lili zdołała go usłyszeć, ale już po chwili Paul-Vincent wzruszył ramionami i wstał.

– Najwyraźniej jestem potrzebny gdzie indziej – powiedział, a tymczasem Jacques-Mars zajął jego miejsce.

– Jeśli Paul-Vincent już nie chce grać, wolałabym odejść od stołu – oznajmiła Lili, zbierając pionki.

Jacques-Mars wyciągnął rękę nad blat i przykrył dłonią jej dłoń.

– Tylko jeden mecz – powiedział. – Jeśli wygrasz, zrobię, o co tylko poprosisz. Zwolnię cię nawet z obietnicy wspólnej wycieczki do groty.

Lili zastanowiła się przez chwilę.

– Jeden mecz – rzekła bez śladu uśmiechu.

Ułożyli kremowe i czarne krążki w swoich rogach planszy.

– Trzy i dwa – rzekła Lili, przesuwając dwa krążki na odpowiednie strzałki na planszy.

Jacques-Mars potrząsnął kubkiem z kośćmi i rzucił.

– Sześć i pięć – mruknął, przesuwając pionki. Tura po turze przemieszczali krążki po planszy, ale nie minęło nawet piętnaście

minut, kiedy Lili wstała od stołu.

– Wydaje mi się, że wygrałam mecz – oznajmiła.

Jacques-Mars uniósł na nią wzrok.

– Tę partię?

– Nie, cały mecz. Zapomniałeś zaznaczyć swoje ostatnie punkty, więc przechodzą na mnie *par puissance* – rzekła. – Dodatkowo sześć punktów za dotarcie do każdego z pięciu pól w twoim *petit jan* oraz osiem punktów za dotarcie do każdego z pięciu pól w twoim *grand jan*, sześć punktów za dotarcie do twojego *coin de repos* oraz sześć punktów za wypełnienie *grand jan* podwójnymi pionkami. – Znów opadła na siedzenie. – Nie spiesz się – dodała – ale to daje osiemdziesiąt dwa punkty, a ponieważ oboje mamy już po piętnaście, nie wydaje się możliwe, byś zdobył sto czterdzieści cztery punkty przede mną. – Wzruszyła ramionami. – I nie widzę powodu, bym miała tu siedzieć i czekać, aż przegrasz.

Przez Chambre des Muses przeleciał szmer podziwu, gdy rozniosła się wieść, że Lili właśnie zdobyła niewyobrażalnie wysoki wynik w jednym ruchu tryktraka i że punkty przeszły na nią walkowerem przez nieuważną grę przeciwnika.

– Wracaj do szkoły, młodzieńcze! – zaryczał Honoré de Beaufort. – Tylko nie mów nikomu, że tak haniebnie pokonała cię pewna młoda dama!

Twarz Jacques'a-Marsa spąsowiała. Zrzucił pionki na podłogę i wstał tak gwałtownie, że Lili musiała podtrzymać delikatny stolik, aby się nie przewrócił.

– Chwileczkę – odezwała się, obserwując, jak jego ramię uderza o wąską framugę drzwi, kiedy wychodził z pomieszczenia. – Chcę swoją nagrodę.

Jacques-Mars odwrócił się na pięcie i wbił w nią zimny wzrok.

– Powiedziałeś, że zrobisz, co zechcę – ciągnęła Lili. – Chcę, żebyś zdjął ten bandaż. Zobaczmy, co ci się stało.

Cofnął się zszokowany.

– Nie mogę – burknął, zerkając na Delphine. – To zbyt okropny widok dla dam. – Omiótł wzrokiem gości zgromadzonych w salonie. Wszyscy zamarli, obserwując go w napięciu.

Wtedy w drzwiach stanęła Julie i złapała Lili za ramię z taką siłą, że dziewczyna krzyknęła z bólu.

– Wychodzimy – syknęła. – Natychmiast.

Lili odwróciła się i spojrzała jej w oczy.

– Ale...

Jej głos zawisł w ciszy, gdy dostrzegła przerażenie na twarzy *maman*. Wstała i bez słowa podążyła za nią do holu. Była tak oszołomiona, że nie dostrzegła nawet zdezorientowanych min gości.

– DLACZEGO TO ZROBIŁAŚ? – Julie odwróciła się i spojrzała w twarz Lili, kiedy znalazły się już bezpieczne w garderobie. Przez makijaż na jej policzkach zaczęły przebijać czerwone plamy, a głos ochrypł ze wściekłości.

– Chciałam zdemaskować Jacques'a-Marsa – załkała Lili przerażona gniewem *maman*. – Nienawidzę go. Chciałam, żeby wszyscy się dowiedzieli, co zrobił.

– A kto by za to zapłacił? – zapytała Julie.

Lili zdębiała. Przypomniała sobie nagle słowa Jacques'a-Marsa. „Tak naprawdę nie ma znaczenia, jak powinno być. Liczy się tylko to, jak jest. Nie wolno rozzłościć tych, którzy dzierżą większą władzę, bo zemszczą się w dogodnym dla nich momencie – bez względu na to, czy inni uznają to za niesprawiedliwe". Nagle zajście w Chambre des Muses ukazało się jej w zupełnie innym świetle. Zasłoniła ręką usta i zwróciła się do Delphine.

– *Mon Dieu*! Przepraszam.

– Za co? – zdziwiła się Delphine. – Przecież wszyscy by wiedzieli, co on... – Zrobiła wielkie oczy. – *Mon Dieu* – szepnęła. – Wszyscy by wiedzieli.

– Nie zdajecie sobie sprawy, jaki jest świat – odezwała się Julie już nieco łagodniejszym tonem. – I obawiam się, że w dużym stopniu to ja ponoszę winę. Za bardzo was chroniłam. Teraz jednak przekonałyście się, że istnieją ludzie, którzy traktują życie innych jak zabawę i – niestety – czasem są w tym świetni. – Prychnęła pogardliwie. – Zobaczycie, że osoby pokroju Anne-Mathilde de Praslin czy Jacques'a-Marsa Courville'a mają wiele znajomości na dworze. – Pogroziła palcem dla podkreślenia wagi swych słów. – Musicie być bardzo ostrożne w tym, komu ufacie. Pożałujecie, jeśli wdacie się w grę z kimkolwiek z nich, bo to oni decydują, jak ona się skończy – nie wy.

– A więc, jeśli ktoś zaproponuje mi przejażdżkę konną, powinnam odmówić? – zapytała Delphine.

– Rozważ, kto pyta. Od dawna nie lubiłyście Anne-Mathilde – moim zdaniem słusznie. Należy też pamiętać, że niektórzy młodzi mężczyźni są gotowi skraść damie wszystko, co tylko zdołają. –

Spojrzała na Lili. – I dotyczy to również bardzo młodych mężczyzn.

Lili zapiekły policzki, ale nawet jeśli Julie coś zauważyła, nie skomentowała tego.

– Niestety, wdowa z młodymi córkami nie ma lekko – ciągnęła kobieta. – Wątpię, czy wydarzyłoby się coś podobnego, gdyby Jacques-Mars był świadom istnienia rozsierdzonego ojca, z którym musiałby się zmierzyć.

„A co z moim ojcem?" – zastanawiała się Lili. Wyobraziła sobie wściekłego starszego jegomościa wkraczającego do sali. „Kto naraził na szwank reputację mojej córki?" – rzekłby do oniemiałego tłumu. Lili szybko odpędziła tę myśl, bo nie miała pojęcia, jak wygląda jej ojciec, i mniej ją bolało, kiedy po prostu o nim nie myślała.

Maman odwróciła się do córek plecami.

– Pomóżcie mi zdjąć suknię – rzekła. – Haczyk do rozluźniania sznurków leży na stole.

Delphine zajęła się rozwiązywaniem sukni, podczas gdy Lili przyglądała się Julie bez słowa, zadowolona, że *maman* znów stała się sobą.

– Tak lepiej – westchnęła kobieta, gdy ucisk gorsetu ustąpił. – Nie winię was za to, że jesteście wściekłe na Jacques'a-Marsa i chcecie zrobić mu krzywdę, ale zapamiętajcie moją radę. – Zsunęła suknię, powiesiła ją na krześle i odwróciła się do dziewcząt. Jej zmysłowe, kobiece krągłości wyraźnie zarysowywały się pod cienką halką. – Kobiety to zdradliwi przyjaciele, bo te najinteligentniejsze doskonale odnajdują się w snuciu intryg – rzekła, zakładając szlafrok. – A z mężczyznami wiąże się inne ryzyko. Mają silne żądze, z których możecie sobie jeszcze w pełni nie zdawać sprawy.

Lili i Delphine wymieniły spojrzenia. Pośladki Eradice. Mężczyzna znikający w jej wnętrzu. Dziki wyraz twarzy.

Julie dostrzegła konsternację dziewcząt.

– A może wiecie więcej, niż mi się wydaje? – zapytała.

Lili przestąpiła z nogi na nogę.

– Troszkę, *maman*.

– No cóż. – Uśmiechnęła się rozbawiona skrępowaniem córek. – O tym porozmawiamy innym razem. Niedługo mężczyźni staną się w waszym życiu niezbędni. Będziecie musiały wykorzystywać wiele kobiecego czaru, żeby skłonić ich, by wam służyli, a jeszcze

więcej, żeby ich przy sobie zatrzymać. Jeden z sekretów tego czaru polega na tym, aby nigdy nie zapominać, iż nawet najłagodniejszy mężczyzna ma między nogami tę dość dziwnie wyglądającą rzecz, o której najwyraźniej wiecie trochę więcej niż to, co da się wywnioskować z posągów nagich bogów w fontannach. – Uniosła brwi i przyjrzała się każdej dziewczynie z osobna. – A mężczyzna ma tylko jedno marzenie: żebyście pozwoliły mu jej użyć, nawet jeśli próbuje udawać, że jest inaczej. Natomiast wasz urok w dużej mierze polega na tym, by podsycać to marzenie, ale go nie zaspokajać.

Uśmiechnęła się czule do Delphine.

– Ty, kochanie, masz chyba nawet za dużo naturalnej kokieterii – rzekła. – A ty, droga Lili, musisz rozbudzić jej w sobie ciut więcej. Jednak nade wszystko obie musicie pielęgnować prawdziwy skarb, jakim jesteście dla siebie nawzajem.

Delphine odnalazła rękę Lili i wplotła palce w jej dłoń. Julie zauważyła ten gest i się uśmiechnęła.

– Mnie i Emilie łączyła podobna więź – ciągnęła – ale byłam dużo młodsza i miałam dla niej tyle podziwu, że nigdy nie mogłyśmy być sobie równe. Wy zaś idziecie przez życie jako siostry. Niemal bliźniaczki, bo jesteście w podobnym wieku. Musicie mi obiecać, że zawsze będziecie chronić się nawzajem. Wprawdzie – mam nadzieję – nieco rozsądniej, niż próbowała dziś Lili, ale z nie mniejszym zaangażowaniem.

– *Oui, maman* – powiedziały obie i spojrzały na siebie. Ta dziewczyna – z uniesionymi piersiami wciąż ciasno ściśniętymi gorsetem i w peruce teraz komicznie przekrzywionej na bok – była na swój sposób wciąż tą samą Delphine, którą Lili znała od zawsze, ale jednocześnie – nieznajomą, której, być może, już nigdy nie zrozumie. To jednak nie miało znaczenia. Nagle świat wydał się Lili przerażający i dziewczyna wiedziała jedynie, że kocha Delphine z całego serca.

– *Oui, maman* – powtórzyła niepewna, co takiego może nieść ze sobą ta obietnica.

– *Oui, maman* – szepnęła Delphine w odpowiedzi.

Emilie

1734

Październikowy wiatr porywał do tańca czerwone i bursztynowe liście z trawników Ogrodu Luksemburskiego. Wolter zadrżał w cienkim surducie.

– Niedługo będziemy musieli wejść do środka – powiedział.

– Mój drogi panie, nie zauważyłam, żeby przeszkadzało ci przebywanie wewnątrz, jeśli w grę wchodzi łóżko – zganiła go Emilie. Wyciągnęła rękę i czule pogładziła kochanka po policzku.

Wolter rozejrzał się niespokojnie.

– Powinnaś być ostrożniejsza, Emilie. Jesteś mężatką – i masz dzieci!

– Bóg dał mi duszę, której nie umiem ukryć. Nie potrafię też kontrolować jej namiętności. Oto moja wymówka, już ci tłumaczyłam. – Znów pogładziła Woltera po policzku. Zwróciła ku niemu twarz i lekko rozchyliła wargi, ukazując koniuszek języka. – To ty sprawiłeś, kochany, że poczułam się tak beznadziejnie i nieokiełznanie sobą.

– Mimo to jednak...

– Milcz! Jeśli nadal będziesz marudził, pocałuję cię tutaj, na oczach wszystkich. – Zatrzymała się i odwróciła w jego stronę, po czym tupnęła nogą, by podkreślić powagę swojego ultimatum.

– A jeśli ty nie będziesz się odpowiednio zachowywać – Wolter, przedrzeźniając ją, również tupnął – zmuszę cię do wysłuchania kolejnego wiersza, który dla ciebie napisałem.

– Och! – Emilie klasnęła dłońmi odzianymi w rękawiczki. – Proszę!

Wolter rozłożył pojedynczą kartkę papieru i odchrząknął.

Dlaczego zjawiłaś się tak późno?
Czym było wcześniej moje życie?
Szukałem miłości, ale znajdowałem tylko iluzje,
Ledwie nikły cień naszej radości.
Jesteś czystą rozkoszą
I delikatnością.
Cóż za rozkosz znaleźć się w twoich ramionach.

Wolter złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

– Musisz mi przysiąc, że nikomu nie powiesz, że jestem takim wierszokletą. – Poklepał się po kieszeni. – A dla pewności spalę dowód, gdy tylko...

Pochwyciła ustami jego wargi, zanim zdążył dokończyć. Pocałowała go namiętnie, po czym odsunęła się na moment i pocałowała jeszcze raz, rozchylając jego wargi językiem i wdzierając się do środka. – Mmm... – mruknęła. Położyła dłonie na jego pośladkach i przycisnęła się do niego biodrami.

– Emilie! – Wolter odsunął się i rozejrzał w panice dookoła. – Obiecałaś!

– Nieprawda – droczyła się, grożąc palcem. – Powiedziałeś, że zmusisz mnie do słuchania, jeśli będę się zachowywać niepoprawnie. – Pochyliła się i szybko cmoknęła go w usta. – Więc tak się zachowuję!

Mężczyzna tylko pokręcił głową. Wziął Emilie pod ramię i kontynuowali spacer.

– Nie daj Boże, żeby ci nadęci zarozumialcy w Wersalu kiedykolwiek dowiedzieli się, jaki przebiegły umysł znajduje się pod tym eleganckim kapelusikiem – rzekł – ani jakie ciało skrywa ta suknia. – Wyciągnął rękę, jakby zamierzał szczypnąć jej pierś, ale Emilie mu się wyrwała. – Mówię poważnie o Wersalu! – zawołał za nią, kiedy zawirowała w tańcu wzdłuż alejki. – Chciałbym, żebyś spędzała tam mniej czasu.

– Moja praca polega na dbaniu o interesy męża! – Wróciła

tanecznym krokiem do Woltera. – Choć zapewne brzmi to dziwnie dla innego mężczyzny korzystającego z jego łoża.

– Może spędzasz czas w Wersalu, żeby unikać spotkań ze mną. Wiesz bowiem, że jestem zbyt prostym człowiekiem na królewskie progi.

– A ja bym chciała, żebyś nie psuł wszystkiego dąsaniem się z powodu rzeczy, których się zmienić nie da. Przynajmniej na razie. – Ujęła go pod ramię i uśmiechnęła się rozmarzona. – I żebyś zajął umysł poważniejszymi rzeczami. Na przykład zrozumieniem budowy wszechświata, a nie tylko pisaniem sztuk o zmarłych królach. Wyobraź sobie, co moglibyśmy razem osiągnąć!

7

1765

Kilka dni później Julie ogłosiła, że ma do załatwienia w Paryżu pewną ważną sprawę rodzinną i będzie musiała skrócić pobyt w pałacu. Udając rozczarowanie, dziewczęta spakowały się i pożegnały z pozostałymi gośćmi. Kiedy ich powóz mijał stajnie i zewnętrzny dziedziniec Vaux-le-Vicomte, Delphine odetchnęła z ulgą.

– *Mon Dieu*, jak dobrze, że mamy to już za sobą.

– Będę tęskniła za mikroskopem Paula-Vincenta – stwierdziła Lili, myśląc, że prawdopodobnie niedługo zatęskni za samym Paulem-Vincentem. Szkoda, że pewien aspekt ich spotkań przyćmił wszystkie inne, ale przynajmniej pozostawała nadzieja, że nie każdy mężczyzna jest albo nadęty, albo bezlitosny.

Maman poklepała Lili po kolanie.

– Może powinnam rozważyć kupienie ci mikroskopu – rzekła – ale nie mam zamiaru dawać ci kolejnych pretekstów do zaniedbania ważnego obowiązku, który czeka was tej jesieni.

Lili jęknęła. Obiecała *maman*, że po powrocie do Paryża dołoży wszelkich starań, by jak najlepiej przygotować się do prezentacji na dworze królewskim. Wprawdzie dziewczęta nie skończyły jeszcze szesnastu lat i były nieco za młode na obrzęd przejścia, po

którym miały zyskać status panien na wydaniu, ale biorąc pod uwagę problemy w Vaux-le-Vicomte, Julie uznała, że przyjęcie odpowiedniej oferty małżeńskiej stanie się najlepszym i najbezpieczniejszym rozwiązaniem dla jej córek. Zamierzała nalegać na długi okres zaręczyn, aby zatrzymać Lili i Delphine trochę dłużej w domu, ale ponieważ obie będą już oficjalnie zajęte, ich narzeczeni oraz ich rodziny ochronią dziewczęta przed łotrami pokroju Jacques'a-Marsa Courville'a.

Na myśl o tych planach Delphine znacznie poprawił się humor i przez całą drogę do Paryża dziewczynie usta się nie zamykały. Nowe suknie na bale i bankiety przy świecach w Wersalu, a potem ślub z kochającym i zadowolonym mężem; elegancki dom – urządzony i prowadzony według jej upodobania – oraz małe córeczki, które już przebierała w wyobraźni niczym lalki, uczyła tańczyć i grać na fortepianie. To właśnie stanowiło spełnienie jej najskrytszych marzeń. Magia tej wizji najwyraźniej pozwoliła Delphine odsunąć od siebie wspomnienie przykrych wydarzeń w Vaux-le-Vicomte, a godzina bezustannego mówienia tak bardzo ją zmęczyła, że w końcu zasnęła spokojnym snem na ramieniu matki.

– Jesteś dziwnie milcząca – powiedziała *maman*, spoglądając na Lili. – Choć trudno było coś wtrącić pomiędzy te suknie balowe i lekcje gry na fortepianie.

– Żałuję, że nie mam podobnych marzeń – wyznała Lili. – Wszystko byłoby wtedy znacznie prostsze.

– Jej marzenia jeszcze się nie spełniły. Mam nadzieję, że tak się stanie. – Pogładziła Delphine po policzku. – Ale o czym ty marzysz?

– O czym marzę? – Lili odchyliła się na siedzeniu, jakby pytanie wydało się jej zbyt trudne. – O niczym.

– Nonsens. Na pewno o czymś marzysz. – Julie zmrużyła oczy. – To znaczy, nie licząc mikroskopu.

Lili odetchnęła głęboko.

– Wiem znacznie więcej o tym, czego nie chcę, niż o tym, czego chcę.

– A więc czego nie chcesz? To zawsze coś.

– Nie chcę, by ktoś inny decydował o moim życiu. I nie chcę rezygnować z własnych zainteresowań tylko dlatego, że ktoś uważa, iż powinnam się zajmować czymś innym.

Delphine przekręciła głowę i mruknęła coś przez sen, więc

Julie zmieniła pozycję i znów przytuliła córkę.

– Życie nie jest takie straszne, jak mogłoby się wydawać – rzekła, pochylając się w stronę Lili na tyle, na ile pozwalała wsparta o nią Delphine. – Zaraz po twoich narodzinach walczyłam o ciebie z baronową Lomont. Chciałam przygarnąć cię od razu, ale ona dość brutalnie zauważyła, że jestem jeszcze młodą, niedoświadczoną mężatką i noszę w sobie dziecko, które będzie potrzebowało całej mojej uwagi. Miała rację. Ulegając jej, zyskałam trochę czasu sam na sam z własnym dzieckiem. Nauczyłam się, jak być matką i w końcu zdobyłam również ciebie – kiedy już byłam na to gotowa. A ty zyskałaś osobę, na którą – pomimo, jakby to ująć... jej trudnego charakteru – zawsze możesz liczyć, nawet jeśli nie do końca podoba ci się sposób, w jaki okazuje swoją troskę.

Julie zamilkła, ale ponieważ nie doczekała się odpowiedzi, odezwała się znowu – cichym, spokojnym głosem, jakby mówiła bardziej do siebie niż do Lili.

– Idziesz w jedną stronę i na drodze napotykasz rozwidlenie. Oglądasz się za siebie i widzisz wszystkie rozwidlenia z przeszłości. Zastanawiasz się, czy gdzieś popełniłaś błąd albo czy zaraz nie popełnisz kolejnego. Całkiem możliwe. Niemal na pewno będziesz popełniać błędy, przynajmniej raz na jakiś czas. Najlepsze, co możesz zrobić, to słuchać serca i rozumu... – Zamyśliła się na moment, po czym znów spojrzała na Lili. – A także swojego sumienia i poczucia obowiązku. Całe życie dokonujemy wyborów i mamy nadzieję, że na koniec będziemy zadowoleni z rezultatów, choć po drodze narażamy się na spore nieprzyjemności, jeśli nie pozwolimy innym dokonywać tych wyborów za nas.

Lili pogrążyła się w zadumie.

– Jak dotąd nie dokonałam zbyt wielu wyborów. Kiedy zacznę?

– W wielu sprawach, często najważniejszych w życiu, nie masz wyboru. Na przykład musisz wyjść za mąż. – Uśmiechnęła się do Lili szelmowsko. – Chyba że, oczywiście, chcesz zostać zakonnicą w Abbaye de Panthémont.

– *Maman*, jesteś okropna! – zachichotała Lili.

– No cóż – stwierdziła Julie – w takim razie potraktuj to jako wybór numer jeden. Teraz kolejnym rozwidleniem na twojej drodze będzie znalezienie właściwego męża. – Zwróciła głowę do Delphine. – Jej wystarczy dobry, zamożny człowiek bez żadnych

szczególnych cech, ale ty potrzebujesz wspólnika, jeśli chcesz wieść życie, jakiego pragniesz. A to, moja droga Lili, będzie wymagało poszukiwań godnych córki Emilie du Châtelet.

Zerknęła na walizeczkę stojącą w rogu powozu obok Lili.

– Podaj mi moją torbę, *s'il te plaît*.

Julie wyciągnęła ze środka gruby notes obłożony delikatnym florenckim papierem.

– Księżna zostawiła go w mojej sypialni jako prezent powitalny i od razu wiedziałam, że chcę go podarować tobie.

Lili przekartkowała puste strony. Uniosła głowę dopiero wtedy, kiedy zauważyła, że w powozie panuje cisza. Julie przyglądała się jej z uwagą.

– Chyba nadszedł czas, żeby Świergotka przyszła komuś na ratunek – powiedziała. – Wygląda na to, że pewna dziewczynka imieniem Lili potrzebuje jej pomocy.

> Z jednej z zagród przy drodze wyszła starsza kobieta oraz dziewczyna, na oko szesnastoletnia, i przyłączyły się do Świergotki oraz Toma, którzy przybyli z gwiazd na grzbiecie Comète.
>
> – Gwiazdy to rozsypana garść soli – odezwała się kobieta. – Z każdej dobrej myśli wyrasta kwiat polny.
>
> – Co to za paplanina? – zwróciła się Świergotka do dziewczyny. – Czy ona nic nie wie?
>
> – Obawiam się, że nie – odparła dziewczyna i wybuchła płaczem.
>
> – Cóż, to miłe z twojej strony, że przynajmniej nad nią płaczesz, jeśli rzeczywiście jest tak głupia, jak się wydaje.
>
> Staruszka uszczypnęła Toma w policzek.
>
> – Posłuszeństwem jest piekło wybrukowane – powiedziała z bezzębnym uśmiechem.
>
> – Nie płaczę nad nią – zaprzeczyła dziewczyna, której na imię było Piret. – To samo stanie się dziś ze mną. Udajemy się właśnie w miejsce, gdzie pozbawią mnie rozumu.

Lili przerwała czytanie i zerknęła spod przymkniętych powiek na dżentelmena siedzącego w gabinecie Hôtel Bercy. Gładził się po brodzie, a w kącikach jego oczu pojawiły się delikatne

zmarszczki zdradzające lekkie zakłopotanie. Z ulgą powróciła do lektury i nie podnosiła głowy, dopóki nie dotarła do końca.

> Świergotka dostrzegła pojawiający się powoli zarys swoich butów, co zawsze stanowiło oznakę, że zaklęcie przestaje działać.
>
> – Musimy iść, zanim nas zobaczą – powiedziała do Toma. Zagwizdała w umówiony sposób i na skraju drogi natychmiast ukazał się Comète.
>
> Gdy dzieci podbiegły do rumaka i wskoczyły mu na grzbiet, Tom rzekł:
>
> – Ziemia jest chyba najdziwniejszym miejscem, jakie odwiedziliśmy.
>
> – Zgadzam się – przyznała Świergotka, gdy galopowali w stronę nieba, zostawiając za sobą gwiezdny pył.

Lili zamknęła zeszyt i uniosła wzrok.

– To głupiutka historyjka, monsieur Diderot – rzekła. – Nie wiem, dlaczego *maman* chciała, żebym ją panu przeczytała.

– Ależ skąd! – żachnął się Denis Diderot. – Satyra to ostatni krzyk mody. Zwłaszcza w Anglii. Jeśli tylko wplecie się to w jakąś opowieść, można naśmiewać się prawie ze wszystkiego bez ściągania na siebie uwagi policji.

– Satyra, monsieur?

– W rzeczy samej. Ciekawa powiastka, która obnaża głupotę społeczeństwa.

– Ale ja wcale nie miałam zamiaru niczego obnażać – zaoponowała Lili. – Świergotka to po prostu dziewczynka, której przytrafiają się dziwne rzeczy. – Nagły hałas rozmów docierający z salonu zmusił ich do odwrócenia głów. Drzwi do gabinetu otworzyły się i weszła Julie.

– A więc, monsieur Diderot – zaczęła. – Co pan sądzi o Świergotce, której przytrafiają się dziwne rzeczy? – Podeszła do Lili i poklepała ją czule po ramieniu. – I o mojej Lili?

– Rośnie nam prawdziwa filozofka – oznajmił. – Powinna być pani niezmiernie dumna.

Lili znów zerknęła ukradkiem na jedną z najznamienitszych osobistości we Francji. Mężczyzna wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Jego peruka przesunęła się lekko do tyłu, ukazując fragment łysiejącej głowy. Prosty, lecz przyduży nos wisiał nad ustami,

które wydawały się zbyt mięsiste i nie pasowały do filigranowej sylwetki.

– Gdyby nie była taka młodziutka i nie istniałoby żadne niebezpieczeństwo, poprosiłbym panią o pozwolenie, by spróbowała napisać coś do mojej nieszczęsnej *Encyclopédie*. – Zagrzmiał, jakby siła głosu mogła przyćmić sygnał wysyłany przez jego spojrzenie, że prowadzi wojnę ze światem i na razie to świat wygrywa. – Ma nieprzeciętny umysł jak na swój wiek.

– I jak na swoją płeć, monsieur Diderot. – *Maman* uniosła dłoń z uśmiechem, prosząc o wyrozumiałość, że wchodzi w słowo tak wybitnemu gościowi. – Proszę nie zapominać o oczywistościach.

– Tak – rzekł i zwrócił się do Lili. – Nie zapomniałem o oczywistościach. To przeurocza młoda kobieta. Czy została już przedstawiona królowej?

– Jeszcze nie – odparła Julie. – Liczymy, że nadarzy się okazja w przyszłym miesiącu, kiedy jej królewska mość powróci z Lotaryngii.

Diderot przyglądał się nagle posmutniałej twarzy Lili.

– Widzę, że nie możesz się doczekać tego zaszczytu.

– Tak, proszę pana – wymamrotała, czując jakby powietrze gęstniało wokół niej, gdy o tym myślała.

Julie przerwała nagłą ciszę.

– Lili nie tylko ma świetne pióro, ale przejawia wielki talent do matematyki i nauk ścisłych... Jak jej matka.

Zdumiona Lili podniosła wzrok. *Maman* rzadko wspominała Emilie i zwykle były wtedy sam na sam. A teraz nagle traktowała ten temat tak zwyczajnie, jakby dotyczył okruszków ciasta na talerzyku.

– Zaiste – przyznał Diderot. – Proszę mi powiedzieć, mademoiselle du Châtelet, czy podobnie jak twoja matka jesteś wybitna w każdej dziedzinie?

– Nie. – Lili wzruszyła ramionami. – Z pewnością nie jestem wybitna w dyganiu.

Pomieszczenie wypełnił gromki męski śmiech.

– Cóż – odezwał się Diderot – jeśli już masz być w czymś nie najlepsza, zdecydowanie rekomenduję coś tak mało znaczącego.

Lili nie usłyszała jego słów. Co wiedział o jej matce? Czuła się zbyt skrępowana, żeby zapytać. Julie dała jej jasno do zrozumienia, że nie powinna słuchać innych, bo prawdopodobnie opowiedzą jej jakieś plotki, a nie fakty. „Ja nigdy cię nie okłamię

– zapewniła. – Z czasem poznasz całą prawdę". Lili za bardzo kochała *maman*, żeby się jej sprzeciwiać, ale w takich momentach...

– A więc, mademoiselle. – Głos Diderota przywrócił ją do rzeczywistości. – Jakie książki, twoim zdaniem, zasługują na miano najlepszych?

– *Principia* Newtona – odparła Lili bez zastanowienia. – *Historia naturalna* hrabiego Buffona. Dzieła Rousseau i Monteskiusza. No i oczywiście Woltera. – Spuściła wzrok, nagle zażenowana. – I pańska *Encyclopédie*.

Diderot się roześmiał.

– Bardzo dyplomatyczna odpowiedź, muszę przyznać!

– Ale to prawda. Czytam ją po trochu. *Maman* wykupiła prenumeratę, więc mamy wszystkie tomy.

– Wiem. Madame de Bercy wykazała się wielką wspaniałomyślnością – i odwagą. Najwyraźniej *Encyclopédie* może opisywać działanie pługu, ale poczynania Kościoła to już zupełnie inna kwestia. Właściwie to jestem całkiem zadowolony, że zdołaliśmy urazić niemal każdego – króla, ministra, kardynała, biskupa... – Spojrzał na Julie z zawadiackim uśmiechem. – I niejedną konkurencyjną *salonnière* naszej madame de Bercy.

Diderot pochylił się w stronę Lili z miną spiskowca.

– Zastanawia mnie, co napisałabyś o Biblii.

Dziewczyna zerknęła z przerażeniem na *maman*, żeby sprawdzić, czy popełniła jakiś błąd.

– Powiedz, co myślisz – zachęciła ją Julie. – W tym domu nie obowiązują żadne oficjalne opinie.

– Myślę... – zawahała się dziewczyna. Choć już dawno opuściła klasztor, wciąż krępowała się wypowiadać pewne rzeczy na głos. – Uważam, że nie można polegać na Biblii czy Kościele jako źródłach wiedzy na temat świata. – Zadumała się na moment. – Te opowieści mogą pomóc nam się odnaleźć i zdecydować, co robić w życiu, ale istnieje inny rodzaj wiedzy, o którym Biblia nic nie mówi. Mam na myśli to, jak świat naprawdę działa.

– A skoro Biblia nie głosi tego typu prawd, czy, twoim zdaniem, powinniśmy kwestionować istnienie Boga, którego historię opowiada? – zapytał Diderot.

Lili zaczęła wiercić się na krześle. Cała ta sytuacja przypominała jej trochę przepytywanie przez księdza baronowej

Lomont. W tym wypadku wiedziała jednak, że monsieur Diderot nie próbuje doszukiwać się w niej oznak myślenia, które zasługiwałoby na naganę.

– Uważam, że powinniśmy kwestionować wszystko, jak powiada Kartezjusz. Ale Bóg wciąż by istniał, choćby nic o nim nie napisano. Nawet jeśli nikt nie wiedziałby o jego istnieniu – urwała, rozważając nową myśl. – Czy Bóg nie oznacza właśnie tego?

Diderot klepnął się w udo z aprobatą.

– Mówi z taką samą pasją jak jej matka. A może powinienem raczej powiedzieć – jej obie matki? – Zdjął okulary, żeby przetrzeć szkiełka, a Lili odwróciła wzrok, nie bardzo wiedząc, co ma o tym wszystkim myśleć.

Julie wstała i wzięła zeszyt z kolan Lili.

– Powiedziałam monsieur Diderotowi o Świergotce – rzekła – a on uznał, że jeśli twoje opowieści są naprawdę tak mądre, jak twierdzę, któraś z gazet chętnie je opublikuje.

– Prawdopodobnie „Gazette d'Amsterdam" – wtrącił Diderot. – Aby uniknąć cenzury. I oczywiście pod pseudonimem.

„Opublikować?" – Lili przypomniały się chwile sprzed lat, kiedy Delphine kuliła się obok niej w fotelu i wspólnie czytały nowe przygody. Teraz ciężko było jej czuć bliskość z Delphine, która spędzała każdy dzień na pilnych przygotowaniach do prezentacji i wielogodzinnym ćwiczeniu etykiety. Dziewczyna miała nadzieję zachwycić królową Francji Marię Leszczyńską na tyle, aby przyjęła ją do grona swoich dwórek. Dzięki temu Delphine zagwarantowałaby sobie świetne perspektywy zamążpójścia – mogłaby liczyć na zainteresowanie co najmniej bogatego hrabiego lub markiza z apartamentami w Wersalu, pięknym domem w Paryżu i przynajmniej jednym pałacem poza miastem. Jednak to wszystko tylko potęgowało w Lili wizję siostry wymykającej się jej bezpowrotnie.

Maman i Diderot rozmawiali już o tym, jak przestawić litery w nazwisku Châtelet, żeby stworzyć ciekawy pseudonim, kiedy Lili w końcu przemówiła:

– Dziękuję panu za propozycję, ale chyba nie tego pragnę – rzekła, spoglądając na Diderota, aby uniknąć wzroku *maman*. – Nie zależy mi na sławie, a Świergotka jest dla mnie zbyt osobista.

Odtrącony Diderot opadł ciężko na oparcie.

– Przepraszam, monsieur – dodała Lili pospiesznie. – Uczynił

mi pan wielki zaszczyt. Jednakże...

– Nie musisz się tłumaczyć, *ma chérie* – wtrąciła Julie głosem, który, ku uldze Lili, nie zdradzał krzty gniewu czy dezaprobaty. – To twoje opowiadania i zrobisz z nimi, co zechcesz. – Zwróciła się do Diderota. – Świat po prostu będzie musiał poczekać, aż Lili dojrzeje do decyzji.

Lili zawsze trzymała notatnik na biurku w swoim pokoju, ale by podkreślić wagę swych słów, Julie ostentacyjnie włożyła go do szuflady i przekręciła klucz.

Monsieur Diderot wstał.

– W takim razie – powiedział – sława też musi poczekać. – Spojrzał na Lili z osobliwym uśmiechem, po czym zwrócił się do Julie i zaoferował jej ramię. – Czas powrócić do gości?

Lili podążyła za nimi. Czuła się tak, jakby *maman* właśnie otworzyła okno i zaproponowała Tomowi i Świergotce, żeby odlecieli bez niej. Jednak kiedy wchodziła do salonu, serce biło jej szybciej nie tyle ze złości, ile z dumy. „Mogłam się zgodzić. Jakbym się teraz czuła, gdybym to zrobiła?". Nie była pewna, ale spodobała jej się wizja takiego sekretu. Usta zadrgały jej w uśmiechu, gdy stała przy drzwiach do salonu i przysłuchiwała się głosom najznamienitszych osobistości Francji.

Natychmiast zauważyli powrót gospodyni, ale już po chwili znów oddali się ożywionej dyskusji.

– Mój drogi *abbé* Turgot – mówił jakiś dwudziestoparoletni jegomość – chyba nie sądzi pan, że pozostawienie wszystkich samym sobie, zgodnie z tym leseferystycznym podejściem, jakie pan opisuje, stanowi wystarczającą ochronę dla biedaka, który jest kantowany przez kupca. Albo dla kupca, którego oszukują dostawcy.

Anne-Robert Jacques Turgot stał odwrócony plecami do Lili, ale mówił na tyle głośno, że doskonale go słyszała.

– Monsieur Leclerc, najwyraźniej mam lepsze zdanie od pana na temat współmieszkańców miasta, ponieważ tylko najwięksi głupcy nie potrafią pojąć idei interesowności. Rynek zawsze działa w interesie publicznym – pod warunkiem że pozostawi się go samemu sobie. Kupcy szukają najlepszych cen, a obrotni sprzedawcy będą oferować takie ceny. Jeśli za bardzo je podniosą, klienci pójdą do kogoś innego. W takiej sytuacji oszuści szybko zostaną bez pracy, jak sądzę.

– I pójdą gdzie indziej, żeby zacząć od nowa – odezwał się jeden

z mężczyzn, a jego komentarzowi towarzyszył szmer aprobaty ze strony pozostałych gości.

– Ale pan jest przedstawicielem władzy, *abbé*! – rzekł mężczyzna nazwany Leclerkiem. – Jako poborca podatkowy w Limoges nie głosi pan chyba, że w handlu nie ma miejsca dla rządu?! Żyjemy w nowoczesnych czasach! Wszyscy – zarówno parlament, jak i król – zgadzają się z tym, że postępowe przepisy pozwolą na wyniesienie naszej gospodarki ponad – czy mam to powiedzieć? – średniowieczne transakcje wieśniaków w dni targowe...

– Wszyscy się zgadzają? – *Abbé* uniósł gęste brwi.

– Wszyscy oprócz kilku szaleńców! – wtrącił ktoś inny. – Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby odbudować skarb państwa, jeśli chcemy uniknąć kolejnej porażki zbrojnej z Anglikami. *Mon Dieu*, dopiero co oddaliśmy im Amerykę Północną!

– Mój drogi panie Leclerc – ciągnął Turgot – nie ma nic ważniejszego od zdrowia finansowego Francji, a coś takiego jak zwycięstwo zbrojne po prostu nie istnieje. A jeśli już mamy dyskutować na temat zdrowego rozsądku, wspomnijmy o podstawowej jego zasadzie, która mówi o tym, by szanować wolność jednostki. Rząd zawsze powinien bronić wolności kupca do kupowania, a sprzedawcy do sprzedawania. Z chwilą, gdy nakładamy na nich ograniczenia i specjalne przywileje, zasada ta przestaje obowiązywać.

– Jak to? – zapytała Lili.

Na dźwięk kobiecego głosu monsieur Turgot odwrócił się zdziwiony.

– Mademoiselle du Châtelet – powiedział, kłaniając się lekko. – Jestem oczarowany, że to mnie wybrała panienka na odbiorcę swoich pierwszych słów w salonie madame.

Mężczyzna stojący obok niego roześmiał się głośno.

– Och, daj spokój, Turgot. Urocza młoda dama potraktowała cię poważnie! Jesteś nie tylko oczarowany, lecz także zdumiony!

Turgot również się zaśmiał, ale po chwili odłączył się od grupy i stanął przed Lili, pochylając się nieco, by zrównać się z nią wzrostem.

– Cena dóbr powinna być ustalana pomiędzy dwoma kontrahentami w taki sposób, żeby kupiec zapłacił nie więcej, niż to konieczne, a sprzedawca miał z tego rozsądny zysk – stwierdził. – Zgodzisz się ze mną?

– Oczywiście – odparła Lili, opierając się pokusie uczynienia kroku w tył. – Choć zdania mogą być różne na temat tego, co uważa się za rozsądne.

Mężczyźni zaryczeli z uciechy.

– Waż słowa, Turgot – rzekł Leclerc. – Nie jesteś przyzwyczajony do publiczności, która naprawdę cię słucha!

Turgot go zignorował.

– Słuszna uwaga – rzekł do Lili, po czym zwrócił się do pozostałych gości. – Jednak kiedy wmiesza się rząd, sprawa przestaje być taka prosta. Czyż nie mam racji, panowie? – Kiedy zaczęli kiwać potakująco głowami, znów popatrzył na Lili. – Załóżmy, że król chce ustalić wszędzie taką samą cenę zboża, i ogłasza, że w przyszłym roku ma pozostać identyczna jak w poprzednim. To wydaje się dobrą królewską decyzją, prawda?

– Tak – przyznała Lili. – W ten sposób każdy miałby dość chleba.

– Zgadza się, aby jednak wcielić takie zarządzenie w życie, nie obejdzie się bez inspektorów, raportów, a może nawet trzeba będzie przetransportować zboże z jednego miejsca w inne. A to się wiąże z kosztami. Jeśli król obiecał nie podnosić cen zboża, pieniądze na realizację takiego programu musiałyby pochodzić z innego źródła – na przykład z wyższego podatku za wino albo sól. Albo z dodatkowej opłaty nałożonej na oficjalną cenę zboża, powiedzmy z opłaty inspekcyjnej albo podatku transportowego. A więc ostatecznie osoba kupująca zboże dostawałaby je za cenę uczciwego zysku kupca plus trochę więcej, bo inaczej koszty sprzedawcy zjadłyby wszystkie zyski. A może kupca nie będzie stać na zapłacenie podobnej kwoty i zostanie zmuszony zastąpić jeden produkt tańszym substytutem – na przykład zdecydować się na żyto zamiast pszenicy. Gorsze produkty, wyższe ceny. W ostatecznym rozrachunku taki dekret ma niewiele wspólnego z dobroczynnością.

Umilkł, widząc zafrasowaną minę Lili.

– Rozumiesz?

Lili miała mętlik w głowie.

– Nigdy nie próbowałam spoglądać jednocześnie na całą Francję – powiedziała – ale chyba rozumiem pańskie argumenty.

– To mi wytłumacz! – zawołał inny mężczyzna, ale zaabsorbowana rozmową Lili nie usłyszała.

– Tak czy inaczej – ciągnęła – widziałam już sytuacje, tutaj

w Paryżu, w których nie chodziło o rozsądne zyski, ale o to, czy ktoś w ogóle dostanie zapłatę za swoją pracę. I rozumiem, że *population flottante* powiększa się z każdym rokiem tylko dlatego, że chłopi popadają w długi, żeby wykarmić swoje rodziny. Moim zdaniem rząd powinien zająć się rozwiązaniem podobnych kwestii, skoro tak bardzo dba o naturalne swobody człowieka. Jak ktoś może czuć się wolny, jeśli nie ma pewności, czy jego praca zostanie wynagrodzona, a rodzina będzie miała co jeść?

– *Vive mademoiselle la Philosophe!* – zakrzyknął Leclerc.

Denis Diderot odchrząknął.

– Koledzy, być może pewnego dnia powiecie, że byliście tutaj, kiedy ta młoda dama po raz pierwszy zademonstrowała swoje możliwości.

Lili nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Mówię poważnie – rzekła, a jej surowy głos nieprzyjemnie kontrastował z beztroskim nastrojem panującym w salonie. – Chciałabym wiedzieć, co ma pan do powiedzenia na temat tych, którzy potrzebują ochrony prawnej, ale jej nie mają.

– Mademoiselle – odparł Turgot z zauważalnym napięciem w głosie. – Czy rząd powinien płacić rachunki za czyszczenie każdego rąbka sukni, który ubrudził się na miejskiej ulicy? Żądanie przepisów przeciw wszelkim oszustom mogącym wykorzystywać innych ludzi jest równoznaczne z założeniem istnienia społeczeństwa, które da się uczynić doskonałym. Ja zaś pozostawię podobne mrzonki marzycielom pokroju Rousseau, którzy nie mają nic praktycznego do zaoferowania.

Lili zaparło dech. „Nic praktycznego?". Zanim zdążyła odpowiedzieć, poczuła obejmujące ją ramię.

– Myślę, że już wystarczy – szepnęła *maman*.

„Pragnę zostać wysłuchana" – pomyślała Lili. Chciało jej się płakać. Ale *maman* miała rację. Musi nauczyć się znacznie więcej o świecie, zanim zdoła wygrać potyczkę z człowiekiem pokroju *abbé* Turgota. Nagle przed oczami stanęła jej wizja baronowej Lomont przy śniadaniu. „Jeśli potrafię się nauczyć, jak rozbija się skorupkę jajka – powiedziała sobie w myślach – mogę też nauczyć się prowadzić dyskusje w salonie *maman*. Mój dzień jeszcze nadejdzie, ale teraz czas się wycofać".

– Ma pan rację, monsieur – rzekła z powściągliwym uśmiechem. – Nie wolno zapominać o praktycyzmie, a ja wiem o tym jeszcze zbyt mało z racji młodego wieku.

Spojrzenie Turgota złagodniało. Przechylił głowę z rozbawieniem.

– No cóż, wygląda na to, że nie poniosę dziś sromotnej klęski. Choć obawiam się nieuchronnej porażki, a jednocześnie wyczekuję naszego następnego spotkania z rozkoszną trwogą.

„Kolejny porywczy, ale miły mężczyzna" – pomyślała Lili. Tak jak Rousseau czy Diderot – z ideami, które wciąż ją przerastały. Obdarzyła Turgota uśmiechem, z którego Delphine byłaby dumna.

– Będę ćwiczyć cały tydzień na to spotkanie – rzekła i poczuła, jak *maman* ściska jej dłoń z aprobatą.

Emilie

Château de Montjeu, Bourgogne, 15 czerwca 1734
Do monsieur Pierre'a-Louisa Moreau de Maupertuisa
Paryż

Mój drogi Przyjacielu,

słowa nie są w stanie wyrazić mojego przerażenia spowodowanego Twoim ostatnim listem, który otrzymałam dziś rano. Monsieur Wolter i ja wciąż jesteśmy gośćmi księcia de Richelieu – choć minął pełny miesiąc, odkąd przybyliśmy na jego ślub – ponieważ nasz gospodarz doskonale zdaje sobie sprawę z potrzeby zatrzymania Woltera w bezpiecznym ukryciu. Sprawy mają się coraz gorzej, o ile to w ogóle możliwe. Lettre de cachet z nakazem aresztowania Woltera wywołał tu całkiem spore zamieszanie i choć Richelieu nie wydał swojego gościa władzom – dzięki Bogu za nieustające poświęcenie byłych kochanków, do których z wielką czułością zaliczam również Ciebie! – list jest wciąż prawomocny i mój drogi Wolter obawia się opuszczać rezydencję w obawie, iż pochwyci go jakiś nadgorliwy miejscowy policjant.

Nie do wiary, że taką reakcję mogła wywołać zwykła książka! „Listy filozoficzne" nie zawierają żadnych treści, których mógłby się obawiać człowiek myślący, nie licząc może prawdy, że pod

pewnymi względami angielski sposób rządów jest lepszy od naszego i że zasady postępowania Anglików są często bardziej cywilizowane, zwłaszcza w kwestiach klas społecznych. Czyż my, Francuzi, jesteśmy aż tak delikatni, że łamiemy się pod jakąkolwiek krytyką? A czy ipso facto nie można wysnuć argumentu, iż ci, którzy nie są w stanie przyjąć krytyki, by za jej sprawą stać się lepszymi, są w rzeczy samej gorsi od tych, którzy to potrafią?

Jednakże odbiegam od tematu. Drżę na samą myśl, że napisane przez Ciebie słowa mogą być prawdziwe – o tym, że parlament, którego członkowie wydają się głupsi od dojnych krów w sposobie, w jaki kłaniają się w pas królowi! – uczynił publiczną demonstrację ze spalenia książki, a policja skonfiskowała wszystkie odnalezione egzemplarze. „Gorsząca względem religii, moralności i szacunku, na jaki zasługują władze". W rzeczy samej! To oni są gorszycielami, a nie książka Woltera!

Najdroższy Przyjacielu, czuję wielki smutek, ponieważ nie mogę więcej oszukiwać samej siebie i muszę wreszcie przyznać, jak bardzo kocham tego mężczyznę. Jestem przerażona drwinami, z jakimi spotkały się moje błagania na dworze. Prosiłam moich – jak miałam nadzieję – sprzymierzeńców, aby zasugerowali delikatnie królowi, iż Wolter nie wydał zgody na przemycenie książki do Francji. Niestety spotkałam się jedynie z chłodną odpowiedzią, że skoro napisał szkodliwą książkę, kiedy przebywał na wygnaniu w Anglii za napisanie innej szkodliwej książki we Francji, nie ma mowy o jakichkolwiek dowodach niewinności, zwłaszcza kiedy dzieło trafiło do kraju – nieistotne, czy za jego przyzwoleniem, czy bez. Mój drogi Maupertuisie, wiem, że nic nie możesz na to poradzić, ale zapewniam Cię, iż nie dopuszczę, by ktoś o tak wybitnym umyśle gnił w więzieniu, szczególnie że jego zdrowie już stanowi powód do zmartwień. Wolter nawet we wczesnej młodości nie miał silnego organizmu.

Mąż poinformował mnie, iż zamierza poprosić o oficjalne pozwolenie na odizolowanie Woltera od społeczeństwa w swojej rodowej posiadłości w Cirey. To nudne miejsce i areszt domowy z pewnością będzie trudny dla tak towarzyskiego człowieka. Niemniej jednak Wolter jest zadowolony, ponieważ posiadłość leży zaledwie dwie godziny drogi od granic Lotaryngii, która wciąż – całe szczęście – częściowo pozostaje poza zasięgiem władzy króla i oferuje bezpieczne schronienie, na wypadek gdyby Wolter musiał

szybko uciekać. Ze swojej strony Wolter zgodził się wykorzystać własne środki na renowację pałacu podczas swojej tam bytności. Zdaniem mojego męża to świetny układ, ponieważ posiadłość jest w opłakanym stanie.

Pokładam duże nadzieje w markizie – to człowiek najbardziej godny szacunku, jakiego znam. Nadal nie wyraża sprzeciwu z powodu intymnego zaangażowania Woltera w moje życie. Może to w pewnym sensie pozwala mu stawiać siebie na równi z niekwestionowanym geniuszem naszych czasów i bez słowa skargi dzieli z nim coś tak cennego jak własna żona. Nie rozmawiamy o tych sprawach przez szacunek, jakim darzymy siebie nawzajem, ale dostrzegam wyraźnie, że jego sympatia do Woltera nie jest wymuszona, ponieważ kiedy wraca do domu ze swojego regimentu na froncie, zaprasza Woltera, by nam wszędzie towarzyszył.

Muszę się szykować na obiad, kończę już zatem. Proszę wkrótce napisać do mnie znowu, miejmy nadzieję, że z lepszymi choć odrobinę nowinami.

Twoja pełna uwielbienia i kochająca,
Emilie,
markiza du Châtelet-Lomont

8

1765

Delphine, proszę, zdecyduj się, żebyśmy mogły wreszcie zdjąć trochę tych tkanin z krzeseł. Zemdleję, jeśli zaraz nie usiądę.

– Proszę, *maman*, jeszcze tylko jedna. – Delphine złożyła błagalnie dłonie, jakby co najmniej modliła się żarliwie do figury Przenajświętszej Panienki. – Gdybym mogła wybrać pięć sukien zamiast czterech, byłoby mi znacznie łatwiej! – Sprzedawca zabrał próbki tkanin z jednego z krzeseł i Julie opadła na siedzenie, wzdychając z rezygnacją.

– Jesteśmy tu od dwóch godzin. Popatrz, robi się ciemno – rzekła. – Zapalają już lampy uliczne.

– Lili, proszę – błagała Delphine. – Pomóż mi jeszcze trochę!

Lili, której wybory już dawno zostały zapisane w księdze zamówień sprzedawcy, odłożyła kunsztowny kawałek brokatu. Od jakiegoś czasu z nudów analizowała fakturę tkaniny.

– To tylko suknie! – Wzruszyła ramionami.

– Tylko suknie? – Delphine zrobiła wielkie oczy. – One są do Wersalu!

– Wszystkie są równie piękne – rzekła Lili.

– No i właśnie w tym problem! – jęknęła Delphine, przełykając łzy. – Spójrz na ten – żółty jak masło. – Dotknęła jednej z próbek.

– A ten – żółty jak żonkile. – Złajała skrawek materiału, jakby to on postawił ją w tak trudnej sytuacji. – Jak mam wybrać?

Lili przymknęła powieki, pokiwała przez chwilę palcem w tę i z powrotem, po czym znieruchomiała.

– Ten! – oznajmiła, otwierając oczy.

– Nie żartuj sobie ze mnie! – żachnęła się Delphine, tłumiąc łzy. – To powinien być wspaniały moment, a ty wszystko psujesz.

– Był wspaniały przez pierwszą godzinę – zganiła córkę Julie – ale jeśli się nie pospieszysz, zaraz wybiorę za ciebie.

– Może mademoiselle stanie przed lustrem, a my jeszcze raz przyłożymy próbki do jej twarzy? – zasugerował sprzedawca, ale to w niczym by nie pomogło. Delikatną urodę Delphine zdawał się podkreślać każdy kolor, który został im pokazany.

– Wiem! – zakrzyknęła Lili. – Będziemy udawać, że obserwuje nas tłum niewidzialnych ludzi – oczywiście przystojnych dżentelmenów i modnych dam z Wersalu. – Złożyła skrawek tafty i przewiązała oczy Delphine. – Okręcę cię dookoła, a oni wybiorą za ciebie – jakby za sprawą magii. Wystaw palec. – Pokierowała Delphine w odpowiednie miejsce i obróciła nią. – Wskazuj! – poleciła. Palec Delphine wybrał jedwab w kolorze lawendowym.

– Jest prześliczny – szepnęła dziewczyna. – Chyba od początku najbardziej mi się podobał.

Julie westchnęła z ulgą, gdy dziewczęta uporały się z pozostałymi wyborami w kilka minut.

– Czas wracać do domu – powiedziała. – Jutro czekają nas modystka i szewc.

Lili jęknęła.

– Delphine, wybierz za mnie kapelusze – poprosiła. – Nie chcę spędzić kolejnego dnia w ten sposób.

– Naprawdę? – Dziewczyna aż podskoczyła. – Będę mogła udawać, że zamawiam dwa razy tyle dla siebie!

– Nie mogę się już doczekać – burknęła Julie, popędzając córki do drzwi. – I bardzo przepraszam, że tak długo pana przetrzymałam – zwróciła się do sprzedawcy, wskazując głową Delphine.

Noc już zapadła i światło lamp z wnętrza sklepów przy Saint-Honoré otulało ciepłą poświatą towary wystawione za szybami: kunsztowne porcelanowe tabakierki i figurki, wykwintne ciasta i torty, książki w wytłaczanej skórze, pierzaste kapelusze. W drodze do domu Julie poleciła stangretowi zatrzymać się na

chwilę przed apteką i kupić trochę czekolady. Kiedy panie czekały na jego powrót, Lili przyglądała się, jak jakiś młodzieniec wdrapuje się po słupach, żeby wstawić świece w szklane skrzyneczki lamp ulicznych. Inny mężczyzna, może jego ojciec, szedł za nim z długim kijem zakończonym małym knotem.

– Sprzedawca z pasmanterii będzie musiał wracać do domu w ciemnościach – rzekła Lili, spoglądając na ulicę za sobą. Wiszące nad ziemią dachy stwarzały mroczną atmosferę o każdej porze dnia, ale już na długo przed zmierzchem mrok stawał się tutaj wręcz nieprzenikniony. – To miły człowiek. Mam nadzieję, że nie musi iść piechotą.

– *Moi aussi* – mruknęła Julie. – Szkoda, że nie zapalają latarni codziennie, a jedynie podczas nowiu. Nic dziwnego, że jest tyle przestępczości na ulicach. Ludzie są napadani i bici... Przez większość nocy panuje całkowita ciemność. – Zerknęła przez okienko powozu. – Światło wygląda pięknie, prawda? Wyobraźcie sobie całe miasto oświetlone w ten sposób – ale obawiam się, że podatki byłyby przerażające, gdyby król zarządził coś podobnego.

– Ale my płacimy nasze rachunki, prawda, *maman*? – zapytała Lili.

– Oczywiście. – Julie się uśmiechnęła.

– Czy ten sprzedawca z pasmanterii też płaci podatki?

Julie westchnęła i znów wyjrzała przez okno.

– Znacznie wyższe od nas. Arystokracja jest zwolniona z większości podatków i próbuje się wymigać od pozostałych. Wygląda na to, że to on płaci za latarnie, choć wcale na tym nie korzysta, jeśli nie liczyć oświetlenia przed jego sklepem.

Delphine się wzdrygnęła.

– Cieszę się, że niedługo dojedziemy bezpiecznie do domu – rzekła, biorąc *maman* za rękę. – Zwłaszcza że mamy do omówienia przy kolacji cztery nowe suknie!

Maman zdawała się jej nie słyszeć.

– We Francji dzieje się wiele niedobrego – powiedziała. – To właśnie dlatego chciałam prowadzić salon. Uznałam, że skoro sama nie mogę nic zrobić, przynajmniej zbiorę razem inteligentnych mężczyzn, a oni być może znajdą jakiś sposób.

– Na razie nie wygląda na to, żeby im się udało – stwierdziła Lili. – Ale wolałabym zapalać latarnie, niż próbować ich rozgryźć. – Zwróciła się do Julie, ale właśnie mijały stary cmentarz Les Innocents, rozciągający się za ostatnią latarnią przy ulicy Saint-

Honoré, i ciemność, która nagle zapadła, uniemożliwiła jej dostrzeżenie twarzy *maman*. Lili czuła, jak powóz nabiera prędkości, zupełnie jakby szaleńczy pęd ciemnymi i wąskimi ulicami był lepszym wyborem od spokojnej, bezpiecznej jazdy pod sam Hôtel Bercy.

– Czy nie mam racji, *maman*? – nie dawała za wygraną Lili. – *Abbé* Turgot zdawał się myśleć, że pomaganie ludziom może nieść zgubne konsekwencje, i rozumiem jego racje. Ale skoro właściciel sklepu płaci podatki, dlaczego jego ulica nie jest oświetlona?

– To dobre pytanie do *abbé*.

– On trochę mnie przeraża – przyznała Lili. – Wie znacznie więcej ode mnie.

– A więc spróbuj go zapytać w inny sposób. Dlaczego nie wykorzystasz do tego Świergotki? Domyślam się, że pozostali będą cię dość zaciekle bronić, jeśli opowieść dowiedzie twoich racji. – Pochyliła się w stronę Lili, gdy światło z jednego z mijanych domów wpadło na moment do wnętrza. – Świergotka to nie tylko dziewczynka, której przytrafiają się dziwne rzeczy. Ona jest twoim głosem, Lili. Nie chcesz zostać wysłuchana?

Świergotka i Tom zsiedli ze swoich wielbłądów w afrykańskiej oazie i dostrzegli, że ludzie wokół chodzą w łachmanach.

– Myślałem, że to miasto jest bogate dzięki handlowi z muzułmanami – odezwał się Tom.

Wtedy przeszła obok nich kobieta z twarzą przesłoniętą obszarpanym woalem.

– Przepraszam! – zawołała do niej Świergotka. – Dlaczego ubierasz się w ten sposób?

– Bo nie mam nic innego – wyjaśniła kobieta. – Kiedyś wkładałam inny woal na każdy dzień tygodnia, ale nie wiem, gdzie się podziały wszystkie moje stroje. Nie chodzimy nago tylko dlatego, że nie zdejmujemy z siebie nic do snu. Inaczej to pewnie też by zniknęło przez noc – powiedziała, potrząsając spódnicą sukni.

W tym momencie obok przeszli trzej filozofowie.

– Dlaczego oni są lepiej ubrani od ciebie? – zapytał Tom.

– Nie wiem – odparła kobieta. – Tylko prości ludzie tracą wszystko z chwilą, gdy to dostaną....

Mężczyźni w salonie przestępowali z nogi na nogę i szelest tkanin skłonił Lili do dyskretnego podniesienia wzroku. „Nie podoba im się" – pomyślała, ale ciężar maminej dłoni na ramieniu dodawał jej odwagi do dalszej lektury. Kilka minut później dobrnęła do końca.

> Trzej filozofowie skręcili w boczną uliczkę i wkrótce znaleźli się przy imponującym budynku obok murów miasta. Świergotka i Tom, niewidzialni, na paluszkach zakradli się za nimi do środka, zanim drzwi zdążyły się zamknąć. Trafili do ogromnej jadalni, gdzie stały suto zastawione stoły. Służba chodziła w strojach z pięknego aksamitu, kielichy wykonane były z ogromnych diamentów, a talerze ze złota. Przez jedno z okien Świergotka i Tom dostrzegli kufry i skrzynie pełne ubrań, łącznie z setkami woali. Ładowano je właśnie na wielbłądy, podczas gdy szef karawany wręczał słudze mieszek monet. Po chwili sługa wszedł do jadalni i wysypał monety na stół.
>
> – Wasze zyski, *messieurs* – powiedział.
>
> Mężczyźni odchylili się na krzesłach i poklepali po brzuchach.
>
> – Dobrze jest mieszkać w zasobnym kraju – skonstatował pierwszy filozof.
>
> – Zwłaszcza jeśli czyni cię bogatym – dodał drugi.
>
> – Wygląda na to – stwierdził Tom, kiedy dzieci sunęły już bezpiecznie pośród gwiazd – że w Afryce im więcej potrzebujesz, tym mniej masz.
>
> – A im więcej masz, tym mniej rzeczy zauważasz – dodała Świergotka.

W pomieszczeniu panowała grobowa cisza, nie licząc brzęku szkła, gdy ktoś zbyt gwałtownie odstawił na stół szklaneczkę brandy. Lili rozejrzała się po poważnych twarzach gości w salonie. Wreszcie usłyszała dobiegające skądś klaskanie.

– Brawo! – zawołał Jean-Étienne Leclerc i niedługo zawtórowali mu inni.

Abbé Turgot, gdy jego twarz odzyskała swój naturalny kolor, skinął głową w stronę Lili w geście uznania.

– Chyba mademoiselle nie sugeruje – rzekł – że filozofowie to

pewnego rodzaju pasożyty żerujące na tym, co słusznie należy się innym?

– Nie, proszę pana – odparła Lili. – Ale uważam, że nic nie zastąpi wyjścia na ulicę i przekonania się na własne oczy, jak wygląda rzeczywistość prostych ludzi. Zastanawiałam się nad pańskimi słowami sprzed kilku tygodni i doszłam do wniosku, że warto trochę zaryzykować, jeśli dzięki temu nie tylko wszystkich będzie stać na chleb dzisiaj, lecz także ci ludzie zyskają pewność, że i jutro nie umrą z głodu.

Leclerc znów zaklaskał.

– *Abbé* Turgot – ciągnęła – proszę pamiętać, że to tylko głupiutka historyjka o miejscu, które nie istnieje. Któż ośmieliłby się kraść cudzą własność i traktować ją jak część własnego majątku? To przecież absurdalne.

– Ależ skąd! – zakrzyknął mężczyzna w wyszywanej, jedwabnej kamizelce skrytej pod starannie skrojoną aksamitną marynarką. Miał opadające powieki, typowe dla osób, u których nadmiar wagi gromadzi się na twarzy, a jego zwisający podbródek trząsł się z każdym wypowiedzianym słowem. Lili nigdy wcześniej go nie widziała w salonie *maman*, a dziś musiał wejść niezauważony, kiedy czytała. – Niektórzy mają więcej, bo inni mają mniej – oznajmił. – To prosta zasada, Turgot, i nie mogę powiedzieć, że całkowicie potępiam taki stan rzeczy. Jednak to niezaprzeczalny fakt, jak sugeruje opowieść mademoiselle, że ci, którzy jedzą ze złotego żłobu, czynią tak przez zubażanie innych.

– Ja nikogo nie zubażam! – oburzył się jeden z gości. – Wspieram dobroczynność i z pewnością nie jestem winny łakomstwa.

Kilku mężczyzn wybuchło śmiechem.

– Jesteś tylko łakomy na hazard – odezwał się któryś – i na kobiety.

– Nie ma w tym nic złego, prawda, hrabio de Buffon? – zapytał inny, którego głos przebił się przez salwy śmiechu.

„Hrabia de Buffon? – pomyślała Lili. – Zarządca Jardin du Roi – ogrodów królewskich po drugiej stronie Sekwany? Dlaczego *maman* nie uprzedziła, że tu będzie?".

– A więc to cudowne dziecko, które madame de Bercy ukrywała przed światem – rzekł hrabia de Buffon, podchodząc do Lili. Ukłonił się i pocałował jej dłoń. – Muszę natychmiast napisać do monsieur Woltera do Ferney i poradzić mu, żeby lepiej wracał do

Paryża, bo ktoś niebawem może go zdetronizować!

Przyjrzał się twarzy Lili.

– Słyszałem mądrość twojej matki w tej opowieści i jestem oczarowany, dostrzegając jej rysy w twojej twarzy.

– Mojej matki? – Lili zerknęła na *maman*, która promieniała z radości.

– Tak – przyznał hrabia de Buffon. – Znałem ją dość dobrze i jestem pewny, że byłaby zachwycona widokiem dorosłych mężczyzn porażonych prawdą twoich słów. – Znów się ukłonił. – Czy uczynisz mi ten honor i przyjmiesz ode mnie zaproszenie na obiad? Sądzę, że mój bratanek będzie wniebowzięty perspektywą oprowadzenia cię po ogrodach i pokazania mojego laboratorium.

Jean-Étienne Leclerc przecisnął się pomiędzy pozostałymi gośćmi i stanął obok hrabiego.

– To ja jestem bratankiem – oznajmił. – Mam nadzieję, że mademoiselle nie jest rozczarowana.

Lili do tej pory nie miała okazji dobrze się przyjrzeć młodzieńcowi, którego znała jedynie z nazwiska. Wyglądał na dwadzieścia parę lat, miał jasnobrązowe włosy wystające teraz gdzieniegdzie spod przypudrowanej peruki, błękitne oczy, a cerę niemal równie jasną jak Delphine. Jego szczupła, wysoka sylwetka stanowiła przeciwieństwo korpulentnych kształtów wuja, ale obu panów cechowało przenikliwe spojrzenie – nie onieśmielające, ale pełne zaciekawienia, jakby próbowali sprawdzić, czy zdołają milcząco nakłonić ją do uśmiechu. Uległa niemal natychmiast.

Maman stanęła obok Lili.

– Zgódź się, jeśli tylko masz ochotę, *ma petite*.

– A czy posiada pan mikroskopy? – zapytała Lili.

Hrabia z rozbawienia złapał się za brzuch.

– We wszystkich rozmiarach – rzekł. – I rysunki przedstawiające obiekty, które dzięki nim zaobserwowaliśmy. Ale bądź dzielna – dodał i pochylił się do niej z miną spiskowca. – Natura nie jest dla wrażliwych.

PAPUGI SKRZECZAŁY NA ŻERDZIACH w szklarni Jardin du Roi. W klatkach wznoszących się pod sam sufit trzepotały się ptaszki we wszystkich kolorach tęczy, poćwierkując i szczebiocząc. Lili prawie ich nie słyszała, gdy do storczyków na długiej, cienkiej łodydze przybliżała szkło powiększające hrabiego

de Buffon, a potem oddalała je, dopóki nie złapała ostrości.

– Wygląda jak pomalowany – stwierdziła.

Hrabia się uśmiechnął.

– I każdy kwiat jest jedyny w swoim rodzaju – dodał. – Spójrz na kolejny.

Lili skierowała szkło na maleńkie punkciki pośrodku kwiatu oraz na ledwo dostrzegalne linie biegnące wzdłuż płatków po każdej stronie. Wstała i wzięła w dłoń całą ukwieconą łodygę.

– Trudno mi pojąć, dlaczego Bóg zadał sobie tyle trudu – rzekła. – Wiem, że nie maluje ich pojedynczo, ale chyba nie ma potrzeby, żeby każdy z tych kwiatów był trochę inny.

– Ani żeby ludzie się od siebie różnili – zauważył hrabia. – Każdy jest inny, a jednak to ten sam gatunek. Czy zechciałaby pani spojrzeć, madame de Bercy? – zapytał, wręczając szkło Julie. – W większości gatunków potomstwo jest niemal identyczne, jak w przypadku tych storczyków. Jednak czasami, na przykład u psów czy kotów, co chwilę obserwujemy powstawanie nowych, zupełnie różnych od siebie form. Zapewne trudno by było w to uwierzyć, gdyby ulice Paryża nie dostarczały tak wyraźnych dowodów, że dowolny pies lub kot może wydawać na świat osobniki zupełnie innego rodzaju i to w nieskończonych ilościach, zwiększając zatrważający nadmiar zwierząt w naszym mieście. Właściwie jestem pewny, że gdyby na Ziemię przybyli przedstawiciele obcej cywilizacji z innej części wszechświata, nie zdołalibyśmy ich przekonać do istnienia stworzenia zwanego psem, bo byliby pewni, że używamy setek określeń na nazwanie podobnych istot. – Odchrząknął. – Bardzo przepraszam. Mam skłonność do dawania wykładów, kiedy tylko trafi mi się publiczność.

– Ależ nie, błagam pana – odparła Julie – proszę kontynuować. Przyszłyśmy tutaj czegoś się nauczyć, prawda, Lili?

Lili skinęła potakująco głową.

– Z ilustracji, które widziałam w książkach, pański gość mógłby wywnioskować, że ludzie to też wiele różnych gatunków, bo istnieje bardzo niewielkie podobieństwo pomiędzy Hindusem i Lapończykiem.

– Zgadza się – odparł Jean-Étienne Leclerc – i wuj dość jasno zaznaczył w swoich pracach, że gdyby nie nasza niechęć do parzenia się z ludźmi zbyt różniącymi się od nas samych, świat już dawno zapełniłby się osobnikami o karmelowej skórze,

z brązowymi oczami w kształcie migdałów. – Zaśmiał się beztrosko. – Ja tam wolę zostawić Chinki Chińczykom i zapewne oni też zgodziliby się ze mną w tej kwestii. Aczkolwiek nie do końca pojmuję, jak mogliby uznać swe młode damy za tak atrakcyjne jak nasze obecne towarzyszki.

Skłonił się w stronę Lili, która natychmiast oblała się pąsem i spuściła wzrok.

– Myślę, że już dość się nasłuchałyśmy na temat prokreacji – przestrzegła Julie, żartobliwie grożąc mężczyznom palcem.

– Zgoda – odparł hrabia – ale zanim udamy się na obiad, mam do pokazania mademoiselle du Châtelet jeszcze jedną rzecz. Jeśli oczywiście pani pozwoli. O ile pamiętam, pozostawiliśmy bez odpowiedzi jej pytanie o Boga i o to, dlaczego – a raczej, czy w ogóle – zadał sobie trud ozdobienia storczyków kropkami.

Poprowadził Lili do jednego ze stołów i wskazał szklaną klatkę z różowym kwiatem w środku. Otworzywszy maleńkie drzwiczki, sięgnął po fiolkę z kilkoma owadami. Wypuścił je do klatki i zamknął ją.

– Proszę patrzeć.

„Patrzeć na co? – dziwiła się Lili – Na owada latającego po klatce?". Wtedy *maman* pisnęła. Kwiat ożył, złapał insekta dwoma płatkami i wciągnął go do środka.

– To niemożliwe! – zawołała Lili.

– Ale to prawda – odparł Buffon.

– Kwiaty się nie ruszają! – Lili próbowała powstrzymać szloch.

– Ani nie jedzą owadów – z reguły, ale najwyraźniej tak właśnie się stało.

– Nie! To nie ma sensu! – Lili przez moment wyobraziła sobie, że wszystkie kwiaty w szklarni poruszają się, robiąc to samo, i ze strachu przywarła do *maman*.

Hrabia zaoferował Lili swoją chusteczkę na otarcie łez.

– Nie widziałaś kwiatu, który się poruszył – zauważył z uśmiechem rozbawienia.

– Ależ tak! Na własne oczy!

Pokręcił głową.

– To, na co patrzyłaś, jest jeszcze bardziej niesamowite. – Znów wręczył jej szkło powiększające. – Co naprawdę widzisz?

Lili tak mocno drżały ręce, że z początku nie mogła złapać ostrości, jednak już po chwili ujrzała ogromnego owada poruszającego szczypcami przy otworze gębowym. Jego ciało

i odnóża przypominały kształtem kremoworóżowe i białe płatki. Jego główka wyglądała jak środek kwiatu storczyka, który Lili oglądała jeszcze przed chwilą, lecz zamiast plamek ujrzała parę maleńkich oczu oraz prostą linię teraz zamkniętej paszczy.

Hrabia de Buffon zdjął owada z żerdki i położył go sobie na palcu.

– To modliszka storczykowa. Skrywa się pomiędzy kwiatami i zdobywa pożywienie, łapiąc przelatujące owady. Weź ją i przyjrzyj się dokładniej. – Położył żyjątko na dłoni Lili. – Nie ugryzie cię, obiecuję.

Lili podniosła rękę na wysokość oczu i patrzyła, jak owad porusza nóżkami.

– Jest naprawdę piękna – powiedziała, czując, że jej serce znów zaczyna bić normalnym rytmem.

– I rozkoszna na swój sposób – wtrącił Jean-Étienne. – Wuj traktuje je jak swoje zwierzątka domowe. Prawda, wuju?

– Mają mi przypominać, aby nigdy nie przestać się zachwycać cudownymi dziełami natury. Czy mademoiselle wie, dlaczego istnieje takie stworzenie? – Lili pokręciła przecząco głową. – Bo może – odparł naukowiec. – A raczej właściwiej będzie rzec: bo musi. – Włożył modliszkę z powrotem do klatki i zamknął drzwiczki.

– Widzisz – rzekł, biorąc Lili pod ramię, by zaprowadzić ją do domu na obiad – zupełnie nie wierzę, że Bóg powiedział podczas stworzenia: „Niech się staną storczyki oraz modliszki, które wyglądają zupełnie jak one". Wydaje mi się, że na świecie pojawiły się różne odmiany roślin i zwierząt, a potem rozwijały się tam, gdzie zostały umiejscowione.

Gdy minęli patio przed szklarnią, wybitny uczony zatrzymał się na chwilę. Stali pośrodku szerokiej alei – tak długiej, że jej koniec znikał z pola widzenia. Pogrążony w myślach hrabia złączył dłonie i uniósł wzrok ku platanom rosnącym wzdłuż deptaka. Nieopodal domu ogrodnicy przycinali żywopłoty ogrodów dekoracyjnych, ale dalej, za ogrodami, tereny przeznaczone na przyjemne przechadzki ustępowały miejsca gęstej zieleni drzew i roślin leczniczych przy laboratorium Jardin du Roi.

– Rzeczy zmieniają się wraz z upływem czasu – wrócił do tematu, jakby w ogóle nie odbiegał od niego myślami. Jean-Étienne i Julie dogonili ich i teraz szli obok. – Klimat może się stawać cieplejszy lub chłodniejszy, bardziej wilgotny albo suchy

i wtedy idealne dopasowanie przestaje już być idealne. Zatem roślina zmienia kolor, a zwierzę dostaje cętek albo gęstnieje mu futro czy twardnieje skóra, żeby lepiej sobie radziło w nowych warunkach. Jeśli tej biednej, małej modliszce nie wychodziło za dobrze łapanie owadów, przystosowała się i upodobniła do czegoś, co przyciąga insekty. I *voilà*!

– I teraz to ona ma władzę – wtrącił Jean-Étienne ze śmiechem.

– Ale jak one się zmieniają? – Lili patrzyła w skupieniu na starzejącego się naukowca. – Zielona modliszka nie zacznie nagle składać jaj, z których wykluwa się różowe potomstwo, a tym drzewom nie wyrosną niebieskie liście następnej wiosny. Mogę być tego pewna, prawda?

Buffon się roześmiał.

– Myślę, że drzewa cię nie zaskoczą. Natura działa bardzo powoli, etapami. Zmiany, które z początku są niedostrzegalne, z czasem stają się wyraźniejsze, a w końcu rezultaty okazują się tak spektakularne, że trudno je przeoczyć. Tak więc, moja droga mademoiselle du Châtelet, nie potrafimy dostrzec, jak modliszki zmieniają kolor na różowy, ale możemy z całym przekonaniem stwierdzić, że zrobiły to w bożym czasie.

– W klasztorze uczyli nas czegoś innego – rzekła i uniosła wzrok, a na jej ustach zaigrał szelmowski uśmiech. Obchodzili właśnie żywopłoty i zbliżali się do żelaznej bramy imponującej posiadłości hrabiego Buffona, leżącej na samym krańcu ogrodów. – Zresztą siostry nie przykładały dużej wagi do praktycznej wiedzy i nauczania.

Buffon parsknął z dezaprobatą.

– Zdumiewa mnie, jak ktoś mógłby nazwać moje poglądy antyreligijnymi. Może są trochę antykościelne, ale z pewnością nie antyreligijne. Sposób, w jaki żywe istoty przystosowują się do nowych warunków, przechodzi ludzkie pojęcie, ale Bóg miał wystarczającą moc, żeby dać im do tego środki. Chyba tylko w ten sposób zdołał wszystko zaplanować, bo jedynie dzięki temu dzieło jego stworzenia potrafiło przetrwać zmiany, które, jak wiedział, były nieuniknione w jego świecie. Po co zadawać sobie trud tworzenia życia, jeśli zwykła zmiana ilości opadów lub temperatury mogłaby je zmieść z powierzchni Ziemi? Wierzę, że stworzył na przykład taką modliszkę – a raczej parę modliszek. Modliszki idealnie dostosowane do tamtego czasu i miejsca, które

potem wyewoluowały z tej idealnej postaci – bądź, jak kto woli, zdegenerowały się – ponieważ wymagały tego okoliczności. Podobnie jak człowiek może z uczciwego obywatela stać się złodziejem, gdy nie ma wyboru.

– Nie wydaje mi się, żeby to piękne stworzenie było zdegenerowane – stwierdziła Lili. – Już je polubiłam i mam nadzieję, że będę miała okazję zobaczyć je znowu. – Zerknęła przez ramię na majaczącą w oddali szklarnię.

Buffon się roześmiał.

– Droga mademoiselle, możesz odwiedzać moją modliszkę, kiedy tylko zechcesz.

Lili wiedziała, że się czerwieni, ale nie obchodziło jej to. Zatrzymała się przed bramą do posiadłości i pozwoliła się wyminąć Jeanowi-Étienne'owi oraz Julie.

– Dlaczego nie uważa pan, że zamiast być zdegenerowaną wersją oryginału, każde stworzenie jest doskonałe w swojej obecnej postaci?

Buffon spojrzał na nią z lekkim zdziwieniem.

– Aż się boję myśleć, co powiedziałyby na to twoje nauczycielki zakonnice. – Widząc jej zdumienie, ciągnął: – Jeśli mówimy, że dostosowane stworzenie jest doskonałe, sugerujemy, iż Bóg stworzył coś niedoskonałego, co zdołało samo się ulepszyć już po tym, gdy On zakończył swoje dzieło. – Omiótł ręką cały ogród. – Mój pogląd jest dość niebezpieczny, ale żywię przekonanie, że Bóg zamierzał jedynie wprawić naturę w ruch, a nie tworzyć wszystko samemu. To by oznaczało, że nie istnieją na świecie gatunki doskonałe, a jedynie dobrze dostosowane, włączając ludzi.

Lili zakręciło się w głowie od natłoku myśli.

– Monsieur Rousseau powiada, że wszystko, co wyszło z rąk Stwórcy, jest doskonałe, tylko zwyrodniało w rękach człowieka. – Przed oczami stanęły jej wizje ludzi zachlapanych błotem spod kół powozów, bezdomnych dzieci w łachmanach z plamami po poziomkach, pobitego mężczyzny, który chciał, żeby mu zapłacono, oraz wąskiej strużki światła na ścianie w klasztornej celi pokutnej.

Nieopodal zatrzepotała para motyli. Przycupnęły na chwilę na zagrabionej piaszczystej ścieżce, po czym odleciały w stronę chłodnej zieleni ogrodu.

– Natura wydaje się inna od społeczeństwa – ciągnęła. – Ona jakby bardziej od nas się stara, żeby świat był lepszy.

– A ja myślę, że społeczeństwo robi to samo, bo inaczej nawet nie traciłbym energii na ciężką pracę tutaj. – Wziął ją pod ramię i poprowadził przez bramę. – Trzeba wierzyć, że postęp jest możliwy, bo w przeciwnym razie jakiż byłby sens korzystania z rozumu?

Służba otworzyła drzwi na widok gości na dziedzińcu, ale zanim dotarli do schodów wejściowych, hrabia znów zatrzymał Lili.

– Ludzie od zawsze próbowali zrozumieć świat poprzez szukanie pewnych prawd i trwanie przy nich. Uważam, że tego typu myślenie pomału odchodzi w niepamięć. Jak stawimy czoła przyszłości? To pragnę wiedzieć. Odpowiedzi przyjdą od tych, którzy rozumieją, że jedyną prawdą jest zmiana i aby iść naprzód, należy jasno i obiektywnie rozważać świat – taki, jakim jest w swej istocie. – Znów wziął Lili pod ramię. – Niemal codziennie mam jakichś gości, ale prawie zawsze pozwalam bratankowi ich oprowadzać, a ja dołączam do nich dopiero przy obiedzie. Kiedy usłyszałem twoją historyjkę i zobaczyłem, jak sprzeciwiłaś się abbé Turgotowi, chciałem sprawdzić, ile jesteś warta. – Zaśmiał się serdecznie. – Wystraszyłem cię moją różową modliszką, ale nie na długo. – Zlustrował wzrokiem jej twarz, a następnie popatrzył głęboko w oczy. Jego spojrzenie przewiercało ją na wskroś, ale, ku swojemu zaskoczeniu, Lili nie pragnęła się cofnąć ani odwrócić głowy. – Jesteś uroczą dziewczyną. Masz w sobie ducha i umysł swojej matki oraz dużo szczęścia, że zajmuje się tobą Julie de Bercy, która bardzo cię wspiera. Nie zmarnuj życia, próbując zadowolić się przeciętnością. Bez względu na to, jaka muza cię do siebie wezwie – nauka, literatura, kto wie? – mam nadzieję, że jej odpowiesz. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Zbliżam się do końca swoich dni, ale gdybym kiedyś zapragnął pożyć dłużej, to między innymi po to, aby sprawdzić, co zrobisz z darem, który otrzymałaś. – Zerknął w stronę drzwi. – Wejdziemy?

Emilie

1740

Zrobione. – Marianne Loir odłożyła pędzel i wstała. – Myślę, że mogę kontynuować pracę bez pani. Czy chce pani spojrzeć na swój portret?

– W końcu – rzekła Emilie. – Przez chwilę myślałam, że prędzej umrę ze starości, niż znowu wstanę z tego krzesła. – Podeszła do sztalugi, żeby przyjrzeć się dziełu Loir. – O rety, chyba już tak się stało! Czy naprawdę wyglądam tak wiekowo? Przecież nie skończyłam jeszcze trzydziestu lat.

– Wcale nie wygląda pani staro – przekonywała malarka. – Cała pani promienieje i jest pani znacznie piękniejsza niż na obrazie w gabinecie męża. Była pani wtedy panną młodą, a wyglądała tak, jakby zaraz miała się rzucić do ucieczki. Tutaj sprawia pani wrażenie osoby żyjącej w zgodzie z własnymi zasadami. Mam nadzieję, że nie uraziło pani, iż przedstawiłam ją w ten sposób.

– W zgodzie z własnymi zasadami? – Emilie zmarszczyła brwi, przyglądając się uważniej portretowi. – Wyglądam jak zwykła, dobrze przystrojona żona. – Przyłożyła rękę do szyi i wymacała brylant, który dostrzegła na obrazie.

– Dodam symbole, jakie tylko pani zechce – rzekła Loir. –

Wiedziałam, że będzie pani miała własne pomysły, więc zostawiłam stół obok pani pusty. – Wskazała na jeszcze wilgotną farbę. – I ręce też.

Emilie się zamyśliła.

– Coś drogiego na stole... może jakiś naszyjnik odrzucony na bok na rzecz czegoś istotniejszego?

– Brylantowy naszyjnik?

Emilie się zaśmiała.

– Za bardzo kocham brylanty. Może lepiej jakieś kryształowe koraliki. Piękny, długi sznur wystający spod sterty manuskryptów. I otwartych książek.

– A co z dłońmi?

Emilie odwróciła wzrok od obrazu. Na jej ustach zaigrał uśmiech, jakby przypominała sobie coś bardzo intymnego.

– W lewej, tej od serca, niech tkwi biały goździk – symbol namiętności – powiedziała. – A w prawej cyrkiel nawiązujący do mojej pracy.

– Skierowany do dołu czy do góry? – zapytała Loir. – Czy jest pani filozofem wielkich idei, czy mierniczym świata?

Emilie zastanowiła się przez chwilę.

– Proszę skierować go w bok, bo zamierzam być i jednym, i drugim. – Kobieta roześmiała się zadowolona. – I niech wygląda, jakbym nie bała się użyć jego szpikulców jako broni w razie potrzeby.

Oczy malarki zmarszczyły się w uśmiechu.

– *Madame la Marquise*, to dla mnie wielki zaszczyt. – Odprowadziła Emilie do drzwi. – Prześlę go pani, gdy tylko skończę.

– Nie – odparła Emilie. – Proszę go wysłać do Cirey. Do monsieur Woltera. Domyśli się, co to oznacza.

9

1765

Stanislas-Adélaïde nie wnosi nic znaczącego do małżeństwa – prychnęła baronowa Lomont, odstawiając filiżankę z herbatą na stolik w salonie Hôtel Bercy na miesiąc przed prezentacją Lili i Delphine w Wersalu. – Oczywiście jej pochodzenie ze strony Châtelet jest bez skazy, ale Breteuilowie są w znacznie gorszej sytuacji. Wprawdzie jej dziadek, baron de Breteuil, miał zaszczyt być w służbie króla...

– Sekretarz zajmujący się planowaniem wizyt królewskich gości z zagranicy i jedna z nielicznych osób mających dostęp do prywatnych komnat króla to nie osoba o słabej pozycji społecznej. – Julie jak zwykle mówiła opanowanym głosem, ale jej oburzenie było łatwo wyczuwalne. – Chyba nie sugeruje pani, że człowiek, który dostąpił takich zaszczytów, jest mało wart?

– Oczywiście, że nie. Ród Breteuilów kupił swoje tytuły na tyle dawno, że już od pokoleń należy do grona elit, ale to nigdy nie będzie się równało rodowodowi krwi.

– Dość dobrze się orientuję w kwestii rang społecznych – ton głosu Julie stał się oziębły. – I choć chciałabym zlekceważyć cały ten temat, wiem, że nie mogę, ponieważ chodzi tu o przyszłość Lili.

– I jeszcze kwestia posagu. Jej ojciec dał mi do zrozumienia, że jego wkład będzie raczej niewielki. Gabrielle-Pauline wyszła świetnie za mąż za ważnego włoskiego księcia, ale pamiętam, że markiz zapewnił jej zaskakująco skromny posag, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, że oddawał córkę obcokrajowcowi. Florent-Louis jest prawnym spadkobiercą, więc to on otrzyma wszystkie ziemie Châtelet oraz odziedziczy tytuł. Jestem pewna, że rodzina jego żony będzie miała sporo do powiedzenia, jeśli markiz zdecyduje się przepisać Cirey lub inny pokaźny majątek Stanislas-Adélaïde.

Lili spochmurniała – jak zawsze, kiedy temat schodził na ojca. Przez całe życie powtarzano jej, że wolał spędzić resztę swoich dni w samotności i że jej rodzeństwo również nie utrzymywało kontaktu ze starym samotnikiem. Siostra Lili mieszkała we Włoszech, a po śmierci matki więzi z rodziną w Paryżu się urwały. Brat żył gdzieś we Francji, ale nigdy nie próbował się z nią spotkać, więc w końcu Lili postanowiła nie wracać myślami do żadnego z nich.

– Uszanuj życzenie ojca – powtarzała od czasu do czasu baronowa Lomont. Ostatecznie przyznał córce rentę, która pokrywała jej wydatki w Hôtel Bercy i nierozsądnie było ryzykować utratę tych pieniędzy przez zwykłą ciekawość.

Serce Lili trzepotało szaleńczo w ciasnym gorsecie. Chociaż dziewczyna zaakceptowała już, że ojciec nie stanie się częścią jej życia, w chwilach takich jak ta rozmyślała, czy za jego nieobecnością kryje się coś więcej niż zamiłowanie do pustelniczego życia. Czyżby Lili zrobiła coś złego? Czy winił ją za śmierć matki? Łzy napłynęły jej do oczu.

– To nie moja wina, że sprawy tak się mają – rzekła drżącym głosem. – Dlaczego on chce uczynić ze mnie nędzarkę?

Julie otworzyła usta, żeby dodać jej otuchy, ale baronowa Lomont przemówiła pierwsza.

– Ten pełen pretensji ton to kolejny argument przemawiający za tym, że rozsądnie by było przyjąć moją propozycję i pozwolić Stanislas-Adélaïde na wzięcie u mnie jeszcze kilku lekcji dobrych manier przed prezentacją na dworze – zwróciła się do Julie. – Wiem, że umie się zachować przy stole i opanowała kilka innych prostych zasad, ale prawdziwa gracja wymaga znacznie większych umiejętności. Jej sposób wypowiadania się wciąż pozostawia wiele do życzenia. – Zamieszała herbatę maleńką, srebrną łyżeczką. – Czy Lili ma jakieś doświadczenie

w posługiwaniu się wachlarzem?

„Nikt nie wychodzi za mąż bez posagu" – pomyślała Lili, wbijając paznokieć w skórkę tak mocno, że zaczął jej krwawić palec. Wsadziła go do ust. W tym momencie baronowa zerknęła w jej stronę i dziewczyna dostrzegła w jej wzroku błysk pogardy. Szybko położyła dłonie z powrotem na kolanach.

– Moja przyjaciółka z chęcią pomoże mi udzielać tych lekcji – ciągnęła baronowa. – A jeśli madame się zgodzi, mademoiselle de Bercy również jest zaproszona.

– Dziękuję za wizytę – powiedziała Julie i wstała, by podkreślić, że temat, jak i całe spotkanie, właśnie dobiegły końca. – Jeden z moich przyjaciół ma dziś wieczorem premierę swojej opery w Comédie-Italienne. Wybieramy się tam z dziewczętami jako jego goście i musimy się przygotować. Być może słyszała pani o monsieur Philidorze?

– François-André Danican Philidor? – Baronowa uniosła brwi. – Ten szachista?

– *Bien sûr*. Zorganizowaliśmy dla niego grę w moim salonie – serdecznie zapraszam, jeśli chce pani popatrzeć. Co tydzień przewiązujemy mu oczy i dopiero potem prowadzimy do stolika, żeby nie widział, na czym skończyła się gra tydzień wcześniej. Monsieur twierdzi, że grał równocześnie z trzema angielskimi ekspertami, mając zasłonięte oczy, ale nie mam u siebie tyle miejsca, żeby poddać go podobnej próbie. – Julie zbliżała się już do drzwi. – Z pewnością słyszała pani o angielskiej powieści *Tom Jones*? – Odsunęła się na bok, robiąc miejsce dla baronowej. – Monsieur Philidor na jej podstawie napisał operę i jesteśmy z dziewczętami dość podekscytowane, ponieważ przeczytałyśmy wspólnie tę książkę zeszłej zimy.

Lili z trudem stłumiła śmiech, słysząc tę subtelną aluzję. Baronowa nie pochwalała salonów literackich, z szachami czy bez, ani czytania powieści, a *maman*, na swój uprzejmy sposób, dawała do zrozumienia, że nic jej to nie obchodzi.

– Omówimy dziś wieczorem pani propozycję – rzekła – a jutro powiadomię panią o naszej decyzji. – Teraz baronowa znajdowała się już przy drzwiach do holu. – Bardzo doceniamy pani wielkoduszność i troskę – dodała Julie, po czym gestem dłoni zachęciła baronową Lomont do wyjścia na korytarz, a następnie z Hôtel Bercy.

– U BARONOWEJ LOMONT? – Delphine z rozczarowaniem zmarszczyła nos, gdy powóz wyjeżdżał z dziedzińca w stronę opery. – Cóż ona może wiedzieć o atrakcyjności i uroku osobistym?

– Wszyscy byli kiedyś młodzi – odparła Julie.

– Oprócz baronowej Lomont – powiedziały obie dziewczyny jednocześnie, po czym wybuchły śmiechem.

– Doprawdy, *mes petites* – rzekła Julie, a jej surowy głos natychmiast uciszył córki. – Powinnyście zdawać sobie sprawę z powagi sytuacji. Delphine oczywiście odziedziczy Hôtel Bercy, a Lili – zwróciła się do dziewczyny – wprawdzie nie powinnaś dręczyć się tymi okrutnymi słowami, którymi baronowa Lomont opisała twoje położenie, ale ani ród Bercy, ani Châtelet nie mają zbyt mocnej pozycji, jeśli chodzi o majątek, jaki ich córki wnoszą do małżeństw.

Skręcili w ulicę des Francs Bourgeois i światło latarni ulicznych zatańczyło na ponurych twarzach Lili i Delphine.

– Skąd nagle takie miny? – zapytała Julie weselszym tonem. – Uważam, że to dla was wielce istotne, by zrobić jak najlepsze wrażenie. A jeśli mężczyzna, który wam się spodoba, wybierze kogoś innego, bo dostrzeże w was jakieś braki? Wtedy możecie pożałować, że nie przykładałyście się do nauki ogłady.

Pod twardym, trójkątnym stomacherem kształtującym gorset pod piersiami Lili poczuła znajomy ucisk. Za miesiąc wraz z Delphine miały poznać królową Marię Leszczyńską i Lili wcale nie czuła się gotowa. Choć obie spędziły wiele godzin przed lustrem, ćwicząc dyganie oraz subtelne różnice w kontakcie wzrokowym i rodzajach uśmiechu, jakie należy stosować w towarzystwie osób zajmujących odmienne pozycje społeczne, przez większość czasu Lili uciekała myślami to do książki, którą właśnie czytała, to do zabawnej historyjki, którą opowiadały sobie z Delphine, a nawet do potraw, jakie danego dnia mieli serwować na obiad. „Czas schować do kieszeni dawne urazy i wzgardę” – postanowiła dziewczyna. Choć jeżyła się na samą myśl o snobizmie baronowej, starsza kobieta miała rację – nadeszła pora się ustatkować i spełnić swój obowiązek.

– Ależ ja przykładam do tego bardzo dużą wagę, *maman* – żachnęła się Delphine. Powóz dotarł już do końca oświetlonej ulicy i przeciskał się teraz przez labirynt wąskich, ciemnych alejek. – Gram na fortepianie całymi godzinami i nigdy nie

strącam niczego spódnicą ze stołu, nawet w bardzo wąskiej przestrzeni. – Zastanowiła się przez chwilę. – Choć mogłabym być trochę lepsza w menuecie. – Skrzywiła się i poruszyła nerwowo na siedzeniu. Lampy z jakiegoś domu przelotnie oświetliły wnętrze, gdy powóz przecinał ulicę Sainte-Avoie. – I nie wiem, jak komuś może być wygodnie w tych okropnych stomacherach, mimo że naprawdę ładnie podkreślają piersi.

– Zatem skorzystaj z propozycji baronowej i poproś ją o pomoc w opanowaniu kroków menueta – poradziła Julie, gdy w powozie znów zapadła ciemność. – A jeśli zna jakąś pożyteczną wskazówkę, jak lepiej radzić sobie ze stomacherem, proszę, koniecznie daj mi znać.

Lili do tej pory przysłuchiwała się im w milczeniu.

– Dawno temu powiedziałaś, że zawsze będę mogła liczyć na wsparcie baronowej Lomont, nawet jeśli nie podoba mi się sposób, w jaki mnie traktuje – rzekła. – Czy to dlatego nalega na kolejne lekcje?

– Pragnie, żebyś odniosła wielki sukces na dworze – odparła Julie. – Nawet jeśli z jej słów wynika, że w ogóle weń nie wierzy. – Powóz zwolnił i kobieta wyjrzała przez okno. – Jesteśmy już przy kościele Saint-Jacques de l'Hôpital. Zaraz dotrzemy do Comédie-Italienne. A więc postanowione? Jutro przyjmę propozycję baronowej Lomont, dobrze?

Dziewczęta odetchnęły głęboko – na tyle, na ile pozwalały im gorsety.

– Postanowione – odpowiedziały chórem.

– Mam nadzieję, że przynajmniej podają u niej dobre ciasta – stwierdziła Delphine, wydymając usta, podczas gdy stangret zszedł z kozła, otworzył drzwi i pomógł paniom wyjść. – Nawet jeśli będę przez to okrągła jak piłka.

SKRZYPCE PRZYGRYWAŁY ENERGICZNIE, a viola da gamba i wiolonczele dołączyły po chwili w delikatnym, narastającym *staccato*. Smyczki zrywały się niczym motyle, by po chwili pochwyciła je sieć natarczywego *continuo*. Gdy kurtyna poszła w górę, rzędy lamp na brzegach sceny oświetliły dwie kobiety w ogrodzie.

– Piękny młodzieniec może opętać duszę niewinnej panny – zaśpiewała jedna z kobiet i myśli Lili zaczęły odlatywać – jak często się to zdarzało – ku Jeanowi-Étienne'owi Leclerkowi i dniu

spędzonym z *maman* w Jardin du Roi. Dziewczyna pamiętała, jak był podekscytowany, kiedy opowiadał o eksperymentach wuja mających na celu zbadanie wieku Ziemi. Buffon nie opublikował swoich odkryć – wyjawił jej Jean-Étienne. Podobno nie chciał, by uznano go za szalonego, ponieważ obliczenia wskazywały na trzy miliony lat. Lili uśmiechnęła się, wspominając, jak młodzieniec pochylił się do jej ucha i tonem spiskowca wyszeptał, że obaj podejrzewają, iż tak naprawdę planeta jest znacznie starsza.

„Lubię Jeana-Étienne'a – pomyślała Lili, gdy na scenie śpiewał chór łowczych. – Dobrze mi się z nim rozmawia. – Przed oczami stanął jej Paul-Vincent i jego mikroskop. – On się nie liczy, bowiem jest zbyt młody" – zdecydowała. Zamknęła oczy i wsłuchała się w muzykę, próbując wyobrazić sobie dokładny kolor i zarys warg Jeana-Étienne'a.

– To musi być Tom Jones! – Wyrwana z marzeń Lili podążyła wzrokiem za palcem Delphine wskazującym mężczyznę w kurtce myśliwskiej, skrytego w cieniu na tyłach sceny. „Skup się na operze" – zbeształa się w myślach. – Nie, to dziedzic Western – poprawiła się Delphine. – Coś dużo czasu zajmuje temu Tomowi pojawienie się na scenie.

Baryton rozpoczął długą, entuzjastyczną arię o łowach, z których powracał wraz z mężczyznami pomału wkraczającymi na scenę, i Delphine pochyliła się, żeby zobaczyć aktorów przez lornetkę *maman*. Jęknęła, gdy dziedzic Western objął ramieniem przysadzistego jegomościa w średnim wieku, który grał rolę młodego, urzekającego libertyna.

– Niemożliwe, żeby Sophie zakochała się w kimś takim – stwierdziła. – Czy chociaż raz główny bohater nie może być przystojny?

– Delphine, ucisz się! – Julie przyłożyła palec do ust i zabrała córce lornetkę, co zwykle sprawiało, że dziewczyna zatracała się w muzyce i zapominała o mankamentach obsady. Wkrótce tak właśnie się stało i w loży zapadła cisza, jeśli nie liczyć sporadycznych jęków na widok Sophie zmuszonej znosić ciągłe wtrącanie się ojca i głupawe zaloty tego wazeliniarza Blililfila. W końcu kurtyna opadła po pierwszym akcie, a z sufitu opuszczono żyrandole ze świecami, aby oświetlić salę.

– Spójrz, *maman* – rzekła Delphine, przypatrując się przez mglistą, żółtawą poświatę grupie ludzi w loży po drugiej stronie. – Czyż to nie hrabia de Beaufort?

Maman na moment uniosła do oczu lornetkę, po czym przekazała ją córce.

– Chyba tak – rzekła. – A zauważyłaś ložę po jego lewej? – Delphine pochyliła się do przodu i zmrużyła oczy za szkiełkami. – Nie okazuj takiej ciekawości, *ma petite* – zganiła córkę Julie i dotknęła ramienia dziewczyny, by przyciągnąć ją z powrotem na siedzenie.

– To ta łasica Anne-Mathilde – oznajmiła Delphine, odchylając plecy na oparcie. – Lili, ty spójrz. Masz lepsze oczy. Czy wzięła ze sobą swoją papużkę?

Lili rozejrzała się po teatrze, nie używając lornetki, i szybko spuściła wzrok.

– Księżna de Praslin też tu jest – rzekła, ponownie zerkając w tamtą stronę. – Anne-Mathilde usilnie się stara, żeby mężczyzna obok niej dokładnie widział jej piersi. Skryła twarz za wachlarzem i pochyla się w jego stronę.

– Słyszałam plotkę, że skoro Anne-Mathilde już została przedstawiona królowej, niedługo zaręczy się z hrabią d'Étoges – rzekła *maman*. – Byłoby to dość udane małżeństwo, korzystne dla obu rodzin. – Patrzyła przez chwilę w tamtą stronę. – Jeśli to on, dziewczyna z pewnością robi wszystko, by pomóc sprawie.

Drzwi do ich loży otworzyły się i do środka wszedł mężczyzna o przenikliwych, szarych oczach, z lekko rozczochraną peruką na głowie.

– Monsieur Philidor! – wykrzyknęła Julie na powitanie, wstając bez wysiłku pomimo gorsetu i panier. – Wielki sukces! Cóż za wspaniała obsada! Pamięta pan moją córkę Delphine oraz mademoiselle du Châtelet?

– *Enchanté*. – Kompozytor się ukłonił. – Mam nadzieję, że wam również podoba się moja mała komedia?

– O tak – odezwała się Delphine, przekrzywiając uroczo głowę. – Zwłaszcza mężczyzna grający Toma Jonesa. – Dotknęła ucha i Lili ukradkiem uniosła brwi, by potwierdzić, że wychwyciła kłamstwo Delphine.

– Obawiam się, że musiałem mocno złagodzić libretto, by dogodzić niektórym gustom – rzekł Philidor. – Słyszałem już głosy niezadowolenia, że Tom Jones w mojej wersji bardziej przypomina kwakra niż nader rozpustnego bohatera monsieur Fieldinga.

– Żałuję, że nie jest trochę bardziej... – Delphine rozchyliła

delikatnie wargi, by dać do zrozumienia, że waży słowa – filuterny. – Skrzywiła usta w uśmiechu i natychmiast skryła go za wachlarzem.

– Obawiam się, że oryginalny Tom Jones nie spodobałby się naszym cenzorom – rzekła Julie, odwracając uwagę od nieudolnego wdzięczenia się Delphine. – Poza tym to muzyka najbardziej wszystkich obchodzi, a ta, mój drogi Philidorze – Julie nabrała powietrza w płuca i po chwili wypuściła je zmysłowo – jest zachwycająca.

Lili zauważyła, że *maman* zdołała obrócić się ku najlepiej oświetlonej części loży i pochylić niemal niezauważalnie, dzięki czemu jej lekko przypudrowane piersi i obnażone ramiona dopełniały ogólnego wrażenia zachwytu nad każdą nutą w partyturze Philidora. „Nic dziwnego, że wszyscy ją uwielbiają – pomyślała Lili, podziwiając swobodę *maman* w każdej sytuacji. – Zupełnie jakby rozgrzewał ją jakiś wewnętrzny ogień, przenikający przez skórę i dodający jej blasku".

Philidor zerknął na scenę.

– Muzycy wracają. Muszę iść – rzekł, po czym ukłonił się pospiesznie i zniknął.

Gdy orkiestra szykowała się do drugiego aktu, Delphine znów spojrzała na przeciwległy kraniec sali.

– Jest i Joséphine – oznajmiła pogardliwym tonem Lili. – Czy one mają zszyte sukienki? Nie potrafią znieść rozłąki?

– Wydaje mi się, że Anne-Mathilde nas zauważyła – stwierdziła Lili. – Robi niezłe przedstawienie.

– *Mon Dieu*! – Delphine wydała z siebie stłumiony okrzyk. – Spójrz, kto właśnie się do nich przysiadł.

Jacques-Mars Courville zajął miejsce pomiędzy Joséphine i Anne-Mathilde. Dostrzegł, że szal Joséphine upadł na podłogę, więc sięgnął po niego i okrył ramiona dziewczyny.

– To było dość poufałe – uznała Lili, lecz Delphine gwałtownie odwróciła wzrok.

Anne-Mathilde pochyliła się i powiedziała coś do obojga. Wtedy Joséphine przekręciła głowę do Jacques'a-Marsa, trzepocząc wachlarzem i się śmiejąc.

Lili zignorowała przestrogę Julie, żeby się nikomu nie przyglądać, i patrzyła, jak Anne-Mathilde wstaje, zatrzymuje się za plecami przyjaciół, kładzie jedną dłoń na ramieniu Joséphine, a drugą na barku Jacques'a-Marsa, po czym pochyla się i unosi

wzrok ku przeciwległej stronie sali. „Spójrz, kto tam jest, Jacques'u-Marsie – zdawały się mówić jej oczy. – Twoja towarzyszka zabaw Delphine i ta druga". Po chwili dziewczyna wyprostowała plecy, ale ani na chwilę nie odrywała spojrzenia od loży, w której siedziały Lili oraz Delphine. Chociaż Anne-Mathilde znajdowała się za daleko, by można było dostrzec chłód w jej oczach, Lili i tak go czuła, dopóki orkiestra nie zaczęła znów grać i nie porwała jej w świat muzyki.

DWA DNI PO TYM, jak baronowa Lomont wystosowała zaproszenie na lekcje, Lili stała w salonie Hôtel Lomont w panierach tak szerokich i sztywnych, że spokojnie mogłaby postawić filiżankę na każdym biodrze.

W fotelu, odziana w efektowny kapelusz w tym samym odcieniu zieleni co jej suknia, siedziała ich instruktorka madame du Quesnay, przyjaciółka baronowej. Obok niej spoczywali baronowa Lomont i jej spowiednik, a z drugiej strony na kanapie zasiadał brat pani du Quesnay, Robert de Barras. Delphine właśnie zajęła miejsce obok mężczyzny, uważając, by paniery rozłożyły się ładnie wokół niej.

– Uroczo – zwróciła się madame du Quesnay do Delphine. – A teraz, mademoiselle du Châtelet, spróbujemy jeszcze raz? Tylko proszę tym razem nie wzdychać. Okazywanie frustracji jest wielce niestosowne. – Uniosła dłoń i zatoczyła nią w powietrzu delikatny łuk. – Zwiewna gracja. Swoboda. Oto twój cel. – Odwróciła głowę do Delphine. – Najpierw jednak, mademoiselle de Bercy, proszę nam pokazać, jak należy wstawać z niskiej kanapy.

Jej oczy śledziły każdy ruch Delphine.

– Podnosisz się lekko. Masz wyglądać, jakbyś sunęła w powietrzu. – Madame du Quesnay spojrzała na mężczyzn. – Naprawdę bardzo mi przykro, że muszę powiedzieć coś tak nietaktownego, ale obawiam się, że to konieczne. – Zwróciła się do Delphine. – Aby uczynić to właściwie, musisz wsunąć nieco stopy pod siebie, żeby utrzymały twój ciężar, i podnieść się, używając siły ud, *comme ça*.

Madame du Quesnay pochyliła usztywniony przez gorset tułów lekko do przodu. – Od ud – rzekła i wstała z fotela jednym ruchem. – Mademoiselle du Châtelet, proszę spróbować ponownie i usiąść na miejscu panienki de Bercy, jakby monsieur był wielce

pożądanym adoratorem. Potem wstań z kanapy z taką gracją, jakby powietrze pod suknią unosiło cię do góry.

„Podejdź do kanapy. Okręć biodra, żeby odpowiednio ustawić paniery. Wystaw lekko lewą nogę i przenieś ciężar ciała na prawą. Tylko uważaj, żeby nie wystawała spod spódnicy. Opierając się na prawej nodze, zegnij tułów, oprzyj się nogą o kanapę i pomału opuść biodra. *Voilà*". Lili uderzyła w siedzenie prawie bez impetu.

– Znacznie lepiej – rzekła madame du Quesnay. – Ale na twojej twarzy maluje się zbyt wielkie skupienie. Zaciskasz usta, co nieładnie wygląda. Ćwicz w domu, aż nauczysz się siadać i wstawać w taki sposób, jakbyś robiła to bez zastanowienia.

Madame du Quesnay znów powstała i machnęła zwiewnie ręką.

– Pamiętaj, myślisz tylko o tym, jak przyjemnie jest konwersować z atrakcyjnym dżentelmenem. A teraz wstań, tak jak tłumaczyłam. Potem powtórz wszystko od początku.

„Ten facet to stary, nadęty nudziarz i jeśli jeszcze raz będę musiała wysłuchiwać jego ględzenia na temat zmarłej żony, chyba rzucę się z okna" – pomyślała Lili. Rozluźniła twarz i odpędziła od siebie wszelkie myśli. Fałdy spódnicy skłębiły się wokół niej dokładnie tak, jak powinny, i dziewczyna zwróciła się do monsieur de Barrasa.

– Och, monsieur, czyżbym dostrzegała ślad uśmiechu na pańskiej twarzy? – zapytała najsłodszym głosikiem, jaki zdołała z siebie wydobyć. – Wierzę, że tak!

– Przypominałem sobie właśnie moją Clarisse i jej pełne gracji ruchy. Obserwując panią, dopiero teraz zaczynam doceniać, jak świetnie opanowała sztukę, którą zawsze uważałem za coś oczywistego.

– Cieszę się, że dzięki mnie docenił pan szczególną wartość innej osoby – powiedziała Lili, przywołując na twarz odpowiedni uśmiech. Miała nadzieję, że nikt nie dostrzegł ironii w jej głosie. Przekręciła biodra, żeby lepiej zaprezentować wstążeczki i hafty na gorsecie sukni oraz krągłość piersi wystających znad dekoltu. – I bardzo mi przykro z powodu pańskiej straty. – „Przestań się uśmiechać". – Madame de Barras wydawała się chodzącą doskonałością. – „Przywróć uśmiech".

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Lili już wbiła stopy w podłogę i napięła mięśnie ud, przygotowując się do wstania. „Podnieś się z kanapy z taką gracją, jakby powietrze pod suknią

unosiło cię do góry" – myślała. Z trudem skryła nagłe rozbawienie.

Ku jej zaskoczeniu wszyscy wydawali się dość zadowoleni.

– Bardzo ładnie – rzekł ksiądz. – Prawda, baronowo Lomont?

Baronowa skinęła głową z przelotną aprobatą.

– Mężczyźnie zawsze powinno się wydawać, że uważasz go za atrakcyjnego – pouczyła dziewczynę. – To najlepszy sposób na zwrócenie na siebie uwagi dla kogoś o przeciętnej urodzie i nieszczególnym uroku osobistym. Czy zgodzi się pani ze mną, madame du Quesnay?

– Bez dwóch zdań. – Madame skinęła potakująco głową. – Umiejętnie flirtująca panna potrafi rozbudzić pożądaną reakcję, nie dając po sobie poznać, iż żywi jakiekolwiek oczekiwania. Mężczyzna będzie się zastanawiał nad znaczeniem twoich słów i gestów. Jeśli odkryje, że o tobie myślał, prawdopodobnie dojdzie do wniosku, że musi być zakochany. – Spojrzała na brata. – Choć podejrzewam, że większość mężczyzn nie zechce się przyznać, jak naiwni są w tych sprawach. Powiedz, mój drogi bracie, czy mademoiselle du Châtelet flirtowała z tobą przed chwilą, czy po prostu była uprzejma?

De Barras odchrząknął lekko.

– Dostrzegłem w mademoiselle młodą damę, która jeszcze niewiele wie o bólu, ale stara się być uprzejma dla pogrążonego w żałobie mężczyzny.

„Miałabym flirtować z tym pomarszczonym, starym dziadem?". Lili zerknęła na baronową Lomont i dostrzegła, że kobieta w zamyśleniu przygląda się jej i de Barrasowi. Poczuła niesmak. „Czy to właśnie knuje?".

DESZCZ TŁUKŁ W OSTATNIE SUCHE LIŚCIE wciąż trzymające się gałęzi kasztanowców na dziedzińcu Hôtel Bercy. Minęło już kilka dni od lekcji etykiety z madame du Quesnay. W saloniku *maman* ustawiono dwa długie rzędy krzeseł, które tworzyły wąskie przejście. Na jego końcu, na niewielkim podwyższeniu obok lustra, stał stołek symbolizujący miejsce królowej. Teraz siedziała na nim Lili i przyglądała się Delphine, która ćwiczyła głęboki ukłon zwany reweransem.

– *Maman* twierdzi, że nie będzie więcej miejsca niż tutaj, bo goście królowej Marii Leszczyńskiej bardzo się tłoczą i przez to utrudniają nam zadanie – rzekła Delphine.

Chociaż niektóre prezentacje na dworze obejmowały przedstawienie się zarówno królowej, jak i królowi, podczas swej pierwszej wizyty Lili i Delphine miały jedynie pokazać się Marii Leszczyńskiej. Mimo względnej prostoty całego rytuału, Lili wyobrażała sobie tę scenę jako walkę o to, kto będzie miał najszersze paniery i zdoła je przecisnąć przez najwęższe przejście, prowadząc przy tym uprzejme rozmowy i potakując, zupełnie jakby nie wiązało się to z żadnym wysiłkiem. „Pojedynek na ubrania" – pomyślała Lili, krzywiąc usta.

Delphine pokonała prostą drogę pomiędzy krzesłami i zdołała o nic nie zahaczyć. Dotarłszy przed stołek, wykonała głębokie dygnięcie i zamarła w tej pozycji. Po chwili zaczęły drżeć jej uda i poruszały lekko materiałem spódnicy.

– Możesz powstać – rzekła Lili oficjalnym tonem, który uznała za królewski. Delphine uniosła się jednym płynnym ruchem.

– Jak wykonałam mój rewerans? – zapytała.

– Idealnie. Nie licząc tego drżenia na końcu.

– Jeśli królowa Maria Leszczyńska każe mi się kłaniać tak długo, to będę wiedziała, że znienawidziła mnie od pierwszego wejrzenia – odparła Delphine. – Bolą mnie nogi w tej pozycji. *Maman* powie: „Wasza wysokość, tra la la", a wtedy ja spojrzę królowej w oczy, właśnie tak. – Delphine wpatrywała się w pustą przestrzeń jednocześnie z nieśmiałością i lekkim podekscytowaniem. – Potem rzeknę: „Pragnę przynieść zaszczyt dworowi Waszej Wysokości i całej Francji", a potem... – Delphine cofnęła się o kilka kroków, nie potykając się o tren – umiejętność, którą ćwiczyła od wielu miesięcy. – No dobrze, a teraz najgorsza część.

Delphine wspięła się na palce. Ujęła z gracją tren sukni, wykonała wielokrotnie ćwiczony obrót, przerzuciła materiał spódnicy na drugą stronę, uważając, by nie zahaczyć nim o sztywną ramę sukni, i pozwoliła fałdom opaść u jej boku. Spojrzała za siebie w lustro zadowolona, że tren leży zgrabnie z tyłu.

– Jak wyglądałam podczas obrotu?

– Lepiej, ale wciąż niepewnie.

Delphine odsunęła tren z drogi i opadła ciężko na jedno z krzeseł.

– Nigdy się tego nie nauczę.

– Nie martw się. Mnie pójdzie tak fatalnie, że skupię całą

krytykę na sobie. – Próbowały się roześmiać, ale dwa dni przed wyjazdem do Wersalu nic nie wydawało się zabawne. Swobodnie wykonywane reweranse i staranne przerzucanie trenu po pełnym gracji obrocie gwarantowały dobry początek na dworze. A dobry początek na dworze gwarantował prawdopodobnie wszystko inne.

Lili pokonała wąskie przejście i zastygła w ukłonie, dopóki jej plecy nie zlały się potem, a nogi nie osłabły tak bardzo, że przez chwilę obawiała się, czy w ogóle zdoła wstać. Kiedy już się wyprostowała, zrobiła zbyt gwałtowny obrót i tren zatrzymał się daleko poza środkiem.

– Przyjdziesz mnie odwiedzić, kiedy już królowa wtrąci mnie do Bastylii, prawda? – zapytała Lili z posępnym uśmiechem.

Delphine zachichotała.

– I znowu zapomniałaś o krokach do tyłu.

Lili powtórzyła całość jeszcze raz, i drugi, i trzeci. W końcu opadła na krzesło naprzeciwko Delphine. Wyciągnęła wilgotną chusteczkę spomiędzy spłaszczonych piersi i poklepała nią skronie.

– Niełatwo jest być atrakcyjną, prawda? – stwierdziła Delphine i sięgnęła po własną chusteczkę. – Mam nadzieję, że nie będę się pocić tak jak teraz. Co pomyślałyby damy dworu o pannie, której skronie ociekają potem?

– Ja będę szczęśliwa, kiedy to się skończy i wrócę do domu – wyznała Lili.

– Do domu? Przecież dopiero wtedy wszystko się zacznie! – Delphine zamknęła oczy i odchyliła się na oparciu z rozmarzonym uśmiechem na ustach. – Będziemy chodziły na bankiety i bale, jeździły konno w towarzystwie przystojnych dworzan. Może w trakcie naszej wizyty odbędzie się jakiś balet albo opera i zasiądziemy z wachlarzami, aby flirtować z dżentelmenami marzącymi o naszych pocałunkach. – Otworzyła oczy, ale jej głos wciąż wydawał się odległy. – Chciałabym, żeby ludzie mówili: „To Delphine. Ile ona ma gracji i pewności siebie. Jej inteligencja i błyskotliwość budzi w rozmówcy zaciekawienie, ale nigdy nie odstrasza". Taka właśnie pragnę być. A czasami... – Nachyliła się do Lili, jakby się obawiała, że mogłyby ją podsłuchać puste krzesła. – Tylko obiecaj, że nikomu nie powiesz, bo to bardzo nieskromne. Czasami wydaje mi się, że już jestem taką Delphine – przynajmniej bardziej niż kiedyś. – Jej twarz nagle spoważniała. – A z pewnością bardziej niż zeszłego lata.

– Bo taka właśnie jesteś – rzekła Lili. „W przeciwieństwie do mnie” – dodała w myślach. Intymna atmosfera stała się nagle tak przytłaczająca, że Lili zapragnęła wyrzucić z siebie wszystkie lęki, jednak zanim zdążyła coś powiedzieć, do salonu weszła Julie.

– Czas poćwiczyć z tobą, *maman*! – zawołała Delphine. Poderwała się tak szybko, że zawadziła panierami o krzesło, które upadło z hukiem na podłogę.

– Ojej... – mruknęła Julie i ustawiła krzesło z powrotem we właściwym miejscu. – Na szczęście większość mebli wytrzymuje kontakt z naszą garderobą. Ale dziewczęta, zanim wstaniecie, zawsze upewnijcie się, że ktoś przytrzymuje wam krzesło. Tylko nie odwracajcie się, żeby sprawdzić. Musicie wyglądać tak, jakbyście oczekiwały, że ktoś was obsłuży. – Podeszła do stołka. – Sprawdźmy, jak wam idzie – rzekła. Po chwili jednak przypomniała sobie, że trzyma w dłoni list i pomachała nim. – Lili, muszę później to z tobą omówić. Baronowa Lomont prosi cię o prywatne spotkanie, zanim wyjedziesz do Wersalu.

– Nie może chodzić o nic dobrego – burknęła Lili.

Julie uniosła rękę.

– Nie w sprawie lekcji – rzekła. – Obie uznałyśmy, że przed wyjazdem na dwór powinnaś poznać więcej szczegółów dotyczących twego... pochodzenia. Czas, żebyś dowiedziała się tego, co wiedzą inni. Albo tak im się wydaje.

– Baronowa Lomont ma mi o tym opowiedzieć? – Lili wyobraziła sobie salon w domu baronowej. Choć o tej porze roku służba pewnie już paliła w kominku, dziewczyna zadrżała na wspomnienie chłodu, jaki zawsze ją tam ogarniał. – Wolałabym porozmawiać z tobą, *maman*.

– To baronowa Lomont chciałaby przekazać ci te informacje – rzekła Julie kategorycznym tonem. O sprzeciwie nie było mowy. – I takie rozwiązanie jest właściwe, ponieważ łączą was więzy rodzinne.

Lili poczuła pieczenie pod powiekami.

– Ty i Delphine jesteście moją rodziną – szepnęła, ale zbyt cicho, by pozostałe panie mogły ją usłyszeć.

W tym momencie nagła ulewa skłoniła je do wyjrzenia przez okno na dziedziniec. Pomywaczka biegła do drzwi z koszem pełnym warzyw. Mężczyzna, od którego je kupiła, pchał swój wózek bez pośpiechu, nic sobie nie robiąc z deszczu.

Gwałtowny podmuch wiatru przywiał na bruk nowe liście i Julie zadrżała.

– Robi mi się zimno od samego patrzenia na tego człowieka – rzekła. – Mam nadzieję, że jutro, podczas twojej wizyty u baronowej, pogoda się poprawi. – Delphine objęła Lili w pasie z jednej strony, a *maman* z drugiej.

– *Moi aussi* – rzekła z żalem, że w przypadku wizyt w Hôtel Lomont zawsze potrzebna była nadzieja.

LILI PATRZYŁA ZADOWOLONA na swoje odbicie w lustrze w holu posiadłości baronowej Lomont na Île Saint-Louis. Jej włosy, skryte pod zawadiackim kapelusikiem, zostały skręcone w sprężynki i usztywnione słodzoną wodą, by zwisały idealnie z jednego boku. Miała lekko upudrowaną twarz, a policzki i usta muśnięte delikatnym różem. Peleryna z granatowej wełny, zapinana na złote guziki zabezpieczone ozdobnymi pętelkami, opływała elegancko jej figurę i chroniła przed chłodem wczesnej paryskiej zimy.

Służący nie poprowadził Lili jak zwykle do salonu, ale w głąb domu – do gabinetu. Baronowa Lomont siedziała w samotności przy kominku, ubrana jak na mszę.

– Wejdź, moja droga – rzekła, odkładając list, który trzymała na kolanach. – Nie mamy zbyt wiele czasu. Jak mniemam, zostałaś poinformowana, że wybieramy się do Notre Dame, aby pomodlić się o udaną prezentację na dworze dla ciebie i mademoiselle de Bercy.

– *Oui,* madame – odparła Lili i wykonała dygnięcie należne wyższej stanem starszej damie z rodziny. Nie za niskie, nie za długie, po którym następował odpowiedni kontakt wzrokowy – niezdradzający zbyt dużej uległości, ale sugerujący, że gest powitalny został skierowany do członka rodziny, którego miało się przyjemność często spotykać.

Lili usiadła naprzeciwko baronowej. „Trzeba pamiętać o tylu rzeczach naraz, ale zachowałam się poprawnie, i to bez zastanowienia" – zdała sobie sprawę. Nagle zakręciło jej się w głowie, gdy zaczęła analizować, jak zmieniłby się ten gest, gdyby witała kogoś innego, i wtedy poczuła zaskakujący przypływ czułości do tej nieprzystępnej starszej pani siedzącej przed nią. Długie godziny spędzone na rozbijaniu jajek, wstawaniu z różnych kanap i krzeseł oraz siadaniu na nich, niekończące się,

wymuszone i bezcelowe konwersacje – czy dla baronowej stanowiły podobną drogę przez mękę jak dla Lili? Czy ona też się cieszyła, że nauka dobiegła końca?

– *Oui, madame,* jestem zaszczycona, mogąc pani towarzyszyć. – Do oczu niespodziewanie napłynęły jej łzy. – I chciałabym, żeby pani wiedziała, jak bardzo czuję się wdzięczna za przygotowanie, które od pani otrzymałam. Mam nadzieję, że nie byłam zbyt trudną uczennicą.

Wtedy, ku zdumieniu Lili, baronowa się uśmiechnęła.

– Albo jesteś wyjątkowo szczera – a w takim wypadku dziękuję ci za miłe słowa, albo umiesz świetnie kłamać – a to by oznaczało, że spełniłam swoje zadanie. Tak czy inaczej, wyrosłaś na atrakcyjną młodą damę i wierzę, że potrafić o siebie należycie zadbać. – Wstała. – Chodź ze mną. Mam ci coś do pokazania. – Na ścianie wisiał portret mężczyzny z dwoma chłopcami. Stali w strojach jeździeckich przed przepięknym koniem trzymanym przez koniuszego w wytwornej liberii rodu szlacheckiego. – Wiesz, kim oni są?

– Nie, baronowo.

– To twój dziadek, a chłopcy to jego synowie, twój ojciec, Florent-Claude, i mój świętej pamięci mąż – Édouard-Marie. Jestem pewna, że masz świadomość, iż pochodzą z jednego z najstarszych rodów w Lotaryngii. A właściwie jednego z dwóch rodów – gałęzi Lomontów wywodzącej się z Châteletów.

– Tak, baronowo. Madame de Bercy poinformowała mnie o tym.

– Twój ojciec był muszkieterem króla, a jego dziad – jednym z najbardziej zaufanych generałów Ludwika XIV. Pod koniec swojej kariery markiz du Châtelet służył zdetronizowanemu królowi Polski, obecnemu księciu Stanisławowi z Lotaryngii – zostałaś nazwana na jego cześć – i na dworze powinnaś słyszeć same pochlebne rzeczy o ojcu, ponieważ zasłużył na podziw wszystkich, którzy go znają.

– *Oui, madame.* – „Tylko dlaczego, skoro jest tak wspaniałym człowiekiem, do tej pory baronowa Lomont i *maman* zachowywały się, jakby nie było o nim nic do powiedzenia? – zastanawiała się Lili. – Nie dostrzegam tu nic, czego nie mogłabym dowiedzieć się wcześniej".

– Jak wiesz, twój ojciec pochodzi z *noblesse de robe*, a nie *noblesse d'épée* – ciągnęła baronowa. – Rozumiesz różnicę, prawda?

– Tak, proszę pani. Niektóre rodziny pochodzą od pradawnych rodów szlacheckich i dlatego nazywa się je „arystokracją po mieczu", czyli rodową. Ale tytuł szlachecki „po sukni" król może przyznać każdemu w nagrodę za jego zasługi...

– Albo za spory wkład w prywatny skarbiec króla! – fuknęła baronowa. – Z pewnością spotkasz na dworze przedstawicieli arystokracji jednego jak i drugiego rodzaju, ale pamiętaj, że czasami tytuł znaczy bardzo niewiele. – Uniosła brwi, by podkreślić znaczenie swych słów. – Musisz zdawać sobie sprawę z rodowodu danej osoby, ponieważ istnieją inne zasady etykiety dla różnych stopni i rang. Nie możesz zapominać, że niektórzy reprezentują oba typy szlachectwa jednocześnie i czasem ciężko się zorientować kto, jak w przypadku naszej rodziny, jest bliżej w statusie do *noblesse d'épée* niż do pozerów, którzy ledwie wczoraj kupili tytuły posiadane przez nas od pokoleń.

– *Oui,* madame.

– Twoja babka od strony matki, Gabrielle-Anne de Froullay, poślubiła Louisa-Nicolasa le Tonnelier, barona de Breteuil. Gabrielle-Anne stała wyżej w hierarchii od męża, mimo jego tytułu, bowiem pochodziła z *noblesse d'épée.* – Baronowa odwróciła się od obrazu i spojrzała na Lili. – Małżeństwo uznano za odpowiednie, bo łączyło jego pieniądze i jej status społeczny. W moim przypadku było podobnie. Tak jak moja rodzina, wiele rodów po mieczu straciło część swojego bogactwa, więc pokładają nadzieje w ustanawianiu więzi z *noblesse de robe*. Niestety, to ta nowa arystokracja kontroluje większość majątków we Francji. Szlachcic po mieczu nigdy nie będzie czerpał zysków z handlu ani z podobnej działalności. Właśnie to odegrało dużą rolę w naszym zubożeniu w tej nowej Francji, o której wszyscy wypowiadają się z taką lekkością. – Prychnęła, by dać wyraz swej pogardzie. – Każdy arystokrata po mieczu, który przyjmie zapłatę za swoje wysiłki, dozna upokorzenia w postaci utraty zwolnienia z podatku, a jego status stanie się nie lepszy od statusu dobrze ubranego robotnika. Ale domyślam się, że już to wszystko wiesz.

– Nie, baronowo. Ale mogłam się tego domyślić z braku zajęć, który zaobserwowałam w wyższych sferach. – Lili się skrzywiła. „Czy zawsze musisz być taka sarkastyczna?" – skarciła się w myślach.

– To prawda – odparła baronowa. – W wyniku twojego powiązania z rodem Breteuilów jesteś *noblesse d'épée*, ale

o niższej pozycji, ponieważ więź dotyczy jednego z dziadków – ciągnęła baronowa. – Teraz chyba rozumiesz, jak istotne jest dla ciebie znalezienie odpowiedniego męża. Twoje dzieci znalazłyby się w fatalnej sytuacji, gdybyś wyszła za kogoś o gorszym bądź równym statusie, podczas gdy istnieje tyle możliwości na poprawienie swojej pozycji.

Baronowa odeszła już od obrazu i teraz siedziała przy niewielkim biurku. Z sakiewki przyczepionej do pasa wyjęła pęk kluczy. Położyła je na stole i gestem zachęciła Lili, by usiadła w fotelu stojącym obok.

– Właściwie to mademoiselle de Bercy przewyższa cię statusem, ponieważ jej matka pochodzi z dwóch wybitnych rodów po mieczu, choć, co z przykrością muszę stwierdzić, oba zubożały i są w posiadaniu jedynie majątków wiejskich. Monsieur de Bercy wywodził się ze szlachty po sukni i to on wniósł do małżeństwa pieniądze – co do ostatniej monety – w zamian za przywilej powiązania z kimś o świetnym rodowodzie. – Przyjrzała się Lili. – Pewnie zastanawiasz się, dlaczego dopiero teraz dowiadujesz się tego wszystkiego o rodzinie de Bercy. Trzymano cię w niewiedzy, ponieważ madame nie chciała, żebyście rozwiązywały spory, uciekając się do pozycji społecznej, co byłoby nieuniknione pomiędzy dziewczętami, które wychowują się razem. Poza tym madame chyba w ogóle nie pochwala działania naszego systemu i próbuje zminimalizować jego wpływy w swoim domu. – Znów przyjrzała się uważniej Lili. – Jesteś wyraźnie zmartwiona.

– *Oui,* baronowo. To sporo informacji do przyswojenia.

– Nie muszę się nadmiernie o ciebie martwić, bowiem twoje zadanie będzie na razie dość proste. W Wersalu powinnaś okazywać wszystkim szczególny szacunek, aby uniknąć urażenia kogoś ważnego. Kiedy przyjdzie na to czas, postaramy się, żebyś znalazła męża, który odpowiednio wzmocni twoją pozycję. Teraz zaś, ponieważ masz dopiero szesnaście lat, pamiętaj tylko jedno: szacunek, szacunek, szacunek.

– Szacunek, baronowo. Zapamiętam.

Kobieta popatrzyła na nią zagadkowo.

– Pozostał nam jeszcze najtrudniejszy temat. Twoja matka.

„Matka?". Serce załomotało Lili w piersi i na moment zapomniała o oddychaniu.

Baronowa znów sięgnęła po klucze i otworzyła niewielką szufladkę. Wyjęła jakiś przedmiot wielkości książki i otworzyła

go. W środku znajdowały się dwie ramki na zdjęcia wykończone kunsztownym, złotym filigranem.

– To dość osobliwa rzecz – zaczęła baronowa. – W trochę cudzoziemskim stylu. Markiz musiał dostrzec coś podobnego w podróży i kazał zrobić taki prezent dla twojej matki. Są tu symbole z obu herbów rodowych – lilia oraz krogulec. Kiedyś umieszczono w nim dwa portrety – twojej matki i twojego ojca.

Lili wzięła ramki do rąk.

– Teraz nic tu nie ma.

– Okładka nie była pusta, kiedy znalazłam ją pomiędzy rzeczami Emilie w Lunéville po jej pochówku. To zobaczyłam po jednej stronie. – Baronowa Lomont odwinęła z woskowego papieru sztywną kartę i wręczyła ją Lili. Widniał na niej miniaturowy portret kobiety o wysokim czole, brązowych włosach i okrągłych, ciemnych oczach. Spoglądała w bok, jakby coś właśnie przyciągnęło jej spojrzenie. – Jesteś do niej całkiem podobna.

„Matka". Lili trzymała obrazek tak delikatnie, jakby zaraz miał rozpaść się jej w dłoni. „Moja matka".

– Kiedy znalazłam ten albumik, podobizna twojej matki znajdowała się po lewej stronie i Emilie na tym portrecie spoglądała na obraz po prawej stronie – ciągnęła baronowa – czyli na ten. – Wyjęła z tego samego opakowania obrazek identycznej wielkości przedstawiający drobnego mężczyznę o przymrużonych oczach, zapadniętych policzkach, z ustami wykrzywionymi w sarkastycznym uśmiechu.

– To nie jest mój ojciec – stwierdziła Lili. – Widziałam podobiznę tego mężczyzny na kilku jego książkach. To Wolter. Słyszałam, że go znała, ale...

Baronowa pogardliwie wciągnęła nosem powietrze.

– Twoja matka wzięła prezent, który Florent-Claude ofiarował jej od serca, i użyła go w ten sposób. Aby trzymać podobiznę innego mężczyzny bliżej niż własnego męża.

– Nic nie rozumiem! – Lili chwyciła portret matki i wpatrywała się w niego. „Przemów do mnie" – błagała w duchu, ale oczy młodej kobiety niczego nie zdradzały.

– W Wersalu z pewnością usłyszysz o stosunkach, jakie ich łączyły. Ponieważ dworzanie często się nudzą, gdy wyczerpią się bieżące plotki, mogą wykorzystać twoją obecność i odgrzebać te stare. A ostrzegam cię – kiedyś to był wielki skandal. Niektórzy

uważają się za prawdziwych znawców tematu – włącznie z różnymi plugawymi i w dużym stopniu zmyślonymi szczegółami. – Zabrała portrety i owinęła je z powrotem w papier. Następnie usiadła na krześle przy biurku i przyglądała się Lili przez chwilę. – *Madame la Marquis*e była wyjątkowo utalentowana – mówiła baronowa. – Wręcz zbyt utalentowana.

Lili zaszumiało w uszach. „Chcę go z powrotem – myślała. – Chcę jej znowu dotykać, nawet jeśli tylko na portrecie".

Starsza kobieta zamilkła w oczekiwaniu na odpowiedź Lili.

– Doprawdy, moja droga – rzekła w końcu – musisz zawsze pozostawać stroną w rozmowie. Powinnaś coś wtrącać co jakiś czas, jeśli chcesz zrobić korzystne wrażenie na rozmówcy.

– Wiem, że przetłumaczyła Newtona – odezwała się Lili, odchrząknąwszy. – I to sama, a nie – jak niektórzy twierdzą – z pomocą mężczyzn albo jako ich skryba.

– Niestety, tego nie wiem, więc nie mogę się wypowiadać – wyznała baronowa. – Trudność polegała na tym, że Emilie nigdy nie zadowalała rola, jaką wyznaczyła jej natura. Oczywiście spędzała niezliczone godziny na dworze, gdzie dbała o interesy męża, a troska, z jaką zajmowała się dziećmi, zasługiwała na uznanie. Klasztorne wychowanie dla córki, która wyszła dobrze za mąż w młodym wieku, i kariera wojskowa dla syna. To powinno było jej wystarczyć – urwała. – Spójrz na mnie, Stanislas-Adelaïde. – Lili uniosła głowę, z trudem powstrzymując drżenie. – Nie możemy wypełniać dni niepoważnymi zajęciami wedle naszego upodobania. Właśnie dlatego postanowiłyśmy z madame de Bercy nie wyjawiać ci całej prawdy o matce. Widząc, że odziedziczyłaś po niej bystry rozum, nie chciałyśmy, aby uwiódł cię styl życia, jaki ona prowadziła. Poza obowiązkami żony i matki całą uwagę powinnaś poświęcać pielęgnowaniu swojej pozycji. Oczywiście możesz znaleźć sobie jakieś dodatkowe, pożyteczne zajęcia – na przykład skupić się na działalności charytatywnej albo na jakiejś pasji. Rysowanie lub gra na instrumencie wydają się właściwe. Harfa to dobry wybór dla ciebie, bo pozwala zaprezentować dłonie, a masz bardzo ładne, smukłe palce.

Lili czuła pulsowanie w skroniach.

– *Oui,* baronowo Lomont.

– Złożyłam raz krótką wizytę markizowi w jego rodowej posiadłości w Cirey – nie przestawała mówić baronowa. – Cały

dzień czekał wraz z gośćmi, aż twoja matka i monsieur Wolter skończą eksperymenty i odejdą od papierów, a potem nawet przy obiedzie mówili o rzeczach nieinteresujących dla nikogo oprócz nich samych. Przypominam sobie jedną szczególnie żenującą dyskusję o ogniu i jeszcze jedną, kiedy oboje odeszli od stołu, bo pokłócili się o to, czy na kamienie, którymi rzucali przez cały dzień w laboratorium, działa jakaś ukryta siła.

– Monsieur Wolter mieszkał z moimi rodzicami w Cirey?

– Monsieur Wolter mieszkał z twoją matką w Cirey – rzekła z naciskiem baronowa i upewniła się, czy jej słuchaczka pojęła znaczenie tych słów. – Markiz rzadko tam bywał. Teraz prawie nieprzerwanie jesteśmy w stanie wojny, więc spędzał wiele miesięcy ze swoim regimentem na froncie. Emilie, jak mniemam, wmówiła mężowi, że wzmocni swój prestiż, jeśli jeden z najbardziej znanych francuskich pisarzy zamieszka w jego posiadłości. Nawet pomimo okazjonalnych problemów z policją.

– Z policją? – Opowieść wymykała się poza ramy wyobraźni Lili.

– Monsieur Wolter od zawsze ma problemy z cenzorami. Wielu ludzi twierdzi, że jego dość głośne kłopoty przysparzają mu więcej sławy niż jego dzieła. Ja sama nie mogę się wypowiadać, ponieważ uważam, że lepiej nie tracić czasu na autorów zakazanych przez Kościół. – Baronowa zerknęła na niewielki zegar stojący na biurku. – Musimy się szykować do wyjścia. Chyba powiedziałam ci już wszystko.

– Baronowo Lomont – odezwała się Lili, głośno przełykając ślinę. – Dlaczego ojciec o mnie nie dba? – „Udało się, zrobiłam to” – zakołatało jej w głowie.

– O czym ty mówisz? Wykorzystuje całe wpływy z jednego ze swoich majątków, żeby płacić madame de Bercy na twoje utrzymanie. Jak możesz tego nie doceniać?

– Tak, ale...

– I od razu odpowiada na listy, kiedy należy podjąć jakąś decyzję związaną z twoim wychowaniem. – Z jej miny dało się łatwo wywnioskować, co sądzi o niewdzięczności Lili.

– Ale mnie nie odpowiada. To znaczy, domyślam się, że by nie odpowiedział, gdyby pozwolono mi do niego napisać. Nigdy nie chciał się ze mną zobaczyć ani nie zaprosił mnie do Lunéville czy do Cirey. Na pewno od czasu do czasu przyjeżdża do Paryża. Dlaczego więc nigdy go nie poznałam? – Lili zasłoniła twarz

rękami, próbując ukryć pąs wstępujący na policzki. – Przepraszam, madame. Powinnam być bardziej dyskretna, ale...

Baronowa Lomont odchrząknęła i odezwała się głosem, który z trudem skrywał jej obrzydzenie.

– Z powodu zobowiązań wobec regimentu oraz księcia Lotaryngii markiz miał niewielkie możliwości, by żyć z twoją matką jak mąż z żoną. Ona zaś wystawiła się na pośmiewisko, obcując w ten sposób z Wolterem przez ponad dekadę – urwała dla lepszego efektu. – Dekadę, Stanislas-Adelaïde. Emilie i Wolter nie zadali sobie nawet trudu, aby ukryć, iż są kochankami, a to oczywiście doprowadziło do powstania ohydnych plotek na temat twej matki. Nie próbowali niczego sprostować nawet wtedy, gdy namiętność między nimi – jeśli tak zechcesz to nazwać – wygasła, i pozostali już tylko przyjaciółmi.

Do tej pory baronowa Lomont nie zdradzała większych emocji niż lekkie poirytowanie, ale teraz jej oczy płonęły, a usta brzydko się wykrzywiły.

– Niektórzy twierdzą, że twoja matka dzieliła łoże z każdym współczesnym naukowcem i literatem francuskim i choć to oczywiście wierutne bzdury, podobne plotki jeszcze bardziej psują jej reputację – mówiła kobieta. – Kiedy cię poczęła, pojawiły się głosy sugerujące, że markiz w ogóle nie przebywał w Cirey w odpowiednim czasie. Możesz usłyszeć wielce niestosowne uwagi, ale Florent-Claude potwierdza swoje ojcostwo i każdy szanowany człowiek powinien uznać jego słowo.

„O czym ona mówi? Matka miała kochanków? Plotki na temat ojcostwa?" – Lili czuła mętlik w głowie.

Baronowa Lomont wstała.

– Nie słuchaj plotkarzy – rzekła i spojrzała na Lili surowo. – A teraz naprawdę musimy już iść. – Skierowała się do wyjścia i zdumionej dziewczynie nie pozostało nic innego, jak ruszyć w jej ślady.

PRZEZ CAŁĄ DROGĘ do katedry Notre Dame Lili i baronowa Lomont siedziały w milczeniu, ich lektyką targały podmuchy niespodziewanej ulewy. Lili zadrżała z zimna i wilgoci, kuląc się pod pledem. Zastanawiała się nad tym, co powiedziała baronowa, i nad tym, co pozostawiła bez odpowiedzi. „Dlaczego ojciec miałby się na mnie gniewać za coś, co nastąpiło na długo przed moim urodzeniem i nie jest w najmniejszej nawet mierze moją winą?" –

pomyślała.

– Baronowo Lomont? – Lili posłała pytanie w posępny półmrok powozu. – Ile lat ma teraz mój ojciec?

– Zbliża się do siedemdziesiątki. Dlaczego pytasz?

– Po prostu się zastanawiam. Czy ożenił się ponownie?

– Nie. Bardzo kochał twoją matkę. Czasem wydaje mi się, że trzymał się z dala od ciebie, ponieważ nie chciał, by cokolwiek mu o niej przypominało.

„Może i ja bym nie chciała, gdybym straciła ukochaną osobę" – pomyślała Lili, niezdolna do dalszych przemyśleń, ponieważ jedyna śmierć, jaką kiedykolwiek opłakiwała, dotyczyła biednego Tintina, który odszedł rok temu.

Lektyka zaczęła zwalniać, aż w końcu się zatrzymała i Lili poczuła, jak opuszczają ją na ziemię. Zsunęła pled i odłożyła go na aksamitne obicie siedzenia, czekając, aż jeden ze służących otworzy drzwi. Gdy Lili i baronowa Lomont wysiadły z lektyki i wchodziły do katedry, chmury skryły bliźniacze wieże zachodniej bramy Notre Dame w smugach szarości. Zapadał wieczór i wokół nich w kościele panowała ciemność, jeśli nie liczyć setek świec ustawionych w kaplicach w nawach bocznych i migotliwego światła z lamp oliwnych rozjaśniającego nawę główną.

– Mademoiselle du Châtelet!

Lili odwróciła się w stronę, z której dobiegał znajomy głos.

– Tak myślałam, że to ty! – odezwała się Joséphine de Maurepas, wyłaniając się z mroku. – Czyż nie mówiłam? – zwróciła się do młodego mężczyzny idącego obok niej.

Lili żołądek podskoczył do gardła. „Jacques-Mars" – pomyślała.

– Co tu robisz?

Baronowa Lomont rzuciła Lili surowe spojrzenie za uchybienie w etykiecie, po czym zwróciła się ku Joséphine.

– Chyba nie zostałyśmy sobie przedstawione – powiedziała nietypowym dla siebie miłym tonem.

– Proszę o wybaczenie, madame – rzekła Lili. – Zaskoczył mnie widok znajomej twarzy. Baronowo Lomont, niech wolno mi będzie przedstawić Joséphine de Maurepas, mą przyjaciółkę z klasztoru. A oto Jacques-Mars Courville, którego poznałam tego lata w Vaux-le-Vicomte. – Baronowa sztywno skinęła głową, a Lili zwróciła się znów ku Joséphine.

– A gdzież Anne-Mathilde? – spytała. „I dlaczego jesteś tu

sama z Jakiem-Marsem" – dodała w myślach.

Joséphine zachichotała. Sprawiała wrażenie ożywionej i bardziej pewnej siebie niż kiedykolwiek.

– Anne-Mathilde jest wraz z matką w Wersalu, z wizytą u królowej.

„W Wersalu? Teraz?". Lili spochmurniała.

– Bardzo się ucieszyła, gdy usłyszała, że ty i Delphine też przyjeżdżacie. Powiedziała, że byłoby znacznie przyjemniej, gdyby miała tam paru przyjaciół, skoro ja zostanę teraz w Paryżu. – Zwróciła się do baronowej Lomont. – Matka nie najlepiej się czuje. Zwykle przychodzi do Notre Dame, by zapalić świece w naszej kaplicy w ostatni piątek przed dniem świętego Marcina z Tours, ponieważ jest on patronem jej rodziny. – Ujęła Jacques'a-Marsa pod ramię. – Lecz w tym roku czynię to w jej imieniu, a monsieur de Courville był tak miły i zechciał mnie przywieźć. Czekamy na powóz, który zabierze nas do domu.

Spojrzała na Jacques'a-Marsa z kokieteryjnym uśmiechem.

– I tylko pomyśl, głuptasie, gdyby nie ten nieznośny deszcz moglibyśmy nie spotkać Lili. Ani nie poznalibyśmy baronowej Lomont. – Delikatnie pociągnęła Jacques'a-Marsa za ucho. – Powinieneś mnie słuchać. Chyba ustaliliśmy to raz na zawsze, prawda?

– Zdecydowanie – odparł Jacques-Mars, spoglądając na Lili tym samym zamglonym wzrokiem, który wytrącał ją z równowagi ostatniego lata.

– A teraz, gdy usłyszałem, że wybierasz się do Wersalu, sam również będę musiał złożyć tam wizytę. Sądzę, iż pozostaję twym dłużnikiem, jeśli chodzi o grę w tryktraka, którą przegrałem? Obawiam się, że nie mogę spełnić twojej prośby o zdjęcie bandaża, ponieważ jestem już prawie zdrów. – Pomachał palcem. – Na pewno ucieszy cię wieść, iż moja rana nie pozostawiła blizny.

– Blizny? – Joséphine uniosła brwi i odwróciła się do Jacques'a-Marsa z nerwowym śmiechem.

„Nie brała w tym udziału – uświadomiła sobie Lili. – Została w tyle. Zawsze zostawała w tyle".

– To tylko taki nasz mały żart – wytłumaczył Jacques-Mars. – Czyż nie, mademoiselle du Châtelet?

Lili nie potrafiła wykrztusić z siebie słowa porażona jego dwulicowością.

– No dobrze! – wtrąciła nieco poirytowana Joséphine. – Skoro

nie zostaniemy wtajemniczeni w całą historyjkę, chyba najlepiej będzie, jeśli już pójdziemy. – Odwróciła się do Jacques'a-Marsa. – Sprawdzimy, czy nasz powóz już zajechał?

– Oczywiście – odparł i ukłonił się baronowej Lomont. – Mam nadzieję, że będę miał zaszczyt zobaczyć panią znowu. Mademoiselle du Châtelet, cieszę się na myśl, iż w naszym przypadku nastąpi to niebawem. A zatem do zobaczenia w Wersalu.

Wzrok baronowej przeszywał powietrze niczym sztylet, gdy patrzyła za Jakiem-Marsem i Joséphine wychodzącymi z katedry.

– Nie podoba mi się ten młodzieniec – powiedziała. – Ma w sobie coś takiego, co każe mi podejrzewać, iż nie można mu ufać. I nie jestem pewna, czy przypadł mi do gustu jego ton, gdy mówił o opatrunku. Czy mogłabyś mi o tym opowiedzieć?

– Jacques-Mars został ugryziony w palec przez niewinną ofiarę, którą pochwycił w swoje sidła – wyjaśniła Lili zaskoczona tym, jak łatwo przyszło jej ubrać prawdę w słowa. – Był zakłopotany swoją nieostrożnością, to wszystko. – Lili wzruszyła ramionami. – Dziwi mnie, że o tym pamięta. I to nie miało żadnego związku ze mną.

Baronowa Lomont przyjrzała się Lili.

– Wzruszenie ramion zwykle skrywa głębszą prawdę, jednak uwierzę ci na słowo – przerwała. – Z jego zainteresowania tą panną nie wyniknie nic dobrego. Zapamiętaj moje słowa. I obiecaj mi, proszę, że w Wersalu będziesz się trzymać z dala od niego.

– Proszę się o to nie martwić, baronowo – odparła Lili. – Ani Delphine, ani ja nie chcemy mieć z nim do czynienia. To doprawdy podły człowiek.

Baronowa pokiwała głową z aprobatą.

– I chciałabym ci wyjaśnić, iż w tym jednym wypadku, gdy zagrożony jest twój honor, możesz przeciwstawić się osobie wyższego stanu. Masz bowiem prawo pozostać cnotliwą i powinnaś o tym pamiętać, kiedy znajdziesz się w towarzystwie mężczyzn takich jak ów młodzieniec.

Baronowa spojrzała w stronę przejścia na końcu nawy.

– Zapalają świece na ołtarzu – powiedziała. Chwyciła Lili pod ramię, lecz nie ruszyła się z miejsca.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, jak ważne jest posiadanie u boku mężczyzny godnego zaufania, gotowego obronić cię w każdej sytuacji. Jest wielu takich, którzy tego nie zrobią,

a młodym pannom trudno odróżnić jednych od drugich.

– *Oui,* baronowo.

– Weźmy na przykład takiego Jacques'a-Marsa. Mógłby uchodzić za bardziej ujmującego niż ktoś taki, jak... – Udała, że szuka przykładu. – Ktoś taki jak monsieur de Barras. Obawiam się, że głęboki szacunek do zmarłej małżonki obecnie uczynił z niego marne towarzystwo, jednak to wspaniały człowiek. Nie brakuje mu pieniędzy i jednocześnie pochodzi z arystokracji po mieczu, co, jak wiesz, jest w dzisiejszych czasach raczej niespotykane.

Lili poczuła ucisk w sercu. „Powinnam była to przewidzieć" – pomyślała.

– Gdy czas jego żałoby minie – ciągnęła baronowa – zacznie poszukiwania nowej żony, ponieważ ma dwoje dzieci, a kobieta potrafi się lepiej nimi zająć.

„Proszę, nie mów już nic więcej". Lili z trudem powstrzymała chęć ucieczki z kościoła – dokądkolwiek, mimo deszczu i ciemności. Chciała biec, potykając się, wzdłuż brzegu rzeki, nawet za cenę utonięcia w jej odmętach, jeśli to mogło uratować ją przed wysłuchaniem dalszej części wykładu.

– Kiedy będziesz w Wersalu, nie daj się omamić świetlaną przyszłością – nie przestawała mówić baronowa Lomont. – Jesteś dostatecznie młoda i atrakcyjna i mam nadzieję, że nacieszysz się wolnością, nim wyjdziesz za mąż. Jednak posłuchaj mej rady i nie skreślaj od razu dżentelmenów takich jak Robert de Barras. Rozważ wszystkie możliwości, jakie stoją przed tobą, biorąc pod uwagę twój majątek i pozycję.

Lili zmiękły kolana, więc przycisnęła do siebie łokieć, przytrzymując się kurczowo ramienia kobiety.

– Widzę, że moje słowa zrobiły na tobie wrażenie – zauważyła baronowa Lomont. – Dobra z ciebie dziewczyna, Stanislas-Adélaïde. – Kobieta wyzwoliła się z uścisku, po czym przyklękła przed ołtarzem i się przeżegnała. Lili zrobiła to samo i w tym momencie celebrans rozpoczął mszę.

– *Introibo ad altare Dei* – zaintonował ksiądz. – Przystąpię do ołtarza Bożego...

– *Do Boga, który jest weselem moim od młodości* – wymruczała Lili w odpowiedzi, zastanawiając się, czy wesele i młodość to dary, które Bóg postanowił odebrać jej w jedno popołudnie.

DWA DNI PÓŹNIEJ powóz wiozący Julie de Bercy i dziewczęta do Wersalu pędził przez peryferie Paryża. W świetle mroźnego poranka na twarzy Delphine malowało się zmęczenie po niespokojnie przespanej nocy. Chociaż nikt nie spodziewał się, że panie będą podróżować w niepraktycznych panierach, Delphine nalegała na włożenie sukni z gorsetem mocno spłaszczającym biust i brzuch, przez co teraz walczyła ze łzami przy każdym podskoku na wyboju. Od czasu do czasu kłosarki w polu podnosiły wzrok, gdy mijał je czarny powóz, jednak sprawiał zbyt skromne wrażenie w porównaniu z bogato zdobionymi królewskimi karetami jeżdżącymi do Wersalu i z powrotem, by na dłużej przyciągnąć ich uwagę. Nic sobie nie robiąc z obecności pojazdu, jakiś mężczyzna sprawdzał sidła przy drodze, podczas gdy jeden z jego psów obwąchiwał pobliskie zarośla, a inny sikał na pień drzewa, posyłając w mroźne powietrze chmurę pary.

„Jak wygląda życie tego człowieka? – zastanawiała się Lili. – Czy wraca do domu szczęśliwy, czy też przeklina przemoczone stopy i niedolę? Czy kiedy je obiad, gdzieś obok płacze dziecko, a psy żebrzą o resztki?". Spojrzała na *maman* i Delphine. Obie zapatrzyły się w przestrzeń. Powieki *maman* opadały co chwila, poddając się sennej atmosferze panującej w powozie, za to Delphine miała szeroko otwarte oczy i siedziała prosto, jakby połknęła kij. – „Przemykamy przez jego świat, a obchodzimy go tak mało jak on nas".

„Każdy jest sam" – pomyślała, zastanawiając się, czemu nie przyszło jej to do głowy wcześniej.

Naprzeciw niej *maman* zapadała w sen po poranku spędzonym na przygotowaniach do wyjazdu z rozgorączkowaną Delphine u boku. „Jak naprawdę wygląda jej życie?" – dumała. Nagle Lili ogarnął wstyd. Nigdy nie wzięła pod uwagę, że los *maman* może być ciężki w niezrozumiały dla niej sposób. Delphine lekko ocierała chusteczką mokry policzek. Dlaczego płakała? „Być może nigdy tak naprawdę nie poznajemy innych ludzi – przemknęło przez myśl Lili. – Widzimy tylko to, czego od nich oczekujemy, i czasem zauważamy ich dopiero wtedy, jeśli zrobią coś przeciwnego".

Lili znów wyjrzała przez okno, wspominając, jak wysiadła z powozu w drodze do klasztoru i zamiast budynków ujrzała pole, takie jak to, choć mniejsze. Przymknęła oczy, myśląc o Rousseau i o książce, która zakończyła jej dni w klasztorze. „Człowiek rodzi

się wolny, ale potem wszędzie krępują go kajdany" – powiedział jej w salonie. Z pewnością te słowa okazały się bliższe prawdy, niż przypuszczała. Jaka była różnica między uczeniem się na pamięć stron katechizmu w celi a spędzaniem dni w odosobnieniu na piętrze Hôtel Bercy i ćwiczeniu idealnych pokłonów przed królową?

„Kobieta rodzi się wolna, ale potem wszędzie krępują ją gorsety – pomyślała z ponurym uśmiechem. – Jeśli jeszcze kiedyś spotkam Rousseau, zasugeruję mu, że takich słów powinien był użyć".

Delphine zamknęła oczy, a jej głowa opadła bezwładnie na bok. Oddech *maman* stał się lekki, jej twarz się rozluźniła. Lili poczuła nagle, że tak bardzo obie kocha, iż chciałaby je pochwycić w ramiona, wyfrunąć przez dach powozu i poszybować, aż do miejsca, w którym...

W którym co? Czy pogodziła się ze słowami Rousseau? W ten ponury, grudniowy poranek, zmierzając ku przeznaczeniu, którego dla siebie nie wybrała, przyszło jej do głowy, że chyba jednak dokonała wyboru. Perfekcyjny rewerans i płynne obroty w panierach nie przyniosą jej niczego, czego naprawdę pragnęła, a mimo wszystko uległa wymaganiom społeczeństwa.

Delphine jęknęła przez sen. „Nie jestem nią – pomyślała Lili. – Nie mogę nią być. Ona przejdzie przez tę mękę i ruszy ku przyszłości niczym Comète, ciągnąc za sobą gwiazdy. Lecz ja...?".

Wciąż jeszcze nie znalazła okazji, by zadać *maman* pytania, które tak niechętnie przyjęła baronowa Lomont. „Moja matka i Wolter przez lata byli kochankami? Jak to się stało? Dlaczego się skończyło? I wciąż nie rozumiem, czemu mojemu ojcu na mnie nie zależy. Minęło szesnaście lat; miał dużo czasu, by się otrząsnąć ze smutku. Jeśli ten okropny monsieur de Barras niebawem ponownie się ożeni, a owdowiał dopiero niedawno, to dlaczego mój ojciec wciąż nie chce mnie widzieć? Czy generał może być aż takim tchórzem?" – zastanawiała się dziewczyna.

Monsieur de Barras. Zalała ją nowa fala strachu. Czy baronowa zamierzała wymusić na niej małżeństwo? Czy Jacques-Mars przyjedzie do Wersalu i każe jej zapłacić za wstyd, na jaki go naraziła w Vaux-le-Vicomte? Lili zadrżała na myśl o drwiącym uśmieszku na twarzy Anne-Mathilde. „Ciekawie byłoby mieć paru przyjaciół w Wersalu" – wyznała podobno Joséphine, lecz Lili wiedziała, co Anne-Mathilde rozumiała przez „ciekawie".

Potarła czoło i szczypała skórę pomiędzy brwiami, jakby chciała odsunąć od siebie wszystkie myśli.

– Co ja zrobię? – wyszeptała, odchylając się i pozwalając, by twarde oparcie powozu wbiło jej się w plecy. Jacques-Mars nie jest jedynym mężczyzną, od którego będzie musiała trzymać się z daleka. Odszedłby pozbawiony palców, gdyby to jej się naprzykrzał, lecz baronowa Lomont miała dużo mocniejszy chwyt. Czy *maman* zdołałaby powstrzymać ją przed zamknięciem Lili w klatce, niczym ptaka z podciętymi skrzydłami, z kimś tak okropnym jak Robert de Barras?

Trzeba znaleźć jakiś sposób, by temu zapobiec. Przed oczami stanął jej portret matki. Co by zrobiła Emilie? Raz znalazła się w podobnej sytuacji. Musiała wykonać rewerans przed królową, zarzucić trenem, odpowiednio się uśmiechnąć i uczynić wszystko, czego wymagała jej pozycja.

„Graj swoją rolę. Zaakceptuj to, czego nie możesz zmienić". Tak odpowiedziałaby jej matka, Lili była tego pewna. Emilie du Châtelet właśnie tak postąpiła – wyszła za mąż, miała dzieci, prowadziła dom.

A później wyjechała, by żyć z Wolterem.

Lili dostała gęsiej skórki, zupełnie jakby jakaś niewidzialna istota otworzyła drzwi i wpuściła do powozu lodowate, zimowe powietrze, a teraz usadowiła się tuż obok niej. „Rozpocznij to, co możesz. Żyj życiem, które wprawiłaś w ruch, nie spoglądając wstecz".

Myśl pojawiła się w jej głowie tak wyraźnie, jakby ktoś wyszeptał ją do ucha: „Wydaj Świergotkę".

Wszystko zyskało sens.

„Autorka? – niemal słyszała zdziwiony ton monsieur de Barrasa. – Żadnej z moich żon nie przyszłoby to do głowy". Zdoła w ten sposób rozwiązać jeden problem, lecz ile kolejnych stworzy w tym samym? „Nieważne" – powiedziała sobie w duchu nagle rozweselona podskakiwaniem powozu na wyboistej drodze. Być może ktoś zechce ją ze względu na jej pracę, umysł i wiedzę – tak jak Wolter zechciał jej matkę.

„Ktoś cię zechce. Musisz w siebie wierzyć".

– *Maman*? – wyszeptała najciszej, jak potrafiła, chcąc się podzielić z Julie swoją najnowszą decyzją. Ku jej rozczarowaniu *maman* nawet się nie poruszyła. Lili odchyliła się na oparcie. Myśli wirowały jej w głowie. Potrzebowała pseudonimu

literackiego. Monsieur Diderot i *maman* bawili się literami jej imienia i nazwiska. Cóż mogłaby wymyśleć? Stanislas-Adélaïde miało zdecydowanie zbyt dużo liter. Châtelet. Le chat. Tellechat. To jest to.

– Tellechat – wyszeptała.

„Potrafię to zrobić" – przekonywała samą siebie. Potrafi pojechać do Wersalu i być czarująca. Potrafi przejść przez to z wdziękiem i poczuciem humoru, by odnieść jedyne zwycięstwo, o jakim marzyła, czyli wrócić do domu i mieć to z głowy. Wrócić do domu i przekonać się, co będzie dalej.

Emilie

Paryż, 17 sierpnia 1734
Najdroższy Wolterze!

Jak możesz być tak okrutny, żeby wyjechać i przez tydzień nie dawać znaku życia? Czy nie zdajesz sobie sprawy, że żyję tylko myślami o jakiejś wiadomości od Ciebie? Wczoraj przyszedł Twój list do mojego męża. Do mnie nic nie napisałeś? Zadowoliłabym się nawet niedbałą notką, że ślesz pozdrowienia. Pewnie uważasz, że skoro tak bardzo kieruję się umysłem, jestem pozbawiona kobiecych uczuć. Czułbyś się wielce zażenowany, gdybyś na własne oczy zobaczył, jak zalewam się gorzkimi łzami i przeglądam stare listy od Ciebie w poszukiwaniu zapewnień o Twojej miłości. Wczoraj w salonie straciłam zatrważającą kwotę, grając w faraona – a wszystko przez to, że obawa, iż wyrzuciłeś mnie z serca, uczyniła mnie nieuważną. Ponieważ rzadko przegrywam cokolwiek, stałam się obiektem nieprzyjemnych szeptów i ostatecznie musiałam zostać w salonie dłużej niż zwykle, żeby pokazać wszystkim, jak mało obchodzi mnie ich zdanie. Na pewno zdajesz sobie sprawę, jak wiele takie rzeczy mnie kosztują.

Mój najdroższy, ukochany, pragnę ponad wszystko pozostać teraz w Twoim sercu, skoro chwilowo nie mogę utonąć w Twych ramionach. Jest tyle kobiet i – nie boję się tego napisać –

mężczyzn, którzy pragną Twego towarzystwa, a Ty tak kochasz pochlebstwa, że nie ustaję w obawach, iż ktoś nastawia Cię przeciwko mnie. Czekam na zadowalający list w odpowiedzi. Błagam, nie łam serca, które pragnie jedynie Ciebie.

Twoja cierpiąca, acz oddana
Emilie

10

1765

Komnaty królewskie skąpane były w szkarłatnym świetle, które rzucało mroczne cienie na twarze dam dworu, upodabniając ich oczy do przepastnych, czarnych jam.

– Rusz się – powiedział ktoś za plecami Lili i pchnął ją do przodu. Kobiety poruszały ustami, szepcząc na okrągło niezrozumiałe zdania i potrząsając mechanicznie głowami.

Podłoga pod jej stopami wznosiła się i zapadała, lecz jakimś cudem dziewczyna zdołała dotrzeć do tronu królowej.

– Zapomniałaś się ubrać – rzekła kobieta chuda niczym szkielet. Lili poczuła nagły powiew zimnego powietrza i spojrzała w dół. Stała w szlafroku i mimo że kurczowo przytulała go do siebie, jego poły wciąż się rozchylały, odsłaniając cienką halkę i gołe nogi.

– Natychmiast zejdź mi z oczu! – zakrzyknęła królowa. – Tylko odchodząc, obróć się należycie albo wtrącę cię do więzienia.

Lili w zawrotnym tempie wykonała parę dzikich obrotów, lecz nagle czyjaś stopa przydepnęła rąbek jej halki.

– Nie uciekniesz! – wrzasnęła na nią Anne-Mathilde, rozdziawiając usta niczym gargulec spoglądający w dół z dachu Notre Dame. Lili rozdarła ubranie, gdy wyrwała się dziewczynie,

i co tchu popędziła przed siebie. Stopy ciążyły jej jednak tak bardzo, że prawie się nie poruszała.

Usiadła na łóżku, z trudem łapiąc oddech. Przez okno swego pokoju w Wersalu zobaczyła rozjaśniające się niebo. Wstała i przeszła do sąsiedniej komnaty, by sprawdzić, czy Delphine śpi. Kotary nad łóżkiem były zasłonięte, lecz na pobliskim stoliczku stała misa, z której wydobywała się ostra woń wymiocin.

Przed powrotem do swego pokoju Lili spojrzała przez zasłonę na śpiącą Delphine. Potem włożyła szlafrok i usiadła przy biurku, wciąż otrząsając się z sennego koszmaru. „Może pisanie mnie uspokoi" – pomyślała. Wyciągnęła papier i strząsnęła z pióra nadmiar tuszu.

> W Urugwaju Świergotka i Tom otworzyli drzwi do pewnego domu i weszli do środka. Wewnątrz siedziała rodzina przywiązana do krzeseł złotymi sznurami. Ich twarze i usta zakrywała piękna tkanina ozdobiona wyszywanym herbem rodu. Kolana mieli skrępowane srebrnymi łańcuchami, tak ciężkimi, że nie byli w stanie poruszyć nogami.
>
> – Kto was tak związał? – zapytała Świergotka.
>
> – My sami – odparł mężczyzna. – Musimy tutaj siedzieć cały dzień i nic nie robić, żeby pokazać, że nie pracujemy.

LILI ZANURZYŁA PIÓRO W TUSZU, z rozbawieniem potrząsając głową, po czym kontynuowała pisanie.

> W tym momencie do pomieszczenia weszła służba – dziewczynka i chłopiec, oboje odziani w łachmany.
>
> – Kim jesteście? – zapytała Świergotka. – I dlaczego też nie zostaliście związani?
>
> – Mamy mnóstwo pracy. Poza tym nie jesteśmy dość zamożni. Nie stać nas na złote sznury i srebrne łańcuchy, a bez nich nie można się dobrze związać, prawda?
>
> – A jeśli się je ma, trzeba je wszystkim pokazać – próbowała wyjaśnić unieruchomiona kobieta. – Jaki pożytek z łańcuchów, jeśli leżą w szufladzie?
>
> Wtedy mała dziewczynka z jedwabnym woreczkiem na

głowie zaczęła się wiercić na krześle.

– Chcę wstać i chodzić – powiedziała. – Chcę wyjść na dwór.

LILI USŁYSZAŁA KROKI i uniosła wzrok. W drzwiach stała Delphine, przecierając zaspane oczy.

– Czy to już czas, żeby się przygotować? – zapytała. – Mam nadzieję, że przeszła mi niedyspozycja żołądka. Nie mogę włożyć sukni, jeśli będę znów wymiotować, choć i tak nie sądzę, by jeszcze było czym. Pół nocy nie zmrużyłam oka.

– Ja też – odparła Lili. – Spałaś, kiedy weszłam. Zobaczyłam misę i martwiłam się o ciebie.

– Po prostu bardzo się boję, że wszystko zepsuję – wyznała Delphine. – Nie powinnam była snuć wspaniałych wizji na ten temat. – Usiadła na sofie obok Lili. – Co robisz?

– Piszę opowiadanie. Dokończę później.

– Napiszesz dla mnie rozwiązanie całej tej sytuacji? – Delphine próbowała się uśmiechnąć.

– Chyba właśnie piszę je dla siebie. Ta ceremonia, która nas czeka, nie ma tak naprawdę żadnego znaczenia.

Delphine odetchnęła głęboko.

– Ma znaczenie, ponieważ takie są zasady. – W zamyśleniu zdjęła kilka maleńkich nitek, które przyczepiły jej się do szlafroka. – Pamiętasz te rysunki afrykańskich kobiet z ogromnymi naczyniami na głowie? Może tamtejsi mężczyźni nie chcą kobiet, które nie umieją ich nosić, i afrykańskie dziewczęta wymiotują po nocach, martwiąc się o swoje naczynia upadające na ziemię.

Lili się uśmiechnęła.

– Myślę, że powód zawsze się znajdzie. – Zajrzała w swoje zapiski. – Pamiętasz, jak monsieur Diderot chciał wydać moje opowiadania, a ja odmówiłam? No cóż, zmieniłam zdanie, ale nie wolno ci nikomu o tym powiedzieć. Oprócz *maman*, oczywiście.

Podekscytowana Delphine aż klasnęła.

– Zawsze sądziłam, że cudownie byłoby ujrzeć Świergotkę i Toma na papierze, i teraz ich zobaczymy. To znaczy, jeżeli przeżyjemy dzisiejszy dzień. – Jej twarz znów spochmurniała. – Mam nadzieję, że pewnego dnia Świergotka spotka Anne-Mathilde. Ta mała żmija nie miałaby z nią szans.

Lili zamyśliła się na moment.

– Rousseau twierdzi, że w ułomnym społeczeństwie ludzie godzą się z ułomnością, by się dopasować. Nie próbuję bronić Anne-Mathilde, lecz chyba jest mi jej odrobinę żal.

– Nie musimy się do niej upodabniać – odparła Delphine. – Zachowuje się okropnie, bo sama tego chce, i mnie wcale jej nie żal. – Wsunęła kolana pod szlafrok i dokładnie się nim opatuliła. – Skoro zamierzasz je opublikować, mogę jako pierwsza wysłuchać nowego opowiadania?

– Myślałam, że wyrosłaś już ze Świergotki.

– Byłam głupia. – Wskazała wolne miejsce obok siebie. – Proszę?

Lili usiadła. Wyciągnąwszy nogi, oparła kartki na udach.

– Rzecz dzieje się w Urugwaju – zaczęła.

Delphine słuchała z melancholijnym wyrazem twarzy, nieświadomie bawiąc się zmierzwionymi włosami.

– Żadnych Pajęczych Królów – zauważyła, gdy Lili skończyła. – Twoje opowieści także dojrzały.

– Żadnych Pajęczych Królów – przyznała Lili. – Życie na Ziemi jest wystarczająco przerażające.

Delphine zdawała się nie słyszeć.

– Ostatniej nocy odczułam ogromną chęć wyskoczenia przez okno – wyznała, wstając.

– Zabiłabyś się! – Lili przytknęła dłoń do ust. – A może tego właśnie chciałaś?

– Nie. Chciałam uciec jak ta dziewczynka w twojej opowieści. Wydawało mi się, że wszystko byłoby lepsze od tego, co ma dziś nastąpić. Ale chyba najlepiej po prostu się z tym zmierzyć. – Zamilkła zamyślona, po czym schyliła się i pocałowała Lili w czubek głowy. – Dziękuję ci.

– Za co?

– Za przygotowanie mnie na spotkanie z królową. Nie mogę uwierzyć, że po tylu latach Świergotka wciąż przychodzi nam z pomocą.

LILI I DELPHINE zatrzymały się przed wejściem do apartamentu królowej. Julie przyjrzała im się po raz ostatni i, żeby się czymś zająć, odgarnęła z twarzy każdej z nich nieistniejący, zbłąkany kosmyk.

Delphine wyglądała olśniewająco. Jej rudawe blond loki były upięte starannie nad karkiem i ułożone w idealne, pachnące

pierścienie, których końce ledwie muskały alabastrową szyję. Miała mocno upudrowaną twarz i ciemnoróżowe usta. Gorset ścisnął jej żebra, wypychając piersi tak, że różowe sutki niemal wychodziły spod koronkowej falbanki. Jedwab w kolorze wrzosu, z którego uszyto suknię, zdobiły chińskie ptaki. Ich długie, opadające pióra na ogonie zlewały się z różowymi i kremowymi bukietami, wyhaftowanymi z tysięcy drobniutkich węzełków. Rękawy zostały doszyte już w apartamentach Delphine, podobnie jak długi tren w angielskim stylu, zebrany w pęk ciasno pomarszczonych fałdek na karku i opadający kaskadą aż do ziemi.

– Wyglądasz pięknie. – Lili objęła Delphine na tyle, na ile pozwoliły ogromne paniery.

– Ty również – wyszeptała Delphine.

Lili wybrała prostszą suknię, składającą się z gorsetu, spódnicy i rękawów do łokcia z jasnoszarego atłasu, który od razu spodobał jej się w sklepie, ponieważ przypominał płynne srebro. Gorset przewiązano zielonymi wstążkami, a tren zdobiły wyszywane girlandy z liści i wdzięczne wiązanki purpurowych i kremowych kwiatów.

Grupa co najmniej dwudziestu gości oraz dam dworu dostrzegła je przy drzwiach i rozstąpiła się, robiąc przejście. Jako pierwsza weszła Julie, a za nią Delphine. Lili zatrzymała się na chwilę i z przerażeniem dostrzegła małą kałużę w miejscu, w którym przed chwilą stała siostra. Tren Delphine rozmazał ją, tworząc mokrą smugę, i Lili zrobiła kilka kroków w bok, by zakryć plamę własną spódnicą i wytrzeć ją, idąc do przodu. Paniery sukni zachwiały się przy niespodziewanym ruchu.

Delphine i Julie stanęły już przed królową i Lili przyspieszyła, by się z nimi zrównać. Zatrzymała się po drugiej stronie Julie i przerażona spuściła wzrok. Jej paniery ułożyły się krzywo, lecz nie mogła już zrobić nic, żeby oszczędzić sobie chichotów i szeptów zebranych kobiet. Kątem oka obserwowała, jak Delphine wykonuje rewerans, a następnie, zamieniwszy kilka słów z królową, ostrożnie się cofa i obraca. Chwilę później Delphine stała już wyprostowana, promieniejąc w przeświadczeniu, że tren ułożył się za nią idealnie.

Maman zwróciła się do Lili i dokonała oficjalnej prezentacji. Jej głos zdawał się tak przytłumiony, jakby dobiegał spod wody. Lili powoli i ostrożnie wykonała rewerans, a uniósłszy się, po raz

pierwszy spojrzała na królową.

Chociaż Lili wiedziała, że Maria Leszczyńska przekroczyła pięćdziesiątkę, nie spodziewała się ujrzeć tak statecznej matrony. Królowa była niska i zbyt pulchna, by dręczyć się ciasnym gorsetem. Miała na sobie suknię z eleganckiego złotobrązowego brokatu, obszytą w górnej części pasami przezroczystego szyfonu. Rzędy postrzępionych, wykwintnych koronek, udrapowanych wokół ramion, podciągnięte były na łokciach opadającymi, atłasowymi kokardami. Kreacja nie sprawiała wrażenia pięknej czy stylowej, ale wydawała się wielce kosztowna i zupełnie nie pasowała do czarnego nakrycia głowy przypominającego mantylę, które osłaniało szare loki władczyni.

Królowa uśmiechnęła się do Lili.

– Stanislas-Adélaïde. Dostałaś imię po moim ojcu, jak sądzę. – Nawet po dziesięcioleciach spędzonych we Francji jej głos pełen był dźwięków pochodzących z ojczystej Polski. – I jesteś córką markiza du Châtelet oraz jego drogiej zmarłej żony.

– Tak, Wasza Wysokość – odparła Lili. – Od maleńkości wychowywała mnie madame de Bercy.

– I dobrze cię wychowała, jak widzę. – Uniosła okulary do oczu i spojrzała przez szkła. – Powiedz mi – rzekła. – Grasz w karty tak dobrze jak twoja matka?

– Nie... nie wiem, Wasza Wysokość. Nigdy jej nie poznałam.

– Szkoda. Była czarująca, choć muszę przyznać, że jej inteligencja wszystkich nas napawała lękiem.

– Wasza Wysokość znała moją matkę? – wyrwało się Lili. Usłyszała za sobą szelest sukien oraz ściszone głosy i od razu poczuła, że popełniła głupstwo. „Oczywiście, że ją znała. To królowa zadaje pytania, nie ty" – uświadomiła sobie. – Proszę o wybaczenie – rzekła. – Zapomniałam o manierach.

– Och, to bez znaczenia – odparła królowa i machnęła lekceważąco ręką. – Ta cała oprawa jest stratą czasu, ale wszyscy zdają się na to nalegać. – Ponownie spojrzała przez okulary. – Dostrzegam w twej twarzy jej rysy.

Lili zerknęła na *maman* i zobaczyła błysk dumy w jej oczach.

– Mam taką nadzieję – rzekła dziewczyna. – Jestem z niej bardzo dumna.

– Lecz wciąż nie zdradziłaś mi, czy grywasz w karty. Uwielbiam dobrych graczy w faraona, którzy potrafią czasem pozwolić mi wygrać. – Zmarszczyła brwi. – W końcu jestem

królową.

– Zrobię, co w mojej mocy, by zadowolić Waszą Wysokość – odrzekła Lili, czując wilgoć pod pachami. Do tej pory poszło dobrze, lecz niebawem będzie musiała się wycofać i odwrócić. Ciekawskie spojrzenia zgromadzonych gości niemal paliły ją w plecy.

– A teraz – ciągnęła królowa – muszę się przygotować do obiadu.

„Pragnę to zrobić idealnie – pomyślała Lili, czując desperację, której nie doświadczyła ani razu podczas miesięcy przygotowań. – Chcę jej się spodobać". Zrobiła kilka małych kroków w tył, uważając, by nie przydepnąć sukni, jednak kiedy się odwracała, tren zahaczył o jedną z panier i dziewczyna wiedziała już bez spoglądania, że zawinął się za nią brzydko z jednej strony.

Próbowała uratować sytuację, wykonując dobrze przećwiczony manewr. Postąpiła parę kroków naprzód, pozwalając, by ciężar trenu umieścił go na właściwym miejscu, ale usłyszała za sobą szmer i wiedziała, że jej błąd nie uszedł niczyjej uwagi.

Maman i Delphine zaczęły się już oddalać, więc Lili podążyła za nimi, nie rozglądając się na boki. Chciała oszczędzić sobie widoku Anne-Mathilde, której wprawdzie nie dostrzegła, lecz była pewna jej obecności.

– Pozwól na chwilę, Stanislas-Adélaïde – usłyszała głos królowej.

Czyż mogło być gorzej? Na szczęście część kobiet zdążyła już się cofnąć, aby poplotkować z przyjaciółkami, i Lili zyskała znacznie więcej miejsca, żeby ponownie się odwrócić.

– Bardzo mi przykro – rzekła królowa, gdy Lili ponownie znalazła się przed nią. – Wyciągnęłam nogę, kiedy się odwracałaś, i twój tren zahaczył o mój pantofel. – Królowa spojrzała surowo na otaczające ją kobiety.

Jej słowa nie oddawały prawdy, wszyscy to wiedzieli, ale jakie znaczenie miały fakty? Królowa rzekła, że dziewczyna nie zawiniła, i słowa władczyni zamykały temat.

– Możesz odejść – dodała Maria Leszczyńska, a jej usta wygięły się w ledwo dostrzegalnym uśmiechu.

„Podarowała mi drugą szansę – uświadomiła sobie Lili. – Tym razem muszę to zrobić, jak należy". Niespodziewanie spłynął na nią spokój. Uniosła się na palcach i bezbłędnie zarzuciła trenem. Zrobiło jej się lekko na duszy i sunęła z gracją pomiędzy

stłoczonymi kobietami, które nawet z pomocą wachlarzy nie zdołały ukryć zdumienia wywołanego monarszą interwencją.

„Królowa Francji mnie uratowała! – pomyślała Lili. Dostrzegła rozradowany uśmiech Delphine i poczuła się tak, jakby ich dusze tańczyły razem po lśniącej sali. – A najważniejsze, że już po wszystkim".

CIĘŻKI ŚNIEG i wirujące smugi mgieł opatuliły Wersal w pierwszych dniach po prezentacji Lili i Delphine.

– Dlaczego musiałyśmy przyjechać w grudniu? – narzekała Delphine. – Utknęłyśmy w środku i wszystkie moje plany się nie powiodły. Nie bywamy nigdzie poza naszymi pokojami i apartamentem królowej. – Westchnęła ciężko, gdy nikt nie zwrócił na nią uwagi. – *Maman*! Nie powinnaś się ruszać, gdy cię rysuję!

– Nie wiedziałam, że mnie rysujesz – odezwała się Julie. – Zaczytałam się i nie zauważyłam.

– To miała być niespodzianka, a teraz już się wydało! Lili, obiecujesz, że usiądziesz bez ruchu, kiedy zacznę cię rysować?

Lili zachichotała.

– Nie.

– W takim razie usiądź i zacznij pisać. Czasami kiedy piszesz, siedzisz w bezruchu przez wiele godzin.

– *Maman* – rzekła Lili, wciąż nie zwracając uwagi na rozdrażnioną Delphine. – Myślałam o królu. Gdzie on jest? Ani razu go nie widziałyśmy, a słyszałam, że często pojawia się na prezentacji młodych panien.

– Codziennie przychodzi porozmawiać z Marią Leszczyńską podczas jej porannej toalety, lecz każde z nich ma własne życie i obowiązki.

– A gdzie on mieszka? – spytała Delphine, unosząc wzrok znad szkicu.

Julie się uśmiechnęła.

– To bardzo duży pałac.

– Tak, ale...

– Istnieje jeszcze jeden pałac na ziemiach zwanych Trianon – ciągnęła Julie. – Mieszkała tam madame de Pompadour i król spędzał z nią dużo czasu. Nawet wtedy, gdy nie byli już kochankami. Kiedy ktoś miał sprawę do króla, udawał się wprost do madame, by wystąpiła z prośbą w jego imieniu. Jednakże

w zeszłym roku madame de Pompadour zmarła i teraz podobno król czuje się bardzo samotny.

– To smutne. – Delphine odłożyła na bok szkicownik. – Nawet jeśli ludzie umierają, kiedy są już za starzy, by się podobać.

– Ona nie była stara. Chyba że mnie za taką uważasz – stwierdziła Julie. – Była tylko o rok czy dwa lata starsza ode mnie, a ja mam dopiero czterdzieści lat. – Podniosła się, wsparła ręce na biodrach i wygięła plecy. – Chociaż moje kości czasem czują się starzej.

Delphine wstała.

– Przepraszam, *maman*, jesteś najpiękniejszą kobietą w Wersalu. – Uściskała ją. – Oczywiście poza mną. – Zatańczyła po pokoju. – Chciałabym tylko, by urządzono maskaradę lub bankiet, skoro tę okropną prezentację mamy już za sobą. Chcę włożyć paniery i nie myśleć o tym, że wszyscy obserwują mnie, czekając na jakiś błąd. – Zachichotała. – Teraz ja będę ich obserwować. Czyż nie byłoby wspaniale przyłapać Anne-Mathilde na tym, jak strąca coś ze stołu?

Lili przyglądała się, jak w ich przewiewnej bawialni Delphine kręci piruety pośród wyimaginowanych ludzi. Kochała przybraną siostrę, lecz nigdy nie potrafiła zrozumieć, jak przebywanie w królewskim pałacu mogło zadowalać kogoś o głębszym wnętrzu.

– Czy Maria Leszczyńska za młodu zachwycała urodą? – Delphine tańczyła teraz wokół Julie. – Ma sympatyczne spojrzenie i myślę, że nie zawsze była tak obfitych kształtów.

Julie z przyzwyczajenia rozejrzała się dokoła, by upewnić się, że nikt nie słyszy.

– Nigdy nie była zbyt atrakcyjna, lecz, jak słyszałam, król zakochał się w niej po ślubie. – Julie zamyśliła się na chwilę. – Sądzę, że wszyscy ją trochę kochają. Jest z natury miłą osobą. I skromną, biorąc pod uwagę, że nie bardzo wolno jej to okazywać. To naprawdę smutne. Król zrujnował jej zdrowie jedenastoma ciążami, a dziś prawie nie chce mieć z nią do czynienia.

Delphine opadła na sofę obok Julie.

– Jedenastoma?

– Jedno dziecko urodziło się martwe, a kilkoro innych zmarło w dzieciństwie. A teraz najstarszy syn, który jest następcą, choruje na suchoty. Mówią, że nie dożyje objęcia tronu. Nie

pojawia się w Wersalu, zapewne żeby nie podsycać plotek o swym nader mizernym wyglądzie.

Lili zdążyła już usadowić się na podłodze i wtulić plecami w aksamitny szlafrok Julie. Odwróciła się, by na nią spojrzeć.

– Co się stanie, jeśli on umrze?

– Syn delfina ma teraz zaledwie dziesięć lat. I tak zostałby królem w przyszłości. Pytanie tylko, którym Ludwikiem z kolei. Jeśli jego ojciec umrze przed objęciem tronu – szesnastym, a jeżeli dożyje – siedemnastym. Ale zmiana na tronie to zawsze ciężki okres dla dworu. Każdy ma swoich przyjaciół i wrogów i każdy zabiega o utrzymanie względów, jakimi cieszył się dotychczas, jeśli nie o zdobycie większych – urwała i na moment pogrążyła się w zadumie. – Cokolwiek się wydarzy, Maria Leszczyńska nie będzie już królową. Szczerze mówiąc, sądzę, że poczuje się szczęśliwa, kiedy zyska status jedynie babki króla i uwolni się od tych nadskakujących jej kobiet oraz ceremonii, za którymi nie przepada.

Delphine westchnęła.

– Jaka szkoda, że jej wnuk jest dla mnie zbyt młody. Z przyjemnością zostałabym królową. Sądzę, że czułabym się wspaniale, gdyby ludzie cały czas zwracali na mnie uwagę. – Zaśmiała się pod nosem. – Czy nie byłoby torturą dla Anne-Mathilde, gdyby musiała złożyć mi pokłon? – Wstała. – „Tak jest, Wasza Wysokość – rzekła, dygając. – Oczywiście, Delphine". A wtedy ja odparłabym: „Teraz już Wasza Wysokość, i lepiej o tym nie zapominaj".

Julie zaśmiała się, kręcąc głową.

– Myślę, że głównie to ty przeżywałabyś tortury, *ma chérie*. Czy wiesz, że widziałam, jak ta biedna kobieta stała naga i drżała z zimna, podczas gdy ludzie spierali się, który ma dostąpić zaszczytu przełożenia jej przez głowę czystej koszuli? I czy naprawdę chciałabyś, by ludzie dyskutowali o twoim wypróżnieniu, jakby to była sprawa wagi państwowej?

Lili i Delphine z niesmakiem zmarszczyły nosy.

– Wersal jest piękny, kiedy się go odwiedza – kontynuowała Julie – ale członkowie rodziny królewskiej muszą ciągle wystawiać się na widok publiczny. Nie mogłabyś decydować o sobie. Widok królewskich córek zawsze przywodzi mi na myśl małe pszczoły brzęczące wokół ulu królowej. Cóż one mają w życiu poza tym?

– Victoire jest dość ładna – odparła Delphine, ujmując rękę *maman* i ściskając ją opuszkami palców. – Ale masz rację, *maman*, pozostałe wyglądają jak małe grubiutkie pszczoły ze swoimi pulchnymi twarzyczkami. Zwłaszcza mademoiselle Sophie. – Zmrużyła oczy.

– Nie o to mi chodzi, *ma chérie*. I powinnaś przykładać większą wagę do słów, jakie wypowiadasz. Powiedziano mi, że król szczególnie upodobał sobie Sophie. Nie radzę ci zrazić do siebie żadnej z nich, zwłaszcza że mają już znacznie większe wpływy, niż ty osiągniesz kiedykolwiek. – Jej oczy poweselały. – W takim razie już ustaliłyśmy, że Ludwik August raczej nie zostanie twoim mężem.

Delphine przez chwilę nad czymś myślała.

– Sophie ma piękny głos. Gdyby pozwoliłaby mi sobie akompaniować na klawesynie któregoś wieczoru w apartamentach królowej... Mogłybyśmy dać mały koncert. Może król by się pojawił, skoro tak lubi Sophie. Wreszcie byśmy go poznały. Po powrocie do Paryża dziwnie byłoby przyznać, że byłam w Wersalu i widziałam króla jedynie na balkonie podczas mszy.

Twarz Julie sposępniała.

– Ja czułabym się szczęśliwsza, gdybyś go nie poznała. Może i jest królem, ale nie nazwałabym go dobrym człowiekiem. – Spojrzała ukradkiem na drzwi. – Madame de Pompadour postarała się, by nikt nie zastąpił jej w sercu króla, nieustannie podsyłając mu nudne, młode kochanki. Niektóre młodsze od ciebie. Utrzymywały się przez kilka lat, a później kto wie, co się z nimi działo. Nie były zwykłymi nałożnicami, tylko córkami arystokratów, którzy poświęcali własne dzieci dla awansu społecznego. – Wzdrygnęła się z obrzydzeniem. – Wersal jest naprawdę nieprzyjemnym miejscem pomimo zewnętrznego piękna. Dlatego przyjeżdżam tu jak najrzadziej. – Odwróciła wzrok. – I z tego powodu od razu zaczynam się zastanawiać, jak szybko będę mogła wrócić do domu.

– Ofiarowali swe córki królowi? – Delphine wytrzeszczyła oczy.

– Żony również – odparła Julie. – Nieraz żona została mu posłana do łóżka, czasami panna młoda, która ledwo przestała być dzieckiem. Mężczyźni traktowali je jak prezenty w zamian za przysługi czy pewnego rodzaju poparcie. Wątpię, by król nagle stracił ochotę na młode kobiety. A teraz, po śmierci madame de

Pompadour, może sam zechce ich sobie poszukać.

„A jeśli to król stałby wtedy nad kanałem w Vaux-le-Vicomte?". Lili odsunęła od siebie tę myśl.

– Nie martwcie się, *mes petites* – uspokajała Julie. – Na dworze wszystko podlega negocjacjom, więc król będzie się rozglądał w miejscach, w których napotka na mniejszy opór niż mój. Jednak czuję się spokojniejsza, wiedząc, że nie jest świadom obecności dwóch tak ślicznych dziewcząt w swoim pałacu.

Uniosła wzrok i dostrzegła jednego ze służących niosącego list na ozdobnej, srebrnej tacy. Julie otworzyła wiadomość.

– Och, cudownie! – zawołała. – Wstawajcie obie! Weźmiemy udział w kuligu.

GRUDNIOWE SŁOŃCE ogrzewało wersalskie ogrody i gazony. Rzucało tak oślepiające światło, że Lili spojrzała w bezchmurne niebo w poszukiwaniu wytchnienia. Śnieżyca pozostawiła wysoką do kolan warstwę białego puchu oraz białe epolety i peruki na rzeźbach nimf, a także zakryła skromnymi draperiami wstydliwe części ciała odpoczywających bóstw.

Kilka ptaków sfrunęło z gałęzi, ćwierkając i besztając jeden drugiego, strzepując śnieg z zarośli w poszukiwaniu pożywienia.

Dzień był dość ciepły, wię królowa zarządziła, iż pojadą w otwartych saniach. Jej własne, ozdobione wizerunkami mitologicznych postaci wirujących wokół winorośli w pozłacanych arabeskach, znajdowały się na czele orszaku. Do nich doczepiono dwoje mniejszych, podobnie udekorowanych i z podobnymi, wyścielanymi na czerwono, siedzeniami. Przy każdych stał stangret w czerwonej liberii.

– Czyż nie zapowiada się wspaniale? – spytała Anne-Mathilde, kiedy dziewczęta usadowiły się w jednych z mniejszych sań. – Właściwie nie miałam okazji porozmawiać z żadną z was od ostatniego lata.

– Jakże nam tego brakowało! – Delphine zaczęła poprawiać kapelusz, by uniknąć wzroku Anne-Mathilde.

– Obie wyglądałyście podczas prezentacji wprost uroczo – kontynuowała Anne-Mathilde, nie zwracając uwagi na nieszczerość w głosie Delphine. – Lili, zdradź mi – umieram z ciekawości – czy królowa naprawdę przydepnęła twój tren? To takie zabawne...

Lili zerknęła na Anne-Mathilde i zbyła jej słowa machnięciem

ręki.

– Cieszę się, że już po wszystkim – rzekła. – Przecież słyszałaś, co królowa powiedziała o swoim pantoflu. Nie mam nic do dodania.

Oczy Anne-Mathilde zabłyszczały, lecz trajkotała dalej jakby nigdy nic.

– Pamiętam moje pierwsze paniery, maleńkie niczym strój dla lalki. Wiecie, przez całe życie odwiedzałam Wersal. Damy dworu gromadziły się wokół mnie niczym ptaki. – Roześmiała się sztucznie. – Ach, jakże ja tego nienawidziłam!

– Wyobrażam sobie – odparła Lili, wpatrując się w dal. – Ta cała uwaga skupiona na tobie musiała być wyczerpująca.

Anne-Mathilde westchnęła nosowo, by okazać Lili, że nie uczyni jej tego honoru i nie zwróci uwagi na jej komentarz.

– Moja mama twierdzi, że to wasza pierwsza wizyta w Wersalu. Na pewno zastanawia was mnóstwo rzeczy. Pytajcie, proszę, o wszystko, co chciałybyście wiedzieć! – Przyłożyła do ust rękę odzianą w rękawiczkę i otworzyła szerzej oczy. – Och! À propos, otrzymałam list od Jacques'a-Marsa. Pisze, że możemy się go spodziewać lada dzień. – Uważnie przyjrzała się ich twarzom w oczekiwaniu na reakcję.

Delphine wzruszyła ramionami.

– Jak miło.

„Miło to by było, gdyby zgubił drogę w zamieci i umarł" – stwierdziła w duchu Lili, wygładzając rękawiczki.

– Tylko pomyślcie, jak byłoby cudownie, gdyby siedział tu z nami. – Anne-Mathilde poklepała puste miejsce obok siebie. – Taki miły kompan, nie sądzicie? Chociaż wolę Ambroise'a Clémenta de Feuillet. Przypuszczam, że dotarły do was wieści o tym, iż nasze rodziny omawiają małżeństwo. To przyszły hrabia d'Étoges i wszyscy wiedzą, że ich pałac należy do najbardziej urzekających w całej Francji. Jest doprawdy niewiarygodnie idealny.

Lili skinęła głową z pozorną powagą.

– Niewiarygodnie.

– Ambroise Clément pojechał dziś na polowanie z królem. To jeden z jego ulubionych dworzan. Zresztą królowa też się nim zachwyca... – Głos dziewczyny wybrzmiał w momencie, gdy sanie zatoczyły łuk na śniegu i się zatrzymały.

Zadowolona, że uwolniła się na chwilę od paplaniny Anne-

Mathilde, Lili szybko wydostała się z sań i przeszła na taras widokowy, znajdujący się na obrzeżach wersalskich ogrodów. Gdzie okiem sięgnąć, rozciągały się białe dywany przerywane jedynie zielonkawoczarnymi stożkami, prostokątami i pofałdowanymi kępami wypielęgnowanych krzewów. Topniejący śnieg spłynął już z wierzchołków, pozostawiając coś na kształt czarnego ściegu krzyżykowego na ogromnej białej poduszce ułożonej pod lazurowym niebem.

– Pięknie, nieprawdaż? – Anne-Mathilde odeszła, by dołączyć do reszty, za to Delphine wciąż stała obok siostry. – A pałac zdaje się nie większy od mojej dłoni, tak jesteśmy daleko.

Lili prawie jej nie słyszała. Omiotła spojrzeniem rozległą przestrzeń, przypominającą ogromną, pustą kartkę, na której czyjaś wielka ręka naszkicowała figury geometryczne.

– Tak – wyszeptała, patrząc z drżeniem w dal, choć dzień był na tyle przyjemny, że jej zimowy płaszcz okazał się za ciepły.

Podczas wizyty u hrabiego de Buffona w Jardin du Roi widziała szkielet polnej myszy i wspomnienie jej symetrycznych cieniutkich kości powróciło do Lili, kiedy patrzyła na przykryte śniegiem ogrody Wersalu. „Tamte kości były tak idealne w swym pięknie i święte niczym katedra" – pomyślała. Tarasy i ścieżki okryte śniegiem to tylko obiekty, którym można się przyglądać. Nigdy nie zdołałyby stać się niczym więcej. Nigdy nie przemówiłyby do czyjejś duszy tak, jak owa mysz czy jak tamta różowa modliszka. Tak naprawdę wszystko w Jardin du Roi było jej bliskie.

„Tam właśnie chcę być". Lili przymknęła oczy, przypominając sobie sympatyczną twarz hrabiego Buffona i podekscytowanie, z jakim Jean-Étienne Leclerc rozprawiał o nauce. Tutejszy świat wydawał się jej dziwaczny – ze swoimi szalonymi ceremoniami i surowością, z ogrodami zdającymi się mówić: „nie podchodź" i z zasadami, które pozwalały stać kobiecie nagiej, podczas gdy inni sprzeczali się o jej koszulę.

Nic dziwnego, że jej matka pragnęła uciec do Cirey. „Ja także pragnę uciec – przyszło na myśl Lili. – Chcę wrócić do Hôtel Bercy, chcę wrócić do Jardin du Roi".

Jako dziecko często wyobrażała sobie, że jej czaszka jest domem, w którym myśli żyją bez potrzeby wychodzenia na zewnątrz. W ostatnich dniach jej umysł wędrował, poszukując odpowiedzi oraz pocieszenia, którego nie odnajdywała w sobie.

W niepojętym świecie Wersalu myśli dziewczyny wydostawały się na zewnątrz, zupełnie jakby przemawiała bez słów do niewidzialnej istoty znajdującej się tuż poza zasięgiem wzroku.

– Musisz mi w tym pomóc – skierowała słowa w powietrze, nie wiedząc, do kogo czy też do czego mówi, ani co dokładnie ma na myśli.

Słońce zaszło za chmurę i Lili uniosła wzrok. Dostrzegła, że napływa ich więcej.

– Brr... – odezwała się Anne-Mathilde, wsiadając do sań i okrywając ramiona pledem. – Wolałabym już wrócić do pałacu. Królowa potrafi być taka męcząca z tymi swoimi wycieczkami. Mam dla was małą radę – przyzwyczajcie się do myśli, że możecie utknąć gdzieś z nią i jej nudnymi córkami, podczas gdy wolałybyście przebywać gdziekolwiek indziej.

– Mhm – mruknęła Delphine i zarzuciła część swego pledu na Lili, podciągnęła go pod brodę i położyła głowę na ramieniu siostry. Jej twarz promieniała radością, której starczyłoby dla nich obu.

PO OPUSZCZENIU PAŁACOWYCH MURÓW i wersalskich ogrodów orszak wjechał w las i zatrzymał się na okazałej polanie. Służba przybyła tu wcześniej i zdążyła rozpalić ognisko, by królowa i jej towarzysze ogrzali się przed drogą powrotną. Maria Leszczyńska była najniższą z kobiet, a jej prosty strój mógłby zmylić postronnego obserwatora. Na szczególny status matrony wskazywało jedynie zamieszanie wokół niej.

Królowa przywiozła woreczek pożywienia dla ptaków i wkrótce prowadziła już rozmowę z ptactwem dziobiącym u jej stóp.

Popołudniowe światło zaczynało słabnąć i córki namawiały królową do powrotu, gdy w oddali dał się słyszeć róg myśliwski. Niedługo potem na polanę zajechało konno dwóch mężczyzn. Jeden z nich miał ze sobą królewski sztandar. Obaj szybko zsiedli z koni i pokłonili się królowej.

– Czy mój małżonek pozostał daleko w tyle? – spytała Maria Leszczyńska, podając służącemu pusty woreczek po karmie dla ptaków. – Właśnie zbieraliśmy się do drogi, lecz zaczekamy, jeśli jest w pobliżu.

Chwilę później król zajechał na polanę na kasztanowym ogierze. Za nim, na podobnym koniu, podążał dobrze zbudowany, mniej więcej dwudziestoletni mężczyzna ubrany w elegancki strój

do jazdy. Zaczekał, aż koniuszy złapie uzdę, a następnie zeskoczył z konia, podał służącemu wodze i złożył wdzięczny pokłon królowej.

– Ambroise Clément de Feuillet! – zwróciła się do niego królowa z ciepłym uśmiechem. – Jak miło pana widzieć. Doszły mnie słuchy, że przybył pan w zeszłym tygodniu, i miałam nadzieję, że sprawy z królem nie pochłoną całego pańskiego czasu.

– W samą porę zostałem zganiony, Wasza Wysokość. – Ambroise odwzajemnił uśmiech. – Jutro zjawię się z wizytą – dodał, zginając się w teatralnym ukłonie – skoro uświadomiono mi, jak niecierpliwie jestem wyczekiwany.

„Cóż za czarujący mężczyzna – pomyślała Lili. – I dosyć przystojny. Anne-Mathilde na niego nie zasługuje".

Ambroise przeprosił królową i zanim zwrócił się do Anne-Mathilde, zbliżył się jeszcze do księżnej de Praslin.

– Polowanie nie spełniło naszych oczekiwań – rzekł, musnąwszy delikatnie ustami jej dłoń. – Tylko jeden odyniec. W dodatku zabił jednego z naszych psów, zanim Jego Wysokość go zastrzelił.

Odwrócił głowę, słysząc szczekanie i skowyt. Na polanę wbiegł jeszcze jeden koń otoczony sforą psów. Przed jeźdźcem wisiało przewieszone bezwładne ciało psa, a parę kroków za koniem, uwiązane za kark, sunęło po ziemi ogromne cielsko odyńca. Śnieg dostał się pomiędzy jego szczecinę, tworząc na jednym z kopyt zbryloną czapę krwistych kryształków. Kły, które odebrały życie psu, wystawały z rozwartej gardzieli, a ślepia szkliły się od rozmazanego śniegu. Oszołomione zapachem zdobyczy psy warczały i skakały na siebie.

– Mogłabym cię prosić, byś trzymał zwierzęta na uwięzi? – Królowa spojrzała na małżonka, który jako jedyny nie zsiadł z konia.

Sfora, zwabiona kawałkami suszonego mięsa i misami z rozpuszczonym śniegiem, skupiła się w jednym z rogów polany.

Kiedy pojawił się król, Lili wyjrzała zza pleców *maman*. Ludwik miał szerokie policzki i raczej płaską twarz, a jego ciemne oczy otoczone były grubymi brwiami, czarnymi niczym atrament. Chociaż był dosyć pulchny, a jego twarz zarumieniła się od zimna, wydał się Lili całkiem przystojnym mężczyzną. „Niemniej jednak... sypiasz z młodymi dziewczętami? –

pomyślała. – Dlaczego musisz to robić?”.

– Chciałabym, żeby odjechali. – Lili usłyszała narzekania Delphine. – Konie mnie przerażają. W dodatku jeszcze ten martwy pies i dzik!

Ambroise Clément de Feuillet podszedł do króla, który zsiadł z konia, by wysłuchać, co ma do powiedzenia jego towarzysz. Ludwik pokiwał głową i wskoczył na siodło. Skierował się na ścieżkę wiodącą do pałacu i odczekał, aż reszta również dosiądzie wierzchowców. Spiął konia i kłusem opuścił polanę w otoczeniu swych dworzan i sfory ujadających psów. W tyle pozostali jednakże Ambroise oraz jeździec wiozący martwego psa. Ambroise przekazał koniuszemu wodze swego rumaka i służący opuścił polanę, prowadząc drugiego konia i ciągnąc za sobą martwego dzika.

Wokół zapadła błoga cisza.

– Król pozwolił mi dołączyć do orszaku Waszej Wysokości – zwrócił się Ambroise do królowej. – Jak rozumiem, w saniach mademoiselle de Praslin znajdzie się wolne miejsce.

– Na pańskie szczęście nie mam zamiaru pana zmuszać do dotrzymywania towarzystwa takiej staruszce jak ja – ton królowej był zaskakująco żartobliwy i Lili przez moment wydawało się, że kobieta zaraz uszczypnie go pieszczotliwie w policzek. – I będzie pan siedział z jeszcze dwiema czarującymi pannami. – Spojrzała w stronę Lili i Delphine. – Sądzę, że nie zostaliście sobie przedstawieni.

Ambroise podszedł do Julie.

– Madame de Bercy, jak mniemam? – Ukłonił się i delikatnie ucałował jej dłoń. – Mój ojciec przedstawił nas sobie w zeszłym roku na balu w Pałacu Luksemburskim, o ile mnie pamięć nie myli. Miło znów panią widzieć i w dodatku wygląda pani olśniewająco. – Spojrzał teraz na Delphine i Lili. – Czy mógłbym dostąpić przyjemności poznania tych młodych dam? – Kiedy Julie przedstawiła córki, Ambroise ukłonił się każdej z nich z osobna i zbliżył usta do ich dłoni, nie dotykając jednak wargami skóry.

– Długo zabawią panie w Wersalu? – spytał. Chociaż zwrócił się do wszystkich trzech kobiet, jego wzrok spoczął na Delphine. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, usłyszeli zamieszanie wokół sań szykowanych do drogi powrotnej.

– Czy można? – zaoferował Julie ramię, po czym odwrócił się i poczekał, aż Delphine zrówna się z nimi i zajmie miejsce po jego

drugiej stronie.

Anne-Mathilde obserwowała całą scenę, stojąc przy ognisku. Po chwili jednak ruszyła w ich kierunku, wepchnęła się pomiędzy Ambroise'a a Delphine i chwyciła młodzieńca pod ramię.

– Czyżbyś zapomniał, że tu jestem? – spytała Ambroise'a, wybuchając nerwowym śmiechem. Lili zerknęła spod oka na twarz Anne-Mathilde. „Nie chce go widzieć przy Delphine" – pomyślała z rozbawieniem, gdy szli w stronę sań.

Emilie

Château de Cirey, Szampania, Francja, 1 września 1734
Do monsieur Pierre'a-Louisa Moreau de Maupertuisa,
Paryż

Najdroższy Maupertuisie,

przykro mi, że musiałam opuścić Paryż, nie mając możności poinformować Cię o straszliwych zmianach, jakie zaszły w moim życiu. Mój mały chłopiec, Victor-Esprit – Boże drogi, nie miał nawet dwóch lat – zmarł w zeszłym tygodniu, a ja wyjechałam natychmiast do Cirey z jego maleńką trumną, by pochować go na rodzinnym cmentarzu. Odejście chłopca nie było niespodziewane, malec od urodzenia dużo chorował, jednak widok mojego potomka leżącego bez życia rozdarł mi serce.

Mój drugi syn, Florent-Louis, przebywa teraz ze mną, ponieważ ma dopiero sześć lat i nie wyprawiliśmy go jeszcze do szkoły z internatem. Posłałam też wiadomość do klasztoru, do mej córki Gabrielle-Pauline. Poprosiłam, by jak najszybciej dołączyła do mnie w Cirey, ponieważ jeszcze długo tu zabawię. Zapiszę ją do Couvent de la Pitié w Joinville, oddalonego od Cirey o niecałą godzinę. Nie zniosłabym, gdybym miała wciąż ją widywać tak rzadko jak teraz, bo przecież podróż stąd do Paryża jest długa i męcząca.

Spróbuję zatrudnić dla syna nauczyciela na czas mego pobytu w Cirey. Nie wierzę bowiem, by Kościół czy wojsko zdołały zaszczepić w nim ten rodzaj ciekawości świata, którego ja dla niego pragnę. Mam nadzieję rozbudzić w nim miłość do nauk ścisłych oraz pragnienie doskonalenia własnego umysłu, zatem ogromna część jego edukacji spocznie na barkach moich oraz monsieur Woltera.

Gabrielle-Pauline skończyła właśnie osiem lat i muszę przyznać, jakkolwiek okrutnie by to brzmiało, że nie mam serca do jej wykształcenia, ponieważ zamieszkuje ona świat, w którym dobre maniery oraz konwencjonalne poglądy zaprowadzą ją dalej niż jakakolwiek prawdziwa wiedza. Niemniej jednak umiłowanie prawdy powinno być potężniejszą inspiracją niż strach przed Bogiem. Gabrielle-Pauline okazała się istotką o tak uległym i cnotliwym usposobieniu, i tak małą wykazuje ciekawość wobec spraw umysłu, że czuję, iż wszelki wysiłek, by wprowadzić bardziej liberalne wychowanie, zostanie zmarnowany.

Wciąż słyszę przestrogę mego ojca, że panna nie powinna nader często korzystać z rozumu, bo może się stać nieatrakcyjna jako potencjalna żona. Gabrielle-Pauline pewnego dnia wyjdzie dobrze za mąż, a ponieważ sukces rodzicielski wobec córki mierzy się właśnie w ten sposób, robię to, co uważam za najlepsze dla niej. Wiem wszelako, że takie dzieciństwo dla mnie byłoby koszmarem.

Z pewnością zastanawia się Pan, dlaczego tyle już opowiadam, a nie wspomniałam jeszcze o naszym gościu w Cirey. Monsieur Wolter przebywa tu od trzech miesięcy i chociaż niektóre części domu na skutek rozbiórki wyglądają na bardziej zrujnowane niż kiedykolwiek wcześniej, zdołał przeistoczyć jedno ze skrzydeł w całkiem przytulny zakątek. Przytulny – chyba jeszcze nigdy nie myślałam w ten sposób o Cirey.

Jak Panu wiadomo, lettre de cachet utrzymuje się w mocy i monsieur Wolterowi nie wolno opuszczać Cirey, jednak dokument nie ma już takiego znaczenia jak kiedyś, dzięki wysiłkom księżnej de Richelieu, która bardzo nam pomogła załagodzić burzę. Wszelako zdaniem monsieur Woltera moja obecność tutaj osłabia wszelkie jego pragnienia znalezienia się gdzie indziej, a ja oczywiście znalazłam się w niewoli takiego komplementu.

W każdym razie, jako że jestem châtelaine majątku, to na mnie spoczywa nadzór remontu pod nieobecność męża oraz troska o odpowiednie umeblowanie, co zajmie całe miesiące. Na

większości okien brakuje zasłon i firan, w całej posiadłości jest tylko jedna umeblowana sypialnia, a i ta rozpaczliwie niemodnie – i ani jedno pomieszczenie nie nadaje się do poważnej pracy.

Sam musisz odgadnąć, najdroższy Przyjacielu, jak zapatruję się na perspektywę życia z Wolterem i zajęcia się nauką. Niestosowne z mojej strony byłoby bowiem wyrażenie czegokolwiek innego niż głęboki żal po stracie syna i chęć poświęcenia się czekającym mnie obowiązkom.

Z wyrazami czułości,
Emilie, Marquise du Châtelet-Lomont

11

1765

Joséphine de Maurepas wyszła za mąż? – Lili i Delphine wymieniły zaskoczone spojrzenia.

– A więc nie słyszałyście? – rzekła córka królowej, Victoire, podnosząc się, aby przekartkować nuty przy klawesynie. – Wyszła za markiza de Ferrand.

– Nader niespodziewanie – dodała Sophie. – Podobno był już w Paryżu i od razu porwał ją ze sobą.

– Porwał, w rzeczy samej – dodała Victoire, wymieniając porozumiewawcze spojrzenie z siostrą. – Niechaj lepiej żywi nadzieję, że zrobił to szybko i należycie. – Obie zachichotały.

– Dziwne – odparła Lili. – Widziałam ją zaledwie parę tygodni temu w Notre Dame i nie wspominała o zamążpójściu.

Zdawało się, że nikt jej nie słucha.

– Nawet panny tak nieurodziwe jak Joséphine de Maurepas powinny mieć szansę nacieszyć się odrobiną zainteresowania po wejściu na salony. A teraz pozbawiono ją nawet tego – burknęła Sophie i pokręciła głową. – Biedactwo!

Delphine odeszła na bok, by razem z Victoire przyjrzeć się nutom.

– Ferrand? – spytała. – Czy to we Francji?

Sophie i Victoire zaśmiały się, jakby usłyszały świetny dowcip.

– Równie dobrze mogłoby nie być – odparła Sophie.

– Nie ma tam nic poza owcami i krowami. – Victoire uśmiechnęła się znacząco. – I wieśniakami. Tych jest całkiem sporo. – Razem z Sophie znowu się roześmiały. – Madmoiselle du Châtelet, czy kiedy spotkałaś ją w Notre Dame, wyglądała może – Victoire zmarszczyła czoło – odrobinę grubo w pasie?

Lili się zastanowiła.

– Miała na sobie płaszcz. Padał deszcz i było dosyć zimno.

– Doprawdy, powinnaś wykazać się większą spostrzegawczością, jeśli pragniesz z powodzeniem zabawiać towarzystwo. – Victoire uniosła kpiąco brwi.

– Sądzę, że i tak niedługo zyskamy pewność – wtrąciła Sophie. Podniosła kieliszek koniaku i podsunęła go pod nos.

– Wieści docierają z Ferrand tak szybko – odrzekła Victoire i obie siostry znów wybuchły śmiechem. Sophie odstawiła kieliszek, nie upijając nawet łyka. – Ten armaniak nie jest najlepszy. To źle świadczy o dworze.

Lili miała dosyć.

– O czym mówicie?

Victoire znów uniosła brwi, jednak to Sophie cmoknęła współczująco i odpowiedziała:

– Chodzi ci o Joséphine? Zwykle oznacza to przedwczesne przyjście na świat pierworodnego dziecka. Mamy grudzień. – Spojrzała na Victoire. – Co o tym sądzisz? Jakoś w maju?

– Joséphine jest w ciąży? – Lili zaparło dech. I wtedy wreszcie zrozumiała. „Jacques-Mars". Usiadła oszołomiona, pozwalając wspomnieniom ułożyć się w sensowną całość. Anne-Mathilde opierająca dłonie na ramionach Jacques'a-Marsa i Joséphine i spoglądająca przez gmach opery w kierunku loży Lili i Delphine; Joséphine tak kokieteryjna i spoufalona z nim w Notre Dame. Wszystko nagle wydało się oczywiste. Uwiódł Joséphine, a Anne-Mathilde mu w tym pomogła.

– *Mon Dieu* – wyszeptała.

– Ferrand? Och, ma ze czterdzieści lat – mówiła Sophie do Delphine. – Pamiętasz go, Victoire? – Odwróciła się do siostry.

Victoire zastanowiła się.

– Nie wywarł na mnie żadnego wrażenia. Pamiętam, że nie jest młody i nie przypominam sobie, by był atrakcyjny.

– Dosyć gruby, jak sądzę – dodała Sophie. – Ale może myślę

o kimś innym. – Wstała i podeszła do klawesynu. Lili przyglądała się twarzy Delphine, kiedy Sophie śpiewała pierwsze wersy utworu dla królowej.

„Ona nie rozumie" – pomyślała Lili. Gdyby intryga Jacques'a-Marsa w Vaux-le-Vicomte się powiodła, to Delphine zostałaby odprawiona z dworu wśród ogólnego śmiechu i skazana na wygnanie do miejsca, o którym nigdy nie słyszała.

KIEDY KILKA DNI PRZED BOŻYM NARODZENIEM król nieoczekiwanie pojawił się w salonie królowej na koncercie przygotowanym przez Delphine i Sophie dla Marii Leszczyńskiej, niespodzianka wywołała poruszenie pośród gości. Kobiety tak szybko wykonały rewerans, że Lili musiała uchwycić się sukni Delphine, by nie potknąć się podczas wstawania. Razem z Ludwikiem przybyli Ambroise Clément de Feuillet oraz jego ojciec, hrabia d'étoges. Za nimi zjawiły się Anne-Mathilde i księżna de Praslin, która szła pod ramię z niedawno przybyłym do Wersalu Jakiem-Marsem Courville'em.

– Rozumiem, że zdążyliśmy na koncert mej córki z jej nową akompaniatorką – rzekł Ludwik i pochylił obwisły podbródek w jedną stronę, żeby służący delikatnie otarł kropelki potu z jego skroni. – Która z pań jest mademoiselle de Bercy?

Julie zdążyła już podejść do Delphine.

– Wasza Wysokość. – Ponownie dygnęła. – Proszę pozwolić przedstawić Waszej Wysokości moją córkę – Delphine.

Delphine się ukłoniła.

– Urocza – stwierdził król. – I...? – Spojrzał na Lili, która stała obok niej oszołomiona.

– Ośmielę się przedstawić również Stanislas-Adélaïde, córkę markiza du Châtelet-Lomont i jego zmarłej żony – rzekła Julie.

– Córka Emilie de Breteuil. Tak, powiedziano mi, że tu jest. – Lili pokłoniła się i usiłowała powstrzymać nagły dreszcz, kiedy król zaczął intensywnie przyglądać się jej twarzy. – Czy panienka także zagra?

– To mademoiselle de Bercy ma talent muzyczny, Wasza Wysokość – odparła Lili.

Jego spojrzenie trwało nieco zbyt długo i Lili poczuła nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– Dobrze więc – rzekł król, zwracając swą uwagę na Delphine i zachęcając ją gestem głowy, by podeszła do instrumentu.

„To gorsze niż prezentacja” – pomyślała Lili. Wbiła wzrok w ziemię, kiedy Delphine przechodziła przez salon, lecz tym razem nie dostrzegła na podłodze żadnych wstydliwych oznak paniki, które należałoby maskować. Gdy Delphine grała introdukcję do pierwszego utworu Sophie, jedynie ledwie dostrzegalne wahanie sugerowało, że nie jest to dla niej rutynowe wydarzenie. „Może człowiek potrafi wyzbyć się nerwów raz na zawsze” – pomyślała Lili, podziwiając opanowanie siostry.

Król zasiadł w fotelu, który specjalnie na tę okazję postawiono obok siedzenia królowej. Ukrył dłonią ziewnięcie, a następnie zwrócił się ku Marii Leszczyńskiej, zupełnie jakby nawet ją uważał za lepszą rozrywkę. „Nie jest zainteresowany żadną z nas” – pomyślała Lili z ulgą. Jednak ktoś inny był zainteresowany. Rozejrzała się po sali i spostrzegła wpatrzonego w nią Jacques'a-Marsa. Nie spuszczał z niej wzroku i odniosła wrażenie, choć mogło jej się tylko zdawać, że wydyma usta, jakby już ją całował w swojej wyobraźni.

Odwróciła wzrok, przywołała na twarz uśmiech i udała, że nie zauważyła mężczyzny, zbyt pochłonięta muzyką. Spojrzała na Ambroise'a Clémenta de Feuilleta, stojącego wraz z Anne-Mathilde po drugiej stronie klawesynu. Tym razem sposób, w jaki przyglądał się Delphine, nie pozostawiał wątpliwości. „Jest nią oczarowany” – pomyślała Lili, hamując niestosowny uśmiech cisnący jej się na usta.

Gdy Sophie wyśpiewała ostatnie takty, Delphine zakończyła koncert kilkoma poruszającymi dźwiękami. Wstała, raz jeszcze nieskazitelnie pokłoniła się królewskiej parze i podeszła do Lili. Zza swego wachlarza spytała:

– Patrzył na mnie?

– Król? – odparła Lili. – Jest potwornie znudzony.

– Ambroise – wyszeptała Delphine. – Czułam, jak jego wzrok wbija mi się w plecy.

– Patrzył na ciebie przez cały czas – przyznała Lili. – Jednak jeśli czułaś, że ktoś wierci ci dziurę w plecach, to na pewno Anne-Mathilde.

Delphine otworzyła usta, by odpowiedzieć, lecz niespodziewanie pojawił się obok niej Ambroise.

– Grała pani przepięknie – oznajmił.

Nie było z nim Anne-Mathilde. Rozejrzawszy się po sali, Lili spostrzegła ją nieopodal. Dziewczyna prowadziła ożywioną

rozmowę z matką i Jakiem-Marsem. Księżna rzuciła ogniste spojrzenie w stronę Delphine i ponownie zwróciła się do młodych, skrywając usta za wachlarzem.

Jacques-Mars skinął głową na słowa księżnej i ruszył w kierunku Lili, Delphine i Ambroise'a. Kątem oka Lili dostrzegła, jak *maman* nagle zwraca na siebie uwagę młodzieńca, delikatnie dotykając jego pleców. Chwyciła go pod ramię i skierowała w przeciwną stronę, znikając z nim w przylegającym saloniku.

– Wybiera się pani na kolację do króla? – dopytywał Ambroise. – Później będą tańce w Salon de Mars.

– Sądzę, że taniec ukoiłby moje nerwy. – Delphine posłała Ambroise'owi nieśmiały uśmiech. – Występ przed królem nieco je nadwyrężył.

– Nie dała pani po sobie poznać – odparł Ambroise, omiatając wzrokiem miękkie loki Delphine.

– Może pomogło mi to, że nie spodziewałam się króla i nie zdążyłam się nadmiernie zdenerwować – stwierdziła Delphine i zatrzepotała zalotnie wachlarzem.

– Muszę wyznać, iż pośrednio stałem się powodem pani zdenerwowania – powiedział Ambroise. – Gdy mademoiselle de Praslin wspomniała, że będzie pani akompaniować Sophie, próbowałem wymówić się z audiencji mego ojca u króla. Jednakże, gdy napomknąłem o koncercie u królowej, Jego Wysokość nalegał na przyjście i oczywiście mój ojciec musiał mu towarzyszyć.

W tej samej chwili głosy w salonie przycichły do szeptu i wzrok Lili podążył za spojrzeniem Ambroise' a w stronę władcy. Ludwik stał nieruchomo, podczas gdy szambelan nakładał mu płaszcz na plecy. Kiedy król przechodził przez pomieszczenie, kobiety dygały nisko, a ich suknie szeleściły przy tym niczym morskie fale omywające brzeg.

– Proszę pozwolić, że wskażę paniom drogę, mesdemoiselles. – Ambroise wykonał gest w stronę drzwi i cała trójka wyszła za królem na lśniący korytarz.

AMBROISE, LILI I DELPHINE czekali przed apartamentami króla na wejście królowej. Maria Leszczyńska szła w towarzystwie księżnej de Praslin oraz Anne-Mathilde, która, mijając ich, kokieteryjnie uśmiechnęła się do Ambroise'a. Potem

zadarła podbródek i odwróciła głowę, nie obdarowawszy Lili i Delphine nawet jednym spojrzeniem. Ambroise otarł się o suknię Lili, kiedy ta cofnęła się w obliczu afrontu. Lili kątem oka zerknęła na młodzieńca i dostrzegła jego chłodne spojrzenie wbite w plecy Anne-Mathilde znikającej w królewskich apartamentach. Serce dziewczyny podskoczyło z radości. „On też jej nie lubi" – pomyślała.

– No cóż – odezwał się Ambroise. – Możemy już wejść. – Chłód zniknął z jego oczu, a z twarzy emanowała otwartość i serdeczność. – Idziemy? – spytał, chwytając Delphine pod ramię. Siostra zerknęła w stronę Lili z błyskiem w oku.

„Spotkała swego księcia". Lili zrobiło się cieplej na sercu. Starała się nie myśleć o tym, że w bajkach o czarujących książętach zawsze jakieś zło czai się w cieniu.

Ku zaskoczeniu Lili stół w królewskiej jadalni nie był dłuższy od tego w Hôtel de Bercy. Król zasiadł wraz z królową na środku po jednej ze stron. Naprzeciwko nich zajmowali miejsca dworzanie, wszyscy przystrojeni w upudrowane peruki. Mieli ciasno skrojone marynarki, które nosili rozpięte, by odsłonić eleganckie kamizelki z aksamitu i brokatu. Po całej sali krążyli podobnie odziani mężczyźni w obcisłych jedwabnych bryczesach. Kobiety manewrowały w tłumie panierami, flirtując i wymieniając plotki.

– Sądziłam, że zostaliśmy zaproszeni na kolację – szepnęła Lili do Ambroise'a, wskazując niewielką liczbę krzeseł przy stole.

Ambroise się zaśmiał.

– Obawiam się, że zaproszenie na królewską kolację ogranicza się do tego właśnie. Jedynie nieliczni ulubieńcy Ludwika mają zaszczyt spożywać posiłek wraz z nim. Mademoiselle chyba potrafi sobie wyobrazić, jak ogromnie zazdrosna z tego powodu jest cała reszta? Oto mój ojciec – powiedział, wskazując na Juliena Clémenta de Feuillet, hrabiego d'Étoges, siedzącego naprzeciw króla. – Ambroise zerknął na Delphine. – Ja na przykład jestem wielce rad, iż nie zostanę pozbawiony towarzystwa tak miłych panien. – Znów zwrócił się do Lili. – Proszę się nie martwić, mademoiselle du Châtelet. Byłaby pani zaskoczona, jak mało czasu zajmuje taki posiłek. Z każdego dania biesiadnicy kosztują jedynie kęs lub dwa. Podczas tańców nakryją i dla nas. – Wskazał na służących, którzy właśnie zabierali ze stołu prawie nietkniętego ogromnego łososia i wnosili prosię. –

I pewnie ujrzymy tam obie te potrawy. Nigdy nie słyszałem, by ktoś opuścił Wersal, skarżąc się na niedosyt.

Udając, że patrzy na króla, Lili przyjrzała się Ambroise'owi. Młodzieniec, wyższy od niej o głowę, miał na sobie perukę tego samego orzechowego koloru co kosmyki, które Lili dostrzegła na jego skroniach. Jego nos wydawał się odrobinę zbyt wąski, jednakże podbródek miał mocny, a oczy – brązowe o żółtozielonym odcieniu – sprawiały wrażenie ciepłych i przyjaznych. Cała twarz nie emanowała idealnym pięknem, ale urzekała dobrocią. Jego rysy sugerowały kogoś, kto wiedzie raczej przyjemne życie i woli wesołą zabawę od intryg. Podobny mężczyzna, wszelako pozbawiony jego wdzięku i uroku, zapewne niczym by się nie wyróżniał, jednak Ambroise mógł uchodzić za najbardziej czarującego w całej sali. I lubił Delphine.

– Większość gości w Wersalu oddałaby życie, aby móc siedzieć głodnym w towarzystwie króla – ciągnął Ambroise – jednak nie zdołają dostać się nawet do jadalni. Dlatego najlepiej po prostu stać i doceniać to, że znaleźliśmy się pośród tych paru szczęśliwców, nawet jeśli burczy nam w brzuchach.

W sali robiło się duszno. Korpulentni mężczyźni ocierali pot z czoła, a kobiety dyskretnie przesuwały się ku otwartym drzwiom, by złapać odrobinę świeżego powietrza. W końcu na złotej, ozdobnej tacy wniesiono królewski deser, ekler w kształcie boga zdobiącego jedną z fontann. Ciasto umieszczono w sadzawce z falującej, zielonej galaretki i otoczono delikatnymi pasmami waty cukrowej, tryskającymi do góry niczym strumienie wody. Gdy tłum skończył oklaskiwać mistrzowski wyrób, król głośno beknął i machnął ręką, by zabrano nietknięty wypiek. Król i Maria Leszczyńska właśnie wstawali, kiedy Delphine chwyciła się ramienia Ambroise'a.

– Ojejku – wyszeptała, zanim kolana odmówiły jej posłuszeństwa.

– Mademoiselle potrzebuje powietrza – powiedział Ambroise do stojących w pobliżu osób. – Proszę mi pomóc zaprowadzić ją do drugiego pokoju. – Jedna z kobiet wyciągnęła z gorsetu buteleczkę soli trzeźwiących i przytrzymała ją przy nosie Delphine. Dziewczyna natychmiast zatrzepotała powiekami. – Czy może pani iść? – spytał Ambroise, podczas gdy inny mężczyzna podtrzymał ją za drugie ramię.

– Tak sądzę – odparła. – Wszystko nagle zrobiło się czarne.

– To przez duchotę – stwierdził Ambroise. – Często się to zdarza. – Przeszli już do sąsiedniej sali i pomagali dziewczynie ułożyć się na szezlongu. W poruszeniu towarzyszącym pożegnaniu króla i królowej tylko parę osób zauważyło to zajście. Nawet Julie stała zbyt daleko, by to dostrzec. Kobieta z solami trzeźwiącymi oraz drugi mężczyzna niebawem się oddalili, zostawiając Ambroise'a, Lili oraz Delphine samych.

– Wstyd mi – westchnęła Delphine. – Czy zrobiłam scenę?

Ambroise się roześmiał.

– To najbardziej urocze omdlenie od lat. Szkoda, że tak mało ludzi je zauważyło.

Delphine uśmiechnęła się do niego, po czym ukradkiem posłała Lili rozanielone spojrzenie.

– Szczerze mówiąc – mówił Ambroise – dziwi mnie, że kobiety są w stanie spędzić cały dzień w gorsecie, nie robiąc sobie krzywdy. Słyszałem o pewnej hrabinie, która, przewracając się, rozbiła głowę o stół. Jej gorset był tak ciasny, a paniery tak szerokie, że upadała niczym walące się drzewo. – Rozejrzał się po pomieszczeniu. – Tam stoi karafka z koniakiem. Chciałaby pani odrobinę? Chyba dobrze by to pani zrobiło.

Delphine uśmiechnęła się słodko.

– W takim razie odrobinę.

– Mademoiselle du Châtelet, czy pani również się napije? – Podszedł do kredensu i sięgnął po karafkę.

– Tylko troszeczkę – odrzekła Lili. – I proszę mi zdradzić, czy istnieje jakaś zasada, która zabrania panu mówić do mnie Lili?

Ambroise się roześmiał.

– Oczywiście. Znam przepis mówiący, iż mogę zostać wtrącony do Bastylii, jeśli nazwę panią Lili, nim pani zwróci się do mnie per Ambroise.

Lili posłała mu szelmowski uśmiech.

– Sądzę, że twoi strażnicy więzienni mogliby uznać, że właśnie to zrobiłeś, Ambroise. – Na próbę przeszła z nim na „ty".

Z kanapy dotarł miękki głos:

– A mnie proszę mówić Delphine.

Słodki ton siostry przywołał w Lili wspomnienia o czasach, w których Delphine kładła głowę na jej kolanach i słuchała opowiadań.

– Co pan tutaj robi w samotności? – Anne-Mathilde szła przez salę ku Ambroise'owi, który kończył nalewać koniak. Odwróciła

się i spostrzegła, że wcale nie jest sam.

– Och – stwierdziła bez emocji. – A cóż się stało?

– Delphine zemdlała – poinformowała Lili – a Amb... monsieur Clément był tak miły i jej pomógł.

Anne-Mathilde pospieszyła ku szezlongowi, na którym spoczywała Delphine, i usiadła przy jej stopach.

– Biedactwo. – Uśmiechnęła się kokieteryjnie i chwyciła dłoń Delphine. – Czy już dobrze się czujesz?

– Mam tu coś, co pomoże nam dojść do siebie – rzekł Ambroise, ignorując fałszywy ton dziewczyny. Podał Lili szklankę z odrobiną złotawego płynu błyszczącego na dnie, a następnie podszedł do Delphine i postawił trunek na stoliku obok.

– Czy pani także ma ochotę? – zwrócił się do Anne-Mathilde. Zmiana w jego głosie była tak zauważalna, że skojarzyła się Lili z chmurą zakrywającą słońce.

– O nie – odparła skromnie, wzdychając. – Obawiam się, że to nie leży w mojej naturze.

Ambroise zdążył już podejść do kredensu.

– A ja naleję sobie nieco więcej. Muszę się uspokoić. Mademoiselle de Bercy wielce nas przestraszyła. – Nalał sobie trzy razy więcej i spoczął w fotelu naprzeciw Delphine. – Właśnie to leży w mojej naturze.

– Tylko proszę nie ociągać się zbyt długo – dąsała się Anne-Mathilde. – Słyszy pan muzyków? Zaczęli już grać, a zdaje pan sobie sprawę, jak bardzo zależy mi, by pierwszy taniec zatańczyć właśnie z panem.

– Sądzę, że czuję się znacznie lepiej – powiedziała Delphine do Ambroise'a. – Czy mógłby pan pomóc mi wstać?

Ambroise podniósł się, chwycił wyciągniętą rękę Delphine i pomógł jej usiąść.

– Proszę posiedzieć przez minutę – poradził, przyglądając się jej twarzy. – Kolory już pani wracają, jednak zanim się pani podniesie, powinniśmy mieć pewność, że krew napłynęła z powrotem do głowy.

– No proszę! – głos Anne-Mathilde stał się lodowaty. – Z panem na miejscu Wersal nie potrzebuje lekarzy.

Ambroise wzruszył ramionami.

– Tylko na wszelki wypadek. Dla pani zrobiłbym to samo. Tak nakazuje zdrowy rozsądek. – Zmrużył oczy. – Aczkolwiek wie pani, że Wolter twierdzi, iż zdrowy rozsądek nie jest aż tak

przeciętnym zjawiskiem w naszym społeczeństwie.

– Cóż za odrażający człowiek! Doprawdy, monsieur, dziwię się, że czytuje pan takie brednie. – Anne-Mathilde wstała i dumnie westchnęła. – Idę na tańce i byłabym wdzięczna, gdyby ktoś dotrzymał mi towarzystwa. – Posłała Delphine władcze spojrzenie. – Chyba mademoiselle du Châtelet zdoła udzielić ci dalszego wsparcia, nieprawdaż, mademoiselle de Bercy?

– Och, proszę zostać jeszcze chwilę, mademoiselle de Praslin – powiedziała Lili rozmyślnie słodkim głosikiem. – Ciekawi mnie, jakie wieści otrzymałaś od Joséphine de Maurepas.

– Joséphine? – Anne-Mathilde otworzyła szeroko oczy, po czym zmrużyła je złowrogo. – A dlaczegóż to sądzisz, że mam od niej jakieś wieści?

– Och, nie udawaj – rzekła Lili. – Przecież ty, Joséphine oraz Jacques-Mars Courville byliście w Vaux-le-Vicomte nierozłączni. Minęło zaledwie cztery czy pięć miesięcy... Wydawało mi się, że ty pierwsza usłyszysz, iż dotarła bezpiecznie do Ferrand.

– Obawiam się, że jesteś źle poinformowana. Prawie cały czas od minionego lata przebywam w Wersalu, a Joséphine w Paryżu.

– Tak mogło być, ale dopiero po tym, jak widziałyśmy waszą trójkę w operze. Na premierze *Toma Jonesa*, jeśli mnie pamięć nie myli. Światło było nieco przyćmione, jednak teraz, gdy poznałam monsieur Clémenta, jestem właściwie pewna, że to jego widziałam z tobą w loży. A Joséphine i Jacques-Mars...

– Nie przypominam sobie – przerwała jej Anne-Mathilde. Odwróciła dumnie głowę i spojrzała w bok.

Ambroise zerknął na Delphine, a następnie na Lili.

– Ja pamiętam – wyznał. – Wskazała pani znajome, które siedziały w loży naprzeciw – panienki de Bercy i du Châtelet.

– Doprawdy! – Anne-Mathilde prychnęła wzburzona. – Wolałabym iść potańczyć. Chyba że ta rozmowa ma jakiś głębszy cel.

– Gdy zobaczyłam dziś w lesie monsieur Clémenta de Feuillet – rzekła Lili – przez chwilę zastanawiałam się, dlaczego wygląda znajomo. A w Notre Dame widziałam Joséphine i Jacques'a-Marsa bez ciebie, tak więc wydało mi się... – Lili wytrzymała zimne spojrzenie Anne-Mathilde bez mrugnięcia okiem. – Wydało mi się, iż ta wyjątkowa przyjaźń waszej trójki z Vaux-le-Vicomte trwa.

– Jestem oburzona takimi pomówieniami – odparowała Anne-

Mathilde. – Monsieur! Proszę! – Uniosła ramię w geście oczekiwania. – I nie mam pojęcia, o czym mówisz. Byłam w Wersalu. Doprawdy, nie wiem, jak to możliwe, bym wiedziała, co robią inni, gdy mnie z nimi nie ma.

Anne-Mathilde dotknęła włosów opuszkami palców i nerwowo wygładziła koronkę przy rękawie, czekając, aż Ambroise do niej podejdzie. „On wie, kim ona jest – przemknęło przez myśl Lili już po ich wyjściu – przebiegłą małą hipokrytką, trzepoczącą zalotnie rzęsami, kiedy obmawia przyjaciół. I jeśli Ambroise wcześniej tego nie dostrzegał, proszę, niech dojrzy to teraz".

– Przepraszam, jeśli... – Urwała Lili i odwróciła się w stronę Delphine.

Policzki Delphine zaróżowiły się, a błysk w oczach sugerował, że za wachlarzem dziewczyna skrywa szeroki uśmiech. Uniosła ramiona i zaszczebiotała:

– Co o tym sądzisz? Anne-Mathilde była wściekła!

– Nie chciałam dopuścić, żeby wyszedł z Anne-Mathilde w przekonaniu, że to słodka panienka, z którą powinien się czym prędzej ożenić – odparła Lili, siadając obok siostry. – Jest dla niej zdecydowanie zbyt miłym człowiekiem. Zauważyłaś jej nielojalność wobec Joséphine? Zachowywała się, jakby wcale się nie przyjaźniły!

Delphine zdawała się nie słyszeć.

– On jest bardzo miły – powiedziała rozmarzonym głosem. Odwróciła się do Lili i chwyciła ją za rękę. – Myślisz, że mimo wszystko się z nią ożeni? – Delphine zadrżała. – Z taką przebiegłą lisicą? – Jej oczy napełniły się łzami, lecz szybko się opanowała. – To nie w porządku. Ja byłabym dla niego dużo lepsza.

– Byłabyś dla niego idealna – odparła Lili. – I myślę, że powinnaś udać się na tańce i pozwolić temu młodzieńcowi, by cały wieczór spoglądał tylko na ciebie. – Wstała. – Mademoiselle de Bercy? – Skłoniła się nieco sztywno w swoim gorsecie i panierach, udając pokłon dworzanina. – Czy mogę dostąpić zaszczytu towarzyszenia pani?

SETKI ŚWIEC W ŻYRANDOLACH w sali znanej jako Salon de Mars rzucały żółtawe światło na złocone sklepienie i czerwone ściany. Poprzedni władcy spoglądali na żywych z portretów naturalnej wielkości, oprawionych w ciężkie, złote ramy. Na

jednym z krańców sali ogień trzaskał w marmurowym kominku, a obok grała orkiestra kameralna. Na podium zasiadała królowa, obserwując tancerzy, a wśród nich króla kręcącego piruety z młodą kobietą, o której mówiono, że jest jego nową kochanką.

Lili i Delphine stanęły w wejściu, przyglądając się scenie.

– Gdzie byłyście? – Julie pospieszyła ku nim. – Wybierałam się, by was poszukać. Anne-Mathilde powiedziała swojej matce, że zemdlałaś.

– Nic mi nie jest, *maman* – uspokoiła ją Delphine. – Lili i monsieur Clément de Feuillet mi pomogli. – Zerknęła na salę ponad ramieniem Julie. – Widziałaś go?

– Sądzę, że tańczy z Anne-Mathilde – odparła Julie. Przyjrzała się Delphine. – Jesteś blada. I żadna z was nic nie jadła. Chodźcie.

Zaprowadziła dziewczęta do Salon de Vénus, pomieszczenia mniejszego niż Salon de Mars, gdzie ustawiono półmiski pełne przysmaków. Zasiadły przy stole. Julie dała sygnał służącemu i już po chwili postawiono przed nimi tace z serami i mięsiwami.

– W Salon d'Abondance jest czekolada i trochę słodyczy, które dodadzą ci sił – poinformowała. – Do tego wino i koniak. Jedz. Może nie jest to odpowiedni posiłek, ale później, kiedy już król i królowa udadzą się na spoczynek, postaram się, żebyście dostały porządną kolację.

Delphine w zadumie przeżuwała kawałek mięsa.

– To chyba tamto prosię. Całkiem smaczne. Będę mogła powiedzieć, że skosztowałam potrawy, którą jadł król.

– Albo nie jadł – stwierdziła Lili, nadziewając kawałek sera. Uniosła wzrok na Delphine i w lustrze za nią dostrzegła odbicie zbliżającej się do nich księżnej de Praslin.

– Madame de Bercy – odezwała się księżna, nie zwracając uwagi na dziewczęta. – Czy mogę prosić o chwilę na osobności?

Julie spojrzała na nią zaintrygowana.

– Oczywiście. – Wstała i odeszła z księżną na bezpieczną odległość.

Lili siedziała odwrócona do nich plecami, jednak Delphine miała doskonały widok.

– O czym rozmawiają? – spytała Lili. – Myślisz, że skarży się na to, jak potraktowałam biedną Anne-Mathilde?

Delphine przesunęła jedzenie na talerzu i zerknęła ukradkiem w stronę obu kobiet.

– Możliwe – wyszeptała Delphine. – Księżna właśnie spojrzała w naszym kierunku i wcale nie wygląda na szczęśliwą. *Maman* kiwa głową. Wraca!

Kiedy Julie siadała, księżna już wyszła z salonu.

– Rozumiem, że zdenerwowałaś Anne-Mathilde.

Serce Lili załomotało na widok jej poważnej miny.

– *Oui, maman* – przyznała. – Spytałam o Joséphine, a Anne-Mathilde była tak obłudna, że ja...

– Skłamała, *maman* – wtrąciła Delphine. – Zapomniała, że widziałyśmy ją w operze, i powiedziała, że cały czas była w Wersalu.

– Jej matka twierdzi, że niemal oskarżyłaś ją o popchnięcie Joséphine w ramiona Jacques'a-Marsa – zauważyła *maman*.

Lili zaczerpnęła powietrza, jednak zanim zdążyła powiedzieć coś na swoją obronę, *maman* się uśmiechnęła.

– Winszuję. Już najwyższy czas, by ktoś to zrobił. Anne-Mathilde jest utrapieniem. – Biorąc kawałek sera, znów uśmiechnęła się do Lili. – Co właściwie jej powiedziałaś?

– Nie pamiętam dokładnie – odparła Lili – ale nie pozwoliłam zbyć się stwierdzeniem, że nie ma pojęcia, iż Jacques-Mars zwrócił uwagę na Joséphine.

– A później – dodała Delphine, idealnie naśladując głos Anne-Mathilde – oświadczyła: „Nie odpowiadam za to, co robią inni, gdy mnie z nimi nie ma". – Prychnęła ostentacyjnie. – Moim zdaniem to nazbyt stanowczy sprzeciw.

– Czy będę miała kłopoty z księżną, *maman*? – wtrąciła zmartwiona Lili.

Julie nie kryła rozbawienia.

– Nie sądzę. Myślę, że księżna zna swoją córkę i jej... – zastanawiała się przez chwilę – nieczułe serduszko. Jednak rodzina de Praslin dąży do małżeństwa Anne-Mathilde z Ambroise'em Clémentem de Feuillet i myślę, że księżna próbuje cię zastraszyć. Nie chce, żebyś oczerniała Anne-Mathilde przed jej przyszłym narzeczonym. – Przez twarz Julie przemknął ironiczny uśmieszek. – Taki był twój plan, jak mniemam?

Lili utkwiła spojrzenie w talerzu.

– *Oui, maman*. Przyznaję.

Twarz Julie zdradzała rozbawienie, ale jej głos wyrażał stanowczość.

– Anne-Mathilde sama sobie dzisiaj zaszkodziła. Księżną

niepokoi obojętność Ambroise'a wobec jej córki i żadna z was, powtarzam – żadna z was – nie powinna nic robić w tej sprawie. Rodzina Praslin jest potężna i nie macie pojęcia, jak bardzo może wam w przyszłości zaszkodzić, jeśli jej członkowie odniosą wrażenie, że knujecie przeciw nim intrygę.

Julie wstała od stołu.

– A teraz, *ma chérie* – zwróciła się do Delphine – myślę, że powinnaś wyjść i zatańczyć. Nie z nim, oczywiście. To byłoby zbyt rażące. Ale on z pewnością zauważy, z jaką gracją poruszasz się po parkiecie. Najpierw jednak powinnyśmy cię wzmocnić odrobiną ciepłej czekolady. – Strzepnęła okruszek z gorsetu Delphine. – A później znaleźć ci partnera do tańca.

DELPHINE WYGLĄDAŁA ZJAWISKOWO w różowo-kremowej kreacji, kiedy tańczyła chaconne z dżentelmenem, który pomógł jej, gdy omdlała. Uśmiechała się do niego, jakby uważała go za najprzystojniejszego mężczyznę na sali, choć tylko nieznacznie górował nad nią wzrostem i był o wiele starszy. Jednak okazał się znakomitym tancerzem i u jego boku Delphine sunęła po parkiecie niczym unoszona wiatrem, jakby jej stopy w ogóle nie dotykały ziemi.

Lili błądziła wzrokiem po sali, aż jej spojrzenie zatrzymało się na Ambroisie tańczącym z Anne-Mathilde. „Ona ma sporo wdzięku" – stwierdziła z niechęcią. Gdy muzyka ucichła, część tancerzy opuściła parkiet, jednak Delphine ze swym partnerem zostali w oczekiwaniu na kolejny taniec. Ambroise odprowadził Anne-Mathilde do matki, rzucając niejedno spojrzenie w kierunku Delphine. Po pierwszych taktach menueta Delphine ponownie chwyciła partnera za rękę.

Nim jednak para zdążyła zrobić pierwszy krok, muzycy przestali grać. Po sali przeszedł szmer. Goście odwracali się i spoglądali zdezorientowani na parę królewską. Władcy powstali z foteli i po chwili Maria Leszczyńska opuściła salę, wspierając się ciężko na ramieniu Victoire. Jeden z królewskich ministrów uniósł rękę, by uciszyć zgromadzonych.

– Właśnie otrzymaliśmy wieści z Fontainebleau. Delfin zmarł. Niech żyje następca tronu Ludwik August.

To rzekłszy, odwrócił się i wyszedł za królem.

Gdy monarcha zniknął za drzwiami, w Salon de Mars zapadła cisza. Ludzie powoli kierowali się ku wyjściu, szepcząc między

sobą, a niektórzy nawet cicho szlochając. Lili odwróciła się do Julie.

– Ty płaczesz, *maman*!

– Oczywiście! – przyznała. – On zostałby naszym królem. A droga Maria Leszczyńska straciła kolejnego syna.

– *Maman*? – rozległ się głos Delphine, której pobladły partner właśnie odprowadził ją do Julie, po czym szybko dołączył do oczekującej go grupy przyjaciół.

– Chodźcie – powiedziała Julie. – Od jutra cała Francja pogrąży się w żałobie. Kiedy tylko się spakujemy, ruszamy do Paryża. Królowa na pewno oczekuje od nas tej uprzejmości. Nie powinnyśmy spodziewać się, by sama prosiła o prywatność.

– Do domu? – spytała Delphine z niedowierzaniem. – Teraz? – Zakryła dłonią usta i rozejrzała się w poszukiwaniu Ambroise'a. Lili wiedziała, że siostra go nie znajdzie. Widziała, jak wyszedł, idąc pod rękę z Anne-Mathilde.

Emilie

1738

Florent-Louis du Châtelet wspiął się na palce i uniósł ręcznie zapisaną kartkę papieru tak wysoko, jak tylko pozwalały na to jego jedenastoletnie ramiona.

– Anton! Podaj mi młotek! – Niższy chłopiec w tym samym wieku, odziany jak zwykły wieśniak, położył narzędzie na wyciągniętej ręce przyszłego dziedzica Château de Cirey. Florent-Louis parę razy lekko uderzył w gwóźdź, by przytwierdzić papier do drzwi.

Cofnął się i z podziwem spojrzał na swoje dzieło.

– Przeczytać ci? Tu jest napisane: „Dziś wieczorem w teatrze w Cirey! Premiera *Meropy* M. Woltera. Obsada: Meropa – *Madame la Marquise*, Polifontes – *Monsieur Wolter*, Ismena – *mademoiselle G.-P. du Châtelet*, Eurykles – *Monsieur le Marquis* i inni".

Wskazał na kopie w ręce chłopca.

– Chodź – powiedział. – Pomóż mi zawiesić je na bramie i na kościele. Ścigamy się! – Florent-Louis rzucił się do przodu, przebierając energicznie nogami odzianymi w skarpety i bryczesy. Ciemne włosy upięte w kucyk z tyłu głowy podskakiwały rytmicznie na jego plecach.

Emilie obserwowała tę scenę z galerii na piętrze, delektując się panującym poruszeniem. Sztuka zawsze stanowiła dobrą metodę na rozładowanie napięcia związanego z obowiązkami gospodyni, które w tym momencie ograniczały się do zabawiania nudnego towarzystwa i radzenia sobie z przyprawiającym o ból głowy hałasowaniem robotników odnawiających pałac. Od czterech lat mieszkała w Cirey z Wolterem. W ich ustronnym schronieniu często gościli przedstawiciele europejskiego kręgu ludzi nauki, jednak od ostatniej podobnej wizyty minęło już wiele miesięcy. Teraz wyglądało na to, że wszyscy robili ekscytujące rzeczy gdzie indziej, a ona otrzymywała jedynie listy opisujące ich przygody. Nie mogła pojechać do Laponii jak Maupertuis, by dokonać pomiarów i wykazać, że Ziemia jest spłaszczona na biegunach. Nie znajdowała nawet sposobu, by wyjechać za granicę, choć regularnie korespondowała z naukowcami z całej Europy. Życie byłoby łatwiejsze, gdyby ludzie nie musieli zawsze przyjeżdżać do Cirey, by mogła z nimi porozmawiać twarzą w twarz, lecz...

Nie powinna narzekać. To i tak nie miało sensu. Emilie jako kobieta mogła grać rolę pomocnika wybitnych mężczyzn, ale sytuacja odwrotna była niedopuszczalna. Dzięki Bogu miała w życiu Woltera. Mogła z nim rozmawiać na tematy, które stały się wręcz jej obsesją – o zasadach fizyki i wszystkim, co z nich wynikało. Bóg, który rządził światem za pomocą praw natury, musiał posiadać tak samo zorganizowany umysł, gdy tworzył ludzkie serce – prawo naturalne dla rodzaju ludzkiego, które odzwierciedlało jego wolę tworzenia lepiej niż jakiekolwiek biblijne legendy.

Oczywiście Emilie irytowało to, że po ich niekończących się dyskusjach Wolter czasami publikował jej zdanie jako własne, jednak skończywszy trzydzieści dwa lata, była już zbyt stara na wyrobienie sobie niezależnej reputacji filozofa naturalnego. Zainspirowała największego pisarza stulecia do ćwiczenia umysłu nie tylko poprzez historię oraz mądrą satyrę, lecz także przez naukę. Poza tym z przyjemnością oglądała własne teorie na papierze, nawet jeśli ich wspólne prace, na przykład rozprawa o Newtonie, podpisane zostały jedynie jego nazwiskiem. Wolter wyrażał się o niej pochlebnie w swych dedykacjach i to musiało jej wystarczyć.

Przez otwarte okno po drugiej stronie pokoju dotarł do niej odgłos powozu zbliżającego się do pałacu. „Pewnie to Gabrielle-

Pauline" – zgadywała Emilie. Patrzyła, jak kareta wyjeżdża zza rogu i zatrzymuje się przed wejściem. Emilie uśmiechnęła się na widok wyskakującej z pojazdu dwunastoletniej córki z manuskryptem w dłoni. Dziewczynka zatrzymała się przed wejściem, żeby przeczytać obwieszczenie zawieszone na drzwiach przez brata, jednak już po chwili służąca Berthe zagoniła ją do środka. Dzięki niebiosom za dziecko, które w drodze z klasztoru może nauczyć się roli. Emilie zeszła na dół, by ją powitać, a później nastał czas na wypoczynek przed emocjonującym wieczorem.

MARKIZ DU CHÂTELET wyłonił się z jadalni wraz z żoną i dziećmi. Florent-Louis wskazał na paru wieśniaków kręcących się za ogromnym oknem.

– Powiedziałem temu chłopcu, który pomagał mi przy ogłoszeniach, że mógłby włożyć kostium i stanąć na scenie. Czy mogę po niego pójść, ojcze?

Florent-Claude du Châtelet dał przyzwolenie skinieniem głowy i Florent-Louis wybiegł na zewnątrz. Markiz wezwał Luciena, służącego z dołu, i spojrzał na niego z powagą, marszcząc brwi.

– Wyjaśnij ludziom na zewnątrz, że bardzo nam przykro, lecz możemy wpuścić ledwie kilku z nich. Na górze jest zbyt gorąco i ciasno.

Florent-Louis i Anton popędzili po schodach na poddasze, przeskakując co drugi stopień. Pobiegli przez toporne przejście, minęli kraty z belek podtrzymujących dach i już po chwili znaleźli się w kolejnym pomieszczeniu. Podłogę przykrywały tu drewniane deski, a wzdłuż stropu ciągnęły się nieosłonięte belki. Wolter i reszta obsady zaczęli już krążyć pośród kostiumów rozłożonych na ławach i pudeł wypełnionych perukami.

Emilie weszła do pokoju i wyciągnęła ręce ku służącej, by zdjęła z niej suknię. Wsparłszy ręce na biodrach, odziana jedynie w koszulę i parę halek, spojrzała rozbawiona na całe to zamieszanie. Anton gapił się na piersi gospodyni, wyraźnie widoczne pod cieniutkim jedwabiem, lecz Emilie nie zwróciła na to uwagi.

– Tutaj – powiedziała, chwytając go za rękę i prowadząc na drugi koniec dusznego poddasza. – Zobaczmy, czy Berthe znajdzie coś, co będzie na ciebie pasować. – Zostawiła go ze służącą i oddaliła się z Gabrielle-Pauline. Obie miały owinąć się

prześcieradłami imitującymi greckie togi.

Mimo że jej dzisiejszy występ nie wymagał śpiewania, przed przybyciem gości – w postaci domowników, służby oraz strachliwych wieśniaków – Emilie zaczęła rozgrzewać gardło ćwiczeniami solfeżu, które pamiętała z lekcji niegdyś pobieranych u nauczyciela z Comédie-Italienne. Jej piękny sopran natychmiast wprowadził magiczny nastrój na niewielkim poddaszu. Wszyscy zamarli, by posłuchać. Dostrzegłszy podziw w ludzkich oczach i pod wpływem zwykłej radości tej chwili, Emilie zaśpiewała arię ze swej ulubionej opery *Issé*. Hucznemu aplauzowi przewodził sam Wolter, którego wychudzone nogi odziane były pod togą w niedorzeczne różowe skarpety, a głowę przykrywała korona z liści, osadzona na peruce z idealnie poskręcanymi lokami.

Gdy widownia zajęła miejsca, Emilie wstąpiła wraz z córką na niewielką scenę, której boczne skrzydła oraz tło zostały wcześniej pomalowane na podobieństwo greckiego pałacu. Emilie z teatralną rozpaczą opadła na kanapę przyniesioną z bawialni, której błyszczące, kwiatowe obicie zostało pospiesznie okryte prześcieradłem.

– Wspaniała królowo – odezwała się Gabrielle-Pauline. – Odsuń od siebie smutne myśli. Bogowie zapewnili nam zwycięstwo, a lud domaga się twej koronacji. Wdowo po wielkim Kresfontesie i córo króla, po piętnastu latach wojennej niedoli ty sama możesz poprowadzić nas ku lepszym czasom.

Emilie się wyprostowała.

– Jakże to? – zapytała, dramatycznie przykładając rękę do skroni i z niepokojem przyglądając się widowni. – Nie ma żadnych wieści o mym synu, prawowitym władcy? Czyżby słuch po nim zaginął już tak dawno temu, że ogłoszono go martwym?

Poczuła pierwsze krople potu spływające między piersiami, a pomieszczenie wydało się teraz całkowicie pozbawione powietrza. Ale jakież to miało znaczenie, skoro na zupełnym odludziu sztuka napisana przez jej kochanka była po raz pierwszy wystawiana pod jej własnym dachem? Spojrzała w górę na odsłonięte sklepienie poddasza. W rzeczy samej, pod jej własnym dachem.

12

1765

Błotniste koleiny na drodze z Wersalu do Paryża zamarzły i powóz, którym Lili i Delphine wracały z *maman* do Paryża, podskakiwał tak bardzo, że Lili z trudem udawało się skupić wzrok na literach.

– „Z nieba Świergotka dostrzegła Wielki Mur Chiński i pokierowała Comète w dół" – zaczęła czytać.

Wprawdzie historia dwóch mężczyzn, którzy walczyli o rękę księżniczki, w jednej chwili rozproszyła smutek wywołany powrotem do Paryża, to jednak gdy Lili kończyła czytać, Delphine znów ocierała łzy.

– „Księżniczka tupnęła nogą – kontynuowała lekturę Lili. – Zasad trzeba przestrzegać! – powiedział Tom do Świergotki. – Najwyraźniej – przyznała. – Nawet w tak odległych Chinach".

– Wcale mi się nie podobało – stwierdziła Delphine.

– Dlaczego? – Lili chciała odłożyć notatnik, ale musiała go przytrzymać, żeby nie spadł na podłogę, gdy powozem znów mocno szarpnęło.

– Nienawidzę zasad. Podobno Anne-Mathilde wyjdzie za mąż za Ambroise'a. – Delphine wtuliła twarz w ramię Julie. – Naprawdę go lubię, *maman*.

– Zauważyłam – odparła Julie, podając Delphine chusteczkę. – Uważaj, żebyś pociągając nosem, nie pobrudziła mi sukni, *ma petite*. Na aksamicie widać nawet najmniejszą plamkę.

Delphine delikatnie wytarła nos. Uniosła się nieco i poprawiła na swoim miejscu, po czym opadła całym ciężarem obok matki.

– A ja nie byłabym taka pewna zasad, którymi powinien kierować się młody człowiek w jego sytuacji – kontynuowała Julie. – Nikt nic nie wspominał o oficjalnych zaręczynach z Anne-Mathilde...

– Myślisz, że mógłby z nią zerwać? – Delphine usiadła gwałtownie, prostując się tak bardzo, że plecami nie dotykała już oparcia siedzenia.

– Zerwać? Nie zauważyłam nic, co by sugerowało, że jest co zrywać. Ale to dobra partia, no i głośno się o tym mówi, więc przypuszczam, że obydwie rodziny patrzą na całą sprawę przychylnie, nawet jeśli on ma do niej inny stosunek. Rodzina Praslin nie jest już tak bogata jak kiedyś, i choć przy pomocy Vaux-le-Vicomte starają się zaprzeczyć tym plotkom, doszły mnie słuchy, że ich fortuna może być zagrożona.

Wzięła z rąk Delphine swoją chusteczkę i włożyła ją za gorset sukni.

– Ludwik XIV wielce sobie cenił dziadka Ambroise'a za dyskrecję, którą ten wykazał się jako *accoucheur*. Siedmiokrotnie był przy madame de Montespan, gdy rodziła królowi nieślubne dzieci. Został wtedy obdarzony tytułem *noblesse de robe*, a kilka lat temu rodzina uzyskała królewską zgodę na zakupienie pałacu i terenów koło Étoges, a także na używanie tytułu hrabiowskiego. Zatem dla rodu Clément de Feuillet małżeństwo Anne-Mathilde z Ambroise'em oznaczałoby znaczną poprawę statusu, a księciu i księżnej de Praslin pozwoliłoby umieścić córkę w rodzinie, która ma przynoszące zyski ziemie w Szampanii i jest wystarczająco bogata, aby utrzymywać dziewczynę. – Julie spojrzała na Delphine przepraszająco. – Kusząca perspektywa dla obu stron.

– Tylko że narzeczona to potwór – mruknęła Lili.

Przygnębiona Delphine wróciła do poprzedniej pozycji.

– Zatem równie dobrze mogę już teraz wstąpić do zakonu.

Lili i *maman* wybuchły śmiechem, ale twarz Lili niemal natychmiast spoważniała.

– Ludzie nieczęsto dostają to, czego pragną, prawda? – zastanowiła się na głos.

– Jeśli idą przez życie, ciągle czegoś pragnąc, to pewnie tak, rzadko – odparła Julie. – Zwłaszcza jeśli ich marzenia są nierozsądne. Ale często zdarza się, że z danej sytuacji jest więcej niż jedno wyjście, i ludzie, którzy zdają sobie z tego sprawę, są bardziej zadowoleni niż ci tego nieświadomi.

Zamyśliła się.

– W młodości wciąż modliłam się o to czy o tamto. Z czasem zrozumiałam, że pewne rzeczy, których pragnęłam, mogłyby okazać się dla mnie fatalne w skutkach. Zdarzało się też odwrotnie – to, czego wcale nie chciałam, wyszło mi na dobre. Życie nauczyło mnie jednak, że naprawdę ważne jest tylko to, abym umiała poradzić sobie w każdej sytuacji. I żebyście ty i Delphine też to potrafiły. – Zaśmiała się ciepło. – A poza tym, wyobrażasz sobie, jak nieznośne stałoby się życie w świecie, w którym spełniają się wszystkie marzenia wszystkich ludzi? Oto, *ma petite*, ciekawa kwestia do rozważenia dla Świergotki!

Powozem znów potężnie zatrzęsło. Lili znalazła się na drugim końcu siedzenia, a Delphine i Julie musiały się mocno trzymać siebie nawzajem, żeby nie spaść na podłogę.

– *Mon Dieu* – powiedziała Julie – mamy szczęście, że nie oderwało nam się koło. Na budowę pałacu w Wersalu wydano tyle pieniędzy, a zabrakło ich na porządną drogę!

Delphine była zatopiona w myślach.

– *Maman*? – nagle zwróciła się do matki. – Dlaczego Jacques-Mars nie ożenił się z Joséphine, jeśli prawdą jest, co mówią o niej ludzie?

Nastrój w powozie znów się zepsuł. Julie zacisnęła usta i spojrzała w dal.

– Nikt o zdrowych zmysłach nie wydałby córki za mężczyznę pokroju Jacques'a-Marsa. Ten człowiek dba tylko o siebie. Domyślam się, że nie można mu zaufać ani w kwestii pieniędzy, ani kobiet. Z tego, co słyszałam, Joséphine jest jedną z trzech córek, ma dwoje starszego i dwoje młodszego rodzeństwa. Podobno rodzice nie zaprzątali sobie nią zbytnio głowy aż do tej pory. Gdyby choć trochę troszczyli się o córkę, wiedzieliby, że Anne-Mathilde nie czuła z nią prawdziwej więzi.

Julie się zachmurzyła. Zdawało się, że zupełnie przestała zważać na to, jak powóz podskakuje na drodze.

– Szkoda mi biednej Joséphine – odezwała się po chwili. – Na pewno czuła się wyróżniona atencją kogoś tak fascynującego jak

Jacques-Mars i tak ślicznego jak Anne-Mathilde. Może zależało jej na przyjaźni z nimi tak bardzo, że zrobiła wszystko, o co ją prosili.

– Naprawdę myślisz, że to zrobiła, *maman*? – Delphine znów się wyprostowała. – Wiesz, chodzi mi o to... z Jakiem-Marsem...

– Myślę, że wkrótce się o tym przekonamy. I wydaje mi się, że Anne-Mathilde tak bardzo starała się wyglądać na niewinną, że niewinną być nie może. Moim zdaniem wyrządziła sobie wielką krzywdę, zwłaszcza jeśli plotki o jej planie, aby zrujnować życie Joséphine, dotrą do królowej. Maria Leszczyńska zbyt wiele w życiu wycierpiała i nie ujdzie jej uwagi wieść, że ktoś zszargał honor młodej dziewczyny.

– Szkoda mi delfina – westchnęła Delphine. – Biedny chłopiec został bez ojca. Nawet pomimo tego, że kiedyś zasiądzie na tronie Francji. – Zamilkła na chwilę i dodała: – Jeśliby mi powiedzieli, że będę królową, ale kosztem utracenia ciebie, odpowiedziałabym, żeby sobie zabrali tę koronę i wrzucili ją do jakiejś fontanny.

Delphine przetarła oczy i pociągnęła nosem.

– Czemu to wszystko musi być takie smutne?

– A mnie jest też szkoda Marii Leszczyńskiej – rzekła Julie. – Straciła tyle dzieci. Za nic w świecie nie wolałabym życia królowej od tego, które wiodę z wami dwiema. – Rozważała coś w myślach i po chwili odezwała się znowu: – Żadnej z was nie zastanowiło, że Jacques-Mars nie naprzykrzał się wam po recitalu Delphine i Sophie?

– Nie widziałam go na balu – zauważyła Lili.

– Pewnie zajął się uwodzeniem jakiejś dziewczyny – dodała zniesmaczona Delphine, ale Julie tylko się uśmiechnęła.

– Wątpię. Widziałam, jak on i Anne-Mathilde spoglądają na was, więc kiedy zauważyłam, że zmierza w waszym kierunku, zaprosiłam go do drugiego pokoju na małe tête-à-tête. Powiedzmy, że zakończyło się ono konkluzją, iż w jego interesie leży omijanie was z daleka.

– *Maman*! – Delphine zakryła dłonią twarz, spod rękawiczki wyglądały tylko jej oczy. – Co mu powiedziałaś?

– Że jestem gotowa porozmawiać z królową o plotkach dotyczących Joséphine i o tym, co wydarzyło się zeszłego lata...

Delphine wstrzymała oddech.

– Z zachowaniem pełnej dyskrecji, *ma chérie* – kontynuowała Julie. – I że mogę wyjaśnić królowej, dlaczego moim zdaniem jego

obecność w królewskich komnatach powinna być niepożądana. – Wzruszyła ramionami. – Tak jak przypuszczałam, groźba ośmieszenia się – wszak byłby człowiekiem, któremu królowa zakazała wstępu – wystarczyła, by obiecał, że nie zbliży się do żadnej z was nawet na krok. A fakt jego nieobecności na tańcach biorę w takim razie za oznakę... – nieznacznie się uśmiechnęła – poważnego potraktowania naszej rozmowy.

Delphine zapadła się w siedzenie.

– Tak mi wstyd!

– Dlaczego? Niczego królowej nie powiedziałam.

– Ale powiedziałabyś, *maman*? – zapytała Lili.

Julie się wzdrygnęła.

– Jestem pewna, że nie musiałabym – odrzekła z uśmiechem. – Chyba więc nigdy się tego nie dowiemy.

1766

ZAKWITŁY DRZEWA i Paryż zostawił za sobą smutek zimy. Przyszły Ludwik XVI przebywał w Wersalu ze swoją matką, Marią Józefą Saską. Kawiarnie, teatry i salony znów tętniły życiem, zazieleniło się w Jardin de Roi. Od powrotu z Wersalu Lili dwa popołudnia w tygodniu spędzała w prywatnym muzeum historii naturalnej, znajdującym się na parterze domu hrabiego de Buffona. Wymieniała pożółkłe i zniszczone etykiety z łacińskimi nazwami okazów wypełniających szuflady i *cabinets de curiosités* na nowe, wypisane starannie i czytelnie.

W te dni, kiedy Julie nie mogła dać Lili powozu, Jean-Étienne Leclerc przyjeżdżał po nią do Hôtel Bercy. Ponieważ młodzieniec hodował rośliny lecznicze, spędzał czas, dzieląc go między laboratorium w szklarni a swoje grządki w ogrodzie, podczas gdy Lili ze względu na swoje obowiązki przebywała głównie w muzeum. Oznaczało to, że po przybyciu na miejsce nie mieli już okazji się spotkać. Trwające dwadzieścia minut przejazdy z Jardin du Roi i z powrotem były jedynymi chwilami, kiedy mogli porozmawiać, i zostawało im zdecydowanie za mało czasu, by opowiedzieć o wszystkim, co każde widziało i robiło.

– Nie sądzę, aby twój wuj miał ze mnie wielki pożytek, ale z pewnością uczę się niezwykłych rzeczy – powiedziała Lili do Jeana-Étienne'a w drodze do ogrodu. Przejeżdżali właśnie przez most de la Tournelle, a potem pod łukiem Saint Bernard. – Na przykład ptasie dzioby. Niektóre są większe niż same ptaki, do

których należą, a wszystko po to, żeby zdobyć pożywienie. – Roześmiała się serdecznie. – Nie chciałabym jednak jeść combra jagnięcego, mając do dyspozycji dziób tukana albo kolibra.

– Ale mogłoby być cudownie spijać nektar z kwiatów albo... – Jean-Étienne zastanowił się przez chwilę. – Nie wiem dokładnie, czym się żywią tukany, ale zapewniam cię, że czułyby się wielce nieszczęśliwe, gdyby przyszło im jeść za pomocą noża i widelca. A w sprawie mojego wuja się mylisz. Może nie powinienem tego mówić, ale sądzę, że stanowimy dla niego doskonałe zastępstwo za raczej rozczarowujące wnuki.

Lili się uśmiechnęła.

– To taki poczciwy człowiek. Wydaje się, że jedyne, co jest w stanie wyprowadzić go z równowagi, to Kościół.

– A ja się z nim zgadzam – oznajmił Jean-Étienne, kiedy powóz skręcał w ulicę Saint-Victor. – Bulwersuje mnie, gdy zamiast „myśl", mówią ci „módl się". Jakby Bóg chciał, żebyśmy żyli z zamkniętymi oczami i dłońmi złożonymi do modlitwy. Uważam, że człowiek powinien korzystać z talentów, jakimi obdarzył go Bóg, a nie okazywać Mu oddanie, nie wykorzystując ich.

– W szkole takie idee uchodzą ci na sucho? – zachichotała Lili.

– Nauczyłem się trzymać język za zębami, odkąd kilku księży pomyliło mój zadek z mózgiem i pomyślało, że przetrzepanie go będzie dla mnie pouczające. – Nagle ugryzł się w język. – Wybacz. Uwaga o pewnej części ciała była niestosowna w twoim towarzystwie. Jestem słuchaczem uczelni medycznej, a tam człowiek szybko pozbywa się pruderii.

– Wcale się nie gniewam. Student medycyny?

– I to właśnie nam z wujem się w tobie podoba. Nie tracisz czasu na zabieganie o atencję. – Jego łagodna twarz nagle spochmurniała. – Na udawanie obrazy, abyśmy tylko przerwali to, czym akurat się zajmujemy, żeby cię udobruchać.

Lili uderzył gorzki ton jego ostatniego zdania. Przekrzywiła głowę.

– Masz do czynienia z takimi ludźmi?

– Tylko z jedną taką osobą. – Zamilkł i zamyślił się na moment. – Cóż, tak naprawdę z kilkoma. – Znów zamilkł.

„O kim on mówi?" – Lili poczuła ciekawość, ale coś w jego zachowaniu podpowiadało jej, że nie powinna dopytywać.

– Praca w laboratorium jest bardzo ważna. – Jean-Étienne przerwał ciszę. – Próbujemy dowiedzieć się jak najwięcej

o świecie i zostawić po sobie bazę, na której inni będą mogli później budować.

– To dlatego studiujesz medycynę?

– Otóż to! – Irytacja zniknęła z jego głosu. – Nie ma rzeczy, której ludzki umysł nie byłby w stanie pojąć. A w miarę jak nasza wiedza rośnie, mamy coraz więcej możliwości skrócenia ludzkich cierpień. Czy można spędzić życie w sposób bardziej pożyteczny niż ten?

– Ale gdybyś pracował, musiałbyś płacić podatki, prawda?

Jean-Étienne wyglądał na zaskoczonego.

– To raczej niewysoka cena w porównaniu z tym, co mógłbym zyskać. A zresztą to sprawiedliwie, nieprawdaż? Jestem przekonany, że wystarczałoby na godne życie, choć pewnie skromne w porównaniu z życiem niektórych znanych mi ludzi... – Jean-Étienne zatopił się w myślach, a w jego oczach znów pojawiło się rozgoryczenie. Na szczęście tylko na chwilę.

Powóz zatrzymał się na żwirowanej drodze prowadzącej z posiadłości hrabiego Buffona do szklarni. Jak zwykle Jean-Étienne nie czekał, aż woźnica otworzy mu drzwi. Poruszał się żwawo, na jego twarzy malowało się podniecenie wywołane myślą, że zaraz zabierze się do pracy. „Chce spędzić swoje życie w pożyteczny sposób – pomyślała Lili, gdy młodzieniec pomagał jej wysiąść z powozu. – Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby ktoś mówił coś takiego". Spojrzała na niego z ukosa, nagle pragnąc zapamiętać każdy szczegół jego wyglądu. Był wysoki i bardzo chudy. Miał ładne włosy o kolorze piasku i bladą, nieco piegowatą twarz. „Jest dość przystojny. Raczej dobrze się prezentujący niż atrakcyjny – powiedziała do siebie w myślach. – Ale przede wszystkim ma dobre serce i uwielbiam wszystko, co mówi".

DELPHINE SPĘDZIŁA WIĘKSZĄ CZĘŚĆ ZIMY w swoich apartamentach, wzdychając i ocierając łzy na myśl o Wersalu i okazjach, które przepadły wraz ze śmiercią delfina.

– Źle się stało, że tak mało udało mi się tańczyć – mruknęła – a z nim nie zatańczyłam ani razu.

Nie trzeba było pytać, kogo ma na myśli. Wiadomości o Ambroisie nie należały do najlepszych. Często pojawiał się jako gość w teatralnej loży księcia de Praslina, a w okresie Wielkiej Nocy Delphine zauważyła go w towarzystwie Anne-Mathilde, co sprawiło jej wielką przykrość.

– Będę nieszczęśliwa całe życie – powiedziała do Lili, której nie pozostawało nic innego, jak tylko westchnąć współczująco.

Kiedy wiosną w drzewach na Place Royale zaczęły krążyć soki, Delphine postanowiła obudzić się z letargu, w którym pogrążyła się z własnej woli.

– Myślę, że nowy płaszcz i kilka kapeluszy podniesie mnie na duchu – zwróciła się do *maman*, która całą zimę starała się pocieszyć córkę i teraz z radością przystała na jej propozycję. Nowa garderoba sprawiła jednak, że Delphine uciekła do swojego pokoju cała we łzach, gdy zdała sobie sprawę, że jedyna osoba, której chciałaby się w niej pokazać, prawdopodobnie spędza teraz wesoło czas w towarzystwie Anne-Mathilde.

– Nie lubię widzieć cię w takim stanie – powiedziała do niej Lili pewnego kwietniowego dnia. – Problem polega na tym, że pozwalasz, aby to inni decydowali o twoim szczęściu, a ja uważam, że ono zależy tylko od ciebie.

„Czy czuję się szczęśliwa?" – Lili zapytała samą siebie. Nie była jednak pewna, o co jej chodzi. Przed oczami stanął jej Jean-Étienne – jego źrenice tak wyraźnie odznaczające się na niebieskoszarym tle, rzęsy tak jasne, że wydawały się cienkie, kiedy patrzył prosto na nią, a jednak grube i gęste, gdy promienie słońca oświetlały je z boku. „Wydaje mi się, że jestem co najmniej zadowolona. Mam *maman* i Delphine. Mam moje pisanie. I nowego przyjaciela, który lubi te same rzeczy co ja i ma serce wielkie jak sam Paryż" – pomyślała.

A jednak życie Lili nie mogło być udane, jeśli Delphine czuła się nieszczęśliwa.

Ku radości Lili w oczach Delphine widać było jakąś zmianę wywołaną jej słowami.

– Masz rację. – Delphine potrząsnęła głową. – Masz absolutną rację. Już nie mogę ze sobą wytrzymać. I zamierzam być szczęśliwa.

Wstała i rozejrzała się po pokoju jakby w nadziei, że nagle pojawi się przed nią jakieś ukryte do tej pory rozwiązanie problemów.

Lili spostrzegła, że siła postanowienia Delphine maleje w błyskawicznym tempie.

– Pojedź ze mną do Jardin du Roi – zaproponowała gorąco, chwytając dłonie Delphine. – Zajmiesz się czymś, doskonale ci to zrobi. Jestem pewna, że hrabia de Buffon znalazłby coś dla ciebie.

Nigdy nie ma czasu, żeby naszkicować swoje okazy, a ani Jean-Étienne, ani ja nie zrobimy tego choćby w połowie tak dobrze jak ty.

– Jean-Étienne? – zapytała Delphine, nieznacznie unosząc brew. – Nieco poufale, *non*?

Lili się zarumieniła.

– Monsieur Leclerc.

– Monsieur Leclerc! – powtórzyła śpiewnie Delphine, pociągając Lili za kosmyk włosów. – *Bonjour,* monsieur Leclerc – dodała swoim najbardziej flirtującym tonem i odeszła tanecznym krokiem.

Lili poczuła się urażona prześmiewczym zachowaniem Delphine, ale jednocześnie ucieszył ją uśmiech na twarzy siostry, więc też się zaśmiała, nie dając nic po sobie poznać.

– Czy ten cały Jean-Étienne jest przystojny? I żonaty? – zapytała Delphine. – Hmmm?

– Delphine! – Lili czuła, że się czerwieni coraz bardziej. – On... – „Co on?" – pomyślała, nagle zbita z tropu. – On jest bardziej jak brat niż jak mężczyzna – odparowała i natychmiast pożałowała tych słów, słysząc, jak głupio brzmią.

– Bracia to też mężczyźni, głupiutka gąsko!

Lili westchnęła.

– Wiem, ale z nim tak właśnie jest.

Nie była to do końca prawda, ale nie miała zamiaru dawać Delphine nowego pretekstu do żartów.

– No dobrze, o nic już nie będę pytać – powiedziała Delphine. – Zaprosiłaś mnie, więc po prostu pojadę zobaczyć tego Jeana-Étienne'a na własne oczy.

W CIĄGU TYGODNIA Julie ustaliła z hrabią de Buffonem, że jej córka przyjedzie do Jardin du Roi, aby pomóc mu w szkicowaniu.

– Chyba włożę zieloną sukienkę – oznajmiła Delphine podczas kolacji w przeddzień wyprawy do ogrodu. – Tę, która ma dół w tym samym kolorze co haft na rękawach. Przy wszystkich tych roślinach powinna wyglądać ładnie.

– Nie możesz włożyć jutro panier – odparła Julie. – Jedna z twoich sukien do przyjmowania gości powinna w zupełności wystarczyć.

– Bez panier? – Delphine zrobiła nadąsaną minę. – Hrabia może i jest starszym mężczyzną, co nie znaczy, iż nie potrafi

docenić ładnej dziewczyny.

– Zapewniam cię, że doceni za to dziewczynę, która nie będzie potrącała swoją suknią wszystkiego, co znajdzie się w jej pobliżu – powiedziała Lili.

– Ale mam poznać twojego wybranka!

– On nie jest moim wybrankiem – odrzekła szybko Lili. – A w ogóle to lepiej zostań w domu, jeśli zamierzasz mnie tak zawstydzać! – Lili posłała Julie proszące spojrzenie. – To nie był dobry pomysł, *maman*.

Julie odłożyła serwetkę.

– Cieszę się, widząc, że znów masz ochotę flirtować i ślicznie wyglądać – zwróciła się do Delphine. – Jednak Jardin du Roi to miejsce, w którym należy zachować powagę. Hrabia de Buffon całe życie poświęcił nauce i nie pozwolę, abyś traktowała jego... jego raj na ziemi jak miejsce, gdzie można po prostu wpaść na herbatkę i ciasteczka.

– *Oui, maman* – odpowiedziała Delphine, patrząc w swój talerz. Lili wyczuła w jej głosie irytację.

– Warto, abyś nauczyła się odpowiednio zachowywać wśród ludzi innych niż ci, których spotykasz na dworze. Zapewniam cię, że największe wrażenie zrobisz na hrabi, będąc cicho i nie rzucając się w oczy. Założysz sukienkę z wysokim stanem, a pod spódnicę tylko halkę, albo nie pójdziesz wcale.

Maman brzmiała tak poważnie i surowo, że obie dziewczyny patrzyły na nią zdziwione.

– Hrabia jest jednym z moich najbliższych przyjaciół – wyjaśniła Julie. – Wyświadczył nam ogromną przysługę. Tobie, Lili, pozwolił, abyś ćwiczyła umysł i służyła pomocą. A co do ciebie, *ma chérie* – Julie zwróciła się teraz do Delphine – założę się, że szybko odkryjesz, iż dzięki hrabiemu będziesz głowiła się nad sprawami dającymi dalece więcej satysfakcji niż wybieranie wstążki do sukienki.

Delphine nie przywykła się dąsać czy żywić urazę, kiedy proponowano jej zakład. Zmrużyła oczy i uśmiechnęła lekko kącikiem ust.

– Założysz się, *maman*?

Julie się zamyśliła.

– O dwie pary rękawiczek od Lacroix et Fils. W takim kolorze, w jakim sobie tylko zażyczysz. – Następnie pochyliła się nad stołem w stronę Delphine i dodała z uśmiechem: – Założę się, że

zrezygnujesz z rękawiczek po pierwszej wizycie, byle tylko ponownie tam wrócić.

– To niewiele – skwitowała Delphine – ale przyjmuję zakład. – Odwróciła się do Lili. – Cieszę się, że jadę, naprawdę. Przynajmniej będę miała jakieś nowe obiekty do szkicowania. I nie przyniosę ci wstydu, obiecuję.

– A ja obiecuję, że nie pozwolę, by hrabia cię nastraszył – odrzekła Lili.

Delphine spojrzała na nią, a potem na matkę.

– Nastraszył?

– W klatce ma taki różowy kwiat. – Lili odsłoniła zęby w uśmiechu.

– *Oui, ma petite* – dodała Julie. – Nie krzycz, kiedy będzie próbował cię ugryźć.

JEAN-ÉTIENNE POWITAŁ JE NA PROGU SZKLARNI. Na widok Lili siedząca na jego ramieniu kapucynka wrzasnęła i zaczęła szaleńczo podskakiwać.

– *Bonjour,* Tatou – przywitała się Lili, drapiąc małpkę po głowie.

Następnie odwróciła się, by spojrzeć na Delphine, i zauważyła, że ta wcale nie patrzy na małpkę, tylko na odległość dzielącą Lili od Jeana-Étienne'a. Tatou wydała z siebie głośny, ostry dźwięk, więc Lili, na życzenie małpki, pochyliła się i dotknęła bokiem ramienia młodzieńca, a wtedy zwierzątko przeskoczyło na jej bark. Weszli do szklarni.

– Pozwól – powiedział Jean-Étienne i delikatnie chwycił kapucynkę za grzbiet, uniósł ją, a następnie położył na sukni Lili niewielki i niezbyt czysty kawałek materiału, który wcześniej znajdował się u niego na ramieniu. Potem powoli posadził małpkę z powrotem.

Spojrzenia obu dziewcząt skrzyżowały się na moment, ale Lili szybko odwróciła wzrok. „Ta scena musiała wyglądać rozkosznie" – pomyślała.

„I naprawdę sprawiło mi to przyjemność" – zdała sobie sprawę po chwili. Jean-Étienne był jej jedynym przyjacielem, poza Delphine. A hrabia de Buffon przypominał Lili ekscentrycznego dziadka, takiego, o którym ona i Delphine czytały w zimowe wieczory, co rozdaje dzieciom cukierki, a potem udaje naburmuszonego, gdy jego kieszenie okazują się już całkiem

puste.

Co by było, gdyby – jak sugerowała Delphine – Jean-Étienne stał się kimś więcej niż tylko przyjacielem? Jak by się czuła, gdyby któregoś dnia w Jardin du Roi pokłonił się jej, posyłając to szczególne, pełne aprobaty spojrzenie? A jeśliby tak choć raz zaproponował jej spacer? Ostatnio dokładała wielkich starań, żeby ładnie wyglądać w te dni, kiedy miała się z nim zobaczyć, ale wydawało się, że nie zauważał jej starannych fryzur i ładnych sukien. „A gdyby popatrzył na mnie nie jak na kogoś, z kim można po prostu porozmawiać, ale jak na... – Lili musiała oswoić się z tą myślą. – Jak na kobietę".

W salonie *maman* rozmowa z mężczyzną oznaczała taki czy inny stopień flirtowania, ale Jean-Étienne nigdy nie flirtował. „Czy coś ze mną nie tak? – zastanawiała się dziewczyna. – Jestem nieatrakcyjna?". Jednak patrzenie przez całą zimę na cierpienia zakochanej Delphine pomogły Lili uwolnić się od uczucia zawodu. Zachowanie Jeana-Étienne'a nie wprowadzało w jej życie bolesnego zamieszania, i powinna być mu za to wdzięczna.

Zresztą życie Lili i tak się już skomplikowało, musiała wszak odpierać ataki niezadowolonej baronowej Lomont, uznającej pracę w Jardin du Roi za zajęcie, które nie przystoi pannie na wydaniu.

Lili skończyła już porządkowanie etykiet w muzeum, teraz pomagała w szklarni i w laboratorium. Uczyła się używać suwmiarki i innych przyrządów służących do wykonywania pomiarów, robiła także dokładne notatki na temat orchidei, które hrabia hodował i krzyżował ze sobą. Asystowała mu w badaniach i już nie wzdrygała się, kiedy kroił martwe zwierzęta, żeby studiować ich anatomię.

Odwiedziny u baronowej Lomont były dla Lili niczym wizyta na innej planecie. Grzeczność nakazywała, aby dziewczyna opowiadała baronowej o tym, co wydarzyło się w jej życiu od ich ostatniego spotkania. W zdawkowy sposób opisywała więc te rzeczy, które w rzeczywistości przyprawiały ją o dreszcz podniecenia: dostawę kilkunastu nowych gatunków motyli z Afryki, kwiaty zmieniające kolor, gdy przesadzano je do innej gleby... Większości tematów starała się w ogóle nie poruszać. Patrzyła na baronową zamglonymi oczami, starając się nie uchybić zasadom etykiety.

Z trudem tuszowała znudzenie w towarzystwie monsieur de Barrasa. Ukrywała męczarnie, które z każdym spotkaniem z tym

mężczyzną stawały się coraz większe. Przekonanie baronowej, że stanowią dobraną parę, było nie do powstrzymania jak nurt wody płynącej w Sekwanie. „Czy nie ma znaczenia, że ja nic do Barrasa nie czuję? Ani on do mnie?" – myślała z rozgoryczeniem. Patrząc na niezachwianą postawę baronowej Lomont, Lili dochodziła do wniosku, że najwyraźniej nie miało.

Czasami nachodziła ją ochota, by wstać i zachowywać się, jakby zwariowała. Dać do zrozumienia, że cała ta sytuacja coraz bardziej ją przeraża. „A może rzeczywiście zwariowałabym, gdybym za niego wyszła?" – zastanawiała się zgnębiona. Na publikację opowiadań, która miała zniechęcić Barrasa do Lili, na razie się nie zanosiło. Minęło już wiele miesięcy, a Diderot nie dawał znaku życia. Jedyne radosne chwile poza domem spędzała w Jardin du Roi, z suwmiarką w ręce, wśród małp i orchidei.

Buffon zdążył się z nimi przywitać w drzwiach szklarni i teraz zapraszał Delphine, aby położyła na stole swoją teczkę i ołówki.

– Proszę rysować, cokolwiek pani zechce, mademoiselle de Bercy. Postaram się pani nie przeszkadzać.

Wszyscy wiedzieli, że w istocie chodziło mu o to, aby to ona nie przeszkadzała jemu. I rzeczywiście, całe popołudnie Delphine zachowywała się tak cicho, że Lili z czasem zapomniała o jej obecności. Kiedy słońce zaczęło zachodzić, Buffon zdjął z nosa okulary i oświadczył, że praca na dziś skończona.

– Chciałby pan zobaczyć moje szkice? – zapytała Delphine.

– Oczywiście! – Hrabia się ucieszył i wskazał dłonią biurko, na którym stała lampa oliwna oświetlająca pogrążający się w mroku pokój. Hrabia zwiększył płomień i zasiadł za biurkiem. Pochylił się nad pierwszym rysunkiem, przesuwając się jednocześnie w bok, tak aby Lili i Jean-Étienne również mogli obejrzeć szkic. Widniała na nim, przedstawiona w najdrobniejszych szczegółach, górna część szafki, na której w równym rzędzie stały słoiki z okazami. Na następnym rysunku zobaczyli ptaka, raz siedzącego spokojnie, a potem w locie.

Na widok trzeciego szkicu Lili zaparło dech w piersiach. Z kartki papieru patrzyła na nią małpa. Miała jasny pysk przechodzący w coraz ciemniejsze skronie i wierzchołek łepka. Delphine w perfekcyjny sposób przedstawiła zmierzwione włosy na główce zwierzęcia, a oczy małpy uchwyciła tak umiejętnie, że dostrzegało się w nich figlarne ogniki, zupełnie jakby zwierzątko właśnie knuło następną psotę.

Jean-Étienne stał tuż za Lili. Usłyszała, jak z przejęcia wstrzymuje oddech.

– Wygląda tak prawdziwie, że chyba zaraz wskoczy mi na ramię.

– Albo głośno na nas wrzaśnie – dodała Lili. Bliskość młodzieńca sprawiała, że czuła, jakby zaraz miał w nią uderzyć piorun.

– W szkole medycznej uczy się nas, abyśmy obserwowali otaczający nas świat równie wnikliwie jak pani, mademoiselle de Bercy – rzekł Jean-Étienne. – A jednak większość z nas tego nie robi.

Delphine podziękowała mu, mierząc jednocześnie wzrokiem młodego mężczyznę i Lili.

– A to – powiedziała Delphine, wręczając hrabiemu jeszcze jeden rysunek – jest szkic, który wykonałam specjalnie dla pana. Na dowód wdzięczności, że pozwolił mi pan tu dziś przyjść.

Rysunek przedstawiał hrabiego Buffona pochylonego nad mikroskopem. Jeden kosmyk opadał mu na policzek, jak zwykle.

– Żeby było zabawniej, dorysowałam też Tatou. – Delphine wskazała palcem na kapucynkę, którą naszkicowała siedzącą na stole w takiej samej pozycji jak hrabia i z uwagą obserwującą okulary leżące obok mikroskopu. – Mam nadzieję, że pana nie uraziłam. Nie mogłam się jednak powstrzymać, widząc, jak bardzo to zwierzę przypomina człowieka.

– Oczywiście, że mnie pani nie uraziła! Wolę być porównywany do małp niż do wielu ludzi, z którymi czasem przychodzi mi siedzieć przy jednym stole podczas kolacji.

Hrabia położył rękę na ramieniu Delphine.

– Ma pani ogromny talent, mademoiselle de Bercy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spędziłem czas w równie miłym towarzystwie.

– Mam nadzieję, że nie zakłóciłam panu pracy. I bardzo liczę na to, że kiedyś jeszcze mnie pan tu zaprosi.

Z tymi słowy Delphine rzuciła Lili triumfalne spojrzenie. Hrabia i Jean-Étienne odprowadzili je do powozu.

– JEST W TOBIE ZADURZONY – oznajmiła Delphine, kiedy ich kareta ruszyła ulicą Saint-Victor.

– Kto?

– A jak myślisz? – odparła Delphine. – Uroczy starszy pan?

– To ty podbiłaś jego serce – zaśmiała się Lili. – Widać, że cię uwielbia.

Delphine uśmiechnęła się szeroko.

– No to każda z nas ma po jednym wielbicielu. Ale nie zmieniaj tematu. Widzisz przecież, w jaki sposób Jean-Étienne na ciebie patrzy, prawda?

– Przecież on w ogóle na mnie nie patrzy.

– Ależ ty jesteś niemądra! Cały dzień oka z ciebie nie spuszczał. A sytuacja z małpką? Wyglądaliście jak stare dobre małżeństwo opiekujące się dzieckiem. „Pozwól, że położę ci chusteczkę na ramieniu, *mon amour*. Nie chciałbym, abyś pobrudziła sobie suknię". „Och, dziękuję, *mon chéri*. Czyż nasze maleństwo nie jest urocze?".

Lili potrząsnęła głową. Wbrew sobie śmiała się razem z Delphine.

– Wydaje mi się, że zachowałby się tak wobec każdego.

– Mnie się wcale tak nie wydaje. A jakiż on nieśmiały! Tylko dlatego się do ciebie nie odzywa. Za to kiedy zaglądał ci przez ramię, widziałam, że tysiąc razy bardziej niż oglądanie moich rysunków interesowało go rozważanie, jak by to było pocałować cię w kark.

– Delphine! – Lili wyprostowała się, udając oburzenie, i niemal natychmiast znów pochyliła się w stronę siostry. – Naprawdę tak myślisz?

Delphine uśmiechnęła się pod nosem i nic nie odpowiedziała. Lili wzruszyła ramionami.

– Cóż, byłoby dobrze, gdyby chciał mnie pocałować – zaczęła. Od jakiegoś czasu nie mówiła Delphine, co jej leży na sercu w związku z Jeanem-Étienne'em, bojąc się, że wypowiedzenie tych lęków uczyniłoby je bardziej realnymi. Teraz jednak słowa same płynęły z jej ust. – Narzekał niedawno, że ktoś marnuje jego czas. Brzmiało to tak, jakby był z jakąś kobietą po słowie. I to z taką, która pasuje do niego równie idealnie co Robert de Barras do mnie.

W powozie zapanowało ciężkie milczenie. Lili poczuła znajomy ucisk w gardle.

– A jeśli skończę jako matka całej gromady dzieci de Barrasa, który spojrzy na mnie przychylnie tylko wówczas, kiedy akurat przypomnę mu zmarłą żonę? – Lili poczuła rodzącą się gdzieś w głębi falę strachu. – Boję się, Delphine.

Powaga w głosie Lili sprawiła, że z twarzy Delphine znikł ostatni cień wesołości.

– Ja też – szepnęła. – Pragnę jedynie wyjść dobrze za mąż. Pogodziłam się z myślą, że nie zostanę żoną Ambroise'a. Ale już od miesięcy czekamy i nic się nie dzieje! Nawet ta głupiutka Joséphine de Maurepas znalazła się chyba w lepszej sytuacji niż ja: ma męża i majątek, którym może zarządzać, nawet jeśli to majątek w Ferrand, gdziekolwiek to jest. – Pociągnęła nosem i wyjęła zza stanika sukni perfumowaną chusteczkę. – No i spodziewa się dziecka, pomimo że będzie...

Dziewczęta na chwilę zamilkły, myśląc o Jacques'u-Marsie.

– Cóż, masz wciąż dopiero szesnaście lat – przypomniała jej Lili. – Nie można powiedzieć, że zostałaś pominięta.

Lili czuła się rozczarowana. Jak zwykle Delphine udało się skierować rozmowę na własne problemy, ale też ulżyło jej, że nie musi mówić na tak bolesny dla niej temat.

– Tak, szesnaście. Ale uważam, że siedemnaście to już całkiem sporo. A Jean-Étienne jest dla ciebie idealny, jednakże zbyt wielki z niego gamoń, aby to zauważył. Chciałabym, by wpadł do salonu baronowej, porwał cię sprzed nosa temu smutnemu nudziarzowi i powiedział: „Uwielbiam cię, Lili". Bo tak jest, wiesz? – Po chwili zastanowienia Delphine zapytała: – Ale nigdy ci nie wyznał, że jest z kimś po słowie, prawda?

– Nie powiedział, a ja nie mogłam się dopytywać – moje zainteresowanie byłoby nader podejrzane. – Lili spojrzała uważniej na Delphine. – Ty zresztą też nie pytaj. Z tego samego powodu.

Delphine spojrzała przez okno na most de la Tourenne, przez który właśnie przejeżdżały.

– Tak, wiem, nie mogę. Jednak warto nadstawić uszu. Zobaczymy, może w ten sposób uda nam się czegoś dowiedzieć.

– Nam? Czy to znaczy, że chcesz wrócić do Jardin du Roi? – Na twarz Lili powrócił uśmiech. – Słyszałam, gdy mówiłaś hrabiemu, że chciałabyś, aby cię jeszcze kiedyś zaprosił, ale myślałam, że mówisz tak jedynie z grzeczności.

Delphine chwyciła Lili za rękę.

– Bardzo mi się dziś podobało. *Maman* miała rację – to dużo lepsze od nowej pary rękawiczek.

– Dwóch par.

Dziewczęta się roześmiały.

– Od Lacroix et Fils. W jakimkolwiek kolorze.

SŁOŃCE OŚLEPIŁO LILI, która wraz z Delphine wyszła właśnie z katedry Notre Dame. Wstąpiły tam, aby pomodlić się do świętej Anny, patronki Delphine. Rytuał ten miał miejsce dwa razy w roku – w grudniu dziewczęta modliły się do świętej Adelajdy, patronki Lili, a w czerwcu do świętej Anny. Do tradycji należał też obiad z *maman* w jednej z najlepszych paryskich restauracji, ale dziś Julie spodziewała się ważnego gościa, restauracja musiała więc poczekać. W związku z tym dziewczęta postanowiły odwiedzić hrabiego de Buffona, aby sprawdzić postępy w tworzeniu labiryntu za szklarnią.

Kiedy przejeżdżały przez Petit Pont, Lili obejrzała się za siebie na wieże Notre Dame. Wyciągnęła notatnik i powiedziała:

– Dobrze, zaczynajmy. – Na okładce widniało imię Delphine. Lili znalazła pierwszą niezapisaną stronę. – Mam ołówek, atramentem poprawimy później, teraz za mocno trzęsie. – Spojrzała na Delphine, gotowa do pisania.

– Co się wydarzyło od ostatniego dnia świętej Anny?

Delphine mruknęła niezadowolona.

– Musimy to robić każdego roku? Nie możemy tylko w tych latach, które są dobre? W tych, kiedy nikt mnie nie próbuje zgwałcić latem? W których nikt nie łamie mi serca?

– Kiedyś, jako staruszka, gdy nie będziesz pamiętać, gdzie położyłaś swoje sztuczne zęby, ucieszysz się z tych zapisków. Możesz pominąć wszystkie nieprzyjemne rzeczy, ale musimy przecież zapamiętać, że to w tym roku zostałaś przedstawiona królowej i że szkicowałaś dla jednego z największych umysłów Francji.

Delphine westchnęła.

– Wolałabym raczej, żebyśmy porozmawiały o przyszłym roku. Cieszę się, że ten już się skończył. – Lili spojrzała na siostrę z poważną miną.

– Rok, który zaczynasz dzisiaj, będzie najlepszym rokiem w twoim życiu.

Delphine żartobliwie poklepała ją po ręce, mówiąc:

– Zawsze tak obiecujesz w dzień świętej Anny!

– Bo zawsze pragnę, żeby tak się stało.

– Jesteś dla mnie taka dobra. – Delphine wyraźnie się wzruszyła. – Może święta Anna ulituje się nade mną i przyniesie

mi w tym roku oświadczyny. Do tej pory nie była zbyt łaskawa.

Dojechały do Place Maubert. Lili roztargnionym wzrokiem patrzyła na ulicznych sprzedawców zachwalających swoje towary rozłożone na drewnianych straganach. „Nie sądzę, by można liczyć na świętą Annę w jakiejkolwiek kwestii" – pomyślała. Zastanawiała się, czy święci to po prostu mnóstwo kości porozrzucanych po relikwiarzach całego chrześcijańskiego świata, czy też istoty, które rzeczywiście przebywają teraz w niebie, w tej jego części, którą zarezerwowano dla najszlachetniejszych rycerzy Chrystusowych? A jeśli tam trafili, to czy nie wolą raczej cieszyć się swoją nagrodą, niż siedzieć na chmurze, w aureoli i z lornetką teatralną, i zastanawiać się, jak pomóc wszystkim Delphine na ziemi?

– Może powinnam częściej brać udział w mszy albo zrobić coś szlachetnego – rozważała Delphine. – A jeśli jeszcze nie zasłużyłam? Lili, jak myślisz, jaki rodzaj dobrego uczynku spodobałby się świętej Annie? Pomoc rannym żołnierzom z Les Invalides? Albo biedakom z przytułku Saltpêtrière?

Lili nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A może utworzenie Stowarzyszenia na Rzecz Wyzwolenia Ambroise'a ze Szponów Anne-Mathilde?

– To nie jest zabawne, ale właściwie mogę pośmiać się razem z tobą. – Delphine zamyśliła się na moment. – A co do ciebie, to powołamy może Zakon Objawienia Jeanowi-Étienne'owi Jego Miłości do Lili.

– Ciekawe, jak by to brzmiało po łacinie – zażartowała Lili, próbując się uśmiechnąć. – Zauważyłaś, że od kilku tygodni właściwie się do mnie nie odzywa?

– Do mnie też. – Delphine z żalem wzruszyła ramionami. – Wynajduje tysiące wymówek, byle tylko nie pracować blisko nas. I przez większość czasu jest taki ponury. Zapytałam go, jak tam szkoła medyczna. Powiedział, że nie chce o tym rozmawiać. Nie chce o tym rozmawiać? Miesiąc temu nie mówił o niczym innym!

Powóz zajechał przed Jardin du Roi.

– Jesteśmy na miejscu. – Lili zdziwiła się, jak smutno zabrzmiał jej głos. W oddali, po lewej majaczyły budynki szklarni i po raz pierwszy dziewczyna miała ochotę powiedzieć woźnicy, żeby zawrócił i zabrał ją do domu. Pragnienie było tak niespodziewane, niewytłumaczalne i silne, że zrobiło się jej ciężko na duszy. Wiedziała, że coś gnębi Jeana-Étienne'a, i czuła się

okropnie, nie znając powodu.

Weszły do laboratorium i zastały tam hrabiego pochylonego nad mikroskopem. Pracował sam.

– Chciałybyśmy rzucić okiem na labirynt – wyjaśniła Lili, rozglądając się jednocześnie za Jeanem-Étienne'em. Bez skutku. – Przyszłyśmy się tylko przywitać. Damy sobie radę, wiemy, że jest pan zajęty.

Hrabia miał zaczerwienione oczy i wydawało się, że towarzystwo go nie cieszy, ale dziewczęta już się przyzwyczaiły, że zawsze sprawia takie wrażenie, kiedy ktoś odrywa go od pracy, w której jest pogrążony.

– Proszę, zostańcie na chwilę. Mój bratanek opowiedział mi o nowej substancji, której używają w szpitalu, aby zapobiegać zakażeniom. Przyniósł jej trochę, żebym mógł poeksperymentować. Nazywa się etanol, daje niezwykłe wyniki. – Hrabia wskazał Lili krzesło. – Usiądź, proszę. Coś ci pokażę.

Wziął czyste szkiełko i naniósł na nie kroplę wody. „Dziwne – pomyślała Lili. – Nigdy nie widziałam, żeby mu się trzęsła ręka". – Spojrzała przez mikroskop, pod którym kłębiło się około tuzina maleńkich organizmów, jakie już niejednokrotnie miała okazję oglądać.

– A teraz patrz – powiedział hrabia.

Kiedy przyłożył do szkiełka zakraplacz i umieścił na nim jeszcze jedną kroplę, wszystko zamarło.

– Co pan zrobił? – zapytała Lili.

– To dość zdumiewające – odparł hrabia. – Wydaje się, że substancja, która wzmacnia nasze zdrowie, kiedy nanosimy ją na skórę, zabija też w sekundę organizmy takie jak te, nawet jeśli bardzo ją rozcieńczyłem. Etanol jest alkoholem otrzymywanym w procesie destylacji, a wszak odrobina brandy stanowi najlepsze lekarstwo na większość chorób. Dlaczego więc zabija te organizmy?

– Nie wiem – przyznała Lili, przestając na chwilę rozmyślać o tym, jak hrabia jest roztrzęsiony. – Może to wynika z natury ich zewnętrznej powłoki? Alkohol jest żrący. Może je spala albo rozpuszcza jakąś substancję, bez której nie mogą żyć?

– Myślałem raczej, że chodzi o zapach, a nie o smak. Skoro nie mają płuc, być może pochłaniają go całą zewnętrzną powierzchnią ciała i giną – tak jak ci biedacy, o których słyszy się czasem, że zapili się na śmierć.

Pragnąc zwrócić na siebie uwagę hrabiego, Delphine delikatnie dotknęła jego ramienia.

– W czasie gdy będziecie pracować, może ja poszukam Jeana-Étienne'a? Jest w ogrodzie?

– Nie – odpowiedział Buffon, tak gwałtownie wstając od biurka, że niemal się przewrócił, gdy jego krzesło zahaczyło o nierówność w podłodze. – Pojechał do Doliny Loary. Coś dziwnego dzieje się z tamtejszą pszenicą. – Hrabia odchrząknął. – Przepraszam, zdaje się, że tracę głos. Jean-Étienne przywiezie próbki, zamierzamy je zbadać.

– Monsieur de Buffon? – Lili spojrzała na hrabiego, zatrwożona jego nerwowym, przyspieszonym *staccato*. – Dobrze się pan czuje?

Mężczyzna wciągnął głęboko powietrze i westchnął.

– Niestety, wcale nie czuję się dobrze. Kiedy pokazywałem panienkom doświadczenie z etanolem, usiłowałem wymyślić sposób, jak najlepiej przekazać wam pewną informację. Ale chyba nie ma na to dobrego sposobu.

– O co chodzi? – zapytała Lili. – „Czy jest umierający? Czy Jean-Étienne..." – zaniepokoiła się.

Buffon wziął do ręki list leżący na biurku.

– Jean-Étienne wyjechał także po to, by ogłosić swoje zaręczyny. Prosił mnie, abym przekazał ci ten list. Zamierzałem dać ci go w środę, ale skoro jesteś...

– Zaręczyny? – Lili czuła, że pęka jej serce. Wyciągnęła rękę, by zabrać list z dłoni hrabiego, ale straciła czucie w palcach i papier spadł na podłogę. Nikt się nie ruszył, by go podnieść.

– Zdaje się, że mówił, iż nazywa się Francine – powiedział hrabia. – Francine Thibaudet. To córka człowieka, który ma tę chorą pszenicę. Przykro mi to mówić, ale nigdy w życiu nie widziałem chyba osoby, którą tak mało cieszy coś, co winno być wszak radosnym wydarzeniem. I zawsze myślałem, że tak doskonale do siebie pasujecie, miałem nadzieję, że... – Buffon zamilkł i zaczął trzeć oczy. – Wybacz, odkąd się dowiedziałem, nie mogę dojść do siebie.

Lili oparła dłoń na klatce piersiowej Delphine. Jej ciałem wstrząsał płacz, którego nie umiała powstrzymać.

– Jean-Étienne pochodzi ze zubożałej części naszej rodziny – kontynuował hrabia – a Thibaudetowie zbili wielką fortunę na spekulacjach importowanym zbożem w czasach kryzysu. Kupili sobie tytuł, więc Thibaudet jest markizem czegoś tam – nie mogę

sobie przypomnieć czego. No i chce wżenić córkę w *noblesse d'épée*, a Jeanowi-Étienne'owi z pewnością przydałby się posag tej dziewczyny.

– Jakie praktyczne podejście. – Ton Delphine był tak ostry, że mogłaby ciąć nim powietrze. Podniosła list i objęła Lili ramieniem.

– Otóż to – przytaknął Buffon. – I jakie przykre. Przynajmniej jeśli chodzi o mojego bratanka. Rodzina Thibaudet zajęła twarde stanowisko – Jean-Étienne musi zrezygnować ze studiów medycznych. Nie życzą sobie, aby ryzykował pozycję społeczną dla sprawy tak niestosownej jak kariera.

– Ale on kocha swoje studia, dlatego to robi! – Lili wyrwała się z objęć Delphine i podeszła do hrabiego Buffona. – Co w tym złego?

– Jej rodzinę to drażni. Jego również. A przecież Jean-Étienne tak doskonale odnajduje się w świecie medycyny! Wydawało się, że nic nie jest w stanie go powstrzymać, prawda? Wyznał mi, że rodzina narzeczonej zażądała, aby podpisał dokument, w którym złoży przysięgę, że zaprzestanie edukacji po ukończeniu tego roku. Odkładają ślub, by nie mógł się wycofać z danego słowa.

– Biedny Jean-Étienne – szepnęła Delphine.

„To gorsze niż śmierć: wiedzieć, że nie można robić czegoś, co się kocha" – pomyślała Lili. Bardziej litościwe wydało jej się, gdyby zmusili go do skoczenia z klifu.

– Jaka strata – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem, ale hrabia zareagował:

– Dla niego największa, oczywiście, ale muszę przyznać, że dla mnie także, ponieważ obawiam się, że nie będzie już mógł tu przychodzić. – Hrabia kiwnięciem głowy wskazał na drzwi, zachęcając dziewczęta do wyjścia na spacer. – I dla ciebie także, moja droga. Widzę, iż miałem rację, sądząc, że Jean-Étienne nie jest ci obojętny.

Spojrzał na Lili z czułością.

– Jestem już stary. Wiele już widziałem w życiu, ale prawdę mówiąc, nie widziałem jeszcze, aby ktokolwiek zagasił taki jasny płomień.

Hrabia przyłożył dłoń do kącika oka, aby zetrzeć łzę, zanim zdążyła spaść.

– To wielka przykrość – jego głos znów się załamał. – Wielka przykrość dla nas wszystkich.

Gdy Lili i Delphine opuszczały szklarnię, słońce chyliło się ku zachodowi. W parnym powietrzu słychać było świerszcze cykające w duecie z nisko brzęczącymi pszczołami; świat atakował wręcz mnogością kolorów, dźwięków i zapachów, obudzony do życia po długiej zimie. Jednak Lili nie zwracała na nic uwagi. „Czy ktokolwiek w całej Francji jest prawdziwie szczęśliwy? – zastanawiała się dziewczyna. – Czy istnieją ludzie, którzy dostają to, czego pragną?". Delphine nie dostała, Ambroise też nie, ani Jean-Étienne, ani Buffon. A już na pewno nie ona.

Droga i szanowna mademoiselle du Châtelet,

ufam, że mój wuj przedstawił Ci już kwestię moich zaręczyn. Powodem, dla którego nie poruszyłem jej sam podczas naszego ostatniego spotkania, jest po części potworny brak odwagi. Proszę jednak, abyś uwierzyła, że chciałem uniknąć długotrwałych konsekwencji przykrego rozstania.

Moje małżeństwo z mademoiselle Thibaudet było przedmiotem dyskusji w obu naszych rodzinach już od jakiegoś czasu. Choć nie wyraziłem na nie zgody, z czasem zrozumiałem, że go nie uniknę. Mademoiselle Thibaudet jest pod wieloma względami wartościową osobą, a jednak nie wierzę, iż znajdę z nią płaszczyznę porozumienia wynikającą z podobieństwa dusz. Takie marzenie w ogóle uznałem za niemożliwe do spełnienia, uznając, że nie odkryję żony, która dzieliłaby moje zainteresowania i poglądy. W ostatnich miesiącach przekonałem się, że byłem w błędzie, i utwierdziłem się w przeświadczeniu, że powinienem odroczyć oświadczyny. Jestem jednak zmuszony przedłożyć obowiązki rodzinne nad aspiracje, które przyniosłyby więcej szczęścia mnie jako jednostce.

Ośmielam się myśleć, że wyznanie Ci, co czuję, mogłoby obudzić w Tobie uczucia do mnie. Postąpiłbym jednak bezdusznie, skoro wiemy, że nie dysponuję wolną wolą, choć tak bardzo bym tego chciał. Z tego też powodu nigdy swych uczuć nie wyjawiłem; nie mogę też, oczywiście, zrobić tego nawet w tym liście. Jedynym pocieszeniem jest dla mnie spokój ducha. Wynika on ze świadomości, że nie pozwoliłem, abyś obdarzając mnie uczuciem, naraziła na szwank swoje dobre imię, co mogłoby mieć miejsce, gdybym swym niedżentelmeńskim zachowaniem lub słowami zachęcał Cię do tego.

Poprzez szacunek do mademoiselle Thibaudet nie będę już do

Ciebie pisał. Wkrótce wyjeżdżam z hrabią de Bougainville w pierwszą część jego podróży dookoła świata. Zamierzam dotrzeć z nim aż do Falklandów, a potem powrócić do Paryża i wziąć ślub jeszcze w tym roku.

Z wyrazami najwyższego szacunku,
Twój szczerze oddany przyjaciel,
Jean-Étienne Leclerc

Kiedy powóz przejeżdżał nad Sekwaną, kierując się w stronę Place Royale, Lili wręczyła list Delphine.

– Czytałam go już trzy razy – oznajmiła – i nadal nie wiem, co myśleć.

Podczas lektury listu Delphine raz po raz pociągała nosem i przecierała oczy.

– On cię kocha. Oto, co powinnaś myśleć. Miesiącami płakałam za Ambroise'em, a nawet nie wiem, czy mu na mnie zależy! – Delphine się zamyśliła. – Ale gdyby napisał do mnie taki list...

– Gdyby napisał do ciebie taki list, to wyłącznie w celu zawiadomienia cię, iż zamierza poślubić Anne-Mathilde – rzuciła Lili. – To rzeczywiście poprawiłoby sytuację!

– Zapewne masz rację. Nie podoba mi się ta Francine. Nieważne, że jej nie znam.

Lili uśmiechnęła się smutno.

– Nie wyobrażam sobie bardziej lojalnej siostry niż ty. Ale jeśli kiedyś poznasz Francine, spróbuj ją polubić. Przecież nic nie zawiniła. A jeśli cierpi z powodu tego małżeństwa podobnie jak on?

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, uważam, że Jean-Étienne jedzie do Ameryki Południowej, żeby odroczyć ślub tak długo, jak tylko się da.

– Być może, ale właściwie jaka różnica, czy ożeni się z nią teraz czy później?

Lili zamyśliła się i wyjaśniła po chwili:

– To nie tak, że go kochałam. Powiedzmy to sobie uczciwie.

– Nienawidzę świata – wyszeptała Delphine. Lili nie zareagowała na te słowa, pochłonięta powtarzaniem w duchu prostej myśli: „Przyjaźń. Nie miłość. Łączyła nas przyjaźń. Nie miłość".

Gdy mijały Place Royale, zauważyły powóz jadący ulicą des

Tournelles od strony Hôtel Bercy.

– Ciekawe, kto to – mruknęła Lili takim tonem, jakby wcale nie dbała o odpowiedź.

– Nie wiem. – Delphine obejrzała się za znikającym pojazdem, bez zainteresowania śledząc go wzrokiem. Wzruszyła ramionami. – Pewnie *maman* przyjmowała jakiegoś nowego gościa.

Kiedy weszły do domu, przywitał je kamerdyner.

– Madame natychmiast chce się z panienkami zobaczyć – oświadczył, pomagając dziewczętom zdjąć lekkie pelerynki. – Czeka w salonie.

Lili i Delphine spojrzały na siebie. Najwyraźniej powozem, który przed chwilą widziały, jechał ktoś znacznie ciekawszy, niż im się wydawało.

– *Mes chéries*! Mam dla was nadzwyczajne wieści! – Julie wstała z szezlongu i podeszła do dziewcząt. – Spójrzcie tylko! – W wyciągniętej dłoni trzymała egzemplarz „Gazette d'Amsterdam" otwarty na środkowej stronie. – „*Przygody Świergotki*" – przeczytała, pokazując palcem górę strony.

Lili chwyciła gazetę i zaczęła czytać na głos: „To pierwsza z serii historii napisanych przez M. Tellechata, przebywającego obecnie w Belgii, przedstawiających przygody dwóch młodych podróżników i ich magicznego konia". Wszystkie myśli o Jeanie-Étiennie uleciały, gdy Lili przesuwała palcami po papierze, na którym wydrukowano opowiadanie.

Delphine podskoczyła z podniecenia.

– Lili, jesteś publikującą pisarką! – Przycisnęła dłonie do twarzy. Spomiędzy palców widać było tylko jej oczy, szeroko otwarte z niedowierzania. – Ale skąd „przebywający obecnie w Belgii", *maman*? – Spojrzała jeszcze raz na gazetę i stuknęła palcem w miejsce, gdzie wydrukowano literę M. – I dlaczego monsieur Tellechat? – Popatrzyła na Lili i wybuchła gromkim śmiechem. – Czy jako sławny pisarz będziesz nosiła bryczesy i żabot?

– Monsieur Diderot musiał tak zrobić, żeby chronić Lili – wyjaśniła Julie.

– Jaka szkoda! – Delphine nie kryła rozczarowania. – Chciałabym pochwalić się wszystkim, jak mądra i sławna jest Lili.

– Nie wolno ci nikomu powiedzieć – nalegała *maman*. – To niebezpieczne. Gdyby ludzie uważani za wpływowych w Paryżu

dowiedzieli się, co Lili o nich pisze... – Nie musiała kończyć zdania. Wszyscy wiedzieli, jak łatwo było wylądować w Bastylii, choć ani *maman*, ani dziewczęta nie umiały wyobrazić sobie Lili w więzieniu.

– Czy to powóz monsieur Diderota widziałyśmy, wracając do domu? – zapytała Delphine.

– Nie, on odwiedził mnie wcześniej. Ale mam dla was więcej dobrych wiadomości – zapewniła Julie. Zwróciła się do Lili: – Odłóż, proszę, tę gazetę, bo to, co mam do powiedzenia, ciebie też na pewno żywo zainteresuje.

Poleciła gestem, aby usiadły, a gdy to zrobiły, uśmiechnęła się całą sobą i patrząc na Delphine, powiedziała:

– Ten powóz, *ma petite*, należał do hrabiny d'Étoges, matki Ambroise'a Clémenta de Feuilleta.

Delphine wydała z siebie lekki okrzyk i przykryła usta dłonią.

– Po co przyjechała?

– Och, po nic takiego – odparła Julie, siadając na krześle naprzeciwko dziewcząt i z udawaną niedbałością poprawiając fałdy sukni. – Chciała tylko upewnić się, czy dotarły do mnie wieści o zaręczynach Anne-Mathilde de Praslin z hrabią de Beaufort.

– Hrabią Zgniłe Zęby? – parsknęła śmiechem Lili. – Tym od synka Gas-tona?

Zdumiona Julie patrzyła, jak dziewczęta śmieją się do rozpuku i ocierają łzy rozbawienia.

– Później ci wytłumaczymy, *maman* – obiecała Lili.

Julie zrobiła minę wyrażającą jednocześnie wesołość i dezaprobatę.

– Właśnie z powodu wizyty hrabiny nie mogłam pójść z wami pomodlić się do świętej Anny. Kilka dni temu napisała, że pragnie się ze mną zapoznać, gdyż jej syn najwyraźniej żywi względem ciebie niezłomne uczucia. Pomyślałam, że lepiej, jeśli to ja się z nią pierwsza spotkam i porozmawiam, a dopiero potem powiem tobie.

– *Mon Dieu* – zdołała wykrztusić Delphine. Dziewczyna przez kilka sekund stała jak skamieniała, a po chwili zaczęła się cała trząść z wrażenia. Lili nie traciła jednak ani chwili – „Gazette d'Amsterdam" upadła na podłogę, gdy Lili zerwała się, aby objąć siostrę. Po chwili obydwie wylewały łzy szczęścia, mocząc sobie nawzajem rękawy sukni.

ZAPADŁA NOC. Wyczerpana *maman* i nieposiadająca się z radości Delphine poszły już dawno spać. W salonie została tylko Lili. Wzięła do ręki „Gazette d'Amsterdam" i zaczęła czytać:

– „Złote kopuły Kijowa zalśniły w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, gdy Świergotka i Tom posadzili Comète na trawiastym brzegu Dniepru przecinającego miasto.

– Spójrz na te wszystkie cerkwie! – wykrzyknął Tom. – Ludzie muszą tu być bardzo religijni".

Kiedy skończyła, odłożyła gazetę. Nagle ogarnęło ją obezwładniające zmęczenie. Przetarła oczy. Tego popołudnia Delphine godzinami zastanawiała się, jak ma wyglądać jej herb – powinien dobrze prezentować się zarówno odbity na wosku pieczęcią do listów, jak i na ramie portretu, który powiesi w swoim salonie w Château d'Étoges. Na próżno Julie przypominała córce, że zainteresowanie to jedno, a zaręczyny to coś zupełnie innego. Wcale nie było pewne, czy posag Delphine okaże się wystarczający dla rodziny Clément de Feuillet. Również pozycja społeczna Delphine nie stanowiła zbyt kuszącej propozycji.

– Istnieje ryzyko, że nic z tego nie wyjdzie – przypomniała Julie. – Pamiętaj, że hrabina d'Étoges nie podała żadnych szczegółów.

– Ambroise postawił na swoim. Dał jasno do zrozumienia, że nie zależy mu na Anne-Mathilde, prawda? Potrafi równie stanowczo oświadczyć, że zależy mu na mnie.

Prawdopodobnie radość Delphine przyćmiła wszystkie inne uczucia pozostałych domowników, bo – wziąwszy pod uwagę, jak długo czekała na publikację swego pierwszego opowiadania – Lili czuła zadziwiającą pustkę w sercu. Wizyta hrabiny w Hôtel de Bercy wywołała u Delphine entuzjazm tak wielki, że niemal całkowicie przysłonił on sprawę listu i zaręczyn Jeana-Étienne'a. Lili nie pocieszała nawet myśl, że Diderot zaplanował wydrukowanie jeszcze trzech jej opowiadań w najbliższych wydaniach.

Straciła Jeana-Étienne'a, nie poznawszy smaku nawet jednego pocałunku. „I ciągle nie wiem, jak to jest pójść na spacer po ogrodzie z mężczyzną, którego kocham – myślała. – A byłam tak blisko". Czy uczucie, które do niego żywiła albo mogłaby żywić, to właśnie miłość? Trzeba jednak z tym walczyć. Po wydarzeniach dzisiejszego dnia musiała przeciwstawić się mu jeszcze bardziej

stanowczo.

Teraz, kiedy opowiadanie pojawiło się w druku, łudziła się nadzieją, że pomoże jej uniknąć losu, który – wydawało się – był przeznaczony i jej, i Jeanowi-Étienne'owi: poślubienia kogoś, kogo się nie kocha. De Barras mógłby nie dać jej papieru albo dopilnować, aby nie miała świeżego atramentu, stary by wysechł i nie mogłaby pisać. Lili wiedziała, że mężowie potrafią posunąć się do podobnych czynów. A Barras wyglądał na człowieka, który nie zawahałby się przed takim postępowaniem, jeśli to uczyniłoby z niej dobrą żonę. „W tym mężczyźnie nie ma ani krzty wyobraźni czy współczucia – stwierdziła *maman* tego wieczoru. – Jeśli o mnie chodzi, to nie wyjdziesz za niego za mąż, jeżeli nie będziesz sama tego chciała. I dołożę wszelkich starań, żeby nikt nie wmówił ci, że tego pragniesz".

Tak jak przewidziała Delphine, Ambroise postawił na swoim. „Jednakże musiał na czymś to »swoje« postawić" – Lili przyszło do głowy, że chyba on jeden wykazał się taką stanowczością. Jean-Étienne zapewniał, że nie mógł odmówić, a ze słów hrabiego Buffona Lili wywnioskowała, że była to decyzja honorowa i odpowiednia do sytuacji. Zresztą, jakie argumenty miała ona przeciwko zdaniu baronowej Lomont i Roberta de Barrasa? Kilka opowiadań wydrukowanych przez gazetę? Jakże była głupia, sądząc, że to pomoże!

Czy błogo śpiąca Delphine rozumiała, że jeśli furtka do jej marzeń się zamknie, za żadne skarby świata nie da się jej otworzyć ponownie? Lili się wzdrygnęła. Postanowiła iść spać, zgasiła więc lampę. Nie mogła się jednak uspokoić.

– Życie Delphine ułoży się tak, jak sobie wymarzyła. I moje także – mruknęła do siebie zdecydowanym tonem. Gdyby tylko myśli dały jej wystarczająco dużo siły, aby zgodnie z tym postanowieniem mogła przejść przez życie! I gdyby tylko jej głos w ciemności nie brzmiał tak słabo i niepewnie...

„Przynajmniej mamy *maman*" – pocieszyła się Lili. Siła i wola *maman* zdawały się prowadzić przez życie i Delphine, i Lili, i samą Julie.

W CIĄGU KILKU GODZIN po wizycie swej matki Ambroise Clément de Feuillet osobiście napisał do Julie z zapytaniem, czy zechciałaby zaprosić go do swojego salonu. Dopytywał także, czy Delphine mogłaby być obecna podczas tych odwiedzin. Delphine,

która rzadko brała udział w przyjmowaniu gości, czuła się niemal chora ze zdenerwowania.

– Nie jestem tak inteligentna jak Lili – narzekała podczas kolacji. – A jeśli on zobaczy, że mam pusto w głowie?

– To będzie musiał popatrzeć na kogoś innego – odparowała Julie. – A ty sama się zdziwisz, jak wydasz się inteligentna, jeśli tylko postarasz się uważnie słuchać. Zadbam o to, żeby był też z nami hrabia de Buffon – dodała po chwili. – Na pewno wiele zyskasz w oczach innych, gdy przekonają się, jak bardzo cię lubi. – Mówiąc te słowa, Julie pochyliła się w stronę córki. – Z pewnością pochwali twoje rysunki, powinnaś więc mieć kilka pod ręką, żebyśmy mogli je wspólnie zobaczyć. Zostaw też parę w bibliotece, by podziwiać je razem z Ambroise'em, jeśli tylko uda mu się przezwyciężyć twoją skromność i uzyskać zgodę na ich obejrzenie.

Lili parsknęła śmiechem, ale Delphine była tak zestresowana, że jej usta nawet nie drgnęły.

– A może zaśpiewamy coś wspólnie, a Delphine będzie nam akompaniowała? – zaproponowała Lili. – Może jakiś utwór monsieur Philidora? Na pewno się pojawi i sprawimy mu tym wielką przyjemność, jak myślicie?

– Doskonały pomysł! – Delphine aż klasnęła. – Jeśli będę miała jakieś zadanie, moja obecność nie wyda się taka... – szukała odpowiedniego słowa – nie wyda się tym, czym w rzeczywistości jest. I Lili ma rację – monsieur Philidor pomyśli, że robię to, aby okazać mu swój podziw.

Julie zachichotała.

– Myślę, że będzie to przyjemność dla wszystkich. Wybierzmy coś odpowiedniego na tę okazję – zaproponowała i dziewczęta przeszły za nią do salonu, gdzie Julie otworzyła szafkę i wyjęła nuty. Jedną kartkę odłożyła na samo dno i wzięła następną. – To jest śliczne. Zanuciła pierwsze takty melodii.

– A co z tym na spodzie? – zapytała Lili, dodatkowo zaintrygowana faktem, że *maman* najwyraźniej próbowała ukryć przed nimi jakiś utwór.

– O nie, ten nie. On się nie nadaje. – Julie poczerwieniała.

– Och! – pisnęła Delphine, usiłując wyrwać kartkę z dłoni matki. – Czyżby był zbyt intymny?

– Cóż, jeśli już musicie wiedzieć. – Julie poczuła, że przegrywa walkę. – Utwór ten monsieur Philidor napisał dla mnie i jest on...

jakby to ująć... zbyt płomienny na występ w naszym salonie.

Julie westchnęła z rezygnacją i wręczyła nuty Delphine.

– „Kim jest Julie?" – zaczęła Delphine. – „Kwiatem w zimie, chłodną bryzą w lecie, wszystkim tym, co miłe sercu jest". – Spojrzała na matkę. – No, no!

– Myślę, że wystarczy. – Julie wyciągnęła rękę po nuty, a jej mina wskazywała, że niespodziewane czytanie tekstu piosenki dobiegło końca.

– Dobrze. – Delphine nie protestowała. – Ale to nieładnie, że nic nam wcześniej nie powiedziałaś.

– O czym?

– Że masz wielbiciela – odparła Delphine i zwracając się do Lili, zapytała: – Domyśliłabyś się, Lili?

Zanim Lili zdążyła coś odpowiedzieć, Julie uniosła rękę.

– Ucisz się albo nie pozwolę ci nic zagrać. A Lili zapyta cię o poglądy na politykę. Prawda, Lili? – Julie mrugnęła porozumiewawczo do dziewczyny. – Może jakieś trudne pytania w obecności Ambroise'a?

– Dlaczego miałabym pytać o takie rzeczy, kiedy dużo ciekawiej byłoby teraz posłuchać o monsieur Philidorze? – Lili z łobuzerskim błyskiem w oku drażniła się z *maman*, jednak spojrzenie Julie świadczyło o tym, że temat jest zamknięty.

KIEDY PODCZAS SPOTKANIA w salonie Ambroise pochwalił rysunki Delphine, dziewczyna nie czekała długo, aby zaproponować mu pozowanie do portretu.

– Może narysujesz Ambroise' a w ogrodzie Place Royale? – zasugerowała *maman* po przybyciu młodzieńca. – Pogoda jest idealna, abyście ty i Lili zażyły trochę świeżego powietrza. Będziemy wdzięczne, jeśli dotrzymasz dziewczętom towarzystwa – powiedziała, zwracając się do Ambroise'a. – W przeciwnym razie nie mogłyby pójść tam same.

Było to pierwsze z całej serii popołudniowych spotkań, które spędzali na zewnątrz, korzystając z przyjemnej pogody, dopóki upał nie zmusił ich do powrotu do środka. Kiedy Ambroise przyjeżdżał z wizytą, służba ustawiała krzesła pod drzewami otaczającymi pomnik Ludwika XIV, stojący pośrodku placu. Lili przynosiła ze sobą papier do pisania albo książkę, a Ambroise i Delphine oddawali się plotkowaniu, podczas gdy Delphine rysowała. Za każdym razem Ambroise miał jakieś nowe wieści

dotyczące ich wspólnych znajomych. Anne-Mathilde była przy nadziei. Paul-Vincent kończył szkołę wojskową i wkrótce miał wstąpić do pułku. Joséphine urodziła dziecko, które jednak niedługo potem zmarło.

– A co z Jakiem-Marsem Courville'em? – zapytała Delphine obojętnym tonem, który zaskoczył Lili.

– Słyszałem, że Jacques-Mars ma zostać królewskim ambasadorem – zauważył Ambroise. – Podobno oddelegują go do Wenecji.

– Ambasadorem? – Lili podniosła wzrok znad książki. – Nie wróży to nic dobrego.

– Też tak sądzę – zgodził się Ambroise. – O ile wiem, chodzi o to, aby trzymać go z dala od kobiet w Wersalu. Maria Leszczyńska zdecydowanie nie darzy go sympatią.

Ambroise spojrzał w dal i się zamyślił. Czyżby wspominał Anne-Mathilde i jej przyjaźń z Jakiem-Marsem? Lili tak podejrzewała, ale jeśli nawet słusznie, Ambroise jako dżentelmen nigdy nie powiedziałby złego słowa o kobiecie, z którą miał się ożenić.

– Wenecja zapewne mu odpowiada – kontynuował. – Wiele rzeczy ujdzie mu na sucho, jeśli tamtejszym zwyczajem będzie nosił maskę.

– Wenecja na tym skorzysta – prychnęła Delphine i pokręciła głową, chcąc mieć pewność, że Ambroise wyczuł jej ironiczny ton.

– Pojedzie tam oczywiście ze starszym ambasadorem, żeby zdobyć doświadczenie. Jeśli nie zostanie przyłapany w łóżku z cudzą żoną, zapewne zrobi tam karierę.

Wzrok Ambroise'a znów stał się nieobecny.

– Muszę przyznać, że mało jest osób, których nie lubię tak bardzo jak jego. Może dlatego, że jest za młody, by być taki... sam nie wiem. – Ambroise podniósł wzrok i spojrzał na obie panny. – Chyba za dużo powiedziałem. Mam nadzieję, że moje słowa pań nie zdenerwowały.

– Ależ skąd – pospiesznie zapewniła Delphine, rzucając Lili szybkie, triumfalne spojrzenie. – My także nigdy go nie lubiłyśmy, prawda?

– Nie – zapewniła Lili. – Przyznaję, że nie.

Dotknęła placem ucha, ale tym razem w geście zwycięstwa, a nie na sygnał oznaczający kłamstwo.

PEWNEGO DUSZNEGO POPOŁUDNIA kilka miesięcy później Delphine i Lili stały w oknie jednego z pokojów na górze i obserwowały dwa powozy stojące na podjeździe. W kałużach utworzonych przez niedawny deszcz odbijało się teraz słońce, które przed chwilą wyjrzało zza chmur. Dziewczęta czekały, aż z domu wyjdą goście.

– To prawnik *maman* – powiedziała Lili. – A tam ojciec Ambroise'a i ich prawnik.

Delphine wtuliła twarz w ramię Lili.

– Boję się nawet spojrzeć. Czy zachowują się przyjaźnie?

– Nad wyraz – odparła Lili, obserwując, jak mężczyźni się śmieją, zapewne z żartu któregoś z nich. – Wsiadają do powozów.

Delphine była blada. Spojrzała na Lili.

– Myślisz, że powinnyśmy zejść na dół czy poczekać?

Zanim jednak Lili odpowiedziała, usłyszały na schodach znajome kroki i do pokoju weszła Julie. W ręku trzymała kartkę papieru.

– To już oficjalnie potwierdzone, *ma petite* – zwróciła się do Delphine. – Nasze rodziny ustaliły odpowiadające wszystkim warunki. Jesienią, tuż przed rozpoczęciem adwentu, odbędzie się ślub twój i Ambroise'a.

– O, *maman*! – zawołała Delphine, rzucając się w ramiona matki. – *Merci mille fois. Merci. Merci*.

– DLACZEGO SIĘ TU ZATRZYMAŁYŚMY? – zapytała Lili, kiedy tydzień później powóz, którym jechały do Jardin du Roi, stanął przed sklepem przy ulicy Saint-Antoine.

– Poczekaj – poprosiła Delphine. – Zamówiłam dla *maman* prezent, muszę go odebrać.

Lili została w powozie, podczas gdy Delphine weszła do Lacroix et Fils. Po kilku minutach wróciła ze sklepu, niosąc podłużne pudełko owinięte w błyszczący jedwab. Kiedy usiadła obok siostry, otworzyła pakunek i oczom Lili ukazały się dwie pary rękawiczek z miękkiej koźlej skórki – jedna czarna, a druga w kolorze ciemnego różu, jednego z ulubionych kolorów *maman*.

– Wiesz dlaczego, prawda? – zapytała Delphine.

Twarz Lili rozjaśnił uśmiech, kiedy sobie przypomniała.

– Twój zakład z *maman* – powiedziała.

– Założyła się ze mną o rękawiczki, że będę wolała iść do Jardin du Roi, niż dostać dwie nowe pary.

W oczach Delphine pojawiły się łzy.

– Miała rację. Każda minuta tam spędzona była niezwykła. Pomyślałam, że zmodyfikuję nieco nasz zakład i w ten sposób podziękuję *maman* za jej wiarę w tę lepszą Delphine.

Lili uśmiechnęła się, wspominając:

– W tym zakładzie trzymałam stronę *maman*. W Jardin du Roi tak łatwo czuć się szczęśliwą.

Gdy powóz ruszył w dalszą drogę, Lili odezwała się znowu:

– Wydaje mi się jednak, że już nie znajdziesz czasu, by tam przychodzić. Jesienią zajmą cię inne sprawy, a potem...

– A potem wyjdę za mąż – dokończyła Delphine. – Uwielbiam wymawiać te słowa. Ciągle nie wierzę, że to prawda. Jeszcze kilka miesięcy temu byłam w takiej rozpaczy!

Powóz znajdował się teraz na Pont Marie. Sklepy wybudowane po obydwu jego stronach sprawiały, że droga stawała się tu bardzo wąska i zacieniona, Delphine pochyliła się więc do przodu, aby lepiej widzieć Lili.

– Dobrze się czujesz? – zapytała. – Wiesz, pytam o Jeana-Étienne'a.

– Zrobił to, co do niego należało. Zachowałabym się niewłaściwie, gdybym miała nadzieję, że postąpi mniej... odpowiedzialnie. – Lili miała ściśnięte gardło; nie mówiła tego, co myślała, tylko to, co chciała myśleć, i słyszała fałsz w swoim głosie.

– Nie powinnaś się poddawać. Popatrz na mnie. – Delphine wyciągnęła rękę i położyła dłoń na jej dłoni. – Jeszcze nie jest za późno. Jean-Étienne ma wciąż kilka miesięcy, aby odzyskać rozum.

Lili oparła plecy na siedzeniu. „Spróbuj nie dbać o to. Spróbuj...".

Delphine zmrużyła oczy w dwie wąskie szparki.

– Albo raczej ja mam kilka miesięcy, by odnaleźć ową Francine i przekonać ją, że Jean-Étienne to dla niej nieodpowiednia partia.

– Nie zrobiłabyś czegoś takiego! – Lili wyprostowała się zaniepokojona. Zjechały właśnie z mostu na nieco wyboiste nabrzeże Sekwany. „A może jednak?".

– Jak myślisz, co bym czuła, gdyby Ambroise wybrał się na ekspedycję w poszukiwaniu jakichś robaków, liści czy czegoś podobnego? Może udałoby mi się sprawić, żeby poczuła do niego pogardę z tego powodu. Ciekawe, gdzie ona mieszka...

Powóz zatrzymał się przy bramie Jardin du Roi. Przez okno Lili zobaczyła zrozpaczonego hrabiego Buffona czekającego na nie z listem w dłoni.

– Kurier przywiózł wiadomość od twojej matki – zwrócił się do Delphine, podając jej list przez otwarte już drzwi powozu.

Delphine przeczytała go cicho i przekazała kartkę Lili.

„Mój drogi Buffonie – pisała Julie. – Przekaż, proszę, moim dziewczynkom, żeby pod żadnym pozorem nie wracały dziś na noc do Hôtel Bercy. W nocy pomywaczka zachorowała na cholerę, a dziś rano kucharka też miała objawy choroby. Dowiedziałam się o tym kilka minut po wyjeździe dziewcząt. Wysłałam już list do baronowej Lomont z prośbą, aby przyjęła je pod swój dach na dzień lub dwa do czasu, kiedy poznamy powagę sytuacji. Przekaż im także, że napiszę do nich później na adres baronowej. Będę Ci niezmiernie wdzięczna. Julie de Bercy".

Buffon poprosił woźnicę, aby poczekał, i sam wsiadł do powozu. Pojazd zakołysał się pod jego ciężarem, ale Lili i Delphine siedziały nieruchomo, oszołomione treścią listu. Mężczyzna spoczął obok Delphine i popatrzył na Lili.

– Uważam, że powinnyście udać się do domu baronowej natychmiast – powiedział. – I tak nie byłybyście w stanie na niczym się skupić.

– Na cholerę można umrzeć – wyszeptała Delphine.

– Ta choroba nie jest jeszcze dobrze poznana. – Hrabia odchrząknął i zaczął wyjaśniać: – Czasami wyludnia całe miasta, a czasami dotyka tylko pojedynczą dzielnicę lub domostwo. Czasem przynosi śmierć wszystkim, a czasem... – Hrabia przerwał, widząc przerażenie na twarzach dziewcząt. – Ważne, abyśmy dokładnie ocenili powagę sytuacji w Hôtel Bercy. Twoja matka ma absolutną rację – musicie uniknąć zarażenia.

– Ale co z *maman*? – zapytała Delphine. – Ona też powinna przyjechać do domu baronowej.

– Julie powinna się teraz skupić na czym innym – jako gospodyni powinna zadbać, żeby w waszym domu nie wybuchła panika. Musi sprowadzić lekarzy i dopilnować, by wszyscy wypełniali ich zalecenia. Jestem pewien, że wolałaby pocieszyć was osobiście, ale w tej chwili jest to niemożliwe. Poza tym, oczywiście, nie ma pewności, że ona też nie została... – Buffon urwał i otworzył drzwi powozu. – Musicie jechać, u baronowej mogą czekać na was nowe wieści.

Woźnica strzelił z bata i konie popędziły wzdłuż Sekwany przez most de la Tournelle do domu baronowej. Żadna z dziewcząt nie zauważyła, że pudełko zsunęło się z siedzenia i rękawiczki wypadły na podłogę.

LILI I DELPHINE zostały powitane w Hôtel Lomont przez lokaja.

– Pani czeka w kaplicy – powiedział. – Jest z nią ksiądz.

Kaplica była tak mała, że z ledwością mieściła się w niej ławka pod ścianą i klęcznik naprzeciwko ołtarza. Światło z dwóch świec padało na marmurową posadzkę i oświetlało obraz przedstawiający wniebowzięcie Dziewicy Maryi niesionej na chmurze przez anioły. Z piersi Lili wyrwało się ciężkie westchnienie – przez moment widziała twarz *maman* wśród niebieskich szat Maryi. „Nie – pomyślała. – Nie możesz umrzeć. Nie możesz nas zostawić. Ani teraz, ani nigdy".

Baronowa Lomont modliła się na klęczniku, a ksiądz stał przy ołtarzu. Gdy dziewczęta weszły do kaplicy, duchowny pomógł wstać baronowej. W ciemnym pomieszczeniu jej twarz zdawała się szara i spuchnięta.

– *Maman* – wykrztusiła Delphine. – Czy są o niej jakieś wieści?

– Twoja matka leży w łóżku – odparła baronowa. – Nie czuje się dobrze, ale twierdzi, że przyczyną jest wyczerpanie.

– Właśnie miałem iść wypytać służącego, czy może powiedzieć coś więcej – rzekł ksiądz – ale czekałem na was. Baronowa jest zdania, że Najświętszy Sakrament może być dla was pocieszeniem. Oczywiście, abym mógł go wam udzielić, musicie się najpierw wyspowiadać i otrzymać rozgrzeszenie.

Słowa księdza zaskoczyły Lili. „Spowiadać się? Teraz? Jak mam w ogóle próbować przypomnieć sobie grzechy w takiej chwili, gdy *maman* zachorowała na cholerę i leży w łóżku?".

Delphine skinęła głową.

– Ja bym chciała – wymamrotała.

Ksiądz skinął głową.

– Oczywiście musimy to zrobić w odosobnieniu, więc proszę iść ze mną. A mademoiselle? – Z tym pytaniem zwrócił się do Lili.

„Ksiądz jest ostatnią osobą, której powierzyłabym moje sekrety" – pomyślała ze wstrętem. Pomimo obowiązującej go tajemnicy spowiedzi ten przymilnie uśmiechający się człowiek bez wątpienia znalazłby sposób, aby opowiedzieć baronowej wszystko,

co uznałby za stosowne.

– Wolałabym zostać tutaj i pomodlić się w samotności – odparła Lili. Ksiądz uniósł brwi i spojrzał na baronową, której twarz skrywały mroki kaplicy.

– Jak mademoiselle sobie życzy – odparł i ruszył w towarzystwie Delphine w stronę salonu.

Lili usiadła na ławce i się przeżegnała. Próbowała skupić się na Bogu, jednak nie mogła powstrzymać napływających wezbranymi falami wspomnień. „Nie wycieraj łez serwetką, *ma chérie*, to doprowadziłoby baronową do wściekłości... Twoje myśli są tym, co w tobie najpiękniejsze... Czy sama obecność jakiejś książki w tych murach zmusza siostry do pastwienia się nad dzieckiem...? Potrzebujesz wspólnika, jeśli chcesz wieść życie, jakiego pragniesz, a to będzie wymagało poszukiwań godnych córki Emilie du Châtelet... Świergotka jest twoim głosem. Nie chcesz zostać wysłuchana? Ciekawi mnie, czemu nie zapytałaś, jak się dowiedziałam o tym, co się z tobą stało w klasztorze...".

– Zawsze się mną opiekowałaś – wyszeptała Lili, przypominając sobie, co wiele lat temu powiedziała *maman*, kiedy po raz ostatni opuszczały Abbaye de Panthémont.

Zebrała się w sobie, zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła żarliwie modlić się za *maman*, prosząc Boga, aby dał Julie siłę, by wyzdrowiała i mogły jak najszybciej wrócić do takiego życia, jakie wiodły do tej pory.

„W młodości wciąż modliłam się o to czy o tamto. Życie nauczyło mnie jednak, że naprawdę ważne jest tylko to, abym umiała poradzić sobie w każdej sytuacji...".

Lili zadrżała. Miała nadzieję, że nie przyjdzie jej wkrótce zastosować rady *maman* do własnego życia.

KILKA GODZIN PÓŹNIEJ przyszła wiadomość od księdza: „Madame de Bercy jest zarażona cholerą, ale na razie przechodzi chorobę łagodnie. Wieczorem poślę kolejny list".

Podczas obiadu spożywanego w grobowej atmosferze Lili i Delphine niemal nie tknęły jedzenia. Po posiłku poszły do swoich pokojów, żeby spróbować odpocząć. Powoli zapadał zmierzch, gdy baronowa wezwała dziewczęta i oznajmiła:

– Jedna ze służących zmarła. Stan madame de Bercy jest bardzo poważny.

Kaplica nie miała okien, nie były więc świadome, ile upłynęło

czasu.

– Święta Maryjo, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi, teraz i w godzinę śmierci naszej.

Odmawiały *Zdrowaś Maryjo* zgodnie z rytmem wymierzanym przez paciorki różańca przemykające między palcami baronowej. I właśnie kiedy skończyły różaniec, usłyszały kroki za drzwiami. Służący, który przyniósł baronowej list na małej srebrnej tacy, miał poważną minę.

Lili podtrzymywała drżącą Delphine, podczas gdy baronowa czytała wiadomość. Zanim przemówiła, złożyła kartkę z powrotem.

– Straciła przytomność. Był u niej ksiądz z ostatnią posługą. – Oddała kartkę Delphine. – Nie przeżyje nocy.

– Ona nie może umrzeć – wyszeptała Delphine. – Nie wyobrażam sobie świata bez niej.

KIEDY KRAWCOWE przyszły do Hôtel Lomont, aby wziąć miarę na ich suknie żałobne, Delphine i Lili były nieobecne duchem. Pozwalały, aby unoszono im ramiona albo przesuwano stopy, a same patrzyły tępo przed siebie, jakby nie chodziło o ich ciała. Ślub Delphine został przełożony, a ponieważ samotna kobieta nie mogła nadal mieszkać w Hôtel Bercy, postanowiono, że po pogrzebie uda się do Abbaye de Panthémont. W prywatnych pokojach spędzi tam całą zimę, a wiosną wyjdzie za mąż. Lili natomiast zamieszka z baronową Lomont aż do swojego ślubu.

Robert de Barras jako jeden z pierwszych przybył do Hôtel Lomont, aby złożyć im kondolencje. Mężczyzna miał zaróżowione policzki i mówił dziwnie podniesionym głosem. „Śmierć to jego żywioł” – pomyślała Lili. W głębi duszy uważała za niesprawiedliwe, że on żyje, podczas gdy piękna i energiczna *maman* już nigdy nie będzie z wdziękiem przyjmować gości w swoim salonie, nie poda płaczącej Delphine chusteczki pachnącej jej perfumami ani z uczuciem nie poklepie córek po kolanach.

Pierwszej nocy po pogrzebie Delphine obudziła Lili, wchodząc do jej łóżka w środku nocy. Mocno do siebie przytulone długo płakały i zmęczone zasnęły dopiero przed świtem.

Emilie

1737

Temperatura w kuźni była tak wysoka, że Emilie próbowała się wycofać, pociągając za sobą swego dziesięcioletniego syna.

– Nie podchodź tak blisko, mon cheri!

– Ale ja chcę patrzeć razem z tatusiem! – marudził Florent-Louis, wyrywając się matce i chwytając za rękę markiza du Châtelet. Wolter stał obok, próbując wykrzyczeć rozkazy na tyle głośno, aby było je słychać w trzasku ognia. Emilie westchnęła i sama również podeszła bliżej. Stanęła z nimi, delikatnie przytykając chusteczkę do twarzy, aby nie rozmazać makijażu. Pieprzyk, który miała przyklejony do policzka, oderwał się i pozostał na materiale. Emilie się nachmurzyła.

– Czy on nie widzi, że to nie ma sensu? – zapytała samą siebie. – Czy naprawdę można być aż tak upartym?

Akademia Nauk zorganizowała konkurs na najlepszy esej o naturze ognia. Zbliżał się sierpień, czyli termin oddania prac, i Wolter, pogrążony w amoku, próbował zważyć i obliczyć masę światła i gorącego powietrza, by udowodnić tym samym, że są one formą materii. Dlatego też kuźnia w Cirey nieustannie pracowała, gdyż bez przerwy rozpalano tam do czerwoności i studzono żelazo i ołów. Do pieca wrzucano dokładnie

odmierzone ilości drewna, aby przekonać się, czy zwiększą swą objętość, zanim zamienią się w popiół. Emilie miała tego dość. „Nonsens!" – mruczała pod nosem.

Kilka tygodni wcześniej posprzeczała się na ten temat z mężem, który jak wszyscy uważał, że ogień, dym i hałas równają się nauce i że wykrzykujący polecenia i szaleńczo machający rękami Wolter to geniusz w akcie tworzenia.

– A może podpalicie las i zmierzycie pożar? – zapytała wtedy. Ku jej ogromnemu zdziwieniu Wolter stwierdził, że to wyśmienity pomysł. Otoczeni służącymi trzymającymi wiadra z wodą w pogotowiu Wolter i markiz wywołali mały pożar lasu, aby obliczyć, jak szybko rozprzestrzeniają się płomienie. Kiedy okazało się, że Wolter nie może wyciągnąć z obserwacji sensownych wniosków, postanowili eksperyment powtórzyć.

– Następnym razem się uda. – Wolter bronił pomysłu, kiedy rozmawiali o nim przy kolacji. – Musi się udać! Przecież nie jestem tylko pisarzem.

Emilie nauczyła się akceptować takie sytuacje. W końcu Wolter był jedynym ciekawym zjawiskiem w jej życiu, nawet kiedy zachowywał się jak błazen.

– Za gorąco mi, źle się czuję – powiedziała, odwracając twarz od płomieni. – Pójdę do domu odpocząć. Wszystko opowiecie mi przy kolacji.

– *Maman*, mogę zostać? – zapytał Florent-Louis, podskakując jak piłeczka. – Proszę!

Emilie się uśmiechnęła.

– Jeśli obiecasz słuchać ojca.

– To nie jest właściwe miejsce dla kobiety – stwierdził markiz, obejmując ramieniem syna. – Do zobaczenia za kilka godzin.

– To nie jest właściwe miejsce dla człowieka nauki – rzuciła pod nosem, odwiązując konia.

Siadając w siodle, nadal mówiła do siebie:

– Jeśli eksperyment nie daje spodziewanych wyników, być może należy przyjrzeć się założeniom wyjściowym, monsieur Wolterze? Nie sądzisz, Hirondello? – Emilie pieszczotliwie poklepała klacz po szyi. Hirondella zarżała, a Emilie, śmiejąc się, delikatnie dała jej znać, że ruszają kłusem ścieżką do *château*.

Była zdolniejszym uczonym niż Wolter, ale ponieważ wiedziała, że nikt nie potraktuje jej poważnie, musiała zadowolić się przekonywaniem kochanka, aby dał sobie spokój z pomysłami,

które mogą go tylko ośmieszyć. Jak ten, że ciepło ma masę. Spaliłby wszystko, na czym spoczęły jego ręce, uzyskując wyniki tak sprzeczne ze sobą, że nigdy nie zdołałby przekonująco zaprezentować ich akademii.

Ale jak to możliwe, że ciepło nie ma masy? W kuźni coś paliło jej twarz, więc czy można powiedzieć, że coś jest niczym? Mknąc przez cętkowany cieniem las, Emilie nie zwracała na nic uwagi, zajęta rozważaniami.

Dojeżdżając na skraj lasu, zmrużyła oczy, porażona intensywnością, z jaką złote pola leżące przed nią odbijały promienie słoneczne. Nagle wydała stłumiony okrzyk zdumienia, złapała się rękami za głowę i szeroko otworzyła oczy.

– To takie oczywiste!

A potem spięła konia i popędziła dalej. Jeszcze tylko przez dwa tygodnie akademia przyjmuje eseje. Ma więc czternaście dni na napisanie własnej rozprawy i posłanie jej powozem pocztowym do Paryża.

13

1766

W obawie przed epidemią Julie de Bercy pochowano szybko w upalny letni dzień w grobie rodzinnym pod miastem. Kilka tygodni później, gdy z Paryża znikła już groźba rozprzestrzenienia się choroby, w Notre Dame odprawiono mszę za jej duszę. Muzykę żałobną skomponował François-André Danican Philidor.

– Może nie przyszło zbyt wiele ludzi – zwrócił się do Lili hrabia Buffon – ale ci, którzy są, to doprawdy świetne towarzystwo!

Wśród żałobników był Denis Diderot i większość gości, których regularnie podejmowała w swoim salonie, a także madame Lespinasse i madame Geoffrin – dwie *salonnières*, z którymi Julie konkurowała. Królowa Maria Leszczyńska przysłała list kondolencyjny, a na pogrzebie reprezentowały ją dwie córki, które przyjechały w towarzystwie księżnej de Praslin. Ku ogromnej uldze Lili i Delphine księżna przybyła bez Anne-Mathilde. Na pogrzebie zjawiła się też hrabina d'Étoges z Ambroise'em, który wsparł Delphine ramieniem, gdy dziewczyna, słaniając się na nogach, poszła przyjąć komunię. Lili, wraz z baronową Lomont, podążyła machinalnie za nimi.

Byli również i sprzedawca z pasmanterii, i krawcowa,

i młynarz – wszyscy ocierali łzy, płacząc nad stratą pani, która zawsze znalazła dla nich dobre słowo i płaciła rachunki. Po mszy zaczęli wracać do swoich interesów, pozdrawiając Lili i Delphine tylko skinieniem głowy z daleka. Powozy zabrały rodzinę i najbliższych przyjaciół do Jardin du Roi, gdzie hrabia Buffon przygotował konsolację. Delphine pojechała w powozie hrabiny d'Étoges, co oznaczało, że Lili skazana była na jazdę w towarzystwie baronowej Lomont.

„Dzięki Bogu, że monsieur de Barras nie został zaproszony" – pomyślała Lili. Wzdrygnęła się na samą myśl o napuszonym, a jednocześnie żałobnym wyrazie jego twarzy, gdy mówił o zmarłej żonie. „Clarisse to, Clarisse tamto, jakby w ogóle nie miało znaczenia, że to właśnie *maman* odeszła". Lili poczuła, jak nagle ogarnia ją przemożne zmęczenie. Skuliła się w rogu powozu i zamknęła oczy.

– Nie powinnaś siedzieć w takiej pozie, gdy mogą to zobaczyć inni ludzie – zwróciła się do niej baronowa. – Nawet jeśli w tym momencie widzę cię tylko ja.

Lili otworzyła oczy, ale poza tym nie poruszyła się ani o centymetr.

– *Maman* nie żyje, baronowo – odpowiedziała. – Z pewnością wolno mi okazać w jakiś sposób żałobę?

– Oczywiście, w obecnej sytuacji wiele zostanie ci wybaczone, jednak nie zapomniane. Ludzie będą o tobie rozmawiać. Wiedz, że to właśnie w chwilach próby charakter damy jest najlepiej widoczny.

Lili wyprostowała plecy. Patrzyła przed siebie, unikając wzroku baronowej.

– Nie możesz wymigiwać się od kulturalnej rozmowy tylko dlatego, że przeżywasz osobistą przykrość – kontynuowała baronowa. – Powinnaś poczuwać się do roli gospodyni obiadu u hrabiego de Buffona, jeśli pragniesz wypaść przychylnie w oczach jego gości. A nie wyobrażam sobie, byś nie chciała, wziąwszy pod uwagę okoliczności...

Lili przestała słuchać.

„Nie żyje. Odeszła. Nie ma jej". Z powodu zagrożenia epidemią ani Delphine, ani Lili nie pozwolono zobaczyć ciała i dziewczyna wciąż łudziła się, że *maman* po prostu wyjechała na chwilę. Nie miały nawet czasu, żeby pójść na jej grób. Może *maman* będzie czekała u bram Jardin du Roi i uspokoi je, że to nieporozumienie,

w trumnie leżał ktoś inny, a ona sama pojechała złożyć wizytę jakimś przyjaciołom i jest jej przykro, że tak wystraszyła córki.

Powóz zwolnił i się zatrzymał.

– Czy wyrażam się jasno? – zapytała baronowa.

Lili uświadomiła sobie, że przez cały ten czas baronowa ją pouczała.

– *Oui,* madame – przytaknęła przekonana, że lepiej się z nią zgodzić, nawet jeśli nie miała pojęcia, o czym baronowa mówiła.

A TUTAJ RYSUJĘ – powiedziała Delphine, zataczając ręką wokół siebie i pokazując Ambroise'owi po obiedzie wnętrze szklarni. Tylko ci, którzy naprawdę dobrze znali dziewczynę i jej pogodną naturę, wyczuwali teraz cierpienie w jej głosie i wyczerpanie w każdym niepewnie stawianym kroku.

Lili szła nieco z tyłu za Delphine i prowadzącym ją pod rękę Ambroise'em. Potrzebowała chwili dla siebie. „Jak tu dziwnie" – pomyślała, wsłuchując się w ptasie trele. Śmierć zabrała *maman*, a jednak istniał świat, który nie zdawał sobie z tego sprawy; świat pełen życia, w którym żadne stworzenie nie wiedziało o istnieniu Julie.

Tatou wrzasnął, potrząsając szaleńczo prętami klatki. Serce Lili rozczuliło się na widok kapucynki. Małpka była taka niewinna, nieświadoma tego, jak skomplikowane może być życie. „Tatou nie wie, że jestem smutna. Nie rozumie, czemu nadal siedzi w klatce, skoro tu przyszłam". Położyła na ramieniu ściereczkę i otworzyła drzwi klatki. Tatou wspiął się po jej wyciągniętej ręce i usiadł na miejscu wyścielanym materiałem.

– Tęsknisz za Jeanem-Étienne'em tak samo jak ja? – Lili zapytała małpkę, czując łzy napływającej jej do oczu. Tatou spojrzał dziewczynie w twarz i przekrzywił główkę. – Wiesz, o kim mówię, prawda? – Tatou pisnął cichutko. – Zawsze masz jeszcze hrabiego – przypomniała małpce Lili i podrapała ją za uchem. – On jest trochę jak tata dla nas obydwu, prawda?

Rozejrzała się wokół. Teraz to jedyne miejsce, w którym czuła się jak w domu. W Hôtel Bercy każdy pokój ział pustką, jaką zostawiła po sobie *maman*, i wspomnieniami o niej, podczas gdy cała rezydencja przypominała pustynię – jałową i posępną. „Gdybym tylko mogła spędzić tu trochę czasu, na pewno uleczyłabym...".

Ostry krzyk Delphine przeraził Lili. W mgnieniu oka znalazła

się obok siostry, przy klatce modliszki storczykowej.

– Nie żyje – szlochała Delphine. – Chciałam pokazać ją Ambroise'owi, a ona nie żyje.

Sztywna modliszka rzeczywiście leżała pod swoją żerdzią. Martwa wyglądała na mniejszą. Delphine wtuliła twarz w ramię Ambroise'a. Jej ciałem wstrząsnął płacz. Lili stała z opuszczonymi rękami, nie zwracając uwagi na dzwoniące w uszach wrzaski siedzącej na jej ramieniu małpki.

„Nie istnieje nic oprócz śmierci – pomyślała. – Nic już nie będzie znów dobre, pełne, jasne".

– Nic – szepnęła. „Nic".

– NATURALNIE BĘDĘ NALEGAĆ, aby zaakceptował moją wolę. – Baronowa Lomont odłożyła z powrotem na tackę list, który przed chwilą otrzymała. – Możesz przeczytać, jeśli masz ochotę.

Lili drżącą ręką wzięła list do ręki i rozłożyła sztywną kartkę w kremowym kolorze. Jej oczy ujrzały dobrze znane, staranne pismo.

Byłbym niewypowiedzianie wdzięczny, gdyby pozwoliła Pani, aby mademoiselle du Châtelet składała mi wizyty w Jardin du Roi. Upłynął już stosowny okres żałoby, a pomoc mademoiselle jest dla mnie nieoceniona. Ufam, że przy okazji obiadu po pogrzebie madame de Bercy miała Pani okazję przekonać się, iż Jardin du Roi jest odpowiednim miejscem dla młodej damy, miejscem, w którym można się wiele nauczyć. Zapewniam, że zawsze byłaby bezpośrednio pod moją opieką. Jeśli obie Panie zgodzą się na moją propozycję, będę niezmiernie rad.

Z wyrazami szacunku dla Pani
oraz panien du Châtelet i Bercy,
Georges-Louis Leclerc, hrabia de Buffon

– MASZ ABSOLUTNĄ RACJĘ – przytaknął z poważną miną Robert de Barras. – To propozycja wysoce niestosowna.

Lili się obruszyła. „Jakim prawem wypowiada się o sprawach mnie dotyczących? Nawet przy tym na mnie nie patrząc!".

– Oczywiście rozumiesz, dlaczego prośbie hrabiego należy odmówić, prawda? – baronowa zwróciła się do Lili. – Jak słusznie zauważył, sześć miesięcy jest okresem żałoby w pewnych sytuacjach jak najbardziej odpowiednim, jednak uważam, iż nie

ma powodu, abyś kiedykolwiek tam wracała i traciła czas w taki sposób.

– Ja natomiast ośmielę się dodać, że jeśli uczyni mi pani ten honor i przyjmie wkrótce moje oświadczyny – de Barras wreszcie spojrzał na Lili, unosząc brwi – to pragnę, aby było jasne, że pani obowiązki wynikające z utrzymywania domu uczynią takie zainteresowania niemożliwymi.

„Urodziliście się tacy pozbawieni życia czy daliście się tak ułożyć, żeby ludzie was akceptowali?". Lili z trudem trzymała emocje na wodzy. Wizyty u baronowej zawsze były nieprzyjemne, ale od kiedy zamieszkała z nią pod jednym dachem, sprawy jeszcze się pogorszyły: od sześciu miesięcy nie słyszała śmiechu, prawdziwe myśli wypowiadano tylko wówczas, gdy można było nimi kogoś oczernić, zupełnie jakby życie tutaj nikomu nie sprawiało ani krzty radości.

Zanim odpowiedziała, zaczerpnęła głęboko powietrza.

– Nie rozważałam pańskiej propozycji. – Była zła na siebie, że nie potrafi opanować drżenia głosu. – Jak również uważam za nader nieprzyjemne, iż rozmowy o mnie prowadzone są w taki sposób.

– Moja droga, to mój dom i będę w nim rozmawiać tak, jak uznam za stosowne.

Baronowa Lomont zadzwoniła po służącego. Gdy się pojawił, powiedziała:

– Przygotuj mi papier listowy i upewnij się, że w kałamarzu jest dużo atramentu. – Rzucając okiem na Lili, dodała: – Jeszcze dziś muszę napisać kilka listów. Wybaczcie mi więc, że was opuszczę. Atmosfera tej rozmowy mnie rozstroiła, wolałabym zostać teraz sama.

Lili natychmiast wstała z krzesła.

– Przykro mi, baronowo, że uznała pani moje zachowanie za pozbawione szacunku – zaczęła. – Jestem wdzięczna, że przyjęła mnie pani do swojego domu, ale nie czuję się w obowiązku okazywać tego, poślubiając monsieur de Barrasa. – Teraz Lili zwróciła się do mężczyzny: – Nie widzę możliwości, byśmy żyli w harmonii, i nie wyjdę za pana – ani teraz, ani nigdy. – Skłoniła się sztywno najpierw baronowej, a potem de Barrasowi, i wyszła z pokoju.

„Możesz się na mnie złościć. Nie dbam o to – myślała Lili. – Nie chcę zachowywać się tak bezpardonowo, ale ona nie pozostawia

mi wyboru, zmuszając mnie do bycia kimś, kim nie jestem".

W korytarzu oparła się o ścianę. Chłodne powietrze owiewające jej twarz podziałało kojąco.

– Wypaczenie – szepnęła, przypominając sobie słowa Rousseau. „Mam prawo opierać się, kiedy baronowa i ten okropny mężczyzna próbują mnie wypaczyć na swoją modłę...".

Maman pozwoliłaby jej nadal chodzić do Jardin du Roi. Jeśli mogłaby wysłać powóz z zaświatów, czekałby na nią teraz na zewnątrz. Lili podeszła do okna i odchyliła zasłonę. Ścisnęło jej się serce – nie dlatego, że dziedziniec okazał się pusty, ale dlatego, że była wystarczająco zdesperowana, aby mieć nadzieję na ratunek.

Nagle przypomniała sobie odgłos klucza przekręcanego w zamku klasztornej celi pokutnej i zamarła jak rażona piorunem. Utratę *maman* odczuła nagle tak boleśnie, że zdziwiła się, iż nie upadła zemdlona na podłogę. „Zawsze przychodziła mi na ratunek – dotarło do Lili. – Ale to się już skończyło".

A może wcale nie? Może to właśnie *maman* natchnęła ją przed chwilą odwagą i właśnie dzięki niej powiedziała baronowej, co myśli – ze śmiałością, z jaką nigdy nie odważyła się do niej odzywać? Może *maman* nadal się o nią troszczy i znalazła drogę do jej serca, mówiąc, by się nie poddawała? A jeśli to nie tylko *maman*? Czyżby matka też do niej szeptała? Jak inaczej wytłumaczyć bowiem, że z sekundy na sekundę Lili stała się kimś wielkim, osobą, jaką do tej pory nie była – że odnalazła w sobie odwagę, niemal zuchwałą wiarę w to, co może zrobić?

„Wszystko zależy ode mnie. Nie mogę pożalić się *maman*, nie mogę wyrzucić z siebie złości, rozmawiając z Delphine. Jestem tylko ja". Coś w Lili drgnęło. Jakieś uczucie, które opanowało ją od palców u stóp po czubek głowy, ścisnęło serce i dało tyle energii, że Lili wróciła do salonu.

– Jestem pewna, że wie pani o liście, jaki otrzymałam wczoraj od mademoiselle de Bercy – zaczęła mówić, przerywając coś, co wyglądało na pełną złości i zdumienia wymianę zdań między baronową a jej gościem. – Jej ślub zaplanowano na przyszły miesiąc. Mademoiselle de Bercy zaprasza mnie do opactwa, abym pomogła jej w przygotowaniach. Akceptuję zaproszenie, czy wyraża pani zgodę, czy nie, ponieważ jestem przekonana, że zarówno moja matka, jak i madame de Bercy życzyłyby tego sobie, a ja zamierzam je w ten sposób uhonorować.

„Otóż to”. Lili odwróciła się i wyszła z pokoju.

Udała się na górę. Zanurzyła pióro w kałamarzu, usiłując zapanować nad rękami, które wciąż jeszcze drżały. „Nic innego – uśmiechnęła się do swojej myśli – nie przyniesie mi większego ukojenia niż Świergotka”.

– Odcięli wam skrzydła? – zapytała Świergotka z niedowierzaniem.

– Oczywiście – odpowiedziały dzieci. – Na początku trochę bolało, ale teraz nie możemy się doczekać, kiedy będziemy mogły dekorować kikuty.

Dwie dziewczynki kręciły się w kółko, trzymając się za ręce.

– Dostaniemy perły i diamenty w kształcie łzy i tasiemkę złotą przyniesiesz też ty – śpiewały, śmiejąc się, jakby ta piosenka od lat była znana tylko im dwóm.

– Ale mogłyście odlecieć!

Dzieci wyglądały na zdziwione.

– A po co? Wszystko, czego potrzebujemy, jest na ziemi.

– Ale mogłyście odlecieć – szepnęła Lili.

Mogły? A ona mogła? Pomimo sceny, jaką przed chwilą urządziła, nadal mieszkała w Hôtel Lomont i nie miała dokąd iść. Wytarła pióro i zrozpaczona odłożyła je na miejsce.

Nawet w kwestii takiej jak papier i atrament musiała polegać na Delphine, która zaopatrywała ją w ilościach wystarczających, aby mogła kontynuować pisanie. Baronowa Lomont znalazła kiedyś jedno opowiadanie, które Lili przez nieuwagę pozostawiła na biurku. Zdarzyło się to tuż po jej wprowadzeniu się do Hôtel Lomont. Baronowa oświadczyła, że Świergotka to frywolny, a może również niebezpieczny sposób spędzania czasu, i zamknęła w szafce na klucz przybory piśmiennicze znajdujące się w domu.

– Powinnaś raczej coś poczytać – powiedziała jej wtedy, dając Lili książkę o żywotach świętych i inną, dla pobożnych niewiast.

Zapasy przesyłane przez Delphine w sekrecie przed baronową znajdowały się w schowku za szufladą. Lili zaczęła przepisywać na czysto z tych nudnych książek zdania, które uznała za najgłupsze. Zapiski te kładła na biurku na samym wierzchu, by

baronowa mogła je zobaczyć. Miała nadzieję przekonać panią domu, że jej charakter zmienił się na lepsze.

„Towarzystwo kobiety kłótliwej gorszym jest do zniesienia niż życie w dziczy lub w kącie własnego poddasza" – brzmiała jedna z sentencji.

„Kobieta, która sprowadza wstyd na swój dom, jest jak zgniła kość dla męża".

„Piękna kobieta, która nie wie, co to dyskrecja, jest jak złoto ozdabiające świński ryjek".

„Zadowolona żona jest równie irytująca co nieustanne kapanie wody w deszczowy dzień".

Oczywiście po dzisiejszym wybuchu baronowa domyśli się, że religijność Lili była udawana. Niemniej jednak, nie mając nic lepszego roboty, Lili wzięła do ręki książkę o pobożności i zaczęła czytać tam, gdzie ostatnio skończyła.

„Biblia jest jak lustro, które najdokładniej pokazuje ci, kim jesteś i jaka powinnaś być – przeczytała. – Możesz dzięki niemu poprawić moralny strój twojej duszy, kroczyć naprzód ubrana w piękno świętości, odziać się w szaty czystości i upiększyć się klejnotami łagodności i cichego ducha".

– Ciekawe, jak to zrobić w gorsecie. – Lili zgrzytnęła zębami.

„Słowo Boże chroni kobietę przed obrazą, krzywdą i opresją ze strony drugiej płci, a także pozwala jej obronić się przed smutnymi konsekwencjami, jakie poniosłaby, korzystając z przywilejów, które jej się nie należą, okazując przesadną ambicję, do której mogłaby ją skłonić próżność, oraz mając pretensje, przez które prezentowałaby się śmiesznie w oczach innych...".

Lili rzuciła książkę na biurko. Nie przejęła się, gdy ta ześliznęła się po krawędzi i spadła na podłogę.

– Przynajmniej nie muszę uczyć się jej na pamięć – powiedziała do pustego pokoju. Leżąc na łóżku, myślała o *maman*. Ogarnęła ją tak wielka tęsknota, że czuła przeszywający do szpiku kości ból.

Emilie

1737

Emilie była zbyt zmęczona, aby krzywić się, gdy zimna woda kąsała jej ręce. Wyciągnęła je z naczynia, strząsnęła wodę, prawie nie zauważając, jak czerwone i poorane stały się jej dłonie. Kawałki lodu, które zamawiała co wieczór, niemal całkowicie się stopiły. Noc miała się ku końcowi, niedługo woda będzie zbyt ciepła, aby pomóc jej się rozbudzić.

Miała dwa dni na skończenie eseju o ogniu. Świeczki stojące w rzędzie na biurku wypaliły się, wymieniła je więc na nowe, zanim ponownie zasiadła do pisania. Przytrzymała rękę nad płomieniem. Poczuła ciepło rozgrzewające dłoń. Fascynujące, że ciepło rozchodzi się znacznie wolniej niż światło i to we wszystkich kierunkach, podczas gdy światło zawsze porusza się po linii prostej i niekoniecznie daje uczucie gorąca, choć każde jego źródło jest gorące.

Obliczenia, które zapisywała na papierze kancelaryjnym, były tak rozbudowane, że ciągnęły się przez kilka linijek. Ponieważ nie miała czasu na przepisywanie, notatki wychodziły na margines. Zanurzyła pióro w atramencie i zaklęła pod nosem, gdy kropla spadła z pióra na papier. Osuszyła kleks i kontynuowała pisanie.

Światło słoneczne nie może być czymś materialnym,

niezależnie od tego, z jak małych cząsteczek jest zbudowane. Odkryła to, gdy wracała na Hirondelli z kuźni. Gdyby miało masę, wówczas promienie słoneczne, uderzając o ziemię, starłyby ją na proch. Ogień składał się z ciepła i światła, a ponieważ oba pozbawione były masy, ogień nie mógł być czymś materialnym.

Gdyby tylko przeprowadziła eksperymenty, które opisała w notatkach, może zdołałaby udowodnić, że ciepło to właściwość tkwiąca w istocie światła. Wykorzystałaby promienie słońca wpadające przez duże okno, należące do jej jeszcze niedokończonego gabinetu, i załamałaby je za pomocą pryzmatu, uzyskując w ten sposób na prześcieradle, rozpostartym na ścianie przeciwległej do okna, całą gamę kolorów. Potem wzięłaby wszystkie termometry Woltera i przyczepiła je do ściany: jeden tam, gdzie kolor czerwony, jeden – na drugim końcu na fioletowym, a pozostałe pomiędzy nimi, na kolorach przejściowych. Gdyby termometry wskazały różne temperatury, oznaczałoby to, że światło niesie ciepło, ale tylko w części swego spektrum. A jeśli światło nie było materialne, ciepło też nie.

Nie mogła jednak przeprowadzić takiego eksperymentu – nie sposób ukryć go przed Wolterem. Odebrałby jej pracę jako krytykę, a w przeszłości zdarzało się, że wybuchał z powodu afrontów dużo mniejszych niż ten. Poza tym wszystkie termometry zabrano do doświadczeń przeprowadzanych przez Woltera, które najwyraźniej donikąd nie prowadziły, choć on sam nie chciał tego przyznać.

– Nie ma czegoś takiego jak tajemnicze niesubstancje – skarcił ją tego wieczoru przy obiedzie. – Twierdzenie, że coś w świecie fizycznym może istnieć, nie posiadając masy, jest równie niedorzeczne co wiara w cuda. Może powinniśmy zacząć produkować ciepło przez modlitwę! – Dworował z niej tak długo, że w końcu rzuciła serwetkę na stół i wybiegła z jadalni.

Cóż, niech się śmieje. Miała dość odgrywania roli sumiennej asystentki człowieka o wielkim umyśle. Męczyły ją rzeczy, które jako kobieta musiała robić, a które tylko wysysały z niej energię: nadzorowanie remontu Cirey, zabawianie regularnie przyjeżdżających i odjeżdżających gości, zajmowanie się edukacją syna, bycie dobrą żoną dla Florenta-Claude'a czy dbanie o takiego hipochondryka jak Wolter. Wystarczyła drzazga w palcu, a zaczynał się rozwodzić na temat groźby śmierci wywołanej zakażeniem, że – zgodnie z jego życzeniem –

zmieniano mu opatrunek pięć razy dziennie.

Gdyby była mężczyzną, usunęłaby ze swojego życia wszystko co bezużyteczne. Ale nie była. Do pracy mogła zabierać się dopiero wtedy, gdy cały dom zapadał w sen i nie musiała spełniać cudzych żądań.

– Nie zdobędę nagrody – powiedziała na tyle głośno, że znajdujący się najbliżej płomień zatrzepotał. Była kobietą, a jej pomysły zbyt daleko odbiegały od prawd uznanych przez akademię. Jednakże akademia się myliła. Dla Emilie zaś liczyła się tylko prawda – tylko tej warto poświęcić czas.

Na szczęście Florent-Claude wrócił na jakiś czas z pułku do domu. Był dobrym człowiekiem i bardzo wyrozumiałym mężem. „Nie pojąłem ani słowa z twojej kłótni z Wolterem w kuźni – oznajmił jej tamtej nocy – ale byłem z ciebie dumny". Obiecał, że osobiście pojedzie do Wassy, gdzie znajdował się najbliższy punkt pocztowy, aby wysłać jej pracę bez wiedzy Woltera.

Hałasy na dziedzińcu zmusiły ją do wstania od biurka. Przyszli malarze, musiała z nimi omówić postępy w malowaniu sypialni. Wyczyściła pióro i odłożyła je na miejsce. „Jeszcze dwa dni" – szepnęła. Esej już prawie skończony. Poinformuje Woltera, że jest niedysponowana, zdrzemnie się chwilę i dołączy ostatnie wyliczenia do czystej wersji tekstu. A kiedy Florent-Claude wyśle pracę do Paryża, będzie spała przez cały tydzień.

14

1767

Drzewa za oknami skrzydła Abbaye de Panthémont, w którym mieszkała Delphine, pyszniły się białymi i różowymi kwiatami. Podmuchy wiatru kołysały płatkami i pozwalały im powoli sfruwać na ziemię.

– Jeśli jeszcze choć trochę spadnie ci na głowę, nie będziesz potrzebowała welonu do kościoła – powiedziała Lili.

Delphine uśmiechnęła się rozmarzona.

– Wciąż nie wierzę, że zanim wszystkie płatki opadną z drzew, będę żoną Ambroise'a.

Siedziały na ławce na tyle blisko, że Delphine mogła dosięgnąć dłoni Lili.

– Dziękuję, że przyjechałaś.

Lili uścisnęła dłoń Delphine.

– Dziękuję, że tu jesteś. Dzięki temu miałam dokąd wyjechać.

– Tu wcale nie jest tak źle, naprawdę – zapewniła Delphine. – Na początku, po przyjeździe nie zamierzałam wychodzić poza ten dziedziniec. Bałam się, że widok miejsc znajomych z czasów, kiedy się tu uczyłyśmy, przyprawi mnie o siwe włosy albo zmarszczki i upodobnię się do jednej z tych wdów, które tu przyjeżdżają, by umrzeć. – Rozejrzała się szybko wokół, czy nikt

nie usłyszał przypadkowo jej słów. – Jednak później zaczęłam chodzić na coraz dłuższe spacery i po jakimś czasie odkryłam, że patrząc na te budynki, mam całkiem przyjemne wspomnienia. – Uśmiechnęła się lekko. – Przede wszystkim te, w których jesteś ty.

Lili wstała i wzruszyła ramionami z rezygnacją.

– To rzeczywiście bardzo piękne miejsce do życia, przynajmniej w tym skrzydle, gdzie możesz być sama. – Uśmiechnęła się smutno. – Wolałabym mieszkać tutaj, niż wyjść za mąż za monsieur de Barrasa.

Twarz Delphine się zachmurzyła.

– Mam nadzieję, że znajdziesz dobrego męża. Codziennie modlę się, żebym nigdy przenigdy nie musiała odwiedzać cię w domu tego wstrętnego starucha!

– No już, już. – Lili uśmiechnęła się do Delphine. – Jeśli wyraz twarzy ci się nie zmieni, siwe włosy staną się twoim najmniejszym zmartwieniem.

– Znajdziesz kogoś, Lili – zapewniła Delphine. – Wiem, że tak. Ale nie wychodź za mąż z przymusu i tylko po to, żeby spotkać kilka miesięcy później tego właściwego. – Jej twarz spoważniała. – Wiesz, co powiedział mi Ambroise? W Wersalu, tuż po ogłoszeniu śmierci delfina, Anne-Mathilde zasugerowała mu, że kiedy już zawrą ten znakomity związek małżeński, nie będzie miała nic przeciwko, aby Ambroise zatrzymał mnie przy sobie jako kochankę. To wtedy zdecydował ostatecznie, że za żadne skarby się z nią nie ożeni.

– Tak mu powiedziała?

– Ambroise wyjawił mi, że za wszelką cenę dążyła do ich ślubu, przecież tyle się o nim mówiło.

Delphine strąciła palcem płatek, który osiadł jej na brwi.

– Powinnam pewnie czuć się triumfatorką, ale tak naprawdę robi mi się niedobrze, gdy myślę o całej tej sytuacji.

Słońce zasłoniła chmura i od razu zrobiło się chłodniej.

– Widzisz? Nawet niebiosom się to nie podoba – dodała Delphine.

– Myślę, że niebiosom nie podoba się wiele rzeczy – powiedziała Lili. – Teraz, kiedy jestem tu z tobą i widzę sprawy jasno, nie mogę się nadziwić, że taka byłam potulna. Gdybym nie oświadczyła stanowczo, że nie poślubię de Barrasa, nie wiem, jak długo jeszcze bym wytrzymała ciągłe naciski tych dwojga.

Podniosła z ziemi ukwieconą gałązkę i wsunęła ją za niezasznurowany stanik sukienki.

– Nie włożyłam gorsetu. Teraz jestem tylko ja i wiosna. Wspaniale.

Znów zaświeciło słońce, nadając włosom Delphine złotaworudy odcień. Lili popatrzyła na siostrę.

– Wyglądasz na szczęśliwą.

– Bo jestem – odparła Delphine. – Spełniają się moje marzenia. – Wciągnęła głęboko powietrze i wypuściła je powoli. – Tylko że *maman* nie ma z nami. Bardzo za nią tęsknię. – Oczy zaszły jej łzami.

– Ja też – przyznała Lili – ale czasem wydaje mi się, że ona tu jest. Czuję, jak zupełnie znikąd przychodzą do mnie pewne myśli. Jakby obydwie moje matki były z nami, łapały mnie za rękę i przypominały, kim jestem i bym nie oddawała nikomu siebie, jeśli tego nie chcę.

W drzwiach budynku pojawiła się Corinne.

– Proszę wybaczyć, *mesdemoiselles,* ale podano do stołu, a także właśnie przyszedł ten list.

Dziewczęta wymieniły się spojrzeniami.

– Od kogo? – zapytała Delphine.

– Nie wiem, brak adresu. Przywiózł go posłaniec, ale już odjechał.

Delphine wyciągnęła rękę po list.

– Sprawdźmy od kogo – powiedziała, zrywając pieczęć. Przeczytała kilka linijek i z uśmiechem oddała kartkę Lili. – To raczej list do ciebie. Od hrabiego de Buffona.

– „Szanowna mademoiselle de Bercy – zaczęła czytać Lili. – Piszę do Pani, ponieważ dowiedziałem się, że mademoiselle du Châtelet nie przebywa już w Hôtel Lomont. Mam nadzieję, że oznacza to, iż nieprzyjazna kurtyna milczenia została zerwana i że znów mogę się z nią skontaktować".

Lili podniosła wzrok znad listu.

– Cóż, nie jestem Śpiącą Królewną, ale niewiele brakowało! – skomentowała i czytała dalej: – „Uprzejmie proszę ją poinformować (jeśli rzeczywiście przebywa razem z Panią), że najwyraźniej miała rację w sprawie etanolu: w rzeczy samej rozpuszcza on jakąś substancję znajdującą się w powłoce zewnętrznej organizmów, które wspólnie obserwowaliśmy. Bardzo by mnie cieszyło, gdyby podczas pobytu w opactwie zechciała

wymienić ze mną listownie opinie na ten, a także na tematy dotyczące innych mych badań. Z chęcią przyślę odpowiednie materiały, gdy potwierdzi Pani, że mademoiselle du Châtelet je przyjmie".

– To cały hrabia, prawda? Rozprawia o tych małych żyjątkach, gdy jest tyle innych ważnych kwestii! – Delphine się zaśmiała. – Zaprośmy go tutaj!

Lili potrząsnęła głową.

– Posłuchaj, co pisze dalej: „Poinformowano mnie, że przeorysza solidaryzuje się z baronową Lomont, uważając zachowanie mademoiselle du Châtelet za nie do zaakceptowania. Domyślam się, że spotkanie tylko pogorszy sprawy. Poczekajmy więc, aż sytuacja się uspokoi, a do tego czasu polecam się – na odległość – jako Pani oddany przyjaciel. Georges-Louis Leclerc, hrabia de Buffon".

Lili pomachała kartką w powietrzu.

– Jeszcze dopisek: „Proszę zauważyć, że załączam jeszcze coś, co przyszło do mademoiselle du Châtelet z Falklandów".

W kopertę, w której znajdował się list od hrabiego, wetknięto jeszcze jedną kartkę, złożoną tak, aby tworzyć kopertę dla napisanego na niej listu. Wewnątrz Lili znalazła zasuszony kwiat – o żółtym środku i sześciu białych, zachodzących na siebie płatkach. Przez każdy z płatków przechodziły, jakby namalowane ręką malarza, trzy cienkie linie o kolorze łączącym w sobie purpurę z zielenią. Na kartce, która chroniła kwiat, Jean-Étienne napisał:

„Wygląda na to, że ręka boska również i tutaj maluje kwiaty. Ten, który załączam, to symbol Falklandów, występuje na wyspach dość powszechnie, rośnie na wrzosowiskach od wybrzeży aż po wzgórza. Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, że zawsze, kiedy go widzę, myślę o Tobie, ponieważ pamiętam twoją sukienkę dokładnie w tych kolorach".

Delphine zaczęła skakać radośnie po całym dziedzińcu.

– On nie potrafi przestać o tobie myśleć! – oświadczyła.

Lili ostrożnie złożyła kartkę wokół kwiatu tak, jak złożył ją Jean-Étienne. „Czy możliwe, żeby to była prawda?" – zastanawiała się, wkładając wiadomość od młodzieńca z powrotem do tej samej koperty, w której leżał list od hrabiego. „A nawet jeśli tak, czy ma to jakieś znaczenie?".

– Czemu się krzywisz? – zdziwiła się Delphine. – W ten piękny

dzień dzieją się same dobre rzeczy! On ułoży sobie wszystko w głowie i wróci do domu z jasną wizją przyszłości, jakiej pragnie dla siebie, a na obiad podają groszek i krewetki, które uwielbiasz.

Wzięła Lili pod ramię.

– Wejdziemy do środka?

Szanowny hrabio de Buffon,

nie wiem, jak wyrazić radość, którą sprawił mi Pański list wysłany tutaj, do Abbaye de Panthémont na nazwisko mademoiselle de Bercy! Utrata kontaktu z Panem sprawiła mi niezmierną przykrość. W tej chwili czuję się tu bezpiecznie, nie wiem jednak, jakie kroki może poczynić baronowa Lomont, aby sprowadzić mnie z powrotem do siebie. Pańskie słowa o przeoryszy są dla mnie ostrzeżeniem i każą zastanowić się, czy rzeczywiście mogę sobie pozwolić na dłuższy pobyt tutaj.

LILI NA CHWILĘ PRZERWAŁA PISANIE. Apartamenty Delphine były skąpane w przymglonym popołudniowym słońcu. Wokół panowała cisza – Corinne i kucharka skończyły na jakiś czas pracę i poszły odpocząć. Delphine ucięła sobie drzemkę na kozetce, otoczona próbkami materiałów na suknię ślubną.

Jestem przekonana, że niemal osiemnastoletnia kobieta ma pełne prawo odwiedzić siostrę przygotowującą się do zamążpójścia i że nie potrzebuje niczyjego pozwolenia, którego zresztą w sposób złośliwy i niesprawiedliwy jej nie udzielono. Jednak moja przyszłość maluje się w jasnych barwach, ponieważ monsieur Clément de Feuillet zgodził się po ślubie wynająć swój dom w Paryżu i zamieszkać razem z Delphine w Hôtel Bercy. Oświadczył, że jest dla niego oczywiste, iż mogę zająć swoje pokoje i żyć w ich domu bezterminowo. Nie wyobrażam sobie, aby ktokolwiek mógł się sprzeciwić temu, że młodzi małżonkowie proponują bezpieczną przystań niezamężnej kuzynce. Będzie to dla mnie oznaczało powrót do życia niemal takiego, jakie wiodłam kiedyś.

Niemal, ponieważ oczywiście zabraknie w nim naszej ukochanej maman. Wierzę jednak, że szczęście Delphine stanie się dla mnie ogromnym pocieszeniem. Może nawet od czasu do czasu zaprosimy gości do salonu, aby w ten sposób uczcić pamięć Julie. Byłaby to okazja, abym znów usłyszała, jak broni Pan moich słabych

argumentów w sporach z uczonymi, którzy maman tak uwielbiali.

Lili znów przerwała pisanie, aby zanurzyć pióro w kałamarzu.

Naturalnie nic nie będzie takie samo bez naszego drogiego Jeana-Étienne'a. Mam nadzieję, że w następnym liście przekaże mi Pan wieści z Falklandów. Domyślam się, że Jean-Étienne nadal jest zaręczony.

– Musiałaś popsuć stronę, pisząc coś takiego? – zrugała samą siebie pod nosem, drąc kartkę na pół zdecydowanym ruchem. Wzięła nową i zaczęła pisać:

Drogi hrabio Buffon,
w rzeczy samej przebywam obecnie z Delphine w Abbaye de Panthémont. Potrwa to jednak jeszcze tylko kilka tygodni, do czasu jej powrotu do Paryża na ślub. Proszę, aby przesłał Pan jakiekolwiek materiały, które uzna Pan za zajmujące. Z wielką chęcią użyję ponownie mego mózgu, jako że ostatnimi czasy bardzo go zaniedbywałam.

Pańska oddana przyjaciółka,
Stanislas-Adélaïde du Châtelet.

Odłożyła pióro, ale po chwili ponownie wzięła je do ręki i dopisała:

Zapomniałam wspomnieć, że załączam do listu śliczny rysunek okwieconych drzew, które rosną na dziedzińcu. Delphine wykonała go specjalnie dla Pana. Będzie monsieur miał okazję przekonać się, że rozwija zmysł obserwacji, który wszyscy tak bardzo podziwiamy.

Wahała się tylko przez sekundę, zanim podpisała się raz jeszcze – tym razem po prostu: „Lili". Tak podpisałaby list do ukochanego ojca.

Włożyła rysunek do koperty. Zanim ją zapieczętowała, wsunęła pomiędzy kartki kwiat, który zerwała z gałązki wciąż tkwiącej w jej sukience. Czuła, że jest to swego rodzaju talizman.

– To dla Jeana-Étienne'a – wyszeptała. – Nawet jeśli nigdy go nie zobaczy.

LILI WYCIĄGNĘŁA RĘKĘ i pomogła Delphine wsiąść do powozu. Ta, drżąca z emocji, usiadła z niezwykłą ostrożnością, starając się nie przesunąć panier i nie pognieść luksusowych jedwabnych halek. Ponieważ wciąż była w żałobie, jej biała suknia miała tradycyjny i skromny krój. Stanik z mory wykończono przy szyi i rękawach złotymi nićmi i wstążkami w kolorze kości słoniowej. Pod warstwą pudru nieznacznie rysowały się wypukłości piersi. Dół sukni, również biały, zdobiły złote hafty na panierach, a całości dopełniały zamówione na miarę aksamitne pantofle i kapelusik. Fryzjerka i krawcowa przyszły tuż po świcie i sporą część dnia spędziły, układając włosy Delphine zgodnie z najnowszą modą i wykonując ostatnie przeszycia tak, aby suknia leżała na pannie młodej bez zarzutu.

Słońce na majowym niebie świeciło w zenicie, gdy Lili i Delphine ruszyły do Hôtel Bercy.

– Mam nadzieję, że nie każemy im zbyt długo czekać – powiedziała Delphine. – Bardzo mi zależy, by ten dzień był idealny.

– Będzie – zapewniła ją Lili. – Na pewno – powtórzyła, choć przecież każda z nich pamiętała o *maman*, która nie mogła wraz z nimi cieszyć się tym dniem.

– Wszystko nie tak. – Delphine przyłożyła do oczu chusteczkę.

– Kochanie, nie płacz – poprosiła Lili. – *Maman* by tego nie pochwaliła, no i nie chcesz chyba niełądnie wyglądać.

Delphine przygryzła dolną wargę.

– Powinnyśmy udawać, że ona jest tu z nami, może to sprawi, że będzie mniej smutno.

Lili wyprostowała się ze zdziwienia.

– Smutno? Marzyłaś o tej chwili, odkąd zaczęłam opowiadać ci bajki na dobranoc!

Policzki Delphine straciły kolor.

– Nie wiem, co mam myśleć. Chyba po prostu się boję.

Lili wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Delphine.

– Czego?

Delphine chwyciła mocno rękę Lili, nie zauważając nawet, że ją wykręca.

– Wszystkiego. Czy będę dobrą żoną. Czy... – Delphine spojrzała na siostrę przerażonym wzrokiem. – Myślisz, że to boli? Słyszałam, że za pierwszym razem jest dużo krwi.

– Nie wiem. Ale wydaje mi się, że nikomu nie dzieje się

krzywda...

Delphine nie słuchała.

– No i dzieci. Podobno w czasie porodu nawet najodważniejsze kobiety okropnie krzyczą. A ja nie jestem odważna. Nie to, co ty.

– Ależ ja wcale nie jestem odważna!

– Oczywiście, że jesteś! Sprzeciwiłaś się baronowej Lomont. Opublikowałaś opowiadania i nie dbasz, co mówią inni. Wszyscy uwielbiają cię za twój umysł. Monsieur Diderot, hrabia de Buffon...

– Ale nie Jean-Étienne – odparowała Lili. – Najwyraźniej na nim nie zrobiłam wielkiego wrażenia.

– Cóż, Jean-Étienne może i zna się na medycynie, ale jest głupcem, jeśli chodzi o... jeśli chodzi o jego własne serce.

– Nie wszyscy mają tyle szczęścia, ile ty. – Lili poczuła, jak załamuje się jej głos.

– *Maman* powinna tu być. – Delphine wymówiła te słowa odwrócona do okna. Chciała uniknąć wzroku Lili.

– Z pewnością byłaby bardziej pomocna w kwestiach... w tych kwestiach, o które się tak martwisz – rzekła Lili z nikłym uśmiechem, który szybko zamarł jej na ustach.

Delphine spojrzała na siostrę z błyskiem zaciekawienia w oku.

– Zastanawiasz się czasem, o czym mówiła piosenka, którą napisał dla niej monsieur Philidor? Myślisz, że oni... nie mogę tego powiedzieć na głos!

– Byli kochankami? – „Gra w szachy w salonie, wyjście do opery, muzyka na pogrzebie" – wspomniała Lili. – Bez wątpienia uwielbiał *maman*. Jak sądzisz, czy ona też go kochała?

– Nie, wydaje mi się to zbyt dziwne. Ale przykra jest myśl, że czuła się samotna bez papy. Tego też bym nie chciała.

– Wiedziałybyśmy – odparła Lili. – Prawda?

Przez dłuższą chwilę patrzyły na siebie w milczeniu. Ciszę przerwała Lili:

– Być może wcale nie znałyśmy *maman* do końca.

– A teraz już za późno, żeby zapytać, więc nigdy się nie dowiemy. – Delphine znów wyjęła chusteczkę.

– A jeśli mogłybyśmy się dowiedzieć? I zapytać: „*Maman*, czy coś cię łączy z... cóż, czy coś cię łączy z monsieur Philidorem?". Gdyby jechała teraz z nami, czy powiedziałaby cokolwiek, czego jej zdaniem nie powinnyśmy wiedzieć?

– Pewnie nie – przyznała Delphine. – Ale jeśli miała

kochanka... To chyba nic strasznego, prawda?

Słodka nuta nadziei w głosie Delphine sprawiła, że serce Lili pogrążyło się we wspomnieniach.

– To nie jest tak, jak w tych historiach o świętych, których tyle musiałyśmy przeczytać – stwierdziła Lili. – Cała ta przemoc i stawianie oporu... Spędzisz resztę życia z mężczyzną, który cię kocha. Myślę, że do wszystkiego się przyzwyczaisz, a niektóre rzeczy nawet polubisz, choć teraz być może się ich boisz...

„Mężczyzna, który cię kocha" – pomyślała Lili. Przed oczami przesuwały się jej obrazy: Jean-Étienne opowiadający o nauce podczas wspólnego spaceru po Jardin du Roi, Jean-Étienne przy mikroskopie, Jean-Étienne z kapucynką na ramieniu i w salonie *maman*, gdzie widzieli się po raz pierwszy. „To ja jestem tym bratankiem – powiedział wtedy. – Mam nadzieję, że mademoiselle nie jest rozczarowana...".

– Jakie to musi być cudowne uczucie kochać kogoś tak, że chce się z nim być cały czas tak blisko, jak to tylko możliwe – zauważyła Lili. Dziwne kłucie w sercu podpowiadało jej, że nie uniknie uronienia kilku łez, odwróciła więc wzrok i zaczęła obserwować widoki za oknem powozu. – Jesteśmy prawie na miejscu.

Delphine się wyprostowała.

– Czy wyglądam jak półtora nieszczęścia?

– Wyglądasz jak czyjeś największe szczęście.

– Wiesz, o co mi chodzi! Mam czerwone oczy?

– Nie, błyszczące. I nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak jego oczy promienieją na twój widok.

Powóz skręcił w dobrze znany im podjazd i Lili usłyszała głosy służby, która wyszła przed dom, aby je powitać.

– Kocham cię, Delphine – wyszeptała. Nie było to uczucie, które często sobie wyznawały.

– Ja ciebie też – szepnęła Delphine.

– Żałuję, że nie mogę poprosić stangreta, aby jeszcze trochę pojeździł po okolicy – dzięki czemu ta część naszego życia trwałaby choć odrobinę dłużej – westchnęła Lili. – Wiem jednak, że to, co cię czeka, będzie dla ciebie lepsze.

Lokaj otworzył drzwi powozu, zanim Delphine zdążyła zareagować na wyznanie Lili, a gdy tylko panna młoda wyszła z powozu, porwał ją tłum witających.

„Hôtel Bercy należy teraz do niej – pomyślała Lili, obserwując,

jak Delphine zapraszana jest do środka. – Moje serce, zapomnij dziś o sobie i ciesz się jej szczęściem".

– Mademoiselle Lili? – Znajomy głos należał do Corinne. – Wejdzie panienka do środka?

– Naturalnie – odpowiedziała Lili. – Chciałam tylko poczekać chwilę, żeby nie zawadzać.

Corinne spojrzała na nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

– Czy mademoiselle będzie potrzebować czegoś do otarcia oczu?

Lili przyjęła wykrochmaloną i wyprasowaną chusteczkę, którą Corinne wyjęła z kieszeni.

– Wygląda na to, że tak – odparła Lili, osuszając łzy płynące po twarzy, gdy wchodziła do domu.

LILI I DELPHINE czekały na wezwanie notariusza w pokoju muzycznym. Były zbyt zdenerwowane, by usiąść, przemierzały więc pomieszczenie, od czasu do czasu przystając i wyglądając bez celu przez okno. Delphine zdjęła już kapelusz, który miała w powozie, i zamieniła go na tradycyjne przybranie głowy, a składały się na nie misternie splecione wstążki i kwiaty pomarańczy symbolizujące niewinność panny młodej.

– Czemu to tak długo trwa? – narzekała Delphine. – Chyba się zaraz rozpłynę, jeśli się nie pospieszą.

– Ambroise przegląda dokumenty w obecności prawników. Zanim podpisze, musi przecież sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

– Ja też będę musiała? Czuję, jakby mi oczy wirowały.

– Z tego, co wiem, kobiety nie czytają dokumentów osobiście. O tym, czy są jakieś nieprawidłowości, decyduje ojciec panny młodej, a w tym przypadku prawnik. Ty jedynie podpisujesz.

– Powinnam się złościć, że nic ze mną nie konsultują, ale w tej chwili wcale mnie to nie obchodzi. Ale niechby mnie już wpuścili i pozwolili skończyć to całe zamieszanie! Proszę!

Z salonu, znajdującego się na drugim końcu korytarza, dobiegły odgłosy głośnej i jowialnej rozmowy.

– Słyszę Ambroise'a! – powiedziała Delphine. – Twoim zdaniem to głos człowieka szczęśliwego?

– O ile go znam, jest równie co ty nieszczęśliwy, że to wszystko tak długo trwa. Przestań się drapać!

– Ale od tej pomady z cukru wszystko mnie swędzi! – Delphine uniosła loki do góry. – A może przez kwiaty pomarańczy.

Wyglądam brzydko? Pewnie jestem czerwona?

– Nie, ale zwiążę ci ręce na plecach, jeśli natychmiast nie przestaniesz.

– Po prostu nie mogę się już doczekać.

Nagle Delphine usłyszała znajome skrzypienie podłogi i chwyciła Lili za ramię.

– Mademoiselle de Bercy? – W drzwiach pojawił się notariusz. – Czy jest pani gotowa?

SALON, W KTÓRYM SWEGO CZASU *maman* organizowała spotkania towarzyskie, lśnił czystością. Bukiety z kwiatów pomarańczy pyszniły się na kredensach. Meble w pokoju tymczasowo poprzesuwano tak, aby na środku utworzyła się wolna przestrzeń – ustawiono tam specjalnie przyniesione na tę okazję eleganckie biurko. Dokumenty leżały na papierze welinowym – poza nimi na biurku był tylko kałamarz, a obok niego przepięknie zdobione pióro. Lili rozpoznała pióro *maman*.

Ambroise stanął u boku Delphine, Lili puściła więc jej łokieć. Pan młody zwrócił się do zebranych:

– Czyż nie jestem szczęściarzem?

Lili usłyszała, jak po pokoju rozchodzi się szmer aprobaty. Spojrzała na zgromadzonych. Obok hrabiny i hrabiego d'Étoges stali zaproszeni przez Delphine baronowa Lomont i hrabia de Buffon.

Delphine zasiadła za biurkiem.

– Co mam zrobić? – zapytała.

– Podpisać tutaj. – Notariusz wskazał palcem miejsce na podpis. – I proszę uważać z tym piórem. Widziałem już niejedną pannę młodą, która zapomniała strząsnąć atrament i musiała potem wycierać kleks.

Delphine uśmiechnęła się do niego i podziękowała tak słodkim i uprzejmym głosem, że Lili miała przez chwilę wrażenie, że nagle *maman* zmaterializowała się w pokoju. I właśnie wtedy Delphine pewnym siebie, zamaszystym gestem złożyła podpis na dokumentach.

Gdy rozległy się oklaski, hrabia d'Étoges podszedł do kredensu i wziął do ręki butelkę wina.

– Toast za monsieur i madame Clément de Feuillet – powiedział, wznosząc butelkę do góry.

Ambroise złożył na policzku Delphine delikatny pocałunek.

– Czy to znaczy, że jesteśmy już mężem i żoną? – zapytała Delphine.

– Tak sądzę – odparł Ambroise, spoglądając na notariusza.

Widząc, że mężczyzna potakuje, Delphine odwróciła się, szukając wzrokiem Lili.

– Jestem mężatką! – zawołała i rozpłakała się ze szczęścia, próbując przytulić się do siostry na tyle mocno, na ile pozwalały szerokie paniery.

– Moja ty królewno z bajki – szepnęła jej do ucha Lili. – Sprawiłaś, że twoje sny właśnie się spełniły.

– Teraz kolej na ciebie – powiedziała Delphine, prostując się, aby spojrzeć Lili w oczy. Z poważnym wyrazem twarzy znów pochyliła się w jej stronę. – Obiecuję – szepnęła. – Z całego serca. Przysięgam, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, abyś była tak szczęśliwa jak ja.

NASTĘPNEGO WIECZORU, po mszy ślubnej uświęcającej zawarty przez Delphine i Ambroise'a związek małżeński oraz po obiedzie wydanym z tej okazji przez hrabiego d'Étoges, grupa gości udała się z nowożeńcami do Hôtel Bercy, aby eskortować ich do łoża małżeńskiego. Ponieważ kobiety niezamężne nie brały w tym udziału, Lili pożegnała się i wróciła z baronową do Hôtel Lomont – zamierzała dać młodej parze nieco prywatności przez tydzień, a potem planowała wprowadzić się do Hôtel Bercy.

Zrobiło się ciemno. Jechały w milczeniu, które przerwała baronowa:

– Zdajesz sobie sprawę, że nie możesz żyć w Hôtel Bercy do końca życia, prawda? Przez jakiś czas taki stan będzie wydawał się odpowiedni, ale co zrobisz, kiedy państwo Clément de Feuillet pojadą do Château d'Étoges albo wybiorą się w podróż zagraniczną? Jako kobieta niezamężna nie będziesz mogła zostać tam sama, a nie możesz przecież jeździć za nimi, gdziekolwiek się wybiorą. Chyba że taki właśnie masz zamiar?

– Nie sądzę, aby bliskość siostry w początkowej fazie małżeństwa była czymś szkodliwym, baronowo – zabrzmiała w ciemnościach odpowiedź Lili. – Wydaje mi się, że Delphine będzie rada mieć u swego boku kogoś, z kim może porozmawiać, kogoś, kto nie jest zajęty swoim mężem i prowadzeniem własnego domu.

Baronowa parsknęła z dezaprobatą.

– Powinnam się spodziewać, że wymówki będziesz usiłowała przedstawić jako zalety.

– Jeśli chodzi o moją odmowę wyjścia za mąż, mam zamiar podtrzymywać ją tylko do czasu, aż znajdę kogoś, kto ma podobne zainteresowania jak ja.

– A jakież to zainteresowania? Wizyty u hrabiego de Buffona sprawiły, że uważasz się za uczoną? A może wydaje ci się, że jesteś pisarką, skoro lubisz coś tam sobie bazgrać?

Chociaż Lili nie widziała twarzy baronowej, była pewna, że kobieta wydęła pogardliwe wargę, wymówiwszy te słowa.

– Nie chcę się kłócić, baronowo Lomont – powiedziała Lili, czując nagły przypływ zmęczenia – ale wydaje się, że nic innego nie robimy.

Przez chwilę baronowa milczała.

– Przestaniemy się kłócić, Stanislas-Adélaïde, kiedy zaakceptujesz swoje przeznaczenie.

Lili zesztywniała, czując, jak jeżą się jej włosy na całym ciele. „Powiedz baronowej, że nie ma pojęcia o tym, jakie jest twoje przeznaczenie" – zdawało się szeptać nocne powietrze. „Nadal się jej boję" – próbowała oponować Lili. „Więc przestań!".

Zaczerpnęła głęboko powietrza, ale wraz z wydechem jakby straciła całą odwagę. Cóż ona sama wiedziała o swoim przeznaczeniu? Miała tylko pewność, co nim nie jest. Znów odetchnęła.

„Jesteś wystarczająco silna, żeby to zrobić". Pod wpływem wewnętrznego głosu Lili wyrzuciła z siebie odpowiedź:

– Jestem pisarką. Pisanie jest tym, co mam zamiar robić w życiu. Chcę się również zająć nauką.

– Pisarką? – Baronowa nie potrafiła ukryć zdziwienia.

– Pisanie to nie tylko rozrywka. To właśnie moje przeznaczenie – ciągnęła Lili. Sama nie mogła zrozumieć, skąd wzięła się niezwykła siła w jej głosie. Żałowała, że brakuje jej mocnego przekonania do słuszności swych słów, tak jak próbowała przedstawić to baronowej. – Pani niska opinia na temat opowiadania, które kiedyś u mnie madame znalazła, nie jest powszechnie podzielana. Wydrukowano je w „Gazette d'Amsterdam". Może słyszała baronowa o monsieur Tellechacie?

– Nie czytam takich bzdur!

– Tellechat to ja – kontynuowała Lili. – Monsieur Diderot mówił mi, że wzbudziłam zachwyt.

Nie do końca było to prawdą, ale skąd baronowa miałaby to wiedzieć?

– Monsieur Diderot? – zdumiała się baronowa. – Powinnam była przewidzieć, że dorastanie w domu, w którym prowadzony jest salon, niesie ze sobą przykre konsekwencje.

Lili nie zwracała na nią uwagi.

– Mam kilka kopii, jeśli madame zechce zobaczyć. Zmusiła mnie pani do tego, abym je przed nią ukrywała, abym nie była uczciwa. Miałam również schowane zapasy papieru i atramentu, które Delphine przysłała mi po tym, jak zabroniła mi pani ich posiadania.

Powóz wjechał na szeroką, oświetloną ulicę. Nagle zrobiło się jaśniej i Lili ujrzała głowę baronowej. Jej ciemny kapelusz i peleryna pozostały w ciemności. Ponieważ światło nie dosięgło zagłębień jej twarzy, kobieta przypominała przez chwilę wiszącą w powietrzu czaszkę bez ciała. Serce Lili zatrzymało się na sekundę, gdy ujrzała to złowieszcze oblicze – widmo rodem z jakiejś mrocznej baśni.

„Dość już mi zatruwałaś życie – pomyślała. – I masz nade mną tylko tyle władzy, na ile ci pozwolę".

Światło zniknęło i powóz znów pogrążył się w ciemnościach.

– Wyjdę za mąż za mężczyznę, który będzie mi odpowiadał, i zrobię to wtedy, kiedy przyjdzie na to pora – oświadczyła. – I nie mam zamiaru więcej poruszać tego tematu.

– Doprawdy? – głos baronowej zabrzmiał niemal melodyjnie, jakby coś przemożnie ją ucieszyło. – Kiedy dotrzemy do domu, chciałabym, abyś poszła ze mną do gabinetu. Mam tam coś, co, jak uważam, sprawi, że raz na zawsze zmienisz swe buntownicze nastawienie.

NA STOLE, obok którego stało ulubione krzesło baronowej, leżał list ze złamaną pieczęcią. Kobieta wzięła go do ręki i podała Lili.

– Usiądź, mademoiselle du Châtelet.

Coś przerażającego było w tym formalnym zwrocie, ale Lili wbiła nogi mocno w podłogę, żeby przypomnieć sobie, że ma zająć twardą postawę.

– Wolałabym zostać tutaj – odpowiedziała szorstko. – Ślub Delphine zajmie dwa długie dni, chciałabym więc iść do łóżka, gdy tylko zobaczę to, co chce mi pani pokazać.

– Jak sobie życzysz. – Baronowej nie udało się ukryć

lekceważącego uśmieszku. – To od markiza du Châtelet.

– List od ojca? – Serce Lili waliło jak młotem, kiedy rozkładała pojedynczą kartkę.

Moja droga i szanowna szwagierko,

otrzymałem Twój list, w którym pytasz o dalsze losy Stanislas-Adélaïde po tragedii, jaką jest śmierć madame de Bercy. Nie zamierzam brać udziału w poszukiwaniach odpowiedniej partii, pozostawiam Ci więc zaaranżowanie ślubu, który, zgadzam się z Tobą, powinien odbyć się jak najszybciej.

Odesłałem do mojego prawnika dokumenty, o których podpisanie prosiłaś. Kiedy czytasz ten list, Twoje prawo do decydowania o takich sprawach w moim imieniu powinno być już potwierdzone. Pamiętaj, proszę, żeby w trakcie negocjowania małżeństwa nie liczyć na żaden posag. Nie planuję dodawać nic więcej do renty, którą już wypłacam z dochodów jednej z moich posiadłości.

LILI PATRZYŁA na obcy jej zamaszysty podpis złożony pod tekstem listu.

– Jak widzisz – odezwała się baronowa – ukróciłam twoje fanaberie dokładnie tak, jak zapowiedziałam.

Litery skakały Lili przed oczami.

– Czy to oznacza, że muszę wyjść za monsieur de Barrasa? – Poczuła, że uchodzi z niej całe życie, jak gdyby list był sztyletem, którym zadano jej śmiertelną ranę.

Baronowa się obruszyła.

– Monsieur de Barras miał dość czekania. Podczas gdy ty bawiłaś w opactwie, zaręczył się z kimś innym. Mam jednak dwóch odpowiednich kandydatów. Żaden z nich nie posiada niestety fortuny porównywalnej z majątkiem de Barrasa. Wielka to szkoda dla ciebie, ale oczywiście winę za taką sytuację ponosisz wyłącznie ty. Obydwaj należą jednak do *noblesse d'épée*, co powinno pomóc w twojej sytuacji.

„To koniec". Lili pożałowała, że nie może po prostu przestać oddychać w tej właśnie chwili i umrzeć natychmiast, w domu baronowej.

– Zgodziłam się na twoją przeprowadzkę do Hôtel Bercy, ponieważ jestem już za stara na branie na siebie ciężaru zajmowania się tobą. Jednakże pozwolę ci na to tylko pod

warunkiem, że przysięgniesz wyjść za mąż za pierwszego odpowiedniego kandydata, który ci się oświadczy. Musisz przysiąc przed Bogiem.

Kiedy Lili czytała list, serce waliło jej jak szalone. Teraz jednak biło tak słabo, że nie była już pewna, czy rzeczywiście porusza się jeszcze w jej piersi. Zupełnie jak u myszki duszonej przez węża, którą widziała kiedyś w laboratorium hrabiego Buffona.

– Najwyraźniej nie mam wyjścia. Jestem zmuszona zrobić, jak sobie madame życzy.

– Przed Bogiem, Stanislas-Adélaïde – przypomniała jej baronowa. – Przysięgnij przed Bogiem.

Kolana Lili zadrżały. „Jak kiedykolwiek się z tego wyplączę?" – zastanawiała się dziewczyna.

– Daję słowo przed Bogiem – powiedziała.

Emilie

1738

Rzuć wyżej, *mon chéri*. I tym razem tak wysoko, jak tylko możesz.

Emilie patrzyła, jak jej jedenastoletni syn napręża ramię i posyła piłkę wysoko w popołudniowe bezchmurne niebo.

– Patrz, jak spada, i powiedz mi, co obserwujesz.

Florent-Louis dłonią osłonił oczy przed słońcem i śledził ruch piłki, która spadła kawałek dalej od nich na trawnik. Podbiegł do siedzącej pod drzewem Emilie.

– Masz rację, *maman* – stwierdził. – Łuk, który tworzy się, kiedy piłka spada, jest lustrzanym odbiciem tego, który powstał, gdy leciała do góry.

Emilie otworzyła notatnik leżący na jej kolanach.

– A jeśli rzucisz tak samo mocno, ale wyżej. – Narysowała łuk, a potem na nim drugi, bardziej ostry. – Wróci w taki sam sposób.

– Czemu, *maman*?

– Bo taka jest natura przedmiotów, które znajdują się w ruchu, wobec siły grawitacji. Ta siła jest zbyt duża, by przedmioty mogły się jej oprzeć. Możesz użyć wzoru Newtona albo Leibniza, żeby ustalić dokładny tor poruszania się jakiegokolwiek przedmiotu. Kula armatnia wyrzucona w górę poleci tak – Emilie narysowała

zakrzywioną linię – a spadnie tak – dorysowała następną, tworząc kolejny łuk. – A gdybyś wycelował działo wyżej, kula leciałaby tak. Używając wzoru, możesz to dokładnie wyliczyć.

– Ale po co, *maman*?

Emilie się uśmiechnęła.

– Żeby wiedzieć, jak twój pułk powinien wycelować działa w waszego wroga. Albo – co ważniejsze – żeby wiedzieć, co się będzie działo, kiedy to wróg wyceluje w was.

Obydwoje zaśmiali się głośno, ale Emilie szybko spoważniała.

– To ważne, bo Stwórca rozważał, w jaki sposób mogą dziać się różne rzeczy na świecie, i wybrał taki, który okazał się najbardziej harmonijny. Powiedział: „Sprawię, że grawitacja będzie wynosiła tyle i ani mniej, ani więcej". A potem: „Sprawię, że przedmioty będą mogły poruszać się z taką prędkością i ani trochę szybciej". A kiedy już stworzył świat, wprawił w ruch wszystko, cały wszechświat. Gdyby grawitacja na innej planecie była inna, wzór i tak miałby tam zastosowanie.

Pociągnęła palcem po łuku narysowanym na kartce.

– Symetria jest piękna, nieprawdaż? – zapytała, tarmosząc delikatnie syna za ucho. – A nauka to najczystsza forma piękna, Florencie-Louisie. Ucząc się, możemy dostrzec w świecie rękę Boga. Ja bym chciała ją dostrzec.

Emilie nie było łatwo samej uczyć Florenta-Louisa, ale jego ostatni nauczyciel, monsieur Linant, okazał się tak niekompetentny i wyrachowany, że musiała go zwolnić. Nie zamierzała zatrudniać następnego, jeśli oznaczałoby to marnowanie czasu dziecka na tę samą bezsensowną paplaninę. Miała ochotę zdzielić Linanta przez głowę, gdy usłyszała, jak tłumaczy Florentowi-Louisowi, że niektóre z boskich dzieł lepiej traktować jako tajemnice z szacunku dla Stwórcy. Co za bzdury! Bóg chce, by Go poznano. Po to obdarzył ludzi rozumem.

– To, co robi twoja piłka – kontynuowała – wynika z tych właśnie praw. Taka właśnie jest siła grawitacji. Prędkość, z jaką podrzuciłeś piłkę, sprawiła, że poleciała ona na taką, a nie inną wysokość i że droga, którą pokonała, miała taki, a nie inny przebieg, ponieważ nie było innej możliwości.

– Wszystko to sprawił Bóg – stwierdził Florent-Louis, z powagą kiwając głową.

– Tak, *mon chéri*, ale nie w tym sensie, w jakim wielu ludzi myśli. Sprawił to, używając matematyki. I fizyki. Kiedy

powiedział: „Niech stanie się światłość”, miał na myśli, żeby powstało źródło energii, która ogrzeje i oświetli świat. I żeby nie było ono ani za daleko, ani za blisko, i by Ziemia się wokół niego kręciła, a ruchy Słońca i Księżyca wyznaczały dzień i noc, i pory roku.

Zadarła głowę, patrząc na gałęzie drzewa.

– W gnieździe na gałęzi siedzi ptak. Jeśli przeanalizujesz wszystko dokładnie, zobaczysz, że i ptak, i gniazdo istnieją dlatego, że Bóg powiedział: „Niech stanie się światłość”. Bóg to Wielki Matematyk. Jeśli chcesz go odnaleźć, szukaj w łuku, który tworzy podrzucona piłka. Szukaj w całym wszechświecie. A szczególnie wytrwale w rzeczach, których nie rozumiesz, bo on się chowa właśnie tam, czekając, aż go znajdziemy.

Emilie widziała, że chłopiec przestaje się skupiać na jej słowach.

– Przyniosłam ci coś – oznajmiła więc, wyciągając szklaną fiolkę i długą cienką rurkę.

– Co to?

Emilie wyjęła zatyczkę i zanurzyła w fiolce jeden z końców rurki. Trzymając drugi jej koniec w ustach, wydmuchnęła opalizującą kulę, która, podrygując, uniosła się do góry i po chwili pękła.

Florent-Louis otworzył szeroko oczy ze zdziwienia.

– Jak to zrobiłaś?

Emilie zaśmiała się serdecznie.

– To tylko jedna z właściwości mydła. Chciałbyś spróbować?

Florent-Louis wziął do ręki fiolkę i rurkę.

– Widzisz? Światło nie ma dających się zauważyć kolorów ani w środku bańki, ani na zewnątrz. Barwy można dostrzec tylko na jej powierzchni, bo tutaj światło się załamuje.

Chłopiec puszczał bańkę za bańką, słuchając jednym uchem. Emilie uśmiechnęła się wyrozumiale i pozwoliła mu odejść. Patrzyła, jak oddalał się tanecznym krokiem, posyłając w niebo coraz to nowe bańki. Sama też ruszyła w stronę domu.

Jakie Bóg ma zamiary? To ją interesowało daleko bardziej niż patrzenie na owoce owego bożego planu. Chciała zobaczyć Jego rękę w akcie twórczym, chciała usłyszeć, jakimi słowami sprawił, że wszechświat stał się funkcjonującą całością. Czy dałoby się to wyjaśnić za pomocą dwóch czy trzech ważnych zasad zależnych od siebie, a może nawet od jednej, od której wszystko się zaczęło?

Czekając na ogłoszenie przez akademię wyników konkursu, zaczęła pisać książkę, w której zamierzała najlepiej jak potrafi wyjaśnić podstawy bożego świata – tak jak rozumiała je sama. Postanowiła pracować nad dziełem, które zatytułowała *Założenia fizyki*, aż książka będzie nadawała się do publikacji – ta praca stanie się jej przesłaniem dla świata.

Na tacy leżały dwa listy z Paryża – jeden do Woltera, a drugi do niej. Wzięła ten zaadresowany do siebie i przyjrzała się bacznie pieczęci na kopercie. Akademia Nauk!

Jak rozumiemy, pomimo iż praca została złożona anonimowo, jest Pani autorką eseju, który brał udział w corocznym konkursie akademii. Mamy przyjemność poinformować Panią, iż praca otrzymała honorowe wyróżnienie.

Przedstawione przez Panią idee wydają się na tyle interesujące, że postanowiliśmy uczynić bezprecedensowy krok: opublikować Pani esej jako dodatek do trzech prac, które wygrały konkurs. Dzięki temu Pani praca zyska rozgłos, na który w pełni zasługuje, i stanie się przyczynkiem do rozpoczęcia dysputy naukowej. Osobnym listem informujemy monsieur Woltera, że on, podobnie jak Pani, otrzymał wyróżnienie, motywowane w dużej mierze niespodzianką, jaką sprawił jako człowiek pióra. Akademia bowiem pragnie zachęcić do szerzenia nauki wszystkich, którzy mają ku temu skłonności. Ponieważ jednak w jego pracy widać pewne błędy, a konkluzje, do których dochodzi, nie są w pełni słuszne, zaproponowaliśmy, aby opublikował ją własnym sumptem.

Emilie przycisnęła list do piersi. „Wygrałam” – szepnęła. To chciała jej powiedzieć akademia. Że gdyby nie była kobietą, toby wygrała.

– Co mówiłaś? – Wolter właśnie pojawił się w drzwiach. Po jego stroju poznała, że wybierał się na spacer. Drżącą ręką podała mu jego list.

Przeczytał zwięzłą wiadomość zawartą na jednej kartce.

– Honorowe wyróżnienie? – parsknął. – Cóż, na początek może być i to. – Spojrzał na Emilie. – Co się stało?

– Nic – odparła, podając mu swoją kopertę. Twarz Woltera czerwieniała coraz mocniej w miarę, jak czytał i pojmował, co się stało.

– Zgłosiłaś pracę na konkurs i nie powiedziałaś mi o tym? I zamierzają ją opublikować?

Serce Emilie struchlało, gdy patrzyła, jak Wolter uderza dłonią w list od akademii. Nagle, ku jej zdziwieniu, zaśmiał się i oznajmił:

– Właściwie całkiem dobrze się stało! Cirey tym samym zostało najważniejszym ośrodkiem naukowym we Francji. Ludzie będą zabiegać o zaproszenie do nas. Kupię więcej przyrządów i wszystkie książki z fizyki, jakie kiedykolwiek wydano.

Pląsając radośnie wokół niej, dodał:

– Poczekaj tylko! Za dwa lata stanę się jednym z największych uczonych w Europie!

Emilie poczuła, jakby jej serce przygwoździł ciężki kamień. Nie przeczytał listu? Nie zorientował się, że to jej uczyniono większy honor? Wolter ujrzał zszokowaną minę ukochanej.

– Oczywiście nigdy nie omieszkam wspomnieć, jaka jesteś inteligentna. I nic się nie martw – zawsze będę powtarzał, że bez ciebie nie osiągnąłbym tak wiele.

15

1767

Światło słoneczne wlewało się przez okna i oświetlało żółte ściany pokoju muzycznego w Hôtel Bercy. Delphine siedziała na fotelu obok Lili. Na dywanie pomiędzy nimi skakał mały piesek rasy bichon frise; taki sam jak ten, jakiego miały w dzieciństwie. Lili obserwowała szczeniaka, który starał się zwrócić na siebie uwagę Delphine, ciągnąc za rzemyk jej buta.

– Pamiętasz, jak Tintin rozkładał się na łóżku, gdy my czesałyśmy sobie nawzajem włosy?

– A ty opowiadałaś mi różne historie – dodała Delphine.

Lili uśmiechnęła się przelotnie.

– O sukniach. Z których większość uszyto dla księżniczki Delphine.

Delphine westchnęła tęsknie.

– Kiedyś wydawało mi się, że księżniczki nie robiły nic innego tylko... cóż, były księżniczkami. – Na chwilę zapadła cisza. – Dzięki małżeństwu jeszcze bardziej podziwiam *maman*. Zawsze sprawiała wrażenie, jakby wszystko przychodziło jej bez wysiłku, ale teraz wiem, że pani domu ma więcej pracy, niż myślałam.

Lili jednak nie słuchała.

– Ciekawe, którego według niej miałabym poślubić.

– Nikt nie może cię zmusić do ślubu, nawet gdyby chodziło o króla Francji – odparła Delphine.

Od dnia, kiedy baronowa Lomont pokazała Lili list od ojca, w którym zrzekał się swych praw do decydowania o zamążpójściu córki, minęły trzy miesiące. Kilku kandydatów zgłosiło się do baronowej, wyrażając zainteresowanie dziewczyną. Jeden z nich pochodził ze zubożałej rodziny o znakomitym rodowodzie – *noblesse d'épée* zarówno ze strony ojca, jak i matki. Miał trzydzieści lat. Dobry wiek na małżeństwo dla arystokraty. Baronowa zwróciła uwagę Lili, że cierpieliby biedę, ale za to ich dzieci miałyby lepsze widoki na przyszłość dzięki jego nazwisku. Mężczyzna odznaczał się dość atrakcyjną aparycją, jednakże śmiał się z niewyszukanych żartów tak mocno, iż puszczał gazy albo dostawał czkawki. Lili i baronowa złożyły wizytę w domu, w którym mieszkał z matką. Gdy Lili weszła do biblioteki, ze zgrozą zobaczyła niemal całkowicie puste półki.

– Ale ma własny pułk – pocieszała ją Delphine. – A to oznacza, że nie będzie go często w domu. Mogłabyś zaopiekować się biblioteką i za pieniądze z renty od ojca kupić książki, które byś chciała.

– A z kim miałabym o nich rozmawiać? – Lili pytająco uniosła brwi. – Wydaje się, że ten człowiek w ogóle nie ma mózgu.

Wstała i przez chwilę chodziła bez celu po pokoju, żeby wreszcie usiąść w tym samym miejscu.

– Nie chcę nienawidzić swojego życia – powiedziała wreszcie. – Ciekawe, ile jest kobiet, które nie znoszą, gdy ich mąż jest w domu.

– Prawdopodobnie dość dużo – zauważyła Delphine. – Na szczęście ja nie jestem jedną z nich, choć obawiam się, że niedługo Ambroise może wyjechać, ponieważ wymagana jest jego obecność w Étoges. Miałam wybrać się z nim, ale cały czas mnie mdli. – Delphine dotknęła brzucha koniuszkami palców. – Podobno za kilka tygodni mi przejdzie, ale na razie na samą myśl o podskakiwaniu na wybojach robi mi się niedobrze.

Lili się uśmiechnęła.

– Za kilka miesięcy będziesz okrągła jak piłka. To już kiedy? W marcu? Będziesz miała dziecko. Nie mogę w to uwierzyć.

Delphine spojrzała na nią rozmarzonym wzrokiem.

– Jeśli urodzi się dziewczynka, nie wyobrażam sobie, żeby mogła mieć na imię inaczej niż Julie. A co powiesz na Julesa, jeśli

będzie chłopiec?

– Nie znam nikogo o tym imieniu, Lili. Ale może to właśnie lepiej. Żaden okropny Jules nie zohydzi ci tego imienia.

Lili spoważniała.

– Dobrze, a więc zdecydowałyśmy, że nie mogę poślubić Charles'a Laroche'a. W takim razie pozostaje mi Édouard de Rabutin.

Delphine się skrzywiła.

– Chyba nie chcesz, żebym wymiotowała tu i teraz. Jak tylko pomyślę, że miałabym pocałować tego... tego jaszczura... – Widząc przerażenie na twarzy Lili, chwyciła ją za dłoń. – Przepraszam. Zapomniałam, że być może ty będziesz do tego zmuszona.

– Może zmieni się w przystojnego księcia – próbowała zażartować Lili. – Oświadczyłam baronowej, że potrzebuję jeszcze miesiąca, aby podjąć decyzję. Oznajmiła, że poczeka nie dłużej niż miesiąc. Zapowiedziała też, że jeśli i te oferty przepadną, zabezpieczy mi miejsce w Abbaye de Panthémont.

– To chyba nie byłoby złe wyjście? Przynajmniej nie musiałabyś wychodzić za żadnego z nich.

Lili się skrzywiła.

– Zmusiłaby mnie do życia w ubóstwie, na łasce i niełasce zakonnic, tylko po to, żeby mnie ukarać. Nikt nie może mi kazać, abym złożyła śluby, ale i tak żyłabym jak zakonnica, i wcale nie miałabym pokoju w tym ładnym skrzydle, w którym ty mieszkałaś. Baronowa powiedziała, że oddanie do zakonu jest jedynym wyjściem w sytuacji, gdy dziewczyna nie rokuje nadziei poprawy.

Mówiła drżącym głosem. Nie chcąc się rozpłakać, skupiła wzrok na dłoniach.

– Bez przerwy przypomina mi, że złożyłam przysięgę przed Bogiem, i przez to czuję się... czuję się taka zobligowana do dotrzymania słowa!

– Bzdura! – wykrzyknęła Delphine. – A zapytałaś kiedykolwiek Boga, czy przyjmuje twoją obietnicę? Może machał do ciebie ręką, dając znać, że masz powiedzieć „nie", albo akurat zakrył uszy, żeby cię nie słyszeć?

Lili się uśmiechnęła.

– Może masz rację. Może przysięga przed Bogiem nie różni się tak bardzo od innych. W końcu nie obiecałam nic samemu Bogu, tylko człowiekowi, a poza tym czasem zachodzą takie

okoliczności, w których wolno złamać dane słowo – dokończyła cicho. – Chciałabym jednak mieć pewność, że to nic złego.

– Oczywiście, że nie! Po prostu nie pozwolimy wydać cię za mąż za żadnego z nich, niezależnie od tego, co i komu obiecałaś! – Oczy Delphine rozbłysły, ale po krótkiej chwili się uspokoiła. – Tylko... co zrobimy?

– Nie wiem. – Lili wypowiedziała te słowa tak cicho, że Delphine ledwie je usłyszała.

– Mówisz zupełnie jak ja, kiedy myślałam, że Ambroise ożeni się z Anne-Mathilde. Czułam się wtedy jak kwiat w wazonie bez wody. – Delphine wzięła psa na ręce i zmierzwiła mu sierść. – Nie pozwoliłaś na to, pamiętasz? Mam zamiar zrobić to samo dla ciebie. – Delphine wpatrywała się w białe gzymsy pokoju tak intensywnie, jakby spodziewała się wyczytać w ich ozdobnej formie jakąś tajną wiadomość. – Zastanawiałaś się kiedykolwiek nad tym, aby porozmawiać ze swoim ojcem? Skoro nie przyjdzie do ciebie, może ty powinnaś udać się do niego?

– Ale skąd mam wiedzieć, czy on w ogóle jest w Paryżu?

– To nie powinno być trudne. Poproszę Ambroise'a, żeby się dowiedział.

– A jeśli go nie ma?

– Cóż – odparła Delphine. – W takim wypadku będziesz musiała złożyć mu wizytę w Cirey.

– Oczywiście! – wykrzyknęła Lili. – Zapytam baronową, czy użyczy mi powozu. A może powinnam pojechać tam na Comète?

– Ależ ja mówię poważnie! – Delphine postawiła psa na dywanie. – Baronowa Lomont o niczym nie musi wiedzieć. Wszyscy razem pojedziemy do Étoges, a przynajmniej tak będzie się jej wydawało. Pożegnasz się z nią, powiesz, że o wyborze męża zdecydujesz w Étoges, i że wrócisz za miesiąc. Tymczasem wsiądziesz w dyliżans do Cirey, a my pojedziemy do Étoges bez ciebie.

– Ale przecież spodziewasz się dziecka! Sama przed chwilą mówiłaś, że nie zniesiesz żadnej podróży...

– Nieważne, mogę wymiotować choćby i całą drogę – nie poddawała się Delphine. – W dniu mojego ślubu przysięgłam sobie, że teraz nadeszła twoja kolej na bycie szczęśliwą. A jeśli mam cokolwiek do powiedzenia, nie pozwolę, abyś wyszła za mąż za kogoś... – W jej oczach pojawiły się łzy. – Za kogoś, kto zniszczy osobę, którą kocham najbardziej na świecie.

NASTĘPNEJ SOBOTY, tuż po świcie, dyliżans Lili wyjechał ze stacji przy ulicy du Braque. Przez trzy dni, kiedy zmierzał na wschód, miejscowości za oknem stawały się coraz mniejsze, a wiejskie posiadłości coraz biedniejsze. Wreszcie trzeciego dnia w małej wiosce Bar-sur-Aube Lili wyszła z powozu i pożegnała go wzrokiem, gdy odjeżdżał przez to senne miasteczko w Szampanii i znikał na drodze prowadzącej do Genewy.

– Jak daleko stąd może być Cirey? – zapytała na głos, choć służący i pokojówka, którzy podróżowali z nią z Hôtel Bercy, zupełnie nie znali tych okolic. „Nie ma powodu do zmartwienia" – stwierdziła. Ambroise chętnie wziął udział w ich konspiracyjnych działaniach i zaplanował, co Lili ma zrobić po przyjeździe.

– Znajdź sobie nocleg. Weź pokój na moje nazwisko rodowe i udawaj, że jesteś mężatką – powiedział. – Niech służący rozniesie wieść, że z Paryża przyjechała madame d'Étoges.

Ambroise napisał do znajomego, który mieszkał niedaleko Cirey, prosząc, aby wysłał po Lili do Bar-sur-Aube powóz i woźnicę. Dość dużo pozostawiono przypadkowi i Delphine tak się tym martwiła, że nie mogła usiedzieć na miejscu. Co chwilę wstawała i niespokojnie chodziła po pokoju. A co, jeśli ten znajomy akurat wyjechał i nie będzie w stanie pomóc? A co, jeśli list zgubi się po drodze? A jeśli coś strasznego przydarzy się Lili w podróży?

– Szczerze mówiąc – przedstawiła swój punkt widzenia Lili – wolę mieć gardło podcięte przez jakiegoś bandytę, niż wychodzić za mąż za któregoś z kandydatów wybranych przez baronową.

Jednak podróży nie zakłócił żaden bandyta, dyliżans się nie popsuł, a pozostali pasażerowie nie byli typami spod ciemnej gwiazdy, jak wyobrażała to sobie Delphine. Dla Lili cała podróż okazała się nużącą jazdą niedobrymi drogami wzdłuż ciągnących się kilometr po kilometrze pól. A teraz wreszcie dotarła na miejsce.

Nie poinformowała markiza du Châtelet o swoim przyjeździe z obawy, że mógłby napisać do baronowej i zniweczyć cały plan. Nie liczyła więc na to, że ktokolwiek z pałacu wyjedzie jej na spotkanie. Zgodnie z ustaleniami miała zatrzymać się w gospodzie i czekać, aż znajomy Ambroise'a przyśle po nią powóz albo dotrze list z Étoges informujący o zmianie planów. W razie potrzeby Ambroise sam przybędzie jej na ratunek.

Służący Lili, Stephane, zadbał, aby kufer podróżny panienki

zabrano do pokoju, a potem poszedł sprawdzić, czy gdzieś w miasteczku nie czeka na nią list. Jechali od świtu bez przerwy, więc teraz, gdy pokojówka Justine poszła na górę rozpakować i przygotować rzeczy potrzebne do spania, Lili uświadomiła sobie, jak bardzo jest głodna.

Gospoda nie przypominała żadnego innego miejsca, jakie kiedykolwiek odwiedziła. Było to ciemne, wyłożone drewnem pomieszczenie o niskim suficie. Znajdował się tu wielki kamienny kominek, z którego unosił się kwaśny zapach zimnego, poczerniałego drewna. Kilku ludzi w obdartych ubraniach roboczych siedziało przy stole i rozmawiało z mężczyzną wycierającym szmatką naczynia pozostawione przez gości. Mężczyzna podszedł do Lili.

– Czy madame zechciałaby usiąść tam – zapytał – aby nikt jej nie przeszkadzał? – Wskazał dłonią oddalony kąt sali.

Lili poszła za nim do stolika.

– Czy mam przynieść pani coś do jedzenia? – zapytał, zapalając świecę. Zanim jednak Lili zdążyła odpowiedzieć, mężczyzna zniknął. Za kilka minut znów się pojawił, niosąc miskę gulaszu tak dużą, że musiał ją trzymać obydwiema rękami. W zgięciu łokcia miał kawałek chleba.

– Madame życzy sobie wina? – zapytał, kładąc chleb wprost na drewnianym stole. Lili skinęła głową bez zastanowienia, wciąż nie mogąc wyjść ze zdumienia, że tak bezceremonialnie podano jej jedzenie. Spodziewała się, że dostanie przynajmniej jakiś wybór dań.

Sięgnęła po znajdującą się w misie łyżkę, która wyglądała bardziej jak chochla – bardzo szeroka i dość głęboka. Zupełnie nie przypominała maleńkich łyżek do zupy, jakich używało się w domu. Z misy unosił się zapach gulaszu. Kiedy obsługujący Lili mężczyzna poszedł po wino, dziewczyna podniosła łyżkę do ust i spróbowała potrawy. Przymknęła oczy i przez chwilę delektowała się słodkawym, mocnym smakiem baraniny z trybulą, cebulą i marchewką. Delikatne mięso rozpływało się w ustach; jadła łyżkę po łyżce, aż na dnie misy pozostały resztki, które zebrała chlebem.

Właściciel gospody podszedł do stołu.

– Smakowało pani? – zapytał, wskazując puste naczynie. – Chciałaby pani dokładeczkę?

„Zachowujesz się jak zwierzę – usłyszała w głowie głos

baronowej Lomont. – Jak świnia kwicząca o więcej pomyj".

– Tak – odpowiedziała radośnie. – Jeszcze jedną porcję, *s'il vous plait*.

STEPHANE WRÓCIŁ dokładnie w momencie, kiedy Lili kończyła pić wino. Poinformował dziewczynę, że nikt o nią nie pytał, ani nie miał dla niej żadnego listu. Gdy poszedł poprosić o drugi pokój dla siebie, Lili poczuła się nagle osamotniona w tym nowym miejscu. Przestraszyło ją to uczucie, więc szybko wstała od stołu i poszła na górę do swojego pokoju.

Sufit zawieszony był tak nisko, że mogła wyciągnąć rękę i go dotknąć. Ale łóżko wyglądało zachęcająco i okazało się bardzo miękkie. Lili nalała z dzbana trochę wody do popękanej porcelanowej miski. Niespiesznie umyła ręce, rozważając swoje położenie. Cały jutrzejszy dzień poczeka, a jeśli nikt się nie zjawi, następnego dnia wynajmie woźnicę i sama wyruszy do Cirey. „Nie po to przejechałam taki szmat drogi, aby teraz siedzieć w Bar-sur-Aube – postanowiła. – Spotkam się z ojcem, choćbym tam miała iść na piechotę i wyważyć drzwi".

Do jutra zostało jeszcze dużo czasu. Wyciągnęła swój podróżny zestaw piśmienniczy i otworzyła małą fiolkę z atramentem. Zanurzyła w niej pióro i zaczęła pisać.

> Karpacka wieża piętrzyła się wysoko ponad zaśnieżonymi wierzchołkami gór. Przez niewielkie okienko na samym szczycie budowli Świergotka usłyszała głos młodej panny.
>
> – Co robisz tam na górze?! – zawołała.
>
> – Zostałam uwięziona przez rodziców, bo ich nie posłuchałam.

Lili pisała w natchnieniu, aż jej pióro się stępiło. Czuła się zbyt zmęczona, by je naostrzyć, westchnęła więc głośno i położyła się do łóżka.

Następnego dnia obudziły ją głosy za oknem. Główny plac miasteczka, wczoraj opustoszały i senny, teraz wypełniony był rzemieślnikami i rolnikami zachęcającymi do kupna swych towarów. Młode nioski gdakały, gęsi gęgały, a prosiaki kwiczały w swojej zagrodzie. Wszędzie stały wypchane po brzegi kosze z jabłkami i gruszkami, a gęsto rozwieszony pachnący chmiel

dawał cień umęczonym słońcem handlarzom.

– Najlepsze jajka! Najlepsze! – krzyczał jakiś mężczyzna. – Jajka z hodowli w Cirey!

Cirey? Serce Lili zabiło mocniej. Skoczyła do krzesła, na którym Justine powiesiła jej suknię, żeby się przewietrzyła. Założyła ją w okamgnieniu i próbowała zasznurować gorset, ale po kilku próbach się poddała. By nie rzucało się w oczy, że suknia jest poluzowana, zarzuciła na siebie podróżną pelerynę. Jeszcze chwilę spędziła, walcząc z butami, które trudno wciągało się na bose stopy, i pospieszyła na dół, nie zważając na łopoczącą suknię.

Podążyła w kierunku, z którego usłyszała głos.

– Mówi pan, że jest z Château de Cirey? – zapytała krzepkiego mężczyznę, na oko czterdziestoletniego.

– Z wioski – wyjaśnił sprzedawca, zdjąwszy uprzednio kapelusz. – Nie mieszkamy w samej posiadłości, jeśli to pani miała na myśli.

– Jak się pan tu dostał? – zapytała.

Jej pytanie zbiło go z tropu, poruszył się więc niepewnie.

– Furmanką – odpowiedział. – Za pozwoleniem, jakżebym miał przyjechać inaczej? Przywozimy tu jajka i warzywa, które hodujemy w naszym ogrodzie. W tym tygodniu tylko trochę buraków i jakieś marchewki.

Spojrzał na Lili i natychmiast odwrócił wzrok. Czuł się skonfundowany – poznał po akcencie, że kobieta pochodzi z wyższych sfer Paryża, ale jej zwichrowane włosy i ślady snu w kącikach powiek nie pasowały do takiego statusu... – Czy mogę w czymś pomóc, mademoiselle?

– Ja po prostu zastanawiałam się, jak zorganizowany jest tutejszy rynek. Jak ludzie tu dojeżdżają? Jak przywożone są towary?

– Cóż, już wyjaśniłem – powiedział, śledząc wzrokiem ludzi mijających jego furmankę. – Jaaajka! – zawołał głośno. – Jaaaajka z Cirey!

– O której wraca pan do domu? – zapytała Lili.

– W południe, chyba że sprzedamy wszystko wcześniej... Jajka z Ciiirey!

Lili przeszukała kieszenie i znalazła w nich kilka monet.

– Proszę posłuchać – zwróciła się do sprzedawcy. – Muszę się dostać do pałacu, a nie mam jak. Proszę przyjąć te pieniądze. Zapłacę więcej, gdy zabierze mnie pan ze sobą.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

– A ja mówiłem żonie, że dziś nie ma po co tu przyjeżdżać, bo mamy za mało towaru! Niech pani wróci za dwie godziny. Moja furmanka nie jest powozem odpowiednim dla takiej damy, ale dowiezie panią na miejsce.

– Chciałaby pani spróbować mojego chleba, mademoiselle? – zaproponowała siedząca obok sprzedawcy jajek kobieta. Ukroiła kromkę i posmarowała ją obficie masłem i dżemem, mówiąc: – Piekłam dziś rano, świeżutki. Dżem z pigwy też mojej roboty.

Chleb był gęsty, ciężki i niepodobny do żadnego pieczywa, jakie Lili kiedykolwiek próbowała. Masło rozpływało się w ustach, a kawałki owoców miały tak intensywny smak, że Lili zapomniała o bożym świecie. Oblizując palce ze smakiem, przyjęła jeszcze jedną kromkę. Obiecała wrócić później z pieniędzmi i ruszyła z powrotem do gospody. Niosąc przed sobą lśniący dżemem chleb jak drogocenny klejnot, zastanawiała się, czy jeszcze w życiu spotka ją moment tak nieskażonej niczym przyjemności.

Gdy wróciła, właściciel gospody krzątał się już po sali.

– Wie pan, jaki dzień dziś mamy? – zapytała.

– Nie powiem tak od razu – odrzekł – ale mogę obliczyć. Dziś dzień targowy, więc czwartek. Czwartek, czwartek... – powtarzał, sprawdzając dokładną datę w almanachu, który trzymał pod ladą – czwartek, trzeci września, tysiąc siedemset sześćdziesiątego siódmego roku.

Lili odsłoniła zęby w swoim najpiękniejszym uśmiechu. „Dziś są moje urodziny – pomyślała. – Dziś kończę osiemnaście lat. Moim prezentem będzie wizyta w Cirey".

ZAPRZĘŻONY W DWA KONIE WÓZ niespiesznie toczył się zakurzoną wiejską drogą do Cirey. Tuż obok Lili siedziała na nim mocno zbudowana kobieta w fartuchu założonym na suknię o postrzępionych rękawach i wytartych łokciach. Lejce trzymał zbliżający się do siedemdziesiątki staruszek z pomarszczoną twarzą i siwą brodą. Z tyłu na sianie siedział Stephane z mężczyzną, którego Lili poznała na targu. Justine przycupnęła na pustym opakowaniu po jajkach, łapiąc się kurczowo krawędzi wozu za każdym razem, gdy podrzucało nim na drodze.

– Znacie markiza? – Lili zapytała starszą parę.

– Czy go znamy? – odpowiedziała kobieta. – Pracowałam dla

niego prawie całe życie. Dla niego i dla madame, dopóki żyła.

Serce Lili zabiło mocniej. „Madame?".

– Byłam praczką, ale potem coś się porobiło z moimi rękami. – Kobieta wyciągnęła przed siebie dłonie naznaczone reumatyzmem. – Co tydzień na podwórzu robiłam pranie. Zniszczyło mi to plecy: te kadzie, wyżymaczki i liny do suszenia. A najgorzej to już jak przyjeżdżali goście.

Kobieta kiwnęła głową w stronę staruszka.

– On zajmował się zwierzętami w gospodarstwie do czasu, gdy pan zachorował i przestało mu na tym zależeć. Większość kur zdechła w zeszłym roku; markiz niewiele potrzebuje, więc przynosimy mu jajka. Nawet nie zauważył, że coś się zmieniło, biedaczek.

– W domu teraz takie pustki – wtrącił mężczyzna i ponownie zamilkł.

– Mówiła pani, że mój... że markiz jest chory? – zapytała Lili. Aż do tej chwili plan, aby odwiedzić ojca, wydawał jej się nierealny, niczym kolejny pomysł do któregoś z opowiadań. Teraz jednak Lili poczuła, że ściska ją w żołądku. Ma spotkać się z rzeczywistym człowiekiem, i to takim, o którym nic nie wie. Nagle wystraszyła się tej perspektywy. „Dam radę wrócić do Bar-sur-Aube na piechotę? Mogę poprosić, żeby zawrócili wóz? Powiem, że popełniłam straszny błąd i zapłacę im za fatygę".

„Niech koła zakręcą się jeszcze raz i wtedy poproszę, żeby się zatrzymali" – myślała Lili za każdym razem, gdy wielkie drewniane koła furmanki po raz kolejny zataczały pełny krąg. W końcu się uspokoiła. „Jadę do Cirey, czy jestem na to gotowa, czy nie – zdecydowała. – Zastanowię się nad wszystkim, gdy już tam dojedziemy".

Ponownie skupiła uwagę na kobiecie, która opowiadała o markizie.

– To dobry człowiek. Nie z tych, co traktują drugiego jak brud na polu, każą pracować dzień i noc, tak że nie ma kiedy własnych krów wydoić albo przepędzić ptaków, co to wyjadają ziarna z ogrodu. – Staruszka potrząsnęła głową. – Nie, nie. Markiz nie z tych, to naprawdę dobry człowiek. Niech Bóg ma go w swojej opiece. – Popatrzyła na Lili i dodała: – Sądziliśmy, że mademoiselle wszystko to wie, skoro jedzie go odwiedzić. Myślałam, że może jest gorzej, niż nam wiadomo.

Lili nie przyszło wcześniej do głowy, że będzie musiała

wymyślać jakąś historię o sobie samej.

– Jestem jego siostrzenicą – oznajmiła, jednak szybko dokonała obliczeń w głowie i się poprawiła: – Właściwie to córką jego siostrzenicy. Chciałam złożyć mu krótką wizytę, skoro choruje.

Nikt nic nie powiedział. „Oczywiście nie uwierzyli" – pomyślała. Młode szlachcianki nie pojawiają się nieoczekiwanie same w obcej miejscowości i nie proszą pierwszej lepszej osoby z furmanką o podwiezienie. Ale naturalnie jako dzierżawcy nie zadają żadnych pytań.

– Proszę mi opowiedzieć, jak tu się kiedyś żyło – poprosiła. – Uwielbiam słuchać historii o czasach przed moim urodzeniem.

Staruszka odchrząknęła.

– Było wesoło – zaczęła. – Zazwyczaj młodym ludziom wydaje się, że świat powstał dopiero wtedy, kiedy oni się na nim pojawili. Jakby wszystkie rozumy pozjadali.

– Niech mi pani opowie o madame markizie. – Lili próbowała nie okazać, jak bardzo zależy jej na tym temacie. – Słyszałam, że była wyjątkową osobą.

Zauważyła, że staruszek się uśmiechnął, ale nadal milczał.

– Wyjątkowa to mało powiedziane – podjęła kobieta. – Miała mnóstwo szalonych pomysłów i zawsze wplątywała w nie innych.

– Ona była jakby nie z tego świata – odezwał się sprzedawca jajek siedzący z tyłu. – Zupełnie inna niż wszystkie kobiety, które widziałem w życiu.

Lili odwróciła się w jego stronę.

– Byłem jeszcze chłopcem, jakieś trzydzieści lat temu, kiedy ona i monsieur Wolter tu mieszkali, ale pamiętam, że ciągle się coś działo – powiedział, śmiejąc się. – Tato, pamiętasz, jak podpalili las?

– A niech to! Mało brakowało, a spaliliby też wszystko dookoła! – odparł starzec. – Kazali nam stać z wiadrami z wodą i smażyć się żywcem. – Zamilkł na chwilę. – Ale to i tak nic w porównaniu z kuźnią. Ciągle stapiali w niej różne rzeczy. Przez tydzień nie można było normalnie tam pracować.

– A pamiętasz teatr, prawda? – zapytał młodszy z mężczyzn. – Często razem z ich synem rozwieszałem afisze, a czasem nawet dostawałem kostium i stałem na scenie. Pamiętam, że wolałem słuchać, jak śpiewała, niż być na jakimś jarmarku.

„Syn". Lili rzadko myślała o tym, że jej matka miała syna. Baronowa nigdy nie ukrywała, że czterdziestoletni brat Lili,

którego dziewczyna nigdy nie poznała, traktował ją jak zagrożenie, jakby chciała zabrać mu i tak małą część jego ojcowizny. Co do siostry, wiedziała jedynie, że nazywa się Gabrielle-Pauline, otrzymała dość pokaźny posag, mieszkała daleko i nie pisała ani nie odwiedzała nikogo w Paryżu od przeszło dwudziestu lat. Lili wydawało się, jakby niemal nie istnieli. „Przyjechałam, żeby odszukać mojego ojca – przypomniała samej sobie – a nie rodzinę. Na to już za późno".

– Miała przepiękny głos – odezwała się kobieta. – Mogła godzinami śpiewać operę i wszystko pamiętała! I zawsze nas zapraszała, żebyśmy przyszli i posłuchali, a nie tylko swoich bogatych znajomych.

– Ale też dużo krzyczała – powiedział staruszek. – Zwłaszcza na monsieur Woltera. I to językiem, którym tu w okolicach nikt nie mówi.

Staruszka się zamyśliła.

– Nigdy nie rozumiałam, jak to z nimi było – stwierdziła w końcu. – Że on tu żył z nią jak mąż. A kiedy markiz wracał z pułku, spokojnie mieszkali we trójkę jak starzy przyjaciele. – Potrząsnęła głową. – Nie znam nikogo, kto by to znosił tak cierpliwie jak monsieur markiz.

– No, wysoko urodzeni różnią się od nas, co? – zauważył mężczyzna. – Mają inne zwyczaje.

Wśród jadących furmanką znów zapadła cisza. Przerwała ją Lili:

– Czy była ładna? – zapytała. – Żona markiza?

Kobieta odwróciła się i spojrzała na syna.

– Co powiesz, Anton? Była ładna?

– Mnie się zawsze wydawała ładna – rzekł sprzedawca jajek. – Ale jakoś inaczej. Nie przejmowała się fryzurą i makijażem jak inne damy, które tu bywały, ale zawsze nosiła diamenty, nawet w wannie.

– A skąd niby wiesz, co ona miała na sobie w kąpieli? – zainteresowała się jego matka.

– Bo raz ją widziałem. Wykonywałem jakąś robotę w domu i Longchamp poprosił o pomoc w zaniesieniu do łazienki gorącej wody. Powiedziała mu, żeby wylał ją dokładnie między jej nogi, i muszę przyznać, że zobaczyłem wtedy więcej, niż powinienem. No, ale od tamtej pory minęło tyle czasu, że na nikim nie robi to wrażenia.

– Longchamp? – zapytała Lili.

– Służący pana Woltera. *Maman*, pamiętasz Sébastiena Longchampa, prawda? Nieraz opowiadał, jak pani się przebierała, zdejmowała halkę i... jakby to powiedzieć... pokazywała, czym obdarzyła ją natura, i wcale nie zwracała uwagi na to, kto znajdował się w pobliżu. Mnie spotkało coś takiego, gdy była wystawiana sztuka: stała niedaleko ubrana w tak prześwitującą bieliznę, że tylko ślepy nic by nie zobaczył. Longchamp powiedział do mnie wtedy: „Dla nich moglibyśmy być równie dobrze miską rosołu stojącą na kredensie". Pewnie miał rację, w końcu mieszkał z nimi w domu i w ogóle.

Wzdłuż drogi zaczęły się pojawiać małe kamienne domy, a w oddali Lili dostrzegła wieżę kościoła.

– To już Cirey? – zapytała, ale zanim ktokolwiek odpowiedział, do wozu doskoczyły dwa psy, ujadając niemiłosiernie. Z najbliższej chałupy wyszedł około dziesięcioletni chłopiec, a za nim młodsza dziewczynka, trzymająca za rękę jeszcze jedno dziecko, pewnie trzyletnie.

– Tatusiu! – rozległy się dziecięce głosiki. – Przywiozłeś nam coś?

– Dziś nic – rzekł, załamując ręce. Widząc zawiedzione twarzyczki dzieci, roześmiał się i zawołał: – Oprócz tego! – Wyciągnął worek pełen malutkich cukierków, które kupił za pieniądze od Lili. Dzieci zapiszczały radośnie i prawie upuściły torebkę na ziemię – tak bardzo nie mogły doczekać się słodkości.

– A to kto? – zapytał chłopczyk, zauważywszy Lili.

– Gość markiza – odpowiedział Anton, przytrzymując lejce. – Biegnij i przyprowadź kogoś, kto przyśle powóz dla mademoiselle.

Następnie mężczyzna wyciągnął rękę i pomógł Lili zsiąść z furmanki.

– Siostrzenica markiza du Châtelet nie może przecież przyjechać do niego na wozie, prawda?

– *Maman*! Dama przyjechała nas odwiedzić! – krzyknęła córeczka Antona, wbiegając do domu.

Lili podążyła za nią. Gdy weszła do środka, poczuła zapach świeżego mleka. Światło słoneczne wpadające przez okna oświetlało izbę stanowiącą całe wnętrze domu. Słomiany materac zapadł się w ramie łóżka. Naprzeciwko niego było czarne od sadzy palenisko, a na nim kociołek. W jednym rogu pomieszczenia znajdowała się kołyska, obok niej – maselnica.

Żona Antona wstała z drewnianej ławy stojącej przy rodzinnym stole. Niemowlę ssało jej pierś.

– Proszę wybaczyć, mademoiselle, że nie wyszłam na zewnątrz. Maleństwo jest chore i je tak mało, że nie chciałam mu przeszkadzać. – Kobieta podeszła bliżej. Lili zobaczyła niemowlę tak wychudzone, że trudno było odgadnąć jego wiek.

Tymczasem staruszka, która z nimi jechała, też weszła do środka i patrzyła teraz z bliska na dziecko.

– Jeszcze z nami – powiedziała, wzięła je na ręce i nucąc cicho, odłożyła do kołyski. Przysiadła na taborecie przy dziecięcym łóżeczku i delikatnie poruszała nim jedną stopą, przypatrując się cały czas Lili.

– Musi być pani ze strony markizy – zauważyła żona Antona. – Jest pani do niej bardzo podobna, zwłaszcza z profilu.

Serce Lili zabiło mocniej.

– Moja matka... – Usiłowała przypomnieć sobie historyjkę, którą wymyśliła wcześniej tego dnia. – Moja matka była siostrzenicą markiza du Châtelet. Czy dziecko...

– Jest słabe od urodzenia – wyjaśniła babcia. – Z woli Boga.

Siostra niemowlęcia przyklękła przy kołysce i starannie się przeżegnała, kątem oka sprawdzając, czy babcia zauważyła.

– Musi być pani głodna po długiej podróży – powiedziała żona Antona. – Célie, przynieś ze spiżarni ser.

Dziewczynka wstała z kolan.

– Skąd pani jest? – zapytała, gdy po chwili wróciła z małym okrągłym kawałkiem sera. Położyła go na stole.

– Z Paryża – odparła Lili.

– Czy to blisko Bar-sur-Aube? – chciała wiedzieć Célie. – Byłam tam raz. I widziałam krasnoludka, prawda, *maman*? – zwróciła się do matki nakładającej masło do miski.

– Widziałaś krasnoludka, *ma chérie* – odpowiedziała kobieta, a Lili poczuła ukłucie w sercu, gdy przypomniało jej się, że do niej już nie ma kto się tak zwracać.

– Jest pani bogata? – pytała dalej dziewczynka, ale babcia uciszyła ją głośnym „ciii".

Dziecko w kołysce się poruszyło.

– Widzisz, co narobiłaś! – krzyknęła staruszka. Célie zmarkotniała.

– Ja tylko chciałam zapytać.

Czując, jakby podsłuchiwała małą rodzinną kłótnię, Lili

postanowiła zmienić temat.

– Czy markiz też nie miał córki?

– Nie pokazywała się tu zbyt często – odpowiedziała babcia. – Większość czasu spędziła w klasztorze w Joinville, a potem ją wydali za mąż, chyba za Włocha, pamiętasz, Lise?

Córka wzruszyła ramionami.

– Za jakiegoś obcokrajowca.

– Nie, nie chodzi mi o nią – powiedziała Lili. – Chodzi o tę drugą. Tę, którą urodziła niedługo przed...

– A, tak, tak... Ale nic o niej nie słyszałam, prawdę mówiąc – próbowała pomóc babcia. – Pewnie umarła, skoro nigdy nie widywaliśmy jej w Cirey?

– A jak miała na imię?

– Nie wiem.

„Dla nich właściwie nie istnieję – pomyślała Lili. – A tym bardziej dla człowieka, którego z takim trudem udało mi się odnaleźć i do którego przyjechałam".

Nie zdążyła jednak pogrążyć się w smutnych rozmyślaniach. Z zadumy wyrwał ją stukot kopyt i skrzypienie powozu. Woźnica krzyczał do dzieci, żeby nie zbliżały się do konia.

– Pójdę już – powiedziała Lili, dziwiąc się smutkowi w swoim głosie.

– Ale nic pani nie zjadła! – zaprotestowała kobieta. – Nie możemy wypuścić pani z domu bez posiłku.

– Nie trzeba, dziękuję.

Lili miała wrażenie, że teraz przez gardło nie przeszedłby jej nawet łyk wody. Poczuła, jak ogarnia ją paraliżujący strach.

Emilie

1738

Światło wpadające przez okna w rodzinnym domu markiza du Châtelet odbijało się od połyskującego drewna i purpurowej tapety zdobiącej ściany galerii. Przez otwarte drzwi do pomieszczenia dostawała się chłodniejsza bryza ciągnąca znad potoku. Słowiki w pozłacanej klatce stały tuż obok polakierowanego biurka zarzuconego papierami i przyrządami naukowymi, przy którym – niczym król – siedział Wolter. Jego tronem był mały obity materiałem fotel. Wolter, człowiek drobnej budowy, specjalnie zamawiał meble niewielkich rozmiarów, aby nie wydawać się przy nich jeszcze drobniejszym. Co bardziej korpulentni goście narzekali czasem, że nie ma gdzie wygodnie usiąść, ale ich nieśmiałe uwagi pozostawały bez odzewu.

Jedną z osób, które nie mogły wysiedzieć na meblach w galerii Woltera, był sam właściciel Cirey. Markiz nie należał do ludzi grubych. Chodziło raczej o to, że był wysokim i dobrze zbudowanym mężczyzną. Uwielbiał wino z własnej piwniczki i jedzenie pochodzące z jego ziem, zwłaszcza takie, które sam upolował.

Nawet gdy Florent-Claude przebywał w domu, Wolter nie zrzekał się swej roli wielkiego gospodarza porannych spotkań

przy kawie. Oprócz obiadów, po których często następowało czytanie na głos albo wystawianie sztuki w teatrze na poddaszu, główną rozrywkę dla gości przebywających w Cirey stanowiło trwające godzinę lub półtorej posiedzenie przy kawie, po którym Emilie i Wolter wracali do swoich spraw. Ktoś niezaznajomiony ze zwyczajami panującymi w tym domu, wchodząc do pokoju i widząc zachowanie Woltera, pomyślałby niechybnie, że dziedzicem tej cichej posiadłości w Haute-Marne jest mężczyzna w średnim wieku, mający w sobie coś z ptaka i noszący staroświecką perukę z dwoma rzędami loków, a nie elegancki, choć siwiejący dżentelmen, tak rozmiłowany w swoim mundurze, że nie zdejmował go nawet w domu.

Markiz umiał przymykać oko na niektóre aroganckie zachowania Woltera. W końcu galeria – a właściwie całe skrzydło pałacu – powstała dzięki pieniądzom pisarza. Kiedyś się wyprowadzi, a piękny dom, być może nawet z ukończonym drugim skrzydłem, pozostanie we władaniu markiza. Pałac został podniesiony z niewiarygodnej ruiny jedynie za cenę pozwolenia słynnemu człowiekowi na zamieszkanie z nimi i na sypianie z jego żoną! Niech ludzie gadają. Lepiej się z tego śmiać i pozostać przyjacielem zarówno Emilie, jak i Woltera – Bóg jeden tylko wie, jak bardzo takiego orędownika potrzebowali. Jak bardzo potrzebowali jego.

Florent-Claude odznaczał się większą dyskrecją niż jego żona, ale i on nie miał najmniejszych zadatków na świętoszka. Postanowił wyjechać wcześniej, niż wymagały tego sprawy pułku, i zatrzymać się na tydzień czy dwa w Nancy u swojej nowej pięknej kochanki. Szybko mu się znudzi, tak samo jak znudziła mu się w końcu Emilie, i wreszcie markiz znów dołączy do swoich kompanów i świata wojny – czyli dwóch rzeczy, które rozumiał, nie musząc się przy tym wysilać.

Teraz wydawało się, że Emilie znużyła również i Woltera. Przyczyna tkwiła nie tylko w jej intelekcie, ale także w zamiłowaniu do fantazyjnego i niekończącego się seksu. Oczywiście nie mogła w tej kwestii liczyć na Florenta-Claude'a. Seks małżeński traktował zdawkowo. To miłość kochanków pełna była pocałunków, powolnego zdejmowania z siebie ubrań i czułych szeptów wyrażających uwielbienie. Nigdy nie korciło go, żeby odnosić się w ten sposób do Emilie, ale też nie miał nic przeciwko, żeby robił to kto inny. No, może nie do końca, przecież był

mężczyzną, a żadnemu mężczyźnie nie podoba się, kiedy jego żona znajduje upodobanie w takich rzeczach.

Florent-Claude musiał przyznać, że niejaką przyjemność sprawiał mu widok Woltera dręczonego i krytykowanego przez Emilie, jakby to on był jej małżonkiem. Któregoś wieczoru Emilie zwróciła uwagę Wolterowi, że jego koszula jest wykończona zbyt dużą ilością koronki. Odpowiedział jej po angielsku, jak zawsze, gdy zanosiło się na kłótnię. Potem wybiegł z pokoju i tylko perswazja madame de Graffigny sprawiła, że wrócił do towarzystwa. Madame była niezwykle uprzejma, gdy przekonywała pisarza, że stanie się to dla niej osobistą tragedią, jeśli jeszcze tego samego wieczoru po kolacji nie usłyszy Woltera czytającego fragmenty swojej najnowszej sztuki.

Do tego dochodziła jeszcze satysfakcja z rymowanek, które ktoś wykradł, pofatygował się skopiować i wysłać Florentowi-Claude'owi. Wolter wymigiwał się w nich od uprawiania miłości, przekonując Emilie, że jego członek jest zbyt osłabiony, i twierdząc, że ten stan może trwać w nieskończoność. Wydaje się, że Emilie fakt ten nie dotknął zbyt mocno, i choć twierdziła, że wierszyk był zawistnym żartem jednego z krytyków Woltera, trzeba przyznać, że sprawiali teraz raczej wrażenie przyjaciół, a nie kochanków. Może Emilie skierowała już uwagę na kogoś innego? O ile nie wpływało to na reputację rodziny, Florent-Claude nie dbał, co robi żona. Prawdopodobnie jednak markizę całkowicie pochłonęła praca naukowa, która wypełniała teraz cały jej wolny czas.

– Posłuchaj tego. – Emilie wyciągnęła magazyn poświęcony nauce, podczas gdy służący nalewał domownikom kawy. – Chcesz poznać wymiary ludzi żyjących na Jowiszu? Wszystko jest pełne skomplikowanych wyliczeń, więc musi być prawdziwe. Jeśli wielkość oczu jest proporcjonalna do wielkości całego ciała, a wiemy dokładnie, ile mierzy źrenica oka i znamy odległość z Jowisza do Słońca w porównaniu z odległością do Ziemi, to wychodzi... – Po chwili Emilie podała wynik z dokładnością do kilku miejsc po przecinku.

– Pokaż mi to. – Françoise de Graffigny wyciągnęła rękę po gazetę, którą czytała przed chwilą Emilie. Zerknęła na czasopismo, a potem ze zdziwioną miną spojrzała na Emilie. – Ależ to jest po łacinie. I nie widzę tu żadnych cyfr.

– Tłumaczyłam, czytając – wyjaśniła Emilie. – A równanie było

na tyle proste, że obliczyłam w pamięci.

Jednak twarz Emilie też wyrażała zdumienie.

– To miał być dowcip. Człowiek na Jowiszu? Myślałaś, że mówię serio?

Madame de Graffigny powstrzymała się, aby nie prychnąć z pogardą, gdy zobaczyła wzrok markiza. Kiedy Emilie nie była zajęta nauką, do jej ulubionych rozrywek należało naśmiewanie się ze wszystkich, którzy nie zostali obdarzeni tak lotnym umysłem jak ona. Bo czyż nie o to chodziło w tych jej małych przedstawieniach? Tylko po co narzucała innym swoje zainteresowanie fizyką, skoro jeszcze tylko Wolter rozumiał takie dowcipy?

Markiz wiedział, jakie znużenie czuje w takich chwilach madame de Graffigny. Jej oczy mówiły, że powinien porozmawiać z żoną o tym, jak może stać się gospodynią bardziej przyjazną swoim gościom. Cirey byłoby takim przyjemnym miejscem, gdyby nie inteligencja jego żony! – zdawała się mówić mina kobiety. „Cóż, niech sobie myśli, co chce" – zdecydował markiz. Ale czy madame de Graffigny stanowiła dla swojego męża albo dla jej fircykowatego kochanka powód do dumy? Bo Florent-Claude miał żonę, którą mógł się chwalić, nawet jeśli jej nie rozumiał albo nie dbał o rzeczy, które ją tak zajmowały.

Wolter wstał z krzesła. Czas pogawędki się skończył. Kawa wystygła.

„To dobry dzień na polowanie" – pomyślał markiz. Właściwie każdy dzień był dobry na polowanie.

16

1767

Powóz ruszył sprzed domku, skręcił w następną ulicę, przetoczył się kilka metrów dalej i stanął. Wcześniej kępa drzew zasłaniała Lili widok, więc dziewczyna nie dostrzegła, że pałacyk znajdował się w odległości, którą bez problemu mogłaby pokonać na piechotę. Pomimo zdenerwowania uśmiechnęła się jednak na myśl o uporze, z jakim Anton twierdził, że powinna zajechać z fasonem.

Woźnica otworzył bramę i powóz wspiął się na dziedziniec przed pałacykiem. Dom okazał się mniejszy, niż się spodziewała, i wyglądał trochę niezgrabnie. Składał się z kilku brył o różnych wysokościach. Pośrodku głównej części budynku widniał kamienny łuk, znaczący wejście do domu. Z prawej strony dobudowano wyższe o jeden poziom skrzydło, zakończone tarasem na wysokości pierwszego piętra. Monochromatyczna żółć budynku przydawała mu harmonii, sprawiała, że wydawał się skończony i niedokończony jednocześnie.

Z ogrodu za plecami Lili dochodziły jakieś krzyki. Starszy mężczyzna w mundurze wojskowym opierał się ciężko na lasce i głośno na coś uskarżał, choć nie było widać żadnego adresata jego słów. Lili zawahała się, ale zrobiła kilka kroków w jego

kierunku.

– Proszę pana! – zawołała.

Mężczyzna obrócił się w jej stronę tak szybko, jak tylko pozwalało na to jego schorowane ciało.

– Gdzie mój pułk?! – wrzasnął. – Stacjonował tu nie dalej jak wczoraj!

– Ja... nie wiem – odpowiedziała Lili. – Dopiero przyjechałam. – Rozejrzała się wokoło, próbując wyobrazić sobie pułk wojska rozmieszczony wzdłuż strzyżonego żywopłotu.

– Przeklęty porucznik! – splunął. – Przysyłają mi chłopca, a tu potrzeba mężczyzny! Trzeba wygrać wojnę, ot co!

„Francja nie prowadzi teraz żadnej wojny" – pomyślała dziewczyna.

– Panie markizie – odezwała się Lili, niepewna, jak zwracać się do kogoś, kto nie jest przy zdrowych zmysłach. Mężczyzna przyjrzał jej się uważnie i przez moment Lili sądziła, że ją rozpozna. W tej samej chwili jego uwaga została jednak odciągnięta przez kobietę w średnim wieku, która biegła przez trawnik w ich kierunku.

– Monsieur! – krzyknęła do niego. – Pan nie może tak wychodzić! Mógł się pan zgubić!

– Cicho bądź! Tylko mnie męczysz!

Kobieta nie zwróciła uwagi na jego słowa.

– Proszę wracać – ponagliła, chwytając go za wiotkie ramię. Markiz poszedł, już więcej nie złorzecząc, a kiedy kobieta przekazała go pod opiekę drobnej służącej, odwróciła się do Lili i powiedziała:

– Pani musi być tą siostrzenicą, o której właśnie się dowiedzieliśmy. Którą właściwie?

– Nazywam się Stanislas-Adélaïde – przedstawiła się Lili. Służąca zastanowiła się. Widać było, że przeszukuje pamięć w poszukiwaniu krewnej o takim imieniu. – Nie jestem jego siostrzenicą – dodała. – Jestem jego córką.

– Ojej – westchnęła kobieta. – Nie wiem, czy to dobrze. – Rozejrzała się wokoło. – Niech pani pójdzie ze mną – rzekła pospiesznie, a następnie powiodła Lili na tyły domu i wprowadziła ją do środka wejściem kuchennym. – Proszę tu poczekać. Gdyby ktoś pytał, co pani tu robi, proszę powiedzieć, że jest pani moją kuzynką. – Służąca spojrzała na suknię Lili, która – choć pognieciona i przybrudzona – nadal wyglądała na modną

i drogą. – Nikt pani nie uwierzy, ale proszę tak wszystkim mówić, dopóki nie wrócę z Lucienem.

Lili została sama w przestronnej kuchni. Duży piec zajmował jedną ścianę. Wokół niego umieszczono mnóstwo półek i szafek z błyszczącymi miedzianymi garnkami w każdym rozmiarze i kształcie, jaki można sobie wyobrazić. Na palenisku stał wielki kocioł, z którego unosił się zapach dziczyzny, a na stojącym w środku pomieszczenia stole leżał bochen chleba i nieumyte jeszcze warzywa ułożone w zgrabny stosik. Zza uchylonych drzwi spiżarni widać było mnóstwo suszonego i zakonserwowanego jedzenia, worki mąki, kosze jabłek i cebuli, a także specjalne szafki na ser i słodycze. W osobnej części kuchni stał stół zastawiony dla ośmiu osób – jadała tu służba.

Kobieta wróciła, prowadząc za sobą mężczyznę mniej więcej w tym samym wieku. Pospiesznie zamknął za sobą drzwi.

– Przepraszam, że jako córce markiza nie okazuję pani należnego szacunku – powiedziała kobieta – ale markiz dostaje takich ataków wściekłości, że staramy się go nie denerwować. – Wskazała na mężczyznę. – To Lucien, mój mąż – wyjaśniła. – A ja jestem Berthe. Obydwoje pracujemy tu prawie całe życie. Znaliśmy pani matkę, świeć Panie nad jej duszą. – Berthe się przeżegnała.

– Markiza też znaliśmy, kiedy miał jeszcze coś oleju w łepetynie – wtrącił Lucien. – Nie to, co pani przed chwilą widziała. – Zamyślił się smutno. – Nie jest teraz w nastroju do przyjmowania gości, nie myśli prawidłowo.

Lili popatrzyła przez małe okienko na zachodzące słońce. Skoro ojciec nie mógł jej przyjąć, może poproszą, żeby odjechała? Oznaczałoby to powrót do Bar-sur-Aube po ciemku. Koniec końców była jednak córką markiza. Nie da się odesłać z niczym, przynajmniej nie dzisiaj.

– Jest ze mną jeszcze dwoje służby. Czekają u człowieka o imieniu Anton.

– Pójdę po nich – powiedział Lucien i wyszedł z kuchni.

Berthe zwróciła się do Lili.

– Mademoiselle i pani pokojówka możecie zająć pokój gościnny na poddaszu starego skrzydła. A pani służący będzie dziś spał z nami. Lepiej, żeby się nie rzucał w oczy, dopóki markiz się do niego trochę nie przyzwyczai. W zeszłym miesiącu myślał, że nowy woźnica to monsieur Saint-Lambert, i stłukł biedaka na

kwaśne jabłko.

Na twarzy Lili pojawił się wymuszony uśmiech.

– Niech mademoiselle pójdzie za mną – poprosiła Berthe. – Zaprowadzę panią do pokoju, zanim pomywaczka przyjdzie skończyć przygotowywanie warzyw na kolację. Jutro i tak cały dom będzie huczeć od plotek, jestem pewna. Nie ma potrzeby, żeby gadali już dzisiaj.

Lili podążała za Berthe po schodach na główne piętro, a potem jeszcze i jeszcze wyżej. Wreszcie znalazły się w krótkim korytarzyku wiodącym do pokoju na poddaszu.

– Mam nadzieję, że uzna pani pokój za wystarczający – powiedziała Berthe i nagle się zachmurzyła. – Ta cała madame de Graffigny zawsze narzekała, jak to markiza i pan Wolter wydawali mnóstwo pieniędzy, a ją umieścili na poddaszu i nie zaprzątali sobie głowy porządnym wyposażeniem pokoju. – Służąca fuknęła gniewnie. – Jej pokój! Phi! Jakby miała do niego jakiekolwiek prawo.

Odryglowała drzwi i wprowadziła Lili do pomieszczenia, które rozmiarem przypominało jej stary pokój, było jednak urządzone mniej wygodnie, dywan należało wymienić, a boazerię pomalować.

– Mnie tam się podoba – skwitowała służąca, odsłaniając zasłony. – No i jest najwyżej położonym pokojem w całym domu.

Lili nie słuchała uważnie. Wyjrzała przez okno. Na prawo, za drzewami, które wcześniej zasłoniły jej pałacyk, dojrzała Luciena prowadzącego Justine i Stephane'a. Wprawdzie żadne z nich nie mogło się przebrać do czasu sprowadzenia bagaży z Bar-sur-Aube, co miało nastąpić dopiero nazajutrz, ale Lili odetchnęła z ulgą – mieli gdzie spać.

Gdy skierowała wzrok na lewo, zobaczyła dywan złotych pól, na którego końcu rozciągał się gęsty las. Zmierzchało i dopiero patrząc na ciemniejące niebo, Lili uświadomiła sobie, że od bardzo dawna nic nie jadła. Nie wątpiła, że żona Antona zadbała o to, żeby Justine i Stephane nie byli głodni, ale ona sama nie miała nic w ustach od rana, gdy została poczęstowana chlebem z masłem i dżemem przez kobietę na targu. Czy to naprawdę wciąż ten sam dzień, który zaczął się od tego, że pędziła na rynek w niezasznurowanej sukni?

Czuła się wyczerpana.

– Mogłaby mi pani przynieść coś do jedzenia? – poprosiła. –

Obawiam się, że za kilka minut będę już spać. I czy mogłaby się pani upewnić, że mój służący i pokojówka też coś zjedli?

Berthe się uśmiechnęła.

– Z przyjemnością, mademoiselle Stanislas-Adélaïde – rzekła do Lili, zanim dziewczyna zdążyła otworzyć usta, by powiedzieć, że tak zwracali się do niej tylko ludzie, z którymi jej stosunki nie układały się najlepiej.

ŚWIATŁO KSIĘŻYCA odbijało się od białej pościeli. Kiedy padło na twarz Lili, ta usiadła w łóżku i rozejrzała się po nieznanym pokoju. W nocnym świetle biała sztukateria na ścianach wyglądała nieco lepiej, a wzór zdobiący boazerię rozmył się i nabrał przyjemnego dla oka kształtu. Przez wąsko uchylone okno skrzydłowe do środka wpadało chłodne powietrze i podnosiło kurz zaległy w szczelinach i zakamarkach. Lili aż kichnęła.

Kiedy jej oczy przyzwyczaiły się do ciemności, natrafiła wzrokiem na *chaise percée* z nocnikiem pod spodem. Wstała i podeszła do krzesła, unosząc dół halki, która tymczasowo służyła jej za koszulę nocną, dopóki nie dostarczą bagażu z Bar-sur-Aube. Usiadła na drewnianym krzesełku i słuchała miękkiego, cichego dźwięku wydawanego przez zapełniający się pod nią nocnik.

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć, w jakim celu się tu znalazła. Przyprawiająca o ból głowy podróż przeniosła ją do innego świata, dalekiego od paryskiego życia, które wydawało jej się teraz prawie nierealne. Lili miała wrażenie, że dopiero z nadejściem dnia wszystko na powrót nabierze kształtu.

Z wioski dobiegło pianie koguta. Lili podeszła do okna. Zaczynało się rozjaśniać i Lili – zarówno z ulgą, jak i z rezygnacją – stwierdziła, że dziś już nie zaśnie. Podeszła do biurka, zapaliła lampę i pogrążyła się w świecie Świergotki.

> Na schodach do katedry w Andaluzji tłum mruczał gniewnie i machał rękami.
>
> Świergotka ukryła Comète w pobliskim ogrodzie i wraz z Tomem poszła się przyjrzeć zgromadzeniu.
>
> – Czemu wszyscy są tacy zdenerwowani? – zapytała człowieka ubranego w szaty biskupie i mitrę.
>
> – Dziś miał się tu odbyć ślub, ale panna młoda zniknęła. – Mężczyzna podrapał się po głowie. –

Domyślamy się, że została porwana. Dlaczegóż bowiem miałaby uciekać w dzień swojego ślubu? Wszyscy mówią, że to znakomita partia, jej rodzina od lat zabiegała o wejście do rodu Mountebank-Piquedames...

Lili przetarła oczy. Musiała stawić czoła osobom jak najbardziej realnym – baronowej Lomont i swojemu ojcu. Oraz uciec przed własnym ślubem. Wysyłanie Świergotki do Hiszpanii jej w tym nie pomoże. Teraz, gdy dotarła już do Cirey, z jej głowy uleciało wszystko, co zamierzała powiedzieć i zrobić. Postanowiła, że dany jej poranek wykorzysta najlepiej, jeśli zastanowi się nad tym, co ją czeka tego dnia.

– Dobrze – mruknęła do siebie. – Co zatem tutaj zastałam?

Pomyślała przez chwilę.

„Ojca, którego muszę przekonać, aby pozwolił mi kontrolować moje życie, choć on najwyraźniej nie kontroluje własnego. Ojca, który mógłby nie zdawać sobie sprawy, kim jestem, nawet gdybym żyła w tym domu na co dzień. Ojca, który powiedział, że nigdy nie chce mnie widzieć".

Z Paryża wiozła ze sobą nadzieję, że skoro markiz do tej pory nie interesował się jej życiem, da się przekonać, aby i teraz w nie się nie mieszał. Nadzieja ta ulotniła się jednak na wspomnienie mężczyzny w mundurze, który wzrokiem pomyleńca szuka swojego wojska. „Może powinnam po prostu wyjechać od razu rano – pomyślała Lili. – Wyjechać, zanim sam mnie wyrzuci, bowiem pomyśli, że jestem kimś innym".

Nie wiedziała, czemu miałby to zrobić ani z kim ją pomylić, ale jeśli zaatakował woźnicę z powodu urazy żywionej do... jak mu tam? Saint-Lamberta? To pewnie wszystko może się zdarzyć. Jeśli wyjedzie teraz, być może baronowa nigdy nie dowie się, że taka podróż w ogóle miała miejsce. Jeśli natomiast zostanie i wizyta przebiegnie nie po jej myśli, straci wszelką szansę na ucieczkę przed losem, który ją czeka.

Świecę chroniła szklana osłona, można więc było bezpiecznie z nią chodzić. Lili zapaliła ją i wyszła z pokoju. Drewniana podłoga na korytarzu sprawiała wrażenie całkiem nowej, ale boazeria na ścianach nie była wystarczająco gładka i wyglądała, jakby maźnięto ją farbą w pośpiechu. Z sufitu zwisały belki, a ze ścian wystawały poprzecznice tak długie, że Lili ryzykowała uderzenie o nie głową w ciemnościach.

Udało jej się ostrożnie ominąć kilka belek przebiegających w zupełnie różnych i nieprzewidywalnych kierunkach i znalazła się w wielkim pokoju. Nie umeblowano go, jeśli nie liczyć kilku krzeseł i ław. Tu i tam postawiono w nieładzie kilka skrzyń. Lili otworzyła jedną z nich i ujrzała plątaninę sukien i peruk, a nawet różowe pończochy i koronę wykonaną z liści, która dni świetności miała już dawno za sobą. Wśród tego wszystkiego dojrzała także pomiętą kartkę, a ta okazała się afiszem teatralnym.

Dziś wieczorem w teatrze w Cirey! Premiera *Meropy* M. Woltera.
Obsada: Meropa – *Madame la Marquise,*
Polifontes – *Monsieur Wolter*, Ismena – *Mademoiselle G.-P. du Châtelet,*
Eurykles – *Monsieur le Marquis* i inni.

Lili przebiegła palcami po zapisanych atramentem literach. Madame la Marquise.

W świetle wpadającym przez niewielkie okno Lili dostrzegła drzwi po drugiej stronie pokoju. Były otwarte. Trzymając świecę przed sobą, przekroczyła próg. Po drodze uderzyła o obity tapicerką mebel i się zachwiała. W drgającym świetle świecy jej oczom ukazały się trzy ściany wyłożone ozdobną tapetą. Całą czwartą ścianę zajmował zaokrąglony łuk z jasnego drewna, wyznaczający scenę. Była ona niewiele większa niż niektóre wielkie kominki, jakie Lili widziała w Wersalu. Tło i kulisy przedstawiały pejzaż rustykalny – znajdowały się tam drewniane drzwi domu, zegar z kukułką, szafka i duże okno, przez które widać było błękitne niebo. Pośrodku sceny stała świeca i dzbanek na wodę – rekwizyty do ostatniej sztuki, którą wystawiano w Cirey.

„Teatr!". Lili przypomniał się Anton wspominający, jak czasami wkładał kostium i wchodził na scenę, i jego matka opowiadająca o tym, że markiza potrafiła śpiewać godzinami z pamięci. Odstawiła świecę na jedną z ław i założyła ręce za plecami, próbując wyczuć atmosferę tego miejsca. Nozdrza dziewczyny rozszerzyły się, jakby w jej wnętrzu otwarły się jakieś sekretne drzwi. Oddychała tym samym powietrzem, co kiedyś jej matka. Pod jej stopami trzeszczały te same deski. Emilie była tak blisko, że Lili niemal słyszała jej głos.

„Była jakby nie z tego świata. Tak opisał ją Anton” – myślała Lili, wracając do swojego pokoju. Dźwięk, który nagle rozległ się nad jej głową, sprawił, że aż podskoczyła ze strachu. Hałasowały dwa gołębie. Ich gruchanie i trzepot skrzydeł wyrwały Lili z rozmarzenia. Patrzyła, jak przysiadły na parapecie, a potem wyleciały przez okno w nowy dzień.

JUSTINE WYSZŁA Z ALKOWY znajdującej się za przepierzeniem, gdy tylko Lili wróciła do pokoju.

– Mademoiselle wcześnie wstała – dygnęła. – Przepraszam, że nie słyszałam.

– Nie mogłam spać. Ale to nie znaczy, że ty też powinnaś była wstawać.

– Czy mademoiselle życzy sobie śniadanie?

Lili kiwnęła głową potakująco, więc Justine zniknęła z pokoju, a za kilka minut wróciła razem z Berthe.

– Pani śniadanie zostanie przysłane windą za chwilę – powiedziała służąca. – Myślałam, że o tej porze zastanę mademoiselle jeszcze śpiącą. Pani służący pojechał już z Lucienem do Bar-sur-Aube po wasze rzeczy, na pewno to panią ucieszy.

– Spałam dobrze, dziękuję – odparła Lili. – Rano miałam czas rozejrzeć się trochę. Natrafiłam na teatr.

Berthe uśmiechnęła się tęsknie.

– Nikt tam nie wchodzi od lat. Dziwne, że pani nie wróciła stamtąd cała w kurzu. – Odwróciła wzrok i zatopiła się w myślach.

– Ach, jak wszyscy uwielbialiśmy te przedstawienia! – westchnęła w końcu. – Madame angażowała do nich każdego: i Luciena, i mnie, a nawet markiza, chociaż on nigdy nie mógł zapamiętać swojego tekstu.

Markiz. Lili spochmurniała.

– Berthe – zebrała się na odwagę dziewczyna. – Czy mój ojciec jest zawsze taki jak wczoraj?

Kobieta spojrzała na nią zaskoczona.

– *Non, non,* mademoiselle. To przychodzi, a potem mija. Jeśli ma dobry dzień, godzinami może siedzieć i opowiadać o starych dobrych czasach. I pamięta wszystko z najdrobniejszymi szczegółami. A potem, ni z tego, ni z owego, pyta o madame, jakby właśnie wyszła z pokoju. – W oczach służącej pojawił się

ból. – To straszne widzieć, kiedy taki wielki człowiek... – zawiesiła głos na chwilę – robi się jakiś taki mały.

Justine sznurowała suknię Lili, podczas gdy Berthe mówiła dalej:

– Może jak panią zobaczy, to mu dobrze zrobi. Jest teraz samiuśki na świecie. Nikt go nie odwiedza, nawet jego własny syn, a Gabrielle-Pauline oczywiście mieszka za daleko. Ani żywego ducha, choć pewnie szczęście w nieszczęściu, że pan często w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Któregoś dnia usłyszałam, jak rozmawia z kimś w galerii. Poszłam tam zobaczyć, kto przyjechał w odwiedziny, a tu okazuje się, że markiz tłumaczy księciu Stanisławowi, że dołączy do niego na sezon łowiecki w Lunéville. – Berthe potarła oczy. – Nie miałam serca kolejny raz tłumaczyć mu, że książę nie żyje.

Berthe podeszła do półki i zaczęła ustawiać stojące na niej figurki w równy rządek. – Wie pani, zmarł kilka miesięcy temu. Jego szlafrok zajął się ogniem z kominka i książę zmarł od poparzeń. – Teraz, aby zająć czymś ręce, poprawiła zasłony. – Sama nie wiem... A może zmarli przychodzą nas odwiedzić? Tylko my mamy za słabe oczy, żeby ich widzieć.

„Może tak". Jeszcze kilka godzin temu Lili miała ochotę uciec z Cirey, bojąc się tego, co się wydarzy, jeśli zostanie. A potem była w teatrze, chłonęła obecność swojej matki i poczuła przypływ sił, które pomogą jej przetrwać tę wizytę. Niezależnie od tego, jak przebiegnie spotkanie z ojcem, Lili uda się osiągnąć to, po co tu przyjechała, bo wierzyła, że Julie i Emilie są przy niej.

Justine skończyła zaciągać gorset i Lili się odwróciła.

– Czy rozmawia też z moją matką?

Po twarzy Berthe przebiegł szybki, smutny uśmiech.

– Cały czas.

– A gdy rozmawiają, czy czasem wspomina o mnie?

Służąca odwróciła wzrok.

– Pani była jeszcze dzieciątkiem. Gdy madame żyła i mogła o pani mówić, pani nie było nawet na świecie. W brzuchu panią nosiła.

Berthe krzątała się przez chwilę, aż w końcu spojrzała Lili w twarz i wzdychając ciężko, powiedziała:

– Nie mam co gryźć się w język, mademoiselle. Najprawdopodobniej sama zobaczy pani dzisiaj, jakie są te jego rozmowy z żoną. Zazwyczaj nie nadają się, aby ktokolwiek ich

słuchał. Jest na nią wściekły, a wczoraj całą noc nie spałam, zastanawiając się, czy na panią też będzie taki zły. – Spojrzała na drzwi. – Pani śniadanie na pewno już czeka. – Dygnęła krótko i wyszła z pokoju.

– O co miałby być na mnie zły? – Gdy Berthe wróciła ze śniadaniem na tacy, Lili podjęła rozmowę. Służąca postawiła tacę na niewielkim, chybotliwym stoliku i rzekła:

– Przeszłości nie należy rozgrzebywać. Z całym szacunkiem, nic więcej nie powiem. Jest z nim teraz Lucien, uprzedzi markiza, że ma gościa, dobrze więc, żeby pani przygotowała się na to spotkanie. Chyba będzie lepiej, jeśli mademoiselle uda, że widzicie się po raz pierwszy. Mało prawdopodobne, by pamiętał ją z wczoraj. – Spojrzała na Lili. – Tak bardzo przypomina mi pani madame, choć ona miała ciemniejsze włosy. Niech pani przygotuje się na wszystko, bo pojęcia nie mam, jak markiz zareaguje.

Lili spoglądała na Berthe długo i przenikliwie. Może udałoby się wycisnąć z niej coś jeszcze – w końcu była służącą, niezależnie od tego, że przejęła rolę pani domu. „Już wkrótce dowiem się, o co jej chodzi – powiedziała sobie. – Na razie to wystarczy".

Justine nalała Lili filiżankę kawy i dodała mleko. Dziewczyna patrzyła niewidzącym wzrokiem, jak pokojówka miesza kawę, zupełnie jakby śniadanie nie było przeznaczone dla niej, tylko dla kogoś innego.

– Chciałabym zobaczyć później pokoje mojej matki – powiedziała Lili. – Teatr mi się bardzo podobał, więc...

– Są zamknięte.

Lili zaniemówiła, zaskoczona nieuprzejmością, z jaką służąca przerwała jej w pół słowa. Nie odezwała się jednak, świadoma, że reprymenda zagniewałaby Berthe i zamknęła jej usta, podczas gdy Lili zależało, aby kobieta była jak najbardziej rozmowna.

– Zamknięto je przed laty – ciągnęła Berthe. – Odkąd monsieur markiz wrócił z... – Nie było potrzeby, aby kończyła zdanie. – Monsieur Wolter zabrał więcej, niż powinien, więcej, niż do niego należało, ale i tak po madame zostało wystarczająco dużo, żeby złamać markizowi serce. Nic dziwnego, że zamknął pokoje na klucz.

– Myślałam, że się na nią gniewał.

Berthe uśmiechnęła się tajemniczo.

– Jest pani młoda. Jeszcze pani nie wie, jak bardzo mściwe

może być czyjeś złamane serce.

FLORENT-CLAUDE, markiz du Châtelet-Lomont, siedział w swym pokoju o drewnianych ścianach. W górnej części munduru zatkniętą miał białą serwetkę, poplamioną ziółkami, które kazała mu pić jego pielęgniarka. Zobaczywszy Lili, kobieta zabrała chusteczk, wzięła tacę i dygnęła, a następnie opuściła pokój.

– Jesteś moją córką, przyjechałaś z wizytą – zwrócił się do niej markiz.

Poczuła ogromną ulgę.

– Tak – odpowiedziała. – Jestem Stanislas-Adélaïde, nazwana na cześć ojca przyjaciela, księcia Lotaryngii.

– Lotaryngii? – Jego pytający wzrok przyprawił Lili o drżenie serca, jednak po chwili markiz znów odzyskał przytomność umysłu. – Byłem tam dowódcą pułku i wielkim marszałkiem księcia Stanisława. A potem wróciłem do Cirey. – Jednym spojrzeniem ogarnął cały pokój, jakby chciał się upewnić, że rzeczywiście znajduje się w Cirey. – A ty... – zaczął. – Jak się miewa twój mąż? Sama przyjechałaś z Włoch?

Serce Lili, przepełnione radością i nadzieją wywołaną pierwszymi słowami markiza, teraz było ciężkie jak z ołowiu.

– Nie jestem tą córką – wyjaśniła. – Jestem tą drugą, wychowaną w Paryżu przez madame de Bercy, która niestety zmarła. Tą, w której sprawie pisała do ojca niedawno baronowa Lomont. Prosiła, aby pozwolił jej ojciec wybrać mi męża, z pewnością ojciec pamięta...

– Po co tu przyjechałaś? – nagle ściszył głos.

– Uważam, że to bardzo ważne, aby poznać mojego oj...

– Powiedziała ci, że to ja jestem twoim ojcem? – Blada twarz Florenta-Claude'a przybrała teraz kolor purpury.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie wiem, o kim ojciec mówi. – Lili walczyła ze sobą, aby nie załamał jej się głos. Z trudem patrzyła ojcu prosto w oczy. – Zresztą, nie ma różnicy, czy chodzi o baronową Lomont, czy o madame de Bercy, ponieważ to ty jesteś moim ojcem.

„Na dworze krążą różne plotki". Lili zrobiło się słabo, gdy przypomniała sobie słowa baronowej.

Twarz markiza znów wyrażała spokój. Pojawił się na niej uśmiech.

– Obawiam się, że Gabrielle-Pauline tu nie ma. Mieszka w klasztorze de la Pitié w Joinville, ale jeśli poczeka pani kilka dni, żona z pewnością sprowadzi ją na okoliczność nowej sztuki monsieur Woltera – zachichotał. – Poznała już pani moją żonę? Założę się, że pierwsze, o co zapyta, to czy z łatwością zapamiętuje pani tekst sztuki.

Lili w rozpaczy zacisnęła mocno oczy. Kiedy je otworzyła, zobaczyła rozzłoszczony wzrok markiza.

– Powiedz im, że nie jestem głupcem! – zaryczał.

Lucien wbiegł do pokoju.

„Musiał podsłuchiwać pod drzwiami" – domyśliła się Lili.

– Monsieur szybko się męczy – usprawiedliwił markiza. – Myślę, że będzie lepiej, jeśli mademoiselle wróci później.

Niepokój i frustracja Lili mieszały się z ulgą, jaką poczuła na widok Luciena.

– Oczywiście – przytaknęła i wstała, uśmiechając się nieśmiało w stronę przerażającego starca. I w tym właśnie momencie przyszła jej do głowy pewna myśl.

– Jeśli byłby pan łaskaw – zwróciła się do ojca – pokoje pana żony są chyba zamknięte. Czy pozwoliłby mi pan do nich wejść?

Markiz wydawał się nie rozumieć.

– Jeśli ona nie ma nic przeciwko, to nie widzę przeszkód.

– Jestem pewna, że wyrazi zgodę. – Lili posłała mu słodki uśmiech. „Nic przeciwko? Czekała na mnie od lat". Kiedy znalazła się w holu, ruszyła szybkim krokiem w stronę kuchni, żeby odnaleźć Berthe i klucze.

BERTHE PRZEKRĘCIŁA KLUCZ tak delikatnie, że przez chwilę Lili wydawało się, jakby służąca nie chciała obudzić swojej pani.

– Najlepiej niech pani poczeka, a ja odsłonię zasłony, żeby miała pani wystarczająco dużo światła – powiedziała i energicznie ruszyła przed siebie. Kiedy przeszła przez wszystkie pokoje, wróciła do Lili, wycierając zakurzone ręce w fartuch i mówiąc: – Pewnie chciałaby pani zostać sama. W razie potrzeby, proszę pociągnąć za sznur z dzwonkiem, to usłyszę na dole.

Kroki Berthe ucichły już w korytarzu, ale Lili nadal stała w drzwiach. Zawładnęło nią dziwne onieśmielenie. W promieniach światła wpadającego przez odsłonięte okna wirował kurz. Lili ujrzała dużą kozetkę obitą niebieskim materiałem. Leżały na niej w bezładzie ozdobne poduszki

w kwieciste wzory. Jedna z nich była lekko wgnieciona, jakby przed chwilą spoczywała na niej czyjaś głowa. Pokój, zapełniony krzesłami i stolikami, wyglądałby jak typowy salon, gdyby nie wanna na środku marmurowej podłogi, niepasująca do wystroju, a jednocześnie sprawiająca wrażenie, że ustawiono ją tu jako kolejny mebel, na którym można usiąść, aby przyjemnie pogawędzić z przyjaciółmi.

Lili weszła dalej i znalazła się w garderobie. Pod fantazyjnie pomalowanym sufitem ujrzała polakierowane na zielono drewniane panele obramowane złoconymi listwami. Na niewielkim, ale luksusowym dywaniku ustawiono małą sofę i kilka krzeseł, a w rogach znajdowały się puste szafy od kompletu. Wszędzie panowała taka cisza, że Lili starała się iść powoli, ostrożnie stawiając stopy. Zdawało się jej, że najmniejsze nawet skrzypnięcie desek podłogowych będzie świadczyło o tym, że jest nieproszonym gościem, a nie córką, która ma prawo tu przebywać.

W następnym pokoju stało wielkie łóżko, z którego ściągnięto pościel i baldachim. „To tu spała moja matka" – pomyślała Lili, siadając na materacu. Odwróciła się w stronę garderoby i spróbowała wyobrazić sobie wychodzącą z niej kobietę w pięknym szlafroku, z rozpuszczonymi do snu włosami spływającymi na ramiona. „Byłaś tu. Ty tu naprawdę byłaś".

Wszystko w pokoju miało kolor niebieski albo cytrynowożółty – od tapety poprzez lakierowany zegar na półce, aż po stojący przy łóżku kosz, w którym zapewne sypiał pies. Lili wstała z łóżka i podeszła pogłaskać legowisko zwierzęcia. Po kolorze sierści, którą strzepnęła z palców, zorientowała się, że pies musiał być czarny.

Korytarzyk po drugiej stronie pokoju wiódł do buduaru, a z niego przez przeszklone drzwi wychodziło się na taras. Przytulny pokój zajmowała sofa z białej tafty i pasujące do niej stołki. Sofa stała tuż obok marmurowego kominka. Lili wyobraziła sobie, jak w zimowe wieczory jej matka grzała się przy ogniu, z utęsknieniem czekając na wiosenne światło słońca. „Pokój w sam raz dla ciebie – powiedziała w myślach do matki. – Twoja kryjówka".

Wzrok Lili zatrzymał się na delikatnie malowanym suficie, a następnie zszedł niżej, na miniaturowe obrazy zdobiące każdy z paneli w złotych ramach. „Watteau" – stwierdziła, rozpoznając

na dwóch z nich sceny z bajek Jeana de La Fontaine'a. – Podobały nam się te same historie".

Otworzyła drzwi. Z prywatnego tarasu jej matki rozciągał się widok na ogród i trawnik, i dalej na strumień wijący się wśród zieleni. Wyobrażając sobie trawę pokrytą śniegiem i ślady zostawione przez zbłąkaną sarnę, Lili pomyślała, że ta okolica to doskonałe miejsce na stworzenie ciepłego domu.

Chociaż w pokojach nie było nikogo oprócz Lili, wyobraźnia dziewczyny malowała portrety ludzi przebywających tu kiedyś. Gdy odwróciła się, aby pójść w stronę drzwi głównych, miała wrażenie, że słyszy czyjś śmiech i brzęk filiżanek, do których nalewano kawę. Kiedy przechodziła przez sypialnię, w jej głowie pojawiło się pytanie i sprawiło, że straciła kontakt z rzeczywistością. Kiedy oprzytomniała, okazało się, że siedzi na łóżku, nie mając pojęcia, jak się tam znalazła.

„A gdybyś nie umarła...?

Poznałabym ludzi, którzy gościli w twoim salonie. Wołaliby mnie i pytali, czego mnie uczysz. Siadywałabym w twoim uroczym buduarze, na jednym ze stołków, i bawiłabym się z psem. Może byłabym jedyną osobą, której pozwalałabyś tam w ogóle przebywać. „To nasza kryjówka, Lili" – może mówiłabyś tak, patrząc na mnie porozumiewawczo. Biegałabym po trawniku, a ty krzyczałabyś za mną, żebym uważała, bo się przewrócę. Pozwalałabyś mi wchodzić do ciebie do łóżka i czytałabyś mi La Fontaine'a".

Dotknęła materaca, jakby próbowała uchwycić nieistniejące wspomnienia.

– Tęsknię za tobą – wyszeptała. – Chociaż nigdy cię nie poznałam.

Teraz, kiedy odwiedziła pokoje Emilie, poczuła słodką tęsknotę za matką. I była to tęsknota większa niż kiedykolwiek do tej pory.

Rozejrzała się po sypialni i stwierdziła, że coś tu nie pasuje. Po chwili wiedziała już co: w pokoju stało w nieładzie kilka krzeseł, ale miejsce, w którym powinna zobaczyć biurko, ziało pustką. Brakowało chyba jeszcze paru innych przedmiotów, łącznie ze wszystkimi książkami. Co mówiła Berthe? Że Wolter zabrał stąd wiele rzeczy, zanim pokój został zamknięty?

Dopiero teraz Lili zauważyła, że dwa panele z lustrami to w rzeczywistości drzwi. Otworzyła je z głośnym skrzypnięciem i jej oczom ukazał się pokój zupełnie inny niż pozostałe. Ściany

były puste, po obu stronach kominka stały duże przeszklone szafy, bez książek, za to ze stosami luźno poukładanych papierów. W jednym miejscu na podłodze brakowało marmuru i wystawały stamtąd deski.

Pośrodku pokoju stało wykwintne biurko, tak gładkie, że aż lśniło, pomimo warstwy kurzu. Intarsje z różnokolorowego drewna i złocone wykończenia nawiązywały do mebli z pokoju obok. „Przeniosła tutaj biurko" – pomyślała Lili. Znajdował się tu również zwykły drewniany stół roboczy ze śladami wosku. Na stole leżały pozostawione w nieładzie papiery, książki i przyrządy naukowe.

Przez chwilę Lili miała wrażenie, że zna swoją matkę, że doskonale ją rozumie. Emilie potrafiła porzucić elegancki i przytulny wystrój swojego pokoju i pracować tutaj, bo dla niej liczyła się tylko prawda. Tylko prawda była wartością stałą.

Lili musiała gdzieś usiąść, żeby spokojnie pomyśleć. Krzesło do biurka zostało zabrane, ale okno wykuszowe wydawało się na tyle głębokie, aby tam przycupnąć. Idąc w tamtą stronę, zauważyła, że coś wystaje spod zasłony. Podniosła przedmiot, który okazał się pryzmatem, i zaczęła się przyglądać małym tęczom tańczącym na ścianie.

Miała zamiar odłożyć go w to samo miejsce, ale jej palce nie chciały słuchać. „Weź to sobie". Myśl przyszła tak znienacka, że Lili rozejrzała się wokół, jakby spodziewając się ujrzeć matkę przekonującą ją, że to prezent. Krawędzie szkła były bardzo ostre; Lili wydawało się, że przedmiot ogrzewa jej dłoń. „Weź to". Schowała pryzmat do stanika sukienki i przytrzymała na nim przez chwilę palce, wyczuwając jego zarys pod materiałem na wysokości serca.

Patrząc na poszarpane brzegi dziurki od klucza, Lili doszła do wniosku, że ktoś próbował na siłę wyłamać szufladę biurka. Kiedy jednak sama chciała otworzyć ją igłą cyrkla, zamek poddał się, jakby z westchnieniem ulgi.

W szufladzie panował nieład. Większość miejsca zajmowały papiery, które wyglądały tak, jakby w ogóle nie zasługiwały na trzymanie pod kluczem. Na samej górze leżał esej Woltera z komentarzami naniesionymi innym charakterem pisma. Serce Lili zabiło żywiej – to z pewnością pismo jej matki! Głębiej znalazła jeszcze więcej papieru kancelaryjnego, na którym starannie narysowano parabole. Towarzyszące rysunkom

wyliczenia były tak rozbudowane, że wchodziły na margines. Na samym dnie leżało kilka rachunków – za biżuterię, perfumy, ubrania, prace przy urządzaniu pokojów. Lili się uśmiechnęła. Wyglądało na to, że człowiek, który wykładał marmurem podłogę, nadal czekał na zapłatę.

Gdy wyciągała kolejną partię papierów, coś stuknęło głucho o dno szuflady. Lili wzięła do ręki bogato zdobioną srebrną ramkę o owalnym kształcie. „Wolter" – pomyślała, odwracając ją do góry. Ku jej wielkiemu zdziwieniu z ramki nie patrzył na nią Wolter, tylko przystojny, trzydziestokilkuletni mężczyzna w śnieżnobiałej peruce. Włosy na karku spięte miał aksamitną tasiemką. Wygięte w łuk brwi i lekko przechylona na bok głowa sprawiały wrażenie, jakby czekał właśnie na odpowiedź na jakieś bardzo zajmujące pytanie. Jego oczy były tak samo duże jak oczy Lili, podobnie też składali usta.

– Co tu robisz?

Lili odwróciła się tak szybko, że ramka wypadła jej z rąk i szybka rozbiła się o podłogę. W drzwiach biblioteki stał markiz. Był wściekły.

– Ja... pozwolił mi pan tu wejść.

Mężczyzna, który jakiś czas temu siedział w fotelu niczym sparaliżowany, teraz wyprężył pierś i ruszył w jej stronę z energią godną dwudziestolatka.

– Myślisz, że nie wiem, czemu nagle zapragnęłaś, żebym tak szybko wracał do domu? Sądzisz, że uwierzę, że po tych wszystkich latach nagle poczułaś do mnie takie pożądanie? – Wykrzywił wargi i drwiąco dodał: – Wystarczająco dużo służących i ludzi z wioski mnie widziało? Wystarczająco dużo gości było na obiedzie, by potwierdzić, że tu jestem?

– Nnnie wiem, o czym pan mówi.

– Och, oczywiście. Zawsze się tak mówi, gdy się ma coś do ukrycia. Pewnie mam jeszcze być wdzięczny, że dzięki twoim intrygom udało się uniknąć skandalu, ale nie pozwolę, żeby na dworze wyśmiewano się ze mnie i nazywano rogaczem. Jeśli ty i monsieur Wolter skorzystaliście już z moich usług, pozwól, że wrócę do Lunéville.

Lili stała z otwartymi ze zdziwienia ustami i nie mogła wydobyć z siebie słowa. Markiz wyglądał jak balon, z którego uchodzi powietrze: nagle skurczył się i znów zmienił w tego samego słabego staruszka, jakiego widziała rano.

– Emilie – w jego głosie dało się słyszeć bardziej rozdrażnienie niż złość – byłem nader wyrozumiały i tolerancyjny. Jak mogłaś odwdzięczyć mi się w ten sposób? Jak mogłaś zajść w ciążę w twoim wieku? I to z tym dandysowatym Saint-Lambertem? On nie jest ciebie wart!

Lili spojrzała na portret leżący na podłodze. „Saint-Lambert. Człowiek, przez którego cięgi dostał biedny woźnica. Człowiek, który ma moje oczy, moje usta".

– Nie... – powiedziała tak cicho, że sama prawie siebie nie słyszała. – To nie może być prawda...

Markiz zbliżył się do dziewczyny i spojrzał jej w twarz.

– Nie jesteś moją żoną.

– N-nie – zacięła się Lili.

– A więc kim jesteś? – Wyglądał bardziej na przestraszonego niż na ciekawego. – I co robisz w moim domu?

– Jestem pańską córką, Stanislas-Adélaïde. Jestem... – Jej głos nabrzmiał łzami. Walczyła ze sobą, by się nie rozpłakać i powstrzymać drżenie kolan; bała się, że ją zawiodą i upadnie na podłogę. – Jestem tym dzieckiem, o którym przed chwilą pan mówił.

– Jesteś tym dzieckiem, które ją zabiło – rzucił nienawistnie.

– To nie moja wina! – krzyknęła Lili i wybuchając płaczem, rzuciła się do drzwi. Markiz chwycił ją jednak za ramię. Uścisk był tak silny, że Lili poczuła dotkliwy ból.

– Nie wystarczy ci to wszystko, co dla ciebie zrobiłem? – Jego twarz była purpurowa. – Dałem ci godność, pieniądze... A ty żądasz jeszcze więcej od człowieka, który nie jest nawet twoim ojcem?

Przyciągnął dziewczynę do siebie i jeszcze raz dokładnie się jej przyjrzał. A potem zaczął się śmiać – najpierw cicho, a potem coraz głośniej. W końcu zanosił się śmiechem tak głośnym, że trząsł się na całym ciele.

– Masz to wypisane na twarzy – stwierdził wreszcie. – Nos i brodę odziedziczyłaś po niej, ale te oczy i usta należą do mężczyzny, którego penis zniszczył moją żonę. – Ścisnął jej rękę tak mocno, że krzyknęła z bólu. – I mnie też zniszczył, mały kutas. Czego ty ode mnie chcesz? Jesteś ich córką, nie moją.

LEDWIE PRZYWIEZIONO BAGAŻE, a już ładowano je z powrotem na powóz. Berthe wylewała łzy, ale twarz Lili była

spokojna jak nigdy.

– Proszę mu wybaczyć – prosił Lucien, podczas gdy Stephane i Justine wsiadali już do powozu. – Nie jest sobą. Mówi różne rzeczy, ale naprawdę wcale tak nie uważa.

– Zapewne – rzekła Lili oschłym tonem. – Ale powiedzcie mi jedno: czy wyznał prawdę i w istocie nie jestem jego dzieckiem?

Lucien i Berthe wymienili porozumiewawcze spojrzenie.

– Chciałbym móc powiedzieć, że nie, ale Bóg patrzy – westchnął Lucien. – Przykro mi.

– Monsieur Lambert odwiedził Cirey dziewięć miesięcy przed pani narodzinami – dodała Berthe. – On i madame byli w domu sami przez tydzień albo trochę dłużej. Madame i monsieur Wolterowi z wielkim trudem udało się namówić markiza do przyjazdu do domu, kiedy okazało się, że pani nie miesiączkuje.

„Wolter? To nie miało sensu".

– Spodziewała się dziecka innego mężczyzny, a on się nie złościł?

– Monsieur Wolter... – Berthe przestępowała z nogi na nogę, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. – Zawsze narzekał na słabe zdrowie i któregoś dnia stwierdził, że nie czuje się na siłach... nie wiem, jak wyrazić to bardziej delikatnie, mademoiselle... nie czuje się na siłach, by sprostać jej wymaganiom jako kobiety. Nie to, żeby nam się zwierzał, ale ludzie, którzy pracują w domu, mają swoje sposoby, żeby się dowiedzieć takich rzeczy.

– Nikt inny nie rozumiał się na tych książkach i eksperymentach – wyjaśnił Lucien. – Myślę, że byli ze sobą, żeby każde miało z kim porozmawiać.

Berthe przytaknęła.

– A czasem, jak się jest ze sobą bardzo długo – dodała – to nie tak łatwo się rozstać.

– MA PANI SZCZĘŚCIE, MADEMOISELLE – oznajmił Lili mężczyzna w gospodzie w Bar-sur-Aube. – Dyliżans z Genewy do Paryża przyjeżdża do miasta raz w tygodniu, właśnie dzisiaj. Zostaje na noc i wyrusza o świcie.

Z uczuciem wielkiej ulgi Lili zapłaciła za siebie, Justine i Stephane'a.

– Nie będziemy się rozpakowywać – oznajmiła. – Po prostu załadujcie nasze rzeczy, kiedy powóz już tu przyjedzie.

Czy to naprawdę zaledwie dwa dni temu weszła po raz

pierwszy do tej gospody, zastanawiając się, jak dojechać do Cirey? Nad miską jedzenia, które przyniósł jej właściciel, Lili rozmyślała o wszystkim, co się zdarzyło w ciągu tych dwóch dni. Mięso kurczaka, które oddzielała od kości, było równie smakowite jak posiłek, który jadła, kiedy po raz pierwszy znalazła się w tym miejscu. Teraz jednak miała dużo gorszy humor i nie chciało jej się jeść.

„Co ja sobie wyobrażałam? – zapytała samą siebie, ze złością odrywając kawałek chleba i wkładając go do ust. – Dlaczego sądziłam, że tą błazenadą uda mi się pokonać baronową Lomont?". Doszła do wniosku, że jedyne, co jej się udało, to zniszczyć swoje wyobrażenia o ojcu. „ O człowieku, który wcale nie jest moim ojcem – poprawiła się od razu. A jak baronowa się dowie, co zrobiłam...".

W oczach stanęły jej łzy bezsilności i upokorzenia. Musi wracać do Paryża i wybrać męża. Musi jechać z powrotem do miejsca, gdzie nikt, nawet *maman*, nie powiedział jej prawdy. Lili odepchnęła miskę i wstała od stołu. Chciała wrócić do pokoju, zanim ludzie w tawernie zobaczą, że płacze.

JUSTINE I STEPHANE wyszli coś zjeść i jeszcze nie wrócili. Lili sama uporała się z suknią i położyła na łóżku w samej halce. Próbowała zebrać rozproszone myśli, ale szybko zasnęła. Ocknęła się, gdy zapadła już noc. Na rynku panowała cisza przerywana jedynie fałszywymi śpiewami grupki mężczyzn, którzy wypili o kilka piw za dużo. Kiedy się oddalili, jedynym dźwiękiem był cichy oddech Justine śpiącej w alkowie.

Lili stanęła w oknie i zapatrzyła się na niebo usiane białymi gwiazdami. „To samo niebo jest nad Paryżem – pomyślała. – I nad Étoges". Serce jej się ścisnęło z bólu. Tak bardzo chciałaby porozmawiać z Delphine! Opowiedzieć o markizie, który okazał się zramolałym starcem, i o tym, jak potraktowano ją w Cirey – Delphine, ku radości Lili, z pewnością nie szczędziłaby słów oburzenia.

„I nad Wolterem rozciąga się to samo niebo, gdziekolwiek on teraz przebywa". Zastanawiała się, czy nadal kocha jej matkę i czy kiedykolwiek myślał o dziecku, przy którego narodzinach zmarła? Najwyraźniej nie było mu wszystko jedno, skoro pomógł w sfałszowaniu historii o ojcu. I kim był ten Saint-Lambert? Dlaczego nigdy nie szukał kontaktu z córką? Jak wyglądałoby

teraz jej życie, gdyby się nią zainteresował? Jakie nosiłaby nazwisko? Na pewno swe istnienie zawdzięczała Saint-Lambertowi, ale większy dług zaciągnęła u monsieur Woltera. Gdyby nie jego starania, aby pomóc matce ukryć prawdę, pewnie otwarcie nazwano by Lili bękartem.

Przyszło jej do głowy, że może w tej samej chwili Wolter też stoi przy oknie i patrzy na gwiazdy. Słyszała, że osiadł gdzieś blisko granicy ze Szwajcarią, żeby móc szybko uciec za granicę, gdyby jakieś jego nowe dzieło rozzłościło francuskich cenzorów. Kiedy w salonie *maman* odczytała na głos swoje opowiadanie, Buffon żartem napomknął, że powinien napisać o tym Wolterowi.

Co dokładnie powiedział? „Powinienem napisać o tym Wolterowi do...". Lili z całych sił starała się wydobyć to wspomnienie z zakamarków pamięci.

„Ferney" – jakby ktoś szepnął jej do ucha.

Gospodarz mówił, że dyliżans z Genewy do Paryża przejeżdża tędy raz w tygodniu. Lili wstrzymała oddech, uświadomiwszy sobie, że dwa dni temu znajdowała się w dyliżansie jadącym w przeciwnym kierunku.

„Jak się jest ze sobą bardzo długo, to nie tak łatwo się rozstać" – pomyślała.

Wiedziona impulsem włożyła niedbale suknię i popędziła na dół. Właściciel gospody wycierał stoły w pustej już sali.

– Czy Ferney leży blisko Genewy? – zapytała, wstrzymując oddech.

– Jakąś godzinę jazdy powozem – odpowiedział, zanurzając szmatę w misce z wodą.

Lili uśmiechnęła się radośnie.

– Dziękuję. A mógłby pan się upewnić, że nasze bagaże nie zostaną jednak załadowane na jutrzejszy dyliżans? Niech je ktoś jutro wniesie do naszych pokojów. Aha, i proszę zmienić naszą rezerwację. Udamy się w przeciwnym kierunku.

Emilie

1749

Księżyc pomału zbliżał się do horyzontu i powóz rzucał ruchomy cień na pokryte śniegiem pola Szampanii. Wewnątrz, pod grubymi pledami i futrami chroniącymi przed lutowym mrozem, tulili się do siebie Emilie i Wolter.

Emilie pogłaskała swój brzuch.

– Przynajmniej jednemu z nas jest ciepło.

– Nie rozumiem, dlaczego uparłaś się, żeby natychmiast opuścić Cirey, zamiast poczekać do wiosny – rzekł Wolter. – Drogi są wtedy bezpieczniejsze, mimo że błotniste. A teraz, przez te twoje kufry przywiązane do dachu, konie nie mogą jechać szybciej niż kłusem, bo przez tę ślizgawicę od razu przewrócilibyśmy się do rowu. – Odchylił zasłonkę i wyjrzał w ciemność. – Prędzej chyba doszlibyśmy do Paryża piechotą.

– Nie musiałeś ze mną jechać – bąknęła Emilie i odwróciła się, udając obojętność.

– Oczywiście, że musiałem! Skoro już chcesz się zabić, podróżując zimą, ja – obawiam się – jestem na tyle głupi, by czuć się w obowiązku zrobić to razem z tobą. Nie pozwoliłbym ci na samotną podróż w twoim stanie, choć przez ten mróz pewnie nabawię się gorączki. – Wolter zrobił grobową minę, jakby chciał

zachęcić Emilie, by wyobraziła sobie najgorsze. – Całkiem prawdopodobne, że ucierpisz na tym znacznie mniej ode mnie.

– Potrzebuję książek do dalszej pracy, a większość została w moich apartamentach w Paryżu. – Emilie miała już dość powtarzania. – A ludzie, z którymi muszę się skonsultować, raczej nie przyjadą do Cirey, zwłaszcza kiedy drogi są tak niebezpieczne, jak twierdzisz.

– Mogłaś posłać kogoś po książki, prawda?

– Muszę przejrzeć wszystkie, żeby wiedzieć, które mi się przydadzą – powiedziała, akcentując każdy wyraz, by dać upust irytacji. – A kiedy już znajdziemy się w Paryżu, nie będzie sensu wracać, dopóki nie stopi się śnieg. Wtedy naprawdę zrobi się prawdziwe błoto i zyskasz kolejny powód do narzekań.

Próbując rozluźnić nieco atmosferę, Emilie uszczypnęła Woltera pieszczotliwie w podbródek, ale już po chwili jej twarz znów spochmurniała.

– Nie mogę zmarnować dwóch miesięcy. Muszę zacząć pracę nad *Principiami* natychmiast – powiedziała jakby z wysiłkiem. – To nie będzie zwykłe tłumaczenie, wiesz? Muszę przedstawić wszystko swoimi słowami – językiem bardziej przystępnym dla czytelnika. No i nie obędzie się bez dodawania komentarzy. – Wyprostowała się, nie zwracając uwagi na zimowe powietrze owiewające jej kark. – Postanowiłam uzupełnić tekst suplementem z samymi obliczeniami. Francuzi nie przyjmą *Principiów* bez dowodów matematycznych, a Newton nie dostarczył ich zbyt wielu. – Wzdrygnęła się, tylko po części z zimna. – Zostało mi niecałe siedem miesięcy, żeby wszystko rozpracować i opisać, zanim nadejdzie mój czas. Dlatego siedzę teraz w tym koszmarnym powozie wlekącym się do Paryża.

– Drżysz – zauważył Wolter. Przyciągnął ją do siebie i poprawił koce. – Zbyt się zamęczasz, mój ty wysadzany brylantami geniuszu. – Uścisnął ją mocno. – Będziesz miała czas na to po narodzinach dziecka, czyż nie?

Wolała nie zdradzać myśli, które krążyły jej po głowie. Natrząsałby się z tych przeczuć, ale Emilie wydawały się one równie realne co szczękanie jej zębów w tym powozie. Oboje doskonale zdawali sobie sprawę, jak niebezpieczny jest poród dla kobiety – zwłaszcza w tak poważnym wieku, ale Wolter nie chciał przyznać, że prawa natury odnoszą się również do niej. „Jesteś poza ich zasięgiem” – mawiał czasem, by sprawić jej komplement,

kiedy martwiła się nową zmarszczką na czole albo jakąś obwisłą fałdką na ciele. Czasem Emilie wydawało się, że naprawdę w to wierzył: iż niektórzy ludzie mieli zbyt bogaty umysł i zbyt wiele do zaoferowania, by pozwolono im odejść na zawsze.

Wolter znał Emilie najlepiej, ale nawet on nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi, kiedy wyznała, że nadchodzi jej czas. Miała kilka miesięcy, aby pozostawić po sobie jakiś ślad na ziemi lub umrzeć, próbując tego dokonać. Tego też najbardziej się obawiała – że odejdzie, nie osiągnąwszy celu.

Wsłuchiwała się w miarowy oddech przyjaciela. Poza długą listą schorzeń posiadał też cudowną umiejętność zasypiania w nawet najbardziej niewygodnych miejscach. Księżyc na horyzoncie rzucał poświatę na powóz, oświetlając twarz Woltera. Przekroczył już pięćdziesiątkę i zaczynał wyglądać staro. Stracił też większość zębów – w pewnym sensie na szczęście, bo przez wiele lat przynosiły mu jedynie ból – a niedorzecznie niemodna peruka, z którą się nie rozstawał, zawsze przywodziła jej na myśl oklapnięte, szerokie uszy królewskich spanieli. Niemniej jednak kochała tego mężczyznę ponad wszystko – nie w ten namiętny sposób jak kiedyś, ale jako przyjaciela, bez którego nie wyobrażała sobie życia.

Podejrzewała, że trzyma kochankę w Paryżu, ale nie wydawał się wielce w nią wpatrzony i Emilie miała pewność, iż nikt jej nie zastąpi w jego sercu. Jednak młoda kobieta, adorująca go tak jak kiedyś Emilie, stanowiła dość poważne zagrożenie. Przecież ona sama też uległa czarowi młodego adoratora. Pogłaskała brzuch i poczuła ostry ból na wspomnienie Saint-Lamberta. Odkąd dowiedział się o ciąży, oddalił się w okrutny sposób, ale może jej ostatni list poruszy jego serce...

Zamknęła oczy, gdy nagle poczuła gwałtowne szarpnięcie i usłyszała przeraźliwy huk. Krzyknęła, ściskając kurczowo Woltera. Powóz wpadł w poślizg na pokrytej lodem drodze. Kufry uderzały o siebie na dachu, przesuwając się i ciągnąc za sobą cały pojazd, który w końcu runął na bok. Pod ciężarem Emilie Wolter stęknął głośno przyciśnięty do jednych z drzwi. Próbowała wstać, walcząc z gąszczem pudeł na kapelusze i pledów, teraz pokrytych zawartością koszyka z prowiantem.

– Przygniatasz mnie – jęknął Wolter, podczas gdy ona waliła w drugie drzwi, teraz znajdujące się nad jej głową.

Usłyszała głos osobistego służącego Woltera – Sébastiena

Longchampa – i poczuła, jak powóz zakołysał się pod ciężarem jego ciała, gdy mężczyzna wspiął się, by ich uwolnić.

– Nic pani nie jest, madame? – zapytał, spoglądając na nią z góry.

– *Mon Dieu* – stęknęła. – Co się stało?

– Oś pękła. Na szczęście jechaliśmy bardzo wolno.

Złapała go za rękę i wspięła się na bok powozu, skąd stangret i drugi służący pomogli jej zejść bezpiecznie na ziemię. Stangret musiał przytrzymać Longchampa za kostki, gdy ten zanurzył się w głąb kabiny, by pomóc Wolterowi. Po kilku minutach wszyscy stali już przy drodze – pokryci błotem, wstrząśnięci, ale cali i zdrowi.

Od zmierzchu Longchamp jechał wierzchem przed powozem i ostrzegał o niebezpiecznych wybojach na drodze prowadzącej ku miasteczku, gdzie podróżni mieli spędzić noc.

– Zostanę z państwem, a ty weź mojego konia i jedź po pomoc – zwrócił się teraz do stangreta. Następnie zaczął podskakiwać w zaspie, żeby dobrze ubić śnieg, i rozłożył na nim futra i pledy. – Przyjadą po nas pewnie dopiero za parę godzin – rzekł. – Proszę się dobrze opatulić.

Emilie i Wolter ułożyli się na futrach, przykryli dokładnie kocami i spojrzeli w gwiazdy płonące ponad nimi na czystym, zimowym niebie. W rozległej, ogłuszającej niemal ciszy słychać było jedynie ciche parskanie i rżenie koni – zdumionych zapewne, że nagle wszystko stanęło.

– Kiedy byłam mała, wyobrażałam sobie, że Droga Mleczna to rumak, który pogalopował do innej galaktyki i teraz da się zobaczyć tylko jego ogon. – Emilie roześmiała się, obserwując chmurę pary buchającą jej z ust i wijącą się na tle granatowoczarnego nieba.

Wolter pokazał palcem do góry.

– Nie mniej szalone wydaje się myślenie, że ta grupa gwiazd to łucznik zwany Orionem, zupełnie jakby obiekty na niebie pozostawały w wybranych miejscach tylko po to, żeby opowiadać nam ciekawe historie.

– A wtedy Galileusz potrząsa teleskopem i zadaje proste pytanie: a może wolelibyśmy poznać prawdę? – odezwała się Emilie. – I voilà – za tą smugą na niebie kryją się rzeczy, o jakich nawet się nam nie śniło. – Umilkła na chwilę. – Ciekawe, co będą myśleli o nas ludzie, którzy nadejdą po nas – zastanawiała się na

głos, kładąc głowę na ramieniu przyjaciela. – O prawdach, których w swoim uporze nie chcemy przyjąć do wiadomości, i o kłamstwach, z których boimy się zrezygnować. Tak się wzbraniamy przed odrzuceniem przesądów i alchemii, ale czy nie byłoby wspaniale na chwilę zajrzeć w przyszłość i sprawdzić, w czym mimo wszystko się mylimy, choć tak uparcie próbujemy mieć rację?

Wolter nie krył rozbawienia.

– I to nawet bardzo się czasem mylimy. Od razu przypomina mi się pewna praca na temat ognia, której największą zasługą okazało się dostarczenie krytykom kolejnych powodów do oczerniania mnie.

Emilie go nie słuchała.

– Wysłanie jakiegoś obiektu w kosmos nie jest niemożliwe, wiesz? – Usiadła, nie zwracając uwagi na mróz. – Jeśli dałoby się wystrzelić pocisk z prędkością wystarczającą, by zdołał przebić się przez grawitację Ziemi, mknąłby niezatrzymany w tym samym kierunku i albo w kółko okrążałby naszą planetę, albo leciałby w przestrzeń w nieskończoność. Jestem tego pewna.

– Chyba żeby na coś wpadł – droczył się Wolter. – Proszę o tym nie zapominać, madame Newton. Może zderzyłby się z ludźmi, którzy wystrzelili się w kosmos z innej galaktyki. Mam nadzieję, że okazaliby się lepszymi stworzeniami niż my.

– To stanowiłoby dowód, że Bóg był równie zajęty gdzie indziej. – Emilie się zaśmiała. – Wyobraź sobie skandal wywołany przez podobne odkrycie!

– Myślę, że i na Ziemi Bóg ma mnóstwo zajęć – stwierdził Wolter, po czym popukał ją palcem po skroni. – Czasem wyobrażam sobie, jak mówi: „Wreszcie mam kogoś, z kim mogę porozmawiać! Kogoś, kto mnie rozumie, choć odrobinę". Wiesz, to mężczyzna, a każdy z nas tak naprawdę pragnie jedynie zostać zrozumiany. – Rozciągnął usta w szerokim uśmiechu i przytulił Emilie mocno do siebie. – A ja w szczególności.

Pod pledem Emilie dała mu kuksańca w bok.

– Przestań! – oburzyła się, choć w duchu uradował ją ten komplement. Spojrzała na Woltera i dostrzegła, że nagle spoważniał.

– Jesteś najdoskonalszym przejawem boskości, jaki spotkałem w swoim życiu – wyznał. – Nie wyobrażam sobie, bym mógł obdarzyć kogoś innego podobnym uczuciem. Bałbym się, że zatrze

się przez to moje wspomnienie o tobie.

Kiedy słodycz jego komplementu wreszcie się rozwiała i Wolter wypuścił ją z objęć, Emilie przemówiła:

– Bóg droczy się z nami tym niebem – mruknęła. – Mówi: „Nigdy nie pojmiecie ogromu mojego stworzenia, ale chcę, żebyście mimo wszystko próbowali. Chcę, żebyście nie przestawali mnie szukać".

Smutek, który ostatnio tak często ją nawiedzał, znów wkradł się w jej myśli. Śmierć to najokrutniejszy boski żart. Kazał ludziom iść przez życie z przeświadczeniem, że nie wystarczy im czasu.

– Chciałabym żyć wiecznie – szepnęła tak cicho, by Wolter jej nie słyszał.

Leżeli w milczeniu i przyglądali się gwiazdom.

– Błyszczą ci oczy. – Wolter przerwał ciszę.

Roześmiała się zaskoczona.

– Skąd wiesz? Przecież jest ciemno.

– Nie muszę na ciebie patrzeć, żeby wiedzieć. – Uścisnął pod pledem jej rękę. – Nawet gdyby cię tu teraz nie było, wiedziałbym, że gdziekolwiek jesteś, twoje oczy pałają wewnętrznym ogniem – to on czyni cię tak wyjątkową.

Emilie wtuliła się w przyjaciela. Marzyła, by wszystko wokół – lśniące gwiazdy na niebie, mróz piekący policzki i mężczyzna trzymający ją w ramionach – przestało sprzysięgać się przeciwko niej i tak boleśnie rozdzierać serce.

17

1767

Poślę po Ciebie mój powóz – oznajmiał bilecik leżący na siedzeniu obok Lili, skreślony niepewną dłonią siedemdziesięciodwuletniego Woltera.

Wysłała do niego list ze swojej kwatery w Genewie, a on, ku jej wielkiej uldze, odpowiedział z takim entuzjazmem, że na chwilę odsunęła od siebie nieprzyjemne wspomnienia z Cirey. Może któregoś dnia zdoła myśleć o buduarze matki, o jej teatrze, wannie czy biurku, nie przypominając sobie natychmiast potwornej sceny, która przerwała jej pobyt w posiadłości. Przez całą drogę do Genewy próbowała wyzbyć się poczucia winy związanego z sytuacją, w której przecież najbardziej ucierpiała ona sama.

Dotknęła stanika i wymacała ukrytą w nim sakiewkę z pryzmatem, który wzięła na pamiątkę po matce. „Niech markiz sobie myśli, że jestem złodziejką – pomyślała. – Cieszę się, że zatrzymałam pryzmat". Zalała ją nagle fala goryczy. Z przyzwyczajenia, które wyniosła jeszcze z klasztoru, zmówiła cichą modlitwę błagalną o wybaczenie. „To tylko zdezorientowany starzec – zakołatało jej w głowie. – Dość już cierpi jako więzień własnego umysłu. Nie powinnam życzyć mu dodatkowych

przykrości”.

Powóz zatrzymał się i Lili usłyszała głos Stephane’a, który zeskoczył z kozła na usypany żwirem dziedziniec i otworzył drzwi. Pałac, bardzo skromny budynek, lśnił przepięknie w porannym słońcu, zupełnie jakby promieniał wewnętrznym blaskiem. Portyk z ciepłego, żółtego piaskowca okalał duże drzwi zewnętrzne, przy których już czekała służba. Pod szarym dachem mansardowym, wzdłuż białych ścian, ciągnęły się symetryczne rzędy okien z otwartymi okiennicami, zupełnie jakby każde pomieszczenie z osobna zapraszało ją do środka.

– Mademoiselle du Châtelet? – Pokłonił się mężczyzna w biało-czerwonej liberii, jak tylko Stephane pomógł dziewczynie opuścić powóz. – Nazywam się Germond, jestem osobistym służącym monsieur Woltera. Bardzo nam miło powitać panią w Ferney. – Rozejrzał się i krzyknął: – Dunan! Pernette! – Dwaj służący stojący przy wejściu podbiegli i zaczęli zdejmować z dachu pojazdu bagaże Lili.

Przysadzista kobieta po czterdziestce wyłoniła się zza bocznych drzwi prowadzących do jednego ze skrzydeł posiadłości. Wytarła ręce w fartuch, podeszła do Lili i dygnęła na powitanie.

– Jestem Michon – gospodyni. Mam nadzieję, że zdołam zapewnić panience wszelkie wygody – odezwała się dobrze przećwiczonym tonem. – Może mademoiselle zechciałaby odpocząć w swoim pokoju po podróży?

Zanim Lili otworzyła usta, Germond pokręcił głową.

– Monsieur Wolter prosił, bym zaprowadził mademoiselle du Châtelet do jego biblioteki zaraz po przyjeździe.

Lili zdążyła dostrzec zdziwienie na twarzy Michon, nim służąca schyliła głowę.

– Rozumiem – rzekła, po czym gestem dłoni nakazała Dunanowi i Pernette’owi wnieść bagaże gościa do domu. Stephane rzucił się im na pomoc i wspólnie z Dunanem złapali za kufer, podczas gdy Justine podążyła za nimi z torbą podróżną Lili.

– Serwujemy obiad o drugiej – odezwała się znów gospodyni. – Louise, pokojówka z piętra, zadba o wszystkie panienki potrzeby. – Dygnąwszy na pożegnanie, kobieta pospieszyła za pozostałymi.

Wewnątrz powietrze wydawało się czyste i rześkie. Wzorzyste marmurowe ściany i posadzka napawały dom tak błogim spokojem, że wydawało się, jakby nie śmiała go zakłócić choćby

jedna drobinka kurzu.

– Tędy, mademoiselle – rzekł Germond. – Pójdziemy do biblioteki przez salon, żeby wiedziała panienka, gdzie się udać w porze obiadowej. – Otworzył drzwi w głębi westybulu i poczekał, aż Lili przejdzie.

Jej oczy dopiero co przywykły do półmroku korytarza, a teraz znów mrużyły się w oślepiającym świetle salonu. Proste, kremowe ściany ozdobione były bajkowymi krajobrazami w złotych ramach, a lśniące drewno krzeseł i wyraziste, czerwone wzory na dywanie odbijały się w lustrach, które połyskiwały w słońcu na każdej ze ścian. Lili obejrzała wszystko bardzo pobieżnie, gdyż jej wzrok natychmiast skupił się na tym, co znajdowało się w dalszej części pomieszczenia.

Przeciwległa ściana salonu składała się prawie wyłącznie z okien. Umieszczone w niej przeszklone drzwi prowadziły do eleganckiego, małego ogrodu pokrytego dywanami kwiatów. Migoczące w słońcu strugi wody tryskały z fontanny i opadały łukami do marmurowego stawu na środku ukwieconej przestrzeni. Zagrabione żwirowe alejki łączyły dom z lasem rozciągającym się za posiadłością i rozchodziły się po skosie we wszystkie cztery rogi ogrodu. Widok bardzo się różnił od tych wokół Wersalu czy Vaux-le-Vicomte – emanował tak niezwykłym ciepłem i intymnością, że Lili od razu poczuła, iż spodoba jej się w Ferney, mimo desperacji, która ją tu przywiodła.

– Mademoiselle? – Germond stał obok zamkniętych drzwi po jej lewej stronie.

„Biblioteka Woltera" – przypomniała sobie. Serce jej podskoczyło, gdy Germond zapukał do drzwi, a następnie otworzył je i zachęcił, by weszła do środka.

Ściany pomieszczenia od podłogi po sufit przesłaniały regały z książkami. Pomiędzy nimi znajdowały się wielkie okna, przez które słońce zalewało wnętrze swym światłem. Patykowaty mężczyzna, tylko trochę wyższy od niej, stał na prywatnym tarasie, spoglądając ponad winnicami ku majaczącym w oddali zarysom Mont Blanc i Alp.

– Bardzo przepraszam, monsieur – odezwał się Germond. – Mademoiselle du Châtelet już przybyła.

Wolter się odwrócił.

– *Mon Dieu* – westchnął, po czym wszedł do biblioteki i kłaniając się na powitanie, uniósł dłoń dziewczyny do swych

warg. – Germond! – rzekł, wykrzywiając usta w szerokim, bezzębnym uśmiechu – powiedz, czy widziałeś kiedyś, żebym zapomniał języka w gębie? – Brak zębów tak bardzo zniekształcił jego wymowę, że gdyby nie fakt, iż Wolter w ogóle tego nie kontrolował, ktoś mógłby uznać, że stroi sobie żarty.

– Non, monsieur – odparł Germond obojętnym tonem wieloletniego służącego. – Czy mam podać kawę? – Wolter skinął potakująco głową i mężczyzna zniknął za drzwiami.

Lili unikała przenikliwego wzroku gospodarza. Próbowała z całych sił nie wzdrygać się na widok starca wyschniętego niczym mumia. W niczym nie przypominał człowieka z obrazów i ilustracji, jeśli nie liczyć staromodnej, upudrowanej peruki opadającej mu na ramiona równie staroświeckiego surduta i wystającego spod niego żabotu. „Nie spodziewałam się, że wygląda tak staro" – przemknęło jej przez myśl.

Błysk w oczach Woltera pomógł jednak Lili zapomnieć o jego osobliwym wyglądzie, odsunąć na bok teraźniejszość i dostrzec w nim niegdyś młodego mężczyznę. Zanim znów przemówił, już czuła sympatię do człowieka, któremu przed laty udało się zdobyć serce jej matki.

Wolter poprowadził dziewczynę do niewielkiej kanapy, a sam usiadł w fotelu naprzeciw niej. Na jego twarzy zagościł jakiś nieokreślony grymas, gdy przyglądał się Lili.

– Jesteś taka do niej podobna – zauważył. Głos uwiązł mu w gardle, odchrząknął więc głośno i wyjął chusteczkę, by przetrzeć cienką linię warg. – Minęło już osiemnaście lat. Myślałem o tym, kiedy dostałem od ciebie list z Genewy. Letnie upały zawsze przypominają mi tamte czasy. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. – A tu proszę, oto siedzi przede mną ucieleśnienie całego tego okresu. Urocza młoda dama.

– Mam nadzieję, że w żaden sposób nie przysporzyłam panu cierpienia swoim przyjazdem, monsieur Wolterze – rzekła Lili. Nagle zdała sobie sprawę, że on płacze, i wtedy jej własne, z trudem powstrzymywane łzy również zaczęły ciec po policzkach. Śmiali się z siebie przez chwilę za tak bezwstydne okazywanie słabości na oczach mimo wszystko obcej osoby.

Potem zjawiła się Michon z imbryczkiem kawy, dwoma maleńkimi porcelanowymi filiżankami oraz koszyczkiem świeżych magdalenek roztaczających woń masła i cukru.

– Już południe, monsieur – powiedziała. – Zechce pan się udać

na spacer przed obiadem?

Wolter spojrzał na Lili.

– Tylko jeśli mademoiselle du Châtelet będzie mi towarzyszyć – oznajmił, unosząc pytająco brwi w stronę swojego gościa.

– Z rozkoszą. Jednak czy nie powinnam się odpowiednio ubrać do obiadu? – Lili wygładziła spódnicę.

Zlustrował szybko jej schludną, acz pozbawioną gorsetu suknię podróżną.

– Czyżbyś zamierzała popływać w moim stawie z karpiami? – Jego oczy zmarszczyły się w uśmiechu. – Bo jeśli tak, nalegam, byś zjawiła się przy stole już wysuszona. W innym wypadku wyglądasz mi na całkowicie ubraną. – Śmiech Woltera przypominał dziecięcy chichot zmieszany ze skrzekiem żaby. – Mieszkam zbyt daleko od Paryża, by przejmować się takimi rzeczami, no i staram się, jak mogę, unikać gości, których to obchodzi. – Wstał i zachęcił ją gestem, aby podążyła za nim na taras. – Tak więc, moja droga, po prostu bądź sobą, bowiem nie ma chyba nic bardziej urzekającego.

Wydał się lekki niczym piórko, kiedy wsparł się na niej całym ciężarem i ramię w ramię zeszli z tarasu na ścieżkę, która ginęła w zagajniku skąpanym w jesiennym słońcu.

LILI ZJAWIŁA SIĘ W SALONIE kilka minut przed wyznaczoną godziną i zastała tylko dwudziestokilkuletniego mężczyznę pogrążonego w lekturze. Na widok dziewczyny zerwał się z krzesła i ucałował jej dłoń, kłaniając się przy tym teatralnie.

– Jean-François de La Harpe – oznajmił tonem sugerującym, że powinna znać jego nazwisko. – A pani musi być mademoiselle du Châtelet?

– Czy przyszłam za wcześnie? – zapytała Lili.

La Harpe'a wyraźnie rozbawiły jej słowa.

– Ponieważ dopiero pani przyjechała, nie wie pani, że Wolter ma w zwyczaju kazać wszystkim na siebie czekać, więc oczywiście nikt nie schodzi na posiłek o czasie. A to dalej przesuwa godzinę obiadu, bo gospodarz chce mieć pewność, że wszyscy i tak na niego czekają. Domyślam się, że minie jeszcze co najmniej dziesięć minut, nim zjawi się madame Denis, a ojciec Adam dotrze nawet później.

Pomimo przystojnej twarzy i naturalnej ogłady towarzyskiej mężczyzna nieszczególnie przypadł Lili do gustu. Niepokojące

wydało się jej, że już w pierwszych słowach przemycił nutę krytycyzmu wobec swojego gospodarza. Inteligencja i spryt okazywane kosztem wdzięczności nie świadczyły o człowieku zbyt dobrze. No i kim byli ci ludzie, których wspomniał?

– Madame Denis? – zapytała Lili.

– Gospodyni monsieur Woltera. – La Harpe uśmiechnął się krzywo.

– Ma pan na myśli Michon? – zdziwiła się Lili. – Służba zasiada do stołu z gospodarzem? – Wydało jej się to dość ekscentryczne, ale Ferney mocno różniło się od świata, który znała, więc postanowiła być otwarta na różne możliwości.

– Oczywiście, że nie! – oburzył się młodzieniec tonem przypominającym snobistyczny bełkot Anne-Mathilde i Joséphine z czasów klasztornych. – Madame Denis tu mieszka. To siostrzenica Woltera, która wzięła na siebie rolę denerwującej żony. Jej mąż miał dość rozsądku, by umrzeć niedługo po ślubie.

Teraz Lili miała pewność, że nie lubi La Harpe'a.

– Może słyszała pani o moich sztukach? *Warwick? Timoleon? Pharamond?* – zapytał młodzieniec. – *Warwick* odniósł spory sukces i Wolter zaprosił mnie tutaj, abym pomógł mu poprawić niektóre jego wiersze.

Lili pokręciła przecząco głową.

– Przepraszam, ale te tytuły nic mi nie mówią. – „Ten parweniusz twierdzi, że poprawia dzieła najwybitniejszego pisarza we Francji?". Lili zastanawiała się, jak zareagowałby Wolter na takie zuchwalstwo.

– *Timoleon* i *Pharamond* – nie dziwię się, że pani o nich nie słyszała. Obawiam się, że Francja nie jest jeszcze na te dzieła gotowa i będę musiał się zadowolić sławą pośmiertną. – Roześmiał się, jakby uważał taką skromność za czarującą u mężczyzny o jego talentach.

– Jaka szkoda, że nigdy się pan nie dowie, czy ją osiągnął – odparła Lili, z trudem tłumiąc nutę sarkazmu w głosie.

– A więc jest pani córką markizy du Châtelet. – La Harpe zignorował komentarz Lili. Jego natrętny wzrok wprawiał ją w zakłopotanie. – I osobą na tyle wyjątkową, że cały dom o pani mówi. Gospodarz nie kazał pani godzinami czekać w przedpokoju, jak każdemu innemu gościowi.

Lili obdarzyła go uśmiechem, który przećwiczyła niegdyś na Jacques'u-Marsie.

– Tak – odrzekła, nie precyzując, co ma na myśli. – Może wie pan, że moja matka przetłumaczyła *Principia* Newtona.

La Harpe wyglądał na zdezorientowanego.

– Newton? – zapytał takim tonem, że Lili nie miała pewności, czy okazywał jedynie zdumienie, czy naprawdę nigdy o nim nie słyszał. – Myślałem, że była tylko Wolterową...

Uniósł głowę i wstał.

– Madame Denis! Wygląda pani przeuroczo – powiedział, ujmując dłoń nowo przybyłej, by złożyć na niej pocałunek. – Czy poznała już pani mademoiselle du Châtelet?

„Jak się nazywała ta baśń, w której król był cherlawym, maleńkim człowieczkiem, a królowa kobietą tak wielką, że z trudem mieściła się na swoim tronie?" – Lili nie mogła sobie przypomnieć, ale stojąca przed nią matrona świetnie pasowała do tej opowieści.

– Ach, *oui* – rzekła madame Denis. – Monsieur Wolter był wielce podekscytowany, odkąd otrzymał pani list z Genewy. – Zlustrowała Lili od góry do dołu. – Spodobał się pani spacer?

„Szpieguje mnie" – pomyślała Lili, czując nieprzyjemne ciarki na plecach. Zanim jednak zdążyła odpowiedzieć, madame Denis odwróciła się, zupełnie jakby wypowiedzianymi przed chwilą słowami nie chciała zadać jej pytania, lecz obwieścić swoją władzę w tym domu.

– Gdzie jest ojciec Adam? – zapytała La Harpe'a.

– Chyba wciąż w wiosce – odparł młodzieniec. – Wzmacnia pozycję swojej ulubionej gospodyni.

Madame Denis wybuchła zalotnym, perlistym śmiechem, od którego zatrzęsła się tłusta fałdka na jej podbródku.

– Jean-François jest taki sprytny – zwróciła się do Lili. – Czy poznała już pani ojca Adama? To jezuita, ale, jakby to powiedzieć... Ojciec Adam sam zdecydował, których ślubów powinien dochować przed Bogiem. A ponieważ ma już sześćdziesiąt lat, nadrabia stracony czas. Natomiast uroczej małżonce mojego biednego monsieur de La Harpe'a nie udało się jeszcze opuścić łóżka od przyjazdu. – Madame nadąsała się teatralnie. – Bidulka z tej naszej Marie Marthe.

„On jest żonaty?" – Lili nie miała wątpliwości, że spojrzenia, które słał w jej stronę, nie były ani przypadkowe, ani niewinne.

– Biedaczka spodziewa się dziecka, wie pani? – ciągnęła madame Denis. – A to czasem wywołuje tyle dodatkowych

dolegliwości. – Roześmiała się głośno. – Obawiam się, że nudne z nas towarzystwo – z monsieur de La Harpe'a i ze mnie – jesteśmy jedynymi normalnymi ludźmi w tej całej menażerii.

„Tak normalnymi jak szakal w surducie i wieloryb w aksamitnej sukni – pomyślała Lili, czując nagły przypływ troski wobec schorowanego staruszka, gospodarza majątku. – On mieszka z takimi ludźmi?".

Drzwi od biblioteki otworzyły się i do salonu wszedł Wolter. Jego twarz rozpromieniła się na widok Lili. Ignorując madame Denis i La Harpe'a, podszedł bezpośrednio do dziewczyny i chwycił ją pod ramię. Madame Denis zaoferowała swoją rękę La Harpe'owi. Posłała mu przy tym spojrzenie tak zalotne i intymne, że Lili pospiesznie spuściła wzrok, nie chcąc być intruzem i naruszać ich prywatności. „Biedaczek – zakołatało jej w głowie – naprawdę ma tu niezłą menażerię".

LILI PRZETARŁA OCZY, gdy ogarek zamigotał gwałtownie. Była już prawie północ, ale dziewczyna nie mogła zasnąć po dniu obfitującym w tyle wrażeń. Wstała więc i sięgnęła po książkę, którą Wolter pożyczył jej ze swojej biblioteki. Niedawno opublikowano jego *Słownik filozoficzny* – poinformował ją, po czym dodał z nieskrywaną dumą, że dzieło natychmiast zostało zakazane przez francuskich cenzorów i Kościół. Przekartkowała pierwsze stronice i zatrzymała się na haśle „Adam".

„Imiona Adam i Ewa nie występują w żadnym dziele literackim z czasów starożytnej Grecji, Rzymu, Persji czy Syrii – napisał. – Bóg musiał więc zażyczyć sobie, by historię początków życia na naszej planecie zatajono przed wszystkimi z wyjątkiem nielicznych nieszczęśników, inaczej wydawać by się mogło, że imię praojca powinno dotrzeć do najdalszych zakątków ziemi. To prawdziwy cud, że wszelkie pomniki na jego cześć, które musiały niegdyś istnieć, uległy zniszczeniu, a wiele narodów w ogóle nie słyszało historii Adama (...)".

„Przebiegły jest" – pomyślała Lili i znów zaczęła kartkować książkę. Zatrzymała się mniej więcej w połowie.

„Wolność myśli" – przeczytała. – „Powiedziano mi – rzekł inkwizytor Medroso – że religia katolicka zginęłaby, gdyby ludzie zaczęli myśleć". „Jak to możliwe? – zapytał lord Boldmind. – Jeśli Kościół jest zaiste święty, jak mógłby ulec zniszczeniu?". „Cóż, może nie zginąłby – poprawił się Medroso – ale jego wpływy

mogłyby zostać niebezpiecznie ograniczone. Proszę popatrzeć na Szwecję czy Danię uginające się pod ciężarem jarzma myślenia, że nie muszą już słuchać papieża". „Chyba można i tak na to spojrzeć – odparł Boldmind – ale czy nie uważa pan, że chrześcijaństwo w ogóle by nie istniało, gdyby pierwsi chrześcijanie nie dysponowali wolnością myślenia?". „Nie rozumiem – wyznał Medroso". „Wcale mnie to nie dziwi – rzekł Boldmind. – Ludzie sami muszą nauczyć się myśleć. Urodził się pan z intelektem. Kościół podciął panu skrzydła, ale mogą one znowu odrosnąć".

„Ale mogłyście odlecieć..." – Lili też myślała kiedyś o ludziach z podciętymi skrzydłami. Może trafiła do miejsca, gdzie zostanie w pełni zrozumiana. Teraz mogła już zasnąć. W Ferney czuła się niemal jak w domu.

„ZAPRASZAM CIĘ RANO DO MOJEJ ALTANY – Wolter".

Dzierżąc w dłoni bilecik dołączony do śniadania, Lili przeszła przez trawnik w stronę lipy otoczonej okrągłym żywopłotem.

– Jest pan tutaj? – zapytała przy wejściu. Kiedy usłyszała jego głos, zajrzała do środka.

Gęsta czapa z liści tworzyła zadaszenie nad piaszczystą podłogą. Wolter siedział w jednym z dwóch foteli obitych czerwono-złotym brokatem, przy inkrustowanym drewnem stoliczku, na którym leżała sterta listów. Lampka oliwna zapewniała odpowiednie światło do czytania nawet w głębokim cieniu. Z jednej strony, na wytartym perskim dywanie, stały niewielki sekretarzyk oraz krzesło. „Jeśli zignorować ogromny pień drzewa na samym środku – pomyślała Lili – wystarczyłoby powiesić parę obrazów na ścianie żywopłotu i miejsce to mogłoby uchodzić za część domu".

– Witaj w mojej kryjówce – odezwał się Wolter, klepiąc się po nogach skrytych pod pledem. – Mam nadzieję, że nie poczujesz się urażona, jeśli nie wstanę. – Włożył dziś luźny surdut, wyglądający na nim jak szlafrok, a głowę owinął szkarłatnym turbanem ozdobionym kilkoma pomponami w różnych kolorach. Nie miał peruki i spod materiału nad karkiem wystawały cieniutkie, sterczące pasemka białych włosów. Za to jego oczy lśniły niczym niezmąconą radością. – Czy pamiętasz zakończenie mojego *Kandyda*? – zapytał. – To, jak bohater w końcu rezygnuje ze złudzeń, że żyje w najlepszym z możliwych światów,

i postanawia, że najlepiej uprawiać własny ogródek? – Omiótł ręką wnętrze altany. – Chyba można powiedzieć, że to właśnie zrobiłem. – Uśmiechnął się blado. – Potrzebuję azylu od mojego azylu. Wszyscy wiedzą, że tutaj należy mnie zostawić w spokoju, bo inaczej napiszę o nich coś potwornego.

– Obawiam się, że z powodów, których jeszcze panu nie wyjawiłam, w ostatnim roku bardzo zaniedbałam czytanie – wyznała Lili. – Oczywiście, nie licząc Biblii. – Skrzywiła się, aby dać jasno do zrozumienia, że podobne ograniczenia nie wynikały z jej woli.

– Och, tak – rzekł. – Muszę cię ostrzec, że chleb spożywany pod tym dachem nie jest przyrządzany według boskiej receptury, choć posiadamy tu mnóstwo głównego składnika. – Widząc zdumienie na twarzy Lili, pospieszył z wyjaśnieniem: – Weźmiesz – co to było? – Pszenicę, jęczmień, bób, soczewicę, proso, zmieszasz je ze sobą i zrobisz z nich chleb – brzmi bardziej jak przepis na paszę dla zwierząt, ale do tego dochodzi jeszcze jeden składnik, który, zdaniem Boga, uczyni pożywienie naprawdę wyjątkowym. – Wykrzywił usta w przebiegłym uśmiechu. – „I upieczesz go na nawozie ludzkim".

– Nie! – Lili otworzyła buzię i nawet nie starała się jej zamknąć.

– Tak jest napisane – zarechotał Wolter. – Niestety nie należę do tych, którzy noszą przy sobie Biblię niczym trzecie jądro, więc będziesz musiała sprawdzić to później, ale możesz przeczytać Ezechiela, rozdział czwarty, po łacinie, po grecku, francusku czy angielsku. Wszystkie wersje znajdziesz w mojej bibliotece.

– Na nawozie ludzkim? – zszokowana Lili prawie nie usłyszała, co powiedział.

Znów się zaśmiał.

– I to na oczach wszystkich, powiada Pan, żebyśmy dokładnie wiedzieli, co jemy. Ale pamiętaj, Bóg jest znany ze swej łaskawości. Pozwolił nam zastąpić nawóz ludzki nawozem wołowym. W innych kwestiach był jednak nieugięty – należy go spożywać przez trzysta dziewięćdziesiąt dni, i ani dnia mniej. – Uśmiechnął się od ucha do ucha. – Poszczęściło ci się zatem. Przyjechałaś w dzień trzysta dziewięćdziesiąty pierwszy. Ale może to tłumaczy, dlaczego pozostali goście są tak niemiłym towarzystwem.

– Jeść nawóz? Nie wiem, czy powinnam śmiać się, czy płakać.

– No właśnie – odparł Wolter. – To dlatego religia jest najpodlejszą formą hańby. Wyobrażasz sobie jakiegoś biedaka zastanawiającego się, dlaczego cierpi na podagrę albo czemu woda pitna zabija jego dzieci, no i myśli, że odpowiedź na złagodzenie gniewu Bożego stanowi rada Ezechiela? Chociaż pewnie zasługujemy na to, w co jesteśmy gotowi uwierzyć. – Odwrócił głowę, nagle speszony, jakby coś mu się przypomniało. – Wiele lat temu mieszkałem nad tawerną z około dziesięcioma innymi gośćmi. Znajdowało się tam *chaise percée*, ustawione nad rurą biegnącą – kto to wie? – gdzieś pod ziemię. Aresztowano mnie wtedy za napisanie czegoś obraźliwego i przedstawiciel władzy myślał, że ukrywam w swoim pokoju egzemplarze tego dzieła. Powiedziałem mu, że wyrzuciłem wszystkie do wychodka, i wiesz, co zrobił ten bezmózgowiec? – Wolter nie czekał na odpowiedź. – Poszedł ich szukać! Zanim skończył, rura pękła i jej zawartość oblała ludzi zgromadzonych w tawernie. Dopiero kiedy urzędnik stał jak słup soli cały w gównie i szczynach – w tym moich – zorientował się, że nie ma tam żadnych papierów.

– Nie znalazł ich?

Wolter zarechotał.

– Nigdy ich tam nie schowałem. Chciałem go ukarać, bo tak dał się omamić przez władze, że był gotowy mnie aresztować za wyrażanie własnych opinii.

Lili wolno pokręciła głową, nie mogąc się nadziwić śmiałości Woltera.

– Dlaczego tu przyjechałaś? – zapytał nagle poważnym tonem.

– Jak miło było zapomnieć o tym na moment – odparła dziewczyna zaskoczona nagłą zmianą tematu.

Wolter położył kościstą dłoń na piersi, a drugą drapał się w zamyśleniu po brodzie, gdy Lili opowiadała mu o nadciągającym małżeństwie i podróży do Cirey.

– Musimy się nad tym zastanowić – rzekł, kiedy skończyła. Odłożył pled i uniósł się powoli. – Chcesz się wybrać na spacer? To zawsze rozjaśnia mi umysł.

– Gdybym mogła przez jakiś czas zostać w Ferney – zastanawiała się na głos Lili, gdy spacerowali w stronę niewielkiego kościółka stojącego na ziemiach Woltera. – Mam ładne pismo, mogłabym zająć się kopiowaniem. I służyłabym pomocą madame Denis w nużących obowiązkach domowych... – Dostrzegła złośliwy uśmieszek na twarzy Woltera na wzmiankę

o korpulentnej siostrzenicy uważającej się za gospodynię, która zdawała się troszczyć jedynie o to, by w domu nie pozostawały żadne resztki po posiłkach oraz łechtaniem ego monsieur La Harpe'a. – Tylko na jakiś czas – dodała pospiesznie. – Ale dzięki temu nie musiałabym od razu wracać do Paryża i wybierać męża.

– Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności, moja droga – odparł Wolter, zatrzymując się przed bramą kościoła. – Ale lepiej, gdyby nie kojarzono twojego nazwiska z moim. Choć biorąc pod uwagę plotkarzy pod moim dachem, może być już na to za późno. – Zatrzymał się i spojrzał na nią. – Poza tym rozwiązanie twojego problemu może znajdować się tuż pod twoim nosem. Po prostu jeszcze go nie dostrzegłaś.

Lili otworzyła buzię, żeby zapytać, co ma na myśli, ale on już wskazywał na napis nad wejściem do kościoła.

– „*Deo erexit Voltaire*" – przeczytał. – Wiesz, co to znaczy?

– Wzniesione Bogu przez Woltera – odparła Lili.

– Tak jest napisane, ale co to znaczy? – Wolter był zbyt niecierpliwy, by czekać, aż Lili się zastanowi. – To znaczy, że wzniosłem tę budowlę ku czci Boga, zamiast mazgaić się do jakiegoś świętego, jak każe nam Kościół, i błagać, żeby wstawił się za nami u Stwórcy.

– Pan zbudował ten kościół? – Absurdalność tej informacji stłumiła nagle wszelkie inne myśli.

– Niezupełnie – odparł, spoglądając na nią ze skruchą. – Odbudowałem go. Uznałem, że stary kościół parafialny psuje widok, a ponieważ stał na mojej ziemi, zburzyłem go. Sądziłem, że nikomu nie będzie to przeszkadzać. Przecież z własnych pieniędzy budowałem wtedy nowy, parę kroków stąd, dla tych biednych kanibali z wioski, którzy uważają, że nie mogą żyć – a raczej nie mogą umrzeć – nie próbując co tydzień ciała i krwi swego Zbawiciela. Ale biskup postanowił ukarać mnie za to, że nie zapytałem go o zgodę na wyburzenie, i kazał postawić nowy kościół dokładnie w miejscu starego. Tak więc zgadza się, droga Lili, twój przyjaciel Wolter wybudował kościół. – Rozejrzał się z nadzieją. – Szkoda, że nie ma tu teraz ojca Adama. Chciałbym, żebyś go poznała. Stanowi moją drugą zemstę, poza tą inskrypcją nad drzwiami. Adama pozbawiono habitu, ale mimo wszystko odprawia msze. A ja czuję się lepiej ze świadomością, że ludzie, którzy wykorzystują moją własność do takich błazenad, przynajmniej nie są tak bardzo oszukiwani w kazaniach, jak

byliby, gdyby msze odprawiał ksiądz wierzący w te wszystkie bzdury.

Dotarli już na tyły kościoła, gdzie teren opadał delikatnie. Rozciągał się stąd widok na winnice, pastwiska, sady owocowe oraz pola uprawne.

– Oto cel mojego życia – rzekł Wolter. – Wiesz, jestem dość majętny. Pałac, miasteczko i otaczające je ziemie należą do mnie. Nie wyobrażam sobie lepszego sposobu na wykorzystanie pieniędzy – chcę uczynić ten kawałek Francji lepszym miejscem. Kiedy kupiłem Ferney, tutejsza ziemia nie nadawała się pod uprawę, była zbyt bagnista. Teraz tereny zostały osuszone i wokół powstały nowe gospodarstwa. Nieopodal zbudowano fabrykę zegarów i kilka innych zakładów, które przynoszą miasteczku zyski. Teraz żyje się tu lepiej – jest spokojniej, czyściej, bezpieczniej. Nie próbuję już zmienić świata. Ale to mogę zmienić. – Jego policzki poczerwieniały z dumy. – Musimy pielęgnować nasz ogródek. – Zerknął w stronę pałacyku. – Powinniśmy wracać – stwierdził. – To już prawie pora obiadowa. – Roześmiał się wesoło. – Dobrze, że nauczyłem wszystkich na siebie czekać.

– Czy miałby pan coś przeciwko, jeśli pożyczę sobie egzemplarz *Kandyda* na mój pobyt tutaj? – zapytała Lili, biorąc go pod ramię. – Czuję się potworną ignorantką.

Staruszek się uśmiechnął.

– Będę zaszczycony. Ale myślę, że najpierw powinnaś przeczytać coś innego.

Emilie

1749

Emilie du Châtelet przerwała na moment pisanie, gdy poczuła dziecko poruszające się pod sercem. Położyła dłoń na wystającym brzuchu. Jeszcze tylko trzy miesiące. Prace nad *Principiami* szły bardzo dobrze i znalazła chwilę, żeby napisać coś innego. Nie wiedziała, co takiego ją skłoniło do utrwalenia na papierze własnej filozofii życiowej, skoro brakowało jej czasu na ważniejsze rzeczy. Krótkiego tekstu, *Rozprawy o szczęściu*, nie przeznaczyła do publikacji, choć oczywiście nie miało dla niej znaczenia, co po jej śmierci się z nim stanie.

„Panuje dość popularne przekonanie, że trudno jest być szczęśliwym i można znaleźć wiele przykładów potwierdzających taki stan rzeczy – napisała przed kilkoma dniami. – Jednak tak naprawdę ludzie znacznie łatwiej osiągnęliby szczęście, gdyby dążyli do samokrytycyzmu i gdyby ich działanie poprzedzał dokładnie przemyślany plan postępowania". – Woltera szczególnie zainteresowałby kolejny fragment, chociaż wszystko, o czym pisała, pojawiało się nieraz w ich rozmowach. – „To od nas zależy, czy nasze namiętności służą naszemu szczęściu" – z pewnością nie mógłby temu zaprzeczyć, aczkolwiek nie ucieszyłby się, że z taką otwartością pisała o końcu ich romansu oraz o bólu, jaki

sprawiła jej utrata względów kochanka. Podobnie Saint-Lambert – on również powinien dostać egzemplarz, bo gorycz, którą po sobie zostawił w sercu Emilie, z pewnością wyostrzyła jej umysł.

„Nie wystarczy po prostu nie być nieszczęśliwym. Życie nie byłoby warte zachodu, gdyby brak bólu stanowił jego jedyny cel. Idąc tym tropem, za najlepsze rozwiązanie można uznać niebyt, ponieważ w tym stanie z pewnością cierpielibyśmy najmniej. Zamiast tego konieczna jest walka o szczęście".

Jej drogi przyjaciel książę Stanisław zrozumiałby te słowa. On – bardziej niż ktokolwiek inny – wiedział, jak walczyć o dobre życie. Nic dziwnego, że przyjaciele Emilie woleli spędzać czas na jego dworze w prowincjonalnym Lunéville niż w Wersalu. Kiedy prace nad *Principiami* osiągną już bardziej zaawansowane stadium, Emilie opuści Paryż i pojedzie do Lunéville z kilkoma przyjaciółmi, którzy pomogą jej przejść przez ostatnie miesiące ciąży i połóg.

Czwarty egzemplarz dla przyjaciółki – Marie-Victoire du Thil, która wiele lat temu nalegała, by zatrzymali się przed mieszkaniem Woltera, aby mogła podroczyć się z nim, że jest dopiero drugą pod względem inteligencji osobą w Paryżu. Jak inaczej wyglądałoby teraz życie Emilie, gdyby go nie poznała!

„Szczęśliwymi czynią nas nie tylko przyjemności, których doświadczamy w danej chwili, ale nadzieje na przyszłość i wspomnienia z przeszłości – napisała. – Należyte docenianie przy tym samego siebie jest jak wiatr dmący w nasze żagle, bez którego statek nie zdołałby ruszyć naprzód". Cieszyła ją świadomość, że dobrze wykorzystała życie dane jej od Boga. Chociaż obawiała się o swoją przyszłość, pragnienie przemówienia zza grobu nie było tylko zwykłym marzeniem, lecz ryczącym sztormem, od którego skrzypiał takielunek.

Nowa przyjaciółka, Julie de Bercy, również pojedzie z nią do Lunéville. Była jeszcze taka młodziutka i musiała się tyle nauczyć. Może ona też zechce przeczytać rozprawę Emilie. Baronowa Lomont oczywiście nie zechce. Oto przykład osoby, której celem w życiu zdawało się coś zupełnie przeciwnego od szczęścia – odrzucała przyjemność i radość na rzecz surowej pobożności, niczym magnes odpychający z uporem inny magnes. Baronowa Lomont też wybierała się do Lunéville – wprosiła się, by pilnować, żeby nikt za dobrze się nie bawił.

Emilie wzruszyła ramionami.

„Najlepiej znaleźć sposób na szczęście w sytuacjach, przed którymi stawia nas życie, niż na siłę próbować je zmieniać" – napisała. Cała sztuka polega na tym, by czuć się szczęśliwym bez względu na to, co przypisał ci los. Baronowa Lomont była jej szwagierką, wdową po bracie męża, a ponieważ Emilie nie miała możliwości pozbyć się ze swego życia tak posępnej nudziary, powinna znosić jej towarzystwo z pogodą ducha.

Emilie postanowiła oczywiście zachować jeden egzemplarz *Rozprawy o szczęściu* dla siebie i zrobić jeszcze jeden, na wypadek gdyby o kimś zapomniała. Miała wrażenie, że tak właśnie się stało. Ktokolwiek to nie był, pewnie zjawi się z czasem, a wtedy ona ofiaruje tej osobie swoje skromne dzieło, oprawione w skórę, z zakładką ze wstążeczki. Zupełnie jakby planowała od początku wręczyć jej książkę.

„Jej?". Emilie zastanowiła się przez chwilę. Dlaczego miała pewność, że osoba, o której myślała, to kobieta?

Dziecko znów się poruszyło.

– Cśśś – szepnęła. – *Maman* musi pisać.

18

1767

Jak Wolter mógł być tak okrutny? Lili zaznaczyła wstążeczką miejsce, gdzie skończyła czytać, i odłożyła książkę. Lepiej znaleźć sposób na szczęście w sytuacji, w jakiej stawia ją życie, niż na siłę próbować ją zmieniać? Najszczęśliwsi są ci, którzy nie walczą z tym, co przypisał im los? Jak jej matka mogła napisać takie potworności i dlaczego Wolter chciał, żeby Lili się z nimi zapoznała? Jej matka nie czuła się zadowolona z tego, co przypisał jej los, i nie poddała się mu...

„Moja matka to hipokrytka!" – myśl ta zapiekła ją niczym policzek.

– Bardzo przepraszam, mademoiselle – usłyszała za sobą głos Justine. – Spóźni się panienka na kolację, jeśli się panienka nie pospieszy.

– Proszę, powiedz, że jestem niedysponowana – odparła Lili. „Powiedz, że się duszę" – dodała w myślach. – Później poproszę o tacę na górę, gdy zgłodnieję.

Jadalnia znajdowała się bezpośrednio pod sypialnią Lili i dziewczyna słyszała gości siadających do stołu. Najłatwiej dało się wychwycić głosy Woltera i madame Denis, ale byli tam też La Harpe i jeszcze jeden mężczyzna – zapewne ojciec Adam – oraz

kobieta, zapewne tajemnicza żona La Harpe' a wreszcie powstała z łóżka. Później rozległy się wyraźne pobrzękiwania sztućców o talerze i odgłosy dowcipnej konwersacji podsycanej smacznym winem z gospodarstwa Woltera, ale dziewczyna nie zwracała na to uwagi. Znów przyciągnęła ją książka.

„Trzeba zdecydować, kim pragnie się być i co pragnie się robić – to sprawa nadrzędna" – pisała matka. Z każdą kolejną linijką słowa bombardowały Lili niczym pociski armatnie. Wstrząśnięta znów odłożyła dzieło i podeszła do okna. Myliła się wcześniej. „Ona nie mówi, żebym pogodziła się z koncepcją baronowej Lomont dotyczącą mojego życia – zdała sobie sprawę. – Mówi coś zupełnie przeciwnego – nie mogę oczekiwać, że będę szczęśliwa, jeśli to zrobię. Podpowiada, żebym pozostała sobą. Oto, co przypisał mi los, a czego nie mogę zmienić".

W oddali rozległ się pierwszy grzmot letniej burzy i dziewczyna poczuła na twarzy podmuch chłodnego powietrza.

– Nie mogę zmienić tego, kim jestem – powiedziała na głos.

Nagły powiew wiatru przerzucił kartki otwartej książki i Lili znów po nią sięgnęła.

„Jeśli nie poznasz siebie, nie doświadczysz prawdziwego szczęścia – przeczytała. – Będziesz już zawsze pływać w oceanie niepewności; niszczyć rano to, co udało ci się zrobić wieczorem; przejdziesz przez życie, popełniając głupie błędy, których będziesz później żałować lub które będziesz próbować naprawiać".

„Nie bój się własnych pragnień. Jak możesz być szczęśliwa, jeśli nie masz odwagi przyznać się do marzeń?". Przesłanie matki przemawiało do niej tak osobiście, że przez chwilę Lili spodziewała się ujrzeć na kolejnej stronicy swoje imię. „Postaw sobie za cel to, co masz nadzieję osiągnąć – nie zgadzaj się na mniej – pouczała ją Emilie. – Nierozsądne nadzieje uczynią cię nieszczęśliwym, ale te rozsądne mogą ukształtować twe życie, jeśli zdobędziesz się na odwagę i ich wysłuchasz".

Lili była przekonana, że słyszy kobiecy szept. „Nie poddawaj się – mówił. – Odkryj, kim jesteś, a wtedy dowiesz się, czego potrzebujesz".

GERMOND STAŁ W GŁĘBI SALONU, przy wejściu do sypialni Woltera. Ukłonił się sztywno na widok Lili.

– Czy monsieur dobrze się czuje? – zapytała, trzymając w dłoni wiadomość, którą Louise dostarczyła do jej pokoju tego ranka.

– Raczej tak – odparł Germond. – Jednak w letnie, deszczowe noce zawsze ciężko mu się oddycha i woli zostać w łóżku następnego dnia. Ostrożności nigdy za wiele.

– Słyszę cię tam! – rozległ się głos Woltera z sypialni. – Przyprowadź mi tu mademoiselle du Châtelet.

Gospodarz siedział w pościeli. Miał na sobie koszulę nocną, a głowę owinął kilka razy kremowym, wełnianym szalem, związanym na czubku. Kawa i kawałek chleba stały odsunięte na bok na rzecz paryskiego czasopisma.

– Jak się pan czuje, monsieur Wolterze? – zapytała Lili, podchodząc do łóżka.

– Człowiek nigdy nie ma pewności – odparł i przycisnął kościste palce do piersi. – Te letnie burze przynoszą ze sobą powietrze, które wywołuje potworne choroby. Będę grzał głowę – poklepał swój turban – i siedział cały dzień cichutko jak mysz pod miotłą, to może nic mnie nie dopadnie. – Obdarzył ją bezzębnym uśmiechem. – Pomyślałem, że zechcesz trochę ze mną posiedzieć. Jesteśmy zbyt daleko od Paryża, żeby rozeszły się plotki o mademoiselle du Châtelet w mojej sypialni. – Spojrzał w stronę drzwi. – Germond! – Służący pojawił się natychmiast. – Przynieś mademoiselle jakieś śniadanie.

Zanim zdążyła usiąść, Wolter wskazał obraz wiszący na ścianie naprzeciw łóżka. Spoglądała z niego kobieta o zaróżowionych policzkach i wyrazie twarzy jednocześnie hardym i figlarnym. Miała na sobie granatową suknię wykończoną futerkiem z gronostaja.

– Rozpoznajesz ją?

Lili podeszła do portretu.

– To moja matka? – Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła, że staruszek kiwa potakująco głową.

– Marianne Loir uchwyciła jej ducha – rzekł. – I jej piękno. To mój ulubiony portret Emilie.

Lili stała przez chwilę bez ruchu, przypatrując się każdemu detalowi.

– Wcześniej widziałam tylko miniaturkę z jej podobizną – wyznała i wyciągnęła szyję, by się lepiej przyjrzeć. – Jakiego koloru miała włosy? Trudno mi odgadnąć przez tę warstwę pudru.

– Kruczoczarne – odparł Wolter. – Widzisz, co trzyma w dłoniach?

– Cyrkiel i goździk.

Wolter się uśmiechnął.

– Kazała namalować ten portret dla mnie. Od razu zrozumiałem jego symbolikę. Emilie ofiarowała mi swoją namiętność – to biały goździk; cyrkiel zaś świadczy o tym, że nikomu nie pozwoli pozbawić siebie prawa do korzystania z rozumu. To właśnie kochałem w niej najbardziej. – Urwał. – Czytałaś książkę, którą ci dałem?

Lili usiadła na krześle stojącym najbliżej portretu, gdzie powietrze wydawało się przesycone obecnością matki.

– Wielokrotnie.

– Najwyraźniej nie straciłem całkowicie twojej sympatii, chociaż pozwoliłem ci czytać o mnie. Obawiam się, że nie zawsze zachowywałem się wzorowo. Nigdy też nie byłem świetnym kochankiem – wyznał Wolter, uśmiechając się ze skruchą – choć chyba nie wypada mi mówić o szczegółach.

W tym momencie Germond wrócił ze śniadaniem dla Lili, ratując dziewczynę przed niezręczną odpowiedzią. Upiła łyk kawy.

– Matka twierdziła, że szczęście polega na życiu pełnym namiętności, ale kiedy te namiętności wygasają, trzeba umieć się z tym pogodzić i zostawić je w przeszłości.

– Tak. I czy nie to właśnie jest największą sztuką? Zostawić w przeszłości? Byliśmy naprawdę wspaniałymi przyjaciółmi – znacznie lepszymi niż kochankami, ale Emilie chyba nie pożyła wystarczająco długo, by skorzystać z własnej rady w odniesieniu do monsieur Saint-Lamberta.

„Saint-Lambert” – wspomniała z drżeniem serca Lili.

– Znalazłam jego portret w szufladzie w Cirey – wyznała Lili. – Próbuję pogodzić się z tym, że nie łączą mnie żadne więzy krwi z człowiekiem, którego zawsze uważałam za ojca, za to mój prawdziwy ojciec wstaje co rano i jak gdyby nigdy nic popija kawę. – Żal ścisnął ją za gardło, więc przełknęła głośno ślinę. – I że żaden z nich nic do mnie nie czuje... Ani ja do nich. – Otarła łzę, zanim zdążyła spłynąć jej po policzku.

– Rozumiem, że do tego ostatniego usilnie próbujesz się przekonać? – Podał jej starannie złożoną chusteczkę ze sterty leżącej na stoliczku przy łóżku.

Lili otarła oczy.

– Mogę się pogodzić z obojętnością Saint-Lamberta –

stwierdziła. – To przypomina mi trochę rozdzielanie próbki pod mikroskopem w laboratorium w Jardin du Roi. Potrafię o nim myśleć obiektywnie, jakby nie miał nic wspólnego ze mną – jakkolwiek to brzmi. Ale mój ojciec... – Jej próba roześmiania się zakończyła się niemrawym pociągnięciem nosem. – Mój nie-ojciec. To znacznie trudniejsze do zniesienia, bo spędziłam całe życie, mając nadzieję...

Wolter czekał, aż dokończy, ale ponieważ nie uczyniła tego, sam przemówił:

– Istnieje wiele rodzajów namiętności, a jedną z najbardziej bolesnych jest płonna nadzieja. Jestem przekonany, że twoja matka radziłaby ci pogodzić się z tym, że nie wszystkie pragnienia mogą się spełnić, jeśli chcesz być naprawdę szczęśliwa.

Lili westchnęła.

– Chyba ma pan rację. Ale zastanawiałam się nad tym, co pan powiedział wczoraj – że rozwiązanie mojego problemu może znajdować się tuż przed nosem. Czy miał pan na myśli to, że Saint-Lambert mógłby mi jakoś pomóc? Że jeśli uznałby ojcostwo, to on zyskałby prawo do decydowania o moim małżeństwie?

Wolter się wyprostował.

– Jesteś bardzo mądrą dziewczynką – rzekł – ale to dość niebezpieczny pomysł i nie sądzę, by twoja matka go pochwaliła. Zadaliśmy sobie wiele trudu, żeby zatuszować prawdę o twoim pochodzeniu, i nowy skandal nie pomógłby teraz ani zmarłym, ani żywym.

Lili zmarkotniała. Wolter odrzucił jedyny pomysł, na jaki wpadła.

– Nie mógłby po prostu pojechać w tajemnicy do baronowej Lomont i kazać jej zostawić mnie w spokoju?

– Odmówiłaby przyjęcia go. On wiedziałby o tym i nie chciałby narażać się na wstyd. Markiz du Châtelet musi uchodzić za twojego ojca przez wzgląd na konwenanse, a ty, moja droga, i tak najwięcej na tym zyskujesz. Naprawdę chcesz w tym momencie życia narodzić się ponownie jako bękart – owoc nieprzyzwoitego romansu matki? Jeśli pragniesz zaprzepaścić jakąkolwiek możliwość kierowania swoim losem i decydowania o własnym szczęściu, to byłby dobry początek.

– Ale mówił pan, że rozwiązanie jest oczywiste, a ja nie widzę innego wyjścia. – Zakipiała ze złości na widok rozbawienia na

twarzy Woltera. – Nie mógłby mi pan po prostu powiedzieć? Czuję się, jakbym tonęła, a pan nie chce podać mi pomocnej dłoni.

– Nie, nie zrobię tego – oznajmił staruszek. – Sama na to wpadniesz. Bóg ofiarował nam dar życia, ale to od nas zależy, jak przez nie przejdziemy. Możesz mi wierzyć, że jesteś już bardzo blisko znalezienia odpowiedzi. Nie musisz myśleć, że powrót do Paryża i pogodzenie się z nieszczęśliwym losem to twoje jedyne wyjście. Ta pewność to mój prezent dla ciebie, ale nie podpowiem ci nic więcej. – Milczał przez chwilę. – Spójrz na mnie, Lili – rzekł w końcu. Dziewczyna odsunęła chusteczkę od twarzy i uniosła wzrok. Wesołość zniknęła z jego twarzy, zastąpiona taką czułością, że Lili znów zapiekły oczy pod powiekami. – Musisz sama wszystko przemyśleć. Jeśli moja twórczość zawiera jakieś przesłanie dla świata, to brzmi ono właśnie tak. To też moje przesłanie dla ciebie. Nie możesz patrzeć na siebie jak na bezradną dziewczynkę zależną od innych. Musisz mieć siłę walczyć o szczęśliwe życie. To właśnie zrobiła twoja matka. – Spojrzał na nią wesoło. – *Mon Dieu*, masz dopiero osiemnaście lat, a już znalazłaś odwagę, by wyruszyć w samotną podróż w poszukiwaniu potrzebnych ci odpowiedzi. Byłaby z ciebie taka dumna.

Słowa Woltera mogły jej się nie podobać, ale miał rację. Lili powinna nauczyć się polegać na sobie. Zerknęła przez ramię na portret matki. „Spójrz na moje ręce – zdawała się mówić – namiętność i rozum. Możesz mieć i jedno, i drugie – oto, co pragnę ci przekazać".

Nagle z korytarza dobiegł ich rozgorączkowany męski głos, a potem rozległy się szybkie kroki w salonie. Do sypialni wbiegł jakiś mężczyzna. Zapewne ksiądz, bo miał koloratkę, którą przysłaniały splątane pasma włosów, zmierzwione zapewne od szybkiej jazdy wierzchem.

– Dokonali egzekucji na La Barre w Abbéville! – rzekł. – Co za łotry!

Wolter odrzucił kołdrę.

– Germond! Przynieś mi ubranie! – Podskakiwał nerwowo na patykowatych nóżkach, dopóki służący nie podał mu spodni. Włożył je na stojąco, przytrzymując się tylko oparcia krzesła. Ściągnął koszulę nocną i zanim Germond pomógł mu wdziać czysty podkoszulek, Lili zdążyła dostrzec wystające żebra oraz zwiotczałą skórę koloru chudego mleka.

Ubrawszy się, Wolter przeszedł przez salon do biblioteki. W ślad za nim podążyli Germond, Lili, ojciec Adam, a także zaniepokojona Michon.

– Czy mam...? – zapytała.

– Tak, kawa dla wszystkich – odparł Wolter, zbywając ją machnięciem ręki. – I przynieś też trochę koniaku. – Opowiedz wszystko ze szczegółami – zwrócił się do ojca Adama i zachęcił go, by usiadł. Lili również przycupnęła w kąciku, poza zasięgiem wzroku gospodarza, na wypadek gdyby nie była proszonym gościem.

Ojciec Adam poklepał się po kieszeni.

– Tak bardzo się spieszyłem, że przyjechałem bez listu – rzekł. – Ale pamiętam, co w nim było. La Barre nie otrzymał królewskiego ułaskawienia, nawet mimo wstawiennictwa nuncjusza papieskiego i biskupa.

– Brak królewskiego ułaskawienia wyroku śmierci za niezdjęcie kapelusza przed krzyżem podczas pochodu? – Oczy Woltera zaiskrzyły gniewem. – Tylko to oskarżyciele potrafili mu udowodnić!

– Na szafocie, na który go wprowadzali, wisiał napis obwieszczający, że dopuścił się obrazoburstwa i świętokradztwa...

– Świętokradztwa? Sędziowie zgodnie orzekli, że nie istniały wystarczające dowody, iż to on ubrudził i zbezcześcił posąg Chrystusa na cmentarzu. To musiał zrobić ktoś inny i oni doskonale o tym wiedzą! – Wolter uderzył dłonią w stół z takim impetem, że kałamarz zabrzęczał na podstawce. – I obrazoburstwo za wyśpiewywanie po pijaku sprośnych piosenek z kolegami w tawernie? I za powieść pornograficzną w sypialni? Za to umiera się we Francji?

– Czego się spodziewałeś? – odparł ojciec Adam, gdy Michon stawiała tacę. Wskazała na koniak i mężczyzna skinął potakująco głową. – Odrobinkę. Ten prawnik Duval żądał jego śmierci, więc tak czy inaczej zabiliby go nawet za wydmuchiwanie nosa podczas mszy.

Wolter oddychał ciężko, jakby próbował powstrzymać nadchodzący wybuch.

– To po części moja wina. Razem z powieścią znaleźli mój słownik. Chyba właśnie to Duval próbował powiedzieć: „Woltera czytasz na własne ryzyko. Jeśli postanowisz myśleć niezależnie, narażasz życie”.

– Nie zawiniłeś – zapewniał go ojciec Adam. – Oczywiście zawsze możesz poprosić starego księdza pozbawionego habitu, by odpuścił ci grzechy machnięciem dłoni...

Wolter prychnął kpiąco, ale żart księdza nieco go uspokoił.

– Mówiąc poważnie – ciągnął ojciec Adam – skoro nie żałujesz, że go napisałeś, zatem nie ponosisz winy za to, że on postanowił go przeczytać. – Ojciec Adam wychylił swoją kawę i napełnił kolejną filiżankę, w większości koniakiem. – La Barre dokonał wyboru i najwyraźniej nie żałował swej decyzji. W liście napisano, że rozbawił go widok napisu na szafocie, a potem śmiał się jeszcze bardziej, kiedy przy pustej szubienicy zobaczył wypisane nazwisko przyjaciela, który okazał się na tyle mądry, by uciec.

– Śmiał się? – Lili wydała stłumiony okrzyk.

Ale Wolter jej nie usłyszał.

– Co stało się później? – zapytał.

– Obcięli mu głowę i wrzucili w ogień. – Ojciec Adam przyglądał się przez chwilę Wolterowi. – Razem z egzemplarzem *Słownika filozoficznego*.

Tego samego, który tak spodobał się Lili? Dziewczyna zdawała sobie sprawę, że ludzie trafiali do więzienia za rozwścieczenie władzy – sam Wolter tego doświadczył – ale żeby zabijać człowieka i bezcześcić jego ciało za posiadanie zakazanej książki w sypialni? Poczuła ucisk w żołądku na wspomnienie zakonnicy policzkującej ją w klasztorze za *Emila* Rousseau. „To jest Francja? – zastanawiała się Lili z trwogą. – Oto społeczeństwo, które zdaniem hrabiego de Buffona zmienia się na lepsze?".

Wolter odwrócił się w stronę drzwi.

– Germond! – zawołał. – Pakuj moje bagaże – polecił, kiedy służący stanął w progu. – Wiesz, że to spalenie jest wiadomością skierowaną do mnie – zwrócił się do ojca Adama. – Czy policja jest w drodze?

– Jeszcze ich nie widać, ale mądrze będzie się ich spodziewać.

Szykując się do wyjścia, Wolter jakby pierwszy raz zauważył Lili.

– Muszę przekroczyć szwajcarską granicę – powiedział do niej. – Wszystko zapewne ucichnie za kilka tygodni, ale nie zamierzam pozwolić idiotom rządzącym tym krajem, żeby trzymali mnie choć jedną noc w swoim zatęchłym więzieniu. – Spojrzał na ojca Adama. – Jaki dziś mamy dzień? Kiedy odjeżdża następny

dyliżans do Paryża?

Lili ścisnęło się serce.

– Jutro rano – odparł mężczyzna.

– Będziesz tu bezpieczna z madame Denis i ojcem Adamem. – Wolter oplótł zimnymi palcami dłonie Lili. – Władze szukają tylko mnie, ale mimo wszystko powinnaś wrócić do Paryża nie później niż za tydzień. Obawiam się, że przez jakiś czas zrobi się tu niezbyt przyjemnie.

NIESPEŁNA DWIE GODZINY PÓŹNIEJ Lili stała w wejściu do pałacyku i patrzyła, jak powóz Woltera znika na horyzoncie. Szare chmury burzowe zebrały się nad górami za posiadłością i dziewczyna ujrzała na niebie błysk, któremu towarzyszył ogłuszający grzmot. Nagły podmuch wiatru poderwał suche liście na drodze i targał nimi we wszystkie strony. Na ziemię spadły pierwsze krople deszczu.

– Lepiej wejść do środka, mademoiselle – odezwała się Michon. – Niedobrze, że monsieur musiał jechać w taką pogodę, ale nie ma potrzeby, żeby panienka też mokła.

Lili wróciła bez słowa do domu i skierowała swe kroki do salonu. Pomieszczenie sprawiało wrażenie pozbawionego życia – nie tylko z powodu ciemnych chmur przesłaniających słońce. Zupełnie jakby dom wiedział, że gospodarza nie ma. „Nie chcę tu zostać z madame Denis i monsieur de La Harpe'em" – pomyślała Lili, czując nieprzyjemny dreszcz. Nie ufała im.

Udała się do sypialni Woltera i podniosła koszulę nocną, której Germond nie zdążył schować. Powiesiła ją na krześle pod portretem matki. Wzięła świecę i jeszcze raz przyjrzała się jej twarzy.

„Wciąż tu jestem – zdawały się mówić oczy matki. – Wciąż czekam".

„Podpowiedz mi – błagała Lili w duchu. – Jeśli nie chodzi o Saint-Lamberta, to...".

Błyskawica rozświetliła nagle ogród za plecami dziewczyny i niemal natychmiast rozległ się jeszcze głośniejszy grzmot. Lili skamieniała przed obrazem, zupełnie jakby piorun przeszył jej umysł.

– To jest to! – zawołała do twarzy na portrecie. Przycisnęła opuszki palców do ust, po czym wspięła się na palce, dotknęła ostrożnie zaróżowionych policzków matki i wyszeptała

podziękowanie.

Znalazła Michon w jadalni.

– Proszę poprosić Justine i Louise, żeby natychmiast mnie spakowały – rzekła. – I powiedzieć Stephane'owi, by poszedł do stajni i przyszykował jakiś powóz. Odjadę jutrzejszym dyliżansem do Paryża.

UBRANA W STRÓJ PODRÓŻNY LILI czekała w bibliotece Woltera, aż służba załaduje bagaże do powozu. Na biurku gospodarza znalazła plik kartek welinowych i ostatnią godzinę w Ferney poświęciła na zakończenie opowieści, którą pisała w prezencie dla Woltera. Oczy zalśniły jej na myśl o tym, co już stworzyła – więc przeczytała to jeszcze raz.

> – Spójrz na tych mężczyzn! – Tom pociągnął Świergotkę za rękaw. Dziewczynka obejrzała się i dostrzegła grupkę ludzi o krzywych nosach i spłaszczonych policzkach.
>
> – Co się stało z ich twarzami? – zapytała.
>
> – Pewnego razu król spadł z drzewa prosto na twarz – poinformowała dziewczynka. – Miał okropne sińce pod oczami i złamany nos. Większość z nas po prostu podrażniła sobie oczy piaskiem, żeby wyglądały na przekrwione, i malowała je sadzą, dopóki królowi nie zeszły sińce, ale oni chcieli pokazać swoje poświęcenie i obili sobie twarze deską. – Dziewczynka rozejrzała się dyskretnie. – Rany króla całkiem ładnie się zagoiły. Większość ludzi uważa tych mężczyzn za głupców, bo teraz w ogóle nie wyglądają jak król, ale my wciąż ich podziwiamy. Widzicie te medale na ich szyjach? To Kawalerowie Królewskiego Orderu Samookaleczonych. Król ustanowił go, aby wynagrodzić tych ludzi za ich oddanie.

LILI UŚMIECHNĘŁA SIĘ, wyobrażając sobie Woltera rechoczącego z uciechy podczas lektury. Przemknęła wzrokiem w dół kartki i sięgnęła po pióro, by dopisać zakończenie.

> Świergotka i Tom opuścili ceremonię powitalną Czterech Powracających Wędrowców, znaleźli Comète na pobliskiej polanie i wskoczyli mu na grzbiet. Gdy rumak

przelatywał nad rozległą Amazonką, Świergotka pociągnęła za wodze.

– Kto to taki? – zapytała Toma, wskazując na młodzieńca wiosłującego w łodzi. Skierowała konia w dół, by wylądował na piaszczystym brzegu. – Czy ty jesteś Czwartym Wędrowcem? – zwróciła się do chłopaka.

– Jestem nim – odparł młodzieniec, uśmiechając się szeroko.

– Czy odnalazłeś miejsce, w którym ludzie są szczęśliwsi? – wyrwał się Tom.

– Nie – wyznał Czwarty Wędrowiec. – Wszędzie jest mniej więcej podobnie. Ale odkryłem, że ja sam czuję się szczęśliwszy tutaj, na rzece, gdzie nikt nie mówi mi, co mam robić albo myśleć. – Dotknął policzka, na którym kiedyś widniała czerwona plama. – Postanowiłem, że już nigdy nie wrócę. – Przyjrzał się uważniej swoim rozmówcom. – Czy uważacie, że źle postępuję? Może powinienem przekonać ludzi, że obijanie sobie twarzy albo malowanie znamion na policzkach nie ma nic wspólnego ze szczęściem?

Lili zastanowiła się przez chwilę. Wcześniej nie wiedziała, jak zakończyć opowieść, ale teraz słowa same ułożyły się w jej głowie.

– Ja też zwiedziłam już trochę świata – odparła Świergotka z powagą – i mogę ci zdradzić prostą prawdę, której potwierdzenie znajdziesz prawdopodobnie wszędzie, gdzie się udasz.

– Co takiego? – zapytał młodzieniec.

– Łatwiej jest rozbić sobie czaszkę deską, niż myśleć rozumem, który się w niej skrywa.

Lili osuszyła bibułką ostatnie słowa. Podpisała się i przez chwilę siedziała, spoglądając na kartkę. „Dziękuję, że skłonił mnie Pan do myślenia – dodała. – Wyjeżdżam z nadzieją na lepsze życie. Z wyrazami czułości – Lili”.

DYLIŻANS ZATRZYMAŁ SIĘ na noc w Bar-sur-Aube, ale nad ranem Lili tam już nie było. Wraz z Justine i Stephanem zdążali do Cirey – tym razem nie w furmance Antona, ale powozem,

który Lucien sprowadził z pałacu. Kilka dni później powrócili i kiedy następny dyliżans przejeżdżał przez Bar-sur-Aube, Lili znów kierowała się w stronę Paryża.

„Oby się udało – napisała do Delphine poprzedniego wieczoru. – A jeśli to się nie powiedzie, będę walczyła o szczęście bez względu na wszystko". Od czasu do czasu – aby dodać sobie otuchy – wsuwała dłoń do podręcznej torebki, gdzie, wciśnięte do woreczka z pryzmatem matki, leżały trzy listy z woskowymi pieczęciami z herbem markiza du Châtelet.

GEORGE-LOUIS LECLERC, hrabia de Buffon, wstał z krzesła, gdy służący obwieścił, że mademoiselle du Châtelet przybyła z wizytą.

– Lili! – powiedział, ściskając ją na powitanie i całując w policzek. – Już wróciłaś z Étoges?

– Niezupełnie – odparła Lili. – Wróciłam, ale nie z Étoges. To długa historia. Ma pan trochę czasu?

– Dla ciebie, moja droga, zawsze – oznajmił. – Ale może wyświadczyłabyś mi pewną przysługę. Tu na stole leżą kości pewnego gryzonia z Ameryki Południowej...

– Prezent od Jeana-Étienne'a, jak się domyślam? – zapytała Lili, upominając się w duchu, by nie robić sobie płonnych nadziei.

– W rzeczy samej. – Hrabia przyjrzał się jej zagadkowo. – Moje stare oczy nie widzą już tak dobrze jak kiedyś. Pracowałem z tymi kośćmi, kiedy zapowiedziano twoje przybycie. Wielokrotnie powtarzałem sobie, żeby zostawić je w spokoju, zanim je zniszczę, ale jak zwykle nie zdołałem oprzeć się pokusie. – Usiadł w wygodnym fotelu naprzeciwko Lili. – Spotkałem baronową Lomont w zeszłym tygodniu na pogrzebie wspólnego znajomego. Wyjaśniła mi, że lada dzień wrócisz z Étoges i do końca roku wyjdziesz za mąż, ale nie zdradziła za kogo. Bardzo dziwne. Wspominała, że nie może jeszcze oficjalnie tego ogłosić...

– Jeśli jestem zaręczona, nic o tym nie wiem – rzekła Lili chłodno.

Hrabia pogładził się po brodzie i przyjrzał się jej wnikliwie.

– A więc, jeśli nie wyjechałaś do Étoges, gdzie byłaś, na miłość boską?

– W Cirey – odparła Lili i urwała, śledząc wyraz jego twarzy. – I w Ferney.

– Z Wolterem? – Hrabia rozwarł szeroko oczy ze zdumienia.

– Tak. I z moim... Z markizem du Châtelet. Delphine zmyśliła historyjkę, że jestem w Étoges, ale tak naprawdę nigdy tam nie pojechałam. – Lili się uśmiechnęła. – Najwyraźniej plan zadziałał, bo głównym założeniem było oszukanie baronowej. Delphine z pewnością bardzo się ucieszy.

– Oszukanie baronowej?

Lili westchnęła.

– Baronowa Lomont zdradziła panu swoje zamiary – nie moje. Wyjechałam, żeby sprawdzić, czy zdołam jakoś temu zaradzić, i okazuje się, że tak. A przynajmniej taką żywię nadzieję. – Otworzyła torebkę, wyjęła trzy listy i wręczyła je hrabiemu. – Obmyśliłam pewien plan.

Mężczyzna usiadł i przeczytał listy. Z początku marszczył brwi, nie bardzo rozumiejąc, ale kiedy przeglądał je ponownie, śmiał się już z nieukrywanej uciechy.

– Przebiegłe dziewczę! – rzekł, przecierając oczy. – Zupełnie jak matka. – Zamilkł i przez chwilę patrzył na nią w zamyśleniu. – Jesteś córką Emilie, ale masz innego ojca, niż przypuszczałaś. Domyślam się, że już zdajesz sobie z tego sprawę.

– Wiedział pan? – zapytała Lili, czując, jak serce staje jej w gardle. – „Ukrywał to przede mną? Czy nikt na tym świecie nie jest ze mną szczery?".

– Nie – odparł ku jej uldze. – Ale nie mogę też powiedzieć, że nie słyszałem różnych plotek. Przypominam sobie, że ciąża Emilie wywołała konsternację w towarzystwie, ale wydaje mi się, że miało to więcej wspólnego z jej dość zaawansowanym wiekiem i brakiem rozwagi. – Zmarszczył czoło. – Przepraszam za te bezmyślne słowa. W tym wypadku nierozwaga okazała się skutkować wspaniałym darem dla świata. Nazwałbym cię predestynowaną, gdybym wierzył w takie rzeczy. – Przyglądał się Lili, jakby czekał na reakcję na ten komplement, ale dziewczyna była zbyt roztrzęsiona i zdezorientowana, żeby się uśmiechnąć. – Rozpamiętywanie starych plotek nie należy do szczególnie chwalebnych zajęć umysłu, zwłaszcza jeśli nie dotyczą cię osobiście – ciągnął de Buffon. – Pojawiłaś się na świecie, markiz uznał cię za swoją córkę, no a potem przedwczesna śmierć twojej matki przyćmiła wszystko inne. Bardzo ją opłakiwałem – tak wiele wraz z nią straciliśmy. – Spochmurniał. – Wtedy oczywiście jeszcze nie wiedzieliśmy, ile zyskaliśmy.

Lili początkowo nie zrozumiała i dopiero po dłuższej chwili

dotarło do niej, że hrabia miał na myśli ją. Wobec takiego niespodziewanego objawu czułości cały strach i niepokój, jakie odczuwała w podróży, powróciły ze zdwojoną mocą i słowa same cisnęły jej się na usta.

– Przez większość życia wydawało mi się, że jestem nieważna – że to, co mi się przytrafia, nie ma żadnego znaczenia. Tylko ja miałam obowiązki wobec innych i ogarniały mnie wyrzuty sumienia, kiedy za dużo myślałam o sobie. *Maman* była inna, ale baronowa Lomont, odkąd pamiętam, wydawała się nieustępliwa. Gdy dowiedziałam się w Cirey, że nie jestem córką markiza, poczułam się gorzej niż kiedykolwiek. Jakbym była tylko... – Zamyśliła się na chwilę. – Zwykłym insektem bzyczącym koło ucha jakiegoś człowieka, bo w swej głupocie łudziłam się, że go obchodzę. A potem – nie bardzo wiem jak – usłyszałam w głowie głos matki. Mówiła mi, że zanim zacznę oczekiwać dobrodziejstw od losu, najpierw muszę stać się wartościowa dla siebie. Wpadłam więc na pomysł wyjazdu do Ferney. Monsieur Wolter kazał mi polegać tylko na sobie, bo jeśli moje życie okaże się nieszczęśliwe, będę mogła za to winić tylko siebie. – Opadła plecami na oparcie, zastanawiając się, czy kiedykolwiek w życiu wypowiedziała tak wiele słów jednym tchem. – Stwierdziłam, że powinnam spróbować się uszczęśliwić. Jestem to sobie winna – rzekła kategorycznie, klepiąc się po udach.

Buffon uśmiechał się szeroko.

– Twoja matka byłaby bardzo zadowolona. A ja dodam tylko jedno: jesteś to winna również jej. Tego by dla ciebie chciała. Podobnie jak madame de Bercy. Podbij świat, a przynajmniej ten niewielki jego fragment, którego dla siebie zapragniesz. Zrób to dla siebie, Lili, i dla nich.

– A więc pomoże mi pan? – Serce zabiło jej mocniej z podekscytowania.

– Z przyjemnością – odparł. – Ale chyba możemy poczekać jeszcze chwilkę, zanim zaczniemy spiskować? Jeśli masz ochotę na spacer, chciałbym ci coś pokazać w ogrodzie Jeana-Étienne'a. Z pewnością cię to zainteresuje.

SPACEROWALI POD RĘKĘ ocienioną alejką w Jardin du Roi. Lili wielokrotnie powracała do tego miejsca we wspomnieniach, które zdawały się jej bardzo odległe, a jednocześnie świeże niczym letni deszcz.

– Czy Jean-Étienne wysłał panu list razem z tymi kośćmi? – zapytała, mając nadzieję, że zniesie wszystkie wieści ze spokojem, który sobie poprzysięgła.

– Nie. – Hrabia odwrócił się do niej. – Usiądźmy na chwilkę – dodał i wskazał na ławkę. – Tak pochłonęły nas twoje wieści, że nie przekazałem ci nowiny.

„Nowiny?" – Grobowa mina hrabiego Buffona wywołała istną burzę w głowie Lili. – „Jean-Étienne jest żonaty. O cóż innego może chodzić, skoro hrabia tak poważnie na mnie patrzy? Albo gorzej. Nie żyje. Utopił się w oceanie. Albo otruł jakąś rośliną. Spadł z klifu na Falklandach...".

– Lili – ciągnął mężczyzna – pamiętasz Francine Thibaudet, jego narzeczoną?

– Jak mogłabym zapomnieć?

– No więc... Wygląda na to, że Jeana-Étienne'a nie było trochę za długo. – Hrabia wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. – Podobno jego narzeczona bardzo się zaprzyjaźniła z pewnym oficerem kawalerii, a kiedy... kiedy musiała wyjść szybko za mąż, Jean-Étienne znajdował się na innej półkuli. Ponieważ wyjechał z Europy ładnych parę miesięcy wcześniej, stało się oczywiste, że cała sytuacja nie jest jego sprawką.

Serce Lili tak mocno waliło o żebra, że dziewczyna z trudem łapała powietrze.

– Jej rodzina nie miała wyjścia. Musiała zerwać zaręczyny i prędko wydać ją za mąż za pierwszego lepszego jegomościa, który zgodziłby się wziąć nie do końca cnotliwą niewiastę w zamian za sporą część fortuny Thibaudetów – ciągnął hrabia. – Francine już jest po ślubie. Mieszka gdzieś w Burgundii ze swoim nowym mężem.

– A więc Jean-Étienne jest... wolny? – Lili aż zakręciło się w głowie.

Hrabia skinął głową.

– I znacznie bogatszy. Zerwane zaręczyny często są dość intratne dla strony, która nie zawiniła. To umowa prawna jak każda inna i opiewa na wysokie sumy. Tak więc teraz mój bratanek może poślubić, kogo tylko zechce, a ja już się domyślam, kim będzie jego wybranka.

„Nierozsądne nadzieje uczynią cię nieszczęśliwym – Lili przypomniała sobie słowa matki – ale te rozsądne?". Serce Lili zrzuciło z siebie ciężar powściągliwości, tak jak zimowa wichura

zrzuca z dachu czapy śniegu.

– Czy on...? – zająknęła się – Czy on...?

– Jeśli próbujesz zapytać, czy cię kocha, to myślę, że odpowiedź brzmi zdecydowanie: tak.

Wsparła się o hrabiego zbyt oszołomiona, by wypowiedzieć na głos prawdę, do której mogła już bezpiecznie się przyznać. „Kocham go. Czy to, o czym nawet nie ośmielałam się marzyć, nagle stało się możliwe?".

– Kręci mi się w głowie – szepnęła.

Buffon poklepał ją po kolanie jak troskliwy ojciec.

– Zatem odpocznij trochę, nim powiem ci resztę.

„To nie wszystko?" – zdziwiła się Lili. Wyprostowała się, nagle niezwykle przytomna.

– Nie. Proszę kontynuować – poprosiła i zdobyła się na uśmiech. – Zawsze mogę zemdleć później.

Hrabia się roześmiał.

– Więc dobrze. Jeśli myślisz, że nic nie pobije twojej udręki na wieść o jego zaręczynach, zapewniam cię, że on był w znacznie gorszym stanie, kiedy dowiedział się o twoich. Chyba nigdy nie widziałem młodzieńca o tak posępnej twarzy. – Czekał, aż do Lili dotrą jego słowa.

„Chciałbym ci coś pokazać w ogrodzie" – przypomniała sobie Lili i otworzyła szeroko oczy.

– On wrócił?

Bufon wyszczerzył się od ucha do ucha.

– I zaraz dostanie dobrą wiadomość.

Lili już go nie słuchała. Zakasawszy spódnicę, pomknęła alejką.

– JEAN-ÉTIENNE?

Młodzieniec klęczał przy krzaczku, kończąc szkic. Uniósł głowę na dźwięk jej głosu.

– Lili! – Uśmiechnął się szeroko i zerwał na równe nogi, ale jego radość niemal natychmiast przygasła. – Jak wspaniale cię widzieć – powiedział chłodnym tonem, ocierając ręce o spodnie robocze. – Obawiam się, że jestem zbyt brudny, by cię należycie powitać.

Lili poczuła ucisk w sercu. Czemu tak się dystansował? Czy hrabia nie wyjawił jej właśnie jego uczuć? Wtedy doznała olśnienia. Był pryncypialny, gdy sam się zaręczył, i teraz zachowuje się tak samo, bo sądzi, że ona jest zaręczona.

– Jean-Étienne, ja... – Nie mogąc wydobyć z siebie słów i trzęsąc się z emocji, Lili zasłoniła usta dłonią. Jej oczy wypełniły się łzami.

Obok Lili stanął Buffon i objął dziewczynę ramieniem.

– Może mógłbym się wtrącić? – rzekł. – Mademoiselle du Châtelet zamierza ci zakomunikować coś ważnego.

– Ja... To nieporozumienie. Nie jestem zaręczona.

Nie wiedząc do końca, jak to się stało, dziewczyna znalazła się w ramionach Jeana-Étienne'a.

– Nie straciłam cię – szepnęła. Czuła jego gorący oddech na szyi.

– Lili... – Kołysali się razem niczym gałęzie na wietrze zapowiadającym deszcz po długim okresie suszy. Kiedy się odsunął, zobaczyła, że jego policzki też są mokre.

– A ja nie straciłem ciebie – rzekł i otarł jej łzy z taką czułością, że dziewczynie zadrżały kolana, a z gardła wyrwał się szloch.

– Przepraszam – jęknęła zawstydzona ordynarnością wydanego przez siebie dźwięku. – Chyba zamieniam się w żabę. – Cofnęła się i uśmiechnęła krzywo, próbując obrócić wszystko w żart.

– Nie – oznajmił i wziął ją za ręce. – Dla mnie zawsze będziesz najbardziej uroczą istotą w całym kraju.

Buffon wybuchł radosnym śmiechem.

– I domyślam się, że zła wróżka w tej opowieści niedługo straci swoją moc? – Splótł dłonie za plecami i kołysał się przez chwilę na piętach, delektując się chwilą. – Drogi chłopcze – ciągnął – myślę, że zdobyłeś serce najmądrzejszej niewiasty we Francji.

– Z pewnym zastrzeżeniem – poprawiła go Lili. – Nie uwolniłam się jeszcze od baronowej Lomont, a ona najwyraźniej postanowiła wydać mnie za mąż w tym miesiącu. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado do hrabiego Buffona. – Choć nikt oprócz niej samej nie wie za kogo.

– Ale czy prawdą jest to, co wuj powiedział o twoim sercu? – dopytywał się Jean-Étienne. – Że zdobyłem twoje serce?

„Tak, tak, tak" – chciała powtarzać mu bez końca, wykrzyczeć pod niebiosa na każdym dachu Paryża. Raptem znalazła się w jego ramionach i poczuła na wargach czuły dotyk jego ust. Z rozrywającą serce radością Lili powiedziała „tak" bez słów.

NIE LICZĄC KILKU SŁUŻĄCYCH, którzy pozostali w Paryżu, gdy Ambroise i Delphine przebywali w Étoges, Lili była tej nocy

sama w Hôtel Bercy. Świeca roztaczała wokół nikłe światło, kiedy dziewczyna, nie mogąc spać, błąkała się po domu. Oto łóżko, na którym razem z Delphine opowiadały sobie historie; poręcz przy schodach, skąd podsłuchiwała gości z salonu. Bawialnia *maman*, gdzie ćwiczyły z siostrą reweranse, oraz salon – miejsce ślubu Delphine. No i sypialnia, w której *maman* umarła w samotności, żeby je chronić.

Myśli kłębiły się w jej głowie. Niektóre dni zapisywały się w pamięci Lili na zawsze, w każdym najdrobniejszym szczególe – dni takie jak dzisiejszy. „Opowiedz nam, jak się poznaliście z papą" – może zapytają ją kiedyś dzieci.

„Oboje mieliśmy poślubić kogoś innego, więc udawaliśmy, że nic do siebie nie czujemy. Oboje wyjechaliśmy na jakiś czas, a kiedy wróciliśmy, wszystko się zmieniło. Mogliśmy już przyznać się do naszych uczuć i...".

Nagle znów zalała ją fala niewysłowionej miłości, a przed oczami przemknęły obrazy z dzisiejszego dnia. „To naprawdę się stało" – myślała. Jean-Étienne pochwycił ją w ramiona i płakali łzami szczęścia. Ich usta połączyły się w pocałunku, jakby do tego zostały stworzone. Rozkoszny dreszcz wstrząsnął całym jej ciałem i rozbudził uczucie, którego nigdy wcześniej nie doznała i które pragnęła poczuć znowu. Wreszcie doświadczyła tego, o czym mówiła jej matka – ludzie muszą sami budować własne szczęście. A potem, kiedy już się odwrócili i dostrzegli w oddali hrabiego Buffona wracającego w samotności do domu, wiedzieli, że czas staje w miejscu, przynajmniej tam – w Jardin du Roi.

Ludzka pamięć jest nieodgadniona. W jeden dzień wspomnienie podróży powozem z Bar-sur-Aube ograniczyło się do zbolałych kości i nierozpakowanych bagaży. A teraz stała w jadalni Hôtel Bercy, żałując, że nie ma tu *maman*, której mogłaby o wszystkim opowiedzieć. Miała wrażenie, że w powietrzu wciąż unosi się woń jej chusteczki, jakby Julie chciała wręczyć ją Lili na otarcie łez, tak jak robiła niegdyś, po bolesnych wizytach u baronowej Lomont.

„Baronowa Lomont" – wspomniała dziewczyna.

– Nie ciesz się tak – szepnęła Lili w nikłym blasku świecy. – Jeszcze nie nastąpiło „żyli długo i szczęśliwie".

Omiótłszy pomieszczenie ostatnim spojrzeniem, wróciła do łóżka.

SŁUŻĄCY W HÔTEL LOMONT powitał ich chłodno i zdawkowo.

– Tędy – mruknął i poprowadził gości do salonu.

Baronowa Lomont siedziała w towarzystwie mężczyzny, którego Lili nie rozpoznała.

– Proszę pozwolić, że przedstawię monsieur Brillata – powiedziała, gdy Buffon ukłonił się jej na powitanie. – Z tonu twojego listu domyśliłam się, że wskazana będzie obecność prawnika.

Lili poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu, obawiając się, że nadzieja na szybkie zwycięstwo zgasła.

– To dość nieoczekiwane – stwierdził hrabia – ale jeśli mademoiselle się zgadza, ja również nie zgłaszam sprzeciwu. – Spojrzał na Lili, by dodać jej otuchy, a ona skinęła głową bez słów. – Mademoiselle du Châtelet właśnie powróciła z podróży do Cirey – oznajmił hrabia po tym, jak oboje usiedli.

Baronowa Lomont uniosła brwi.

– Cirey?

Mężczyzna skinął potakująco głową.

– Będąc tam, spotkała się kilkakrotnie z markizem...

– To wielce zdradzieckie postępowanie, Stanislas-Adélaïde. – Baronowa wbiła w Lili spojrzenie ostre niczym sztylet.

W ciasnym gorsecie serce Lili łomotało jak szalone.

– Bardzo mi przykro – rzekła, opuszkami palców dotykając dekoltu, gdzie spoczywał pryzmat matki. – Ale uważam, że pani również popełniła błąd. Nie powinna mnie pani powstrzymywać przed spotkaniem z ojcem, zwłaszcza że okazał się bardzo serdeczny. – „Szczególnie kiedy uważał mnie za kogoś innego – pomyślała – ale to zachowam dla siebie". – Raczej powinna mnie pani była zachęcać do tej wizyty. W końcu jest on częścią historii mojej rodziny, czyż nie?

Czy baronowa właśnie rozejrzała się nerwowo? Lili nie miała pewności.

– Mademoiselle du Châtelet przywiozła z Cirey korespondencję – oznajmił hrabia. Wyciągnął ze skórzanej teczki pierwszy list i wręczył go baronowej.

– Pieczęć jest złamana – stwierdziła baronowa, spoglądając na Lili krytycznym wzrokiem.

– List nie był zaadresowany do pani, madame – odparł Buffon. – Właściwie to w ogóle nie posiada adresata, ponieważ został wręczony bezpośrednio mademoiselle du Châtelet. Miała prawo

go otworzyć.

Baronowa odwróciła welinową kartkę i widząc, że rzeczywiście jest od spodu pusta, wręczyła ją prawnikowi.

– Mógłby pan przeczytać na głos? Mam słabe oczy.

Monsieur Brillat odchrząknął.

– „Do zainteresowanych, w sprawie Stanislas-Adélaïde du Châtelet: Ja, Florent-Claude, jestem ojcem wyżej wspomnianego dziecka. Niedawno wyznaczyłem Philippe-Charlotte, baronową Lomont, na pełnomocniczkę w decyzjach związanych z małżeństwem mojej córki. Niniejszym cofam to pełnomocnictwo na rzecz osoby wskazanej przez moją córkę. Z poważaniem – Florent-Claude, markiz du Châtelet".

– To jakiś absurd! – żachnęła się baronowa. Odstawiła filiżankę z impetem i porcelana brzęknęła o stół – podobne zachowanie w wykonaniu Lili z pewnością zasłużyłoby na grymas niezadowolenia.

– Ależ skąd. – Buffon wzruszył ramionami. – Skoro je dał, może też odebrać. – Upił łyk kawy z takim spokojem, jakby rozmawiali o pogodzie. – A mademoiselle du Châtelet wybrała na pełnomocnika mnie.

– Przecież nie jest pan nawet spokrewniony! – syknęła baronowa. – Dziwię się, że w ogóle się pan zgodził. To i tak dość skandaliczne, że spędza z panem tyle czasu. Takie zainteresowanie dzieckiem spoza rodziny jest wysoce niewłaściwe.

– Cóż – rzekł Buffon, zastawiając pułapkę. – Może dotyczy to również pani. – Wyciągnął drugi list i wręczył go prawnikowi.

– Wygląda identycznie – zdziwił się Brillat. – „Do zainteresowanych, w sprawie Stanislas-Adélaïde du Châtelet: Ja, Florent-Claude... – urwał nagle i spojrzał na hrabiego Buffona, który czekał oparty wygodnie na krześle. – Tu jest napisane: „Ja, Florent-Claude, nie jestem ojcem wyżej wspomnianego dziecka".

– Co? – Baronowa pochyliła się do przodu. Jej kredowobiała twarz pokryła się czerwonymi plamkami. – To oburzające!

Prawnik czytał dalej:

– „Niedawno wyznaczyłem Philippe-Charlotte, baronową Lomont, na pełnomocniczkę w decyzjach związanych z małżeństwem rzeczonej córki. Nie miałem do tego prawa, ponieważ inny mężczyzna – Jean-François de Saint-Lambert – jest jej ojcem. Niniejszym wydziedziczam Stanislas-Adélaïde i ani ja, ani żaden członek mojej rodziny nie będzie w mym imieniu

zajmował stanowiska w kwestii jej zamążpójścia".

Uczucie triumfu okazało się silniejsze od bólu, jaki sprawiała Lili treść tego listu. Dziewczyna czekała w Cirey kilka dni, aż markiz będzie dość wściekły, by go napisać. Na napisanie pierwszego zgodził się z przyjemnością, choć wydawało mu się wtedy, że to Emilie prosi go słodko o przysługę. „Pewnych rzeczy baronowa po prostu nie powinna wiedzieć" – pomyślała, spuściwszy głowę, by ukryć uśmiech igrający w kącikach ust.

Prawnik odłożył list.

– Cóż, to z pewnością komplikuje sprawy. Jest ojcem czy nim nie jest? Chyba sam tego nie wie.

– Jest! – prychnęła baronowa. – To dziecko zamroczyło mu umysł.

– Nie sądzę, by Lili miała z tym coś wspólnego – stwierdził Buffon i wyciągnął trzecią kartkę zapisaną dziecinnym, kulfoniastym charakterem pisma, jakby autor nie miał okazji do częstego ćwiczenia kaligrafii. Ten przeczytał sam. – „Ja, Berthe Villon-Crassy, i mój mąż, Lucien Crassy, oboje z Cirey, całe życie służyliśmy w pałacu. Czasem monsieur markiz ma dobrą pamięć, ale często nie poznaje ludzi albo wyobraża sobie różne wydarzenia, które nie miały miejsca. Nie ma dnia, żeby nie powiedział czegoś bez sensu albo czegoś, co by przeczyło jego słowom sprzed godziny. Zachowuje się tak już od co najmniej dwóch lat i tylko przez wzgląd na wieloletnie doświadczenie wiemy, jak się nim opiekować". – Buffon wręczył list baronowej. – Jest podpisany przez Berthe i krzyżykiem przez jej męża. Znajdzie też pani podpis tamtejszego księdza jako świadka.

– No i proszę – rzekła baronowa. – Tak jak stwierdzili służący – sam nie wie...

Buffon przerwał jej gestem dłoni.

– Otóż właśnie. I dlatego dokument, który daje pani zgodę na wybranie męża dla Lili, ma taką samą wartość jak te tutaj. – Baronowa wyglądała niczym pojedynkujący się desperat w chwili pomiędzy wystrzałem a uświadomieniem sobie, że został trafiony. – Ta Berthe daje jasno do zrozumienia, że markiz jest w podobnym stanie już dość długo – dodał hrabia – i tak naprawdę nie wiadomo, czy chce, by to pani była pełnomocnikiem, czy pozwala Lili go wybrać.

Baronowa Lomont zerknęła pytająco na prawnika.

– W tych okolicznościach trudno udowodnić prawomocność pani

listu – stwierdził Brillat.

„Dziękuję, dziękuję, dziękuję" – powiedziała Lili w duchu, wyobrażając sobie złośliwy uśmieszek Woltera. Miał rację – rozwiązanie znajdowało się tuż pod jej nosem: nieważne, kto był jej ojcem; liczyło się to, że markiz nim nie był. I rzeczywiście zupełnie inaczej by się teraz czuła, gdyby Wolter dał jej odpowiedź. „To moje zwycięstwo" – myślała.

Wzięła od prawnika dwa listy markiza. Trzymając każdy w innej dłoni, spojrzała na staruszkę.

– Ma pani rację, baronowo Lomont, te listy sobie przeczą. Może pani wybrać, który z nich zostanie zniszczony po moim ślubie.

– Nie dam się zmusić do podobnego wyboru – syknęła baronowa. – Mój list jest równie ważny jak te tutaj i będę dalej twierdzić, że obowiązuje, dopóki... – zamilkła.

– Dopóki markiz nie zmieni zdania? – wtrącił spokojnie Buffon. – Droga madame, obawiam się, że właśnie to zrobił.

– Napiszę do niego niezwłocznie, żeby sprawdzić, czy nie kryje się w tym jakiś podstęp. – Spojrzała w bok, podnosząc dumnie głowę.

– Moja droga baronowo – rzekł Buffon – muszę z całą powagą stwierdzić, że z powodu zamieszania spowodowanego tymi listami, nawet gdyby otrzymała pani odpowiedź z kolejnym pełnomocnictwem, czułbym się zobligowany do wniesienia oficjalnego sprzeciwu wobec każdej propozycji małżeństwa, które byłoby niemile widziane ze strony mademoiselle du Châtelet. Chyba właśnie po to zaręczyny ogłasza się wcześniej oficjalnie, żeby w razie potrzeby dowolna ze stron mogła zgłosić rozsądne obiekcje.

Lili sama się zdziwiła, że widok tak podenerwowanej baronowej Lomont sprawił jej więcej bólu niż przyjemności.

– Bardzo mi przykro, że do tego doszło – powiedziała, starając się złagodzić jakoś swój stanowczy ton. – Żałuję, że musiałam się pani przeciwstawić, bo wiem, jak wiele trudu włożyła pani w moje wychowanie. Jestem wdzięczna za troskę i za to, że pragnie mnie pani dobrze wydać za mąż, ale to ja zdecyduję, z kim spędzę resztę życia. – Serce Lili zalała kolejna fala czułości do cierpiącej baronowej i dziewczyna z trudem wytrzymała jej spojrzenie. – Oczywiście, jeśli zechce pani wstrzymać moją miesięczną rentę z racji tego, że zostałam wydziedziczona, będzie pani zmuszona przedstawić list dowodzący, że to Saint-Lambert jest moim ojcem,

kiedy wniosę sprawę do sądu.

Pusty wzrok baronowej kazał Lili wierzyć, że tym razem nie musi się obawiać żadnego podstępu ze strony swojej dawnej nemezis.

– Jeśli mogę się wtrącić – odezwał się hrabia. – Proponuję, aby w dzień ślubu mademoiselle du Châtelet zniszczyć wszystkie cztery listy, włącznie z tym do pani, baronowo Lomont. Nikomu nie wyjdzie na dobre nagłaśnianie stanu zdrowia markiza, wątpliwości dotyczących pochodzenia Lili ani kondycji jej finansów, ale muszę dać jasno do zrozumienia, że utrzymanie wszystkiego w tajemnicy zależy od tego, czy zgodzi się pani zrzec pełnomocnictwa.

– Może omówimy to na osobności? – zwrócił się Brillat do baronowej.

Twarz baronowej była teraz purpurowa, a jej oczy płonęły gniewem.

– Nie! – warknęła. – Nie ma takiej potrzeby. Umywam ręce od tego całego żałosnego bałaganu. – Wstała. – Wyjdź, za kogo zechcesz, Stanislas-Adélaïde. – Nie obdarzając jej nawet jednym spojrzeniem, zwróciła się bezpośrednio do hrabiego. – Służący odprowadzi was do wyjścia.

JEAN-ÉTIENNE CZEKAŁ W SZKLARNI, ale Tatou dopadł Lili i hrabiego pierwszy. Zaskrzeczał na powitanie i wdrapał się dziewczynie na ramię. Jean-Étienne wstał od notatek, nad którymi pracował, i podszedł do nich w pośpiechu.

– Wygląda na to, że znów się pomyliłem – oznajmił hrabia de Buffon. – Tak jak życzyła sobie baronowa, pozostaje tylko kwestia ogłoszenia zapowiedzi i Lili wyjdzie za mąż przed końcem roku. – Oniemiała Lili i wzburzony Jean-Étienne wpatrywali się w niego z otwartymi ustami. Widząc cierpiętnicze miny na ich twarzach, hrabia stracił nagle chęć do żartów. – Wyjdzie za mąż za ciebie, drogi bratanku, a przynajmniej taką mam nadzieję, że tak zdecydujecie.

Dopiero po chwili dotarło do nich znaczenie jego słów. Jean-Étienne uśmiechnął się szeroko, podbiegł do Lili, pochwycił ją w ramiona i okręcił dookoła. Potem odstawił na ziemię i odsunął na długość ramienia, by przyjrzeć się jej rozpromienionej twarzy.

– Nie mogę uwierzyć we własne szczęście – westchnął i cmoknął ją w policzek, krępując się przy hrabim bardziej

otwarcie okazać uczucia. Złapał dziewczynę za rękę. – Opowiedzcie mi o wszystkim! – poprosił.

– Umywa ręce od całego bałaganu. – Lili zerknęła na hrabiego. – Chyba tak właśnie powiedziała, prawda?

Buffon kiwał głową, najwyraźniej bardzo z siebie zadowolony.

– Chyba jej dokładne słowa brzmiały: „od tego całego żałosnego bałaganu".

– A ty, wuju? – dopytywał się Jean-Étienne.

– Jestem pełnomocnikiem mademoiselle we wszystkim – oznajmił Buffon z uśmiechem.

– W takim razie – odparł młodzieniec – czy mógłbym porozmawiać z panem na osobności? – Wyglądał na zakłopotanego. – Czy to powinienem teraz powiedzieć? Ostatnim razem wszystko zostało powiedziane za mnie, więc nie jestem pewny.

Buffon uniósł dłoń.

– Najpierw musi wyrazić zgodę pewna młoda dama. I dlatego zostawię was samych. Znajdziesz mnie potem w gabinecie. Będę psuł kości gryzonia, które mi przywiozłeś z Falklandów.

Gdy hrabia odchodził, Lili przyglądała się Jeanowi-Étienne'owi. „On będzie ojcem moich dzieci" – pomyślała, widząc, jak różowieją mu policzki, jak pięknie lśnią w słońcu jego jasnobrązowe włosy i jak oczy błyszczą zdrowiem i inteligencją. „Nie wyróżniałby się z tłumu – myślała – ale bez względu na to, kto by się w tym tłumie znajdował, on byłby najlepszy ze wszystkich".

Jean-Étienne ukląkł na jednym kolanie i Tatou natychmiast na nie wskoczył. Jean-Étienne parsknął śmiechem.

– To ciebie nie dotyczy, przyjacielu. – Wyciągnął maleńki owoc z kieszeni, rzucił go na ziemię i zwierzątko skoczyło w tamtą stronę. – Stanislas-Adélaïde – rzekł – czy będziesz tak łaskawa i...

Lili uśmiechnęła się na ten oficjalny ton.

– Przestań! – nakazała. – Brzmisz tak, jakbyś mnie prosił o podanie soli. Zacznij jeszcze raz, tylko nazwij mnie Lili.

– Lili. – Twarz Jeana-Étienne' a spoważniała. – Myślę, że zakochałem się w tobie tamtego dnia w salonie, kiedy sprzeciwiłaś się *abbé* Turgotowi. Tak mi przykro, że sprawiłem ci tyle bólu zaręczynami z Francine, i obiecuję, że zrobię wszystko, by nigdy już cię nie skrzywdzić. Jeśli zgodzisz się zostać moją żoną, będę każdego dnia starał się udowodnić, że jestem ciebie

wart. – Ucałował jej dłoń. – Będę wspierał twoje marzenia i razem staniemy się lepsi, niż bylibyśmy kiedykolwiek w pojedynkę.

Zaczął wstawać.

– Czy o czymś nie zapomniałeś? – próbowała droczyć się Lili, ale z trudem wymawiała słowa, bo tak szeroko się uśmiechała. – Musisz zapytać, pamiętasz?

– Och, tak. – Jean-Étienne spiekł raka. – Stanislas-Adélaïde, czy wyjdziesz za mnie?

Objęła dłońmi jego głowę.

– Wstań! – powiedziała z udawaną stanowczością. – To mój pierwszy rozkaz. Lepiej do nich przywyknij!

Kiedy już stał, musnęła wargami jego usta.

– Tak – oznajmiła – wyjdę za ciebie. – Wziął ją w ramiona i pocałował namiętnie. – Będę przy twoim boku na dobre i na złe – dodała Lili, kiedy odsunął się, żeby obsypać pocałunkami jej oczy, czoło, szyję. – Będę twoją obrończynią, przyjaciółką i...

– Nie zapomnij – wtrącił Jean-Étienne, nie przestając jej całować – matką naszych dzieci.

– Matką naszych dzieci – szepnęła Lili – jeśli Bóg będzie dla nas łaskawy.

Tatou zaskrzeczał i Lili poczuła maleńkie łapki łaskoczące ją po plecach, gdy małpka wdrapywała się na jej ramię.

– A do tego czasu mamy ciebie – dodała ze śmiechem, drapiąc zwierzątko za uchem.

– Chodźmy powiedzieć wujowi! – rzekł Jean-Étienne z entuzjazmem małego chłopca, który właśnie znalazł skarb. Złapał Lili za rękę, ale ona się zatrzymała.

– Chcę jeszcze coś zrobić. – Rozejrzała się i znalazła storczyk uginający się pod ciężarem kwiatów. Sięgnęła po leżący na stole sekator i ucięła gałązkę. – Chcę podzielić się tą chwilą z osobą, do której nie mogę teraz pobiec, żeby się pochwalić – rzekła i rozrzuciła płatki kwiatów u ich stóp. – Zachowajmy nasze ambicje, a przede wszystkim pamiętajmy, kim chcemy być – dodała. – Wybierzmy drogę, którą chcemy podążać w życiu, i zawsze starajmy się obsypywać ją kwiatami. – Sięgnęła po kolejny storczyk i sypnęła płatkami w kierunku drzwi do szklarni.

– Kto to powiedział? – zapytał Jean-Étienne, biorąc Tatou na rękę i zestawiając go na ziemię.

– Moja matka. Napisała tuż przed śmiercią esej na temat szczęścia. Napisała go dla mnie – tak myślę, choć może to się wydać dość dziwne, bo przecież wcale mnie nie znała. Czytałam go tak wiele razy, że niektóre fragmenty znam już na pamięć. – Ujęła dłonie ukochanego i spojrzała mu w oczy. – Spróbujmy, Jeanie-Étiennie. Bez względu na to, co przyniesie nam los – spróbujmy być razem naprawdę szczęśliwi.

– Twoja matka może nas oboje nauczyć czegoś na ten temat – odparł. – To nie zawsze jest bowiem takie proste, jak by się mogło wydawać.

Podniósł Tatou.

– Wracaj do klatki, mały – rzekł. – Czas, żebyśmy z Lili odwiedzili hrabiego. – Szklarnia pulsowała życiem, gdy wychodzili z niej ku skąpanemu w złotym słońcu Jardin du Roi.

Epilog

Lipiec 1778

Bańka mydlana rosła i rosła, a potem, unoszona wiatrem, popłynęła nad trawnikiem Château d'Étoges w stronę dwóch dziewczynek. Zarówno ta z aureolą złotorudych włosów, jak i stojąca obok dziewczynka z puklami włosów tak czarnych, że w świetle słońca wydawały się niemal granatowe, zaśmiały się radośnie i zaczęły machać rękami, aby utrzymać bańkę w górze.

– O nie – jęknął Charles-Anne Clément de Feuillet, dziewięciolatek i przyszły hrabia d'Étoges, widząc, jak bańka pęka.

– Zrób jeszcze jedną! – zawołała jego starsza siostra, jasnowłosa Julie.

– Tak, tak! – Emilie Leclerc klasnęła. – Jeszcze jedną i jeszcze, i jeszcze!

Charles-Anne przybrał zniecierpliwiony wyraz twarzy, usiłując okazać dziewczynkom, jak bardzo go męczą, jednocześnie jednak zanurzył pałeczkę w cieczy i nadmuchał kolejną bańkę.

Miedziane liście rozłożystego buku chroniły Lili i Delphine przed popołudniowym słońcem.

– Julie wyrasta na wspaniałą młodą damę – zauważyła Lili, przyglądając się, jak jedenastoletnia córka Delphine w zwiewnej

sukience stawia taneczne kroki na świeżo skoszonym trawniku.

– Rzeczywiście – przyznała Delphine. – To niezwykłe, jak szybko mija czas. Byłam tylko kilka lat starsza od niej, gdy zaczęłam myśleć, że jedyne, czego pragnę, to wyjść za mąż. – Potrząsnęła głową. – Wszystko wydaje się takie inne, kiedy chodzi o własne dziecko. Mam chęć powiedzieć jej: nie dorastaj, dopóki ja nie będę na to gotowa.

– Ja na pewno nie jestem – odparła Lili, przyglądając się swej jedenastoletniej córce, usiłującej namówić syna Delphine, aby oddał jej metalową rurkę i fiolkę z wodą wypełnioną mydlinami. – Emilie to mała tygrysica. Jeśli czegoś chce, to nie odpuści. A ja, muszę przyznać, jestem całkiem zadowolona, że ciągle jeszcze woli bezustannie czytać książki, niż mówić o dorastaniu.

Lili się zaśmiała.

– Emilie dba o stroje jeszcze mniej niż ja swego czasu. A pamiętasz, jak szykowałyśmy garderobę do Wersalu? I kiedy z *maman* niemal siłą musiałyśmy cię wyciągać ze sklepu, bo chciałyśmy już jechać do domu?

Delphine zachichotała.

– Julie też tak ma. Ale teraz, kiedy patrzę na to z innej perspektywy, przyznaję, że jestem ci winna przeprosiny. Tyle razy doprowadzałam cię pewnie do szaleństwa.

Objęła wzrokiem obydwie dziewczynki.

– To niesamowite, przyznasz, że między naszymi córkami jest tylko kilka miesięcy różnicy. To tak jak z nami. I identycznie, jak w naszym przypadku, są zupełnie inne, ale bardzo się kochają. – Chwyciła Lili za rękę. Nie musiała nic więcej mówić.

– Ale w niektórych sprawach spotkało je więcej szczęścia niż nas. Mają ojców, którzy je uwielbiają. – Lili ściszyła głos. Wizyta, którą złożyła markizowi w Cirey, nadal była cierniem w jej sercu, pomimo iż od tamtej pory minęło ponad dziesięć lat. Kiedy markiz zmarł kilka miesięcy po tym spotkaniu, Lili poczuła smutek tylko przez krótką chwilę. Jeśli zaś chodzi o jej prawdziwego ojca, to niedługo po swym ślubie Lili spotkała się z Jeanem-François de Saint-Lambertem. Zdawał się zainteresowany nią w tak niewielkim stopniu, w jakim ona była zainteresowana nim, i po wymianie uprzejmych zapewnień, że pozostaną w kontakcie, z wielką ulgą pożegnali się i nie zabiegali o kolejne spotkania.

Charles-Anne podszedł do niewielkiego stawu, do którego

wpadała woda ze strumyka. Położył się na brzuchu i wyciągnął rękę, aby wyłowić z niego żółwia, którego nazywał swoim ulubionym zwierzątkiem. Emilie pozostała w tyle – siedziała na ziemi z suknią rozłożoną wokół i puszczała bańki. Zanim pozwoliła, aby kolejna z nich uniosła się w powietrze, wyjęła rurkę z ust i przyjrzała się badawczo małej, opalizującej kuli.

Lili wskazała dłonią w kierunku córki.

– Wieczorem zasypie mnie pytaniami – powiedziała. – Zapewne tak samo jak jej babcia, kiedy była dzieckiem.

Lili wiedziała, że nigdy nie pozbędzie się uczucia smutku na myśl o babci Emilie, która nie przyjedzie powozem w odwiedziny do swej imienniczki i nie będzie mogła zobaczyć, jak mała dziewczynka zmienia się w kobietę pod tyloma względami do niej podobną, począwszy od kruczoczarnych włosów, a skończywszy na nienasyconej ciekawości.

Lili zwróciła wzrok w stronę pałacyku, gdzie spędzała z dziećmi każde lato jako gość Delphine, która teraz była już hrabiną d'Étoges. Małą, ale elegancką posiadłość otaczała fosa strzeżona przez trzy białe łabędzie i rodzinę kaczek. Na wodzie, w łódce z wiosłami, Anatole z dwoma chłopcami, cztero- i sześciolatkiem, okrążali pałac.

Anatole, nauczyciel Emilie i Charles'a-Anne'a, daleki kuzyn Jeana-Étienne'a, pojawił się w ich życiu wraz z narodzinami Georges'a-Louisa, starszego z dwóch chłopców w łódce. Lili zdała sobie wtedy sprawę, że nie zdoła sama uczyć Emilie. Anatole'a traktowano raczej jako członka rodziny niż pracownika. W Paryżu, gdy nie zajmował się akurat dziećmi, spędzał czas w laboratorium założonym przez Jeana-Étienne'a w jednym z budynków w Jardin du Roi i czerpał z tego ogromną radość. Podobnie jak Jeana-Étienne'a, Anatole'a także uważano w rodzinie za dziwaka: był inteligentny i myślał postępowo, a do tego bardziej zależało mu na nauce niż na statusie.

Emilie uczyła się tylko w domu. Jej pierwszą nauczycielką została Lili, a potem edukacją dziewczynki zajął się Anatole. Emilie ani jednej nocy nie spędziła w klasztorze. Przez dwa lata ona i jej najlepsza przyjaciółka Julie uczęszczały jednak na katechezę do urszulanek, których klasztor znajdował się niedaleko Hôtel Bercy. Sądząc po tłumionym śmiechu dziewczynek, po tym, jak naśladowały dla zabawy zakonnice, oraz ich uwagach, Lili była pewna, że Emilie i Julie nie dadzą wmówić

sobie, jak ważnymi cechami przyszłych francuskich żon i matek są uległość i pobożność. Zarówno Lili jak i Delphine uważały, że dziewczynki powinny mieć wiedzę umożliwiającą im poruszanie się w społeczeństwie ukształtowanym przez Kościół, ale pozwalały swoim córkom wierzyć w to, co chciały.

W przeciwieństwie do Emilie obydwaj chłopcy siedzący w łodzi mieli jasne włosy. Byli uderzająco podobni do ojca – mieli tak samo jak on jasną cerę, na której już po kilku dniach w Étoges uwidaczniały się piegi. Georges-Louis zauważył, że Lili na nich patrzy, i jej pomachał.

– *Maman*! – krzyknął. – Tu są ryby! A Anatole powiedział, że zrobi mi sieć, w którą będę mógł je złapać!

– To wspaniale! – odparła Lili. Młodszy z chłopców próbował wstać i też do niej pomachać. – Ostrożnie, François! Georges... trzymaj brata!

Chłopcy nosili imiona Georges-Louis i François-Marie; nazwała ich tak na cześć mężczyzn, którzy odegrali w jej życiu tak ważną rolę, gdy zmagała się z baronową Lomont. Baronowa już nie żyła. Któregoś ranka poprzedniej zimy po prostu nie wstała z łóżka. Kilka miesięcy później, w kwietniu, w jej ślady podążył Buffon, a za nimi, w maju, Wolter. Lili i Jean-Étienne cieszyli się, że obydwaj starsi panowie mieli szansę poczuć, jak bardzo byli kochani.

Zgodnie ze swoją wolą Buffon został pochowany nie w Paryżu, ale w położonej o dzień jazdy powozem należącej do niego posiadłości w Montbard. Wolter gościł akurat u markiza de Villette w Paryżu, gdy dopadła go jego ostatnia choroba – tym razem aż zbyt rzeczywista – i nie udało mu się wrócić do Ferney. Zanim umarł, Lili kilkakrotnie go odwiedziła. Jego ostatnim świadomym czynem był gest ręki, nakazujący opuszczenie pokoju księdzu, który przyszedł udzielić mu ostatniej spowiedzi. Odrzucił ostatni sakrament i Lili usłyszała wyraźnie, jak mówił: „Dajcie mi umrzeć w spokoju".

To wydarzyło się niecałe dwa miesiące temu. Jego ciało wyprawiono nawet do Ferney, ale było za gorąco, a zwłoki nie zostały odpowiednio zakonserwowane na taką podróż. Gdzieś w połowie drogi smród stał się nie do zniesienia, pochowano go więc w pośpiechu w podziemiach jakiegoś małego kościółka w miejscowości, której nazwy Lili nigdy wcześniej nie słyszała. Zastanawiała się czasem, czy Wolter śmiałby się, czy płakał,

gdyby o tym wiedział.

Étoges przypominało zapewne tamto małe miasteczko. Znajdowały się tu zaledwie dwa rzędy domostw stojących wzdłuż pokrytej pyłem drogi. Pałac wybudowano na niewielkim wzgórzu, dzięki czemu można było obserwować prowadzącą do niego drogę i każdy znajdujący się na niej pojazd. Powóz Lili zawsze przyjeżdżał z początkiem lata, rodzącego owoce i warzywa, a wyjeżdżał jesienią, gdy zrywano już pierwsze winogrona, z których potem powstawało wino. Ponieważ Étoges nie leżało na trasie do żadnego miasta, tumany kurzu wzbijane przez nadjeżdżający powóz były rzadkim widokiem.

Dziś właśnie taka chmura pyłu pojawiła się na horyzoncie, za ogrodami położonymi na obrzeżach posiadłości. Pierwsza zauważyła ją Delphine.

– Chyba przyjechali! – zawołała, wstając z trawy. Już po kilku minutach przez złoconą bramę przejechał czarny, a teraz pokryty grubą warstwą pyłu, powóz. Charles-Anne zerwał się i dołączył do Emilie i Julie, które już biegły w kierunku pojazdu. Anatole z całych sił wiosłował w stronę maleńkiej przystani, a chłopcy ledwie mogli wysiedzieć w łódce.

– Papa! – krzyknęli, jak tylko wygramolili się na brzeg. Pędem rzucili się po żwirowanej drodze podjazdowej do powozu. Kiedy w jego drzwiach pojawiła się twarz Jeana-Étienne'a, serce Lili zabiło mocniej. „Kocham go" – pomyślała, uśmiechając się błogo. Patrzyła na chłopców, biegnących ile sił w stronę taty, oraz na Emilie, która już ściskała ręce ojca i podskakiwała z radości.

– No dobrze, *mes chéris* – powiedział Jean-Étienne. – Teraz kolej *maman*.

Wziął Lili w ramiona i mocno ją przytulił.

– Mmmm – zamruczał i odsunął się od żony na odległość wyciągniętej ręki. – Bez dwóch zdań, powietrze w Étoges ci służy. – Pocałował ją szybko, ale czule. – Wyglądasz ślicznie, wprost nie mogę się doczekać, żeby jutro usiąść z wami pod drzewem i dojść do siebie po tym, co wycierpiałem w paryskim upale.

Jego spojrzenie mówiło Lili, że nie mógł się doczekać jeszcze czegoś. Czegoś, co było tylko ich przyjemnością i wydarzy się, zanim nadejdzie jutro. Spoglądając znów na córkę, Jean-Étienne zmarszczył nos, chcąc wyrazić obrzydzenie, i pociągnął dziewczynkę delikatnie za nos.

– Zapach w Paryżu w ostatnich kilku dniach był nie do

zniesienia, *ma petite.*

– Papa! Papa! – Chłopcy ciągnęli za poły płaszcza ojca. Jean-Étienne wziął na ręce najpierw jednego, a potem drugiego. Zanim przytulił młodszego, podrzucił go do góry.

– Tak bardzo tęskniłem za wami wszystkimi – powiedział, ucałował Jeana-François i odstawił chłopca na ziemię. Kiedy odwrócił się, by spojrzeć na Lili, w jego oczach widać było, że czuje się najszczęśliwszym mężczyzną na ziemi.

Ruszyli w stronę domu. Ambroise szedł ramię w ramię ze swoją żoną, a ich dzieci tuż obok nich, rozprawiając bez wytchnienia. W pewnej chwili Ambroise wyciągnął rękę i położył ją na brzuchu Delphine.

– Jak się ma nasze najmłodsze maleństwo? – zapytał.

– Śpi – odparła, po czym szybko się poprawiła: – Już nie. Myślę, że razem z nami cieszy się, że już jesteś w domu.

– Papo, co mi przywiozłeś? – zapytała Julie, idąc teraz tyłem przed ojcem.

– Wstążkę do twoich pięknych włosów – odpowiedział Ambroise. – I katarynkę. – Wolną ręką przyciągnął do siebie Charles'a-Anne'a. – A dla ciebie, *mon fils,* mam ten teleskop, o który prosiłeś.

– Teleskop? – zapytała podekscytowana Emilie. – Dasz mi popatrzeć? Może dziś uda nam się zobaczyć Saturna.

Lili wiedziała, że Delphine miała rację. Zbliżał się dzień, kiedy z Jeanem-Étienne'em porozmawiają o przyszłości córki. Patrząc na Emilie i Charles'a-Anne'a, którzy z takim entuzjazmem przyjęli wiadomość o teleskopie, poczuła żal, że chłopiec był za młody dla jej córki. Może całej tej gromadce dzieci los oszczędzi trudności, które przyszło pokonywać ich rodzicom. Zarówno ona i Jean-Étienne, jak i Delphine i Ambroise starali się zapewnić dzieciom jak najlepsze życie, ale wiedzieli, że koniec końców ich córki i synowie będą musieli sami odnaleźć swoje szczęście.

– Co mi przywiozłeś, papo? – zapytała Emilie.

– To, o co prosiłaś – usłyszała w odpowiedzi. – *Prostaczka* monsieur Woltera. I wystarczająco dużo migdałów w lukrze, by twoja matka narzekała, że będzie cię po nich bolał brzuch.

Uśmiechnął się szeroko do Lili, która z marnym skutkiem próbowała zrobić niezadowoloną minę.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że przeczytałem go podczas podróży. To o Huronie, który jest Indianinem i zmaga się

z życiem we francuskim społeczeństwie. Całkiem zabawna powiastka, ale też i trochę smutna.

Emilie wspięła się na palce, by pocałować ojca w policzek.

– Dziękuję, papo – powiedziała.

Jean-Étienne posłał jej uśmiech.

– Proszę bardzo, kochanie. Być może powinienem przywieźć ci również zapas chusteczek. Jest tam taki fragment, że na pewno nie zdołasz powstrzymać się od łez.

– Płacz przy lekturze to taki dobry rodzaj płaczu, tato – wyjaśniła Emilie, trzymając rękę ojca i wymachując nią.

Dotarli do domu, weszli przez westybul i przywitali się z Corinne, która zeszła do nich po marmurowych schodach. Kobieta zarządzała teraz całym domem.

– Cieszę się, że panów widzę, *messieurs*. Zaraz przyniosę do salonu ciasteczka i kawę – powiedziała, a następnie dygnęła i poszła do kuchni.

– Papo, zagrać ci coś na pianinie? – zaoferowała Julie, zdejmując kapelusz. – Nauczyłam się nowego utworu Mozarta.

Ambroise pogłaskał ją po przyklapniętych włosach.

– Posłucham z rozkoszą, ale ja i wujek musimy najpierw porozmawiać z mamą i ciocią Lili.

Anatole przywołał gestem ręki dzieci do siebie, przypominając, że była to pora ich posiłku.

Julie jęknęła:

– Czy Emilie i ja mogłybyśmy zostać z wami? – poprosiła, zwracając się do matki. – Chcemy jeść z dorosłymi.

– Niedługo tak będzie – zapewniła ją Delphine, napotykając wzrok Lili. „Całkiem niedługo" – mówiły spojrzenia obydwu kobiet. – Możecie do nas zejść, kiedy maluchy będą miały drzemkę.

– Po obiedzie zaczniemy na górze *Prostaczka* – zachęciła Emilie marudzącą Julie. – Jak chcesz, to ci poczytam.

– Dobrze – zgodziła się Julie, wzdychając teatralnie. Dziewczynki ruszyły, aby dogonić resztę rodzeństwa.

W tym czasie służąca przyniosła kawę i tacę zapełnioną małymi ciasteczkami.

– Jak brzmią najświeższe wiadomości? – zapytała Delphine, gdy wszyscy już mieli napełnione filiżanki i słodycze na talerzykach. – Najpierw mówcie o ludziach, potem o polityce. – Choć powiedziała to żartobliwie, widać było, kto nadaje ton

rozmowom w Étoges.

Ambroise został już hrabią, w związku z czym dość często bywał na dworze w Wersalu. Lili i Delphine wiedziały, że mogą na niego liczyć – czasami pojawiał się w domu z wieściami tak świeżymi, że nie znano ich jeszcze w Paryżu.

– Najważniejsza wiadomość – zaczął mówić Ambroise – jest taka, że Joséphine de Maurepas została wdową. Do jesieni zostanie w Auvergne, ale zaczęła odnawiać dom, który kupiła w Paryżu. Wiele mówi się o olbrzymich sumach, jakie wydaje na tę renowację, a z listów, które śle do przyjaciółek, pytając o najlepszych krawców i modystki, widać, że dość wesoła z niej wdówka.

– A co o tym wszystkim sądzi Anne-Mathilde? – zapytała Delphine. Z dala od zgiełku Paryża Joséphine miała mnóstwo czasu na roztrząsanie, jak to się stało, że skończyła w miejscu tak odległym od wszystkiego jak Ferrand u boku nudnego, prostackiego i dwa razy od niej starszego męża. Kiedy wreszcie dotarło do niej, co zrobiła Anne-Mathilde, zerwała z nią wszelki kontakt. Było powszechnie wiadomo, że kiedy Joséphine przebywała w Paryżu, dawne przyjaciółki nie szczędziły sobie wzgardliwych spojrzeń.

– Anne-Mathilde o niczym się nie dowie – rzekł Ambroise z poważną miną. – To druga ważna wiadomość: w zeszłym tygodniu zmarła w połogu.

– Anne-Mathilde nie żyje? – Delphine z niedowierzaniem uniosła brwi i spojrzała na Lili. Obydwie były zszokowane.

– Chyba brakuje mi słów – przyznała Lili. – Muszę przyznać, że nigdy jej nie lubiłam i że nie będzie mi jej brakować, ale jednak...

Delphine i Ambroise, zatopieni w myślach, wydawali się nie słuchać. Czy wspominali młodą kobietę, która o mały włos nie zniszczyła ich szansy na wspólne szczęście? Lili przeszedł nieprzyjemny dreszcz, wywołany falą wspomnień, z których najgorsze pochodziło z Vaux-le-Vicomte, kiedy dla własnej rozrywki Anne-Mathilde bezmyślnie naraziła cnotę Delphine.

– Cóż – odezwała się wreszcie Delphine. – Jeśli mam być szczera, to oczywiście nie cieszę się, że ta kobieta nie żyje, ale i też nie smucę się tym zbytnio.

Ambroise wyglądał, jakby kamień spadł mu z serca.

– Próbowałem przekonać siebie, że jest mi przykro, ale prawdę mówiąc, jakoś nie mogę – przyznał.

W pokoju zapadła cisza. Dźwięk, jaki rozległ się, gdy Jean-Étienne zamieszał kawę łyżeczką, dla zgromadzonych brzmiał jak wystrzał z armaty.

– No tak. – Lili chciała zmienić temat i rozproszyć czarne chmury. – A widziałeś się z jej bratem? Co słychać u Paula-Vincenta?

– Spotkałem się z nim przed wyjazdem, kiedy poszedłem złożyć rodzinie kondolencje – odpowiedział Ambroise. – Jest dość mocno wzburzony, ponieważ nie wolno mu jechać do kolonii w Ameryce, żeby dołączyć tam do rewolucji. Jest jedynym synem księcia du Praslin i jako jego spadkobierca nie może pozwolić dać się zabić.

– Paul-Vincent nie jest typem człowieka, który cieszyłby się, jadąc na wojnę – zauważyła Lili.

– Och, bo to nie o to chodzi – odparł Ambroise. – Chce jechać do Ameryki, żeby się tam trochę rozejrzeć, wojna byłaby tylko pretekstem. Tak naprawdę pragnie zostać naturalistą, jak Buffon. Kiedy go słuchałem, wydawał mi się dużo bardziej zainteresowany indiańskimi wioskami niż polami bitwy.

Ambroise zrobił krótką pauzę. Kiedy ponownie się odezwał, starannie dobierał słowa.

– Jedzie tam jednak ktoś inny. Teraz, kiedy Lafayette przekonał Francję do zaangażowania się w wojnę po stronie kolonii, nie mówi się o niczym innym tylko o wojnie z Anglikami. Kilka dni temu dowiedziałem się, że Jacques-Mars Courville dołączy do świty Lafayette'a.

Jacques-Mars. Sam dźwięk tego imienia nadal wywoływał w Lili obrzydzenie.

– A zatem król zaniechał wreszcie pomysłu, żeby trzymać go z daleka od Wersalu, robiąc z niego dyplomatę? – zapytała z cierpkim uśmiechem. Jego staż w Wenecji miał fatalny przebieg. Potem posłano go do Niemiec, a następnie do Danii, teraz jednak już od zimy Jacques-Mars przebywał w Paryżu – bez pozycji, bez wytłumaczenia.

– Zdecydowanie – powiedział Ambroise. – Maria Antonina go nie znosi. To ona pragnie być osobą, która źle traktuje młode damy na swym dworze. A może jest zła, że nie próbował zwabić jej do łóżka.

Delphine wzruszyła ramionami.

– Ta Austriaczka to najgorsze, co kiedykolwiek spotkało Francję.

Jean-Étienne siedział do tej pory bez słowa, przysłuchując się rozmowie.

– Ależ nie, ja sądzę, że kilka okropności spotkało Francję, zanim nastała ona. Jest głupiutka i bezmyślna, no i wydaje pieniądze, jakby na nich spała, podczas gdy tylu ludzi cierpi biedę, ale to przecież nic nowego, prawda?

Delphine westchnęła.

– Zapewne masz rację.

– Wydaje mi się, że obarczamy ją winą za nasze problemy, bo nie chcemy przyznać, że to my jesteśmy za nie odpowiedzialni – kontynuował Jean-Étienne. – Coś okropnego, jaka bieda panuje w Paryżu. I zresztą nie tylko w Paryżu, ale w całym kraju.

Jak zwykle kiedy był przejęty rozmową, gwałtownym ruchem zgarnął kosmyk włosów i wsadził go za ucho.

– To prawda, że na Wersal marnowane są niewyobrażalne sumy, podczas gdy należy poszukać sposobu na to, jak sprawić, aby ludzie stali się sobie równiejsi, aby biednych traktowano jak osoby, które mają swoją godność, i żeby mieli co włożyć do ust. Ale to nie jest wina Marii Antoniny, że przybyła do kraju, gdzie i wcześniej nie dbano ludzi, którzy żyją w biedzie i chodzą głodni.

– Więc dobrze. – Delphine uśmiechnęła się wyrozumiale. – Może rzeczywiście wyolbrzymiam winę Marii Antoniny. Ale ja po prostu pamiętam dobroć i skromność Marii Leszczyńskiej i wydaje mi się, że przy niej nikt nie wypadłby dobrze.

– Być może nie jest to temat na rozmowę już w godzinę po naszym przyjeździe – ciągnął Jean-Étienne – ale po drodze dużo myślałem o tym, jak poważna zrobiła się sytuacja na całym świecie. Kolonie w Ameryce buntują się, bo angielski król nie zaprząta sobie głowy tym, jak bardzo uciążliwe są podatki dla jego poddanych. We Francji ludzie, których nie stać na chleb, muszą patrzeć na rosnące ceny, bo z czegoś trzeba przecież sfinansować wojnę z Anglią w koloniach i na morzu. A do tego dochodzą jeszcze słabe zbiory.

Z przejęcia znów niemal szarpał włosy.

– Ludzie nie będą siedzieć cicho i głodować. Będą walczyć o swoje, i to niezależnie od tego, jak wiele ciepłych uczuć żywią do Ludwika – czego nie zepsuła nawet jego żona. Obawiam się, że czasy się zmieniają i król powinien zmienić się wraz z nimi, w przeciwnym razie czeka nas niewesoła przyszłość.

– Niestety muszę się z tobą zgodzić – rzekł Ambroise. – Choć

odpowiedzialnością za to, że nikt nic nie robi, należy częściowo obarczyć tych, którzy ciągle prowadzą kłótnie w salonach i w parlamencie. Przecież król już od jakiegoś czasu wyrażał gotowość do podjęcia dyskusji na temat reform. To nie jest głupi władca. Wie, co wybuch rewolucji w innym kraju może dla niego oznaczać. Dla niego i dla Francji.

Delphine wstała, żeby dolać kawy.

– Proszę, porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym.

Przesunęła tacę z ciastkami bliżej Jeana-Étienne'a.

– Kucharka upiekła twoje ulubione – cytrynowe.

– No właśnie – przytaknęła Lili, rada, że w końcu przestaną mówić te straszne rzeczy. – Czy książę de Richelieu ma się dobrze? – Dwa lata po ślubie Jean-Étienne ukończył szkołę medyczną i podjął pracę jako osobisty lekarz rodziny Richelieu. W zamian mógł wraz z Lili mieszkać w jednej z licznych posiadłości księcia, eleganckim i pięknie umeblowanym domu blisko Pałacu Luksemburskiego. Jean-Étienne nie otrzymywał wynagrodzenia, ale też nie płacili czynszu, wszyscy byli więc zadowoleni z takiego rozwiązania, a zwłaszcza młodzi małżonkowie. Mieli tyle pieniędzy, że wystarczało im na życie na przyzwoitym poziomie, a niczego więcej nie pragnęli.

– Czują się na tyle dobrze, że w ogóle mnie nie potrzebowali – odparł Jean-Étienne – poza tymi kilkoma przypadkami, kiedy cierpieli na skutek zbyt długiego balowania i nieumiarkowania w jedzeniu i piciu. Większość czasu spędziłem w laboratorium. Bardzo brakowało mi tam ciebie i Anatole'a.

– Odkąd urodzili się Georges-Louis i Jean-François, nie bywam tam zbyt często, nawet gdy jestem w Paryżu – pożaliła się Lili.

– To prawda – przytaknął Jean-Étienne. – Ale to nie znaczy, że nie miałbym za tobą tęsknić. Kiedyś, gdy nasze dzieci nie będą cię tak bardzo potrzebowały, znajdziemy czas, by pracować razem tak dużo, jak tylko zechcesz.

– Twoja obietnica brzmi i wspaniale, i przerażająco – zauważyła Lili. – Pragnę znów zająć się nauką, ale też nie chcę, by dzieci tak szybko rosły.

Jean-Étienne się roześmiał.

– Myślę, że kiedy zdecydujesz się powrócić do naszej wspólnej pracy, na świecie nadal będzie wystarczająco dużo chorób i infekcji. Chwała Bogu, że przepędzono rzeźników znad Sekwany – krew i wnętrzności nie wpadają już do wody, którą ludzie

czerpią z rzeki do picia. Teraz trzeba skupić się na opracowaniu zakazu wylewania pomyj na ulice albo do rur, które prowadzą do rzeki. Nie wiemy, jak to się dzieje, że organizmy, które widzimy pod mikroskopem, wywołują u ludzi choroby, ale jesteśmy całkiem pewni, że tak właśnie jest.

Jean-Étienne spojrzał ponad głową żony. Lili podążyła za jego wzrokiem. W drzwiach stały Julie i Emilie.

– Pomyślałyśmy, że macie chęć poczęstować się migdałami w lukrze – powiedziała Emilie. Tak naprawdę był to pretekst, aby posiedzieć z dorosłymi.

Serce Lili rozpierała duma, gdy patrzyła na dziewczynki. Kochała Julie jak własną córkę i wiedziała, że Delphine takimi samymi uczuciami obdarza Emilie. Patrząc na nie, jedną czarnowłosą, a drugą blondynkę, niemal w tym samym wieku, zrozumiała, co musiała czuć *maman*, kiedy przyglądała się jej i Delphine. „Byłam tak bardzo kochana" – pomyślała, a ze wzruszenia aż drapało ją w gardle.

Dziewczynki otworzyły pudełko ze słodkościami i po kolei podchodziły do każdego z rodziców. Gdy doszły do Lili, ta wstała i przytuliła je mocno.

– Kocham was obie – wyszeptała.

– Ja ciebie też – odpowiedziały jednocześnie, zaskoczone momentem, który wybrała, aby powiedzieć im coś, co i tak doskonale wiedziały.

„W życiu niczego nie można być pewnym, to trochę przerażające – pomyślała Lili – ale Wolter miał rację. Trzeba uprawiać swój ogródek, a mój jest właśnie tutaj".

Poczęstowała się migdałem.

– *Merci, mes chéries* – podziękowała. – Jak to miło z waszej strony, że nam je przyniosłyście.

– Och! – Jean-Étienne aż podskoczył na krześle. – W całym tym zamieszaniu zapomniałem o największej niespodziance.

Wyszedł z pokoju i wrócił po chwili z paczuszką przewiązaną skórzanym rzemykiem. Wręczył ją Lili.

– Czy to...? – Lili popatrzyła na prezent, a potem na męża. Jean-Étienne uśmiechnął się promiennie, rozrywając papier. Oczom Lili ukazała się książka oprawiona w skórę; brzegi kartek były złocone. Lili otworzyła na stronie tytułowej.

– „*Przygody Świergotki i Toma* – przeczytała na głos – autorstwa S.-A. du Châtelet z ilustracjami Delphine de Bercy,

hrabiny d'Étoges".

Głos uwiązł Lili w gardle. Podała książkę Delphine i przytuliła się do męża.

– A kiedyś opublikują powieści, które chcesz pisać – wyszeptał jej do ucha. – Francja potrzebuje pisarza o takim sercu jak twoje.

– Co to jest, *maman*? – Julie zwróciła się do Delphine.

– Historie, które ciocia Lili pisała, gdy byłyśmy małe. Pisała je i później, aż uzbierało się wystarczająco dużo, aby zebrać je w książkę – oznajmiła, wręczając Emilie Przygody Świergotki i Toma.

– Moja matka to napisała? – Emilie podrapała się po policzku.

– Tak jest – powiedziała Lili, wspominając dzień, w którym trzymała w ręce przetłumaczonego przez swą matkę Newtona. Ciekawe, czy wyglądała na równie zadziwioną i podekscytowaną jak jej córka teraz?

Emilie przysiadła się do Lili.

– Poczytaj mi, mamo – poprosiła.

Lili otworzyła książkę.

– „Pewnego razu w ponurej wiosce żyła sobie dziewczynka, która najbardziej na świecie chciała podróżować do gwiazd...".

– Myślisz, że to możliwe, *maman*? Podróżować do gwiazd?

– Tak, moja kochana Emilie – zapewniła Lili. – Myślę, że to możliwe. Mnie się to już udało – dodała tak cicho, że jej głos zdawał się być tylko oddechem.

Przygody Świergotki i Toma

autorstwa
S.-A. du Châtelet

z ilustracjami
Delphine de Bercy, hrabiny d'Étoges

Pewnego razu w ponurej wiosce żyła sobie dziewczynka, która najbardziej na świecie chciała podróżować do gwiazd. Jej śmiech przypominał trel ptaka, dlatego wszyscy nazywali ją Świergotką. Co noc Świergotka wymykała się z domu, pragnąc z całych sił, żeby jej marzenie się spełniło. Była zdumiona, gdy pewnej nocy pojawił się przed nią rumak cały z gwiezdnego pyłu.

– Czy ty jesteś dziewczynką, którą zwą Świergotką? – zapytał rumak. Kiedy przytaknęła, rumak parsknął i stanął dęba. – Nazywam się Comète – powiedział. – Wsiądź na mój grzbiet.

Zanim dziewczynka zdążyła się zorientować, Comète galopował już ku niebu, pozostawiając za sobą gwiezdny ślad za każdym razem, gdy jego kopyta muskały chmury...

Rozdział pierwszy,

w którym Świergotka odwiedza Wenus, poznaje Toma i uczy się dobrych manier

Kiedy Comète zatrzymał się na Wenus, Świergotka ze zdziwieniem dostrzegła ludzi płaczących i układających kwiaty przed długim rzędem kamieni.

– Nie wyobrażam sobie, jak kamień mógłby mnie zmusić do płaczu – powiedziała Świergotka do Comète. – Zaczekaj. Pójdę sprawdzić, co tu się dzieje. – Comète skinął łbem i parsknął. Z jego białych chrap posypały się złote iskierki.

– Dlaczego płaczesz z powodu kamienia? – zapytała Świergotka pierwszego napotkanego człowieka.

– To nie kamień – odparł człowiek. – To moja córka.

– Czy już się taka urodziła? – dopytywała się Świergotka.

– Oczywiście, że nie. Jak komuś mógłby się urodzić kamień zamiast dziecka? Zła Królowa ustawiła wszystkie dzieci w rzędzie i jeśli dziewczynki nie potrafiły idealnie dygać, a chłopcy nie kłaniali się właściwie, zamieniała ich w kamienie swoją magiczną różdżką. Moja córeczka za bardzo się garbiła i teraz tylko popatrz!

W tym momencie z drzewa za Świergotką spadło kilka jabłek i dziewczynka zadarła głowę. Pomiędzy gałęziami siedział chłopiec.

– Dlaczego ty nie jesteś kamieniem? – zapytała.

– Powiedziałem jej, że boli mnie brzuch i na razie nie mogę się dobrze ukłonić – poinformował chłopiec. – Odparła, że wróci dziś po południu i zamieni mnie w kamień. Dlatego się ukrywam.

– Cóż, ukrywanie się nie zda się na wiele, skoro jej tu nie ma. Lepiej zejdź i ćwicz ukłony, jeśli życie ci miłe – oznajmiła Świergotka.

– Po co? – odpowiedział chłopiec. – Nawet gdybym pokłonił się idealnie, i tak zamieni mnie w głaz. Ona to robi dla przyjemności i nikt nie potrafi jej powstrzymać.

Świergotka zamyśliła się na moment.

– Według mnie – powiedziała – masz dwa wyjścia. Możesz albo nauczyć się idealnie kłaniać w ciągu kilku minut, albo uciec od tej Złej Królowej.

– Jak mogę od niej uciec? Ona ma zbyt wielką moc.

– Nie nade mną! – oznajmiła Świergotka, tupiąc nóżką, by podkreślić znaczenie swych słów.

Comète usłyszał ją i przybiegł w podskokach, a z każdym potrząśnięciem jego grzywy sypał się gwiezdny pył.

Tom zeskoczył z drzewa.

– Czy to twój koń? – zapytał. – Mogę się przejechać?

– Tylko jeśli masz odwagę, by porzucić dom na zawsze. Ja tak zrobiłam, choć nie mamy we Francji Złej Królowej.

Tom zaszurał nogą na piaszczystej ziemi.

– Sam nie wiem – odparł. – Nigdy nie byłem nigdzie indziej. To tutaj są wszyscy moi przyjaciele.

– Twoi przyjaciele są kamieniami.

W tym momencie rozległ się przenikliwy kobiecy głos i Świergotka nadstawiła uszu.

– Gdzie jest ten chłopiec z bólem brzucha? – zaskrzeczała Zła Królowa.

Gdy tylko weszła na polanę i uniosła magiczną różdżkę, Świergotka pociągnęła Toma na grzbiet Comète i pomknęli, pozostawiając za sobą gwiezdną poświatę.

Tom odetchnął z ulgą.

– Cieszę się, że stamtąd uciekłem. Mogłem już być kamieniem.

– Chwileczkę – odezwała się Świergotka. – Nie powinniśmy tak po prostu znikać. To nie w porządku.

Pokierowała Comète, by wylądował na polu za Złą Królową, i przekradła się na polanę.

– Gdzie jest ten chłopiec? – pytała królowa, zaglądając za każdy głaz. – Nauczę go dobrych manier.

– A ja ciebie! – odezwała się Świergotka, wyskakując z kryjówki. Wyrwała królowej różdżkę i machnęła nią trzy razy. –

Niech wszyscy dobrze wychowani będą ludźmi, a źle wychowani niech zamienią się w kamienie! – zawołała, mając nadzieję, że ducha mieszkającego w różdżce interesowała bardziej sprawiedliwość niż jakaś tam królowa.

Suknia królowej zaczęła wokół niej twardnieć i kobieta wydała z siebie błagalny krzyk.

– Proszę! – jęknęła. – Dygnę przed tobą, jak należy, obiecuję! Tylko powstrzymaj zaklęcie!

Na oczach Świergotki głazy na polanie zaczęły się kruszyć i z każdego z nich wydostało się dziecko. Wszyscy otrzepali się z pyłu i zaczęli wiwatować. Ich okrzyki stały się głośniejsze, gdy zdali sobie sprawę, że głaz na środku polany to Zła Królowa. Dzieci podbiegły i zaczęły się na niego wdrapywać, kopiąc i wyzywając.

Jakiś chłopiec splunął na kamień, po czym podszedł do Świergotki i spojrzał na różdżkę.

– Mogę ją sobie wziąć? – zapytał. Wyglądał, jakby miał zamiar ją ukraść, gdyby dziewczynka odmówiła.

– To za duża moc dla kogokolwiek – odpowiedziała. – A zwłaszcza dla chłopców, którzy plują. – Spojrzała na niego wilkiem i chwyciła różdżkę. – Sama się nią zaopiekuję – oznajmiła, zerkając na Toma. – Odzyskałeś swoich przyjaciół. Co chcesz zrobić?

– Życie tutaj jest tak nudne, że równie dobrze moglibyśmy być głazami – odpowiedział Tom, wskakując z powrotem na grzbiet Comète. – Ruszajmy.

Kiedy znaleźli się już w przestrzeni kosmicznej, Świergotka złamała różdżkę na pół. Razem obserwowali, jak dwie spadające gwiazdy wypalają się na czarnym niebie.

Rozdział drugi,

w którym Świergotka i Tom odwiedzają Francję i dowiadują się co nieco o rozumie

Świergotka i Tom spoglądali na Ziemię z Księżyca.

– Jest bardzo ładna – powiedział Tom. – Zwłaszcza ta niebieska część. Nigdy nie widziałem skały o takim kolorze.

– Skały? – zdziwiła się Świergotka. – To nie skała, tylko ocean.

– Co to jest ocean?

– Hm... Może sam sprawdzisz? – zaproponowała Świergotka.

Wskoczyli na grzbiet Comète i rumak, machnąwszy ogonem, poniósł ich po niebie. W końcu wylądował nieopodal małego miasteczka gdzieś na wybrzeżu Francji. Comète odszedł w poszukiwaniu pól owsa, a Świergotka i Tom ruszyli w stronę domów, które majaczyły w oddali.

Z jednej z zagród przy drodze wyszły starsza kobieta oraz dziewczyna, na oko szesnastoletnia, i przyłączyły się do nich.

– Gwiazdy to rozsypana garść soli – odezwała się kobieta. – Z każdej dobrej myśli wyrasta polny kwiat.

– Co to za paplanina? – zwróciła się Świergotka do dziewczyny. – Czy ona nic nie wie?

– Obawiam się, że nie – odparła dziewczyna i wybuchła płaczem.

– Cóż, to miłe z twojej strony, że przynajmniej nad nią płaczesz, jeśli rzeczywiście jest tak głupia, jak się wydaje.

Staruszka uszczypnęła Toma w policzek.

– Posłuszeństwem jest piekło wybrukowane – powiedziała z bezzębnym uśmiechem.

– Nie płaczę nad nią – zaprzeczyła dziewczyna, której na imię było Piret. – To samo stanie się dziś ze mną. Udajemy się właśnie w miejsce, gdzie pozbawią mnie rozumu.

– Dlaczego nie zawrócisz i nie uciekniesz, póki jeszcze go masz? – zapytała Świergotka.

– Bo muszę wyjść za mąż, a przedtem każda kobieta przez to przechodzi. Nikt się ze mną nie ożeni, dopóki mnie nie naprawią.

– Dla mnie nie wygląda to na naprawianie – stwierdziła Świergotka. – Chodźmy razem. Zobaczymy, co da się zrobić.

Na lokalnym rynku, nieopodal ogromnego dębu, stał już tłum mężczyzn. Na najwyższą gałąź zostało wciągnięte krzesło z wysokim oparciem, na którym siedziała przywiązana dziewczyna w wieku Piret. Gdy mężczyźni na drzewie puścili krzesło, zaczęło wirować tak szybko, że dziewczyna wydawała się tylko zamazaną smugą, kiedy powoli opuszczali ją na ziemię.

Po chwili niewiasta wstała i, zataczając się, podeszła do burmistrza.

– On zaraz powie coś głupiego – wyjaśniła Piret – a jeśli ona to powtórzy, zamiast się z niego śmiać, kawalerowie udadzą się do tamtego księdza, zaczną składać swoje oferty i dziewczyna wyjdzie za mąż jeszcze dziś po południu.

– Lód to zimne masło – rzekł burmistrz.

– Lód to zimne masło – powtórzyła dziewczyna, z powagą kiwając głową.

Zewsząd dobiegły radosne okrzyki i mężczyźni zaczęli się gromadzić wokół księdza, składając swoje oferty.

– Najlepsze propozycje dostają dziewczyny, które są tak otumanione, że odpowiadają burmistrzowi wspak. To jednak nie zdarza się często – poinformowała Piret. – Te najbardziej ogłupione podobno są najlepszymi żonami.

– Podróżujemy z Tomem po całym wszechświecie i ratujemy ludzi – rzekła Świergotka. – Mamy więc zamiar uratować również ciebie. Najpierw jednak musimy stać się niewidzialni. – Król Filozof z Saturna dał Świergotce magiczne buty, które czyniły ją i każdego, kogo dotykała, niewidzialnymi. Jednak zaklęcie trwało tylko godzinę. Świergotka chwyciła Toma za rękę i postukała dwa razy palcami prawej nogi, po czym mocno uderzyła piętą o ziemię.

Piret i staruszka rozejrzały się dookoła.

– Gdzie oni się podziali? – zapytała Piret.

– Palce to korzenie – odparła staruszka.

Niewidoczni Świergotka i Tom wdrapali się na szczyt drzewa.

– Musimy rozwiązać sznur i zwrócić go w drugą stronę – powiedziała. – Może zaklęcie nie zadziała, jeśli krzesło będzie się kręciło w odwrotnym kierunku.

Skończyli w samą porę. Już po chwili Piret została wciągnięta na górę. Dziewczynka i chłopiec obserwowali z pobliskiej gałęzi, jak krzesło wiruje i opuszcza się w stronę ziemi. Piret wstała i chwiejnym krokiem podeszła do burmistrza.

– Głowie w się mi kręci bardzo tak, *Dieu Mon* – powiedziała.

– O nie! – mruknął Tom. – Wygląda na to, że nasz fortel nie zadziałał.

– Oczy kartofla czyhają w ciemności – powiedział burmistrz.

– Ciemności w czyhają kartofla oczy – odparła Piret. Mężczyźni zaczęli wiwatować, po czym tak szybko rzucili się do księdza, że potykali się o siebie nawzajem i upadali na ziemię jeden na drugiego. Świergotka i Tom zeskoczyli z drzewa i pociągnęli za sobą Piret, żeby zapytać, co się stało.

– Nic mi nie jest – oznajmiła Piret, gdy już się zorientowała, gdzie znajdują się jej rozmówcy, którzy w dalszym ciągu byli niewidzialni. – Wasza metoda zadziałała. Nie chcę tylko, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Powiem pozostałym dziewczynom, żeby zrobiły to samo co ja. Jeśli nasi mężowie będą myśleć, że postradałyśmy rozum, a tak naprawdę będziemy go mieć, to ostatecznie kto wyjdzie na głupka? Muszę już iść. Czeka mnie ślub. Dziękuję! – Odwróciła się do nich plecami. – I pamiętajcie – nie ufajcie kartoflom!

Świergotka dostrzegła pojawiający się powoli zarys swoich butów, co zawsze stanowiło oznakę, że zaklęcie przestaje działać.

– Musimy iść, zanim nas zobaczą – powiedziała do Toma. Zagwizdała w umówiony sposób i na skraju drogi natychmiast ukazał się Comète.

Gdy dzieci podbiegły do rumaka i wskoczyły mu na grzbiet, Tom rzekł:

– Ziemia jest chyba najdziwniejszym miejscem, jakie odwiedziliśmy.

– Zgadzam się – przyznała Świergotka, gdy galopowali w stronę nieba, zostawiając za sobą gwiezdny pył.

Rozdział trzeci,

w którym Świergotka i Tom odwiedzają Afrykę i uczą się czegoś o filozofii

Wielbłąd, na którym podróżowali Świergotka z Tomem, przekroczył mury miasta zbudowanego w oazie gdzieś w północnej Afryce. Zwierzę przyklękło i dzieci zeszły na ziemię. Wypluły piach, który miały w ustach.

– Zawsze chciałam się przejechać na wielbłądzie – powiedziała Świergotka – ale zdecydowanie wolę grzbiet Comète.

– Ja też – przyznał Tom. – Jednak niektóre przygody po prostu trzeba przeżyć na ziemi. – Rozejrzał się wokół. – Dlaczego ci wszyscy ludzie chodzą w łachmanach? Myślałem, że to miasto jest bogate dzięki handlowi z muzułmanami.

Wtedy przeszła obok nich kobieta z twarzą przesłoniętą obszarpanym woalem.

– Przepraszam! – zawołała do niej Świergotka. – Dlaczego ubierasz się w ten sposób?

– Bo nie mam nic innego – odparła kobieta. – Kiedyś wkładałam inny woal na każdy dzień tygodnia, ale nie wiem, gdzie się podziały wszystkie moje stroje.

– Nie masz dzieci albo przyjaciół, którzy mogliby ci pomóc ich poszukać?

– Rzecz w tym, że oni też nie mogą znaleźć swoich. Jesteśmy pewni, że mieliśmy więcej ubrań, więc to musi być sprawka magii jakiegoś dżina, choć od wielu lat nikt żadnego nie widział. Nie chodzimy nago tylko dlatego, że nie zdejmujemy z siebie nic do snu. Inaczej to pewnie też by zniknęło przez noc – powiedziała,

potrząsając spódnicą sukni.

W tym momencie obok przeszli trzej filozofowie.

– Dlaczego oni są lepiej ubrani od ciebie? – zapytał Tom.

– Nie wiem – odpowiedziała kobieta. – Tylko prości ludzie tracą wszystko z chwilą, gdy to dostaną.

– Problem tego miasta polega na tym – odezwał się pierwszy filozof – że ludzie nie są za siebie dość odpowiedzialni. Oczekują, że rząd będzie rozwiązywał za nich wszystkie problemy, ale nie chcą za to nic płacić.

– Gdyby ciężej pracowali i oszczędzali, mieliby więcej – wtrącił drugi. – Jak ta żebraczka – dodał, wskazując na kobietę.

Świergotka i Tom do tego czasu stali się niewidzialni i kobieta rozglądała się przez chwilę zdezorientowana.

– Czy i was straciłam? – zapytała w pustą przestrzeń.

Mężczyźni pokręcili głowami.

– A gdyby rząd dał im wszystkim ubranie na zmianę? – odezwał się trzeci. – Jeśli zmieni się jedną rzecz, trzeba być przygotowanym na niespodziewane konsekwencje, zwłaszcza że niektórzy są tak obłąkani jak ona.

– Nie jestem obłąkana, tylko zdezorientowana! – zawołała za nimi kobieta w łachmanach. – Wy też byście byli, gdybyście chodzili na wpół nadzy i nie wiedzieli dlaczego!

– Pójdźmy za nimi – szepnęła Świergotka do Toma.

Trzej filozofowie skręcili w boczną uliczkę i wkrótce znaleźli się przy imponującym budynku obok murów miasta. Świergotka i Tom, niewidzialni, na paluszkach zakradli się za nimi do środka, zanim drzwi zdążyły się zamknąć. Trafili do ogromnej jadalni, gdzie stały suto zastawione stoły. Służba chodziła w strojach z pięknego aksamitu, kielichy zrobione były z ogromnych diamentów, a talerze ze złota. Przez jedno z okien Świergotka i Tom dostrzegli kufry i skrzynie pełne ubrań, łącznie z setkami woali. Ładowano je właśnie na wielbłądy, podczas gdy szef karawany wręczał słudze mieszek monet. Po chwili sługa wszedł do jadalni i wysypał monety na stół.

– Wasze zyski, *messieurs* – powiedział.

Mężczyźni odchylili się na krzesłach i poklepali po brzuchach.

– Dobrze jest mieszkać w zasobnym kraju – skonstatował pierwszy filozof.

– Zwłaszcza jeśli czyni cię bogatym – dodał drugi.

– Wygląda na to – stwierdził Tom, kiedy dzieci sunęły już

bezpiecznie pośród gwiazd – że w Afryce im więcej potrzebujesz, tym mniej masz.

– A im więcej masz, tym mniej rzeczy zauważasz – dodała Świergotka.

Rozdział czwarty,

w którym Świergotka i Tom udają się do Urugwaju i uczą się o wolności

A więc to jest Urugwaj – powiedziała Świergotka. – Ale gdzie się podziali wszyscy ludzie?

– Nie wiem – odparł Tom – ale z każdego komina wydobywa się dym. – Pobiegł przodem i zapukał do pierwszych napotkanych drzwi.

– Kimkolwiek jesteś, będziesz musiał sam sobie otworzyć – odezwał się przytłumiony głos. – Nie możemy wstać.

Świergotka i Tom otworzyli drzwi i weszli do środka. Wewnątrz siedziała rodzina przywiązana do krzeseł złotymi sznurami. Ich twarze i usta zakrywała piękna tkanina ozdobiona wyszywanym herbem rodu. Kolana mieli skrępowane srebrnymi łańcuchami, tak ciężkimi, że nie byli w stanie poruszyć nogami.

– Kto was tak związał? – zapytała Świergotka, ale mężczyzna mógł jedynie wymamrotać coś pod materiałem. – Kto was związał? – powtórzyła, zdejmując tkaninę.

– My sami. A co sobie myśleliście?

– Po co mielibyście robić coś podobnego?

Pokręcił głową osłupiały.

– To oczywiste. Musimy tutaj siedzieć cały dzień i nic nie robić, żeby pokazać, że nie pracujemy.

– Ale przecież moglibyście po prostu zostać w środku. Po co od razu przywiązywać się do krzeseł?!

– Dzięki temu mamy pewność, że ludzie nam uwierzą.

W tym momencie do pomieszczenia weszła służba –

dziewczynka i chłopiec, oboje odziani w łachmany.

– Kim jesteście? – zapytała Świergotka. – I dlaczego też nie zostaliście związani?

– Związani? – Pytanie tak bardzo ich rozśmieszyło, że po chwili oboje łapali się za brzuchy. – Nie możemy siedzieć i nic nie robić cały dzień. Mamy mnóstwo pracy. Poza tym nie jesteśmy dość zamożni. Nie stać nas na złote sznury i srebrne łańcuchy, a bez nich nie można się dobrze związać, prawda?

– Chyba nie... – przyznała Świergotka.

– A jeśli się je ma, trzeba je wszystkim pokazać – próbowała wyjaśnić unieruchomiona kobieta, choć jej przytłumiony przez tkaninę głos był ledwie zrozumiały. – Jaki pożytek z łańcuchów, jeśli leżą w szufladzie?

Wtedy mała dziewczynka z jedwabnym woreczkiem na głowie zaczęła się wiercić na krześle. Świergotka odsłoniła jej twarz.

– Chcę wstać i chodzić – powiedziała dziewczynka. – Chcę wyjść na dwór.

– Nie możesz – odparli rodzice.

– Dlaczego? – zaciekawił się Tom.

– Bo nie będziemy mogli jej związać, kiedy wróci.

– Aha! W takim razie kto ją powstrzyma przed wyjściem? – Świergotka zdjęła dziecku łańcuchy z kolan i rozwiązała sznur. – Jesteś wolna! – oznajmiła.

– Wolna? – zapytała dziewczynka. – Co to znaczy? – Zwróciła się do służby. – Wiecie, co to znaczy?

– Nie – zaprzeczyli. – Może to znaczy po prostu: inna niż wcześniej?

– To mi wystarczy – stwierdziła dziewczynka i pobiegła do wyjścia. – Wszystko jest lepsze od tego!

Świergotka podeszła do drzwi i przyglądała się dziewczynce hasającej radośnie po ulicy. Niestety miała słabe nogi od zbyt długiego siedzenia w łańcuchach i szybko upadła z wyczerpania.

– Pomóżcie mi wstać. – Świergotka usłyszała, jak dziewczynka zwraca się do mijających ją przechodniów. – Nie wiecie, że jestem jedną z Ludzi w Łańcuchach? Powinniście mnie słuchać.

– Ludzie w Łańcuchach nigdy nam nie pomagają – ktoś się odezwał. – Tutaj trzeba się nauczyć robić wszystko samemu.

Dziewczynka rozejrzała się niepewnie. Po chwili zauważyła Świergotkę, która teraz stała bardzo blisko.

– Czy pomogłabyś mi wstać? Proszę – powiedziała, trzepocząc

rzęsami.

– Lepiej naucz się sama wstawać, jeśli nie chcesz tam wrócić – oznajmiła Świergotka, wskazując ręką w stronę domu. Dziewczynka spojrzała na dom, a potem na drogę wychodzącą z miasta. Westchnęła i z wielkim wysiłkiem podniosła się, po czym otrzepała spódnicę.

– W takim razie pójdę już sobie – rzekła. Nagle zakryła twarz dłonią. – Chyba zapomniałam zamknąć za sobą drzwi!

Świergotka się roześmiała.

– Zrobię to za ciebie – powiedziała. – W tym mogę pomóc Ludziom w Łańcuchach z przyjemnością.

Rozdział piąty,

w którym Świergotka i Tom udają się do Chin i uczą się o miłości

Z nieba Świergotka dostrzegła Wielki Mur Chiński i pokierowała Comète w dół. W ogrodzie oddalonym od budowli o kilkadziesiąt metrów na małych ławeczkach siedzieli dwaj mężczyźni zwróceni twarzami do siebie. Nad nimi na tarasie spoczywała księżniczka w otoczeniu swoich dwórek.

Jeden z mężczyzn zwinął w rulon papier, na którym właśnie coś zapisał, i położył go na pozłacanej tacy. Sługa podniósł ją i ruszył w stronę drugiego jegomościa, kiwając przy tym głową jak dziobiący kurczak. Dotarłszy na miejsce, najpierw kłaniał się zawzięcie przez dobre kilka minut, zanim w końcu wręczył tacę adresatowi listu.

Mężczyzna zaczął czytać tekst. Poszerzyły mu się nozdrza, wydęły wargi, jakby zapisane słowa cuchnęły, a ich fetor stawał się nieznośny dla jego wrażliwego powonienia. Postukał się po nosie, po czym zadarł brodę i zwrócił się profilem do rywala. Pierwszy mężczyzna prychnął z oburzeniem i uczynił to samo. Świergotka dostrzegła, że zerkają na siebie raz po raz, jakby chcieli sprawdzić, który pierwszy się poruszy.

Drugi mężczyzna pomachał palcami i sługa podał mu pióro. Nie poruszając głową, zapisał coś na papierze. Skończywszy, skinął dłonią w stronę przeciwnika i sługa popędził w tamtym kierunku ze zwojem.

– Kim są ci ludzie? – zapytała Świergotka sługę, który stał nieopodal.

– To Ting i Tang – odparł mężczyzna. – Dwaj znani arystokraci w naszym królestwie. Właśnie toczą pojedynek.

– Pojedynek? – zdumiała się dziewczynka. – We Francji toczy się je na szable i pistolety.

Ting uniósł wzrok na dźwięk nieznajomego głosu.

– W sumie też moglibyśmy tak robić – powiedział. – Ostatecznie to my wynaleźliśmy proch. Ale... – Zachęcił Świergotkę gestem, by podeszła bliżej, i dodał szeptem: – Walczymy tylko o księżniczkę. W Chinach jest ich bardzo wiele, więc nie musimy się szczególnie przejmować, który z nas wygra właśnie tę.

– A więc jak walczycie? – zapytała Świergotka.

– Wymieniamy liściki, w których zapisujemy, jakiej śmierci życzymy swojemu rywalowi – odparł Ting. – Na przykład ja napisałem, że chciałbym zobaczyć, jak zarywa się pod nim lód i tonie, a teraz – znów sięgnął po zwój, który właśnie do niego wrócił – Tang napisał, że chciałby, by mój statek zaginął na morzu.

Do tego czasu księżniczka zeszła na dół, żeby zbadać przyczynę zamieszania.

– Zaginięcie na morzu? – powiedziała, spoglądając na słońce zniżające się na horyzoncie. – Robi się późno. Czy ktoś nie powinien już leżeć w kałuży krwi? Musimy wyłonić zwycięzcę przed kolacją.

Zerknęła na Świergotkę i Toma.

– Wyglądacie dość dziwnie. Skąd jesteście?

Uwagę księżniczki odwrócił na moment służący, który podał zwój jej zamiast Tangowi.

– Co to jest? – zapytała księżniczka, unosząc brwi.

– Pomyślałem, że spodobałoby ci się coś innego – odezwał się Ting. – Więc napisałem bezpośrednio do ciebie. To wiersz.

Księżniczka rozwinęła zwój.

– „Zasadziłem dla Ciebie ogród różany – przeczytała. – Róże białe niczym skóra Twa alabastrowa, Różowe niczym usta, które pragnę całować, Żółte niczym włosy Twe długie...".

– Chwileczkę – zdziwiła się księżniczka. – Nie mam żółtych włosów. Jestem Chinką.

– Wiem – odparł Ting i wskazał na Toma. – Ale on takie ma, a potrzebowałem innego koloru róży. Może to nie jest najlepszy wiersz, ale napisałem go specjalnie dla ciebie.

– Rzeczywiście nie jest najlepszy – przyznała księżniczka i powróciła do lektury. – „Niebieskie jak błękit Twych oczu...”.

Spiorunowała Tinga wzrokiem, na co ten tylko wzruszył ramionami i znów wskazał na Toma.

– Moje oczy są brązowe, a poza tym nie istnieją niebieskie róże – oznajmiła.

– W moim ogrodzie istnieją – odpowiedział Ting.

Księżniczka prychnęła pogardliwie.

– „Czerwone jak krew, której wolałbym nie przelewać”. Cóż, przynajmniej to ma sens. – Zmrużyła oczy. – Co to za słowo? Twój charakter pisma pozostawia wiele do życzenia.

– Ogród. „Mój ogród zakwitnie jedynie zroszony Twą miłością” – powiedział Ting. – To ostatni wers.

W tym momencie podszedł do nich Tang.

– Wygrałem? – zapytał. – Już późno, jestem głodny.

Księżniczka go zignorowała.

– To dość niezwykłe i wcale mi się nie podoba – powiedziała do Tinga. – Będziecie musieli przyjść jutro i stoczyć pojedynek zgodnie z zasadami.

Świergotka nie skrywała zdziwienia.

– Mnie wiersz całkiem się podobał – rzekła. – Sprawia wrażenie, że autor naprawdę cię kocha.

– Co to ma za znaczenie? – odparła księżniczka. – Jeśli raz mu pozwolę napisać dla mnie wiersz, co go powstrzyma przed tworzeniem kolejnych? – Tupnęła nogą. – Zasad trzeba przestrzegać!

– Zasad trzeba przestrzegać – powiedział Tom do Świergotki.

– Najwyraźniej – przyznała. – Nawet w tak odległych Chinach.

Rozdział szósty,

w którym Świergotka i Tom udają się do Kijowa i uczą się o wolnej woli

Złote kopuły Kijowa zalśniły w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, gdy Świergotka i Tom posadzili Comète na trawiastym brzegu Dniepru przecinającego miasto.

– Spójrz na te wszystkie cerkwie! – wykrzyknął Tom. – Ludzie muszą tu być bardzo religijni.

– Tylko że są puste – zauważyła Świergotka. – Wygląda na to, że nikogo tu nie ma. – Krążyli opustoszałymi ulicami dobrą godzinę, aż w końcu napotkali małego chłopca, który skrywał pod płaszczem coś, co poruszało się gwałtownie. – Co tam masz? – zainteresowała się Świergotka.

– Nic! – odparł chłopiec i minął ich w pośpiechu. Tom zdążył jeszcze złapać go za płaszcz i okrycie pozostało w jego ręce.

– To szczeniaczek! – stwierdziła Świergotka.

– Nieprawda! – odpowiedział chłopiec ze łzami w oczach.

Świergotka wskazała na zwierzątko skulone w jego ramionach.

– Przecież go widzę.

Chłopiec zerknął na pieska, który mrugał oślepiony słońcem.

– Teraz już na pewno go straciłem! – powiedział i wybuchł płaczem.

– Dlaczego? Czyżbyśmy cię przyłapali na kradzieży? – zapytał Tom.

– Nie, ale to ostatni szczeniak z miotu. Ukrywałem go, bo nie chcę, żeby Sąd Dobrych Wyborów się o nim dowiedział.

– Sąd Dobrych Wyborów? Co to takiego?

– Tutaj, w Kijowie, wszyscy wierzymy w wolną wolę. Musimy. To oficjalny pogląd. Jeśli powiesz: „Zjem ostatnie jabłko z koszyka", a ktoś inny cię wyprzedzi, to wtedy to nie jest wolna wola. Powinieneś dostać to, czego sobie życzysz. Każdy powinien. W innym wypadku nie ma mowy o wolnej woli, a to niedopuszczalne, bo takie jest prawo.

– Wolna wola znaczy co innego! – żachnęła się Świergotka, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– Tutaj znaczy właśnie to – odparł chłopiec. – Tak zdecydował parlament. A teraz Sąd Dobrych Wyborów pilnuje, by to prawo egzekwowano. Przypuśćmy, że ktoś inny zobaczy psa i zapragnie go na własność. Musielibyśmy iść do sądu, ale w tej sytuacji nikt nie może przegrać, bo wyszłoby na to, że przegrany nie ma wolnej woli. Sąd więc zadecyduje, że żadne z nas nie może zatrzymać psa i zwierzę trzeba będzie utopić. A przynajmniej tak mi się wydaje. Nie mówią nam tego dokładnie, bo wtedy ktoś mógłby powiedzieć: „Moją wolą jest, by psa nie utopiono".

– Ale skoro żadne z was nie dostanie tego, co chce, to jakim cudem jest to wolna wola?

Chłopiec podrapał się po głowie.

– Dla mnie też to nie ma sensu. Nazywają to doktryną dopasowanego szczęścia. Musisz dopasowywać, co chcesz, dopóki tego nie dostaniesz, a wtedy będziesz szczęśliwy. Jeśli oboje chcecie ostatnie jabłko, należy je położyć w połowie odległości między wami. Nie możecie się ruszyć, dopóki jedno z was nie zdecyduje, że go nie chce. Tenis został zakazany, bo obaj gracze chcą wygrać. Jednak to nie zawsze takie proste. Jeśli mąż chce mieszkać na jednym brzegu rzeki, a żona na drugim, muszą mieszkać na łodzi w połowie drogi.

– A więc wolna wola oznacza, że nigdy nie dostaje się tego, co się chce – stwierdziła Świergotka.

– Na to wychodzi. Nikt nigdy nie jest usatysfakcjonowany, ale nikt też nie może narzekać, że ktoś inny ma więcej wolności. – Chłopiec rozejrzał się po pustej ulicy. – Dlatego prawie nikt już tu nie mieszka. Wszyscy przeprowadzili się do miejsc, gdzie w większości wypadków nie dostajesz, czego chcesz, ale przynajmniej istnieje szansa, że raz na jakiś czas ci się to uda.

– Mają tu dziwaczne pojęcie o wolnej woli – szepnęła Świergotka do Toma. – Nie mam zamiaru dłużej się tu kręcić, bo jeszcze ktoś zechce, żebym została. – Zawołała Comète, dzieci

wskoczyły mu na grzbiet i pomknęły w przestrzeń. Z dołu dobiegł ich jeszcze słaby głosik chłopca:

– Chwileczkę! – zawołał. – Chcę, żebyście... – Ale byli już za daleko, by usłyszeć dalszy ciąg.

Rozdział siódmy,

w którym Świergotka i Tom udają się w Karpaty i uczą się o posłuszeństwie

Karpacka wieża piętrzyła się wysoko ponad zaśnieżonymi wierzchołkami gór. Przez niewielkie okienko na samym szczycie budowli Świergotka usłyszała głos młodej panny.

– Co robisz tam na górze?! – zawołała.

– Zostałam uwięziona przez rodziców, bo ich nie posłuchałam.

– Co kazali ci zrobić?

– Chodzi raczej o to, czego mi zabronili. – Około szesnastoletnia dziewczyna odłożyła na bok plątaninę nici i wyjrzała przez okno. – Uwielbiam prząść, ale oni uznali, że to nie jest zajęcie dla królewny.

– A co według nich powinna robić królewna?

– Siedzieć cały dzień i rozmawiać o nic nieznaczących rzeczach. Jeśli coś jest zbyt skomplikowane dla mojego ojca, zakazuje tego, więc wszystkie tematy warte poruszenia są niedozwolone.

– Dlaczego to robi?

– Bo uważa, że ludzie spiskują przeciw niemu. Myśli, że jeśli ktoś używa słowa, którego on nie zna, to próbuje wysłać tajną wiadomość. Zanim zamknął mnie w tej wieży, jacyś ludzie rozmawiali o Newtonie. Kiedy powiedzieli mu, że Newton mieszkał bardzo, bardzo daleko i już od dawna nie żyje, ojciec rzekł: „Więc dlaczego przerywacie mój sen rozmowami o nim?" – i wtrącił ich wszystkich do lochów.

– Czy wiedział, kim był Newton?

– Tak mu się zdawało. Powiedział, że Newton pochodził z Chin,

ruszył na Zachód i podbił nas dawno temu. Poinformowałam go, że pewnie chodzi mu o Huna Attylę, ale on stwierdził, że ponieważ oba nazwiska brzmią podobnie, musi istnieć między nimi jakieś pokrewieństwo.

– A więc jak tu wylądowałaś?

– Uwielbiam prząść. Może dlatego, że dokładnie widać połączenie pomiędzy tym, co wchodzi, a tym, co wychodzi z kołowrotka. Nie sądzisz, że to krzepiące?

– I nieczęste – zgodziła się Świergotka.

– A najlepsze jest to – dodała królewna – że to ja sprawiam, iż wełna zmienia swoją postać. Ale zdaniem rodziców powinnam powierzyć to zadanie służbie. „To poniżej twojej godności" – mówią. Najpierw zamknęli mnie tutaj bez niczego, a kiedy to nie poskutkowało, dali mi wszystko, czego potrzebowałam, i kazali prząść, dopóki mi to nie zbrzydnie i nie zacznę błagać, żeby pozwolili mi przestać. – Odsunęła na bok plątaninę nici. – Pomieszczenie znów zapełniło się do sufitu, więc lepiej niech przyjadą i to zabiorą, bo niedługo się uduszę. – Wychyliła się jeszcze bardziej. – Możesz mi pomóc?

– Co mam zrobić?

Królewna wyciągnęła z gorsetu list, wyrzuciła go przez okno i przyglądała się przez chwilę, jak papier opada na ziemię.

– Mogłabyś go dostarczyć? Jego adresatem jest ktoś, kogo kocham, ale nie odważyłam się mu tego wyznać, kiedy miałam taką sposobność, bo obawiałam się komplikacji – one nigdy nie wróżą nic dobrego. – Wzruszyła ramionami. – Mój ojciec... Chyba jednak jestem trochę do niego podobna.

Świergotka podniosła list.

– Gdzie znajdę tę osobę? – zapytała.

– To właśnie największy problem – odparła księżniczka. – Mam nadzieję, że się nie spóźniłam. Jest w lochach. To on wspomniał o Newtonie.

Rozdział ósmy,

w którym Świergotka i Tom udają się w brazylijskie tropiki i uczą się o szczęściu

Głęboko w brazylijskim lesie tropikalnym Świergotka i Tom moczyli nogi w Amazonce nieopodal murów legendarnego Złotego Miasta. Z każdej strony dżungli wyłaniali się nowi ludzie i zmierzali ku głównym wrotom, wymachując palmowymi liśćmi oraz śpiewając pieśni.

– Co oni mają na prawych policzkach? – zainteresował się Tom.

Świergotka zmrużyła oczy od słońca.

– Nie wiem – odparła. – Wygląda na znamię w kształcie Korsyki. – Omiotła wzrokiem tłum. – I każdy z nich ma identyczne.

– Nie istnieją dwa identyczne znamiona – stwierdził Tom. – Przecież to często znak rozpoznawczy.

Świergotka skinęła potakująco głową.

– Ty tam – zawołała do dziewczynki idącej w tłumie – dokąd zmierzacie z tymi czerwonymi plamami na twarzach?!

Dziewczynka wyglądała na zaskoczoną.

– Malujemy je sobie każdego ranka. Zajmuje to dużo czasu, bo kształt musi być idealny. – Widząc zdezorientowane spojrzenie Świergotki, mówiła dalej: – To znamię naszego króla. Staramy się jak najbardziej do niego upodobnić na znak naszego szacunku i uznania. On zawsze ma na względzie nasze dobro.

Rozejrzała się pospiesznie dookoła i upewniwszy się, że nikt jej nie słyszy, przywołała Świergotkę do siebie.

– Ale nie możemy sobie zrobić takiego znamienia na stałe, bo

następny król też będzie miał na względzie nasze dobro i znów musielibyśmy zmienić wygląd, żeby się do niego upodobnić.

– Skąd wiesz, że ma na względzie wasze dobro? – zapytał Tom.

– Bo tak mówi – odpowiedziała dziewczynka. – I dlatego, że jesteśmy tu szczęśliwsi niż ludzie gdziekolwiek indziej na ziemi. Czy to nie stanowi wystarczającego dowodu?

– Kto twierdzi, że jesteście szczęśliwsi? – dopytywała się Świergotka.

– No, król! – Dziewczynka wyrzuciła ręce do góry poirytowana. – Doprawdy, co jest z wami? Czy tam, skąd pochodzicie, ludzie są szczęśliwsi od nas?

– Nie wiem – przyznała Świergotka. – Muszę się uważniej przyjrzeć, kiedy następnym razem odwiedzę Francję.

– My nie musimy się przyglądać – rzekła dziewczyna z dumą. – My już wiemy. Ale jeśli szukacie potwierdzenia, przybywacie w idealny dzień. Dziś rozpoczyna się Festiwal Czterech Powracających Wędrowców. Co roku król wysyła młodzieńców w cztery różne strony świata i dzisiaj będą zdawać relację, czy znaleźli gdzieś szczęśliwszych ludzi. – Raptem się nachmurzyła. – Tylko że w tym roku podobno wróciło tylko trzech. Świat jest niebezpieczny... Co sprawia, że jeszcze bardziej cenimy to miejsce.

– Może nie wrócił, bo znalazł szczęśliwszą krainę i postanowił w niej zostać – zasugerowała Świergotka.

Dziewczynka rozejrzała się nerwowo, żeby sprawdzić, czy nikt ich nie słyszał.

– Za te słowa mogłaby spotkać cię śmierć! Takie gadanie może rozbudzić głosy niezadowolenia, a to by wszystko popsuło.

– Spójrz na tych mężczyzn! – Tom pociągnął Świergotkę za rękaw. Dziewczynka obejrzała się i dostrzegła grupkę ludzi o krzywych nosach i spłaszczonych policzkach.

– Co się stało z ich twarzami? – zapytała.

– Pewnego razu król spadł z drzewa prosto na twarz – poinformowała dziewczynka. – Miał okropne sińce pod oczami i złamany nos. Większość z nas po prostu podrażniła sobie oczy piaskiem, żeby wyglądały na przekrwione, i malowała je sadzą, dopóki królowi nie zeszły sińce, ale oni chcieli pokazać swoje poświęcenie i obili sobie twarze deską. – Dziewczynka rozejrzała się dyskretnie. – Rany króla całkiem ładnie się zagoiły. Większość ludzi uważa tych mężczyzn za głupców, bo teraz w ogóle nie wyglądają jak król, ale my wciąż ich podziwiamy. Widzicie te

medale na ich szyjach? To Kawalerowie Królewskiego Orderu Samookaleczonych. Król ustanowił go, aby wynagrodzić ich za oddanie.

Do tego czasu Świergotka i Tom zdążyli już dotrzeć na duży plac. Na jego środku ustawiono podest, na którym siedzieli król z królową osłonięci od słońca kolorowymi parasolami. Ponieważ dzień był gorący, młode dziewczęta i chłopcy machali wokół królewskiej pary wachlarzami z papuzich piór i przecierali królewskie twarze delikatnymi spodami tropikalnych liści.

Wtedy na podest weszli po schodkach trzej młodzieńcy i stanęli przed królewską parą. Dziewczynka pokazała Świergotce i Tomowi jeszcze jednego mężczyznę na podeście.

– To Nadworny Krzykacz – powiedziała. – Powtórzy wszystko, co wędrowcy przekażą królowi.

– Powiedział: „Przemierzyłem dalekie krainy, ale wszędzie napotykałem jedynie nędzę i nieszczęścia!" – zawołał Krzykacz po tym, jak Pierwszy Wędrowiec skończył relację. W tłumie rozległy się głośne wiwaty. Drugi Wędrowiec zrobił krok w przód i po jego rozmowie z władcą tłum ucichł, czekając na sprawozdanie.

– Przemierzył dalekie krainy, ale wszędzie napotykał tylko nędzę i nieszczęścia! – ryknął Krzykacz, co spotkało się z głośnym aplauzem.

– Niech żyją cudze krzywdy! – rozległo się kilka głosów, po czym tłum przyłączył się do nich, wyśpiewując najwyraźniej znaną wszystkim pieśń.

Najszczęśliwsi są najlepsi, najlepsi są najszczęśliwsi.
Chwała Powracającym Wędrowcom!
Dzięki nim to jasne jest jak słońce.
Najszczęśliwsi są najlepsi, najlepsi są najszczęśliwsi.
Niech żyją cudze krzywdy!
Dzięki nim to jasne jest jak słońce.

Świergotka znajdowała się niedaleko podestu i kiedy nadeszła kolej Trzeciego Wędrowca, stanął pod nieco innym kątem i dziewczynka zdołała odczytać słowa z ruchu jego warg.

– Wasza wysokość, wszędzie, gdzie byłem, dostrzegałem ludzi całkiem szczęśliwych oraz takich, którzy wciąż narzekali – powiedział. – Wydaje mi się, że ludzie tutaj są równie zadowoleni jak gdziekolwiek indziej i szczęśliwi na tyle, na ile to możliwe

poza rajem.

– Powiedział: „Przemierzyłem dalekie krainy, ale wszędzie napotykałem jedynie nędzę i nieszczęścia!" – zagrzmiał Krzykacz do tłumu.

– Co? – Oniemiała ze zdziwienia Świergotka zwróciła się do Toma.

– Ciii! – Dziewczynka spiorunowała ją wzrokiem. – Czy tam, skąd pochodzicie, nie ma żadnych świętości? – rzekła z oburzeniem, po czym przyłączyła się do śpiewu.

Świergotka i Tom znaleźli Comète na pobliskiej polanie i wskoczyli mu na grzbiet. Gdy rumak przelatywał nad rozległą Amazonką, Świergotka pociągnęła za wodze.

– Kto to taki? – zapytała Toma, wskazując na młodzieńca wiosłującego w łodzi. Skierowała konia w dół, by wylądował na piaszczystym brzegu. – Czy ty jesteś Czwartym Wędrowcem? – zwróciła się do chłopaka.

– Jestem nim – odparł młodzieniec, uśmiechając się szeroko.

– Czy odnalazłeś miejsce, w którym ludzie są szczęśliwsi? – wyrwał się Tom.

– Nie – wyznał Czwarty Wędrowiec. – Wszędzie jest mniej więcej podobnie. Ale odkryłem, że ja sam czuję się szczęśliwszy tutaj, na rzece, gdzie nikt nie mówi mi, co mam robić albo myśleć. – Dotknął policzka, na którym kiedyś widniała czerwona plama. – Postanowiłem, że już nigdy nie wrócę. – Przyjrzał się uważniej swoim rozmówcom. – Czy uważacie, że źle postępuję? Może powinienem przekonać ludzi, że obijanie sobie twarzy albo malowanie znamion na policzkach nie ma nic wspólnego ze szczęściem?

– Nie – odpowiedziała Świergotka. – Takie rzeczy to zbyt dobre substytuty prawdziwego szczęścia i większość ludzi nie będzie chciała z nich zrezygnować.

Warga młodzieńca zadrgała i Świergotce wydawało się przez chwilę, że chłopak zaraz wybuchnie płaczem.

– Nie uważasz, że chcieliby wiedzieć, że nie są najlepsi ani najszczęśliwsi? Że będzie im lepiej, jeśli sami zaczną decydować o swoim losie i własnych potrzebach?

– Ja też zwiedziłam już trochę świata – odparła Świergotka z powagą – i mogę ci zdradzić prostą prawdę, której potwierdzenie znajdziesz prawdopodobnie wszędzie, gdzie się

udasz.

– Co takiego? – zapytał młodzieniec.

– Łatwiej jest rozbić sobie czaszkę deską, niż myśleć rozumem, który się w niej skrywa.

Posłowie

Pisarze historyczni starają się uczynić czas i miejsce akcji bardziej rzeczywistymi poprzez splatanie ze sobą faktów i fikcji. Zaczynamy pracę, decydując, co zaczerpniemy z naszych źródeł, a co zostanie dopowiedziane, ale gotowy utwór jest na tyle złożony, że granice te się zacierają. Lili i Delphine są dla mnie bardziej rzeczywiste niż postaci historyczne, ponieważ to im poświęciłam najwięcej czasu. Jeśli zaś chodzi o bohaterów wziętych z historii, najbardziej „prawdziwe" wydają mi się szczegóły i dialogi, które stworzyłam.

Materię, z jakiej utkana jest opowieść, łatwo przyporządkować do kategorii „prawda" i „fikcja", natomiast odpowiedzi na pytanie: „Co było dalej z moimi fikcyjnymi bohaterami?" mogę udzielić równie dobrze ja, jak i czytelnik. Lili i pozostałe postaci są niczym przyjaciele z pewnego okresu w moim życiu, z którymi straciłam kontakt i nic już o nich nie wiem. Bohaterowie historyczni to już jednak zupełnie inna sprawa.

Epilog osadzony jest w roku 1778. Był to zarówno rok zawarcia oficjalnego przymierza między Francuzami i Amerykanami przeciwko Wielkiej Brytanii w wojnie o niepodległość, jak i data śmierci obu mentorów Lili, hrabiego Buffona i Woltera. Jedenaście lat później rewolucja francuska zniszczyłaby świat Lili i Delphine prawie tak szybko, jak bańki mydlane pękały na

trawniku w Étoges. Jeśli powieść toczyłaby się dalej, Lili i Delphine miałyby w momencie wybuchu rewolucji czterdzieści lat, a ich córki byłyby młodymi kobietami rozpoczynającymi własne życie rodzinne.

Ich przyszłość, podobnie jak wszystkich kobiet z wyższych sfer, nie przedstawiałaby się różowo. Zwłaszcza ich mężowie byli w niebezpieczeństwie, bo nawet najbardziej społecznie uświadomieni arystokraci stracili głowy pod gilotyną. Florent-Louis, syn Emilie du Châtelet, został ścięty w okresie Wielkiego Terroru. Antoine Lavoisier, znakomity naukowiec, na którym w dużej mierze wzorowałam postać Jeana-Étienne'a, prowadził badania nad prawem zachowania masy i rolą tlenu w spalaniu. Jego pracę zakończyło jednak ostrze egzekucji. Kiedy Lavoisier zapytał sędziego podczas procesu, czy mógłby przesunąć egzekucję do czasu, kiedy ukończy pewne prace naukowe, sędzia odpowiedział mu: „Republika nie potrzebuje naukowców".

Jean-Étienne mógł zakończyć swoje życie podobnie do Lavoisiera: jako bezgłowe ciało we wspólnym grobie. Żona Lavoisiera, Marie, była jego asystentką, a pragnienie Lili, by służyć nauce w laboratorium Jeana-Étienne'a, mogło doprowadzić ją do równie tragicznego końca jak w przypadku Marie, kiedy zginął jej mąż. Marie dożyła siedemdziesiątki, ale wiele kobiet także zostało ściętych, a zatem Lili mógł czekać los dużo gorszy niż wdowieństwo.

Najlepsza ochrona dla Lili i Delphine to fakt, że były wytworami mojej wyobraźni, ale pośród postaci rzeczywistych nawet zmarli nie mogli czuć się bezpiecznie. W szale i żądzy zlikwidowania arystokracji ludzie Lunéville'a bezcześcili groby, także grób Emilie du Châtelet. Kości uważane za jej i jej syna zostały później ponownie złożone w tym samym miejscu. Pałace takie jak Étoges i Vaux-le-Vicomte popadły w ruinę w miarę przechodzenia z rąk do rąk przez pokolenia.

W obrębie powieści granice pomiędzy faktami historycznymi a *licentia poetica* także mogą zostać łatwo wyznaczone. Wierzę, że pisarza historycznego łączy z czytelnikami niepisany pakt, nakazujący mu być tak bardzo wiarygodnym, jak tylko możliwe. Chociaż to do czytelnika należy pamiętanie o różnicach pomiędzy powieścią a faktami historycznymi poznanymi w szkole, to zależy mi, żeby moi odbiorcy wierzyli, iż wiernie przedstawiam ludzi, zdarzenia i epokę. Często zapisy historyczne są tak skąpe

w informacje dotyczące codziennego życia i jego szczegółów, że dopowiedzenia są konieczne, aby wypełnić historię. Jednak jeżeli moje pomysły pozostają spójne z tym, co udokumentowane i nie przekręcają istotnych faktów, pozwalam sobie dowolnie ubarwiać to, co wiemy.

Właściwie nie byłoby powieści historycznej, gdybyśmy tego nie robili, a osoby, które wolą poznać samą historię, będą mieć zapewne więcej przyjemności z obcowania z literaturą faktu. Innym mogę powiedzieć, że więcej rzeczy jest prawdą niż wszystko to, co zostało kiedykolwiek napisane. Nawet ci, którzy strzegli swej prywatności, często zostawiali po sobie informacje na temat codziennego życia, a czasem wyobraźnia zbliża nas bardziej do prawdy niż źródła historyczne.

Po tych wyjaśnieniach chciałabym przybliżyć fragmenty, w których dokonałam pewnej korekty mniej istotnych faktów. Po pierwsze, nie jest jasne, kiedy Emilie i Wolter po raz pierwszy się spotkali. Na pewno przedstawiono ich sobie, gdy ona była dzieckiem, ale żadne z nich tego nie pamiętało. Judith Zinsser umieszcza ich pierwsze spotkanie w operze, ale ja wybrałam inny opis, korzystając z książki Davida Bodanisa. Zmodyfikowałam także moment, kiedy Emilie opuszcza Paryż po śmierci syna i wyjeżdża do Cirey. W rzeczywistości nie wyjechała na siedem miesięcy. Przesunęłam o kilka miesięcy datę premiery opery Philidora inspirowanej *Tomem Jonesem*, żeby zgadzała się z datą zakupu Vaux-le-Vicomte przez hrabiego de Praslin. Zmieniłam także datę egzekucji La Barre' a – w rzeczywistości odbyła się rok przed wizytą Lili w Ferney, ale uznałam, że zdarzenie to mówi tak wiele o Wolterze i jego czasach, że należy je umieścić w książce. Wreszcie nie jest jasne, z kim Emilie du Châtelet podzieliła się swoją *Rozprawą o szczęściu*. Pewne jest tylko, że Saint-Lambert zachował kopię i czekał z publikacją *Rozprawy* do śmierci markiza du Châtelet i Woltera. Markiz zmarł w roku, w którym odbyła się fikcyjna wizyta Lili u niego, ale Wolter żył do roku 1778. *Rozprawę* zaś opublikowano w roku 1779, czyli rok po wydarzeniach z epilogu powieści.

Podziękowania

Powieść o życiu Emilie du Châtelet pozostałaby zapewne jednym z pomysłów w mojej głowie, gdyby nie dwóch autorów, którzy odkryli tę kobietę na długo przede mną. Moje najszczersze podziękowania należą się Davidowi Bodanisowi i Judith Zinsser. Napisane przez nich biografie Emilie stały się podstawą moich własnych poszukiwań. Biografia Woltera autorstwa Rogera Pearsona także pomogła mi poznać fakty związane z opowiedzianą historią.

Kilka osób poświęciło swój czas i doświadczenie, pomagając mi w pracy nad książką. Pani de Salignac-Fenélon otworzyła posiadłość du Châtelet poza sezonem, aby oprowadzić mnie po pałacu i posiadłości w Cirey. Pani Filliette-Neuville, pomimo licznych obowiązków związanych z prowadzeniem Château d'Étoges, pozwoliła sobie zająć czas, aby opowiedzieć mi historię zamku i swojej rodziny. Ambroise Clément de Feuillet nie został wymyślony, był to dziedzic i przyszły hrabia d'Étoges w momencie ślubu z Delphine. Nie wiedziałabym o tym, gdyby nie pomoc pani Filliette-Neuville. Mahdjer Bhat Charilla przygotowała dla mnie specjalną, długą wycieczkę po domu Woltera w Ferney, a jej wiedza nadała nową głębię szczegółom wizyty Lili.

Jane Birkenstock dostarczyła mi dodatkowej wiedzy na temat tła historycznego i służyła radami, które pomogły mi

w organizacji podróży do Francji. Jej strona www.visitvoltaire.com jest znakomitym źródłem informacji o Wolterze i jego życiu.

Natalia Denisenko pomogła mi skierować ostatni rozdział na właściwe tory, a Severiani Salvagno wytłumaczył kwestie matematyczno-fizyczne, które w przeciwnym wypadku mogłyby zostać zniekształcone przez użyty przeze mnie język powieści.

I niech gwiazdy usłyszą (Świergotko, jesteś tam?): mam najlepszą agentkę na świecie. Meg Ruley z agencji Jane Rotrosen wspiera mnie i moje pisanie z entuzjazmem, mądrością i uczciwością. Praca z ludźmi z agencji Jane Rotrosen to sama przyjemność. Dzięki nim w Nowym Jorku czuję się trochę jak w domu, choć w rzeczywistości jestem od niego bardzo daleko.

Kathy Sagan, moja redaktorka w Gallery Books, z uporem i dużym poczuciem humoru pomogła mi poprawić tekst, a jej asystentka Jessica Webb cały czas gorąco mnie wspierała.

Jak zawsze chciałabym wyróżnić trzy osoby, które znają mnie najlepiej i wspierają każdego dnia. Moja „apodyktyczna starsza siostra" Lynn od pół wieku udowadnia, że apodyktyczność może być dobrą cechą, przynajmniej wtedy, kiedy młodsza siostra potrzebuje dogłębnej krytyki swojej powieści. Mój najukochańszy partner, James Fee, spędził niezliczone godziny i włożył niewypowiedzianie dużo energii, aby pomóc mi przetrzymać trudne momenty pracy twórczej. Mój syn, Ivan Corona, również wspiera mnie z entuzjazmem, co zawsze dodaje mi skrzydeł.

Poza tym muszę okazać wdzięczność samej Emilie du Châtelet i François-Marie Arouet de Voltaire'owi. Gdy pisałam o nich, ich życie dawało radość mojemu.

Słowniczek

Postaci historyczne zostały zaznaczone pogrubionym drukiem.

Apteka: kiedyś można tu było kupować rzeczy niezwiązane z medycyną, np. kakao i czekoladę, wyroby domowe: masło, mleko. Produkowano tam również alkohole, tzn. piwo i wino

Barras, Robert de: wdowiec starający się o rękę Lili

Bar-sur-Aube: przystanek dyliżansowy pomiędzy Paryżem a Genewą

Bercy, Delphine: przybrana siostra Lili

Bercy, Julie: przyjaciółka Emilie i przybrana matka Lili

Breteuil: nazwisko rodowe Emilie du Châtelet

Buffon, Georges-Louis de, hrabia (1707–1788): naturalista i filozof, twórca obszernego opracowania historii naturalnej zawierającej aktualne prawa naukowe, wczesny propagator koncepcji ewolucji, poszukiwał pozareligijnych przyczyn powstania świata w odległych czasach

cabinet de curiosités: mebel, często w formie gabloty z półeczkami, do przechowywania ciekawych eksponatów

chaise percée: odpowiednik współczesnego sedesu, krzesło z zakrywanym klapką otworem

châtelaine: pani domu, właścicielka

Châtelet, Emilie du (1706–1749): wywodząca się z arystokracji matematyczka i fizyczka, najbardziej znana z tego, że przez długie lata była kochanką Woltera

Châtelet, Florent (1729–1973): imię i nazwisko męża Emilie oraz jej syna

Châtelet, Stanislas-Adélaïde du (1749–1751): córka Emilie du Châtelet

c*héri, chérie, chéries:* najdroższy, najdroższa, najdroższe

Cirey: miejscowość w Lotaryngii, gdzie znajduje się posiadłość rodowa markiza du Châtelet

Comédie-Italienne – teatr w Paryżu założony pod koniec XVII wieku, wystawiający repertuar włoski

Comète: koń Świergotki

Courville, Jacques-Mars: przyjaciel Anne-Mathilde

Crassy, Berthe i Lucien: służący w Cirey

Danican Philidor, François André (1726–1795): francuski kompozytor i znany geniusz szachowy

Denis, madame, Marie Louise Mignot (1712–1790): siostrzenica Woltera, wdowa, która mieszkała z nim przez wiele lat w Cirey i nie tylko

Diderot, Denis (1713–1784): filozof i autor oraz redaktor pierwszej obszernej encyklopedii

Encyclopédie: Wielka encyklopedia francuska – zbiór informacji z zakresu nauk ścisłych, filozofii, a także wiedzy praktycznej oraz zawodowej, czyli dziedzin uznanych za ważne przez filozofów oświecenia

Étoges: miejscowość i dwór rodziny Clémenta de Feuillet

Germond: służący Woltera w Ferney

Graffigny, Françoise de (1695–1758): kobieta będąca częstym gościem w Cirey, której korespondencja stanowi istotne źródło

wiedzy na temat zajęć oraz relacji Emilie i Woltera. Później napisała kilka popularnych powieści i współcześnie uznawana jest za jedną ze znaczących pisarek swojej epoki

Grand Maréchal de Logis: nazwa stopnia używana w kawalerii i artylerii konnej (zamiast *sergent*, czyli sierżant)

hôtel: częsta nazwa paryskich rezydencji

Île de la Cité: wyspa na Sekwanie, na której stoi katedra Notre Dame

Jardin de Roi: ogród królewski, dziś znany pod nazwą Jardin des Plantes

La Harpe, Jean-François de (1739–1803): mało znaczący dramaturg, częsty gość w Ferney; kreował się na konsultanta Woltera

Leclerc, Jean-Étienne: bratanek i podopieczny hrabiego de Buffona

Leszczyńska Maria (1703–1768): urodzona w Polsce żona króla Ludwika XV, siostra księcia Lotaryngii

Leszczyński Stanisław (1677–1766): książę Lotaryngii, król Polski w latach 1705–1709 i 1733–1736, po detronizacji król Ludwik XV przyznał mu częściowo niepodległe, bogate księstwo Lotaryngii; ojciec Marii Leszczyńskiej, królowej Francji

Lettre de cachet: w XVIII-wiecznej Francji list opieczętowany, którym król francuski skazywał adresata bez sądu, np. na karę więzienia lub wygnania

Lomont, baronowa: owdowiała bratowa markiza du Châtelet

Longchamp, Sébastien: służący Woltera, którego pamiętniki są źródłem informacji o życiu prywatnym Woltera i jego nawykach

Lunéville: miasto w Lotaryngii, siedziba księcia Stanisława, gdzie zmarła i została pochowana Emilie

maman: matka

Maupertuis, Pierre-Louis (1698–1759): słynny francuski matematyk i fizyk. Jego badania prowadzone w Laponii ustaliły, że Ziemia jest spłaszczona na biegunach. Inne jego prace potwierdziły i uszczegółowiły wiele teorii Newtona

Maurepas, Joséphine de: młoda arystokratka z czasów, gdy Lili i Delphine były w klasztorze

panier: rodzaj ramy opartej na biodrach, zwiększającej objętość spódnicy sukni

Panthémont, Abbaye de: klasztor, w którym Lili i Delphine mieszkały jako dzieci

philosophe: filozof – termin określający francuskich myślicieli oświecenia

Place Royale: plac w Paryżu, przy którym mieszka Lili. Obecna nazwa: Place de Vosges

pont: most

population flottante: ludność migrująca we Francji, bezdomni i wywłaszczeni etc.

Praslin, Anne-Mathilde de: młoda arystokratka, znana Lili i Delphine z czasów, gdy mieszkały w klasztorze

Praslin, Paul-Vincent: syn i spadkobierca hrabiego de Praslin, właściciel Vaux-le-Vicomte

Richelieu, książę (1696–1788), Louis François Armand du Plessis: potężny arystokrata i przyjaciel Emilie du Châtelet

Rousseau, Jean-Jacques (1712–1778): filozof i pisarz, prekursor romantyzmu w swoich poglądach na wolność osobistą i wychowanie dzieci bez wpływu społeczeństwa

Saint-Lambert, Jean-François (1716–1803): kochanek Emilie i ojciec Lili. W późniejszych czasach został współautorem *Encyclopédie* i uznanym poetą.

salonnière: kobieta prowadząca salon literacki

Thérèse, Jeanne-Bertrand: zakonnica z klasztoru

Thibaudet, Francine: narzeczona Jeana-Étienne'a Leclerca

Thil, Marie-Victoire du (1686–1777): bliska znajoma Emilie du Châtelet, prawdopodobnie przedstawiła ją Wolterowi

Tintin: pies Lili i Delphine

Turgot, abbé (1727–1781): filozof i ekonomista znany z poparcia dla kapitalizmu i wolnego rynku

Vaux-le-Vicomte: duża, wiejska posiadłość hrabiego de Praslina w pobliżu Paryża

Wolter, François-Marie Arouet de Voltaire (1694–1778): słynny francuski pisarz i filozof, kochanek, przyjaciel i powiernik Emilie du Châtelet

Rozmowa z Laurel Coroną

Julie de Bercy jest fascynującą postacią tej historii – potrafiła znaleźć złoty środek pomiędzy dostosowaniem się do konwenansów a nowoczesnym sposobem myślenia. Czy ta postać rzeczywiście istniała?

Postać Julie de Bercy jest fikcyjna. Jednym ze sposobów samorealizacji arystokratek obdarzonych wielkim intelektem, w tym wielu słynnych kobiet tamtych czasów, było organizowanie salonów literackich, czyli zostanie tak zwaną *salonnière*. Madame de L'Espinasse i madame Geoffrin, które pojawiają się na pogrzebie Julie, naprawdę istniały, podobnie jak madame de Graffigny, goszcząca w domu w Cirey w tak uciążliwy dla Emilie sposób. Stworzenie fabuły, w której losy fikcyjnych bohaterów, zwłaszcza kobiet, przekonywająco mieszają się z losami rzeczywistych postaci, to wyzwanie dla autorów powieści historycznych. Salon literacki Julie wydawał mi się dobrym miejscem do tego spotkania.

Mimo że to Lili jest główną bohaterką **Córki markizy***, książka opowiada również historię Emilie du Châtelet. Czy od początku planowała Pani łączyć sceny z przeszłości i teraźniejszości opisujące Lili i Emilie, czy pomysł poprowadzenia narracji równoległej pojawił się w trakcie procesu tworzenia?*

Wiedziałam od początku, że muszę znaleźć sposób na przybliżenie biografii Emilie, bo historia Lili jest tak niezwykła właśnie dzięki jej matce. Trudność polegała na tym, że czytelnik musiał zostać o wiele lepiej poinformowany na temat Emilie niż jej córka. Uznałam, że jedynym sposobem jest wplecenie obrazów

z życia Emilie w główny wątek dotyczący Lili. Dzięki temu czytelnik dowiaduje się o Emilie przed Lili i zdaje sobie sprawę, jak ważna dla dziewczyny jest ta wiedza, a także kibicuje jej w poszukiwaniach matki.

Co na początku zainteresowało Panią w Emilie? Czego współczesne kobiety mogą się od niej nauczyć?

Po raz pierwszy usłyszałam o niej, czytając przypisy do utworów Woltera, ale kiedy dowiedziałam się, jaką rolę odegrała w zapoznawaniu francuskiej inteligencji z ideami Newtona, zapragnęłam więcej się o niej dowiedzieć. Wyobrażałam ją sobie jako typową arystokratkę z portretów z epoki, w gorsecie i peruce. Zamiast tego znalazłam wspaniałą kobietę pełną życia, wad, pasji wszelkiego typu, przedzierającą się przez życie i świadomą tego, że będzie musiała kiedyś żałować swoich decyzji.

Współczesne kobiety mogą się od niej nauczyć przede wszystkim doceniać to, co mają. Zamieszkujemy nie tylko dużo bardziej otwarty i tolerancyjny świat, ale mamy też bardziej zaawansowane narzędzia, aby go poznawać.

Za każdym razem, kiedy słyszę o dokonaniu przełomowego odkrycia w dziedzinie fizyki, zastanawiam się, jak by je wykorzystała Emilie. Może w dzisiejszych czasach zostałaby laureatką Nagrody Nobla, pracującą w supernowoczesnym laboratorium, a niegdyś musiała prowadzić swoje badania niemalże w ukryciu i patrzeć, jak inni zbierają laury za jej pracę, dlatego że jej zainteresowania nie były odpowiednie dla kobiety. Szczególną przyjemność sprawiło mi wykorzystanie zdarzenia z pękniętą osią, znanego z pamiętników Longchampa, służącego Woltera, kiedy Emilie i Wolter spędzili noc, patrząc na zimowe niebo, rozmawiając o ignorancji, którą próbuje się pokonać w ich czasach, i o tym, co przyszłość zrobi z ich własnymi błędami. To ważne, aby mieć tę przewagę i być przygotowanym na to, że nawet nasze najbardziej ukochane poglądy mogą okazać się błędne.

Proszę opowiedzieć o swojej podróży do Francji, w trakcie której zbierała Pani materiały. Co najbardziej Panią zaskoczyło w Château de Cirey, gdzie Wolter i Emilie mieszkali wspólnie przez tak wiele lat?

Natychmiast uderzyło mnie, że Cirey jest tak oddalone od

wszelkiej cywilizacji. Wcześniej we Francji odwiedzałam głównie miejsca turystyczne, ale nigdy nie byłam w północno-wschodnim regionie Szampanii i bardzo mnie zdziwiło, jak małe i rzadko rozrzucone są tam wioski. Wiele z nich to zaledwie kilka domów wzdłuż drogi, która i tak nie prowadzi do większych miast. Na początku Emilie i Wolterowi musiało być ciężko odzwyczaić się od miejskiego trybu życia pełnego towarzystwa. W końcu jednak odnaleźli tam potrzebny do pracy spokój i serdecznych znajomych.

Najbardziej zaskoczyły mnie niewielkie rozmiary budynku (dom Woltera we Ferney jest jeszcze mniejszy) i jego raczej nietypowy kształt. Należał on do rodziny męża Emilie, który najwyraźniej nie miał nic przeciwko temu, żeby mieszkała tam ze swoim kochankiem, ponieważ Wolter rozbudowywał i odnawiał dom za własne pieniądze. Chyba uważali to za uczciwy interes! Budynek wygląda na nieskończony. Drugie piętro zostało nadbudowane jedynie na część domu, a ostatnie skrzydło widoczne na projekcie architektonicznym nigdy nie powstało. Ten duch niedokończonej pracy potęgował tylko moje wrażenie, że w każdej chwili Wolter i Emilie mogą wybiec z domu, aby sprawdzić, kto przyjechał z wizytą.

Właściciel pałacyku oprowadził mnie indywidualnie przed rozpoczęciem sezonu dla zwiedzających i poinformował, że spośród niewielu turystów, którzy odwiedzają Cirey, większość stanowią Koreańczycy i Amerykanie. Nie powinno mnie dziwić, że ludzie tak niewiele wiedzą o Emilie. Przyjeżdżają zobaczyć dom, w którym mieszkał Wolter i który znajdował się na tyle blisko francuskiej granicy, aby pisarz mógł w każdej chwili skutecznie uciec przed prawem. Może teraz, gdy czytelnicy „odnajdują" Emilie, powód wizyt w Cirey się zmieni!

Dlaczego zdecydowała się Pani umieścić bajki o Świergotce i Tomie w powieści? Kiedy je Pani napisała?

Pierwotnie nie planowałam tak szeroko wykorzystywać tych opowieści, ale kiedy napisałam około pięćdziesięciu stron książki, historia, którą miałam przedstawić, wydała mi się dość mroczna. Zdecydowałam, że muszę ją jakoś rozpogodzić zarówno dla siebie, jak i dla czytelników. Bajki o Świergotce wydały mi się zabawnym przerywnikiem i sposobem na przyjrzenie się zmaganiom Lili na różnych etapach jej życia.

Lili spędza czas z hrabią de Buffonem i Jeanem-Étienne'em w królewskim ogrodzie Jardin du Roi w Paryżu. Czy takie miejsce naprawdę istniało? Po co je stworzono?

To miejsce jak najbardziej istnieje, nazywa się od czasów rewolucji francuskiej Jardin des Plantes. Jest większe niż w czasach hrabiego Buffona, ale rozkład jest właściwie identyczny. Na niektórych obszarach wciąż sadzi się rośliny wykorzystywane do badań medycznych. To tam wyobrażałam sobie ogród Jeana-Étienne'a. Dla większości odwiedzających jest to jednak tylko miłe miejsce na przechadzkę, otoczone muzeami i paryskim zoo.

W powieści pisze Pani, że autorstwo niektórych opublikowanych idei Woltera należało tak naprawdę do Emilie du Châtelet. Czy zdawała sobie Pani z tego sprawę, czy może było to dla Pani zaskoczeniem? W jakim stopniu Emilie przyczyniła się do powstania prac Woltera?

Nie wiedziałam, że Wolter myślał o sobie jako o poważnym naukowcu. W jego oczach uznanie go za naukowca miało dopełniać bądź nawet przewyższać uznanie go za pisarza. Obecnie większość badaczy przypisuje Emilie skomplikowane wywody naukowe w jego dziełach. W sytuacji, gdy autorstwo jest dyskusyjne, warto zadać sobie pytanie, co każde z nich osiągnęło niezależnie od drugiego. Wolter nie pisał prac naukowo-badawczych ani przed okresem mieszkania z Emilie, ani po nim. Ona z kolei poświęciła lata, studiując matematykę i inne nauki ścisłe, zanim się spotkali, a kiedy ich relacja rozluźniła się, napisała swoje najlepsze prace bez jego pomocy.

Jedna z teorii Newtona mówi, że ciało w spoczynku pozostanie w spoczynku, dopóki nie poruszy go zewnętrzna siła. Co napędzało Panią do pracy nad książką?

Doświadczenie w pisaniu mojej pierwszej powieści – *Until Our Last Breath* (wydanej w 2008 roku) skierowało mnie na zupełnie nowe tory działania, i to ze znacznie większą prędkością. Wcześniej napisałam kilka krótszych powieści dla młodszych czytelników i czułam się bardzo pewnie, planując długość i zakres nowej książki, ale nie byłam zadowolona z ograniczeń, jakie narzuca literatura faktu. Nie mogłam się pogodzić z ograniczeniami faktów historycznych, ponieważ uważam, że

czasem lepiej służymy prawdzie, łącząc wiedzę z wyobraźnią. Chciałam wykorzystać swoją kreatywność w uzupełnianiu tego, czego nikt nie zapisał, a literatura historyczna jest do tego doskonałym środkiem.

Na Pani stronie internetowej czytamy: „Moim celem jako powieściopisarki historycznej jest dostarczenie czytelnikowi wysokiej jakości prozy o kobietach oraz o zapomnianej i niedocenianej roli, jaką odgrywały w społeczeństwie". Dlaczego akurat dzielenie się opowieściami o kobietach jest dla Pani tak inspirujące?

Kiedy uczyłam się historii, zawsze pytałam: „A gdzie kobiety?". Było nas tak wiele. Nawet przez minutę nie wierzyłam, że byłyśmy tak niewidzialne albo tak ograniczone w swoich rolach, jak sugerowałaby historia. Większy sens ma wytłumaczenie, że nasze historie zostały zapomniane, niż że nigdy nie istniały. Kobiety ze wszystkich epok, jakimi się interesowałam, wykazywały się o wiele większą odwagą, mądrością, żądzą przygód i talentami, niż pozwolono nam wierzyć. Musimy zdecydować, czy akceptujemy fakt, że historie kobiet nie zostaną opowiedziane, bo brakuje na to dokumentów historycznych, czy chcemy opowiedzieć je, używając wyobraźni i zdolności do wyciągania wniosków z tych nielicznych dostępnych informacji. Istnieje różnica pomiędzy faktami historycznymi a prawdą, a kiedy nie znamy faktów, prawda musi posłużyć się fikcją albo nigdy nie zostać opowiedziana.

Jak Pani myśli, dlaczego czytelnicy tak lubią powieści historyczne?

Ludzie dzisiaj są tak zajęci, że chcą otrzymać jak najwięcej w bardzo ograniczonym wolnym czasie. Dobra powieść historyczna jest z natury wartościową lekturą, ponieważ uczymy się z niej o ludziach, miejscach i wydarzeniach z przeszłości w zajmujący sposób. Powieść historyczna pióra autora, który poważnie podchodzi do podstawy faktograficznej swojego dzieła, jest idealną ilustracją horacjańskiego przysłowia, które mówi, że literatura powinna jednocześnie bawić i uczyć.

Jakim okresem historycznym zajmie się Pani w swojej następnej książce?

Moją nową powieść umiejscowiłam w Hiszpanii i Portugalii w XV wieku. Ludzie kojarzą rok 1492 z Kolumbem, ale nie wiedzą, że w tym samym roku miało tam miejsce kilka innych istotnych wydarzeń z udziałem Ferdynanda i Izabeli. Pierwszym z nich był upadek Kalifatu w Granadzie, wraz z którym zakończyła się wielowiekowa obecność muzułmanów na Półwyspie Iberyjskim. Drugim było wydalenie z Hiszpanii Żydów. Moja powieść rozciąga się od czasów panowania Henryka Żeglarza w Portugalii po rządy Ferdynanda i Izabeli w Hiszpanii, a opowiedziana jest z punktu widzenia Żydówki będącej świadkiem tych burzliwych czasów.

Tytuł oryginału angielskiego *Finding Emilie*
Copyright © 2011 by Laurel Corona
© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo Nasza Księgarnia, Warszawa 2012
© Copyright for the Polish translation by Anna Płocica, 2012

Projekt okładki
Marta Weronika Żurawska-Zaręba

Zdjęcia na okładce: © Paul Vrieling | sxc.hu

Redaktor prowadzący *Anna Garbal*
Opieka merytoryczna *Magdalena Korobkiewicz*
Redakcja *Adriana Dobrzyńska-Suchy*
Korekta *Joanna Habiera, Jolanta Karaś, Ewa Mościcka*
Przygotowanie pliku do konwersji *Agnieszka Dwilińska-Łuc*

ISBN 978-83-10-12390-9

Plik wyprodukowany na podstawie *Córka markizy*, Warszawa 2012

www.wnk.com.pl

Wydawnictwo NASZA KSIĘGARNIA Sp. z o.o.
02-868 Warszawa, ul. Sarabandy 24c
tel. 22 643 93 89, 22 331 91 49,
faks 22 643 70 28
e-mail: wnk@wnk.com.pl

Plik ePub opracowany przez firmę eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl